

**Juraszek Kilian Majka Małecki**  
**Miszczak Olejniczak Przechrzta Rogoża**  
**Skalska Wegner Zbierzchowski**

# **Nowe idzie**

**pod redakcją Michała Cetnarowskiego**

2008

**trident**

## **Wydanie polskie**

**Data wydania:**

2008

**Projekt graficzny, ilustracje i okładka:**

Rafał Kosik

**Wydawca:**

Powergraph Sp. z o.o.

ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa

tel./fax: 022 834 18 25, 022 834 18 26

[www.powergraph.pl](http://www.powergraph.pl)

e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

ISBN: 978-83-61187-04-2

## **Wydanie elektroniczne**

Trident eBooks

[tridentebooks@gmail.com](mailto:tridentebooks@gmail.com)

# Nowe idzie?

## Czyli słów kilka tytułem wstępu

„– Kiedy start? – spytałem i usłyszałem szmer, jakby ziarenka najdrobniejszego piasku sypały się na membranę.  
– Lecisz już, Kelvin. Bądź zdrów! – odpowiedział bliski głos Moddarda. Zanim w to uwierzyłem, na wprost mojej twarzy rozwarła się szeroka szczelina, przez którą zobaczyłem gwiazdy.”

Stanisław Lem, *Solaris*

Od zbioru *Robimy rewolucję* z 2000 roku – antologii w wyborze Artura Szrejtera, w której znaleźli się autorzy związani z *Klubem Tfurców* i, przynajmniej w części, skłaniający się do wizji fantastyki prezentowanej przez redakcję miesięcznika „Fenix”; w linii prostej spadkobiercy zbiorów *Miłosne Dotknięcie Nowego Wieku*, kolejnych *Wizji Alternatywnych* Wojtka Sedeńki czy *Co większych much* i *Pożeracza szarości* Macieja Parowskiego, który redaktorsko stał także za *Miłosnym Dotknięciem...* – w Polsce nie było chyba antologii, która próbowałaby przekrojowo odpowiedzieć na pytanie: „Jaka jest współczesna fantastyka?”. Minęło osiem lat. Wiemy, skąd idziemy – ale czy wiemy dokąd? Wbrew obiegowym opiniom, futurologia nigdy nie była mocną stroną fantastyki. Czy zatem próba przewidzenia ścieżek, jakimi może pójść w naszym kraju science fiction, ma w ogóle sens? A może wystarczy prześledzić historię fantastyki anglosaskiej i na tej podstawie pokusić się o analogię? Trudno jednoznacznie zawyrokować – na szczęście *Nowe idzie* nie ma wróżyć z fusów, antologii przyświeca raczej ambicja dania obrazu rzeczywistości zastanej: tego, w jakim momencie znajduje się obecnie polska fantastyka i jak prezentuje się kolejne

wchodzące na pisarską scenę pokolenie twórców. Czy podobny zamiar się powiodł – czy w ogóle jest możliwe zatrzymanie popkulturowego (artystycznego?) procesu na takiej zamrożonej stop-klatce? Z pewnością warto było spróbować.

Od czasu przełomu wieków – pojawienia się magazynu „Science Fiction” i lubelskiej Fabryki Słów – dużo się w fantastyce zmieniło, nastąpiło zwieńczenie procesu, który rozpoczął się tuż po transformacji ‘89 roku. Wcześniej misją literatury, a więc i fantastyki, było nieść czytelnikowi pocieszenie, a zafalszowanemu światu wymierzać sprawiedliwość; kiedy zabrakło jasno zdefiniowanego wroga, misją stało się „niesienie rozrywki”. Książki na wolnym rynku stały się towarem jak każdy inny. Dla niektórych (autorów i czytelników) było to jak wyrwanie się z krępujących okowów. Można było zacząć pisać „dla zabawy”, uwolnić wyobraźnię z kajdan literackich powinności, sięgnąć bez kompleksów do głębokiego wora popkultury, bez wstydu pisać i czytać tzw. dobre czytadła. Dla innych nowa sytuacja wiązała się z ujednoceniem i zubożeniem języka (bo w ten sposób można pisać – i czytać – szybciej), wtórnością, błahością podejmowanych tematów, pisaniem pod gust uśrednionego – bo jak najszerszego – *targetu*. Jeśli literatura miała kiedyś (wg jednej z definicji, może wcale nie najtrafniejszej) być zbeletryzowanym zapisem wewnętrznych stanów autorów – to w nowej sytuacji, w obrębie fantastyki, zaczęto od tego raczej odchodzić. Jak bowiem „zamówić” książkę o cierpieniu lub radości? Odrąbać autorowi mały palec u nogi? Wybić na krawężniku jedynki? (Z radością, zdaje się, byłoby łatwiej – być może wystarczyłaby suta zaliczka...). Fantastyka zaczęła być „rozrywkowa” i „problemowa” (w klasyfikacji co najmniej kuriozalnej, bo zakładającej z góry „nierozrywkowość” utworów poważniejszych i zaangażowanych). Zwolennicy jednej bądź drugiej frakcji zostali zantagonizowani. Wytyczono linię okopów, rozciągnięto zasieki. Wśród przypadkowych ofiar nie zabrakło cywili (recenzentów i krytyków). Zaczęła się cicha wojna.

A dziś, być może, nadszedł czas, żeby ściągnąć z broni bagnety argumentów i wrócić do domu. Nowe idzie.

Czy ktoś chce, czy nie chce, fantastyka się zmieniła. Kiedyś tylko za pomocą jej kodu można było mówić o czerwono-czarnej rzeczywistości za oknem, zza którego straszły koksowniki i czołgi na ulicach. Dziś z wykrzykiwania najróżniejszych tez i diagnoz utrzymuje się kilkadziesiąt (kilkaset?) gazet i kilka stacji telewizyjnych. Fantastyka może o tym mówić także – jak każda inna literacka konwencja; ale może też bez przeszkód służyć jako umilacz czasu w tramwaju, w drodze do pracy. Oglądamy pełne efektów specjalnych filmy – czemu fajerwerki i erupcje miałyby ominąć także książki fantastyczne; wszak ponoć właśnie tutaj wszystko może się zdarzyć? Kiedyś teksty science fiction miały bardziej uczyć, niż bawić; dziś, przynajmniej w części, bardziej chcą bawić, niż uczyć. Czy to źle? Tak, w jakimś stopniu zapewne tak. Co zrobić – strzałka historii odchyliła się, dziś znajdujemy się w innym miejscu na popkulturowym wykresie. Czy można zatrzymać ten proces? Zapewnie nie – kijem nie zawróci się trendu, a ogólnym dekretem nie odmieni ducha czasu. Można jednak

dolożyć starań, żeby rzeka przemian nie wystąpiła z brzegów tam, gdzie zaleje zasiewy i zatopi to, co najcenniejsze.

Wśród rozmów dotyczących współczesnej polskiej fantastyki nad wyraz często pojawiają się głosy o zapaści i ogólnej mizerii. Niby nie wypada się nie zgodzić, kiedyś już nie doceniono Kasandry, na skutek czego upadła Troja. Skoro jednak jest tak źle, to czemu jest, no, przynajmniej nie najgorzej? Rzućmy krótko okiem na listę polskich powieści, spośród których można było wybierać tytuł roku 2007 w plebiscycie Katedry: możemy tu znaleźć *Lód* J. Dukaja, *Oberki do końca świata* W. Szostaka, *Sternberg* Sz. Twardocha (a należałoby dodać *Epifanię wikarego Trzaski*), *Tracę ciepło* Ł. Orbitowskiego, *Padlinę* J. Soboty; miłośnicy fantastyki spod znaku „literatury lżejszej” znajdą tam i 2. tom *Pana Lodowego Ogrodu* J. Grzędowicza, i *Królikarnię* M. Guzka. Ogółem – gdyby jeszcze poszukać, zebrałoby się tego około dziesięciu z pewnością wartościowych pozycji, niewiele mniej niż jedna na miesiąc. Czy to mało? Tak, z punktu widzenia czytelnika mało. Z pewnością mogłoby być lepiej. Ale, patrząc obiektywnie – czy to rzeczywiście tak mało? Zapewne gorzej wygląda sprawa debiutów i „prawie-debiutów” – wyżej wymienione książki to utwory autorów rozpoznawalnych i mających już dość mocną pozycję w czytelnicznym środowisku. Jednak czy i tu nie da się wyjść z sytuacji obronną ręką? Jak mówi przysłowie, nie od razu Kraków zbudowano. Po co jednak wytyczać granice, zalewać fosę wrzącą smołą, kopać wilcze doły i wystawiać na wiatr czarne proporce? Fantastyka, jak literacki kot Schrödingera, może być zarazem poważna i niepoważna; może bawić i uczyć. Antologia *Nowe idzie* jest właśnie taką próbą przetrzucenia pomostu ponad postawionymi barierami.

Założeniem po platońsku idealnym było zebrać najciekawszych autorów młodego pokolenia (już nie debiutantów, ale jeszcze nie laureatów NIKE) – i spróbować pokazać, jak wygląda polska fantastyka A.D. 2008. Jak to często bywa z ideałami, planu maksimum nie udało się niestety zrealizować w całości. Skład autorski tworzą, w porządku ukazywania się w zbiorze, Jewgienij T. Olejniczak, Tomasz Kilian, Andrzej Miszczak, Piotr Rogoża, Adam Przechrta, Joanna Skalska, Paweł Majka, Dawid Juraszek, Robert M. Wegner, Cezary Zbierzchowski, Jakub Małecki. Pierwsze, co rzuca się w oczy, to oczywiście brak Kuby Nowaka. Niestety, mimo próśb i gróźb, propozycji przyjęcia korzyści majątkowych, anonimowych listów i głuchych telefonów – Kuba z przyczyn osobistych nie mógł znaleźć czasu na napisanie do zbioru nowego tekstu. (Przy okazji – wszystkiego najlepszego, Kuba, dla Ciebie i Agaty, z okazji ślubu!). Autor wszakże może czuć się usprawiedliwiony – redaktor już niekoniecznie. Podobnych „niedociągnięć personalnych” można by zapewne wytknąć więcej, wszelako już chyba nie tego kalibru; przy subiektywnym wyborze podobne kontrowersje będą jednak pojawiały się zawsze. Ogólnie założenie było takie: wybrać twórców nowego pokolenia, którzy nie tylko interesująco i różnorodnie piszą, ale także dali się poznać z kilku publikacji, powoli umacniają się już na obrzeżach rynku (dlatego np. brak Filipa Haki, autora wspaniałych literackich miniatur, który jednak na rodzimym

fantastycznym poletku postawił dopiero pierwszy krok). Kiedy zaczynaliśmy, żaden z autorów poproszonych o napisanie tekstu nie miał za sobą publikacji książkowej. Dziś, po pół roku prac, w pełnym metrażu debiutował już Przechrzta, Rogoża, Małecki, Zbierchowski; w redakcyjnych kolejkach oczekują Olejniczak, Juraszek, Kilian; dłuższe teksty przygotowują Wegner, Majka, Miszczak i Skalska. Być może zatem redaktorski strzał nie był aż tak bardzo chybiony?

Przy pracach nad opowiadaniem przyświecało nam jeszcze jedno założenie – żeby napisać tekst być może już rozpoznawalny dla stylu danego autora, ale jednak nieco inny od tego, co publikował do tej pory. Jest jakiś temat, z którym do tej pory się nie zmierzyłeś? Pisz. Założenie strukturalne, które nie mogło się przepchnąć przez wąskie redakcyjne gardło, blokując się na wypustach imiesłowów i zadziorach długich akapitów (albo, odwrotnie – imiesłowów w nim brak, a miniakapity zbyt krótkie)? Spróbuj. Tekst ma być zrozumiały, nie może przekroczyć „granicy bełkotu” – ale to przecież jasne. Fantastyka jednak to także część literatury – może zatem czas, żeby pisane teksty spróbowały być również piękne?

Jak nam wyszło? Trudno uwierzyć redaktorowi i wydawcy, kiedy będzie zachwalał i mówił: „Chyba nieźle”. Efekt na szczęście można ocenić samemu. Trzymają go Państwo przed sobą w rękach.

*Nowe idzie* tworzy jedenaście tekstów. Olejniczak w scenografiach umierającego Paryża pisze „XIX-wiecznego fallouta”. Kilian jako chyba pierwszy autor od czasów *Mięsa kobiet* Rafała Ziemkiewicza, tak odważnie i z powagą (bez Ziemkiewiczowego mrugania okiem) próbuje się zmierzyć z tematem seksualności i cielesności (byłaby to pierwsza jaskółka polskiego odpowiednika brytyjskiej nowej fali...?). Miszczak i Majka wracają do space operowych korzeni science fiction; ten pierwszy próbuje w kameralnym tekście wskrzesić (na razie jeszcze z pozycji czeladnika przy mistrzach?) świetne tradycje kosmicznej fantastyki religijnej (Dukaj, Huberath, Szyda); ten drugi stawia na istic kosmiczny rozmach wyobraźni i akcję rozciągniętą na setki milionów lat. Rogoża, w opowiadaniu oryginalnie wystylizowanym językowo, próbuje dać fantastyczną odpowiedź na *Radio Armageddon* Jakuba Żulczyka – dialog artystyczny, jak widać, bez problemu może przekraczać granicę konwencji. Przechrzta w swoim komiksowym, westernowym stylu odchodzi od fantasy i pisze tekst postapokaliptyczny. Skalska jest pierwszą autorką (kolejna jaskółka w gronie?), która pisze tzw. fantastykę emigracyjną; doświadczenia z kilkuletniego życia za granicą przekuwa na charakterystyczne, współczesne *weird tales* (trudno o lepszy dowód na to, jak zaokienna rzeczywistość – w zgodzie z najlepszymi tradycjami science fiction – może przeplatać się z literaturą). Juraszek próbuje zreaktywować – podług zupełnie nowych założeń – tzw. fantastykę słowiańską. Wegner pisze fantastykę militarną bliskiego zasięgu, w scenografiach dla siebie może niecodziennych – jednak, co już jest dla niego rozpoznawalne, pod płaszczykiem galopującej akcji i mięsistej fabuły, nie bojąc się jednocześnie mówić o prawdziwych uczuciach i rzeczach najważniejszych. Odwołując się do założeń psychologii,

Zbierzchowski tworzy bogatą literacko i przemyślnie skonstruowaną opowieść o poszukiwaniu tożsamości i zagubieniu duszy; byłby to przewrotny komentarz do tego, na jakim zakręcie znalazła się wychowana na Freudzie „cywilizacja zachodu”...? Małecki w konwencji parahorroru wraca do współczesności, pisząc o emocjach i uczuciach, przed jakimi staje grupka młodych żołnierzy postawionych w obliczu śmierci.

Jaka zatem jest polska fantastyka A.D. 2008? Czy obrała kurs na człowieka (przynajmniej w części), nie na naukowe spekulacje i gwiazdy? Losy cywilizacji pod autorskim pręgierzem zajęły losy jednostek; równie bogate co Uniwersum, okazuje się ludzkie interwersum? Żeby nie pozbawiać czytelników przyjemności z lektury i samodzielnego intelektualnego rozgryzania zaprezentowanych tekstów, a zawodowym recenzentom i krytykom nie odbierać chleba, zamiast spróbować odpowiedzieć na te pytania, wypadałoby w tym miejscu przerwać tę nieco kłopotliwą (i tak już dość obszerną) autoegzezę.

Jedno jest pewne – w tomie udało się zebrać jedenaście tekstów; zarówno mięsistych i rozbudowanych fabularnie, „rozrywkowych” i dynamicznych – jak i bardziej stonowanych, „cichszych”, (pozornie) spokojniejszych, skłaniających do głębszej zadumy. Proporcje chyba rozkładają się równo; każdy (choć ponoć nie ma książek dla każdego...?) powinien tu znaleźć coś dla siebie.

Jedno jest pewne – przed Państwem sporo czytania. Z czego, jak wierzę, można się tylko cieszyć.

Radosnej lektury!

*Michał Cetnarowski*

**Jewgienij T. Olejniczak** – zadebiutował w roku 2004 opowiadaniem *Frankfurt* („Nowa Fantastyka, Wydanie Specjalne”). Następnie publikował utwory w „Esensji” (*Sztuczne Palce, Czarny punkt, Pasażer*), „Creatio Fantastica” (*Wizyta*), „Nowej Fantastyce” (*Florencja*), „Science Fiction, Fantasy & Horror” (*Pasażer, Według Barnaby*), a także w antologii *Polowanie na lwa* (*Dom Marty*, 2006). Obecnie przygotowuje zbiór opowiadań i powieść dla wydawnictwa Fabryka Słów. W tym roku powinna się ukazać jeszcze jedna antologia z jego udziałem (w hołdzie R.E. Howardowi, twórcy Conana).

### **O fantastyce i pisaniu:**

W moim przypadku wybór był prosty.

Od dzieciństwa zaczytywałem się w powieściach Juliusza Verne’a i Stanisława Lema, a odkąd trafiłem w kiosku na miesięcznik „Fantastyka”, wiedziałem, że któregoś dnia i ja muszę się tam znaleźć – pomiędzy pisarzami tego gatunku. Innej drogi niż „fantastyczna” dla siebie nie widziałem. Udało się. Zadebiutowałem w „Nowej Fantastyce” opowiadaniem *Frankfurt*, dwa lata później ukazała się *Florencja*. Można więc powiedzieć, że największe marzenie już się spełniło.

Fantastyka wydaje mi się najbardziej naturalną formą literackiej ekspresji. To, co nazywamy realizmem, istnieje od niedawna i jest moim zdaniem czymś sztucznym, czymś bardzo ograniczonym. Pewnie zabrzmiałoby to banalnie, ale tylko fantastyka daje prawdziwą szansę dla wyobraźni, pozwala na niemal całkowitą swobodę w tworzeniu świata. Tylko ona zachowuje ścisłą więź z tym, co było na początku: ze starożytnymi mitami, z pieśniami greckich aoidów, z arabskimi baśniami. I z opowieściami myśliwych snutymi w blasku ogniska.

Do takiej tradycji – skromnie i pokornie – pragnąłbym nawiązać.

Przede wszystkim chciałbym opowiadać współczesne baśnie o tym, co może się czaić poza światłem ogniska. Czytałem ostatnio książkę o Pigmejach, gdzie znalazłem piękną scenę. Płonie ogień przed skleconymi z gałęzi i liści chatami, wokół tylko ciemne drzewa i odgłosy nocnych stworzeń. Myśliwy o imieniu Cephu opowiada wieczorem historię swojego polowania. Nie jest to zwykła relacja, ale pełnokrwista opowieść – barwna i pobudzająca wyobraźnię. Mamy tu i leśne duchy, które chcą odebrać myśliwemu mięso upolowanej antylopy, mamy i ducha jego zmarłej dawno temu babki. Cała ta afrykańska puszcza naraz rozświetla się fantastyką dzięki wyobraźni niepiśmiennego narratora. Pigmeje zgromadzeni wokół ogniska wiedzą oczywiście, że bazarz zmyśla, ale nie przeszkadza im to w słuchaniu tej opowieści z otwartymi ustami.

Chciałbym być kiedyś jak ten Cephu.



**Jewgienij T. Olejniczak**

# **Noc szarańczy**

*„I piąty anioł zatrąbił:  
I ujrzałem gwiazdę, która z nieba spadła na ziemię  
I dano jej klucz do studni Czełusci.  
I otworzyła studnię Czełusci,  
A dym się uniósł ze studni jak dym z wielkiego pieca,  
I od dymu studni zaćmiło się słońce i powietrze  
A z dymu wyszła szarańcza na ziemię  
I dano jej moc, jaką mają ziemskie skorpiony...”*

Obj. (9,1-3)

## **PROLOG**

We wtorek 21 czerwca 1842 roku nad północnymi równinami Indii rozwarły się bramy piekieł.

Bestia, która przybyła z lodowatych przestrzeni kosmosu, nie przypominała starodawnego węża ze średniowiecznych miniatur.

Planetoida. Monstrualna skała – ponad dziewięć kilometrów średnicy.

Nadchodziła w międzyplanetarnej ciszy, nadchodziła z prędkością trzydziestu kilometrów na sekundę, nadchodziła, aby urzeczywistnić makabryczne proroctwa wizjonera z wyspy Patmos. Kiedy dostrzeżono ją przez ziemskie teleskopy, można już się było tylko modlić.

Mieszkańcy południowo-wschodniej Azji mimo wszystko nie wierzyli, że to już koniec, że ich los został przesądzony, że gdzieś w bezkresnych, milczących przestrzeniach zapadł nieodwołalny wyrok. Jeszcze na sekundy przed katastrofą było to przecież zwykłe, upalne popołudnie. Pasterze jak zawsze prowadzili na postronkach krowy i kozy, wzbijając przy tym

tumany rdzawego pyłu. Spoceni robotnicy wygrzebywali spod popiołu świeżo wypalone cegły. Sprzedawcy warzyw zachwalali ze swych rozchybotanych łodzi dojrzałe dynie i kapustę, a stacjonujący w Delhi brytyjscy oficerowie leniwie grali w krykieta, mrużąc oczy od słonecznego blasku.

Kij uniesiony wysoko w górę, strużka potu spływająca po plecach. Pełna koncentracja. Trzeba dobrze przymierzyć.

Wstrzymać oddech.

Tymczasem martwa planetoida – wciąż w absolutnej ciszy, jakby cały kosmos również wstrzymywał oddech przed ostatecznym uderzeniem – nieuchronnie zbliżała się do najwyższych warstw ziemskiej atmosfery.

Prawa natury są proste i surowe jak boskie przykazania. Chwilę później stało się: kij uderzył w piłkę, a skała o barwie ciemnego popiołu brutalnie rozpruła niebo nad Półwyspem Indyjskim.

Bolid wdarł się w atmosferę pod kątem jedenastu stopni. Powietrze, któremu nie udało się uciec na boki przed czołem obiektu, uległo gwałtownej kompresji i rozgrzało się do temperatury pięciokrotnie przekraczającej temperaturę Słońca. Planetoida i znajdujące się pod nią warstwy podłoża wyparowały w mgnieniu oka, a piekielne wichry wyrwały w ziemskiej skorupie krater o średnicy stu dziewięćdziesięciu kilometrów.

Zanim rozległ się huk eksplozji, jezioro płynnej skały pochłonęło Delhi. Zaraz potem oślepiająca kula rozżarzonych gazów stopiła Himalaje, a fala uderzeniowa – powaliwszy wpierw lasy w całej Azji i dużej części Europy – przekształciła się w grzmot, jakiego nie słyszały dotąd ludzkie uszy.

Był to ryk anielskiej trąby, ryk bezlitośnie rozdzieranego powietrza, ryk obwieszczający całemu światu niewyobrażalną katastrofę.

Odlamki wyrwane ze skorupy ziemskiej miały wielkość gór.

Wiele fragmentów skał wydostało się w przestrzeń kosmiczną. Pozostałe biliony ton wyrzuconego w powietrze gruzu i pyłu przesłoniły niebo nad Azją. Gwałtowne wichry rozniosły gorący popiół po całej planecie i wznieciły setki pożarów, których nie zdołały ugasić nawet wielometrowe morskie fale, wdzierające się w głąb wszystkich kontynentów. W atmosferze rozszalały się huragany i trąby powietrzne, z nieba lały się deszcze roztopionego szkła. Ziemia pękała, otwierały się groby, woda wypłukiwała z nich trumny, toczone przez robactwo zwłoki, nagie kości – ponura parodia Zmartwychwstania. Uśpione do tej pory wulkany pluły lawą. Furia ognia i wody zniszczyła tysiące miast.

Ale to nie był jeszcze koniec.

Otworzyły się kolejne kręgi piekieł.

Przez długie dni biły w niebo trujące dymy potężnych pożarów. Ciemnoszare słupy wznosiły się coraz wyżej i wyżej. Wreszcie dotarły na wysokość piętnastu kilometrów,

połączyły się z popiołem, pyłem, sadzą, kurzem i rozpląnęły po całym niebie, tworząc gigantyczną kurtynę.

Nad Ziemią zapadła noc.

Wszędzie wybuchały epidemie. Dzikie zwierzęta zamieszkały w ruinach miast.

Nastał czas ciemności i chłodu.

## **BUDYNEK PARYSKIEJ OPERY**

– Naplujcie na to wszystko, bracia moi!

Stanisław Filaret Szyłowski uniósł poparzone ręce ku łozom pierwszego piętra, gdzie pośród ciemności i lepkich pajęczyn siedziały już tylko duchy paryskiej socjety. Zamazane widma o białych jak puder twarzach, z zastygłymi na wieczność uśmiechami, nie zwracały jednak uwagi na barczystego proroka, zajęte wymianą ukłonów i podnoszeniem do oczu eleganckich lornetek.

Balkony i łoże Opery należały teraz wyłącznie do świata cieni.

Ale nie było to przedstawienie dla duchów. Na parterze siedzieli również żywi ludzie. Kilkanaście osób zbiło się w ciasną gromadę, zajmując fotele dwóch pierwszych rzędów. Cały parter śmierdzał gównem i moczem.

– Zedrzyjcie zasłonę ze świata tego, jako i ja zerwałem – podniósł głos Szyłowski. – A potem naplujcie na to, co wam pozostało, po trzykroć naplujcie, bo inaczej Szatan złowi was w swoją sieć, wszystkich, co do jednego! – przez chwilę słychać było tylko skwierczenie ustawionych wokół sceny świec. – A łowy właśnie się zaczęły, uwierzcie mi. Czarty są wszędzie! Słyszę łopot ich skrzydeł pod sufitem. Obserwują nas, bracia moi, latają nad naszymi głowami. Pozostańcie czujni, albowiem synowie czarnych otchłani szukają najsłabszych pośród nas.

Ukryty w głębokim cieniu inspektor policji, Gustave Klossowski, obserwował wizjonera, żując kolejne prymki tytoniu i strzykając co jakiś czas śliną – to na podłogę, to na sąsiednie fotele. Zajął miejsce w dziewiątym rzędzie, z daleka od innych słuchaczy. Po pierwsze – nie chciał rzucać się w oczy. Po drugie – nie miał ochoty przebywać w bezpośredniej bliskości szaleńców. Myślał o nich wyłącznie ze strachem i obrzydzeniem. Był niemal pewien, że ich chorobą można się zarazić jak trędem. Jacy to muszą być ludzie, skoro przychodzą na takie kazania?

Jak na ironię, on sam należał do najwierniejszych uczestników tych spotkań. Słuchał kazania już po raz trzeci w przeciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin i znał je niemal na pamięć. Choć, szczerze powiedziawszy, niewiele rozumiał ze słów wypowiedzianych przez Poparzonego Proroka, jak nazywano w Paryżu Stanisława Filareta Szyłowskiego. Niemniej – jako obowiązkowy funkcjonariusz – sumiennie wywiązywał się ze swoich służbowych zadań.

Sam świeżo mianowany minister policji wyznaczył go przecież do tego śledztwa.

Trzeba przyznać, że mężczyzna zupełnie nie wyglądał na policjanta. Bardziej przypominał podstarzałego, wyniszczonego dandysa – z tymi farbowanymi na żółto włosami pod fantazyjnym kapeluszem, z okularami o niebieskich szklach oraz trzymaną teraz między kolanami laseczką z czarną gałką w kształcie ludzkiej czaszki. Tylko po części był to kamuflaż. Gustave Klossowski lubił mówić o sobie, że ma własny styl, a przełożeni przymykali oko na jego dziwactwa, ponieważ w policji rozpaczliwie brakowało ludzi. Podobnie zresztą jak we wszystkich instytucjach w mieście.

Było mu teraz niewygodnie i zimno, mimo zarzuconego futra, w dodatku znowu miał atak migreny. Marzył już tylko o tym, aby jak najszybciej wrócić do komendy, napić się grzanego wina, zapalić cygaro, a potem spisać raport i zapomnieć o całym przedstawieniu. Może jeszcze przed snem uda mu się odwiedzić palarnię opium.

– Czarty biegają już między nami. Naplujcie na nie! – prorok odwrócił się gwałtownie i splunął na przewrócony pulpit orkiestry. – A kysz! Wszystko przez ducha i dla ducha stworzone jest, nie dla cielesności. Myśli Boga nie docierają już do nas poprzez chmury, co zasnuły niebo. Musimy otworzyć dla Niego nowe drzwi, a to wymaga poświęceń, bracia. Najwyższych poświęceń!

Wariat odgrywający przedstawienie dla wariatów, pomyślał Klossowski. Pośród śmierdzących ekskrementami teatralnych dekoracji. Zapewne niespełniony aktor, któremu widok płonącej Warszawy kompletnie pomieszał rozum.

W porównaniu z tym występem kazania „Zmartwychwstańców”, Vintrasa, Fiodora Iwanowicza Niekrasowa czy choćby tego angielskiego oficera od *Przebudzonego Boga*, wydawały się inspektorowi niemal spokojne i wyważone.

W każdym razie żaden inny prorok nie zachęcał ludzi do wypalania sobie oczu nad świeczką.

– Materia jest niewolą ducha, przyjaciele, a oczy nie są latarniami rozumu, jak utrzymują głupcy, lecz zaryglowanymi drzwiami tego lochu. Uwolnijmy ducha! Otwórzmy drzwi na roścież!

Polak umilkł nagle i stał teraz na tle czerwonej kurtyny niczym tenor, który po przedstawieniu wyszedł pokłonić się publiczności. Ale nikt nie wiwatował, nikt nie klaskał. Balkony były puste, słuchacze, którzy zajęli dwa pierwsze rzędy parteru, siedzieli cicho, w skupieniu wsłuchując się w płynące ze sceny słowa. Ruchliwe płomyki świec powlekały ich twarze trupa blednością.

Kaznodzieja nie widział jednak swoich braci: był ślepy.

Ofiarował swoje oczy Bogu.

– *Hoti chronos ouketi estai*, powiada anioł. Już nie będzie zwłoki – odezwał się znowu ślepiec. – Pozostało mało czasu, a Nieprzyjaciół nie próżnuje. Uwierzcie mi, sztandar jego już powiewa, czarty już formują wojenne szyki. Wyrwijcie oko, które gorszy – wśród

ciemnoczerwonych pluszowych foteli rozbrzmiał cichy szmer aprobaty. Szyłowski podniósł głos. – Wyrwijcie oko!

Ktoś zaczął mamrotać modlitwę, a gdzieś z westybulu dobiegł kobiecy śmiech. Wysoki i świdrujący. Obląkana albo pijana, beznamyślnie pomyślał Gustav Klossowski, nawet nie odwracając głowy. A najpewniej i jedno, i drugie.

– Przeszliśmy już przez ogień i przez dymy pożarów. Ale to za mało, bracia moi, czas prawdziwej próby dopiero nadchodzi! Musimy skruszyć naszą starą naturę, podeptać ją. Wyrwać ducha naszego z okowów. Ofiara będzie bolesna, bo tylko nasz ból uczyni ją słodką w ustach Pana. Wyrwijcie oko, które gorszy, bracia moi, rozerwijcie szatańską zasłonę, która oddzieliła nas od Boga, a wkrótce wydamy okrzyk zwycięstwa! Szarańcza spadnie jedynie na tych, którzy nie mają Jego pieczęci na czołach.

Policja zainteresowała się Szyłowskim już jakiś czas temu, ale dopiero ostatnie krwawe wydarzenia w mieście spowodowały, że zajęto się nim na poważnie. Inspektor Klossowski starał się zebrać wszelkie dostępne informacje na temat przedparyskiej działalności kaznodziei. Oczywiście nie było tego zbyt wiele, niemniej kilka faktów, które poznał, pozwoliło mu prześledzić z grubsza losy tego człowieka.

Według jednej z wersji prorok urodził się około 1801 roku jako trzecie dziecko profesora wileńskiego gimnazjum, według innej – w 1805 pod Warszawą, w rodzinie kościelnego organisty. Sam utrzymywał, że pochodzi ze starej rodziny szlacheckiej, ale nie miało to raczej nic wspólnego z prawdą. W młodości studiował prawo albo medycynę. Przez jakiś czas przebywał w Petersburgu. Możliwe, że właśnie podczas pobytu w Rosji zapoznał się z niektórymi poglądami Starowierców. Przed katastrofą mieszkał i pracował w Warszawie. Napisał tam liczne poematy i dramaty.

Do Paryża przybył na początku kwietnia tego roku, mając za sobą wielomiesięczną tułaczkę po ruinach największych miast środkowej Europy. Warszawa, Praga, Wiedeń, Drezno, Monachium, Genewa – wszędzie tam, w nielicznych ocalałych kościołach, teatrach, magazynach zbierali się przerażeni ludzie, a on proponował im, aby wyrzekli się daru widzenia, bo tylko wtedy zdołają przeciwstawić się diabłu.

– Wielki bój dopiero się rozpoczyna!

Wiadomo było, że ktoś taki wcześniej czy później trafi do Paryża. Musiał tutaj przybyć. Ten współczesny Babilon przyciągał wszystkich samozwańczych proroków Europy. To w Paryżu właśnie, w samym centrum zepsucia i grzechu, zamierzali podjąć ostateczną walkę z Bestią. Był więc Szyłowski tylko jednym z dziesiątków proroków w tej dzielnicy.

Coś go jednak wyróżniało.

Był szalony i niebezpieczny, to na początek. Zatem ludzie, którzy wokół niego się gromadzili, również musieli być szaleni i niebezpieczni.

Gustave Klossowski sprawdzał, czy mają coś wspólnego z nieludzkimi morderstwami, do jakich doszło w Paryżu w przeciągu kilku ostatnich tygodni.

– Zapomnijcie o marnym ciełe, co do pajęczyny jest podobne, a przysięgam, że wywiode was z sideł mroku!

Były urzędnik warszawskiego archiwum i niedoceniony poeta głęboko wierzył w swoją misję. Miał w Paryżu zaledwie kilkunastu słuchaczy – ale ufał, że wkrótce pójda za nim tysiące.

## DZIEWIĄTA DZIELNICA

Wyspa de la Cité. Lodowaty wiatr, drobny śnieg sypiący w oczy. Kilkanaście stopni poniżej zera. Wymarłe ulice pomiędzy wieżami katedry Notre-Dame i zamienioną w skład zboża kaplicą Saint-Chapelle ginęły w ciemnościach. Przypominały chodniki opuszczonej kopalni. Czarne niebo przytłaczało jak pokłady węgla. Trzeba dużo odwagi, żeby się tutaj zapuścić.

Albo wystarczyło wykonywać rozkazy.

Żołnierze gwardii narodowej wstrzymali konie. Jadący na czele pięcioosobowego patrolu młodzik o dziewczęcej twarzy, zasłoniętej teraz aż po oczy wełnianą chustką, podniósł wyżej latarnię. Wydobył z mroku narożnik kamienicy i fragment najbliższej bramy. Nawet leżący na ulicy śnieg tylko odrobinę rozświetlał ciemności. W tej dzielnicy nie zapalano latarni ani nie ustawiano świec za oknami parterowych domów.

– Chyba pusto – powiedział młodzik.

Wszyscy trzymali broń w pogotowiu, trudno się zresztą dziwić. Nie chodziło tu nawet o grasujące na wyspie watahy wilków – cały Paryż był ich pełen. Jednak wąskie, pogrążone w ciemnościach ulice stwarzały idealne okazje dla eks-galerników, band Bretończyków, a także dla uciekinierów ze wschodniej Europy. Wszystkich tych zdziczałych, okutanych w futra osobników, którzy w przeciągu kilku ostatnich miesięcy niemal całkowicie opanowali ruiny dumnej niegdyś stolicy. Wprawdzie większość z nich zajęła wystawne pałace i rezydencje na lewym brzegu Sekwany oraz na pobliskiej Wyspie Świętego Ludwika, ale wysokie kamienice dziewiątej dzielnicy wcale nie musiały być całkowicie wyludnione, prawda?

– Patrz na nas przez okna – odezwał się do młodzika Jean-Baptiste Frochot, niewiele starszy dowódca patrolu, przez gwardzistów nazywany po prostu Rudym. Ręce miał tak zgrabiałe, że nie czuł karabinu. – Wiem, że tam są. Czuję ich spojrzenia.

– Jeśli nawet ktoś tu jest, to patrzy na nasze konie – odparł żołnierz siedzący na wierzchołku obok. – Skurwysyny zdychają z głodu, nie mają sił do ataku. Mogą sobie tam siedzieć i patrzeć, ile tylko chcą.

Nazywał się Maurice Tautin. Był tylko dwa lata starszy od dowódcy. Mimo to wyglądał jak weteran spod Moskwy: grubo ciosana, czerwona od zimna i jałowcówki twarz, której jako jedyny w całym oddziale nie osłaniał niczym przed lodowatym wiatrem. Bandycka gęba ze

szramą na czole i płaskim, złamanym nosem. Ponure spojrzenie szaroniebieskich oczu. Aż trudno było uwierzyć, że ten twardy, zobojętniały na niebezpieczeństwo zabijaka służył w gwardii dopiero od czterech miesięcy. Jego rodzina od pokoleń parała się handlem morskim z Antylami, a on sam jeszcze trzy lata temu chciał zostać księdzem.

Stare czasy.

– Ludzie, którzy zabili strażników przy Saint-Chapelle, mieli całkiem dużo sił – zauważył Frochot.

Tautin splunął.

– A może to wcale nie byli ludzie? – odparł wyzywającym tonem.

– A więc kto? – Frochot odwrócił głowę w stronę żołnierza. Jego klacz parsknęła i rzuciła łbem.

– Nie wiem.

– Tautin? – Frochot wolałby, żeby jego głos wyrażał w tej chwili więcej zdecydowania.

– Nie wiem – powtórzył. – Nic nie widziałem.

– Ale słyszeliście od innych?

Żołnierz podrapał się w zniekształcony nos.

– Aha.

– No więc?

– Różnie mówią, ja tam nie mam zdania.

– Bestie?

Wybuch śmiechu gdzieś za plecami.

– Coś takiego...

– Czyli jednak?

– Wszyscy tak mówią. Nawet w pałacu.

W rudym sierzancie wezbrał gniew. Choć przecież wiedział doskonale, że Tautin powiedział prawdę. Ale Frochot nie zamierzał walczyć z tym uczuciem. Dzięki niemu nie było mu już tak zimno.

– Wierzycie w te potwory wychodzące ze studzienek kanalizacyjnych, Tautin? Mamy szukać morderców pod ziemią? Wejdziecie do kanału?

– Nie.

– Więc czemu się, kurwa, wygłupiacie?

Tautin wzruszył tylko ramionami i pociągnął nosem.

Rudy dowódca poczuł, że jego gniew stygnie równie gwałtownie, jak zapłonął, i zastępuje go zażenowanie. Przed kim właściwie odgrywał tę komedię?

– To ludzi należy się obawiać – powiedział cicho.

Spojrzał w górę, gdzie powinny znajdować się okna kamienic. Starł się dostrzec jakiegokolwiek ślady życia. Nigdzie nie widział jednak nawet słabego odblasku światła.

Dał znak i oddział ruszył wolno ulicą.

## PAŁAC TUILERIES

Dłonie były jego oczami.

Niewidomy chłopiec badał nieznane przedmioty z taką samą zachłannością, z jaką jeszcze w rodzinnym Rouen dotykał owczego runa, surowych desek ogrodzenia czy kamiennego muru przykościelnego cmentarza. Wystarczyły mu do tego najczęściej trzeci i czwarty palec prawej dłoni – wodził nimi delikatnie po barwnych tkaninach, dotykał narzędzi i ozdób, naczyń i broni, tak uważnie, jakby chciał nie tylko poznać ich fakturę, lecz również rozszyfrować całą związaną z nimi historię. Wszystko było dla niego nowe i świeże: papierośnica, karafka, młynek do kawy, wypchana sowa, szorstkie płótno z wymalowaną wieżą kościoła na tle zachmurzonego nieba.

Amulet w kształcie lwiej łapy.

– Jest czerwony, prawda?

– Tak – odpowiedział Claude Dechamps, ściągając krzaczaste brwi. Przywiózł ten amulet lata temu z Egiptu, gdzie walczył jako żołnierz Cesarza. – Naprawdę czujesz ciepło?

Achilles uśmiechnął się. Jego trójkątna twarz była blada jak papier. Dziesięciolatek wyglądał niczym ożywiony na jedną noc trup.

– Mówiłem ci już. Czerwony jest ciepły i lepki. Jedyne w swoim rodzaju.

Siedzieli w olbrzymiej sali pałacu Tuileries, gdzie za mosiężnymi kratami kominka płonął ogień, rzucając ruchome odbłaski na ściany, meble, złote grzbiety książek i stojący pod oknem fortepian.

Nie byli sami.

Pod oknem dwóch ministrów w galowych mundurach wymieniało półgłosem uwagi, jakiś mężczyzna z brzuchem jak worek mąki krążył niecierpliwie po sali, a przy drzwiach siedział jeszcze wysoki, niechlujny młodzieniec w okularach, z kozią bródką i nienabitą fajką trzymaną w ustach.

Przedstawił się Dechamps'owi jako Benjamin Cartwright, biolog z Marylandu. On także, jak wszyscy w pomieszczeniu, wezwany został na rozmowę z monarchą i czekał teraz na swoją kolej, przybrawszy nieco nonszalancką pozę, która nie pasowała ani do miejsca, ani do sytuacji.

Wysokie lustro wiszące na jednej ze ścian powiększały i tak już obszerne pomieszczenie. Dechamps przygryzał siwe wąsy i nerwowo uderzał końcem laski to o posadzkę, to o kratę kominka, rzucając zniecierpliwione spojrzenia na ścienny zegar. Czekali już godzinę i osiem minut. Ludwik Filip, jak informowano ich już kilkakrotnie, wciąż odpoczywał w swojej królewskiej sypialni. Ale lada moment wstanie, powtarzano.

– A inne kolory? – spytał Dechamps, bardziej z nudów niż ciekawości.



– Żółty jest szorstki – wyjaśnił chłopiec. – Za to niebieski zimny i gładki. Nie zatrzymuje palców.

– Tak jak biel?

– Biel jest bardzo gładka. Ile razy mam ci to jeszcze tłumaczyć?

Siedemdziesięcioletni weteran, były żołnierz Napoleona, spojrzął na swoje wielkie, kwadratowe dłonie o grubych palcach, które w niczym nie przypominały delikatnych instrumentów, jakimi dysponował chłopiec. Były to dłonie stworzone do pałasza.

– Co to właściwie znaczy, że biel jest gładka? – spytał. – Kiedy dotykasz śniegu, też jest dla ciebie gładki?

– Trudno to wytłumaczyć.

– Przynajmniej spróbuj.

Wysokie okna zasłonięto purpurowymi kotarami, przez co nie widać było stacjonujących na pałacowym dziedzińcu wojsk. Do komnaty docierał stamtąd jedynie słaby odbłask płonących ognisk i głuche odgłosy rąbanych na opał dorożek i mebli. Ułożone w stopy sofy, mahoniowe stoliki, dębowe szafy, orzechowe fortepiany miały zapewnić na najbliższe dni światło i ciepło resztkom francuskiej armii.

– A czy ty potrafisz opisać, co właściwie czujesz, kiedy patrzysz na czerwień albo na zieleń? – zapytał niewidomy chłopiec tonem, którego Dechamps szczególnie nie lubił. Czasami mały bywał zarozumiały i arogancki. Po prostu wyszczekany gówniarz, jak wszystkie dzieci, którym uparcie wmawia się, że są wyjątkowe.

– Już mnie o to pytałeś.

– Wiem. Odpowiedz.

Przysłuchujący się rozmowie Amerykanin odwrócił się w ich stronę z bezczelnym uśmiechem.

– Męczą mnie takie rozmowy – powiedział Dechamps, zły, że w ogóle wywołał niewygodny temat.

– Potrafisz czy nie? – nalegał chłopak.

– Nie potrafię – przyznał z niechęcią siwowłosy mężczyzna. – Jestem tylko prostym żołnierzem. Kiedy patrzę na czerwień, najczęściej widzę śmierć. Ale jeśli już o to chodzi, masz rację: krew jest rzeczywiście ciepła i lepka.

– Znowu jesteś zły – chłopiec odezwał się po chwili milczenia.

– Nieprawda. Jestem po prostu głodny.

Wszystko, co było do zjedzenia, oddał małemu, kiedy przywieziono go z Rouen. Chłopiec był teraz najważniejszy.

– Ten amulet... – odezwał się cicho Achilles.

– Tak?

– Należał kiedyś do kogoś innego, mam rację?

– To również można odczytać palcami?

– Jego właściciel nie żyje.

– Zgadza się.

– Zabiłeś go?

– Tak.

Znowu chwila ciszy.

– Opowiesz mi o tym?

– Nie opowiem.

– Dlaczego?

– Bo nic nie pamiętam.

Dechamps nie kłamał. W jego umyśle wszystkie starcia zlewały się w jedno. Złotożółte błyski, łoskot armatnich wystrzałów, dym, drżąca ziemia. Cóż jeszcze? Twarze czarne od prochu, wyrzucone w powietrze ciała i ich strzępy, a potem kotłowanina na szańcach, chrapliwe oddechy, dzikie i chaotyczne pchnięcia bagnetem...

Zupełnie nie potrafił sobie przypomnieć twarzy człowieka, do którego należał czerwony amulet.

– Oddaj mi go – powiedział do chłopca.

## **BUDYNEK PARYSKIEJ OPERY**

– Przez tyle miesięcy modliłem się do naszego Zbawiciela, aby dał mi jakiś znak. Jakąkolwiek wskazówkę, choćby najmniejszą.

Wiele świec już się dopaliło, wewnątrz zrobiło się ciemno jak w jaskini. Gustave Klossowski poruszył się w fotelu, zmieniając pozycję. Jego matka miała rację: mało było rzeczy równie niewygodnych jak siedzenia w Operze.

– Zdawałem sobie bowiem sprawę z tego, że gniję za życia. Jak przysypany ziemią trup. Świadomość tego doprowadzała mnie do rozpaczki – pokryta bliznami twarz Stanisława Filareta Szyłowskiego, twarz o pustych oczodołach, zdawała się promieniować teraz własnym światłem. Jakby odbijały się w niej łuny pożarów, które strawiły Warszawę. – Pracowałem w urzędzie, przyjaciele, kochałem, nienawidziłem, pisałem wiersze, miałem swoje ambicje. Uśmiechałem się, grałem w karty z innymi nędznymi robakami, czytałem uczone, kłamliwe książki. Ale byłem już trupem. Byłem żywym trupem, bracia moi, i o tym wiedziałem.

Umilkł nagle i spuścił głowę. Czarne, skołtunione włosy opadły mu na pierś, zmieszały się z brodą. Zrobiło się bardzo cicho, słychać było tylko skwierczenie resztek z tych kilku palących się jeszcze świec.

– Codziennie chodziłem do kościołów, modliłem się przed obrazami – mówił szeptem, ale słychać było wyraźnie każde jego słowo. – Padałem na kolana, całowałem krucyfiks i

modliłem się gorliwie. O jedno słowo Zbawiciela. O jedną wskazówkę. Chrystus wciąż milczał, ale ja byłem cierpliwy, bracia, bardzo cierpliwy.

Stanisław Filaret podniósł głowę i uśmiechnął się, ukazując poźółkłe, ostre jak u wilka zęby.

– W końcu Pan mnie wysłuchał.

## DZIEWIĄTA DZIELNICA

Jechali pośród wycia wiatru. Ginęły w nim parsknięcia koni, uderzenia kopyt i brzęk objających się o oficerki pałaszy. Karabiny trzymali w pogotowiu, cugle ujęte krótko. Kołysząca się latarnia oświetlała kolejne fragmenty średniowiecznych kamienic. Okute, półotwarte drzwi. Skruszone portale, rynny, kamienne stopnie, zniekształcone i szerniałe od ognia nadproża. Resztki rusztowań dekarzy. Ciężkie kołatki. Drabiny oparte o uliczne latarnie. Wszystko to w bladożółtym świetle wydawało się nierzeczywiste niczym strzępy koszmarnych snów. Pod jedną ze ścian po prawej stronie zamajaczył jakiś niewyraźny kształt.

Zatrzymali się. Jean-Baptiste Frochot spojrział z wysokości siodła na zamarznęte ludzkie zwłoki ze wzniesionymi w górę kolanami. Musiały być świeże, bo nie zasypał ich jeszcze całkowicie śnieg. Dowódca ruchem głowy nakazał Tautinowi, żeby przyjrzał się im bliżej. Żołnierz mruknął coś gniewnie, zeskoczył z konia. Młodzik o twarzy szesnastoletniej dziewczyny – sfrancuziały Włoch, podobno były student chemii – podał mu latarnię. Tautin pochylił się nad trupem, bezceremonialnie trącił go lufą karabinu, potem nogą strząsnął śnieg i przykucnął, kładąc broń na kolanach. Ciało nie było okaleczone. Śmierć z głodu albo zimna. Widywali już setki takich trupów.

– Zamarzł po pijanemu – zawyrokował Tautin, podnosząc się z kucek. – Obok leżą trzy butelki. Wspaniała śmierć.

Była to najpopularniejsza ostatnio forma samobójstwa. Pozbawieni nadziei pili na umór, a potem po prostu zamarzali na ulicach.

– Ciało w całości?

– Tak. Wszystko ma na swoim miejscu.

– Jedziemy – zakomenderował Rudy. Tautin wskoczył na siodło i ruszyli przed siebie. Oglądali trupy równie często jak żywych. W ciągu ostatnich miesięcy widzieli nie tylko ofiary głodu, mrozu i ulicznej przemocy. Pamiętali również ludzi spalonych żywcem podczas wielkich pożarów, kiedy niebo nad Paryżem gorzało szkarłatem i bielą. Zwęglone, złamane wpół ciała, które nie przypominały już ludzi, tylko szerniałe polana; olbrzymie słupy ognia, wysysające powietrze z ulic i placów Paryża, wciągające mieszkańców – mężczyzn, kobiety i dzieci – do piekielnego pieca, jakby to były lekkie słomiane kukły. Jeśli ktoś przeżył tamte

dni i nie oszalał – jak ojciec Frochota – to widok kolejnych zamrożonych zwłok nie mógł już zrobić na nim żadnego wrażenia.

## PAŁAC TUILERIES

Niewidomy chłopiec zasnął, rozleniwiony bijącym od kominka ciepłem.

Młody Amerykanin jakby tylko czekał na tę chwilę. Wstał i przysunął sobie krzesło do fotela, w którym siedział Claude Dechamps. Był bardzo chudy i wysoki, mimo zgarbionych pleców. Wyglądał, jakby składał się jedynie z rąk i nóg. Człowiek pajak. Nawet jego twarz miała w sobie coś owadziego.

– Pan wcale chłopakowi nie wierzy, prawda? – spytał bezceremonialnie, nie wyjąwszy nawet fajki z ust. – Uważa pan to za jakieś sztuczki?

– Nie moja sprawa – odparł niechętnie żołnierz Wielkiej Armii, przyglądając kosmyk włosów, który zaczesywał zawsze tak, aby zakryć bliznę po obciętym przez kozacką szablę uchu. – Moim zadaniem było tylko przywieźć go tutaj. Może rzeczywiście czuje te kolory pod palcami, może tylko zgaduje. Niech inni się nad tym głowią.

– A może czerpie wiedzę na ich temat bezpośrednio z naszych umysłów? – długonogi Jankes nie przestawał prowokować.

– Pan wybaczy, ale nie rozumiem. Jesteś pan mesmerystą czy jak?

Benjamin Cartwright uśmiechnął się lekko, ale nie odpowiedział. Wyjął fajkę z ust i ją schował. Mężczyźni siedzieli przez chwilę w milczeniu, patrząc w syczące płomienie kominka.

– Interesujące – odezwał się po chwili Amerykanin. – Jest niewidomy od urodzenia. Proszę pomyśleć, że jeszcze do niedawna jego kalectwo mogło wydawać się straszliwe. Ale teraz, kiedy cały świat pograżył się w ciemnościach, chłopak radzi sobie nie gorzej niż inni. A nawet lepiej. Z pewnością przeżył też mniejszy szok po katastrofie.

– Jest ślepy, a my póki co jeszcze widzimy – odpowiedział szorstko Dechamps. – Uważa pan, że jest mu z tym łatwiej?

– Wkrótce wszyscy ludzie będą ślepi, sire – uśmiechnął się Cartwright, mrużąc oko, przez co jego nieprzyjemna twarz nabrała jeszcze paskudniejszego wyrazu. – Jeżeli w ogóle pozostaną jacyś ludzie na tej planecie, w co osobiście wątpię.

– Czyli pańskim zdaniem wszyscy pozdychamy z zimna i głodu?

– Mniej więcej.

Claude Deschamps spojrział na bezczelnego naukowca z miną wyrażającą dezaprobatę.

– Myśli pan, młody człowieku, że po to Bóg stworzył świat, aby pozostawić go teraz niezamieszkanym? – żołnierz energicznie uderzył końcem laski o kratę kominka. – Na tym

miałby polegać jego plan? Niechże się pan zastanowi, gdzie tu sens i logika? Ludzkość podniesie się po tym ciosie, może pan być tego pewien. Życie odrodzi się, bo...

– Tak, odrodzi się, ma pan rację – przerwał Amerykanin. – Ale raczej już w innej formie. W każdym razie nie w ludzkiej. Chyba że człowiek ulegnie daleko posuniętej przemianie. Ale wtedy nie będzie to już człowiek, jakiego znamy, czyż nie?

– A cóż to znaczy? Opowiadasz pan brednie.

– Czytał pan może *Filozofię zoologii* Lamarcka? Słyszał pan o zjawisku adaptacji? O przemianach jednych form biologicznych w inne?

– Nie, nie czytałem i nie słyszałem. Tak się złożyło, że miałem ważniejsze sprawy na głowie.

– Szkoda, bo to wielce interesująca lektura. Podług Lamarcka przekształcenia żywych organizmów następują pod wpływem zmian wewnętrznych, a także warunków panujących na zewnątrz.

Za oknem ktoś krzyknął.

Claude Dechamps drgnął, przygotowany na najgorsze. Wciąż spodziewał się szturmu. Wiedział, że wcześniej czy później azjatycka dzicz sforsuje żelazne ogrodzenie, przebije się przez kordon wojska i zdobędzie pałac.

Scytowie zatriumfują.

Nie, jeszcze nie tym razem.

– *Natura horret vacuum*, jak to się mówi – Benjamin Cartwright założył nogę na nogę i splótł ręce na karku, ignorując dobiegające z zewnątrz hałasy, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia. – Doskonale pan wie, że jesteśmy bezbronni wobec obecnej zmiany warunków. Niestety, jeśli nasze organizmy nie dostosują się do tych zmian, to prędzej czy później będziemy musieli opuścić scenę, żeby zrobić miejsce dla innej teatralnej trupy.

Dechamps spojrzał na niego uważnie spod krzaczastych brwi.

– Dla kogo mamy zrobić miejsce, jeśli można wiedzieć?

– Nie mam pojęcia – niedbale odparł naukowiec. – Ale to już się zaczęło. Nie bez powodu wezwano nas tutaj, prawda? Wygląda na to, że ani policja, ani wojsko nie potrafią sobie poradzić z ostatnimi wydarzeniami.

Claude Dechamps nie odpowiedział. Twarz nabiegła mu krwią, jej lewa część zadrgała w nerwowym tiku. Miał wielką ochotę obić laską przemądrzałego młokosa. Znał się na ludziach. Kanalie i słabeuszy rozpoznawał w mgnieniu oka. Amerykanina uznał za zwykłego nieudacznika i tchórza, przemądrzałego wymoczka, który zamiast walczyć, wymyśla teorie, aby usprawiedliwić bezczynność. Po co w ogóle tacy ludzie przyjeżdżają do Paryża? Niech gówniarz wraca do Ameryki i tam przekonuje słabych, że najlepszym wyjściem dla ludzkości jest zbiorowe samobójstwo albo bierne oczekiwanie na śmierć. Może znajdzie zrozumienie wśród tamtejszych dzikusów albo tych czarnuchów, co kiedyś od rana do wieczora pracowali

na plantacjach bawełny i tytoniu, a teraz plądrują Waszyngton, Nowy Jork i Filadelfię. Wielka Francja z całą pewnością nie potrzebuje takich ludzi jak Benjamin Cartwright.

Ale Amerykanin nie chciał zostawić go w spokoju.

– Niech mi pan teraz powie, na cóż zdała się cała nasza cywilizacja? – pochylił się ku staremu żołnierzowi, który patrzył gdzieś w kąt sali z miną wyrażającą obrzę i z trudem tłumioną wściekłość. – Tysiące lat filozofii, kultury, bogowie, kolej żelazna, telegraf, wszystkie te armaty i maszyny parowe świata – na cóż nam to teraz? Bezużyteczny naddatek, nieporęczny bagaż – tyle panu powiem. Na nasze miejsce wejdą stworzenia, które nie komponują symfonii ani nie obracają wielkimi kapitałami. Być może nie są nawet świadome, przynajmniej w takim sensie, w jakim my pojmujemy świadomość.

– Bezrozumne zwierzę nigdy nie zastąpi człowieka – stwierdził Dechamps, nie odwróciwszy głowy w stronę Amerykanina.

– Tutaj się pan niestety myli, i to bardzo. Rozum nie jest niezbędny do przetrwania, a czasami może wręcz przeszkadzać.

– Mnie tam nie przeszkadza – Francuz się uśmiechnął.

Naukowiec zdjął okulary.

– Rozum jest dla nas ciężarem – powiedział poważnie. – Czasami mam wrażenie, że rozwinął się niejako naszym kosztem i nie jest żadną tam koroną stworzenia. Raczej, by tak rzec, śmiertelną chorobą, trawiącą ciało Matki Natury, rodzajem wyjątkowo złośliwego nowotworu. W każdym razie nowym władcom tej planety wystarczy czysty instynkt. Działając niczym maszyny, zajmą się tylko tym, co dla nich najważniejsze, nie tracąc czasu ani energii na bzdury, którymi zwykle zaprzatają sobie głowę ludzie. Znikną dylematy moralne, obawy przed podejmowaniem nieodwracalnych decyzji, wszystkie te pozorne sprzeczności, irracjonalne zachowania. Pozbawione świadomości stworzenia działają szybciej i efektywniej, dla instynktu najważniejsze jest bowiem tylko przetrwanie. Owszem, nie zbudują kolei żelaznej ani parowca, ale dla podtrzymania życia taka wynalazczość nie jest im potrzebna. Podobnie jak religia, filozofia, historia. I to stanowi o ich sile. Jeśli dodatkowo będą posiadały zmysły pozwalające sprawniej egzystować w warunkach, jakie nastąpiły po katastrofie, to proszę mi wierzyć – w konfrontacji z nimi nie będziemy mieli żadnych szans.

– Wszystko to bardzo piękne, ale skąd według szanownego pana przybędzie ta nowa rasa? Spod ziemi?

Amerykanin obnażył w uśmiechu zęby, które zdawały się wielkie jak klawisze fortepianu.

– Strzał w dziesiątkę.

– Taki pan pewny? Czemu nie z kosmosu?

– Po prostu nie widzę innej możliwości. Gdzie indziej sukinsyny mogłyby się ukrywać do tej pory? – Cartwright przestał spekulować, teraz mówił tak, jakby inwazja już się dokonała. – Myślę, że mamy do czynienia z gatunkiem, który od tysięcy lat zamieszkuje głęboko pod ziemią. Historia naszej planety jest bardzo długa, sire, znalazłoby się więc w niej zapewne

miejsce dla alternatywnej linii życia. Według niektórych zwolenników teorii Lamarcka wszystkie rodzaje i gatunki mają wspólnego przodka. Być może zatem to jacyś nasi krewni, którzy w odległej przeszłości schronili się pod powierzchnią ziemi i pod wpływem nowych warunków przekształcili w coś pomiędzy człowiekiem a – na przykład – olbrzymim insektem?

– Robactwo? – parsknął gniewnie Claude Dechamps.

– Proszę posłuchać dalej – spokojnie kontynuował Benjamin Cartwright. – Owady czy nie, gatunek ten istnieje, niepodobna w to w dalszym ciągu wątpić. Przez jakiś czas przebywał zapewne w głębokim letargu, skoro dotąd nie zdawaliśmy sobie sprawy z jego istnienia. Zakładam, że owe istoty nie wiedziały też o nas. Być może ani im się śniło, że poza ich światem istnieje jeszcze coś, coś „u góry”. Uderzenie planetoidy nie dość, że obudziło stworzenia z drzemki, wyzwoliło ich fluid życiowy, to jeszcze stworzyło warunki sprzyjające wyjściu poza swoje naturalne środowisko, czyli na powierzchnię ziemi. Tak to sobie wyobrażam.

– No i co z tego? Dla mnie w dalszym ciągu byłoby to tylko robactwo. Bóg nie stworzył przecież świata dla karaluchów.

– Proszę posłuchać dalej, panie Dechamps. Te na pozór prymitywne i niegroźne stworzenia mogą okazać się niezwykle skuteczne, jeśli chodzi o kolonizację naszej planety. Na razie tylko badają nowy teren. Są niczym dzieci wychodzące nocą na strych. Zbierają informacje. To jeszcze nieśmiałe próby, ale przecież wkrótce istoty te odkrywają, że odkąd nastąpiła Wieczna Noc, na powierzchni zrobiło się dla nich bardzo wygodnie i bezpiecznie. A wtedy zacznie się prawdziwa ekspansja, zapewniam pana. Bardzo szybko opanują planetę, ponieważ jeśli rzeczywiście mają coś wspólnego z owadami, to pod względem sprawności organizacyjnej przewyższają nas w niewyobrażalnym stopniu.

– Więc zamieszkają w naszych miastach i będą zamiast ludzi rządzić z tego pałacu? – roześmiał się żołnierz. – Doprawdy, jak na naukowca ma pan chyba zbyt wielką skłonność do fantazjowania, młody człowieku.

– Jestem pewien, że one już mają swoje miasta, i to dużo potężniejsze, niż się panu zdaje, sire – Cartwright wzruszył ramionami. – Zwiedził pan kawał świata jako żołnierz, mam rację?

Dechamps przytaknął w milczeniu.

– Słyszał więc pan zapewne historie o podziemnych metropoliach w Rosji, Chinach i Mongolii?

Claude Dechamps spoważniał nagle i spojrzał wreszcie naukowcowi prosto w oczy.

– To tylko bajki i legendy – powiedział. – W dodatku, o ile pamiętam, mało mają wspólnego z insektami.

– Być może to tylko legendy, ale uczono nas przecież, że w każdej legendzie jest ziarno prawdy. Popuśćmy zatem na moment wodze fantazji. A więc, co, jeśli te mityczne metropolie to właśnie ich podziemne gniazda? Może budowniczy nie są aż tak całkiem bezrozumni,

jak przed chwilą mówiłem? Może posiadają, na przykład, jedną wspólną świadomość, na którą składają się mózgi wszystkich osobników? W dodatku mogłaby to być świadomość przez większą część życia pozostająca w uśpieniu i wynurzająca się tylko na krótkie chwile, kiedy naprawdę byłaby potrzebna. Istnieje też ewentualność, że...

– Bzdury – przerwał siwowłosy weteran, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty na kontynuowanie dyskusji. – Gówno tam posiadają. Kto posiada? A pan, młody człowieku, marnuje jako naukowiec swoją energię i wiedzę. Czy nie uważa pan, że w obecnej sytuacji byłoby rzeczą właściwszą zastanawiać się raczej nad tym, w jaki sposób nauka mogłaby nam pomóc przetrwać ten trudny okres?

Staremu żołnierzowi przeszła cała złość, ustępując miejsca poczuciu dziwnego odrętwienia. Był zmęczony.

## **BUDYNEK PARYSKIEJ OPERY**

– Pewnej nocy Zbawiciel przyszedł do mnie we śnie! Przybył otoczony cudownym, niezmiernym światłem. Powiadam wam, bracia moi, było to najpiękniejsze światło, jakie kiedykolwiek widziałem. I usłyszałem głos, mocny jak dzwon: „Bądź gotów, Stanisławie, albowiem zbliża się płomienny potop! Aniołowie wyleją czaszę gniewu, aby położyć kres nieprawości. Ciebie wybrałem, Stanisławie, i ciebie naznaczę! Ty pomożesz sprawiedliwym przejść przez ogień, mróz i ciemność! Wszystko jest duchem, a ciało do diabła należy”.

– Co mam zrobić? – zapytałem.

– Oddaj mi swoje oczy, Stanisławie.

## **PAŁAC TUILERIES**

Claude Dechamps zapadł w drzemkę. Widział wewnątrz wiejskiego kościoła, którego już dawno nie było, i twarz księdza, który już dawno nie żył, kiedy nagle otworzyły się wysokie drzwi i do sali wkroczył premier François Guizot.

Był to drobny, przygarbiony mężczyzna w żołnierskim płaszczu narzuconym na elegancki czarny surdut.

– Jego Wysokość prosi do swojego apartamentu – głos zabrzmiał zaskakująco donośnie jak na tak niepozornego człowieka.

Claude Dechamps, Benjamin Cartwright oraz ministrowie podnieśli się energicznie ze swoich miejsc.

– Tylko chłopiec – powiedział premier, nakazując gestem ręki, żeby wszyscy inni usiedli z powrotem.



## **BUDYNEK PARYSKIEJ OPERY**

Prócz zmęczenia i zimna było coś jeszcze, co od kilkadziesiąt minut dręczyło inspektora policji.

Gustave Klossowski starał się o tym zbyt często nie myśleć, ale po ostatnim spotkaniu z prefektem nie opuszczało go przykre wrażenie, że tylko marnuje czas, zbierając wiadomości na temat samozwańczego proroka. Ani Stanisław Filaret Szyłowski, ani pozostałe osoby, którymi się zajmował, nie miały najprawdopodobniej nic wspólnego z morderstwami nad Sekwaną i na wyspie Cité. Do takiego wniosku doszedł, obserwując reakcje prefekta na składane mu raporty. Szczególnie ostatnia rozmowa dała mu do myślenia. Wyglądało na to, że jego przełożonego nic a nic nie interesują sprawozdania z Opery, jakby głowę miał zajęta zupełnie czymś innym.

Do tego dochodziły jeszcze krążące po mieście plotki. Sprawa, mówiono nad nikłymi płomieniami świec, jest dużo bardziej tajemnicza i skomplikowana, niż to się na początku wydawało. Dlaczego więc mimo wszystko polecono mu w dalszym ciągu obserwować Poparzonego Proroka?

Komuś na górze najwyraźniej zależało na takim właśnie pozorowanym śledztwie. Tylko co się za tym kryło? Przecież nie owe tajemnicze potwory, wychodzące z opuszczonych kopalń, aby opanować Paryż, jak utrzymywał pewien były pracownik drukarni, z którym inspektor rozmawiał ostatnio przy butelce wina.

Być może za morderstwami stoi jakaś znaczniejsza osoba? Ktoś z wyższych sfer, nawet z najbliższego otoczenia króla? Dlatego śledztwo kierowane jest na fałszywy tor. Aby odwrócić uwagę od rzeczywistych sprawców.

Na sali paliły się już tylko cztery świece. Sylwetka proroka zniknęła w mroku, ale jego głos wciąż wypełniał całe pomieszczenie. Wydawał się nawet donośniejszy, jakby sam Bóg przemawiał do zgromadzonych w Operze ludzi.

– Chmury diabelskiego pyłu przeszkadzają Bogu w dotarciu do ludzkich serc! Ale ci, którzy naprawdę pragną Go usłyszeć, nie pozostaną samotni.

Jakiś osobliwy odgłos rozległ się gdzieś z tyłu. Gustave Klossowski drgnął, ale nie odwrócił głowy.

## **DZIEWIĄTA DZIELNICA**

Za plecami rudego dowódcy jakiś żołnierz powiedział coś niewyraźnie i wybuchnął basowym śmiechem. Frochot nawet się nie odwrócił.

– Cisza.

To Marcel Levitau – Łysy Diabeł. Czterdzieści trzy lata. Niedźwiedziowaty olbrzym.

Pracował kiedyś jako maszynista w teatrze. Trudno go było zrozumieć, odkąd pewien marsylczyk, uderzając kolbą karabinu, pozbawił go czterech przednich zębów. Powszechnie uważano, że to największa kanalia wśród gwardzistów. Człowiek, który w normalnych warunkach powinien już dawno wisieć. Krążyły na jego temat przerażające historie. Najświeższa: podobno kilka dni temu zgwałcił i zatłukł na śmierć przydybaną w jakimś kościele nieletnią Kreolkę. Poderżnął też gardło księdzu, używając do tego celu noża, który zrobił sobie z długiego bagnetu.

Wiadomo, to już nie była ta gwardia, co kilka lat wcześniej. Składała się w przeważającej części z przypadkowych osób. Kupców, rzeźników, straganiarzy, najczęściej zwykłych skurwysynów. Wcale nie lepszych od tych, przeciwko którym została powołana.

Frochot – wymuskany syn chirurga i włoskiej śpiewaczki – nienawidził takich jak Levitau. Zastrzeliłby psa z największą przyjemnością. Bez żadnych skrupułów wypaliłby mu prosto w ten łysy łeb. Ale wiedział doskonale, że tego nie zrobi. Nie podniesie na niego ręki, nie pociągnie za spust gdzieś w ciemnej bramie. Nie robi tego, ponieważ się go boi. Boi się noża z bagnetu. Strach przed własnymi podwładnymi był ostatnio dla rudego dowódcy prawdziwą torturą.

Znowu jechali powoli przed siebie, prawie nie widząc się nawzajem. Zza każdego węgła atakował ich lodowaty wichur. Konie, a właściwie wynędzniałe szkapy, które im przydzielono na posterunku, zapadały się po pęczyny w śniegu. Zwierzęta i bijące od nich ciepło były dla nich w tych warunkach prawdziwym wybawieniem.

– Uważajcie na okna.

Tęsknił do ogniska i gorącego bulionu. Gdzieś na drugim brzegu skutej lodem Sekwany zawył wilk. Frochot pogłaskał uspokajająco kark konia. Potem włożył pistolet za pas, wydobyl spod kozucha flaszkę, odkorkował i pociągnął łyk wódki. Za plecami usłyszał pogardliwe prychnięcie.

Levitau czy Tautin?

Zamarznięty trup został daleko za nimi. Pochłonęła go ciemność, a za kilka godzin śnieg zasypie całkowicie lodowate ciało. Frochot już o nim zapomniał. Raczej nie było żadnego związku między tą śmiercią a wczorajszym bestialskim atakiem przy Saint-Chapelle. Ciała strażników wyglądały zupełnie inaczej. To właściwie nie były już nawet ciała, tylko fragmenty ciał.

Ktoś porąbał żołnierzy, jakby obrabiał mięso w rzeźni.

A najgorsze było to, że napastnicy nie zabrali ze sobą nic ze strzeżonego przez ofiary kościoła.

Nie zabrali nawet karabinów.

## PAŁAC TUILERIES

Ludwik Filip wyglądał w tej chwili bardziej jak bankier albo kupiec zagłębiony w księgach rachunkowych niż jak głowa państwa. Ubrany w ciemnoczerwony szlafrok, siedział przy mahoniowym biurku, popijając rosół z filiżanki, przeglądając raporty i korespondencję. Widać było, że dopiero co wstał z łóżka.

Ale Achilles Bovary i tak nie mógł go zobaczyć.

– Guizot, czy mógłby pan zostawić nas na chwilę samych? – powiedział król, nie podnosząc wzroku znad papierów.

Premier uklonił się, wyszedł i delikatnie zamknął za sobą dwuskrzydłowe drzwi.

– Jak się nazywasz, chłopcze – spytał król po chwili.

– Achilles Bovary.

– Jesteś z Rouen?

– Tak.

– Długo jechaliście?

– Bardzo długo. Było zimno.

– Głodny?

– Nie. Zjadłem przed chwilą chleb z serem.

– Zaraz dostaniesz coś ciepłego, Achillesie. Ale najpierw sobie chwilę porozmawiamy, dobrze?

– Dobrze.

Ludwik Filip przetarł palcami powieki, pod którymi wciąż majaczyły senne obrazy: wieczór w operze, obserwowana z wysokości królewskiej łoży widownia, wachlarze, wysokie fryzury kobiet, lornetki i laski ze złożonymi gałkami w dłoniach elegantów, rozjarzony żyrandol i ciężka czerwona kurtyna. Tylko dlaczego obudził się zlany zimnym potem?

– Naprawdę rozumiesz mowę zwierząt? – spytał, patrząc uważnie w bezkrwistą twarz stojącego przed nim chłopca.

– Tak. Czasami z nimi rozmawiam.

– O czym?

– Najczęściej opowiadają o swoich chorobach.

– Skarżą się?

– Tylko kiedy je coś boli.

– Psy i konie?

– Bardzo często.

– Owce też?

– Też.

– Świnie i krowy?

– Tak. Osły również.

Król uśmiechnął się. Ułożył listy w równy stosik i odsunął na bok. Przez chwilę milczał, popijając rosół i uważnie obserwując chłopca. Ten sen miał coś wspólnego z manekinami, pomyślał. Wszyscy w operze byli sztywni jak lalki, czyżby o to chodziło? Tego się przestraszył?

Uśmiechnięte kukły?

Wstał, odszedł od biurka i z rękami w kieszeniach szlafroka zaczął krążyć po pokoju, to wchodząc w krąg światła lampy, to znikając w ciemnościach.

– Mamy tutaj jedno chore, bardzo chore zwierzę, Achillesie – powiedział wreszcie, przystanąwszy ze wzrokiem wbitym w ciemny kąt pokoju. – Pomyślałem, że może umiałbyś mu pomóc.

## DZIEWIĄTA DZIELNICA

Kwadratowe otwory z żelaznymi kratami. Studzienki prowadzące do rozgałęzionego systemu kanałów. *Mundus subterraneus*.

Trzewia Paryża. Miejskie ścieki. Ponad sto mil podziemnych korytarzy, pełnych odgałęzień i ślepych zaułków. Stare kamienne kanały z czasów Ludwika XIII oraz tunele wydrążone całkiem niedawno. Czarne wilgotne labirynty, podziemne ulice bez nazw, gdzie diabły powożą dorożkami zaprzężonymi w olbrzymie szczury.

Ileż dzieci wpadło do tego piekła?

Frochot pamiętał ostrzeżenia babki. Szalona Włoszka – tak o niej mówiono. Był wtedy kilkuletnim, anemicznym chłopcem, który nienawidził lekcji fortepianu. Wprawdzie nigdy nie bawił się na paryskich ulicach, a już na pewno bez opieki dorosłych, ale ostrożności nigdy za wiele.

Uważaj na powozy i trzymaj się z daleka od studzienek. Rudy dowódca poczuł się nieswojo na samo wspomnienie głosu babki.

Pod ulicami mieszkają potwory, które porywają niegrzeczne dzieci. Pamiętasz małą Sophie? Pamiętasz, jaka była nieznośna? Jak bawiła się na ulicy po zapadnięciu zmroku? Jak nie posłuchała swojego taty?

Sophie Duval, najmłodsza córka piekarza. Pamiętał jak przez mgłę. Zdziorna dziewczynka ze znamieniem na ramieniu. Znaleziono ją martwą w kanale. Od tamtego dnia bał się wyjść na ulicę.

Nawet jadąc powozem, nie patrzył przez okno.

## PAŁAC TUILERIES

Achilles Bovary siedział obok kominka z talerzem na kolanach, podczas gdy król uważnie przyglądał mu się znad papierów, pałac cienkiego tureckiego papierosa i popijając gorącą kawę. Chłopak był tak kruchy, że zdawał się raczej niematerialny. Gdyby spojrzeć na niego pod światło, pomyślał Ludwik Filip, okazałoby się, że jest przezroczysty.

Niewidomy rozumiejący mowę zwierząt. Nawet to zabawne. Z jednej strony ministrowie, marszałkowie, generałowie i prefekci, z drugiej – cudowne dzieci, mesmeryści, szamani z Ameryki, szaleni naukowcy, pisarze pozbawieni piątej klepki.

Dwa sztaby kryzysowe.

Wojska już wychodzą ze swoich kwater, żeby zebrać się na placach Carrousel i Ludwika XV, do wszystkich posterunków i prefektur zostały przekazane odpowiednie rozkazy. Tymczasem tutaj, w pałacu, niewidome dziecko z Rouen ma pomóc monarsze zrozumieć, z kim lub czym przyjdzie mu się zmierzyć.

Jak chłopiec zareaguje na więzione w pałacu zwierzę? Zwierzę?

Właśnie.

W jaki sposób wytłumaczyć chłopcu, że stworzenie, do którego za chwilę zostanie przyprowadzony, to nie jest ani koń, ani pies? Ani cokolwiek, co miałoby jakąś nazwę w słowniku.

Dostrzeżono je w pałacowych ogrodach. Żołnierze otworzyli ogień. Bestia została ciężko raniona, ale wciąż żyła. Zamknięto ją w jednej z opuszczonych komnat. Wezwani natychmiast uczeni i lekarze nie potrafili wytłumaczyć Ludwikowi Filipowi, co to jest ani skąd się wzięło. Sam król widział to tylko raz, przez krótką chwilę, natychmiast uciekł bowiem do swojego apartamentu.

Zobaczył coś czarnozielonego, bezokiego, jakiś niewykończony kształt. Długo nie chciał przyjąć do wiadomości faktu, że ma do czynienia z czymś realnym. Jeszcze do niedawna taka istota mogła być dla niego tylko stworzeniem ze snu. Nocną marą – która teraz zmaterializowała się w pałacowej komnacie.

Zdawało mu się, że uderzenie meteorytu musiało naruszyć delikatną granicę między jawą a snem, rozdrzeć zasłonę, umożliwiając wzajemne przenikanie się obu światów. Miał nadzieję, że po jakimś czasie bestia sama zniknie, rozpułynie się jak nocny majak. Ale ona zniknąć nie chciała.

W dodatku wszystko wskazywało na to, że nie jest to pojedynczy wybryk natury. Potwierdzał to każdy nowy list, każdy nowy raport. Niepokojące doniesienia z wybrzeża; istoty wychodzące z opuszczonych kopalń; przypadki, które miały miejsce w Auxerre, w Lyonie, na plaży w Calais. Czy choćby niedawne zdarzenie przy Saint-Chapelle.

Czterech uzbrojonych mężczyzn poćwiartowanych na śniegu z jakąś bezduszną precyzją. Dokładnie i metodycznie.

Gwardia i policja poszukiwały sprawców wśród mieszkańców Paryża. Trudno się zresztą dziwić. Takie było oficjalne stanowisko rządu. Król do samego końca wierzył, że za tymi

czynami stoją ludzie, a nie demoniczne stwory. Obserwowano więc wszystkie podejrzone grupy, stowarzyszenia i religijne sekty w stolicy, chociaż z każdą upływającą godziną stawało się jasne, że to tylko strata czasu. Wiedzieli o tym wszyscy prefekci i prawie wszyscy żołnierze. Dopiero kilka godzin temu Ludwik Filip rozkazał poinformować posterunki i urzędy o tym, jak naprawdę wygląda sytuacja.

Dlaczego wojsko wychodzi z kwater.

Zaczęła się wojna.

Wielka Wojna z ludźmi, którzy – jak przekonywał w swoich szalonych pismach Benjamin Cartwright – tysiące lat temu uciekli pod ziemię, aby przekształcić się w owady.

## BUDYNEK PARYSKIEJ OPERY

Osobliwy dźwięk powtórzył się i tym razem Gustave Klossowski odwrócił już głowę. Zdjął okulary o pomalowanych na niebiesko szklach i uważnie spojrzał w głęboki mrok, rozciągający się za jego plecami. Wstrzymał oddech. Poczul się dziwnie. Po raz pierwszy zrobiło mu się naprawdę nieswojo. Znudzenie i niesmak ustąpiły miejsca pełnej napięcia czujności.

*Słyszę łopot ich skrzydeł pod sufitem.*

Nie, to nie jest łopot czarcich skrzydeł, *Monsieur Szyłowski* – to raczej łopot skrzydeł twojego szaleństwa, pomyślał inspektor. Szaleństwa, które wisi tu w powietrzu i najwyraźniej jest zaraźliwe.

Spokojnie. Pomyślmy racjonalnie.

Za pierwszym razem zignorował dobiegający z tyłu odgłos, sądząc, że to kolejny wariat snujący się w ciemnościach westybulu czy gdzieś pomiędzy ostatnimi rzędami zakurzonych foteli. W pierwszej chwili zabrzmiało to bowiem jak skrzypienie fotela albo niemelodyjne pogwizdywanie. Ale teraz zdał sobie sprawę, że to nie jest ludzki odgłos, ani tym bardziej zepsuty fotel. Do budynku opery musiał się dostać jakiś ptak albo niewielkie zwierzę, nie było innego wytłumaczenia.

Oprócz takiego: *Obserwuj nas, moi bracia, pozostaniecie czujni.*

Znowu to usłyszał.

Tym razem odgłos skojarzył się inspektorowi z szelestem skrzydeł. Tak, to musiał być ptak. Albo nietoperz. Może złamał skrzydło i szamotał się teraz na podłodze? Tyle że w tych warunkach niemożliwością było go dostrzec. Gustave Klossowski przez chwilę próbował jeszcze wyłowić z ciemności jakikolwiek ruch, ale w końcu zdał sobie sprawę, że to nie ma sensu. Odwrócił się z powrotem w stronę przemawiającego ze sceny proroka. Brodaty Polak już za chwilę powinien po raz kolejny opowiedzieć wszystkim, w jaki sposób pozbawił się wzroku, zrywając tym samym kraty z okien lochu, jakim dla ducha jest materia.

A więc jego przedstawienie zbliżało się do punktu kulminacyjnego.

Tyle że agent dawno przestał go słuchać.

Był obserwowany, to pewne. *Synowie czarnych otchłani są pośród nas.*

Bzdura.

Ale obejrzał się raz jeszcze, a potem, całkowicie bezwiednie, wsunął dłoń pod futro i zacisnął palce na rękojeści ukrytego tam pistoletu.

## DZIEWIĄTA DZIELNICA

– Ktoś tam jest! – krzyknął nagle Maurice Tautin, wskazując otwartą bramę mijanej właśnie kamienicy.

Nie czekając na rozkaz, zeskoczył z konia i z karabinem w ręce rzucił się w stronę budynku. W ślad za nim podążył chłopak z latarnią. Żołnierze podnieśli broń, rozległ się szcęk odwodzonych kurków.

– Zostańcie w siodłach! – krzyknął Frochot do reszty oddziału. Uniósł głowę i zaczął się rozglądać na wszystkie strony.

W ciemnościach nie widział okien. Jeżeli to zasadzka, to i tak nie zobaczymy luf pistoletów, pomyślał, przygotowany na huk wystrzałów. Dopóki nie wypalą. Serce uderzało gwałtownie, oddech stał się szybki i płytki, mięśnie zeszytywniały. Frochot starał się zapanować nad drżeniem rąk. Bezskutecznie.

Błogosławił więc ciemność, która czyniła go niewidocznym nie tylko dla potencjalnych napastników, lecz również dla żołnierzy z własnego oddziału. Jego strach był na razie dobrze ukryty.

Czego się boisz, głupcze? Przecież to tylko umierający z głodu nędzarze, zapewne nawet nieuzbrojeni. Zębami nas nie zaatakują.

– Rozsuńcie się! Nie stójcie tak jeden obok drugiego!

Przynajmniej jedna rzecz była w tym wszystkim dla Frochota pocieszająca: posiadał niezawodny instynkt żołnierza. Przeczucia go jednak nie myliły. Od samego początku, odkąd tylko wjechali w labirynt średniowiecznych uliczek, wiedział, że są obserwowani. Mówił im, że ktoś na nich patrzy. Tylko czy będzie to miało jakiegokolwiek znaczenie?

– Maurice zobaczył pewnie własny cień – zaśmiał się Levitau. – Tracimy tutaj czas, Rudy.

– Cisz! – ryknął Frochot. – Zeskakuj i sprawdź, czy nie potrzebują pomocy.

Młody dowódca miał nadzieję, że jeśli już ktoś musi dzisiaj zginąć, to będzie to właśnie Łysy Diabeł.

– Z przyjemnością.

Jean-Baptiste Frochot usłyszał, jak Levitau zeskakuje z konia, a następnie pada na śnieg.

– Ja pierdołę... – wydyszał Łysy Diabeł. – Chyba zwichnąłem nogę w kostce.

Pewnie był już kompletnie pijany, jak zwykle, gdy patrolowali miasto. Szkoda, że to tylko kostka, pomyślał Frochot.

– Zapolujemy sobie na cienie, sierżancie – wybełkotał Levitau. – Rozkaz to rozkaz. Kurwa, moja noga! Nie mogę wstać.

Zanim zdążył się podnieść, z bramy wypchnięty został jakiś człowiek.

Sekundę później stanął w niej Tautin, oświetlony z tyłu ruchomym blaskiem latarni.

– Nikogo więcej nie ma – powiedział wesoło. – A to śmierzące straszdyło na śniegu to chyba dziewczyna.

## PAŁAC TUILERIES

Achilles Bovary doskonale wyczuwał napięcie otaczających go mężczyzn.

Prowadzili go najpierw przez amfiladę sal, a potem długimi, pogrążonymi w ciemnościach korytarzami lewego skrzydła. Ta część pałacu była całkowicie wyludniona. Wszystkie komnaty stały puste.

Wszystkie poza jedną.

Dziwny to był orszak. Mały chłopiec trzymany za rękę przez samego premiera i ubezpieczany ze wszystkich stron przez żołnierzy z gotowymi do strzału karabinami. Szli w milczeniu, słychać było jedynie echo ciężkich żołnierskich kroków i przytłumione, dochodzące zza okien uderzenia siekier.

Im bardziej zbliżali się do komnaty, gdzie więziono tajemniczego gościa, tym napięcie stawało się większe. Kiedy wreszcie stanęli przed wysokimi drzwiami, których pilnowało dwóch wartowników, Achilles poczuł, że uginają się pod nim kolana.

– Spokojnie – szepnął premier Guizot. – Nie pozwolimy, żeby stała ci się krzywda.

## DZIEWIĄTA DZIELNICA

– Jak się nazywasz, dziewczyno?

– Sophie.

Frochot drgnął. Sophie, córka piekarza, porwana przez bestie żyjące w kanałach pod ulicami Paryża. Obłąd. Otrząśnij się, człowieku.

– Pytałem o nazwisko.

– Lafitte. Sophie Lafitte.

Ustawili się obok niej półkolem.

– Ile masz lat, panienko?



- Piętnaście.
- Gdzie są twoi rodzice?
- Nie mam rodziców.
- W takim razie z kim tutaj mieszkasz?
- Nie mieszkam tutaj.

Na podstawie samego wyglądu trudno byłoby ustalić jej wiek. Okutana w gałgany i szmaty, z włosami ukrytymi pod wełnianymi chustami, w świetle latarni wyglądała jak stara czarownica. Gdyby nie młodzięczy głos, nikt by zapewne nie uwierzył, że ma dopiero piętnaście lat.

– Więc co robisz na tej ulicy? Po jakiego diabła się tutaj kręcisz?

– Sierzancie, może ja przesłucham to maleństwo – odezwał się Levitoux. – Będzie szybciej. A potem mogę jeszcze sprawdzić, czy przypadkiem nie ukrywa czegoś pod tymi szmatami.

Jakiś żołnierz z tyłu zaśmiał się krótko.

- Stul pysk, moczymordo! – warknął Tautin.
  - Odpierdol się – odpowiedział Łysy Diabeł.
  - Sophie, pytam raz jeszcze, co robiłaś w tej kamienicy?
  - Szukałam brata. Ma na imię Horacy.
  - A jak na niego mówią na ulicy? Odpowiedz, nie bój się.
- Dziewczyna milczała przez chwilę, patrząc gdzieś pod nogi.
- Mówią na niego Bagnet – odpowiedziała wreszcie.
  - Ile ma lat?
  - Jedenaście.

Jedenastoletni Bagnet. Wszystko jasne. Braciszek należał zapewne do jednej z tych dziecięcych band, które rozpleniły się na wyspach i po obu stronach Sekwany. Wyspa de la Cité – ze swoimi opuszczonymi domami i wąskimi ulicami, z omijanym przez wszystkie patrole budynkiem Hotel-Dieu – stanowiła dla nich doskonałą kryjówkę. Być może Horacy Lafitte był nawet członkiem „Sierotek”. Jeśli tak, to raczej trudno było mówić o nim jak o dziecku. Mali mordercy z tej grupy byli równie skuteczni i bezwzględni jak starzy recydywiści.

A może nawet bardziej.

- Kiedy widziałaś go ostatni raz?
- Dawno.
- Powinien być gdzieś tutaj?
- Tak, oni wszyscy powinni być gdzieś tutaj.
- Jacy oni? – spytał Frochot, choć przecież doskonale wiedział, o kogo chodzi.
- Chłopcy.
- „Sierotki”?

Sophie Lafitte nie odpowiedziała.

– Może gdzieś się przenieśli? – zasugerował Tautin i splunął. – Niewiele tu teraz okazji do zabawy. Sąsiednia wyspa chyba się lepiej nadaje, prawda?

– Nie – odparła Sophie. – Nie przenieśli się. Uciekli.

– Przed kim? – nie odpuszczał Frochot.

Dziewczyna zaczęła szlochać.

– Odpowiedz, Sophie – rudy dowódca postarał się, żeby jego głos zabrzmiał w miarę łagodnie. – Powiedz nam wszystko, co wiesz, bo inaczej nie będziemy mogli pomóc twojemu bratu. Gdzie są teraz ci, przed którymi uciekł Horacy?

## **BUDYNEK PARYSKIEJ OPERY**

Zanim zgasła ostatnia świeca i zrobiło się zupełnie ciemno, Gustave Klossowski przedzierał się już pomiędzy rzędami foteli w stronę sceny – w rozpiętym futrze, z pistoletem gotowym do strzału. Powoli, jak w koszmarnym śnie.

– Wszystko zaczyna się wypełniać, bracia! – zagrział niewidoczny już Stanisław Filaret Szyłowski.

Potem Poparzony Prorok umilkł na zawsze.

Zdyszany inspektor usłyszał pierwsze, niemal zwierzęce krzyki przerażenia, ale nie dostrzegął napastników. Słyszał jedynie hałas, jakby do sali dostało się stado nietoperzy. Pokonywał kolejne rzędy, powoli i niezgrabnie, z trudem łapiąc oddech. Po drodze zgubił szeroki kapelusz i swoją drogocenną laskę z gałką w kształcie trupiej czaszki. Był policjantem i miał obowiązek chronić tych ludzi, choćby to byli obrzydliwi wariaci.

Poza tym pamiętał, że za sceną jest tylne wyjście.

Potknął się o oparcie fotela i runął między dwa rzędy. Pistolet wypadł mu z dłoni. Na moment stracił orientację.

Wtedy właśnie, szukając po omacku zgubionej broni, zdał sobie sprawę, że nie opuści już żywy budynku Opery.

Była to jego ostatnia myśl.

## **DZIEWIĄTA DZIELNICA**

Katedra Notre-Dame wynurzyła się z ciemności tak nagle, że aż bezwiednie wstrzymali konie. Jakby w jednej chwili zmaterializowała się w miejscu, gdzie sekundę wcześniej była tylko czarna pustka. Było tak, jak gdyby sama noc przyoblekła się w kamień.

Poczuli się przytłoczeni.

Podjechali bliżej i zatrzymali zwierzęta na wprost szerokiego środkowego portalu. Latarnia oświetliła wyrzeźbione na nim sceny z Sądu Ostatecznego oraz stojące na wysokich cokołach posągi apostołów, którzy bardziej niż świętych przypominali teraz złośliwe, poruszające się w jakimś dziwnym tańcu pogańskie demony. Reszta budowli kryła się w mroku. Jean-Baptiste Frochot zeskoczył z konia.

– Po cholere tam wchodzimy? – spytał Łysy Diabeł. – Objedźmy ją i będzie spokój. Nie wierzysz chyba tej małej dziwce, Rudy. Wysłała nas tutaj tylko po to, żebyśmy się przestali kręcić po jej ulicy. Nie bądź znowu taki gorliwy.

– Złaż z konia – warknął dowódca. – Wchodzimy, sprawdzamy i wracamy na posterunek.

Rudy też nie uwierzył dziewczynie. To, co powiedziała im piętnastoletnia Sophie Lafitte, brzmiało tak niewiarygodnie, że każdy inny dowódca zapewne darowałby sobie wycieczkę do katedry. Ale nie Frochot. Zdawał sobie sprawę, że nie może zlekceważyć jej słów. Miał obowiązek przeszukać katedrę, choćby tylko pobieżnie. Gdyby któryś z jego żołnierzy wygadał się przed dowództwem, że nie sprawdzili tej wiadomości, z pewnością musiałyby się grubo tłumaczyć.

Według relacji dziewczyny bowiem w Notre-Dame zagnieździło się coś złego. Coś, co śmiertelnie przeraziło chłopców, kiedy próbowali dostać się do środka.

– Jakaś inna banda? – dopytywał Frochot. – Rosjanie? Kanibale?

– Nie. To chyba nie byli ludzie.

– Jakieś zwierzęta?

– Nie wiem.

Kilku chłopców podczas próby wejścia do katedry straciło rozum. Potem nie można się było już z nimi dogadać. Byli przerażeni.

– Żaden z nich nie potrafił mi odpowiedzieć.

## PAŁAC TUILERIES

Zostawili go samego. Zamknęli za nim dwuskrzydłowe drzwi komnaty i czekali na korytarzu.

Achilles Bovary postąpił krok w stronę łoża, do którego przywiązane było umierające stworzenie. Przystanął ostrożnie, jakby zbliżył się na sam skraj przepaści. Kolana mu się trzęsły, a serce boleśnie uderzało o klatkę żeber. Mówiono mu, że nie ma się czego obawiać. Że zwierzę jest spokojne, a w dodatku nie może się ruszyć. Poproszono go, aby spróbował tylko nawiązać z nim kontakt. Dowiedzieć się, skąd przybywa i dlaczego wtargnął do pałacowego ogrodu.

Tylko tyle.

Ale chłopiec nie potrafił opanować narastającego z każdą sekundą przerażenia.

Obcy zapach – to pierwsze, co zarejestrował.

Zupełnie obcy zapach, który nie należał do żadnego znanego mu stworzenia.

Przez chwilę nic się nie działo, jak gdyby zwierzę było martwe. Achilles nie potrafił wyłapać żadnego, najdrobniejszego sygnału z jego strony. Czuł tylko ten dziwny zapach. Nawet nie smród, raczej słodkawą woń, jakby w komnacie ustawiono kosz z owocami.

Już miał zrezygnować i opuścić pomieszczenie, kiedy to coś się obudziło. Chłopiec doznał naraz wrażenia ruchu. Zdawało mu się, że spada łagodnie poprzez pustą przestrzeń. Przestał się bać, spłynął na niego dziwny spokój.

Coś się obudziło i otworzyło oko.

Oko spojrzało na chłopca.

## DZIEWIĄTA DZIELNICA

Pierwszy wszedł Levitaux.

Odebrał od młodzika latarnię, karabin oparł nonszalancko na ramieniu i z gromkim, choć szyderczym okrzykiem „Niech żyje gwardia!” wkroczył do wnętrza świątyni. Jego głos odbił się potężnym echem od niewidocznego w ciemnościach sklepienia.

Jean-Baptiste Frochot podążył w ślad za Łysym Diabłem. Wchodząc do katedry, chciał się przeżegnać, ale nie mógł w tej chwili zwolnić rąk – w lewej trzymał pistolet, w prawej obnażoną szablę. W jego żyłach płonęła jałowcówka, nie czuł się jednak dzięki temu pewniej. Strach bez żadnych przeszkód zawłaszczał nerw po nerwie.

Za Frochotem ruszyli Tautin, młodzik i Rossi, powoli, z karabinami trzymanymi na wysokości twarzy, w przeciwieństwie do Łysego Diabła spięci i czujni, choć nie bardzo wiedzieli, czego właściwie szukają i na co mają uważać. Olbrzymia nawa tonęła w mroku.

Pod ciężkimi butami żołnierzy chrzęściło szkło z rozbitych witraży. W świetle trzymanej przez Łysego Diabła latarni widać było przede wszystkim te kolorowe szkiełka, pokrywające czarno-białą szachownicę posadzki. Czasami – kiedy latarnia zakołysała się mocniej – z ciemności wynurzały się na moment fragmenty siedzeń i oparcie ławek ustawionych po obu stronach przejścia.

– Nie marnować prochu – wyszeptał rudy sierżant. – Strzelać tylko na mój rozkaz.

– Tutaj nikogo nie ma – odezwał się Tautin.

– To się dopiero okaże. Zachowajcie ostrożność.

Nim przebrzmiały jego słowa, nastąpiło to, co wcześniej czy później musiało nastąpić.

Pijany Marcel Levitaux, który całkowicie już chyba zatracił instynkt samozachowawczy, zatoczył się nagle do przodu i zahaczył rozkołysaną latarnią o jedną z podtrzymujących sklepienie kolumn. Rozległ się brzdęk i głośnie przekleństwa – wszystko to zwielokrotnione przez niesamowite echo.

A potem nastąpiła cisza.

Ciemność zamknęła ich w swoim łonie, tak jak ocean zamyka wody wokół tonących.

## PAŁAC TUILERIES

Coś obserwowało chłopca – i nie było to uwięzione w komnacie stworzenie.

Było to coś o wiele potężniejszego, coś pierwotnego, głęboko ukrytego. Zwierzę odgrywało jedynie rolę pośrednika pomiędzy tym czymś a światem. Chłopiec zrozumiał to natychmiast. Prawdziwy obserwator znajdował się gdzieś daleko, bardzo daleko, ale Achilles czuł, że istota ta w jakiś sposób potrafi być w wielu miejscach jednocześnie. Miejsca te były dla chłopca w większości dziwne i obce, niektóre jednak sprawiały wrażenie dobrze znanych. Istota – ani człowiek, ani zwierzę – badała je wszystkie naraz, nie opuszczając swojej kryjówki. Otwierała oko i przyglądała się tysiącom obiektów, w tym również chłopcu, a następnie znowu je zamykała. Jakby na przemian budziła się i zasypiała.

Przyływ i odpływ, przyływ i odpływ.

Zanurzała się w mrokach nieświadomości i z coraz większym trudem wynurzała się z powrotem. Była ranna.

Była przerażona.

## DZIEWIĄTA DZIELNICA

– Wynoście się stąd! Ich już tu nie ma!

Frochot obrócił pistolet w kierunku, z którego dochodził głos.

– Kto mówi? – zapytał załamującym się głosem. – Kto tam jest? Odpowiadać!

Nie widział nawet wyciągniętej ręki z pistoletem. Czerń była absolutna. Frochot był jak ślepiec uwięziony na dnie kopalni. Zdawało mu się, że zniknął, że całkowicie rozpuścił się w ciemnościach.

– Wynoście się! One rozbiegły się po mieście! Całkowicie zgłupiały!

– Kto zgłupiał? O czym ty mówisz, człowieku?!

– Nasi towarzysze w nieszczęściu, któżby inny? Podziemni bracia – w głosie zadźwięczały ironiczne tony. – Przecież wychodzą na powierzchnię już od dawna. Jeszcze o tym nie słyszeliście? Nasi podziemni bracia zgłupieli nawet wcześniej niż my, co – nie ukrywam – jest dla mnie małą niespodzianką.

– Podziemni bracia? – spytał Frochot.

– Mordercy, których szukacie.

– Co wiesz o mordercach?

– Niewiele. Na początku zabijali z czystej ciekawości, przez przypadek, a może nawet w celach badawczych. Cholera ich wie! Ale teraz zaczynają to robić ze strachu! Jazda stąd! Zostawcie mnie w spokoju!

– Pokaż się, Quasimodo! – krzyknął Tautin. – Czemu chowasz się w ciemnościach?

– Spierdalajcie!

Krzyk dobiegał gdzieś z prawej strony.

Frochot, zgięty w pół, posuwał się już w kierunku źródła głosu. Czuł teraz dziwny przepływ sił. To nie demony wystraszyły chłopców, tylko ludzie.

– Levitoux, co z tobą? – zapytał szeptem, który zabrzmiał we wnętrzu katedry niczym szum lasu. – Żyjesz jeszcze?

Odpowiedział mu niezrozumiały bełkot.

– Staniesz za to pod ścianą, dopilnuję.

– Niczego nie dopilnujesz! – zabrzmiał głos ukrytego w ciemnościach mężczyzny. – Nie zdążysz! Za niedługo będziesz szukał już tylko ciepła i pożywienia.

– Poddaj się! – krzyknął Frochot. – Wiemy, że to wy zabiliście żołnierzy przy Saint-Chapelle. Zaraz przybędzie tu wojsko!

Mężczyzna wybuchnął wariackim śmiechem. Jest szalony albo kompletnie pijany, pomyślał rudy sierżant.

– Głupcze, skoro jesteś już w świątyni, to zacznij się modlić, póki jeszcze możesz. Weź przykład ze mnie, starego drania, który choć przez całe życie wyklócał się z Bogiem, ostatnie chwile zamierza spędzić w katedrze. Nie trać więc czasu na bezsensowne polowanie, chłopcze. Zaczęła się prawdziwa Apokalipsa i nie ma to nic wspólnego z wychodzącą spod ziemi szarańczę. Sami zamieniamy się w szarańczę. Zacznij się modlić. Albo stąd odejź!

## **GMACH PARYSKIEJ OPERY**

Skulony pomiędzy drugim i trzecim rzędem foteli, Gustave Klossowski czekał na śmierć. Nie rozumiał, co się wokół niego dzieje. Zrezygnował z walki i prób ucieczki. Obejmując kolana, trząsł się ze strachu.

Był niczym zwierzę złapane w potrzask.

## **DZIEWIĄTA DZIELNICA**

– Straciłeś rozum, człowieku! – krzyknął Frochot, czując, że jest coraz bliżej ukrytego w ciemnościach mężczyzny.

– To nie my mamy rozum, ale rozum ma nas – zaśmiał się tamten. – Ale chyba właśnie przestaliśmy być mu potrzebni, więc wyrzuca nas jak stare zabawki. Nie tylko zresztą nas, jak się okazuje. Rozum obraził się chyba na całą naszą planetę.

– Jesteś pijany.

– Owszem. I przyznam nawet, że jest mi z tego powodu niezmiernie głupio. Ostatnie świadome myśli przytępiłem alkoholem. No cóż, po prostu słaby ze mnie człowiek.

– Poddaj się!

– Jestem słaby, jestem słaby! Popatrz, chłopcze: wciąż jeszcze zdaję sobie z tego sprawę – znowu się zaśmiał. – *Cogito ergo sum!* Kurwa twoja mać! Cóż za radość! Za niedługo moje myśli staną się tylko zlepkiem wrażeń, pojawiających się tak szybko, jak szybko zanikających. Za chwilę, być może, będę żył sobie już tylko w wąskim wycinku terażniejszości, pomiędzy poczuciem przyjemności a strachem.

– Za chwilę cię zastrzelę!

W ciemnościach rozległo się potężne beknienie.

– A więc wyświadczysz mi wielką, przeogromną przysługę, nieszczęsny durniu.

Nagle Jean-Baptiste Frochot usłyszał za plecami jakieś dziwne pomruki, chrząkania, a potem słowa. Całe szeregi słów, które nie chciały jednak ułożyć się w sensowne zdania.

Maurice Tautin.

Rozpoznał go po głosie.

## PAŁAC TUILERIES

Achilles Bovary wydostał się na korytarz, wstrząśnięty i niemal nieprzytomny z wrażenia. Korytarz był pusty. Nikt na niego nie czekał. Premier i żołnierze gdzieś znikli, na podłodze pozostały tylko karabiny.

Chłopiec usiadł na moment, a następnie wstał i zaczął po prostu biec, z wyciągniętymi przed siebie rękami.

## DZIEWIĄTA DZIELNICA

– Co się tutaj właściwie dzieje? – zakrzyknął Jean-Baptiste Frochot. – Co się stało z moimi ludźmi? Co ich zaatakowało?

Tautin bełkotał, a Rossi nie odzywał się w ogóle, jakby całkowicie rozpuścił się w ciemnościach. Młodzik też zniknął. Frochot był zdany już tylko na siebie.

– Dobre pytanie, chłopcze, ale nie jestem chyba aż tak mądry, aby udzielić ci na nie odpowiedzi.

Błysnął płomień zapalki i Frochot nareszcie zobaczył swojego rozmówcę. Siedział kilkanaście metrów od niego, na jednej z ławek po prawej stronie nawy. Olbrzym w kapeluszu z szerokim rondem, trzymający przed sobą butelkę wina. Mężczyzna zapalił wysoką gromnicę i odwrócił się w stronę rudego sierżanta.

– Ciągle chce mnie pan zastrzelić, młody człowieku?

## PAŁAC TUILERIES

Benjamin Cartwright zwrócił uwagę na siwowłosego weterana dopiero w momencie, kiedy tamten podniósł się z fotela. Chwilę wcześniej w ogóle go nie dostrzegął. Siedział w odretwieniu, patrząc w podłogę niewidzącym wzrokiem.

Ale teraz oczy Benjamina zarejestrowały ruch. Ministrowie również zwrócili na to uwagę.

Amerykanin przestraszył się.

Wstał z krzesła i powoli cofnął się pod ścianę. Czujnie i nerwowo przyglądał się staruszkowi, gotowy w każdej chwili odeprzeć atak. Mechanicznie, z przyzwyczajenia podniósł do ust trzymaną w dłoni fajkę, ale nie bardzo wiedział, co miałyby z nią dalej zrobić.

Rozluźnił palce i fajka upadła na podłogę. Benjamin Cartwright drgnął, przestraszony hałasem.

Claude Dechamps krążył po sali popychany przez dojmujący głód. Głód kazał mu chodzić, ruszać się. Cała nagromadzona w ciele energia znalazła w tym ruchu ujście. Wyglądało to dosyć komicznie, ale w pomieszczeniu nie było nikogo, kto mógłby się z tego śmiać.

Żołnierz na moment przystanął przed wiszącym na ścianie olbrzymim lustrem. Ze szklanej tafli spoglądało na niego dziwne, przestraszone stworzenie. Zamarło w bezruchu, uznał zatem, że nie stanowi bezpośredniego zagrożenia.

Claude Dechamps nie rozpoznał w nim siebie, więc szybko odwrócił wzrok i zaczął rozglądać się po pomieszczeniu w poszukiwaniu pożywienia.

Benjamin Cartwright i ministrowie w galowych mundurach zdążyli już opuścić salę.

## DZIEWIĄTA DZIELNICA

Mężczyzna nie wyglądał na więcej niż pięćdziesiąt lat.

– Z początku wydawało mi się, że to jakaś zaraza – powiedział, kiedy Jean-Baptiste Frochot stanął nad nim z pistoletem gotowym do strzału. – Choroba, która niszczy mózgi



ofiar, pozbawia je umiejętności mowy i logicznego myślenia. Teraz mam jednak wrażenie, że to nie jest żadna epidemia.

– Kim jesteś? Jak się nazywasz?

– Nie przerywaj mi, gówniarzu – olbrzym podniósł do ust butelkę i pociągnął potężny haust. Odbiło mu się. Oczy zaszyły łzami.

– Teraz jednak jestem niemal pewien, że przyczyna tkwi gdzie indziej – podjął po kilkunastu sekundach. – To uderzenie meteorytu przegoniło rozum z tej planety. To aerolit sprawił, że światło rozumu gaśnie.

– Nie rozumiem.

– To proste. Rozum nie znajduje się w naszych głowach, ale prawdopodobnie gdzieś na zewnątrz.

– Gdzie? – spytał Frochot i natychmiast zdał sobie sprawę z niedorzeczności tego pytania. Gdzież może być rozum, jak nie w głowie? – Przestań filozofować, człowieku, tylko zacznij odpowiadać wreszcie na pytania! Kim właściwie jesteś? Co tutaj robisz?

Mężczyzna uśmiechnął się krzywo.

– Być może jego źródło znajdowało się pod powierzchnią planety, a katastrofa sprawiła, że przestało istnieć – powiedział, nie zwracając uwagi na słowa sierżanta. – Zostało zniszczone, uszkodzone, a może wyciekło przez pękniętą skorupę ziemi – jeśli potrafisz coś takiego przełknąć, młodzieńcze. Albo docierało do nas z kosmosu, w postaci jakiegoś fluidu – podniósł do góry butelkę. – Przylatywało tu w postaci jakiegoś, kurwa, psychicznego eteru, a teraz spopielenona materia zablokowała temu czemuś dostęp.

– Chyba tracę tutaj czas...

– Najprawdopodobniej jednak aerolit rozdarł warstwę ochronną Ziemi, wskutek czego siedzibę rozumu zaatakowała niewidzialna, niszczyielska siła.

Frochot pomyślał nagle o ojcu, byłym chirurgu, który od wielu miesięcy nie wypowiedział słowa i zachowywał się jak zwierzę. Przeszedł go dreszcz.

– Siedzibę rozumu?

– Dokładnie. Gdzieś się drań musi w końcu znajdować, prawda? Może jest w naszych głowach, może w sercach, a może w ogóle gdzieś poza nami. Jak już mówiłem, najbardziej skłaniam się ku tej ostatniej możliwości.

– Skąd wzięłeś te wszystkie informacje?

– Mam oczy i w przeciwieństwie do tysięcy mieszkańców Paryża potrafię jeszcze myśleć. Trzeba być ślepym, żeby tego nie dostrzec. Napijesz się?

Podniósł butelkę w zachęcającym geście.

– Po raz ostatni pytam o nazwisko.

Mężczyzna westchnął.

– Broussais – powiedział. – Henri Broussais. Byłem lekarzem. Teraz jestem już tylko filozofem. Bardzo ci te wiadomości pomogły?

– Jest tutaj jeszcze ktoś oprócz nas i moich... – Frochot zawahał się, przypomniawszy sobie ostatnie słowa Tautina – ludzi?

– A jak myślisz?

Sierżant opuścił pistolet. Broussais podniósł do ust szyjkę butelki.

– Nasze zdrowie!

– Wszystkich nas to czeka? – spytał rudy sierżant, innym już tonem.

– Tak – mężczyzna upił łyk. – Kto wie, może jesteśmy ostatnimi rozmawiającymi osobami na świecie?

– Nie wierzę ci – powiedział Jean-Baptiste Frochot.

## PAŁAC TUILERIES

Claude Dechamps przemierzał puste i ciemne korytarze w poszukiwaniu pożywienia, coraz bardziej rozdrażniony i zdezorientowany. Nie potrafił odnaleźć wyjścia z pałacu, jego serce uderzało mocno i szybko, a krew pulsowała pod czaszką, jakby lada chwila miała ją rozsadzić.

W tym samym czasie zamknięty od wewnątrz w swojej komnacie Ludwik Filip z niepokojem wyglądał przez okno. Na dziedzińcu coś zaczęło się dziać. Dochodziły stamtąd podniesione głosy, pojedyncze wystrzały.

Król ukrył się za kotarą, zjadając resztki znalezionej na stole chleba i wypowiadając z pełnymi ustami jakieś bezsensowne słowa. Nie tylko Francja, za którą jeszcze przed godziną czuł się odpowiedzialny, ale i wszystkie państwa tego świata przestały się liczyć. Kosmos zwęził się do rozmiarów dziedzińca i apartamentu.

Czas również przestał dla niego istnieć. Stał przy oknie, nie zdając sobie sprawy z jego upływu.

Najpierw zgasły ogniska na dziedzińcu, potem dopaliły się świece w stojącym na biurku lichtarzu. Na samym końcu przyszła kolej na kominek.

Sparaliżowany strachem Ludwik Filip nie opuszczał swojego schronienia za kotarą.

Tymczasem ciemność opanowała cały pałac i zagarniała coraz to nowe obszary miasta. Zgaszonego ognia nikt już nie potrafił rozpalić. Kiedy wydawać by się mogło, że znikły już wszystkie światła w Paryżu, przez jakiś czas paliła się jeszcze gromnica w katedrze Notre-Dame – w jej nikłym blasku siedziało dwóch mężczyzn z pochylonymi głowami. Jeden z nich trzymał przy ustach butelkę, a drugi nabity pistolet.

W końcu gromnica zgasła i nastąpiła prawdziwa ciemność.

*Jewgienij T. Olejniczak*

**Tomasz Kilian** – rocznik 1977 (jak mówi, dwie siódemki muszą być szczęśliwe). Do tej pory na koncie ma dwanaście opowiadań – głównie w „Science Fiction, Fantasy & Horror”, poza tym jedno w antologii *Bez bohatera* (2005).

### **O pisaniu i fantastyce:**

W dniu dzisiejszym pisanie to hobby, choć liczę na to, że kiedyś stanie się czymś więcej – czy można sobie wyobrazić piękniejsze zajęcie niż opowiadanie historii? A plany? Szerokie jak plecy Pudziana... Jedna powieść, prawie-horror umiejscowiony we Wrocławiu, już gdzieś leży u wydawcy i postaram się dowiedzieć, co z nią dalej. W tej chwili piszę dość zakręconą powieść *Czwarty dom*, a w dalszych planach *Zew*, także powieść. Do tego zbiór opowiadań, albo i trzy... Przynajmniej dwa będą poświęcone miastom, z którymi związało mnie życie – Manchesterowi i mojej rodzinnej Nysie (to drugie, jeśli się uda, we współudziale Romka Wali).

A dalej? Kilka rzeczy czeka od dawna, aby je dokończyć – do tej pory brakowało mi samozaparcia. Nie tylko fantastyka, także główny nurt, a nawet... romans. Zapewne wrócę do starożytnego Rzymu, by obserwować jego zmierzch wraz z moim prawieconanowskim bohaterem; kilka razy spróbuję postraszyć i niech moc będzie ze mną, a pomysłów i ochoty nie zabraknie mi do osiemdziesiątki...

Kilka słów o sobie to chyba najtrudniejsze kilka słów, jakie przychodzi napisać. Czy ma to być bowiem laurka żywcem wycięta z idealnego CV, czy też może prawda zawoalowana w humorystyczne zwroty i rubaszne określenia?

Gdybym miał się jakoś zidentyfikować na skali symboliki zwierzęcej, to pewnie byłbym kotem. Trochę leniwym, trochę pogrążonym w iluzji, z ogonem w chmurach, niespiesznym w działaniu – o tak, to by mi pasowało.

W fantastyce interesuje mnie głównie niesamowitość, może dlatego, że łączy fantastykę z codziennością, dodając odrobiny grozy do tej ostatniej. Wierzę, wiem, że jest obecna nie tylko w literaturze, nie tylko jako fikcja; że mimo wszystko nie udało nam się uciec, choć wielu z nas zapewne sądzi, że zostawiliśmy swoje pierwotne lęki w mrokach dziejów. Niezwykle, trudne do wyjaśnienia zjawiska bywają inspirujące, jeśli tylko nie próbuje się ich usilnie lekceważyć.

Zresztą, czego możemy być pewni o świecie...

Pisząc, zawsze zastanawiam się, co by było, gdyby ta fikcja naprawdę mogła się ziścić. Uważam zresztą, że pisanie jest czymś więcej niż tylko wymyślanie – przynajmniej w moim przypadku tak jest. Kiedy wymyślam, idzie mi kiepsko, a całość jest sztuczna; czasem jednak elementy łączą się ze sobą w sposób całkowicie naturalny, a wówczas i opowieść jest naturalna – kto wie, czy nie mówi o rzeczach, które gdzieś tam wydarzyły się naprawdę?

W każdym razie ja mam wciąż wielką ochotę, by o nich pisać.

**Tomek Kilian**

## **Przenicowanie**

*Lubię te godziny w parku, gdy mogę na nie patrzeć.*

*Przychodzą tu, gdy jest ciepło. Siadają na ławce. Rozmawiają.*

*Jedną ręką kołyszą wózki. Czasem wyjmują dzieci, przewijają je lub karmią. I śmieją się. Nie zwracają na mnie uwagi, a ja nie jestem na tyle bezczelna, by do nich podejść. Nie zrozumiałyby mojej fascynacji, ale szanuję to. Jednak jednocześnie zazdroszczę i pragnę.*

*Trudno to pojąć komuś, kto nie znalazł się w takiej sytuacji.*

*Czasem przynoszę chleb, żeby karmić ptaki, i udaję, że całkowicie mnie to pochłania. Wtedy patrzę uważniej.*

*Potem, kiedy robi się ciemno, odchodzę, idę do domu, zdejmuję ubranie i kładę moje zle ciało do łóżka. Po to, aby śnić, że jestem jedną z nich. Że mam piersi. Że tam, między nogami, wyglądam inaczej. Że mam dziecko.*

*Że jestem matką.*

\* \* \*

Obudził się jak zwykle o czwartej i poszedł do ubikacji. Usiadł i z obrzydzeniem zdjął majtki. Nie chciał patrzeć na swojego fallusa, na przyrodzenie, jak mawiał ojciec, ha, ha synu, masz kutasika i dbaj o niego, setki dziewczyn będą chciały z niego skorzystać.

Skończył i powtórzył rytuał. Nie patrzył, nawet na wpół zaspany bał się ujrzeć, co niesie ze sobą rzeczywistość. Potem wrócił do łóżka i spróbował przywołać przerwany sen. Pamiętał tylko mgliste strzępy, ale więcej nie potrzebował – w snach zawsze był kobietą.

Czy ojciec by to zrozumiał? Czy pojąłby tę wewnętrzną walkę, jaką duch codziennie toczył z materią? Czy zrozumiałby zgrzyt pomiędzy psychiką a ciałem, niemożliwy do pokonania konflikt jing i jang, gdzie obydwie te strefy nie przenikały się, tylko stawały w opozycji, gruby mur, walczące strony, karabin i róża?

I udawanie, mnóstwo udawania.

Musiał jakoś żyć. Poranny rytuał, każdego dnia to samo, dopieszczony do granic możliwości przedstawienie, uśmiechy i gesty, i obrzydzenie. Twarz przeorana porannym zarostem, zapach potu, ostry, nieprzyjemny, który nie ustępował, mimo że codziennie golił się pod pachami. Owłosienie, z którym walczył jak z chwastami, i jak z chwastami przegrywał. Wypieszczone, wymizerowane ciało, och pieprz mnie, tak, zerznij mnie, przecież jesteś facetem, chcę tego, co masz między nogami. Będę twoją suką, czy coś ci nie odpowiada?

Falsz, fałsz na każdym kroku.

Tylko raz był z dziewczyną. Próbował być. Chciał udowodnić sam sobie, że się pomylił, że myli się cały czas, że jest szaleńcem, głupcem, że to jedynie kaprys, niewyobrażalnie idiotyczny. Dlatego spróbował i zapamiętał ten dzień dokładnie, piekło i niebo, zbawienie i zrozumienie, ona leżała naga, zachęcała, nęciła, dotykała swojego ciała, czekała mokra, aż przyjdzie, aż ją weźmie.

A on nie chciał. Chciał być tam, na dole, na jej miejscu, chciał być suką, nawet nie kobietą, bo nie pragnął się kochać, chciał seksu ostrego, krwi i ran na plecach, i to on chciał je zadawać, to on chciał krzyczeć z rozkoszy, gdy wreszcie coś wypełni gwałtownie bolesną pustkę w jego wnętrzu. To sprawiło, że mu stanął, ta myśl, uporczywa, prawie namacalna, nie dziewczyna leżąca na łóżku, nie jej zachęty, ale nieznośna, bolesna wizja, że to on oplata nogami umięśnione pośladki, które powolnymi ruchami pompują w niego przyjemność. I krzyk, jęk przy każdym ruchu, a potem orgazm tak potężny, że mógłby niszczyć mury. I świat, przestrzeń, giną, nikną w tkance tej jednej, wszechogarniającej chwili.

Nigdy tego nie powtórzył.

Następnego dnia dopadła go bolesna świadomość oszustwa. Ślady spermy na pościeli, jego ślady. Mały, ślamazarny, robaczy glut, zwiędły fiut przyklejony do ciała. Akt. Kreacja. Dowcip. Bogowie też mają poczucie humoru.

Spróbował więc z facetem, ale od początku wiedział, że to kolejne oszustwo, kolejna zbrodnia przeciwko sobie. Analna penetracja. Ból. Jedynie ból i nawet wyobrażenia nie pomogła. Był mężczyzną pieprzonym przez innego mężczyznę, niczym więcej. Ból rozlewał się po całym ciele, koszmarny, wyciskający łyzy, choć jego kochanek starał się być delikatny. Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy. Pragnę jedynie twojego tyłka. Ciebie.

Ale jako faceta. Nie jako kobiety.

Nigdy już o tym nie myślał ani tego nie próbował. Jedynie we wspomnieniach, w snach wracały te chwile, ale wówczas wszystko było w porządku. Był tym, kim powinien być, ciężkie, ciepłe piersi zwisały swobodnie, a potem męska ręka ścisnęła je, drażniąc sutki. A on czekał, i już nie on, ale ona, długie włosy spadały na poduszkę, a później ciepło wypełniało go od środka, przyprawiało o dreszcze.

Dalej, dalej mój chłopcze. Przecież wiesz, co się robi z kobietami.

Czasem budził się spocony, w kałuży nasienia, jego organizm reagował w jedyny znany mu sposób. Wówczas zbierał wszystko, związał jednym płynnym ruchem i prał, tak długo, aż nie pozostał najmniejszy ślad świadczący o tym, że jest mężczyzną.

A przecież, jak we snach, mogłaby nastąpić zamiana ról. Noc byłaby dla mężczyzn, dla ich szorstkich policzków, dla ich rąk błądzących po ciele, wampiryczny głód, usta, ślina, nasienie, gdy stają się syjamskimi bliźniętami do czasu, aż ostatnie fale rozkoszy przetoczą się przez umysł i pozostawiają go w stanie skrajnego wyczerpania, niebywałego szczęścia.

Ale tak się nie dało. Przyroda była okrutną panią, niechętną oszustwu, choć przecież sama się pomyliła. Czasem, choć wbrew sobie, dotykał się tam i masturbował, myśląc o tym, że robi to jak kobieta, tak jak powinien. Po tych zabawach czuł obrzydzenie, mimo to nie potrafił przestać, bo myśli przychodziły, nawet jeśli ich nie chciał, gęstniały tak, że chciało mu się wyć. Gdy przed lustrem przymierzał sztuczne, silikonowe piersi i mizdrzył się, spoglądając na świeżo ogoloną twarz i udając, że w zwierciadle widzi piękność, wówczas podejmował trud zapominania, trud gry aktorskiej najwyższej próby. Szminka, lakier, cień do oczu, sukienka, obcasy.

Nigdy nie odważył się tak wyjść.

Czasem to jednak pomagało. Siadał do kolacji wystrojony i umalowany, na głowę zakładał perukę i zapominał. Czuł ucisk butów na obcasach, czuł, jak pończochy opinają mu nogi. Czuł sukienkę zwężającą się na biodrach i kończącą się figlarnie poniżej kolan. Czuł, jak peruka przylega ściśle do skóry, jak na ten magiczny moment wrasta w tkanę, pokonując opór materii i łamiąc zasady. Stawał się kobietą i przez chwilę nie myślał o zdradzie skóry, o buncie nagiego ciała, które przecież pozostało niezmienione, jakby we wścieklej opozycji do tego co na wierzchu, co nałożone, przyczepione na godzinę, dwie, trzy, lecz nie na wieczność. Choć było to oszustwo, dawało mu jednak cień siły, by trwać, by przeżyć kolejny dzień, w ciele, którego nienawidził.

Lecz upiory umysłu stawały się coraz bardziej natarczywe, coraz mocniej pragnęły, aby się zdecydował, przeszedł na jedną ze stron, światło i cień, nie stój pośrodku, tak nie można. Zostań jednym albo drugim. Lub przepadnij na zawsze.

Wiedział, że trzeba coś zrobić. Ale nie wiedział co. Ta jedna odpowiedź pozostawała dla niego tajemnicą.

\* \* \*

Pierwszy raz spotkał ją na ulicy. Przeszła obok, uśmiechając się lekko, na plecach niosła tornister. Zapewne wracała ze szkoły. Nie odwzajemnił uśmiechu, zaskoczony tą nagłą sympatią z niespodziewanej strony. Obejrzał się nawet – mogła mieć nie więcej niż trzynaście lat. Potem zapomniał.

W jakiś sposób jednak wciąż na nią wpadał. Przyglądał się. Obserwował. Obserwował i zauważał. Wylaniała się z tłumu, już nie stanowiła szarej masy, już umiał rozróżnić jej rysy, nie dziecięce, ale jeszcze nie kobiece. Była w tym wieku, gdy wszystko jest pośrodku, gdy rzeczy rosną, stają się, gdy człowiek rodzi się na nowo, w innej, niecodziennej dla niego samego postaci, gdy pęka skorupa dzieciństwa i wylewa się, jak metal, jak lava, cała powolna dorosłość, dojrzewanie. U siebie nienawidził tego okresu, włosów łonowych i tego sztywnienia, wbrew woli, wbrew chęci, tej zmiany głosu, który z anielskiego altu przechodził w bas barbarzyńcy, obniżał się, grubiał, obrzydliwie łamiąc harmonię świata. Wówczas jeszcze tego nie rozumiał, czuł tylko, że mu się to nie podoba, że chce, aby przebiegało to inaczej, że zazdrości koleżankom, które chichotały, przebierając się przed lekcjami wuefu, komentując swoje powiększające się z miesiąca na miesiąc wzgórki piersi. Pojmowanie, całkowite odrzucenie swojej zewnętrznej natury, swojej klatki, nadeszło z wiekiem, już chyba po śmierci ojca, gdy ten przestał go bombardować pytaniami, czy ma dziewczynę, a nawet czy uprawiał już seks. Seks, bo trzeba synu, abyś się rozdziewiczył przed osiemnastką. Czy ich nie widzisz, nóg opiętych spodniami, spódnic ledwo skrywających pośladki? Tylko czekają, uwierz mi, tylko czekają, żeby je schwytać. Czy nie widzisz piersi, które aż proszą się o męską rękę?

Ojciec nie był subtelny, chciał być kumplem, nie widział jego odwiecznej kruchości, kobiecej natury. A może nie chciał widzieć.

Przypomniawszy to sobie, gdy patrzył na dziewczynkę z kamienicy obok.

Najpierw podpatrywał ją przy okazji, podczas porannej kawy, kiedy akurat przechodziła pod oknami, lub wieczorami, kiedy zdarzało mu się przesiadywać na balkonie. To były chwile, sporadyczne i rwane, lecz nauczył się szybko jej rozkładu dnia. Rano wychodziła do szkoły, jeszcze zanim zdołał zebrać się do roboty. Kiedy wracał, znów często widywał ją na podwórku. Z koleżankami. Śmiała się głośno. Nie słyszał, o czym rozmawiały, może o tym, o czym mówią dorastające dziewczęta – o rosnących piersiach, pierwszych miesiączkach, chłopcach i o niewinnych jeszcze fantazjach. Pocałunki, niemrawe cmoknięcia w policzek, trzymanie się za ręce.

Wciąż je to krępowało, wciąż wstydzily się tego przejścia od dzieciństwa, pełnego zabaw w przebieranie lalek, do dorosłości, kiedy same stawały się lalkami. Szminka, podkład, nowa sukienka, kolejny makijaż. Magia.

Chciał z nią porozmawiać. Czy wystraszyłaby się dorosłego mężczyzny? Czy też może dałaby się zaprosić na herbatę, zgodziłaby się porozmawiać z nim, choćby i przez chwilę?

Sam nie rozumiał, co to było, co go w niej pociągało. Jej rozkwitająca kobiecość? Nie, coś jeszcze. Coś więcej.

Obserwował i zastanawiał się.

Chciał ją poznać. Na razie tylko tyle.

\* \* \*

Światło się kołysało. Lewo, prawo. Widział sufit, drobne zacieki, których nikt nie zdecydował się zamalować.

Nie miał pojęcia, po co tu przyszedł. Czuł się obco. Nie na swoim miejscu, w nie swojej skórze, z fałszywym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Ale przyszedł, przyciągnięty neonami, w spontanicznym zrywie, kiedy zawołało go światło.

Siedział i patrzył na dziewczyny.

Wypił drugie piwo, miał już w czubie, łatwo się upijał. Zupełnie jak kobieta, ktoś mu kiedyś powiedział. Trafił w sedno.

Przysiadła się, kiedy miał już wychodzić. Nie chciał rozmawiać, ale ona mówiła za ich oboje. Wyglądała jak zmaterializowana śmierć, na granicy anoreksji, czarne ciuchy, biała cera, czarny makijaż. Mała diablica.

– Podobasz się mojej kumpeli – zagadnęła. – Chciała cię przelecieć. Lubi takich kruchych chłopców, którymi trzeba się opiekować.

– Chciała? – nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Nie umiał używać ostrych słów, żeby kazać komuś odejść. Delikatność miała i złe strony.

– Już sobie poszła. Poderwała jakiegoś frajera. Ty na nią nie reagowałeś.

Nawet jej chyba nie widział.

– Siedzisz taki sam – ciągnęła, niezrażona jego milczeniem – Co, kłopoty? Laska się puszcza? Z niektórymi już tak jest.

– Nie. To nie to – odpowiedział dopiero po chwili.

– A co? – była wścibska, mała wścibska pchła, wgryzająca się w pulsujące ciało cierpienia, spijająca krew wspomnień z każdej rany. – Widzę, że coś cię dręczy...

Nie odpowiedział.

– Masz w sobie coś. Nie, nie bój się, wcale cię nie podrywam. Ostatnio mało mnie to interesuje. Ale umiem rozpoznać światełko w ludziach. Chciałbyś zobaczyć coś ciekawego?

Kiwnął głową. Po co? Po co to ciągnął?

– Muszę już iść – próbował się jeszcze wykręcić, ale przytrzymała jego dłoń.

– Chodź, nie pożałujesz. Będzie ci się śniło po nocach.

Dał się jej poprowadzić.

\* \* \*

Mówili „grupa”, bo żadne inne określenie nie pasowało. Grupa, tymczasowo. Byli już „szamanami”, „młodymi gniewnymi”, „art-artem”, „sztuką odzyskaną”, ale żadna nazwa nie zdołała przetrwać. Żadna nie odzwierciedlała tego, co robili, albo raczej co zamierzali robić.



W starym klubie, wyremontowanym dla potrzeb Sztuki, tej wielkiej, Sztuki, która ocierała się o magię, choć w ich wizji nie było miejsca na tanie chwytły. Grupa, Grupa, Grupa.

Uważali się za artystów, tak było najprościej, ale to, co robili, wykraczało nawet poza artystyczne odjazdy z malowaniem krwią czy rzeźbami z mięsa. Ich performance szedł dalej. Brali to, co dawało ciało, całe ciało, bez zakreślania granic. Szukali widmowego bytu, trwania w człowieku, lecz nie chodziło im o duszę, tej nie poszukiwali. Interesowało ich ciało, giętkie możliwości, przetwarzanie skóry i mięśni, kości i organów wewnętrznych, sprzężenie pomiędzy zimnym materiałem a gorącym wnętrzem człowieka. Esencja z żywej materii, wyciąg z chodzącego mięsa.

– Jesteśmy jak bohaterowie Koji – stwierdziła Mania, dziewczyna, która go tu przywiodła. – Ale szukamy czegoś konkretnego.

Później przeczytał książkę, którą mu podsunęła, i zrozumiał, o co toczy się gra.

\* \* \*

Byli trochę jak dzieci pozbawione światła, idące w ciemnościach, ale przekonane, że jeśli tylko wyjdą z tunelu, to zaleje je potok blasku. Nie rozumiał tej postawy, choć z jakichś względów miał do niej sentyment – romantyczna pogoń za snami. Większość nie chciała uwierzyć, że gonią widma, a na dodatek, że nie wiedzą nawet, jak te widma wyglądają. Przyglądał się im z uwagą, należną bogom lub szaleńcom. Artyści, mistycy, czy jedynie grupa zblazowanych yuppies? Nie potrafił ich ocenić tak jednoznacznie. Oczekiwał i podglądał, pozwolili mu – to, co robili, to nie był sekret. To była Sztuka. Zresztą, pasował do nich, zamknięty w sobie, milczący, ze spojrzeniem utkwionym gdzieś w oddali. Różnili się od niego wyglądem, zachowaniem, ale wszystkich cechowała podobna tęsknota. Mieli pseudonimy, sami je sobie nadali, stwierdzając, że imiona już tu nie pasują. Imiona oznaczały bowiem konkretnych ludzi, były jak znaki wypalone na skórze, jak domy i mieszkania, samochody, prawa jazdy, rachunki, które trzeba zapłacić. Nawet chleb, jaki codziennie jedli, napiętnowano tym przyporządkowaniem, tą niewolą miasta i smogu, i betonu.

Mania, Emfera, Junita, Stam, Marx i Berry tworzyli szóstkę, diabelską, jak sami o sobie mówili, szóstkę osób owładniętych jedną ideą, opętanych ciałem, światłem, ogniem, nożycami i hakami. Byli różni – cóż by to była za atrakcja, gdyby było inaczej? Ale wciąż parli do przodu.

Mania była najmłodsza, miała niecałe dwadzieścia lat, a za sobą już odwyk, po dwóch latach jechania na herze. Nosiła się najczęściej na czarno, jak w wiecznej żałobie po ukochanym. Kiedyś pewnie chodziło o muzykę. Dziś czuła się dobrze w roli nastoletniej śmierci.

– Chciałabym być wampirem – mówiła mu i śmiała się. – Pasowałoby mi to.

Tacy byli wszyscy, starsi i młodszy, oto oni, właściciele prawdy.

Najlepiej pamiętał tamten pierwszy wieczór.

Zabrała go z knajpy. Padało, potem jednak, w pół drogi, deszcz ustał. Prowadziła go ciemnymi uliczkami. Po dwudziestu minutach zatrzymali się przed wejściem do magazynu.

– To tutaj – powiedziała Mania

– Co „tutaj”?

– Chodź, przekonasz się.

Wahał się tylko chwilę.

Uderzył go kontrast pomiędzy światłem i cieniem, skąpy blask. Gra w teatrzyk widm – jasno-ciemno, co zwycięży, dobro czy zło?

Poszedł dalej.

Nie musiała go już prowadzić. Szedł wiedziony dźwiękiem, dochodzącym z jednego z pomieszczeń. Skąpe bity, jeden rytm powtarzany w nieskończoność. Chaos współgrał z porządkiem, elektronika i rytm, bach, bach, wszystko na swoim miejscu, wszystko potrzebne, nic na pokaz, żadnych dźwiękowych dekoracji. Surowa aranżacja. Bach, bach, bach, hipnoza przez dźwięk.

Byli tam wszyscy. Wtedy jeszcze go przerażali – tak samo surowi jak te dźwięki, mężczyźni bez koszul, ich nagie torsy pokrywały barwy, malunki, wojenne tatuaże, szykowali się do bitwy, zęby szklily się w tym półmroku, gotowe kąsać mięso, chleptać krew.

Tak niewiele się pomylił. Mania zdjęła bluzkę i pognała do nich, po drodze rzucając biustonosz na podłogę, do połowy naga, ale nie było w niej żądz, a erotyzm miał w sobie coś magicznego, coś demonicznego. Perwersja.

Wtedy była to jedynie próba, chaos na scenie, poszukiwania, podróż w głąb siebie, odległe eskapady na samo dno wytrzymałości, na krawędź skrajności. Więcej i więcej, i dalej, patrzeć, jak napina się skóra, jak tężeją mięśnie, chrzęszczą stawy, nikt nikomu nie robi krzywdy, masochizm wykalkulowany, konieczny, żeby się zrozumieć, żeby stworzyć Sztukę. Ale wówczas jeszcze tego nie wiedział. Ich zapasy, ich próby wydały mu się szokujące. Emferya położyła się na drewnianym stole, dwie sylwetki podbiegły, chwyciły ją za ręce. Potem pojawiło się ostrze. Ktoś, zapewne Stam, Stam, który w czasie prób stawał się kimś innym, bliżej, bliżej, raczej Hyde niż Jeekyll, Stam rozciął jej skórę, pojawiła się krew, wewnętrzna strona, drugie dno, przejście do świata podziemnego prowadziło przez tę ranę. Włożył tam palce, delikatnie, a może brutalnie, tylko ona mogła to ocenić, ale nie krzyczała, jedynie patrzyła dziko, czy brała wcześniej jakiś narkotyk, czy ktoś wprowadził ją w stan hipnozy?

Nie, musiała być trzeźwa, może to jednak ta muzyka, ten rytm ukryty, niedostępny, Stam włożył palce, tak, widział dokładnie, włożył palce, skóra na brzuchu rozeszła się, był przekonany, że zaraz zobaczy żołądek, że Stam nie oszczędzi mu tego widoku, nikomu nie oszczędzi, że to makabryczny rytuał, składanie człowieka w ofierze, na ołtarzu sztuki. Sztuki.

Ale trwało to tylko sekundę, może dwie, zanurzył dwa palce, ociekały posoką, gdy je wyjmował, krew była gęsta, a ona wciąż nie krzyczała, nie widać było nawet bólu w jej spojrzeniu, tylko jakąś przestrzeń, pustkę.

Potem przyszedł Marx. Odkaził ranę i zaszył ją. Któraś z dziewczyn głaskała Emferę po głowie, uspokajała ją. Dopiero teraz pojawiły się łzy, nienaturalne, jak to wszystko, bardziej uwierzyłyby, gdyby zaczęła płakać diamentami, oto zapłata za moją krzywdę, za moje poświęcenie. To pasowałoby bardziej.

Mania przyszła po niego, wciąż do połowy rozebrana, chuda, małe, obwisłe piersi. Popchnęła go dalej, aby mógł ich zobaczyć, aby mógł przekonać się, że nie są zwierzętami, nie są dzikimi bogami z leśnych ostępów, zjadaczami ludzkiego mięsa, azteckimi kapłanami. Że są ludźmi, że chcą ująć w ryzy szaleństwo, chcą nadać mu ramy, zważyć je, sklasyfikować. Doktorzy postępu, światła i cienia, lekarze granic, zszywający ze sobą możliwe i niemożliwe, prawdopodobne i nieprawdopodobne, boskie i diabelskie. Łączący przeciwieństwa.

Gdy ochłonął i gdy wszystkich mu przedstawiła, zobaczył prawdę wypisaną na ich ciałach.

Mieli tatuaże, ciemne ryty zdobiły ich plecy i torsy, szczególnie mężczyźni. Stam na barkach miał wielkiego sokoła, oczy pełne życia zapowiadały śmierć w szponach, wysunięte szpony wyglądały na ostre i śmiertelnie skuteczne. Gdyby tatuaż nagle ożył i odleciał, wcale by się nie zdziwił. Był to piękny tatuaż, jedyny, który coś przedstawiał. Pozostałe przypominały ornamenty, dziwne symbole. Marx miał tatuaże na obydwu ramionach, ciasno splecione grube linie zdawały się otaczać wyraźnie rysujące się pod skórą bicepsy, wzór Berry'ego obejmował tułów i sięgał dalej, poniżej pasa, a choć nie dało się odgadnąć, co przedstawia, łatwo było doszukać się jakichś erotycznych powiązań. U kobiet wzory były bardziej subtelne, jedynie tatuaże Emfery miały w sobie surową dzikość, zarówno we wzorze, jak i w wykonaniu. Zdawało się, że wydziergała je w więzieniu, w pokoiku tak ciemnym, jak głęboka podziemna kryjówka, a wyobraźnia podsuwała dalsze obrazy. Krzyk piętnujący wykonanie, krzyk jak certyfikat jakości, brudne narzędzia, szloch i zaciskanie zębów.

I kolczyki. Nie mogło ich zabraknąć. Pokaleczona, porwana skóra. Ciało – metal. Ludzie jak maszyny, pełni stali, zaobrączkowani. Stam miał przekłute oba sutki, stalowy nit przez tkanekę, obok pępka, pewnie niżej też. Barry podobnie, choć jego piercing zdawał się jeszcze brutalniejszy, obręcze kolczyków były większe i grubsze, dziwaczne kształty, którymi udekorował sobie ręce. Przypominał robota, pełnego pokręteł i dźwigni, a może rzeźbę, dzieło szaleństwa jakiegoś artysty, efekt działania narkotyku, chorych wizji.

Może jednak tylko on tak to widział. Dla nich było to normalne, dla nich metal stanowił jedynie przedłużenie ciała, coś, o czym natura zapomniała, kiedy konstruowała człowieka. To był kolejny etap ewolucji, *człowiek wykolczykowany, homo piercingus*.

I jeszcze jedna ozdoba, jeden drogowskaz, wskazujący, dokąd zmierzali.

Pocięte przedramiona, brzuch i plecy, sznyty, skaryfikacja, wykonane wprawnie cięcia. Być może część była pozostałością po zabiegach chirurgicznych, po nieumiejętnej eksploracji wnętrza organizmu. Ale wiele zrobionych było świadomie, trójkąty i gwiazdy, o często nierównych bokach, o grubych kreskach, blizny, które nie miały się już zagoić.

Nie widział w tym nic pięknego.

Niszczili swoje ciało, okaleczali, próbując przestać być ludźmi, a przynajmniej dążąc do ideału, który tylko oni mogli zrozumieć. Dla niego zmiany były barbarzyństwem, takie zmiany. Szczególnie kiedy patrzył na kobiety. Ideał kobiecego ciała był mu wzorcem, gdy tymczasem tutaj kobiety próbowały stać się bestiami z mrocznej krainy, istotami dzikimi i nieokrzesanymi, tworamami pomiędzy. Nie pojmował tego i nie akceptował, choć musiał wreszcie zrozumieć, że one tego chcą, że to ich pragnienie zmiany, może równie silne jak to, które sam w sobie nosił.

Nie chciał się przyznać do tego przed samym sobą, ale ta degradacja ciała, te blizny miały swój urok, chory urok, jak czasem pociąga zdjęcie trupa.

Wszystko nakreślił mu Stam, kiedy siedzieli w kawiarni, już po próbach, i rozmawiali o tym, co tworzą.

– Wiesz, to trudno wytłumaczyć – powiedział. – Czego szukamy. Wiem, jak to może dla ciebie wyglądać, ale uwierz mi, to nie tylko zabawa znudzonych trzydziestolatków.

– Nie wątpię.

– Mimo to wydaje ci się, że oszaleliśmy?

– Nie – próbował zaprzeczyć. Nie wyszło mu.

– W porządku – Stam wydawał się rozbawiony. – My też tak myśleliśmy. Nadal czasem myślimy. To trudne do ogarnięcia, ale dużo o tym rozmawialiśmy. Wiesz, na początku to chyba faktycznie była zabawa... Szaleństwo, underground. Jak się spotkaliśmy, to wiedzieliśmy, że chcemy coś zrobić, coś nowego... Bez żadnej ideologii. Tylko że po miesiącu wyszło nam, że bez idei to jest gówno warte. Sztuka dla sztuki, komu to potrzebne? Emfera dużo podróżowała, głównie po Azji, słuchaliśmy jak gada i coś w tym było. Nawet całkiem dużo. Wiesz, szamanizm, te sprawy. Ale nie – uspokoił go gestem, widząc zakłopotanie na jego twarzy – nie czarujemy, nic z tych rzeczy. Nie, nie o to nam chodzi.

Szukał słów.

– Zastanawiałeś się kiedyś, co jest istotą człowieczeństwa?

– Nie... nie wiem.

– Każdemu się wydaje, że to jakiś pieprzony banał. Ale zapewniam cię, że nie. Mamy duszę i każdy o niej gada. Ale co z ciałem? Czy faktycznie umiera po śmierci? A jeśli ciało też ma w sobie, jakby to nazwać... Swoją esencję? Coś pierwotnego, niezbywalnego?

Wywody Stama brzmiały mdło, jak kazanie kiepskiego księdza, który wciąż rozprawiał o karze za grzechy.

– No więc pomyśl sobie, co sprawia, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy? Wiem, geny, ok. Ale jeżeli nie tylko geny? Jeżeli jest coś jeszcze, trudne do określenia i znalezienia, coś, jakby forma, sama forma, bez osobowej treści? Masz mnie już za świra?

– Nie.

– Wiem, że masz, ale ciągle słuchasz. Ja też słuchałem i śmiałem się po cichu, ale potem... W każdym razie, gdyby istniała właśnie taka esencja człowieka? Esencja męskości albo kobiecości? Czy można by do niej dojść na drodze eksperymentu? Pomyśl, że tak mogłoby być. A gdybyśmy otrzymali taką właśnie idealną formę, ale jak już mówiłem, oddzieloną od konkretnego jestestwa, konkretnego człowieka? Gdybyśmy uzyskali kobiecość, na przykład, dokonali przemiany, potrafili wyizolować ją z ograniczeń, jakie narzuca osobowość, treść? Czy to nie byłoby wspaniałe?

– Macierzyństwo...

Słuchał tego całego bełkotu, słuchał słów próżnych, wątych herezji i kłamstw, w które uwierzyli, i choć nie wywołało to w nim żadnego uniesienia, wypowiedział na głos swoje myśli. Stam jakby na to czekał.

– Właśnie, dokładnie! Rozumiesz, o co mi chodzi! – wymachiwał z podniecenia rękoma.

– Macierzyństwo jako najgłębsza forma, macierzyństwo wyekstrahowane, ucieleśnienie idei, dokładnie tak! A gdyby ją przełożyć, tę formę? Przenieść na mężczyznę? Czyż nie byłby to dowód, że idziemy słuszną drogą?

Przecież nic nie wiedział. Nie wiedział o jego ukrytych pragnieniach, o jego potajemnych fantazjach, o tym, o czym nikomu nie opowiadał. A teraz je wyciągał, jako własne myśli, własne szaleństwa, myśli o zmianie, o przekształceniu, którego nikt nie mógł mu ofiarować. Czy dla Stama wychodziło to poza szczeniacką pseudofilozofię, mogłoby osiągnąć status prób, chirurgicznych zabiegów? Czy tak mogłoby się stać?

– Ja też mógłbym ci coś powiedzieć – odważył się. – Coś ważnego. O sobie.

Kiedy już mówił, czuł, jak lata samotności wracają do niego.

Po raz pierwszy to zignorował.

\* \* \*

Wiedzieli. Teraz już wszystko. Otworzył się przed nimi, choć to nie było łatwe. Powiedział, odkrył karty. Nic więcej nie mógł im ofiarować.

Teraz oni chcieli ofiarować coś jemu.

Wydawało im się, że pasuje jak brakujący klocek do kolekcji, że czekali na niego, że dlatego Sztuka ciągle pozostawała sztuką, bo szóstka, pomimo mistycznych alegorii, ustępowała przed siódmką. Był im potrzebny, jak mogli tego wcześniej nie zrozumieć. On, tylko on, nie ktoś przypadkowy z ulicy, bo to, że go poznali, nie było przecież przypadkiem.

Emfera niedługo później tłumaczyła mu kolejny aspekt ich pokręconej filozofii:

– Ludzkie ciało to mnóstwo niewykorzystanych możliwości. Żołądek, jelita, płuca, macica... Ale tam jest miejsce na więcej. Skóra jest elastyczna, prawie jak plastelina, można ją przekształcać... Czy wyobrażasz sobie, na co to pozwala komuś, kto wie, co robić?

Zaprzeczył ruchem głowy.

Faktycznie, nie potrafił sobie wyobrazić, do czego zmierza jej rozumowanie.

– Jogini na przykład. Wielu z nich zbadało granicę, wiedzą, na co mogą sobie pozwolić. To, co robimy, musi wydawać ci się głupie, może okrutne, ale to właśnie poszukiwanie granicy. Chcemy wiedzieć, do czego zdolne jest ludzkie ciało. To nie jest po prostu krwawa zabawa, nawet jeśli tak wygląda. Ciało – powtórzyła. – Skóra. Połącz to ze sobą, jeśli chcesz zrozumieć. A gdyby człowieka zmienić? Wiesz, ile można zdziałać za pomocą skalpela? My nie okaleczamy, to wielki eksperyment. Cała reszta... Och, to jedynie zabawa. Wiesz, że dajemy też pokazy? Ale to tylko udawanie, które dobrze wygląda. Potrzebujemy pieniędzy. Żadne z nas nie pracuje, tylko Mania czasem dorabia. Teraz to jest nasze życie. Inaczej się nie da.

Była szalona, podobnie jak pozostali, i dopiero teraz to rozumiał. Nie mogli mu niczego zaoferować, niczego zmienić.

Nie rozumiał ich fascynacji.

Po tej rozmowie wiedział, że musi zniknąć, przynajmniej na jakiś czas. Póki jeszcze go nie wciągnęło, póki jeszcze nie zaraził się ich obsesją.

Musiał odejść.

Niczego nie tłumaczył. Mania zadzwoniła kilka razy, ale w końcu i ona dała spokój. Był jej za to wdzięczny.

Raz przyszedł na przedstawienie. Wynajmowali małą salę, mieściło się może kilkadziesiąt osób. Ludzie przychodzili chętnie, płacili za bilet, to było coś nowego. Z czasem zyskali grupkę oddanych fanów, którzy przychodzili częściej od innych, być może zaczęli rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Prorocy i wierni.

Odszedł i nie żałował. Czy czegoś mu brakowało? Spoglądając na scenę, musiał stwierdzić, że tak. Ale czego? Czego tak naprawdę od nich chciał? Co mogli mu ofiarować?

Scena pulsowała. Dawali więcej, niż myślał, nawet tu, na przedstawieniu, choć tym gardzili, tania prostytutka Sztuki.

Puls i rytm. Mania pojawiła się na scenie ubrana w długą, prześwitującą szatę. Nie widział, czy pod spodem była naga, ale chyba nikt nie zwracał na to uwagi. Uwaga widzów skupiona była na czymś innym.

Łańcuchy.

Wyrastały z ramion na wysokości łokci. Grube mosiężne ogniwa wydawały się naturalnym przedłużeniem ciała, jakby od zawsze tam były albo powinny być. Jakim cudem się trzymały?

Wiedział, podejrzewał, że to sztuczka. Sprytny trik, maskowany przez odpowiednio dobrane oświetlenie. A jednak umysł dał się zwieść. Uwierzył, że łańcuchy naprawdę są częścią jej ciała. Działo. A skoro znał ich metody, a mimo to dał się oszukać, jak czuli się pozostali?

Pojawili się Marx i Stam. Chwycili za łańcuchy i pociągnęli do siebie. Mania jęknęła, lecz niczego nie usłyszał, jedynie zobaczył, jak jej twarz wykrzywia się z bólu. Było to autentyczne, znał ją na tyle, by to wiedzieć. Fałsz przechodził w prawdę, ten kto potrafił odgadnąć, gdzie kończy się spektakl, a zaczyna mistyka krwi i bólu, stawał się strażnikiem tajemnicy.

Rozłożyła ręce. Wciąż ciągnęli, jakby chcieli rozerwać ją na pół. Z tyłu reflektor wydobywał szczegóły. Łańcuch naprężył się, stal rwała ciało. Gdzieś, na granicy widzenia, pocięła krew. Kap, kap, zaledwie kilka kropel, kap, kap, podłoga zabarwiła się szkarłatem, czy to była jej krew, czy może kolejny rekwizyt, ukryty gdzieś w fałdach szaty?

Pojawiła się Emfera. Miała na sobie dzinsy i glany w dzikim czerwonym kolorze. Niosła misę, z której unosiła się para. Jej kłęby zasnuły scenę. Wydawało się, jakby sylwetki nagle zaczęły się rozpląwać, łańcuchy zmieniać w węże poruszające się płynnie razem ze sceną.

A potem wydawało mu się, że przekroczyli barierę, że poszli za daleko, faktycznie dokonali czegoś, co możliwe nie było.

„Opętanie”, teraz zrozumiał tytuł przedstawienia. Z tyłu, na murze, wielki wbity klin, dwa grube żelazne trzpienie. Podchodzą, za nic mając cierpienie uwiązanej, para z misy jest narkotykiem, to nie ulega dla niego wątpliwości, czuje jej gryzący aromat, który już zdryfował w najdalsze zakamarki sali. Już wszyscy są w jego władzy, pod jego wpływem. Nic nie obudzi ich sprzeciwu, nie wzbudziłoby go nawet lądujące na dachu UFO, z którego wysiadłby Chrystus, nie, nic nie powiedzą, będą jedynie klaskać, będą żądać więcej i więcej, już są zakładnikami Sztuki, a stąd nie jest tak łatwo wrócić.

Rozstawiła ręce w geście zaproszenia. Chodźcie do mnie, chcę, abyście się ze mną związali, zespolili, łańcuch jest gruby i długi, starczy dla wszystkich.

Oto wcielenie Zbawiciela albo raczej Zbawicielki umierającej na krzyżu z metalu, z ogniw, z pracy kowala, z wysiłku huty, oto ona, a krew jest prawdziwa. Bierzcie i pijcie.

Mania zawisła na moment w powietrzu, trzymały ją tylko łańcuchy, nic ponadto, podczepiona do metalowych trzpieni, które utrzymywały jej wątłe ciało, stal silniejsza od mięśni, wola mocniejsza od bólu.

Teraz był czas chirurga.

Marx założył rękawiczki. W dłoni błysnęła stal, ostrze było dobrze widoczne, może wziął większy skalpel, a może robili coś ze światłem, lustra, soczewki, kierowali uwagę widzów tam, gdzie chcieli, a to akurat miało znaczenie. Biel rękawic, blask ostrza, kompozycja artystyczna, impresjonizm na żywo. Obserwował i wydawało mu się, że czas zwolnił. Czy

tym również manipulowali, czy ich metody sięgały tak daleko? Ale to zapewne narkotyk, halucynacja, nic więcej.

Błysk i skalpel ciął już skórę. Wykwitała czerwona rysa, w poprzek, poniżej linii piersi, aż do podbrzusza, a potem druga, kreślona wprawną ręką. Artysta – malarz ciała dawał z siebie wszystko.

Mania krzyknęła. Ból przetoczył się przez salę, lecz był to ból podszyty ekstazą. Narkotyczna rozkosz, cierpienie równe przyjemności. Ostra linia krwi, czyż cię nie ukrzyżowaliśmy? Was też to czeka. Patrzcie i drżycie, teraz to tylko ostrzeżenie. Ale później...

Przyjdę was zbawić.

Jej twarz wydawała się rozmytą plamą, nic nie odwracało uwagi od rytuału, od przedstawienia.

A chirurg wciąż robił swoje.

Kolejne nacięcia przebiegały wzdłuż ciała. Jak głęboko prowadził ostrze? Czy zahaczał o wnętrzości, rozdzierał je na trwałe, robił z niej kalekę?

Krzyk ustał. Nacięcia tworzyły geometryczne linie. Krzyż był motywem centralnym, ale krwawa siatka nadawała całości sens, ich sens, celowe działanie, przyjdę i będę sądził, czekajcie w trwodze.

Obraz z krwi wymalowany na skórze, a płótno ciała wisi na łańcuchach. Dopiero teraz, z daleka, rozpoznał kontury.

On i ona, Bóg i Bogini. Hermafrodytyzm ucieleśniony.

I wówczas zrozumiał. Zrozumiał, jak podle go wykorzystali. Parodia tego, o czym im powiedział. Mania wisząca na łańcuchach stawiała się nim, kobietą i mężczyzną w jednym, a nagroda, przemiana, wiodła przez cierpienie.

Ale to była tylko maskarada, cierpienie nadaremno. Czy gdyby się z nią zamienił, marzenia stałyby się rzeczywistością?

Wyszedł, nie chciał już patrzeć. Miał dość spektaklu i Sztuki, czy raczej sztuki, zwyczajnej „sztuczki”.

Ale gdzieś pozostała obawa. Że wszystko, co widział, mogło być jednak prawdą.

Że znaleźli sposób. Że odkryli tajemnicę.

Jaką?

Przemiana wody w wino, śmierci w życie. A może, co najistotniejsze, kobiety w mężczyznę.

Odgonił tę myśl, ale wątpliwości wracały jeszcze długo.

\* \* \*



Poranna kąpiel. Chwile spędzone w błogiej nieświadomości. Piana i ciepła woda, ciało ukryte pod powierzchnią, jego zdrada nie kłuła tak mocno. Można było wyobrazić sobie wszystko.

Ale to dalej nie przestawało być kłamstwem.

Chciał to zmienić. Od kilku miesięcy, może lat, myślał o operacji, ale dopiero teraz podjął decyzję. Wiedział, że to potrwa, i nie chciał jeszcze zastanawiać się, jak będzie wyglądało jego życie później. Marzenia kosztowały. Dostał jednak kredyt i nie martwiło go, jak wiele lat zajmie mu jego spłacanie. Pieniądze nie grały roli. Nie, gdy mógł stać się tym, kim chciał.

Wyszedł, wytarł się ręcznikiem i pospiesznie ubrał. Zaparzył sobie kawy, mocnej, bez cukru, żeby dodatkowo go rozbudziła. Patrząc przez okno, przypomniał sobie o dziewczynce. Teraz była zapewne w szkole, dochodziła ósma.

Na dole czekała na niego niespodzianka. Na schodach siedziała dziewczynka.

Podszedł, zupełnie spontanicznie, ignorując lęk, który w nim narastał. Uśmiechnął się, a kiedy jej to nie przstraszyło, podszedł bliżej.

– Cześć – zagaił, nie mając pojęcia co dalej.

– Cześć – odpowiedziała. Z bliska, kiedy mógł się jej przyjrzeć, wydawała się starsza. Trzynaście, może czternaście lat. Spod bluzeczki wystawały ramiączka stanika.

– Co tu robisz? Nie powinnaś być w szkole?

Nie chciał być wścibski i gdy tylko to powiedział, wystraszył się, że ją spłoszył, że nakreślił między nimi granicę. Ale odpowiedziała.

– Nie. Nie dzisiaj.

Co dalej? Co powinien zrobić?

Wybawiła go z opresji.

– Jestem Nicole – powiedziała, podając mu rękę. Ucisnął ją lekko, tak, jak uczyniłaby to kobieta. Miała smukłe palce, dłuższe paznokcie, odrobinę zaniedbane. Tyle zdołał dostrzec.

Z pewną niechęcią przedstawił się jej swoim męskim imieniem. Palilo go w przełyku, szczególnie teraz, gdy zdecydował się na zmianę. Wiedział, jakby go potraktowała.

– Gdzie mieszkasz? – zapytała go nagle, a on nie ukrywał, jak bardzo go to zaskoczyło

– Niedaleko... Po przeciwnej stronie ulicy.

– Obserwowałam cię – znów go zaskoczyła. – Jesteś inny.

Nie mógł jej powiedzieć, że robił dokładnie to samo.

– Jestem głodna.

– To dlaczego nie pójdziesz do domu?

– Nie mogę. Nie mam kluczy.

Kłamstwo?

Popatrzył za siebie i na boki. Na podwórku nie było nikogo więcej. Choć nie miał czasu, a ponadto wiedział, jak odebraliby to inni, zaproponował:

– Jeśli się nie boisz, możesz zjeść coś u mnie.

Zastanawiała się tylko chwilę, jakby odgrywała swój fragment przedstawienia.

– W porządku. Nie chce mi się dłużej siedzieć na tych głupich schodach.

Nigdy wcześniej, pomyślał, nigdy wcześniej nikt tak bardzo mu nie zaufał.

\* \* \*

Nicole trochę się myliła, sądząc, że to on jest inny. Ona również była inna, choć nie wydawało się to aż tak oczywiste. Przede wszystkim była nad wiek rozwinięta emocjonalnie, a przecież nie skończyła jeszcze czternastu lat. Tylko ciało miała jeszcze niedojrzałe – spiczaste ramiona i na poły dziecięca sylwetka.

Duch rozwijał się widocznie szybciej niż materia.

Od tamtego dnia, gdy zaprosił ją do siebie, często rozmawiali. Czasem o niczym – to też pozwalało mu odpocząć od myślenia, co czeka go w najbliższej przyszłości. Medycyna na jednej szali, natura na drugiej – kto zwycięży?

Nie powiedział jej tego, przecież jeszcze nie mógł, nie umiał, ale za to mówił jej bardzo dużo o swoim życiu. Na tyle szczerze, na ile potrafił.

Przychodziła tak często, jak mogła, aby tylko nie wzbudzać podejrzeń. Zbyt dobrze znał ludzi. Sprawy z pozoru błahе rosły, a potem wracały do właściciela pełne jadu i nienawiści. Nie chciał, żeby ją to spotkało, zresztą, jemu też nie było to potrzebne. Pedofilia – skojarzenia nasuwały się same.

Dlatego najczęściej spotykali się na mieście.

Czasem aż go przerażała jej dojrzałość, sposób myślenia, ale nie dawał tego po sobie poznać. Czy mogła stać się przyjacielem? Czy mógł jej powiedzieć o sobie wszystko?

Często jednak odzywał się w nim zupełnie inny głos. Gdy na nią patrzył, widział dziewczynkę, dziecko, które potrzebowało opieki, które wciąż mogło ucierpieć w zetknięciu ze światem dorosłych.

Chciał stać się dla niej kimś więcej.

Ich spotkania nie trwały długo. Kiedy czasem przychodziła do niego do domu, konspiracyjnie wpuszczał ją do środka. Wówczas rozmawiali i zachowywali się znacznie swobodniej. Kiedy wychodziła, tęsknił. Jednak wiele spraw toczyło się obok, swoim tempem, spraw ważnych, którym musiał poświęcić czas i uwagę.

Zmiany. Następujące po sobie, jedna po drugiej.

Oczekiwał na nie z utęsknieniem i strachem.

\* \* \*

Pierwsze badania poszły sprawnie i po dwóch tygodniach miał jasny obraz sytuacji – tego, co w najbliższym czasie z nim się stanie. Chodził też do psychologa. Pierwszy test,

pełen dziwnych i niezrozumiałych pytań, poprzedził wizyty u następnych specjalistów. Psychiatra i seksuolog, lekarz rodzinny, okulista, badania biochemiczne, rezonans magnetyczny, dziesiątki dalszych testów, których nie rozumiał, ale które uważano za konieczne, aż wreszcie na końcu endokrynolog i początek kuracji hormonalnej.

Rozpoczęło się.

Nowe życie, w którym jednak dni dziwnie mu się dłużyły. Czasem myślał o Grupie i zastanawiał się, co porabiają jej członkowie, ale przeszła mu już złość i żal. Zresztą, stali się dla niego bladym wspomnieniem, bardziej duchy niż ludzie.

Nicole przychodziła coraz częściej. Przestali się kontrolować i wiedział, że niedługo zaczną się plotki. W domu powiedziała, że chodzi na korepetycje z matematyki, ale chyba niewiele to pomogło.

Często przychodziła zła – wiedział, że chodzi o rodziców, choć nie działo się nic złego, bo i o to odważył się ją kiedyś spytać. W obawie, oczywiście, że odkryje jakąś ponurą prawdę. Może za dużo naoglądał się filmów, w których zło i krew przelewały się z ekranu.

Zastanawiał się też, co ona o tym myśli. O ich spotkaniach i o trzydziestoletnim samotnym facecie, który na półkach ma same książki przyrodnicze i literaturę piękną, głównie romanse. Czy w ogóle przyszło jej na myśl, że coś jest z nim nie w porządku?

Kuracja hormonalna dopiero się zaczęła i Nicole nie zdołała jeszcze niczego zauważyć, a tymczasem on zauważał aż za wiele – jak w podziw godnym tempie rozwijała się jej fizyczność, jak ciało kobiety połykało ciało dziewczynki. Przyglądał się jej i zastanawiał, kim bardziej mogłaby dla niego być: przyjaciółką czy córką? Nie, córką nie, cóż za absurd, nie dzieliła ich aż taka różnica wieku, choć przecież zdarzały się młode matki, mógłby być taką matką, i nie narzekałby, ani przez sekundę, nigdy, o nie, niósłby to nie jak krzyż, ale jak odznaczenie. Córka, moja córka.

Jej seksualność zupełnie go nie interesowała, a jednak i w tym było coś urzekającego.

Pączek stawał się kwiatem.

Czasem jednak te chwile zastępowały niezrozumiałe lęki. Obawy i stres, praca i terapia hormonalna, to wszystko sprawiało, że nie czuł się najlepiej. Zdarzało mu się budzić w nocy i krzyczeć – ale jakimś nie swoim, nieznanym głosem, głosem z pierwotnej puszczy, obcym i dalekim, nie, to nie ja, gdzie się zagubiłem? Wstawał wtedy i szedł do łazienki, gdzie puszczał na siebie strumień zimnej wody. Gdy trzeźwiał, starał się sobie przypomnieć, co mu się śniło.

Obserwował zmiany. Jednakże nie działo się to tak szybko, jakby tego pragnął, jeszcze nie rosły mu piersi i wciąż mówił swoim dawnym, zniechęconym głosem, tym basowym rykiem, który nie miał w sobie nic z delikatności jego duszy, panowie i panie, czemu nie potraficie dostrzec więcej, wiedzielibyście, kim jestem.

Praca i dom, Nicole przynosząca świeże bułki, Nicole coraz częściej przychodząca do niego, zamiast do szkoły, i te momenty, gdy zastanawiał się, kiedy ona spostrzeże jego

przemianę. Tak, jakby było to namaszczenie, błogosławieństwo, ostateczna akceptacja, ostatecznie cięcie skalpela, po którym dokona się cud. Czy zapyta, co się z nim dzieje, czy sam jej o tym powie?

Raz poszedł do knajpy, sam nie rozumiejąc po co, i spotkał tam Manię. Była sama. Nie zamierzał z nią rozmawiać, ale przysiadła się, jakby nic nigdy się nie stało, jakby nie zostawił ich wszystkich w tej przeszłości, od której zamierzał się odciąć. Nie potrafił być obcesowy, nie potrafił powiedzieć jej, że nie chce mu się gadać, żeby dała mu spokój. Usiadła. Zamówiła piwo i sączyła je drobnymi, ale łapczywymi łykami. Uśmiechała się kącikiem ust.

– Czemu już nie przychodzisz? – zapytała, wpatrując się intensywnie w jego ubranie, szarą nijaką kurtkę, która doskonale maskowała noszony pod spodem biustonosz. Ostatnio często go nosił, przyzwyczajał się do nowej roli.

– Byłem na waszym spektaklu – mówił spokojnie, to było już za nim. – Widziałem, jak się ze mnie naśmiewacie.

– Nie, to nie tak... – Skrucha? W jej oczach trudno było cokolwiek wyczytać. – Słuchaj, to raczej inspiracja. Zresztą, byłeś tam. Czy naprawdę wyglądało to na kpinę?

Nie. To wyglądało na rzeźnię. Krew na ulicach, walki byków, zamieszki, ludzie stratowani przez czołgi. Czy wyglądało to na kpinę? Teraz pamiętał jedynie emanujący ze sceny ból.

– Zresztą... To nie było naprawdę.

– To oszustwo?

– Tak. Nie, po prostu... Czy ty sobie wyobrażasz, że jestem z żelaza? Ile razy dałabym radę coś takiego przeżyć? Do cholery, zrozum, musimy jakoś zarabiać...

– Ale to co widziałem wcześniej... To na próbach.

– To było na poważnie.

– Muszę już iść – powiedział tylko i wyszedł. Chwyciła go za rękę, ale się jej wyrwał.

Nie pobięła za nim, ale gdy wychodził, ciągle czuł jej spojrzenie.

\* \* \*

I dom, ten dom bezpieczny, prawie jak kokon, gdzie powoli się przepoczwarzał, gdzie odrzucał skorupę, choć trzymała mocno, czuł ból tej przemiany. Rozmyślał o pracy i Nicole, o spotkaniu w knajpie i oszustwie. Po co mu to było?

W radiu leciała smętna muzyka, muzyka do snu, muzyka do grobu, w bebeczach radia krążyły smutne nuty, a w jego wnętrzu krążyły hormony, małe trybiki, budowniczości nowej stolicy, hej, do przodu, wytyczyliśmy cel, nagroda czeka na samym końcu, najpierw jednak czeka nas praca.

Usłyszał pukanie. Za drzwiami stała Nicole. Była mokra. Bóg raczy wiedzieć czemu, skoro na dworze nie padało.

– Mogę wejść? – zapytała. Mimowolnie spojrział na zegarek, była prawie ósma wieczór.

– Ale przecież...

– Starzy nic nie wiedzą. Gównu ich to obchodzi.

Wpuścił ją, oczywiście. Okazało się, że tylko kurtka była przemoczona. Spojrział na nią i zdziwił się, jak mało było w niej już z dziewczynki, a jak wiele z kobiety.

– Nie chcę już tam mieszkać. Mam dość tego miasta.

Nie spierał się, wpuścił ją dalej, do pokoju.

Siadła na fotelu i w tej pozycji też było coś więcej, jakaś urojona scena z dawno zapomnianego filmu, zabrakło tylko gagów i faceta w za dużych butach, co chwila potykającego się o sznurówki. Czekał na główny akt.

– Zostanę u ciebie – oznajmiła, nie zapytała.

– Ale przecież...

– Damy sobie radę – wstała i teraz był już pewien, że zaszła u niej jakaś głęboka transformacja, że stała się eksperymentem aniołów, cud przemiany dokonany w sekundę, najpierw dziecko, a w mgnieniu oka już dorosła kobieta.

– Wiem, wiem, czego mężczyźni chcą...

Zaczęła ściągać sweter, a pod spodem nie miała biustonosza. Małe, jasne piersi i mocno czerwone sutki, jakby tam napłynęła teraz cała krew. Cofnął się, a ona podeszła, nieśmiało, mimo odwagi, niebywale, by posunąć się aż tak daleko, ciągle się bała, nie wiedział, co tak naprawdę nastąpi za chwilę.

Jasna skóra, a przecież nie o tym myślał, nie chciał od niej niczego, a na pewno nie tego, co zamierzała mu ofiarować...

– Ale ty masz dopiero 14 lat... – próbował się bronić.

– Robię to, bo tego chcę. To nieważne, ile mam lat.

Zrobiła kolejny krok i kolejny... Jak miał się ujawnić?

– Nie – zastopował ją. – Nie. Ja po prostu...

– Nie chcesz mnie? Widziałam, jak na mnie patrzysz.

Nie, chciał zaprotestować, nie z tych powodów, o których myślisz, źle odczytałaś moje intencje, daj mi spokój, odejdz, odejdz, zostaw mnie z moimi myślami i pragnieniami...

– Wróć do domu – chwycił jej ubranie i podał szybkim, przesadzonym ruchem, starając się nie patrzeć na jej ciało dojrzewającej kobiety.

Gdy zrozumiała, że nie żartuje, zabrała rzeczy i wyszła. Jeszcze tylko popatrzyła zimno. Takiej też jej nie znał. Coś pękło, coś się skończyło, kolejna ofiara, którą należało ponieść dla dobra przemian.

Musiał stąd odejść.

Zmiany wymagały także i tego.

\* \* \*

*Często się zastanawiam nad wszystkim, co wydarzyło się przed wyjazdem. W tym nowym miejscu jest inaczej, nie na tyle jednak, bym mogła czuć się całkowicie swobodnie. Zresztą tu też ludzie żyją podobnie, chodzą do pracy, spotykają się, żeby poplotkować, żadna nowość. Czasem siadam w parku, by przyglądać się kobietom z dziećmi. Wtedy tęsknię za Nicole i żałuję, że nie jestem jej matką. Prawdziwą. Biologiczną. Nie potrafię się od tego uwolnić. Wciąż tęsknię.*

*Chciałabym mieć własną Nicole. Takie proste marzenie.*

*Jestem na to gotowa od wielu lat.*

\* \* \*

Hormony zrobiły swoje i nadszedł czas krwi. Teraz miał rządzić skalpel, data operacji była już ustalona. Trochę się bał, skłamałby, gdyby powiedział, że jest inaczej. Lekarz, który go prowadził, powiedział mu, że pacjenci M/K mają łatwiej, że operacja jest prostsza, a efekt o wiele lepszy. Mówiąc najprościej, wykastrowują go, a z fałdów brzusznych uformują kobiece narządy płciowe. Efekt miał być prawie nie do odróżnienia, przynajmniej dla kogoś, kto nie wiedział o operacji. Największy problem nie leżał zresztą w narządach płciowych, tylko raczej w owłosieniu twarzy, budowie szczęki. Miał to szczęście, że był raczej delikatnych kształtów, jak określił to lekarz.

Starał się nie przejmować. Gdy nadszedł ten dzień, czuł się spokojny, a przynajmniej zrelaksowany. Nie było w nim oczekiwania ani niecierpliwości – oba uczucia towarzyszyły mu przez ostatnie miesiące, aby teraz ustąpić miejsca łagodnemu odprężeniu.

Próbował poznać nowe miasto. Zdecydował, że teraz nie zamierza już udawać i będzie po prostu sobą. Kobieta. Nie zależało mu na uwadze, nosił luźne stroje, ale starał się podkreślić twarz, robił sobie makijaż, niezbyt mocny. Zawsze starał się być gładko ogolony, golił się więc dwa razy dziennie. Stosował specjalne kremy na podrażnienia skóry, bo nagle jego policzki zrobiły się o wiele delikatniejsze. Nosił zwiewne bluzki, choć unikał dekoltów, piersi, jeśli w ogóle mógł już o nich mówić, były jeszcze za małe, jak w okresie dojrzewania. Czasem wypychał biustonosz, co dawało całkiem dobry efekt. Nosił dzinsy, nie odważył się jeszcze na sukienkę, zdając sobie sprawę, że jego nogi pozostawiają wiele do życzenia. Włosy zapuszczał już wcześniej i w tej chwili urosły na tyle, by mógł wiązać je z tyłu w zgrabny, koński ogon.

Gdy spoglądał w lustro, podobał się sobie. Nie wyglądał ani wyzywająco, ani brzydko, a wszystkie pozostałe mu jeszcze atrybuty męskości udawało się ukryć. Dokumenty były w trakcie wyrabiania, kilka razy jeździł do urzędów, by załatwić tę sprawę.

Nowy dowód, nowe imię i nazwisko.

Tożsamość zrestartowana.

Już teraz rosła w nim ta potrzeba, ta tęsknota za byciem z kimś, ale się nie odważył. Nie poszedł do knajpy podrywać mężczyzn – wieczorami siedział w domu i rozmyślał. Nie miał siły skupić się na niczym, poza błahymi artykułami w kolorowych gazetach, opowiadającymi o kolejnych romansach gwiazd.

To nowe miejsce dało się lubić.

Nie wiedział, czy zostanie tu na zawsze. Wiedział natomiast, że podjął decyzję.

Dawno temu.

Nie zamierzał wracać.

\* \* \*

Operacja poszła sprawnie, hormony robiły swoje, kilka dni w szpitalu, mdłości, trochę bólu. I wreszcie stał się kobietą.

Stoi przed lustrem, uśmiecha się sam do siebie. Nowe życie. Nowa tożsamość. Zakłada czarne rajstopy i po raz pierwszy fioletową, plisowaną sukienkę. Czuje się seksowny, czuje, jak pulsuje w nim ta iskra kobiecości, oddech Bogini. Złożył ofiarę. Zyskał nagrodę.

Chce się podobać. Gdy przegląda się w lustrze, wie, że będzie. Łagodne rysy, nie szpeci go wystająca szczęka. Nikt nie ma prawa podejrzewać, kim był.

Poznaje ludzi. Wciąż jest nieufny, ale stara się wszystko poukładać, powoli, krok po kroku. Nowe papiery, nowe imię w dokumentach. Musi znaleźć pracę. I wie, że znajdzie.

Uczy się żyć na nowo. Uczy się, jakby był noworodkiem.

\* \* \*

*Zdjęcia z dzieciństwa, których nie mogę pokazywać. Gdy pytają, mówię, że nie mam. Co miałabym im pokazać? Smutnego chłopca, patrzącego lękliwie w stronę aparatu? A potem chwila zdziwienia – byliby przekonani, że sobie z nich żartuję. Czy ktokolwiek by pomyślał, wziął pod uwagę moją przemianę? Znalazł odpowiedź na to, kim jestem?*

*Koleżanki, kilka ich mam. Niektóre lepsze, inne gorsze, ale żadnej nie nazwałabym przyjaciółką. Bo przyjaciółom można się zwierzać ze wszystkiego, a w tym przypadku jestem pewna, że to nie wyszłoby nam na dobre.*

*Chyba brak mi zaufania do ludzi.*

*Nowa praca jest w porządku, ale i tam oczywiście nie przyznałam się do swojego wcześniejszego życia. Przecież tak naprawdę zmieniło się jedynie ciało, dlaczego kogokolwiek miałoby to obchodzić? Gdy ktoś idzie do chirurga plastycznego poprawić sobie nos, to nie obwieszcza tego w każdym kolejnym CV, prawda?*

*Chociaż nie jest mi tu źle, często, sama nie wiem dlaczego, zastanawiam się nad powrotem.*

\* \* \*

Sen, jak burza z piorunami, nieczęsto, ale intensywnie. Wystarczy, by obudzić dawne lęki.

Potem leży i myśli, choć najpierw, zdjęty przerażeniem, zawsze zagląda pod kołdrę. Jest sobą. Ma piersi, małe jeszcze, ale już wyraźnie widoczne. Ciągłe rosną. Także tam – na dole – jest już inny. Już po operacji. Od dawna. Od dawna może chodzić do damskiej toalety i nikomu nie wydaje się to dziwne.

Lecz sen, sen mówi o tym, o czym próbuje zapomnieć. O tęsknocie, odległej i bolesnej, gdy przechodził obok kobiet z wózkami. Gdy odwracał głowę i udawał, że nie widzi. Że go to nie obchodzi.

W tym śnie ona jest jego córką. Ma dwa lata, ale twarz dojrzewającej dziewczyny, dokładnie taką, jak zapamiętał. Nicole. Na jej ustach błąka się uśmiech, kiedy prowadzi ją za rączkę, kobietę i dziewczynkę w jednym, powinni się dziwić, lecz przecież dla ludzi ze snu to całkiem normalne, nie takie cuda widzieli.

Nawet on nie jest tu żadnym dziwactwem.

Teraz jedzie. Jedzie, mija te same pola, zna je na pamięć. Kiedy wysiada, czuje się, jakby doznał *déjà vu*, bardzo silnego.

Ale idzie dzielnie, obcasy niezbyt wysokie, a jednak na pewno nie takie, jakie mógłby nosić normalny mężczyzna. Spodnie w kant, luźne i eleganckie, do tego marynarka i obowiązkowy makijaż. Idzie. Musi i chce ją zobaczyć.

To dopiero pierwszy z kroków.

\* \* \*

Dawne mieszkanie. Nie wszedł na górę, nie miał po co, zresztą ktoś tam już pewnie się wprowadził. Usiadł w cieniu, na ławce, i obserwował.

Ile lat minęło? Cztery. Wtedy po raz ostatni widział Nicole. Co się z nią teraz działo? Miała prawie osiemnaście lat, była dorosła, przynajmniej oficjalnie.

Nie miał pewności, czy ciągle tu mieszka. A jeśli uciekła, porzuciła to życie, którego tak nie lubiła?

W każdym razie czekał.

W jakiś sposób bał się, że miasto go rozpozna. Nie ludzie, oni przechodzili obojętnie, choć, jak mu się wydawało, gdzieś w przelocie minął po drodze nawet kilku dawnych znajomych. Miasto. Suma wszystkich myśli i zdarzeń, niechęci i wrogości jednych ludzi do drugich. To tu było, wisiało w powietrzu, ciężkim i zawiesistym, wypełnionym spalinami.

Nie mógł tu zostać zbyt długo.



Wreszcie nadeszła.

Na początku jej nie rozpoznał. Zmieniała się, o tak, zmieniała się bardzo.

Jej twarz zszarzała. Wyglądała na zmęczoną, bardzo zmęczoną i szybko odkrył dlaczego, choć nie potrafił uwierzyć.

Wózek, jak kara za grzechy, jak przeznaczenie, wózek, który pchała przed sobą, królowa utrapienia, żona Syzyfa, wózek z dzieckiem w środku, niewątpliwie to właśnie był powód. Kto kupił jej niewinność, kto ją posiadał albo raczej – komu ją oddała?

Podszedł, nie poznała go.

Nie, oczywiście, że nie.

– Znam panią? – zapytała oschłym głosem. – Czego pani chce?

– Ja... – zawahał się. Jakby w jej oczach dostrzegł blask, ale trwał on bardzo krótko. Błysk i nic. Żadnego zrozumienia.

– Przepraszam – tyle potrafił powiedzieć, zanim odszedł, zanim odwrócił się, żeby już nie spojrzeć wstecz, nigdy, nigdy.

Ale widział ją nadal.

Wieczorem, w hotelu, nie potrafił zasnąć. Było mu ciężko oderwać się od myśli o Nicole, Nicole pchającej wózek. Czy tam naprawdę mogło być dziecko, czy może jedynie lalka, manekin, tylko po to, żeby go zmylić?

Wreszcie zasnął i nie śnił. I było mu z tym dobrze, po raz pierwszy tak dobrze.

Ciało odeszło w niepamięć. Nie potrzebował go.

\* \* \*

Była tu, jak zły duch, a on znów dał się jej uwieść.

Podszedł do niej, żeby porozmawiać. Trochę się zmieniła, ale czy wszystko dookoła nie ulegało zmianie?

Kolczyki i makijaż, elementy dawno zapomnianej, tajemnej sztuki. Witaj w naszym kręgu, wezwałeś mnie, więc jestem. Teraz już cię nie opuszczę.

– Cześć – powiedział, czekając na kolejne zdziwienia. Ale Mania była bystrzejsza od innych.

– A więc jednak to zrobiłaś... – stwierdziła po chwili, jeszcze niepewna, czy to naprawdę on, a on był jej wdzięczny, że zwróciła się do niego we właściwej formie. – Gratuluję.

– Tak. Co porabiasz?

– To co zawsze. Staram się robić to, na co mam ochotę.

– Grupa istnieje?

– Jasne. Chcesz ich zobaczyć?

Miał powiedzieć, że nie, nie tym razem, ale zamiast tego pokiwał głową.

– Przyjdź zatem jutro wieczorem. Wiesz gdzie.

Nie powiedziała nic więcej, nie dopytywała się, czy przyjdzie.

Nie musiała.

\* \* \*

Przyszedł tak, jak go prosiła, wieczorem następnego dnia.

Noc spędził w hotelu, dręczony dziwacznymi fantasmagoriami, w których członkowie grupy, zawieszeni u sufitu na grubych, rzeźnickich hakach, spoglądali na niego w milczeniu, a on stał nagi, czekając na ich surowy osąd. Pulsowała w nim krew, rozbolała go głowa, zażył więc tabletkę, ale niewiele pomogła. Wreszcie wyszedł z pokoju.

Zapukał trzy razy. W środku było ciemno i przez moment sądził, że się pomylił, jednak wreszcie ktoś odryglował drzwi. Wcześniej nie było tu zamków, oto pierwsza zmiana, którą zauważył.

Mania uśmiechnęła się i wpuściła go do środka.

Zmiany wewnątrz były subtelne, ale były. Gdy wszedł głębiej, wrażenie nasiliło się. Pomyślał, że przestali dbać o oprawę, i nie pomylił się. Zresztą, sama Grupa była chyba też już inna – na podłodze siedziała tylko Emfera i Marx. Nikogo więcej.

– Trochę się tu pozmieniało – Mania niczego nie wyjaśniała, po prostu stwierdziła fakt. – Zresztą, teraz jesteśmy tylko we trójkę.

– A pozostali?

– To nie było dla nich. Nie traktowali tego tak poważnie, jak powinni. Nie widzieli celu. Celu. No tak.

– Sami zrezygnowali?

Emfera wstała. Patrzyła długo, wzrokiem zimnym i jednoznacznym. Intruz. Nie powinien tu przychodzić.

– Możesz zostać – zdziwił się, kiedy łaskawie zaakceptowała jego obecność. – Zresztą, masz w tym swój udział.

– Mam?

– Owszem. Dopiero po twoim odejściu zrozumieliśmy pewne rzeczy. W którą stronę powinniśmy pójść.

– I w którą stronę poszliście?

– Człowiek nie jest przypisany do tego, co mu narzuca natura. Kto jak kto, ale ty najlepiej o tym wiesz.

– I to jest ta tajemnica?

– Można zrobić o wiele więcej, niż ci się wydaje.

– Nie rozumiem...

Dopiero po chwili podjęła temat.

– Na ile jesteś już kobietą? Ile ci dali, co? Zamienili ci fiuta w cipę i dorobili cycki? Czy to już? Czy to ci wystarcza? Czy to jest według ciebie istotą kobiecości?

Trafiła w sedno.

– Przestań, proszę...

– A można więcej, można! Można dokonać całkowitej przemiany!

W powietrzu unosiło się narkotyczne szaleństwo, które znał i któremu znów się poddawał, jakby Emfera była jego źródłem, tak silnym, że żadna wola nie mogła jej się oprzeć.

– My to wiemy, nie potrzebujemy pewności. Ale ty... Można ci pomóc. Chcę, żebyś do nas dołączył.

Gdy umilkła, wyszedł szybko, nie oglądając się za siebie, nie próbując dyskutować, nie żartując. Próbuje zapomnieć jej słowa.

Mania pobiegła za nim.

\* \* \*

– Jest jeszcze ktoś – wytłumaczyła mu w kawiarni, która mimo późnej godziny była jeszcze otwarta. – Mówimy na niego Ex. Tak się kazał nazywać. Emfera go przyprowadziła. To dziwny gość. Ponoć wiele lat mieszkał gdzieś w dżungli, u Indian... Nie chcesz, to nie wierz. Ale jest chirurgiem, lepszym od Marxa. A ty... Często o tobie mówiła, a u niej to już coś znaczy.

– Dlaczego o mnie mówiła?

– Bo zmieniłaś jej podejście. Otworzyłaś oczy. Coś się zmieniło w jej sposobie myślenia. Ja... Nie rozumiem tego do końca, ale staram się. Tego jednak jestem pewna. Potrzebujemy cię.

– Po co? Co mogę wam dać?

Mania nie odpowiedziała. Wpatrywała się w niego tak intensywnie, że musiał się odwrócić.

Ale wiedział, co powie.

Paradoksalnie, gdzieś w głębi, czekał na to. Czekał, aż zaoferują mu skok z samolotu bez użycia spadochronu.

– Jesteś dla niej jak półbóg. Twoja przemiana... Nie wiem, jak ci to wyjaśnić, ona potrafiłaby to lepiej... Ale pamiętam, jak mówiłaś o tym, że chciałabyś kiedyś poczuć, jak to jest mieć dziecko. Chodzi mi o to, że...

– Wiem, o co ci chodzi – przerwała jej oschle.

Nie przejęła się tym.

– Ex i Emfera... Oni uważają, że to jest możliwe. Że mogłabyś mieć dziecko, a twoja przemiana byłaby całkowita. Wiem, o co chcesz zapytać, w jaki sposób, ale sama do końca

tego nie rozumiem. Ex widywał różne rzeczy, dziwne rzeczy. On naprawdę wiele potrafi. I nie jest szalony.

– Nie... – zdobył się tylko na słaby protest, odkaszlnął. – To nie jest możliwe.

– Ale chcesz tego, prawda? Chcesz? Musisz przyjść jeszcze raz, porozmawiać z Exem. On cię przekona. Jesteś uosobieniem tego, czego poszukujemy.

– Nie – powtórzył jeszcze raz. – Nie chcę.

– Pomyśl o tym, proszę – Mania nie wydawała się zniechęcona, raczej przeciwnie, była niezdrowo podniecona. – Tylko przyjdź, porozmawiaj. Potem zadecydujesz.

Nie czekała na kolejny protest. Wyszła, pozostawiając za sobą eteryczny ślad. Tak gęsty, że dałoby się krajać go nożem.

Prawie się w nim dusił.

\* \* \*

Ex nie należał do osób, które wzbudzają zaufanie od pierwszego spotkania. Ale mówił spokojnie i powoli, przekazywał treści w taki sposób, jakby próbował je przepchnąć do mózgu rozmówcy. Nie przekonywał na siłę, nie miało to sensu, jedynie opowiadał o tym, co jest możliwe. Co widział.

Czego mógł dokonać.

Tamtego dnia wiele się zmieniło. Sądził, że operacja jest punktem krytycznym, apogeum, po którym będzie mógł już bez lęku patrzeć na to, co dalej. Lecz tak naprawdę to było jedynie preludium. Prawdziwy szczyt leżał gdzieś indziej. Zrozumiał to, dopiero kiedy porozmawiał z tym dziwnym facetem.

Był zdecydowany.

\* \* \*

Myśli jak zza horyzontu.

Gdzieś w tle lecieli Doorsi, jakim cudem tutaj Doorsi? Jim Morrison w najlepszej formie, już ćpający, ale jeszcze niezaćpany, chropowaty wokal i słowa układające się w przestrzeni jak pasujące do siebie klocki.

*Riders on the storm*

*Riders on the storm*

*Into this house we're born*

Przeszłość miesza się z przyszłością, pamięta ostatnie chwile, uspokajający głos Exa, że wszystko będzie dobrze, ale jak, jak, pyta, przecież chciał wiedzieć, musiał wiedzieć. Lecz Ex każe mu się położyć, usypiają go, zna już ten stan, skąd wzięli eter?

*There's a Miler on the road...*

Odpywa.

*...Let your children play...*

Tak, dziecko, po to tu jest.

Operacja.

*...Like a dog without a bone...*

Głos.

Głosy.

*Jak to? Przecież on będzie wiedział, to tylko kawałek...*

Prowadzi za rękę dziewczynkę, nie, to nie Nicole, tyle wie, to jego dziecko, krew z krwi, jego dziecko.

– Mamo, dlaczego słońce świeci? – pyta dziewczynka.

– Na Słońcu, kochanie – zaczyna odpowiadać po chwili zastanowienia. – Na Słońcu żyją miliardy małych świetlistych elfów, które każdego dnia podróżują na Ziemię, oświetlając sobie drogę miniaturowymi lampkami. I będą tak robić, dopóki będziemy w nie wierzyć. A jeśli przestaniemy, Słońce zgaśnie i nigdy już dla nas nie zapłonie.

– Ale ja wierzę mamo, ja wierzę! – śmieje się mała.

– Ja też, ja też, kochanie.

Scena znika.

*Gdzie się pogubiłam?*

*Jest mi niedobrze, źle się czuję, bardzo źle, czuję jak krew... jak smutno...*

*Chciałabym, żeby się już skończyło...*

Jak cięcie. Przebudzenie. Klaps i koniec ujęcia. Wychodzi na chwiejnych nogach, nie potrafiąc uwierzyć w to, co się stało, lecz gdy dotyka brzucha, czuje, jakby coś w nim pulsowało. Spędził tu trzy dni i trzy noce, ale otrzymał błogosławieństwo.

Ktoś odmienił go ostatecznie.

\* \* \*

Dni się dłużą.

Wrócił do miasta, znalazł pracę, słabo płatną, ale lepsza taka niż żadna. Teraz musiał się zdrowo odżywiać, maleństwo potrzebowało witamin.

Czuł, jak drobniutkie ciało napierało na niego od wewnątrz, uczucie tak niezwykle, tak dojmujące, nie da się tego z niczym porównać.

Był w stałym kontakcie z Grupą. Opiekowali się nim, a on pomimo początkowej niechęci darzył ich całkowitym zaufaniem. Tylko Mania zachowywała się dziwnie, jakby straciła wewnętrzny żar i miała niedługo pójść tropem Marxa, który w końcu zdecydował się odejść. Ale to już się nie liczyło. Ważne, że ciągle będzie z nimi Ex, jego guru, jego mentor i

przewodnik, człowiek, który odmienił jego życie. Gdy tylko dziecko urodzi się, przemiana dokona się ostatecznie.

A ten dzień nadejdzie niedługo.

Ciąża minęła szybciej, niż sądził. Zbliżał się czas rozwiązania. Nie po dziewięciu, ale po pięciu miesiącach, lecz Ex potrafił wytłumaczyć także i to.

Będzie matką, czy za sprawą biologii, czy magii, nieważne, nic tego już nie zmieni. Będzie matką.

Nic innego nie było ważne.

Poprosili, by to podczas jednego z ich spotkań, zamkniętych przedstawień, sekretnych misteriów, do których dopuszczali teraz tylko wybraną grupę widzów, odbył się poród.

Chcieli, żeby w tak niezwykłym wydarzeniu mogli brać udział wszyscy, dla których było to ważne. Zgodził się, tyle dla niego zrobili, nie miał pojęcia, czemu miałby się nie zgodzić. Niech wszyscy poczują, jak smakuje ta chwila.

Poród.

Zgodził się, dlaczego miałby tego nie uczynić?

\* \* \*

Ta sala. Dobrze ją zapamiętał.

Ci ludzie. Znajome i niezajome twarze, najwyżej kilkanaście osób.

Ten czas. Wchodzi do środka, na podest, gdzie stoi już łóżko. Boi się. Nie odejdą mu wody, ale poczuje moment, gdy dziecko będzie chciało się wydostać. Być może Ex pomoże mu, wykona cesarskie cięcie, jeśli zajdzie taka potrzeba. W każdym razie będzie czuwał, pilnował, aby nic złego się nie stało.

Za kotarą przebrał się w długą, porozciąganą koszulę, ale dziś nie musi być atrakcyjny. Kładzie się, pomagają mu Ex i Emfera, tylko Mania stoi gdzieś z boku i przygląda się wszystkiemu z lekkim niedowierzaniem. To jednak nie ma już znaczenia. Cóż może zmienić rozpędzony bieg wydarzeń?

– Wierście w przemianę! – zaczyna Emfera, wykrzykuje tylko trochę roztrzęsionym głosem, ale on nie słucha. Spektakl się rozpoczyna.

Czeka na o wiele ważniejsze sygnały z wnętrza organizmu. Czeka na przemianę.

Podają mu coś. Ex mówi, że to jedynie na rozluźnienie, na uspokojenie, że w żaden sposób nie zagraża dziecku. Ex dokładnie rozumie sytuację. Można na nim polegać.

Rozlega się śpiew, coś jakby mantra. Jednostajne głosy niosą się po sali. Nagle czuje pierwsze uderzenie, od środka, jak delikatne przypomnienie o co w tym wszystkim chodzi, bach, słabe, lecz wyraźne, bach, jeszcze raz. Dziecko pragnie wydostać się na zewnątrz, wyjść na świat.

Bach, raz, i jeszcze raz.

Rozpoczęło się.

Zamyka oczy, lecz nie traci świadomości. Chce czuć wszystko.

Śpiewy nie cichną.

Ale on już ich nie słyszy, odpływa. Skupia się na swoim ciele i tylko na nim, traktując je jak mechanizm, który pozwoli urodzić się dziecku. Raz i dwa, przyj, już niedługo, już zaraz...

Przyj, jeszcze raz, lecz ból jest silny, bardzo silny, tak dojmujący, że w pewnym momencie nie jest pewien, czy podola, musi jednak kontynuować, ktoś kiedyś powiedział, że mężczyzna nie dałby rady urodzić, że ten ból by go zabił, ile w nim jeszcze pozostało z mężczyzny?

Śpiew zmienia się w krzyk, lecz teraz on i dziecko znaleźli się gdzieś indziej, pomiędzy światami, krzyki mało już ich obchodzą. Ktoś woła, krew, krew, przerwij to, do cholery, przerwij to, a Ex stoi ze skalpelem i uśmiecha się, ale potem uśmiech spływa z twarzy, kiedy napęczniała skóra nagle pęka, dwa, trzy cięcia, od środka, krwawa rana, rozdarty w ciele uśmiech pustki, i pomiędzy warstwami mięśni i tłuszczu pojawia się *on*, kolejne cięcie, strugi ciemnej krwi spływają po brzuchu, *on*, krew błyszczący na chromowanym ramieniu-nożu. Ale to nieważne, już nieważne. Gdzieś w tle krzyczy tubalny głos, cud przemiany, uwierzcie w cud przemiany!

Dziecko się rodzi.

Słowa cichną, głos więźnie w gardle.

Grupa zgromadzona przy podeście patrzy w jeden punkt, twarze jak popiół, oczy rozszerzone – czym? podziwem czy strachem? – a potem powoli, krok po kroku, zaczynają się cofać.

A oni tam są, patrzą przed siebie, spoglądają na elfy, które przylatują na Ziemię, a większość ląduje im pod nogami. Składają dary, kłaniając się nisko, a dziewczynka się śmieje:

– One nigdy nie umrą, mammo! Są zbyt piękne.

A ona ściska ją za rękę i razem patrzą na promienie zachodzącego Słońca.

\* \* \*

*Czuję to. Rozpiera mnie ból, ale jest to doznanie tak piękne, tak niezwykle, że nie potrafię go opisać. Nie ma słów, które mogłyby powiedzieć ludziom, jak to jest rodzić, jak to jest stawać się matką.*

*Ta chwila trwa i trwa. Jak mała wieczność zaklęta w sekundzie.*

*A ciemność i obrazy przenikają się wzajemnie. Zupełnie jakby walczyły.*

*Nie wiem, kto zwycięży w tej walce.*

*Tomek Kilian*

**Andrzej Miszczak** – rocznik 1970. Debiutował w 2004 roku na łamach „Science Fiction” *Niezłomnym* (nr 35). W tym samym miesięczniku oraz w jego kontynuacji „Science Fiction, Fantasy & Horror” zamieścił kilka następnych tekstów, m. in. *Modlarzy*, *Malującego dusze czy Stację Ashiego*. Kilka razy pojawił się również na łamach „Magazynu Fantastycznego”, a także w antologii *Bez bohatera* wydawnictwa Fantasmagoricon (2005).

### **O fantastyce i pisaniu:**

Kilka pomysłów obiecująco pączkuje mi w głowie, ale moje wrodzone lenistwo prawdopodobnie nie pozwoli im przybrać gabarytów większych niż długa nowela. No, może mikropowieść. Chyba że stanie się cud i wyrwę się z okowów rosyjskiego metalu, co mogłoby zaowocować dłuższymi tekstami.

Nie będę się silił na wymyślanie poważnie brzmiących sentencji na temat: czym jest dla mnie fantastyka, co daje mi babranie się w tej konwencji itepe. Po prostu nie umiem tego sensownie ubrać w słowa. Powiem więc krótko: fantastyka jest dla mnie, ni mniej, ni więcej, przedłużeniem dzieciństwa i wczesnej młodości. Poważnie. Szukam w niej tych samych ciarek na plecach, które dał mi *Niezwycześony*, *Wróble Galaktyki*, *Gateway*, *Czarna chmura*, *Dzień tryfidów*, *Żeglarze nocy...* Staram się pisać takie teksty, jakie lubię czytać. Po prostu. Czasem próbuję zawrzeć w tekście jakąś refleksję, zaproponować czytelnikowi chwilę zadumy, choć nie wiem, czy mi się to udaje. A czasem wystarczy mi prosta historia wtłoczona w scenograficzne ramy szeroko pojętej fantastyki.

Chciałbym pobawić się miękką s-f. Na twardą nie mam szans. W liceum nie uzyskałem promocji do następnej klasy z chemii i matematyki, a ocena dostateczna z fizyki była wynikiem kumpłowania się z synem profesorki. Tak, chciałbym pisać prozę humanistyczną, na swój sposób „niedzisiejszą”, gdzie bardziej od scenograficznych bajerów i wystrzałowych zwrotów akcji liczą się ciekawi bohaterowie, nierzadko outsiderzy. Chciałbym, aby kojarzono mnie z *oldskulową*, miękką s-f, z wyrazistym bohaterem na pierwszym planie. Czy to się uda, czas pokaże.

No nic... Pora wracać do rosyjskiego metalu. Dobranoc.



**Andrzej Mischczak**

# Harpunnicy

## I

Torus Bramy majestatycznie orbitował wokół lodowego olbrzyma, strzegącego granic tego układu. Jego biała kula, wyrzucona daleko poza ekosferę macierzystej gwiazdy, terroryzowała swoją potęgą rzeszę skalnych paciorków-satelitów. Bourbaki był tutaj ledwie mikroskopijną kropką, nie większą niż ziarnko piasku trzymane między palcami wyciągniętej dłoni, nie miał więc szans zapłodnić Sierpińskiego. Mroźny Król zadowolony się musiał władztwem nad, tak samo jak on martwymi, kamiennymi kulami, krążącymi wokół, w tańcu niedającym żaru żadnej ze stron.

Burin patrzył przed siebie jak zahipnotyzowany. Cały ekran wypełniało pokryte pęknięciami masywne cielsko Mroźnego Króla. Na jego powierzchni nie było jednak kraterów uderzeniowych, co według wpojonej Ostapowi wiedzy świadczyło o stosunkowo młodym wieku globu.

Przypomniał sobie, że SI oferowała mu możliwość obejrzenia pląsów satelitów olbrzyma. Wyłączył ekran i wydał statkowi stosowne polecenia. Po sekundzie zaczął się spektakl. Holo wytworzone przez komputer fascynowało, dawało poczucie... Skarcił się w myślach, ale skojarzenie uparcie powracało. Patrzył więc, jak na tle ścian sterowni krążył Sierpiński i jego potomstwo, i czuł się jak Stwórca, obserwujący swoje dzieło chwilę po akcie kreacji. Biały jak anioł Mroźny powolnie przesunął się obok syntetyzera żywności; księżyce, zataczając kręgi, nadpłynęły od strony jadalni.

Przydałaby się jakaś muzyka, pomyślał Burin. Jakiś Holst, albo Jarre, choćby Mitteldag. Nagle

*przed oczami błysnęło mu słońce odbite od szklanej wieży biskupstwa.*

Zawył w myślach, kurczowo chwytając się oparcia fotela. Oddychał szybko, czuł, jak pot kropli jego czoło, ale nie mógł nic z tym zrobić. Na atak niewiele można poradzić. I tak

dobrych kilkanaście godzin miał spokój, aż pomyślał, że może modlitwą odegnał chorobę, skoro medycyna bezradnie rozłożyła ręce.

*Korytarz biskupstwa wyłożony był bordowym dywanem. W powietrzu unosił się zapach odświeżacza, pozostawiony przez automat sprzątający. Mężczyzna, który właśnie zniknął za rogiem, zostawił za sobą nutę ekstrawaganckiego zapachu.*

W następnej sekundzie był już z powrotem w kabinie statku Zakonu.

Stres, który stał się jego nieodłącznym towarzyszem, od kiedy powierzono mu misję, wzmagął prawdopodobieństwo ataku choroby. Przetarł dłonią twarz mokrą od potu i znów skupił się na holoanimacji. Gapił się w ciszy na balet lodowych trupów. Był zauroczony tak, że szybko zapomniał o lęku.

Nawet nie zauważył, jak minęła godzina. SI szepnęła mu do ucha, że do Bramy właśnie zbliża się kuter korporacji. Przez chwilę patrzył na obwarunek wrót o średnicy, bagatela, bodaj osiemdziesięciu kilometrów. Były imponujące, choć widział tylko ich fragment, najbliższy portalowi, w którym zmaterializował się jego „Święty Paweł”. Potem komputer rzucił na ekran obraz dokującego kutra. Ktoś tam, za sterami pchełki, próbował wprowadzić maszynę między chwytaki „Pawła”. Obie masy panceramitu barowały się wewnątrz torusa Bramy, ale, rzecz jasna, nie było niebezpieczeństwa, że ta wypluje zniecka kolejnego wędrowca. Brama w Układzie Bourbakiego była własnością Korporacji Howarda i nikt, poza maszynami macierzystej firmy albo podmiotami posiadającymi jej zgodę, nie miał prawa znać tych koordynatów. Burin westchnął. Nie będzie tutaj mile widziany.

Obecność Burina w Bourbakim była wynikiem reakcji na niepokojące Stolicę Piotrową wydarzenia na Ziemi – wynikiem żarliwych negocjacji i konsultacji Hieronima II z Ionem Howardem V. Ich *consensus* nie musiał się jednak przekładać na otwarte ramiona miejscowych.

Światelka na konsoli zamrugały histerycznie, ale zaraz się uspokoiły. Znaczyło to zapewne, że „Paweł” poczuł gościa w swych mechanicznych ramionach. Gościa – czy raczej gospodarza? Burin zerknął na logo Korporacji Howarda na burcie kutra. To raczej ja jestem gościem, pomyślał. I to nie do końca proszonym.

– Jest połączenie – usłyszał szept tuż za uchem.

– Co mam robić? – zapytał. Dopiero po chwili przypomniał sobie ekspresowe szkolenie w Cassiano.

Wdział na siebie czarny, przylegający kombinezon, powtarzając w myślach kolejność czynności przy jego zakładaniu. Stał przed śluzą jak Dante przed bramą piekieł. Zerknął do góry. Żadnego napisu o porzucaniu nadziei, tylko czerwona lampka. Burin przygryzł wargę i zamknął na chwilę oczy.

Panie, miej mnie w swojej opiece, pomodlił się bezgłośnie.

\* \* \*

– Ojciec miał zatem kilka dni na medytacje? – zagał młody, niemożliwie chudy chłopak, który przybył po niego na pokładzie kutra.

Burin milczał, patrząc, jak „Paweł” oddala się z każdą sekundą. Kiedy SI Brama uznała, że kuter jest już wystarczająco daleko, rozpoczęła procedurę odsyłania statku Zakonu do Układu Słonecznego, kasując wcześniej, rzecz jasna, wszelkie dane na temat jego krótkiego pobytu w układzie Bourbakiego. „Paweł” zniknął.

– Ojciec się nie martwi – chłopak podążył za jego wzrokiem. – Wróci ojciec którąś z naszych jednostek, jak tylko będzie po... – urwał, całą uwagę koncentrując nagle na monitorze.

„Będzie po...” – co miał na myśli? Po jego misji? Po zabiegu dememoryzacji? No cóż, zabieg był częścią jego misji. Będzie mu poddany, tak jak stało się to udziałem SI „Pawła” – po powrocie wpadnie najpierw w łapy techników Howarda, którzy raz jeszcze sprawdzą, czy wszystkie zapisy, pozwalające zidentyfikować koordynaty Układu Bourbakiego, zostały wykasowane przez Bramę. Tylko pod takim warunkiem Ion Howard V uległ prośbom i naciskom Stolicy Apostolskiej, nalegającej na wizytację.

Dememoryzacja. Nie zapamięta niczego, co tu zobaczy. Zostanie mu tylko raport, nagrany przed zabiegiem. Siedząc w Instytucie, w swoim ciasnym gabinecie, egzaminując studentów z mariologii, będzie myślał o tym, co tu się wydarzyło. Bo to, że tu przyleciał, czy raczej, że miał przylecieć, zostanie w jego pamięci, tak jak wszystko sprzed wejścia w Bramę Słoneczną. Gdyby się na to nie zgodził, nigdy nie zobaczyłby baletu Mroźnego Króla i jego kamiennych paciorków, a dla samego tego widoku było warto. No, ale przecież nie będzie tego pamiętał. Błędne koło.

– Nie martwię się – odpowiedział chłopakowi. – Powinienem się przedstawić, jestem Ostap Burin. Zakon Nowych Paulinów.

– Skjolde – odparł tamten.

– Taaak, pomedytowałem sobie przez te trzy dni. Właściwie dwa, bo całą prawie dobę leciałem do Bramy Słonecznej. Na szczęście papież zafundował mi lot bez kolejki – zażartował. Skjolde uśmiechnął się samymi kącikami ust, ale oczy rozbłysły mu wesołością. – Ciekawe, na ile opiewa rachunek wystawiony przez Howarda? Bo w prezenty od niego raczej nie wierzę.

Zarechotali obaj. Zdrowo, pełną piersią, oczyszczająco. Burin przewietrzył zestresowany organizm, Skjolde zrzucił najpewniej tremę, jaką mógł odczuwać wobec intruza z krzyżykiem wpiętym w bluzę. Intruza, który chce się przyjrzeć...

Wzrok Burina padł na holoikonę na ścianie, w kącie sterowni kutra. Skjolde zorientował się, na co gość patrzy. Zamarł w oczekiwaniu na jakąś reakcję. Potem nagle zdecydował się wyłączyć obraz, ale ręka zatrzymała się w pół drogi. Burin niemal odebrał jego myśli. „A dlaczego mam się tego wstydzić?”

Postać na holoikonie była niemal dokładnie taka, jaką eksperci Kongregacji do spraw Wiary zaprezentowali mu w dokumentacji, powstałej po analizie wystąpień Ludvigsen, Archipowej, Bar-Habbaniego i innych. Miała smutną i pełną nadziei, intrygującą – nieludzko intrygującą – twarz, pokrytą delikatnym meshkiem, pobłyskującym w świetle słońca, bo w takiej scenerii została przedstawiona na holo. Była podobna do wizerunków znanych mu z tych, rzekomo cudownych, obrazków, które w transach rysowali ludzie korporacji. Ci, którzy nie przedłużyli kontraktów w Układzie Bourbakiego. Obrazków i ponoć cudów, wokół których Ludvigsen, Archipowa, Ozrich, Toelhe i paru innych zaczęło budować wspólnoty. Te szybko, w przeciągu kilku tygodni, przekształciły się w jeden spójny ruch religijny, co tak bardzo zaniepokoiło papieża.

Burin chciał podejść bliżej, ale bał się, że Skjolde źle odczyta ten gest. Nie chciał ranić uczuć chłopaka. Ba, nie chciał ranić tutaj niczyich uczuć. Stał więc chwilę, po czym usiadł w fotelu, nieco z tyłu, za siedziskiem Skjoldego. Stąd też dobrze widział ikonę. Spoglądające z niej oczy o migdałowatym kształcie przykuwały uwagę, hipnotyzowały.

– Patrzy ojciec na Naszą Panią? – upewnił się chłopak. Nie uszło uwagi Ostapa, że Skjoldemu zmienił się tembr głosu, gdy wypowiadał słowa „Naszą Panią”.

– Tak – wybąkał Burin, nie wiedząc przez chwilę, czy powinien wyprzeć się swojego inkwizytorskiego, analitycznego wzroku, czy przyznać się od razu, że gapi się jak sroka w gnat.

– Doświadczam Jej obecności, Jej opieki, za każdym razem, kiedy siadam za sterami kutra. Czuję Jej miłość każdego ranka, Ona mnie budzi – Skjolde z nabożną czcią patrzył na ikonę.

Chory kult, niezgodny z ustaleniami soborów i kongresów mariologicznych, pomyślał Burin i wzruszył ramionami do swoich myśli. Ale to Kościół już wiedział po analizie nauczania Ludvigsen i jego towarzyszy. Nie chciał dotknąć uczuć chłopaka, lekceważyć jego wiary. Niemniej przybył tu właśnie po to, aby tej wierze się przyjrzeć. No więc przyglądał się – od pierwszych chwil obcowania z wyznawcami kultu nowej inkarnacji Matki Bożej. Matki, która spoglądając niemal groteskowymi, na poły ludzkimi, na poły owadzimi oczami, przedstawiona była na holoikonie w nie mniej intrygującej szacie. Niby nic szczególnego. Ot, matowa, ściśle przylegająca długa suknia. Jednak w sposobie, w jaki szata układała się na stojącej postaci, było coś... obrzydliwego. Suknia wyglądała jak złożone skrzydła, przylegające ściśle do owadziego odwłoka. Czy sam to wymyślił? Nie miał pojęcia, ale wiedział, że obraz Matki Bożej, czczony w będącym we władaniu Korporacji Howarda Układzie Bourbakiego, daleki jest od kanonicznego. Przybył tutaj, aby sprawdzić, czy najśmielsze, a jednocześnie najbardziej nieprawdopodobne hipotezy hierarchów Kongregacji są tylko hipotezami, czy...

– Jacy oni są? – zapytał Burin po chwili milczenia. – Naprawdę przypominają owady?

– Kto? – Skjolde odwrócił głowę. – Ach, oni... Muchy – uśmiechnął się pod nosem. – Tak – potwierdził i zamilkł, dając do zrozumienia, że wolałby więcej o tym nie mówić. Że od rozmów z zakonnikiem będą inni.

– Muchy – powtórzył Burin. Określenie na pewno nie wzięło się znikąd, nawet jeśli Ludvigsen i reszta nie pamiętali niczego oprócz „Matki”, do której modlili się, pracując tutaj. Echa tej wiary wróciły potem na Ziemi w formie obrazków i enigmatycznych kazań. Szczegóły miał zbadać właśnie on, Ostap Burin.

– Jak długo będziemy lecieć?

Skjolde zerknął gdzieś na pulpit.

– Sześć godzin – odparł. – Niech się ojciec prześpi.

Burin skorzystał z oferty. Przez chwilę miał pod powiekami wspomnienie znikającego kadłuba „Świętego Pawła”, z lwami, krukiem i słońcem wymalowanymi na burcie. Obraz jednak szybko się rozplynął i Ostap usnął po kilkunastu sekundach od zamknięcia oczu.

\* \* \*

Arbuz był największym księżycem Gaussa, hojnie wyposażonym w pierwiastki, bez których funkcjonowanie na nim ludzi byłoby niemożliwe. Oczywiście, Arbuz nosił oficjalnie inną nazwę – Gauss IV. Ale jasne było, że ochrzczony kolosa o promieniu prawie dwóch tysięcy sześciuset kilometrów jakimś mniej oficjalnym określeniem będzie tylko kwestią czasu. Gigant z ciśnieniem atmosferycznym półtora raza przekraczającym ziemskie i o temperaturze na powierzchni osiągającej minus 180 stopni Celsjusza otulał bazę korporacji Howarda gęstą atmosferą. Cztery nieduże kontynenty, wyspy bardziej, rozrzucone na metanowym oceanie, pieszczony były słabymi podmuchami zimnego wiatru. Na jednej z nich, w sztucznie stworzonej zamkniętej biosferze, tłoczyła się niemal setka kontraktowych pracowników korporacji.

Burinowi powiedziano, że Porteus, dyrektor Bazy, znajduje się wraz z innymi w przestronnej auli, zajmującej prawie trzecią część jednego z budynków kompleksu. Udał się tam, prowadzony cichutkimi komunikatami korporacyjnej SI, zaraz po tym, jak w przydzielonym mu pokoju rzucił torbę i przebrał się w uniform. Szedł aseptycznymi, białymi korytarzami, mijany przez personel. Raz za razem zerkał na umieszczony nad klapą kieszeni na piersi identyfikator: „O. Burin. Zakonnik”. Niżej kłuł oczy „GOŚĆ”, wytłuszczony grubą czcionką.

O mały włos minąłby aulę. Zastał w niej parę osób, żywo dyskutujących i zerkających na ekran, na którym widać było kawałek przestrzeni wokół Gaussa. Burin miał wrażenie, że spóźnił się na coś ważnego. Przypomniał sobie, że może aktywować bazową SI, którą wyłączył przed wejściem do pomieszczenia, w obawie przed zalaniem komunikatami na temat zgromadzonych tam ludzi. Teraz było już prawie pusto, więc... Momentalnie przed

oczami zobaczył twarz Porteusa, skopiowaną z korporacyjnych katalogów. Tak, teraz go rozpoznał. Stał tam, wysoki, krótko ostrzyżony, z niemożliwie mięsistymi, różowymi wargami. Obok siebie, jak podpowiedziała SI, miał głównego ksenobiologa Barrowsa i szefową pionu medycznego Jolxe. Burin czuł się nieswojo. Przydreptał do rozmawiającej trójki niczym uczeń.

– ... wystrzeliły to z górnej części – mówił szybko biolog. – Możemy, rzecz jasna, przeprowadzić analizę zapisu klatka po klatce, ale dobrze widziałem...

– Który to już pogrzeb w tym miesiącu? – Porteus stał teraz tyłem do Burina, nie widział go.

– W tym miesiącu drugi, ale w zeszłym były trzy. Miot jest chyba spory... – powiedziała Jolxe, urywając w połowie zdania. Porteus odwrócił się powoli.

– Ach, jest ojciec już – ni to stwierdził, ni zapytał, w związku z czym Ostap nie wiedział, co powiedzieć.

– Dzień dobry – wybąkał. Porteus przedstawił mu pozostałych. Nikt nie wyciągnął ręki, skinęli tylko lekko głowami. Chłód ich spojrzeń mógł się równać z temperaturą na powierzchni Mroźnego Króla Sierpińskiego.

– Rozpakował się pan? Gotów do działania? – tylko idiota nie wyczułby sarkazmu w głosie Jolxe. Założyła ręce na piersiach. Tego „pana” Ostap mógłby przeboleć, gdyby miała choć odrobinę cieplejszy głos.

– Tak, dziękuję – odpowiedział, próbując zachować obojętność.

– To co? – Porteus podrapał się po niemal łysej czaszce. – Porozmawiamy? Zastanowimy się, jak chciałby ojciec pracować, kiedy i gdzie rozmawiać z ludźmi, i tak dalej. Służymy oczywiście sprzętem rejestrującym, jeśli tylko ojciec uzna go za potrzebny.

Burin skinął głową. Wyszli na korytarz.

– Chyba jest tutaj ciężko? – zagadnął Burin. Po prostu chciał się odezwać.

– W zasadzie Arbuz to najbardziej nam przyjazne miejsce w Układzie Bourbakiego – beznamiętnie odpowiedział Porteus. – Ciśnienie atmosferyczne przypomina ziemskie, więc na zewnątrz habitatu nie musimy korzystać z ciężkich skafandrów ciśnieniowych, tylko z lekkich, chroniących przed zimmem. Mamy jedynie butle z tlenem na plecach. Teraz chcemy nauczyć się wykorzystywać gęstą atmosferę i kilkakrotnie słabsze niż na Ziemi przyciąganie, konstruujemy więc kevlanitowe skrzydła. Będziemy fruwać jak ptaki... I pewnie dostaniemy polecenie postawienia drugiego habitatu dla następnych ekip.

– A co właściwie tutaj robicie? – zapytał, śmielej już, Ostap, kiedy wjechali na poziom, na którym znajdowało się biuro Porteusa.

– Tutaj niewiele. Z racji ogromnych zasobów węgla, tlenu, wodoru i azotu na Arbuzie baza jest prawie samowystarczalna. Prowadzimy trochę badań, ale dopiero myślimy nad rozbudową personelu naukowego. Ojciec zobaczy, że naprawdę jest tu co badać. Kiedy jednak wiszą nad nami plany wydobywania, których musimy się trzymać... Tymczasem, habitat

to głównie koordynacja działań w układzie. Sukcesem jest to, że moduł agrarny pokrywa w coraz większym stopniu zapotrzebowanie na żywność – urwał na chwilę, przepuszczając Burina przed sobą. Weszli do biura. – Stąd kursujemy do Wiatraka, serca naszych instalacji w Bourbakim. I nie jest to określenie przesadne – przypomniał sobie, że rozmawia z gościem. – Wiatrak to stacja zawieszona w atmosferze naszego ogromnego Gaussa. Wymieniamy załogę rotacyjnie i uzupełniamy zapasy. Wokół najbliższego gigantowi księżycy orbitują automatyczne tankowce korporacji. Po odebraniu urobku, załadowane helem 3, lecą do Bramy na orbicie Sierpińskiego.

Porteus przepuścił Burina przodem, kiedy wchodzili do biura. Usiedli.

– Mroźnego Króla – zakonnikowi stanął przed oczami wygenerowany przez SI „Świętego Pawła” taniec lodowego giganta i jego satelitów.

– Tak, poetycka nazwa. Ładna, przyznaję – zgodził się Porteus.

– A oni? – szepnął Ostap.

– Oni? – brwi szefa Bazy powędrowały do góry. – Aaa, Muchy... No cóż, Muchy siedzą na gównie.

– Słucham???

Na twarz Porteusa wpadł szeroki uśmiech. Mięiste, różowe wargi rozlały się po obliczu, jakby były stworzone do takich uśmiechów. Podeszedł do panelu przy ścianie i palnął dłońią jeden z przycisków. Ekran w gabinecie pojaśniał, a potem ściemniał. Teraz widniał na nim... Burin przejechał dłońią po policzku.

– Dobry Boże, co to jest? – wychrypiał po chwili.

– Powiedziałbym „gówno”, ale gdyby ktoś nas usłyszał, pomyślałby, że jestem źle wychowany. Zatem powiem: proszę ojca, oto statek obcych.

Burin podniósł się z siedziska i podeszedł do ekranu.

– To jest jakieś... porowate?

– Ma gęstość dwa razy mniejszą niż woda. Poza tym to najprawdopodobniej asteroida przystosowana do lotów. Skały, zestalony ditlenek węgla, lód – machnął ręką. – Po prostu, któregoś dnia obudziliśmy się, a oni tu byli. Na orbicie Gaussa, tam zakotwiczyli – przerwał, widząc, że ksiądz wpatruje się w ekran jak małe dziecko i w ogóle go nie słucha.

– Proszę mi powiedzieć – Burin wreszcie usiadł i upił łyk wody ze szklanki, która wykwitła przed nim z blatu biurka, już wypełniona. – Co działo się wcześniej w auli? Czemu się w niej zebraliście? Mam wrażenie, że gdybym przybył chwilę wcześniej, uczestniczyłbym w czymś ważnym.

Porteus znów zaczął gmerać przy konsoli. Ekran pojaśniał. Z pumeksopodobnego statku obcych, wiszącego nad gazowym olbrzymem Układu Bourbakiego, wytrysnął jasny punkcik, który pomknął w kierunku atmosfery planety. Po kilkudziesięciu sekundach zanurzył się w niej i zniknął.

– Żeby zrozumieć, co widzieliśmy, muszę ojcu zrobić streszczenie tego, co wiemy o biologii i rozmnażaniu Much. Teoretycznie powinienem wezwać kóregoś z ksenobiologów...  
– westchnął ciężko. – Ale prawda jest taka, że mamy tak mało informacji, że mogę pokusić się o wprowadzenie ojca w ten temat osobiście.

– Wie pan – przerwał cicho Burin – na Ziemi obcych znamy się tak dalece, jak pokazują nam to rysunki pracowników, którzy od was wrócili. Oni twierdzą, że niczego nie pamiętają, bo dememoryzacja. Z drugiej strony, z taką siłą i przekonaniem mówią o „cudach Nowej Maryi”...

– A my do tej pory zachodzimy w głowę, jak to się stało, że dememoryzacja się nie udała całkowicie w przypadku tamtej grupy. Skończyły im się kontrakty, nie chcieli ich przedłużyć. Chcieli wrócić na Ziemię – umilkł i potarł kciukiem powieki. – Aparatura została sprawdzona, wszystko było w porządku. Procedury zostały zachowane – rozłożył ręce. – No i w efekcie mamy ojca tutaj.

– Rzeczywiście – zgodził się Burin. – Ponieważ na Ziemi mamy swoisty, szybko rozrastający się nowotwór religijny, którego ogniskami są ludzie Korporacji.

Przymknął oczy. Przez głowę przeleciały mu wspomnienia ostatnich tygodni, ale tym razem samodzielnie zainicjował proces wspomnień. Nie miał on nic wspólnego z chorobą. Przypomniał sobie, jak dziekan przekazał mu informację od kardynała Riggsa. Tajne posiedzenie Kongregacji, do udziału w którym go zaproszono. Zapis kazań Ludvigseny z Kopenhagi, Oslo, Reykjaviku, Monachium. Przypomniał sobie też rozmowy z żoną Duńczyka, która zaklinała się, że ich dziecko odzyskało zdrowie po tym, jak nad łóżeczkiem przypięli rysunek tej... Nowej Maryi, zrobiony przez Ludvigseny w jakimś transie. Dokumentacja medyczna nie rozstrzygała sprawy w sposób jednoznaczny. Wieści o rzekomym cudzie prędko się rozeszły. Potem odezwali się inni. Archipowa zaczęła nauczać w orbitalnej Nowej Arkonie, Bar-Habbani omal nie spowodował zamieszek religijnych w Jerozolimie. Później było drugie spotkanie z dziekanem. „Ojciec jest hardy, w dobrym tego słowa znaczeniu. Da sobie ojciec radę, tam, wśród tamtych ludzi”.

– Od dawna ojciec choruje? – spytał nagle Porteus.

– Słucham? – Ostap nerwowo poprawił się na siedzisku. – O czym pan...

– Miałem w rodzinie chorego na Kerskiego-Haplaka. Wiem, jaką radość i ulgę sprawiały mu wspomnienia, które sam sobie generował, a nie te, które jego chory mózg narzucał mu w najmniej spodziewanych momentach. Wuj zginął w wypadku glidera, który sam spowodował, kiedy nagle przed oczami stanęła mu jakaś sytuacja z odległej przeszłości. Nie pamiętam, co to było, ale policja przekazała ciotce zapis z jego ostatnich chwil. Brał leki, wtedy na topie był Dolimalin, ponoć cudownie neutralizował objawy. Jak widać nie u wszystkich. A teraz zobaczyłem na twarzy ojca taki sam wyraz ulgi jak u niego.

– Tak – chrząknął Burin. – Nie myli się pan.



Nie wiedział, czy Porteus rzeczywiście przez analogię z zachowaniem swego wuja zorientował się w jego chorobie, czy po prostu dostał jakieś informacje z Ziemi. A jeśli tak, to jakie? Zwykle: Ostap Burin, nowopaulin, lat 37 – czy coś więcej?

– Dobrze. Więc co z tym nowotworem religijnym? Z wiadomości, jakie dostajemy z Centrali, wiele nie wynika.

– No cóż...

Burin skrótowo opowiedział Porteusowi o wszystkim. Dyrektor słuchał zaciekawiony, siedząc, podobnie jak Ostap, na wyrastającym z podłogi ergonomicznym siedzisku. Skończywszy, zakonnik podniósł wzrok na Porteusa. Tamten nie patrzył na niego, tylko gdzieś ponad jego głową. Burin odwrócił się, podążając za wzrokiem szefa Bazy. Była tam, na kolejnej holoikonie. Ta tutaj, w gabinecie Porteusa, przedstawiała tylko twarz... Maryi. Nie chciało mu to przejść przez gardło ani nawet przez myśl. Maryja. Maryja o twarzy pokrytej meshem, o owadzych oczach, wyglądających tak, jakby ich właścicielka gdzieś na Riwierze właśnie wystawiała twarz ku słońcu. Maryja, dobre sobie.

– Tak ją rysują? – usłyszał jak z oddali głos gospodarza gabinetu.

– Taaak, podobnie – Burin się odwrócił. – Pan wie, że oni zakazują członkom swoich wspólnot klękania? Widziałem zapis kazania, gdzie Ludvigsen podnosił ludzi z kolan...

– Nasza Pani nie uważa nas za niewolników, którzy muszą klękać przed Jej obliczem. Zresztą, Muchy też nie mogą klękać. Ich stawy... Ach, dajmy spokój. Jeszcze wody?

Duchowny pokręcił głową.

– Co z tą biologią Much?

– Aż nie wiem, od czego zacząć. No więc... To, co widzieliśmy godzinę temu, to pogrzeb jednej z samic, która właśnie wydała na świat potomstwo.

– Złożyła jaja?

Szef Bazy uniósł brwi do góry.

– Ojciec jest biologiem?

– Skądże znowu. Pomyślałem, że skoro Muchy... to jakieś jaja... śluz...

– Taaa, ten śluz to nawet by się zgadzał. Jaja nie. Młode Muchy rodzą się, że tak powiem, klasycznie.

– Czy... – Burin odchrząknął. – Czy wy tam do nich latacie? Albo...

– Oni tu nie. My tam, owszem. Rozumie ojciec, pielgrzymujemy – długo nie wytrzymał w powadze i roześmiał się głośno. – Żartowałem. Ojca to nie rozśmieszyło? – spytał, udając urażonego. Burin pokręcił głową.

– W celu?

– Zakon przysłał ojca tutaj w celu zbadania naszych wierzeń, czy reprezentujecie interesy jakiejś konkurencyjnej korporacji?

Ostap poczerwieniał na twarzy.

– Przepraszam, to zwykła ciekawość. Na Ziemi nie wiemy nic, a przecież to sprawa ważna dla całej ludzkości. Nie tylko dla Korporacji Howarda...

Porteus wrócił do przerwanych wyjaśnień.

– Samice po wydaniu na świat potomstwa są zabijane. Najprawdopodobniej nie mogą rodzić ponownie, a więc, z punktu widzenia obcych, są niepotrzebne – odezwał się znów, ale zaraz musiał przerwać, widząc przerażenie na twarzy rozmówcy.

– Będzie ich ojciec nauczał o szanowaniu matki swojej? – pytanie ociekało sarkazmem. – To obca rasa. Nie ma co tego roztrząsać ani przykładać do nich naszej miary.

– Jest pan...

– Jestem – uciał Porteus. – Tak więc, mamusie są zabijane. Oseków karmią ojcowie wydzieliną z gruczołów ukrytych pod skrzydłami. Tyle.

Po chwili ciężkiego milczenia, przerywanego komunikatami SI, wzywającymi Porteusą do dyspozytorni reaktora, Burin odezwał się cicho.

– Przydałoby się powiedzieć im co nieco o szacunku dla innych istot...

Porteus, który zamierzał zostawić Ostapa ze swoimi przemyśleniami i pójść do dyspozytorni, uśmiechnął się szeroko.

– No, o szacunku to będzie ojciec musiał im dużo naopowiadać. Zwłaszcza jak się ojciec dowie, co sprowadza Muchy tutaj. Bo przybywają tu regularnie, co jakiś czas. Do tej pory nikt nie patrzył im na odnóża – uśmiech nie zniknął z jego ust. – Teraz po raz pierwszy spotkali tutaj intruzów. Nas.

– A po co przylatują? – Burin podniósł się z siedziska, które zostało momentalnie wessane przez podłogę.

– Proszę wybaczyć – różowe dżdżownice jego ust ułożyły się w szelmowski uśmiech. – Wzywają mnie.

\* \* \*

Ustalił z Kvistem, zastępcą Porteusy, reguły obowiązujące go na czas wizyty. Miał prawo rozmawiać z każdym z pracowników Bazy, jeśli oczywiście ten wyrazi chęć. Miał prawo poruszać się po ciągu budynków mieszkalnych i użytkowych habitatu. Rzecz jasna, nie miał prawa zbliżać się do sterowni reaktora, hangarów ze sprzętem, magazynów. Usłyszał też cierpką uwagę o tym, że to wielka szkoda, że Ion Howard V dogadał się czy wręcz uległ Watykanowi i zezwolił „klerowi na grzebanie w naszych sprawach”. Zmilczał ten przytyk, zakończony hipotezą, że to pewnie w podzięce za cud, jakim było odkrycie układu Bourbakiego dzięki korporacyjnej Bramie. Postanowił wziąć się ostro do roboty.

O 19.00 czasu Bazy opuścił swoją kajutę, żeby towarzyszyć ludziom przy kolacji. Gdy wszedł do mesy, rozmowy przycichły. Poczul się jak karaluch na torcie. Skłonił się idiotycznie, wytarł spocone dłonie o kombinezon i przycupnął na zmaterializowanym nagle

siedzisku. Przed oczami zaczęła przepływać karta dań, z której, dotknięciem palca, wybrał kawę i rogaliki. Kilka sekund później wyrósł przed nim stolik z dymiącym kubkiem kawy i pieczywem.

Popatrzył po zebranych. „Jak mam zacząć? Przysiąc się do kogoś?”. Kawa była znakomita, rogalikom również niczego nie brakowało. Między jednym a drugim kąsem kątem oka dostrzegł siedzisko, pączkujące z podłogi obok. Ułamek sekundy później siadł na nim chudy jak szczapa mężczyzna o twarzy ozdobionej igłami kilkudniowego zarostu. Burin dezaktywował chip przed wejściem do pomieszczeń wypełnionych ludźmi, gdyż SI załapały go ich wizytówkami. Nie umiał ustawić odpowiednich filtrów, a wstydził się do tego przyznać. Teraz więc musiał przeczytać na naszywce kombinezonu, że dosiadł się do niego F. Villiers, planetolog.

– Witam – powiedział ciepłym, zupełnie niepasującym do jego wyglądu głosem. – Jak się ojciec tutaj czuje?

Troska wydała się Burinowi czymś podejrzanym, za co skarcił się szybko w myślach.

– Dziękuję, synu, jakoś...

– Nie, nie. Z synami to proszę tutaj nie zaczynać.

– Rozumiem. Jestem wdzięczny za tę cenną wskazówkę – powiedział Burin cierpko.

– Doznajemy tutaj co rusz Matczynej łaski – duża litera w słowie „matczynej” była dobrze słyszalna. – Więc proszę się nie łudzić, że da się nas przywrócić na łono Kościoła. Obejdzie się.

Burin przełknął kawałek słodkiego pieczywa.

– Pan jest jakimś rzecznikiem waszej sekty?

Pożałował tego terminu, jeszcze zanim skończył go wymawiać.

– Powinienem dać ojcu w twarz.

– Chcę tylko zbadać, co leży u podstaw waszego... kultu Maryi.

– Z trudem przeszło to ojcu przez gardło, prawda?

– Prawda. Widziałem wizerunki... Z trudem – potwierdził.

Villiers pokiwał głową.

– Dziesięć miesięcy temu wykryliśmy asteroidę. Wszystko wskazywało na to, że walnie w Arbuza. My tutaj, przynajmniej na razie, nie mamy zbyt wielkich możliwości obrony przed takimi zderzeniami. Asteroida leciała kolizyjnym. Było za późno na ewakuację bazy. Obliczenia wskazywały jedno, ale my byliśmy przepełnieni jakimś wewnętrznym spokojem. Nie było to pogodzenie się z losem, zaakceptowanie nieuchronnego, nie. Wielu z nas miało sny, w których Ona mówiła, żeby się nie bać, że czuwa... W tych snach stała ze swoim dzieciątkiem przyklejonym do odwłoka. Wtedy naprawdę uwierzyliśmy. Ponowne obliczenia tuż przed planowanym uderzeniem wykazały, że gład minie nas w odległości dwudziestu tysięcy kilometrów. Tyle co nic. Muśnięcie.

– Cud? – Burin starał się ukryć ironię. – Czy może przelot w pobliżu Gaussa wytrącił bolid z kursu kolizyjnego?

– Ojciec jest fizykiem?

– Nie jestem ani fizykiem, ani biologiem. Jestem zakonnikiem. Naukowcem jest pan, Villiers.

– W obliczeniach braliśmy pod uwagę grawitację Gaussa. A jednak...

– A jednak nie uwzględniliście wszystkiego? Co się zdarzało, zdarza i pewnie jeszcze nie raz zdarzy.

– My wiemy, że po raz kolejny ocaliła nas Nasza Matka.

Milczeli przez chwilę. Gwar w stołówce wrócił do zwykłego natężenia. Ci, którzy wcześniej spoglądali ukradkowo w ich stronę, teraz wrócili do kolacji.

– Po raz kolejny? – odezwał się wreszcie Burin. – Znaczący, że były jakieś wcześniejsze interwencje?

– Nasza Matka objawiła swe dobro po raz pierwszy ponad rok temu, ratując dwójkę harpunników. Ale dziś każdy z nas ma mnóstwo osobistych, intymnych doznań, malutkich, prywatnych cudów związanych z Jej obecnością – z ociąganiem dokończył Villiers. Zakonnikowi przypomniał się pilot kutra, który go dostarczył tutaj z Bramy.

– Nie rozumiem już kompletnie niczego. Kim są harpunnicy? – spytał.

– Chodźmy do mnie. Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

\* \* \*

– Proszę spocząć – Villiers szerokim gestem zaprosił gościa do wybrania sobie miejsca, gdzie miało wypączkować siedzisko. Sam też usiadł. Ekran, zajmujący prawie całą ścianę na wprost wejścia do kajuty planetologa, rozblysnął obrazami.

– To zapis z automatycznej sondy orbitującej wokół Gaussa.

Burin skupił się na tym, co widział. Jak zauważył, jako podkład do obrazu ktoś dodał fragment symfonii Mitteldaga. Zakonnik miał wrażenie, że patrzy na pływające majestatycznie, skrzydlate ryby, które pod powierzchnią czystej wody snują się gdzieś blisko dna. Bezpieczne, najedzone, wolne. Tak postrzegał te stworzenia, które tutaj nazwano, niezbyt oryginalnie zresztą, „wielorybami”. Bo i tak też wyglądały: ciężkie cielska, którym nie sposób odmówić dostojeństwa, ale i pewnej zgrabności. Patrzył na dwa takie stwory, tnące atmosferę Gaussa – wieloryby w ich naturalnym ekosystemie, w który właśnie wdarł się mały, dwuosobowy stateczek korporacji.

Jednostka patrolowa, którą – jak szczegółowo opowiedział Villiers – przystosowano do polowań, pojawiła się w polu widzenia, nieodwołalnie zbliżając się do pary wielorybów, co ilustrowały nerwowe pasażer instrumentów smyczkowych. Z każdą chwilą dystans malał. W pewnej chwili załoga uznała, że odległość jest wystarczająca do oddania strzału. Nanohak

wystrzelono z działka dziobowego. Mniejszy wieloryb zwolnił swój pływ. Ten drugi jakby niczego nie zauważył, posuwał się spokojnie naprzód, przypominając turystę na jachcie, który z rozpiętą koszulą płynie przy brzegu, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się dookoła. Mniejsza istota po kilku minutach była już na holu harpunników.

Burin teraz dopiero zorientował się, że w rogu ekranu, raz po raz, w nieregularnych impulsach, błyskały wyładowania. Do statku zbliżała się burza atmosferyczna. I znów szalone partie skrzypiec pocięły z głośników. Burza pędziła i już po kilku sekundach kuter korporacji koziółkował w objęciach gigantycznych wirów. Zdobycz – mały wieloryb, nagle uwolniony, bez wysiłku zanurkował w głąb atmosfery. Ten sam los czekał stateczek harpunników, to było nieuniknione. Balansował na granicy burzy, ale już po chwili znów szarpały nim wichry. Odzyskiwał stabilność, umykał na moment, ale macki atmosferycznych wirów Gaussa łąpały go znów i obracały nim do woli.

Harpunnicy zrobili to, co w tym momencie było dla nich jedyną nadzieją na uratowanie. Z koziółkującego kutra wytrysnęła kapsuła ratunkowa. Muzyka urwała się nagle. Biały punkcik, kryjący w środku załogantów, oddzielił się od skazanego na pożarcie przez burzę statku. Ale i kapsuła nie gwarantowała ocalenia. Tylko oddalała agonię, ale czyż nie tego trzyma się człowiek w sytuacji ekstremalnej? Oddalić moment ostateczny, moment niechybnej śmierci, w oczekiwaniu na nadprzyrodzony ratunek. I takież nadszedł.

Oto, w którymś momencie, w polu widzenia pojawił się kolejny uczestnik atmosferycznej dramy. Jego wejście zilustrowało solo na kotłach. Obły kształt, z rachitycznymi, wydawało się przezroczystymi, ale jednak mocnymi skrzydłami wśliznął się w otulinę Gaussa. W ułamku sekundy pochwycił mikroskopijną kapsułę. Nowy gracz utoczył kleistej substancji z pyska, którą przytwierdził kapsułę do swego owadziego odwłoka. Nie byłoby to zbyt dobrze widoczne, z racji odległości satelity od teatru zdarzeń, gdyby nie to, że cała ta sekwencja pojawiła się w rogu ekranu w powiększeniu. Po kilku chwilach owadzi wybawca, wraz z przylepioną do tułowia kapsułą, pomknął poza ekran. W gęstwinie atmosfery nie został już nawet ślad po kutrze korporacji. Ekran pociemniał, pozostawiając Villiersa i Burina w oparach ciszy. W tle szumiał tylko wiatr klimatyzacji.

– Jak mamy Jej nie kochać? Jak mamy nie czcić pamięci o Niej? – Villiers nachylił się ku gościowi.

– To była ona? – Burinowi zaschło w gardle. Tamten jednak milczał. – Stąd nazwa harpunnicy – Ostap przerwał ciszę i pokiwał głową, dokładając kolejnego puzzla do układanki korporacyjnych tajemnic.

– Słucham?

– Polują na nie jak na wieloryby.

Planetolog skinął głową, ale nie odezwał się.

– To okrutne, podobnie jak dawne polowania na prawdziwe wieloryby – zakonnik spojrział z wyrzutem na gospodarza, jakby to on ponosił za to winę. Ale tamten był obecny w

kajucie tylko ciałem. – Na Ziemi usilnie pracuje się nad odrestaurowaniem wymarłych gatunków, nad wskrzeszeniem Ogrodu Pana, który sami zniszczyliśmy. A wy tutaj... Jak przed wiekami. Jak...

– Uratowała ich – szepnął Villiers, który najwyraźniej cofnął się w czasie i znów przeżywał tamte chwile. – Uratowała ich – powtórzył z naciskiem, jakby karcąc zakonnik za brak należytego podziwu.

– Co to za stworzenia? Te pływające w atmosferze?

– Wieloryby? Pewnie przybędzie tutaj tabun korporacyjnych naukowców, żeby zobaczyć, co da się wycisnąć z tych prymitywnych krów, żeglujących bez celu. Może one też produkują jakiś tran? Jak narazie, praktycznie nie zajmujemy się nimi – powiedział Villiers z pogardą.

– To usprawiedliwia ich zabijanie?

– Musimy to robić – Villiers spuścił głowę. – To warunek zgody Much na nasz pobyt w tym układzie.

– A co Muchy mają do tego?

Oczy Villiersa zamieniły się na moment w wąskie szpary.

– To jest ich żerowisko. Tak to trzeba określić. Muchy przybywają tu co jakiś czas, żeby się najeść. Tymi wielorybami właśnie. Ten Klan, który siedzi w Bourbakim, trzyma koordynaty tego układu w tajemnicy przed swoimi. Zupełnie jak my. Przybywają tu co jakiś czas i jedzą. Do tej pory polowały same, ale robiły to... niezdarnie. Kilka osobników obsiadało wieloryba. Jakaś wydzielina niszczyła strukturę pławną ich skrzydeł i kiedy wieloryb słabł i zwalniał, zaczynały ucztę na żywym jeszcze osobniku. Jadły, ile mogły, po czym wracały na statek. Potem następna grupa. Czasem wieloryb potrafił się przez jakiś czas bronić, zadając Muchom straty. A że z ich reprodukcją jest coś nie tak...

– Rozumiem.

– Zobaczyły, jak my schwytaliśmy dwie sztuki dla celów badawczych. Nawiazaliśmy współpracę. W zamian za nasze usługi my możemy babrać się w helu 3. Prosty układ. Nie próbujemy go zmienić, bo istnieją przesłanki, żeby z nimi nie zadzierać – urwał nagle. Nie było potrzeby kończyć, wszystko było jasne.

– Każdy z was ma te nagrania? – zapytał Ostap. Villiers potwierdził.

– Mamy kopie w memoxach, a jeśli nie ma nas w kajutach, SI odtwarza zapis bezpośrednio przez nerw wzrokowy i słuchowy. Kto może, ogląda to w Godzinę Maryi.

– Godzinę Maryi?

– 14.15 czasu Bazy. O tej godzinie Nasza Pani uratowała...

– Już rozumiem.

Milczeli chwilę, co Ostap chyba dobrze zinterpretował jako sugestię zakończenia wizyty w kajucie planetologa.

– Z Bogiem, synu – powiedział przy wyjściu. W odpowiedzi usłyszał pogardliwe prychnięcie.

\* \* \*

Rano SI zaprosiła go do kajuty Porteusa na śniadanie. Chciał co prawda przepytac ludzi w sprawie tych snów, które mieli w czasie zagrożenia uderzeniem asteroidy, ale uznał, że może to zrobić później. Przyjął zaproszenie.

W kajucie, o wiele przestronniejszej niż jego własna klitka czy pokój Villiersa, oprócz szefa habitatu było jeszcze kilka osób. Chmurą niechęci, która płynęła od Jolxe, postanowił się nie przejmować. Carrick i Barrows zdawkowo skinęli mu głowami, tylko Porteus wstał i uściśnął rękę.

– Jak się spało? Mówią, że pierwszy sen na nowym miejscu to... to... – usiadł ciężko z powrotem, zapraszając do stołu także gościa. – Właściwie nie wiem, co to znaczy.

– Tak mówią – zgodził się Ostap, sięgając po kwadrat chleba. Przymknął oczy i zmówił krótką modlitwę, nie przejmując się drwiącym spojrzeniem Jolxe.

– Czy ja mógłbym się dowiedzieć, czemu jestem tak nielubiany? – zapytał spokojnie.

Bezpośredniość Burina wprowadziła przy stole sporą konsternację. Jolxe wiedziała, że pytanie w zasadzie adresowane było do niej. Z zebranych w kajucie Porteusa ludzi ona zachowywała się wobec zakonnika najbardziej arogancko.

– Przybywa pan, żeby przyjrzeć się naszej wierze. Wierze, która nieco różni się z dogmatami, jakie głosi reprezentowana przez pana instytucja. Mam wrażenie, że w waszych oczach jesteśmy bandą głupków, błędzących w nieprawdzie, a wy, jak wiadomo, jesteście depozytariuszami Prawdy Najprawdziwszej z Prawdziwych. Więc za co mamy pana lubić?

– Irene, no proszę cię – Porteus rzucił widelcem o talerz.

– No przecież pytał, to mu odpowiedziałam – warknęła kobieta, rzucając z kolei nadgryzionym chlebem. – Cóżes taki miękki, do kurwy nędzy?

– Nie miękki, tylko gościnność wymaga...

– A pieprzyć gościnność – Jolxe wstała od stołu. Jej krzesło bezgłośnie zniknęło w podłodze. – Mam nadzieję, że wyjaśniłam wszystko jasno? – spojrzała Burinowi w oczy. W jej wzroku było ogromnie dużo zaciętości i gniewu, a w oddechu zapach kawy i chleba.

– Tak. Dziękuję – Ostap przełknął kęs. – Mam pewną jasność, niemniej jednak... – chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Jolxe odwróciła się na pięcie i wyszła.

– Przepraszam – bąknął tylko Porteus. Carrick ledwie kiwnął głową.

– Ależ nie ma za co. Czasem dobrze jest od razu określić stanowiska.

– Przepraszam raz jeszcze, mam wiadomość z laboratorium – Porteus otarł chusteczką kąciki ust. Przymknął oczy i wysłuchał szeptu SI.

Carrick i Barrows łypali na gościa znad swoich talerzy. Porteus wysłuchał wiadomości w skupieniu, kiwając głową. Przez usta przemknął mu cień uśmiechu.

– Wiadomość dla Irene Jolxe. Przyjdź do mnie natychmiast – powiedział w przestrzeń.

– Czy ojciec reflektowałby na małą wycieczkę?

– To zależy dokąd...

– Będziemy lecieli do gów... statku Much. Potem od razu skoczymy do Wiatraka. W ten sposób odbierzemy od Much, jak to nazywamy, „zlecenie połowowe”. Wie ojciec, że...

– Wiem.

– Ach... No to dobrze – wzruszył ramionami Porteus. Zerknął na Carricka i Barrowsa. – Odnosnie do wycieczki – co jakiś czas latamy do nich, a oni zgłaszają nam zapotrzebowanie na żarcie. Nie wiem, dlaczego odbywa się to tak oficjalnie. Ale tak sobie życzą. Właśnie wczoraj odebraliśmy sygnał zaproszenia. A że to także czas na zmianę załogi na Wiatraku, więc połączymy obie sprawy. Jutro lecimy, zabierze się ojciec z nami?

W momencie, w którym Burin odpowiadał, że bardzo chętnie, do kajuty weszła Jolxe.

– Co pan zrobi bardzo chętnie? – sapnęła mu za uchem niczym SI. – Jakiś stosik?

– Polecą jutro z nami do gówna – oznajmił Porteus.

– Chyba oszalałeś – powiedziała, ale zaraz potem dodała. – A zresztą, twoja sprawa. Ale chyba nie po to mnie wezwałeś, mam nadzieję?

– Dostałem wiadomość z laboratorium. Są wyniki badań wydzieliny. Ma bardzo obiecujące właściwości. Za jej pomocą udało się aktywować telomerazę u szczurów – urwał, jakby nagle dotarło do niego, że nie wszyscy zgromadzeni przy stole są upoważnieni do poznawania korporacyjnych tajemnic. – Pogadamy potem, ale ludzie z Medycznego odwalili kawał dobrej roboty. Trzeba też szybko przekazać wyniki na Ziemię.

– Pójdę do nich. Zerknę na te wyniki. Zrobię też raport dla Centrali.

– To co, panowie? – kiedy wyszła, Porteus popatrzył na Carricka i Barrowsa, ale też i na Burina. – Rozejdźmy się do swoich zajęć. Dzisiaj plan dnia jest wyjątkowo napięty.

## II

Wystartowali kwadrans po Godzinie Maryi, o 14.30 czasu habitatu. Minęła godzina od startu, a Burin jeszcze nawet nie usiadł. Chłonał wszystko niemal z otwartymi ustami.

– I jak się ksiądz czuje wśród heretyków? – usłyszał głos Porteusa, kiedy gapił się w jeden z ekranów.

– Herezja to siła napędowa teologii – odparł uśmiechnięty. – Poza tym, czy w jakiś sposób dałem do zrozumienia, że uważam was za heretyków? – w tym samym momencie przypomniał sobie rozmowę z Villiersem w stołówce, kiedy użył terminu „sekta”. No, ale Porteusa przy tej rozmowie nie było.

– W zasadzie nie... – Porteus poruszył mięsistymi wargami. – Ale po coś ojciec tutaj przybył.



– Musimy trzymać rękę na pulsie – Burin w sterowni statku oparł się plecami o pomost w kształcie cygara. – Nie lubimy być zaskakiwani, walka idzie o dusze.

– Ach, a więc jednak walka – Porteus uniósł do góry wskazujący palec, punktując Burina.  
– Jeśli walka, to i przeciwnik.

Ostap poczuł się zbity z pantałyku. Jego słowa nie zabrzmiały dobrze, popełnił błąd.

– Dzięki takim jak wy – podjął po chwili, nie patrząc jednak w twarz dyrektora – my określamy własną tożsamość, redefiniujemy dogmaty.

– Wy, my... Brnie ojciec dalej – Porteus niemal się roześmiał.

– Trudno – westchnął ciężko Burin.

– A więc jednak na coś się przydajemy?

– To problem stary jak Kościół. Już święty Augustyn pisał, że heretycy pobudzają swoimi pytaniami.

– Ale czyż ten sam święty Augustyn nie popierał torturowania innowierców i nie nazywał ich bezmyślnym bydłem, pojącym Chrystusa octem?

Burin uniósł brwi.

– Zostaniemy z pewnością wyklęci, a Ludvigsen, Archipowa i inni – internowani – po chwili podjął dyrektor.

– Po co? – warknął podenerwowany Burin. – Pokażemy ludziom mechanizmy działania Szatana, a oni sami oddziela ziarno od plew. Ja muszę tylko zidentyfikować je tutaj, u źródła, poznać przyczynę, dla której gleba jest tutaj tak podatna na... – szukał właściwego słowa – ...religijne nowinki. A wracając do herezji.

– Tak?

– Za poważnymi, podkreślam, poważnymi herezjami zawsze stoi potężny namysł, ogromna – zastanawiał się przez moment – siła duchowa. Nie można im odmówić swoistej odwagi – urwał. Zastanawiał się, po co wdaje się w takie dysputy, ale przecież to także była część jego pracy tutaj. Miał jak najwięcej rozmawiać z tymi ludźmi.

– Odwagi... A prostolinijnej szczerości nam ojciec odmawia? Ach, przecież mowa była o poważnych herezjach, nie o nas...

– Po co ten sarkazm? – Burinowi zaczęły puszczać nerwy. – Nie uważam was za heretyków. Historia mariologii odnotowuje przykłady niekanonicznego przedstawiania Maryi. Czarne madonny w Afryce. Albo skośnookie, w chińskich świątyniach. Gdzie tu mowa o herezji?

– Niech ojcu będzie – Porteus uniósł ręce w geście poddania. – Chodźmy coś zjeść, zbliża się pora obiadu.

\* \* \*

W mesie Porteus szybko opuścił Burina, zostawiając go siedzącemu przed parującym kubkiem kawy, zwałistemu brodaczowi. Oprócz nich przy stole siedziało jeszcze paru członków załogi.

– Archie ojcu co nieco poopowiada – zaanonsował Burina dyrektor i czmychnął do syntetyzera żywności.

Ręka Archibalda Boe zawisła z kubkiem w połowie drogi między blatem stołu a ukrytymi w gęstwinie zarostu ustami. Obrzucił plecy Porteusa wymownym spojrzeniem, ale zmilczał.

– Pewnie chciałby ojciec usłyszeć, co wiemy o tłumacze? To znaczy o tej substancji, w którą jest niemal zawinięta? No więc, wiele księdzu nie powiem. Muchy nie pozwalają nam nawet się do niej zbliżyć.

– A ja nie bardzo wiem, o czym pan mówi...

Boe odchylił się od stołu.

– Nikt mu nie powiedział o tłumacze? – spojrzał po twarzach z wyrzutem. Porteus nadal stał do nich plecami, wklepując dyspozycje do syntetyzera. Jego ramiona drgały lekko w tłumionym śmiechu. Pozostali albo spuścili wzrok, podziwiając buty, albo właśnie bardzo mocno zaangażowali się w nalewanie sobie kawy.

– O, nie. Ja mu tego nie powiem – Boe kręcił głową z taką intensywnością, że Ostap zaczął się martwić o stan jego szyi. – Nie.

Burin zbeształ się w myślach, że wcześniej nie drażył tematu komunikacji między obcymi a ludźmi korporacji. W mesie zapadła cisza. Trwała bardzo długo.

– No więc tak... – odezwał się Porteus.

W miarę jak dyrektor snuł opowieść o tłumacze, twarz duchownego bladła, przyjmując wreszcie biel liturgicznej szaty. Nie mógł inaczej zareagować na informację o ludzkiej istocie, przebywającej stale wśród obcych. Dobrowolnie, jak podkreślił Porteus, ale to niewiele zmieniło.

Kobieta wśród obcych. Kim jest?, myślał gorączkowo.

\* \* \*

Cygaro podchodziło powoli do pumeksowatego statku obcych. Termin „gówno” nie przyjął się w głowie Burina, ale, rzecz jasna, nie rozdzierał szat z tego powodu. Ściany statku usiane były dziurkami, szczelinami, ostrymi występami. Ostapowi wydało się, że coś poruszyło się na porowatej powierzchni. Przyjrzał się uważnie. Nie miał wątpliwości. To, co wychynęło z wnętrza obcego statku, przypominało kielich kwiatu albo jakąś tubę.

– Zauważył ojciec? – usłyszał za plecami głos Porteusa. Czy mu się zdawało, czy jego głos zadrżał?

– Co to jest? – udzielił mu się nieudolnie maskowany niepokój dyrektora.

– Zaraz będzie można zobaczyć to w działaniu...

Ostap nie zdążył odpowiedzieć. Dostrzegł, że kielich pęcznieje i nabrzmiewa. Byli, według odczytu u dołu ekranu, w odległości dziesięciu kilometrów od siedziby obcych. Tuba zaczęła pulsować, jakby w jej środku kryło się potężne serce. Pulsowała coraz szybciej. Burin zauważył z niejakim zdziwieniem, że on sam zaczyna szybciej oddychać, jakby dostosowując rytm serca do skurczów i rozkurczów kielicha. Oddychał przez nos, aż poczuł pieczenie w obu dziurkach. Jednocześnie jak zahipnotyzowany patrzył w ekran. Nie wiedział, czy został sam w sterowni cygara, czy dalej stał za nim Porteus, czy może ktoś inny. Nie obchodziło go to. Liczyło się tylko piękno obcego kielicha. A ten pulsował coraz szybciej.

Zbliżyli się do porowatego statku na odległość pięciu kilometrów. Nagle ekran poczerniał. Nie. Zmatowiał. Jakby ktoś wylał na kamery cygara mleko. Burin uspokoił oddech. Był spocony. Poczuł, że podłoga lekko drży. Zaniepokojony odwrócił się. Przygryzającą wargę Porteus uważnie na niego patrzył.

– Wszystko w porządku?

– Tttak – wyjąkał. – Co to było? Co się dzieje?

– Ta trąbka wypluwa na odległość kilku kilometrów zawieszony żel, który oblepia nasz statek, a potem nas zasysa. Za parę sekund zadokujemy do gówna.

– Żel?

Dyrektor skinął głową.

– Tak. Szczepiony polimer o niewielkiej masie cząsteczkowej, ale jednak nadzwyczajnej wytrzymałości. Kiedy odlatujemy, następuje jakiś proces chemiczny, który wytrawia tę substancję z kadłuba cygara.

– Skąd więc...?

– Synchrotron – odparł dyrektor, jakby miało to wystarczyć za wyjaśnienie.

Statkiem lekko szarpnęło.

– Jesteśmy – oznajmił.

Burin westchnął.

\* \* \*

Szli w pięciu, w lekkich kombinezonach, z butlami tlenu na plecach, przez wysypaną rodzajem żwiru ścieżkę.

Ściany statku wewnątrz także przypominały wyglądem pumeks. Świeciły delikatnym, fosforyzującym światłem, umożliwiającym bezpieczny marsz. Pytanie, na które biolodzy nie znali odpowiedzi, brzmiało: Czy to światło jest Muchom w ogóle potrzebne? Boe twierdził, że nie. Że to gest w kierunku Ziemi. Owłosione oko Much było ponoć – jak u ziemskich owadów – zbudowane z miliardów soczewek, z których każda stanowiła oko proste, przesyłające sygnały do mózgu. Ale w statku Muchy nie korzystały z żadnego światła. Oczy pracowały tylko podczas korygowania lotu czy manewrów orbitalnych.

– Dokąd idziemy? – wychrypiął Burin do mikrofonu. Kula z panglasytu, wieńcząca kombinezon Porteusa, zwróciła się ku niemu.

– Do pomieszczenia będącego czymś w rodzaju sali obrad. Takiej ich sali audiencyjnej. Tam będzie można zdjąć hełmy.

– Co?

– Nie przesłyszał się ojciec – potwierdził Boe. – Najprawdopodobniej przyjrzeni się naszej biochemii i jakoś wytworzyli potrzebną nam ilość powietrza. Albo nam się zdaje, bo czasami sam nie wiem, czy to sen, czy jawa.

Burin chciał coś powiedzieć, ale

*dziewczyna odwróciła się na pięcie. Wyciągnął rękę, zdołał jednak tylko musnąć dłonią jej sukienkę.*

*– Zaczekaj – chciał zawołać, ale głos uwiązł mu w gardle.*

*– Wybrałeś, Ostap – powiedziała, nie odwracając głowy. – Tylko po co zmarnowałeś mi te wszystkie lata... – rzuciła się do biegu.*

*– Zuz... – krzyknął za oddalającym się zarysem jej sylwetki. Powietrze pachniało skoszoną trawą. Zaczęło kręcić go w nosie. Łzy pocięły wartkim strumieniem. Cholerny katar.*

*– Zuz... – zakał.*

\* \* \*

– Już w porządku? – Boe był blady.

Porteus, który stał za biologiem, przypatrywał się Burinowi intensywnie, ale bez hysterii i przerażenia w oczach. No tak, przecież wiedział, czym jest choroba Kerskiego-Haplaka.

– Tak. Dziękuję – Ostap wziął kilka głębszych oddechów.

– Chodźmy dalej. Za parę chwil będziemy na miejscu – zakomenderował Porteus.

– Długo to trwało? – zapytał cicho Ostap, kiedy ruszyli. Uświadomił sobie, że dzięki mikrofonom mogli go słyszeć wszyscy.

– Pół minuty. Miewa ojciec dłuższe ataki? – zapytał rzeczowo dyrektor.

– Miewam – Burin chciał uciąć tę rozmowę, nieopatrznie przez siebie zaczęłą. Porteus to zrozumiał i już się nie odezwał.

Dotarli na miejsce. Otoczone pumeksowymi ścianami, przestronne pomieszczenie było puste. W mdłym świetle, tym razem bijącym z dołu, zakonnik dostrzegł jedną, nie, dwie stalaktytopodobne formacje, strzelające z podłoża na jakieś pięć metrów.

Odpięli hełmy, Burin ostatni, jakby nie do końca wierząc, że można. Fala... To nawet nie był smród, raczej zupełnie nowy, nieprzyjemny zapach, niedefiniowalny za pomocą zapachów znanych Burinowi wcześniej. Popatrzył na twarze towarzyszy. No tak, oni nie byli tutaj pierwszy raz. Chociaż Susfreede był zupełnie blady, jeśli w ogóle dało się to stwierdzić

w tym mdłym świetle. Zbili się w gromadkę, pchani jakimś atawistycznym lękiem przed obcym zagrożeniem. Burin dołączył do nich, rzeczywiście poczuł się pewniej.

Oprócz parastalaktytowych formacji geologicznych w sali nie było żadnego wyposażenia. Burin zaczął wpatrywać się w wystające kształty. Może to rodzaj filarów, na których wspiera się konstrukcja sali? Rozglądał się dookoła. Wiele jednak nie zdołał dostrzec. Zastanawiał się, jak długo przyjdzie im czekać na przybycie kogoś z gospodarzy. Między jednym oddechem a drugim, płytkimi, bo nadal intuicyjnie bał się zaczerpnąć tego powietrza pełną pierśią, dostrzegł nagle jakby... Początkowo zrzucił to na karb przywidzenia, najpewniej spowodowanego mieszanką, która dostawała się do jego płuc. Jednak to nie było przywidzenie. Stalaktyty poruszyły się.

– O mój Boże – wyszeptał.

Kiedy wzrok przyzwyczyił mu się do rozjaśnianej bladymi pastelami ciemności, jego oczy wyłuskały z cieni dwie istoty – filary to nie były formacje skalne. Przełknął ślinę, ale w dół gardła nie spłynęła nawet kropla wilgoci. Miał przed sobą dwa pięciometrowej wysokości okazy obcych.

Teraz dostrzegał więcej szczegółów. Ich głowy, ozdobione ciemnymi plamami oczu, zaczęły kiwać się w tajemnym rytmie. Masywne nogi pokryte były ściekającym spod złożonych skrzydeł śluzem. Być może właśnie to było źródłem okropnego zapachu. Zaraz, pomyślał Burin, czy ktoś mi nie mówił, że gruczoły pod skrzydłami produkują substancje odżywcze dla muszego potomstwa, kiedy ich matki...

Albo światło z podłóża stało się odrobinę jaśniejsze, albo oczy przyzwyczyły się do półmroku. Stali tak dobrą chwilę, oko w oko z owadziemi gigantami. Burin zaczął zastanawiać się, czy aby, poza jego percepcją, nie toczy się już rozmowa. A może czekamy na przybycie tej tajemniczej tłumaczki? Dyskretnie rozejrzał się po komnacie-grocie. W jej ścianach, jeśli wzrok go nie mylił, zobaczył kilka, nie, kilkanaście okrągłych otworów. Wentylacja? Może tędy pompują powietrze?

Usłyszał szelest. Rozejrzał się znów, tym razem koncentrując się na twarzach towarzyszy. Zauważył, że wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Jakby byli wtajemniczeni w spisek, do którego nie został dopuszczony. Szelest nasilał się. Z umieszczonej metr nad podłóżem dziury wyrzała powoli... W słabym świetle Burin zdołał dostrzec tylko, że to biały kształt, który po delikatnym wysunięciu się z otworu stanął pionowo. Przez chwilę zakonnikowi skojarzyło się to z jakąś mumią, bo gabarytowo miało rozmiary człowieka.

– Kim jest ten nowy? – głuchy, zduszony głos, charkot prawie, dobiegł ich od strony białego kształtu.

To jest tłumaczka, uświadomił sobie Ostap i zadrzał w dreszczu przerażenia. Spowita w kokon, jak larwa. Porteus skłonił głowę i przemówił. Nie spojrzął na kokon, tylko zadarł głowę do góry, patrząc w doskonale czarne, wielkie oczy Muchy.

– To gość. Przybył tutaj z naszego macierzystego świata, z polecenia wodza naszego Klanu. Będzie z nami przebywał jakiś czas, ale tutaj, w Gnieździe, już się więcej nie pojawi. Chcieliśmy mu pokazać wasz statek.

Zakończył i zrobił krok do tyłu. Teraz to dyrektor był uczniakiem, jak Burin kilkadziesiąt godzin temu. Jedna z Much, ta minimalnie wyższa, stojąca po lewej stronie, opuściła łeb. Duchowny poczuł, jak pali go całe ciało. Topniał pod obcym spojrzeniem. Ale nie bał się, wiedział, że patrzy na dzieło Boga, takie jak on. Tylko to gorąco. Niemal czuł, jak pory na twarzy rodzą w bólach grube krople słonego potu, które później spływają po czole i policzkach. Trwało to dobrą chwilę, nie wiedział jak długą. Ten beczas, w jakim się znalazł, przypominał ataki Haplaka. Mózg odtwarzał wtedy zdarzenia z przeszłości w sposób tak doskonały, że potrafił poczuć zapach kwiatów czy fakturę tkaniny pod palcami, tak jak podczas ostatniego ataku, kiedy przypomniła mu się szczenięca miłość – Zuzanna.

Mucha poruszyła górnymi kończynami. Cztery odnóża, o wiele cieńsze, wyrastające ze środkowej części tułowia, zadrgały w sobie tylko znanym rytmie. Sekundę później zawtórowały im takie same, włoskowate kończyny drugiego osobnika. Trwało to chwilę, w końcowej fazie przerodziło się w obrzydliwy, obcy trzepot.

– Dobrze – przemówiła nagle tłumaczka. Jej głos był twardy, szorstki, w ogóle nie przywodził na myśl głosu kobiety. Ale to chyba przez śluz, który tworzył oplatający ją kokon. Stała ponad dziesięć metrów od nich. Po kilku sekundach intensywnego wpatrywania się w biały kształt Ostap dostrzegł zarys ludzkiego ciała. Wyłowił kontur pobielonej twarzy. Kiedy tłumaczka mówiła, śluz ściekał jej z ust. Ohyda, pomyślał, mimowolnie krzywiąc się w grymasie. Wszystko spowite mazią.

– Dobrze – powtórzyła. – Przejdźmy do rzeczy. Klan potrzebuje trzech wielorybów. Czy dwa dni wystarczą na łowy?

Porteus nachylił się do Hulma, który będzie kierował nową zmianą harpunników na Wiatraku. Szeptali przez dwie, trzy sekundy.

– Nasz Klan prosi o termin trzydniowy. Jesteśmy akurat w trakcie zmiany załogi. Jak tylko zainstaluje się nowa zmiana, upolujemy trzy dorodne sztuki – znów pełen szacunku ukłon zakończył wypowiedź Porteusa.

Translacja ich wypowiedzi na język Much musiała dokonywać się pozawerbalnie. Może to ten żel odpowiadał za łączność – telepatyczną? – obcych z tłumaczką?

– Zgoda – dobiegło od strony mumii.

– Nie szanujecie innych istot, nie ma się czemu dziwić, że nie szanujecie też swoich samic, matek waszych dzieci – Burin słuchał tych słów, zdumiony, że ktoś odważył się odezwać i złamać ten jasno określony protokół, czytelny nawet dla niego. Jakież było jego zdziwienie, kiedy zorientował się, że to jego usta wypowiedziały te słowa. Zapadła cisza.

Zerknął na dyrektora, z którego twarzy odpłynęła cała krew. Był blady, jakby to jego spowił owadzi kokon. Kątem oka Burin zanotował ruch górnych kończyn Muchy stojącej z

lewej strony. W następnym ułamku sekundy poruszyły się jej skrzydła. Zdołał skrzyżować spojrzenie z czarnymi plamami obcych oczu, a w następnej sekundzie poczuł na twarzy wrzątek.

Uczucie palenia trwało przez chwilę. Zakonnik dotknął policzka i czegoś kleistego, co się tam znalazło. Pieczenie zniknęło, zastąpione obrzydzeniem. Starł z twarzy śluz i rozcapierzył palce. Między nimi rozpościerała się glutowata sieć kleistych nitek. Smród był nie do zniesienia, poczuł go dopiero teraz. Strzepnął gwałtownie ręką, żeby pozbyć się mazi. I zwymiotował. Skulił się i rzygał aż do palącej żółci, którą wypluł na końcu.

Susfreede pomógł mu wstać z kolan. Burin podniósł oczy na obcych. Muchy patrzyły na niego bez emocji, tak mu się wydało. Bzdura. Przecież nie zdołałby zidentyfikować jakichkolwiek emocji w tych owadzich oczach. Nadal było mu niedobrze.

Chwilę potem jego oczy zaszyły mgłą. Ostatnie, co zapamiętał, to utkwione w sobie beznamienne spojrzenie obcych.

\* \* \*

– No, to dał ojciec do wiwatu – warknął Porteus, kiedy pumeksowy pojazd został już za nimi. Siedział naprzeciwko leżącego Burina. – Nie lepiej było ugryźć się w język?

– Jakże bym mógł?

– Historia świata pełna jest przykładów milczenia Kościoła wobec licznych zbrodni. Jakoś wtedy pogryziony język wam nie przeszkadzał – machnął zrezygnowany ręką. – I jeszcze zniszczył ojciec całą wydzielinę, jaką został obdarowany. – Przez kąciaki ust przemknął mu grymas złości. – Wszystko ojciec starł... Została tylko odrobina.

Burin uniósł dłoń do góry. Była oczywiście czysta, w grocie miał na niej rękawicę.

– Już zebraliśmy resztki. Przydadzą się. Kilka wizyt temu Boe wdepnął w kałużę wydzieliny, tam, na gównie, i dzięki temu mieliśmy całkiem pokaźną próbkę do badań i analiz.

– Czyli to była tłumaczka? – Ostapowi stanął przed oczyma obraz z audyencji.

– Tak. Jest tam od kilku miesięcy.

– Jak tam trafiła?

– To ochotniczka. Ksenobiolog. Zastępczyni Barrowsa.

– Czy coś będzie pamiętała po powrocie?

Porteus utkwiał spojrzenie w podłodze.

– To się okaże, jest pionierką. Czego by nie pamiętała, są środki... Mamy nadzieję...

– Ale ona wróci? Muchy ją oddadzą, prawda? – naciskał zakonnik.

– Proszę się uspokoić. To nie są ojca sprawy – Porteus uciekł ze spojrzeniem.

– Jakżeż nie?! – Ostap aż uniósł się na łokciu. – Co to za kobieta?

– Mówiłem, ksenobiolog, zastęp...

– Jak się nazywa?

– Randall – wycedził wreszcie dyrektor. – Jakie to ma znaczenie?

To było dobre pytanie. Burin znowu zdał sobie sprawę, że po powrocie nie będzie niczego pamiętał.

– Niech się ojciec prześpi. Po takim stresie sen się przyda. Jutro będziemy w kontakcie z Wiatrakiem.

Ale tego Ostap już nie słyszał. Spał.

\* \* \*

Zbudziło go świdrujące uczucie niepokoju. Przez moment myślał, że to choroba daje o sobie znać. Ale to nie był atak.

Przez chwilę musiał się zastanowić, gdzie jest. Na statku panowała noc. Dopiero za kilka godzin mieli wejść w kontakt z Wiatrakiem, stacją pozyskującą hel 3 z atmosfery Gaussa. Wstał z łóżka, które od razu zniknęło w ścianie, a boczne światło zapaliło się na bursztynowo. Nie chciał iść do sterowni, nie chciał przeszkadzać, nie chciał widzieć tych ich pogardliwych spojrzeń.

Co ja tu robię?, pomyślał po raz kolejny, odkąd przybył do Układu Bourbakiego. Miał sprawdzić, jak bardzo prawdziwej wierze zagraża lokalny kult. Kult opierający się na przeswiadczeniu, że oto Matka Boska inkarnowała w jedną z samic obcego gatunku, uchroniła ludzi przed kosmicznym bolidem, uratowała załogę korporacyjnego stateczku. A co dotąd osiągnął? Odetchnął głęboko, ukląkł i zaczął odmawiać modlitwę. Modlił się półgłosem, poczuł potrzebę usłyszenia swojego głosu, wypowiadającego znane słowa, dające otuchę i siłę. W pewnej chwili poczuł... Miał wrażenie, że ktoś mu się przygląda. Miał zamknięte oczy, więc wyteżył słuch. To był szept. Tak, na pewno. Poczł krople potu na plecach, a w żołądku lodowate igły strachu. Otworzył oczy.

Kątem oka zobaczył fosforyzujący odblask. Wstał. Stał twarzą w twarz z projekcją holograficzną, zarejestrowaną, jak przeczytał u dołu, dziesięć miesięcy wcześniej. Kobieta, wyglądająca na około czterdzieści lat, w kombinezonie Korporacji Howarda, stała z rękami założonymi na piersiach.

– ...lecimy w kierunku statku obcych. Jak sądzę, zostanę im oddana w zamian za dyrektora, którego Muchy zabrały podczas naszej pierwszej wizyty, kiedy poleciliśmy odebrać naszych ludzi uratowanych przez obcą samicę. – Burin patrzył oniemiały. – Nie uczestniczyłam w niej, jej przebieg jest tajemnicą, jednak ludzie co nieco mówią, a nieobecność Porteusy jest faktem. Habitatem kieruje Jolxe. Były jeszcze inne wizyty na statku obcych, nie o wszystkich nas informowano, ale przecież startu cygara nie da się ukryć. Podejrzewam, że chcą się mnie pozbyć, wymienić na dyrektora, bo tylko ja nie przystałam do tej bandy, czczącej owadzią samicę jako inkarnację Matki Bożej. Tak, wiem, że uratowała



kuter, ale nikt nie pomyśli, że zrobiła to, aby zdobyć łup – to biedne stworzenie, które żrą obcy. Nie udało się, więc uratowała istoty, które to pożywienie dostarczą jej następnym razem. A kretyni pod wodzą Jolxe rozpętali histerię pod nazwą „cudu Nowej Maryi”... A to przecież kolejna samica swojego gatunku. Nastawiona na żarcie, prokreację i śmierć, która jest końcem jej krótkiego macierzyństwa. Samice są tylko inkubatorami dla młodych, potem nie są już potrzebne. Ohyda. A te błazny, z Jolxe na czele, jeszcze im się kłaniają. Czczą jedną z nich. Za wszystkie sznurki pociąga Jolxe i to się nie zmieni, dopóki będzie trzymała w ustach dyrektorskiego kutasa. Podejrzewam, że chcą upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Odzyskają Porteusa, a pozbędą się mnie. Chciałabym się mylić, ale... Boję się – oczy kobiety z hologramu uciekły w bok, jakby przestraszyła się czegoś podczas nagrania, które zresztą w tym momencie się urwało.

Burin stał w kajucie zlany potem.

Analizował gorączkowo, czego był świadkiem. Przestraszona kobieta nagrała holo, które z jakiegoś powodu udało mu się obejrzeć. Jak? Kto je uruchomił? Czy był to przekaz specjalnie dla niego? Skąd kobieta mogła wiedzieć dziesięć miesięcy temu, że on będzie w tej kajucie? Nie, to bzdura. Przypadek. Nie. To nie może być przypadek. Kim była ta kobieta? Czy ma pytać Porteusa? Wtedy zdradziłby się z posiadaną wiedzą, a to chyba nie jest wskazane. A może to prowokacja? Oni wiedzą, że on zobaczył to holo, i teraz będą czekać, co zrobi z tą wiedzą.

Oni. Ja i oni. Sam przeciw wszystkim? Śmieszne. Choć przecież ta kobieta właśnie w takiej sytuacji się znalazła. Sama przeciw pozostałym. Co robić? Upadł na kolana z głośnym rumorem. Boże pomóż... W tej samej chwili dostrzegł, że hologram znów się pojawił. Ten sam zapis zaczął się odtwarzać ponownie.

Przypatrzył się kobiecie. Zgrabna blondynka, ze strachem w niebieskich oczach. Była w oliwkowym kombinezonie korporacji. Jak mógł być tak tępy? Burin w ostatniej chwili powstrzymał się przed mocnym palnięciem się w czoło. Nad kieszonką jej kombinezonu widniała naszywka z nazwiskiem. „C. Randall” – odcyfrował. Dobrze, to już jest coś. Ma pewność, że to ta sama kobieta, która teraz przebywa na statku obcych. Ta niby-ochotniczka, jak chciał mu wmówić Porteus. Druga rzecz: gdzie jest holoemiter? Wiedział, że nowoczesne modele, takie, których dziekan nigdy nie pozwoliłby kupić, są wielkości ziarnka piasku, niemniej jednak gdzieś musiała go wcisnąć, być może w ostatniej chwili swojej wolności.

Ponownie obejrzał i wysłuchał cały zapis. Usiadł na siedzisku, ukrył twarz w dłoniach. Myśli pędziły mu przez głowę, rozgrzewając neurony do białości. Przypomniawszy sobie, że nie skończył modlitwy. Ba, nawet jej dobrze nie zaczął. Ukłękł znów. C. Randall ponownie pojawiła się obok. Klęknięcie powodowało uruchomienie projekcji. Czy był to celowy zabieg, zabezpieczenie, jakie zrobiła Randall? Nikt inny nie klęknął w tej kajucie, myślał zakonnik, oprócz ewentualnego wysłannika Watykanu. Oni – pomyślał o Porteusie i jego ludziach – nie klękają przecież. Przewidziała, że ci, którzy wrócili z Bourbakiego na Ziemię, spowodują

ferment tak duży, że spowoduje on reakcję Stolicy Apostolskiej – i być może tą reakcją będzie przysłanie kogoś tutaj? Wymyśliła zapis uruchamiany przez SI cygara na określony sygnał, którym było ukłęknięcie kogoś w tej kajucie? Możliwe. Randall była... jest zastępczynią Barrowsa, więc kimś dość wysoko postawionym w hierarchii korporacji w Bourbakim. Mogła więc mieć dostęp do ustawień SI. To ma sens.

Podskoczył kilka razy, zapis się nie uruchomił. Musiał wyglądać kretyńsko, kiedy tak skakał, miał nadzieję, że nikt go nie obserwował. W kajutach chyba nie było kamer, ale nie miał pewności. Zresztą, jeżeli były, to Porteus już o wszystkim wie. Po chwili uświadomił sobie, że mimo przeżytego przed chwilą ogromnego stresu, nie nastąpił atak choroby. Jednak nie będzie o tym pamiętał po powrocie. Szkoda. Tam, na Ziemi, znów z rezygnacją przyjmie kolejne nawroty, uzna je za przeznaczony mu krzyż i z radością poniesie go na swoich barkach dalej. Przez sekundę zamarzył, żeby dememoryzacja się nie udała. Żeby zostało mu w pamięci to, co tu widział. I to, co jeszcze zobaczy. Taniec księżyców Sierpińskiego, bajeczne kolory Gaussa, czarny, metanowy śnieg na Arbuzie... Ale też Jolxe. I Muchy. Przygryzł wargę. I C. Randall.

Pomodlił się w myślach, na stojąco, po czym położył się na cudownie zmaterializowanej pryczy, ale nie mógł zasnąć.

\* \* \*

– Zechce ojciec obejrzeć? – Porteus ruchem głowy wskazał ekran w sterowni cygara. – Być może da to ojcu pełniejszy obraz naszej społeczności. Transmisja w czasie rzeczywistym z satelity meteo.

Ostap stanął za Porteussem i wbił wzrok w ekran. Między jasnoczerwonymi chmurami, które spowijały Gaussa, przesuwał się powoli jakiś kształt. Wieloryb o długości sześćdziesięciu trzech metrów, jak skrupulatnie podał telemetr, i dziesięciometrowej rozpiętości skrzydeł sunął majestatycznie, nisko, ledwie na wysokości dwunastu kilometrów nad powierzchnią olbrzymiej planety.

– Polowanie.

W ślad za sunącym władcą atmosfery Gaussa poruszał się kuter harpunników. Dwuosobowy, niewielki stateczek w staloszarych barwach, z logo korporacji na kadłubie, śledził swą ofiarę. To kuter, to wieloryb, niknęli pod otuliną chmur, ale te były rzadkie i poszarpane, więc już po kilku sekundach obaj uczestnicy rytuału drapieżnika i ofiary znów pojawiali się w polu widzenia sondy meteorologicznej. Skrzydlaty wieloryb sunął dostojnie, jasnoszary, jaśniejszy od kutra. Najpewniej nieświadomy zagrożenia.

Władca tych przestworzy, czerpiący z atmosfery wszelkie składniki niezbędne do życia, dryfował na prądach wstępujących. Jeden z kutrów zbliżał się właśnie do szybującej istoty. Po

kilkunastu sekundach, wyłoniwszy się zza kolejnej grupy rachitycznych chmur, z kadłuba oderwała się czarna kropka. Nanohak.

– Inteligentny hak. Harpun – Porteus spojrział na Burina z jakąś dziwną dumą. Tak, był członkiem tej drapieżnej, pozbawionej skrupułów rasy, która wymyśliła nanohak. – Wbija się w skrzydło i w błyskawicznym tempie inicjuje reakcję chemiczną, która niszczy jego struktury lotne. Po dziesięciu-piętnastu minutach wieloryb traci zdolność lotu.

– Mamy go. Harpun w miejscu – usłyszeli w głośnikach sterowni.

– Witaj, Elve. Tu Porteus. Właśnie oglądamy wasze polowanie.

– Witaj, szefie. Jak rozumiem, przylecieliście ze zmianą? Szybko zleciało, szkoda... Do zobaczenia zatem, jak Maryja da – pilot kutra rozłączył się.

– Jak Maryja da – powtórzył Boe, a Porteus skłonił głowę.

Patrzyli w ekran. Wieloryb szarpnęła się parę razy, po czym zaczął obniżać lot. Gdyby nie hol kutra, istota rozpoczęłaby lot w dół, ku planecie. Ale nie dane było jej umrzeć w ten sposób. Jeszcze próbowała walczyć, dwa albo trzy razy szarpnęła liną.

– On nadal żyje? – wyszeptał Burin.

– Niech ojciec jeszcze przez chwilę popatrzy.

Lina łącząca kuter ze skrzydłem ofiary pojaśniała w milisekundowym, prawie niezauważalnym impulsie. I było po wszystkim. Ostap zwalczył chorobliwą chęć zapytania, co dokładnie stało się przed chwilą. Przecież i tak to wszystko zapomni. Po co mu ta wiedza? Właściwie nic mnie nie różni od tych ludzi, pomyślał, przypominając niedawną fascynację w ich oczach. Nic.

Porteus skinął mu głową i wyszedł ze sterowni. Kiedy Burin również oderwał wzrok od ekranu, teraz pokazującego już tylko tanię chmur, okazało się, że został w sterowni sam. Jesteśmy identyczni. Wszyscy, co do jednego. Okrucieństwo, żądza krwi, to testament naszych zwierzęcych przodków. To nam zostawili. Od bestialstwa nie była wolna żadna społeczność stworzona przez człowieka, co znaczy, że okrucieństwo jest częścią naszej natury. A jednak nawet w tym człowiek różni się od zwierzęcia. Nasze okrucieństwo jest świadome, wybierane z zamysłem, zimnym wyrachowaniem. I nie zmieniła tego żadna religia, święta księga, objawienie proroka. Nic. Wykorzystujemy naszą inteligencję do tworzenia narzędzi tortur albo do wymyślania rozrywek, w których atrakcją jest ból innych istot. Szubienice, krzyże, hiszpańskie buty i nanohaki. Walki gladiatorów, publiczne egzekucje, filmy o śmierci, polowania na obce wieloryby. Ból i ekstaza, nieodłączne dzieci człowieka.

Zakonnik szybkim krokiem opuścił sterownię.

\* \* \*

– Dobrze pamiętam, że to Mere Nygee była z Ludvigsenem w tym kutrze, wtedy...?

– Tak – przerwał Porteus. – To ona. Teraz kieruje Wiatrakiem. Całym procesem pozyskiwania helu.

– Kiedy będę mógł z nią porozmawiać? – Burin starał się nadażyć za dyrektorem, idącym szybko wąskim korytarzem cygara.

– W każdej chwili. Wystarczy pójść do sterowni i ją wywołać. Mamy kontakt już od kilku godzin. Jeśli nie jest zajęta...

– Nie, nie. Miałem na myśli rozmowę twarzą w twarz. Załoga Wiatraka się zmieni, czyli będę mógł z panią Nygee porozmawiać, tak? Kiedy to nastąpi? I czy będę mógł tę rozmowę przeprowadzić i zarejestrować tutaj, na pokładzie cygara, czy lepiej poczekać, aż wrócimy na Arbuza?

Porteus obrzucił go zdawkowym spojrzeniem.

– A tego chyba ojciec niezbyt uważnie słuchał.

– Nie rozumiem? Z tego, co pamiętam, o Nygee nie było żadnej rozmowy...

– Nygee nie rotuje. Jest, że się tak wyrażę, ekspozycją stałą Wiatraka. Od dawna nie wraca. Siedzi tam cały czas. Zmieniają się inni, technicy, piloci kutrów, operatorzy podbieraków. Nie ona.

– Nie uprzedził mnie pan o tym.

– Naprawdę? – Porteus udał zdziwienie. – Byłem przekonany, że...

– Chcę tam lecieć.

– To niemożliwe.

– Umowa między Ojcem Świętym a panem Ionem Howardem V jasno precyzuje, że ma pan obowiązek umożliwić mi rozmowę z każdym...

– No więc, proszę przejść do sterowni i wywołać Nygee.

– Rozmowę. Nie obraz na monitorze. Twarzą w twarz – to jest rozmowa.

– Jak sobie ojciec to wyobraża? – zdenerwowany Porteus zatrzymał się nagle. – Że zamienię jednego z techników albo pilotów na ojca? I co? Będzie ojciec operował urządzeniami? Albo pilotował kuter?

– Umowa jasno mówi...

– Gównu mnie obchodzi, co mówi umowa. Ja tutaj odpowiadam za wszystko...

– ...że mam prawo porozmawiać z uczestnikami tamtego...

– ...i jak coś się stanie, to mnie powieszą za jaja. Co ojciec sobie wyobraża? Że...

– ...wydarzenia. To jest sens mojej wizyty, która była możliwa dzięki umowie papieża z panem Howardem. A technik poleci następnym razem...

– Kurwa mać! Niech się zatem ojciec szykuje. Ma ojciec pół godziny.

Dyrektor zniknął za zakrętem.

Tak, jak mu powiedziano, Nygee była w dyspozytorni, jądrze Wiatraka. Stał przed zamkniętymi drzwiami, które rozsunęły się z cichym sykiem.

Kobieta stała tyłem do wejścia, tak, że mógł podziwiać jej nienaganną figurę. Nygee była równa mu wzrostem, a oliwkowy kombinezon korporacyjny leżał na niej jak najlepsza kreacja. Miała włosy przycięte na wysokości uszu. Stała przed ścianą – zbiorem ogromnych monitorów, pokazujących przekazywane przez automatyczne satelity i sondy widoki z dolnych warstw atmosfery Gaussa. Prawie setka takich aparatów przedzierała się dzielnie przez troposferę olbrzyma, ciesząc oczy ludzi pejzażami zapierającymi dech w piersiach, pełnymi chmur o wymyślnych, porozciąganych kształtach. Piękno atmosfery Gaussa walczyło w oczach Burina o prymat z pięknem kobiecej figury. Ostap uśmiechnął się pod nosem, w uznaniu dla estetycznego zmysłu Boga, który stworzył obie te rzeczy.

– Piękne, prawda? – nie odwracając się, odezwała się Nygee. – Tyle razy już to widziałam. I nadal nie mogę się nadziwić.

Jej głos był taki... kobiecy. Miły, aksamitnej barwy, spokojny, bez agresywnych nut, jak u Jolxe.

– Słyszałam, że ksiądz uparł się, żeby mnie tutaj odwiedzić – odwróciła się wreszcie. – Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – uśmiechnęła się lekko.

Burinowi najzwyczajniej w świecie zabrakło tchu. Miał przed sobą najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek widział. Kiedy odwróciła się twarzą do niego, tylko upewnił się, że Bóg tworząc ją, był w świetnej formie. Odblask z monitorów rozpałił ogniska w smolistej czerni jej krótkich włosów. Tylko na chwilę. Zgasły szybko, gdy zrobiła kilka kroków, żeby przywitać się z nim uściskiem ręki. Wtedy przyjrzał się jej twarzy. Miał nadzieję, że niezbyt nachalnie i intensywnie. Przypomniał sobie jakiś fragment wiersza z dawnych, szczenięcych lat, o błękitach oczu, który niczym tropikalny ocean kusi, aby się w nim zanurzyć... Banalna fraza teraz pasowała idealnie.

– Chciałem porozmawiać – suche gardło i spierzchnięte usta nie ułatwiały artykułowania myśli. – Była pani przecież...

Kiwnęła głową.

– Byłam. Tak, to przeze mnie i Ludvigsena ksiądz tutaj jest. Przez nas to...

Dałby sobie głowę uciąć, że chciała powiedzieć „zamieszanie”. Ale nie skończyła myśli. Usiadła przy konsoli. Spojrzał na transmitowany przez jedną z sond obraz. Kompleks Wiatraka, szary, szarogranatowy, majestatycznie wisiał na orbicie stacjonarnej. Z jego beczułkowatego korpusu wychodziły dwie linie. Sylkevlitowe, usztywnione organicznym panglasytem, produkowanym przez biotechnologicznie podrasowane jednokomórkowe glony, liny nurzały się w kolorowych wirach, buzujących w atmosferze gazowego giganta. Gdzieś, poza zasięgiem kamery, rura podbieraka zabierała Gaussowi to, co miał najlepszego – zasoby helu 3. Orbitalny kompleks wydobywczy, oglądany z pewnej perspektywy, z której

sylkevitowe liny były widziane pod odpowiednim kątem, faktycznie przypominał wiatrak, którego skrzydła pozostawały jednak nieruchome.

– Może się ksiądz zainstaluje w swojej skromnej, przyznam, kajucie? – odezwała się znad panelu. – W końcu przez trzy tygodnie będzie ksiądz musiał nam tutaj towarzyszyć – uśmiechnęła się, co przydało jej, choć nie wydawało się to możliwe, jeszcze więcej piękna.

– Mam bolesną świadomość przeciekającego mi przez palce czasu. Jestem w Układzie Bourbakiego już dobrych kilka dni, a przedmiot mojej wizyty nie został w ogóle rozpoznany. Rozmawiam z ludźmi, choć niewielu się na to zgadza, składam puzzle do kupy, żeby zobaczyć cały obrazek. I widzę kuriozum, udające inkarnację Matki Bożej w chitynowym pancerzyku – wybuchnął niespodziewanie, trzymane na postronku nerwy nie wytrzymały. Musiało do tego kiedyś dojść, szkoda, że tutaj, przed niemożliwie piękną twarzą Nygee.

– Niech ksiądz odpocznie – jej głos miał właściwości kojące. To ona mogłaby być nowym wcieleniem, pomyślał Burin. Jezu... O czym ja tutaj... Pokręcił głową do swoich myśli, co Nygee wzięła za sprzeciw wobec swojej propozycji.

– Niech ksiądz odpocznie – powtórzyła. – Porozmawiam z księdzem jutro. Szczerze. Obiecuję.

Ich spojrzenia spotkały się. Szczeniacki wierszyk nie kłamał.

\* \* \*

Jeśli kajuty na cygarze były ciasne, to dla tych na Wiatraku Ostap nie znalazł określenia. Po krótkiej nocy został zaproszony na obiecaną rozmowę. SI poprowadziła go znów do sterowni, skąd Nygee monitorowała całość procesu pozyskiwania helu. Burin znowu chłonał widok sylkewitowego złodzieja, wyciągającego łapę podbieraka po dobra tego świata.

– Jak głęboko lina wnika w atmosferę?

– A, jest ksiądz – kobieta ocknęła się z odrętwienia. – Dobrze, proszę siadać. O coś ksiądz pytał?

Burin powtórzył pytanie, myśląc jednocześnie, że nikt, nawet Porteus, nie traktował go tutaj tak życzliwie. Tak po ludzku. Usiadł. Nie usłyszał jej odpowiedzi, a nie chciał wyjść na rozkojarzonego durnia, więc nie ponowił kwestii.

– Kiedy zbiorniki podbieraków są pełne, wyciągamy je – zaczęła opowiadać, wskazując na ekrany. – Płynny izotop, nadal w zbiornikach, wystrzeliwany jest elektromagnetyczną katapultą do tankowca orbitującego wokół Jabłka, najbliższego księżycy Gaussa. Tankowiec przechwytuje je i, wypełniony, leci do Bramy. A potem do Układu Słonecznego.

– Nie można tego usprawnić? – zastanowił się Ostap. – Tankowiec nie mógłby dokować do Wiatraka i stąd przepompowywać...?

– Nie, nie. Wszystko ma na celu zminimalizowanie ryzyka awarii, zderzenia, eksplozji. Uczymy się od najlepszych. W początkowej fazie eksploatacji Saturna było kilka tego rodzaju

katastrof. Nie chcemy powtarzać złych rozwiązań. Tam, na Saturnie, od dawna tankowce nie zbliżają się do orbitujących rafinerii.

– Tak? Nawet nie wiedziałem.

– Teraz ksiądz już wie – uśmiechnęła się.

– Pani kiedyś odpoczywa? – spytał, kiedy zorientował się, że przyłapała go, jak się jej przyglądał. – Pytam, bo nie widzę najmniejszych oznak zmęczenia – skłamał.

– Ach, bo to ich ksiądz szukał na mojej twarzy? – uniosła jedną brew, a potem znów się uśmiechnęła. – Tak, oczywiście, że odpoczywam – dodała, kiedy rumieniec wstydu powoli zaczął schodzić z jego policzków. – Krótko, ale intensywnie.

– To dobrze – nie wiedział, co powiedzieć.

Zauważył, że Nygee wpatruje się w coś za jego plecami. Oczywiście chodziło o jeden z ekranów. Odwrócił się. Obły kształt kutra harpunników dokował właśnie w niewielkiej przystani z boku Wiatraka. Był zbyt mały, aby jego dokowanie odbiło się na orbitalnym kompleksie. Nie poczuli nawet najmniejszego wstrząsu.

– Kenny melduje powrót z polowania, szefowo – rozległo się z głośnika przy konsoli.

– Ok. – Nygee kliknęła w jeden z guzików.

Dopiero teraz Burin dostrzegł uwieszone przy kadłubie kutra cielsko dorodnego, jak dalece mógł to już samodzielnie ocenić, mieszkańca gaussowej atmosfery. Wczoraj jeden, dzisiaj drugi, to chyba ekspresowa realizacja zamówienia, które Muchy złożyły podczas ich wizyty w Gnieździe. Zerknął znów na ekran. Na sylkevlitowym postronku martwe truchło zwisało bezwładnie. Burin przygryzł wargę.

– To pani nie razi? – ruchem głowy wskazał monitor.

– W zamian możemy pozyskiwać hel 3. W zamian rynek taniej energii w koloniach Układu Słonecznego i na Ziemi nie jest zmonopolizowany. W zamian nie niszczymy ziemskiej atmosfery trującymi wyziewami. W zamian mogliśmy zacząć terraformować Marsa. Mam dalej wymieniać?

– Widzę, że dorabia pani ideologię do zwykłej chęci zysku.

Westchnęła głęboko.

– Pozostaniemy pewnie przy swoich zdaniach – jej głos brzmiał w uszach Burina jak melodia najśłodszych dzwonów.

– Co się potem dzieje... z nimi? – patrzył na truchło.

– Przystosowaliśmy jeden z hangarów do przechowywania upolowanych sztuk. Ale staramy się jak najszybciej dostarczyć je do Gniazda.

– Pamięta pani tamten dzień? – zapytał nagle, jakby ponownie uświadomił sobie, jak niewiele zostało mu czasu. Obdarzyła go przeciągłym spojrzeniem.

– Jak przez mgłę – odpowiedziała, spodziewając się na pewno, że takie pytanie padnie. – Mgła czasem rzednie, ale przeważnie jest gęsta...

Zamilkła i Burin nie wiedział, czy ma ją poprosić o opowiedzenie tego, co pamięta, czy sama zacznie zaraz mówić.

– Żegnałam się z życiem... Straciliśmy sterowność, rzucało nami. A wszystko pod nosem orbitującego Gniazda Much.

Burin zanotował w pamięci, że Nygee nie używa popularnego tutaj określenia „gówno”. Jej stosunek do obcych rzeczywiście zbudowany był na innych fundamentach.

– Nawet kątem oka zobaczyłam je w którymś momencie. Pomyślałam, że to zabawne, że ostatnią rzeczą, którą zobaczę, oczywiście oprócz przerażonej twarzy Ludvigsena, będzie obcy statek. Później... To wszystko działo się bardzo szybko. Coś nas szarpnęło w górę. Myślałam, że to jakiś kolejny burzowy wir. Potem zobaczyłam zapis z satelity... Ona – przełknęła ślinę. – Ona nas uratowała, wytworzyła w ustach tę substancję i przykleiła kapsułę do brzucha. Zniosła nas do Gniazda. Wyciągnęła kuter... Sama.

– Tak. Ja też widziałem zapis – Ostap zanotował w pamięci, że nie użyła określeń „pysk” czy „odwłok”. – Chciałbym się dowiedzieć, co pani wtedy czuła.

– Co czułam? Nagle wybuchło we mnie, w środku, ciepło nadziei. To doznanie było podobne do tego, kiedy ciepłe nasienie... – urwała nagle. – Przepraszam, ale takie miałam skojarzenie, wtedy...

– Niech pani nie przeprasza.

– Po powrocie do Wiatraka byłam wrakiem. Wrakiem. Nie pamiętałam niczego z tej doby, kiedy byliśmy na ich statku.

Burin zorientował się, że oboje patrzą na ten sam ekran, pokazujący zanurzoną w jasnoczerwonej otchłani linię podbieraka. Niknęła w kłębie gazów i wirów niczym ręka magika w bezdennym cylindrze.

– Ja wtedy byłam w ciąży – odezwała się.

– Jak to?

– Implant się zwichrował... I stało się – uśmiechnęła się do tego wspomnienia. Może przypomniała sobie moment, w którym się dowiedziała? – Wtedy nie wiedziałam. To znaczy, w tym dniu, kiedy... Dowiedziałam się kilka dni później, podczas badań. Kiedy już zaczęłam wracać do formy.

– No i...?

– Co „no i”? – po raz pierwszy zauważył u niej złość. – Tutaj nie można mieć dzieci. Nie jesteśmy w tym układzie po to, by między gwiazdami zakładać jakieś „domowe ognisko”. Zresztą, przecież Olaf nie dość, że był moim bezpośrednim szefem na Wiatraku, to jeszcze miał na Ziemi żonę. A jednak stało się.

– Ach, więc to Ludvi...

Spojrzała na niego z wyrzutem. Złość w jej spojrzeniu ustąpiła miejsca wrogości. Tylko na chwilę. Przecież to nie on ponosił za to odpowiedzialność. Za jej... nieszczęście?

– Proszę wybaczyć. Nie miałem zamiaru... – Ostap próbował się wytłumaczyć.



– Dajmy spokój – przerwała mu drżącym głosem. – Ksiądz pewnie wolałby posłuchać o objawieniach?

– O czym? No tak, jest kult, muszą być i objawienia – zauważył cierpko. Obrzuciła go zimnym spojrzeniem. Nie przypuszczał, że ma także takie w swoim arsenale. – Słucham zatem.

– Trzy razy Nasza Matka objawiła mi się w mojej kajucie. Za pierwszym razem... To znaczy, nie tak – przygryzła wargę. – Ja wiem, że to Matka przemawia jej ustami, ale ja widzę... Objawiła mi się w innej postaci. Pewnie dlatego, żebym nie skupiała się na jej wyglądzie.

– Obawiam się, że się pogubiłem – przyznał się Burin.

– Była tutaj, wśród nas. To znaczy, jest nadal – zawahała się. – Z tym, że od jakiegoś czasu przebywa...

– Randall – szepnął Burin. Cisza okryła ich całunem.

– Skąd...? Proszę mi powiedzieć – odezwała się wreszcie cicho. – Nakazałam SI zaprzestać monitorowania tego pomieszczenia. Nasza rozmowa, od samego początku, nie jest rejestrowana. Wszystko, co tu mówimy, zostanie między nami.

Kiwnął głową, wierząc Nygee, po czym opowiedział o holo w kajucie cygara. Ukryła twarz w dłoniach, a przez palce pociekły jej łzy

– Ja nie wiedziałam – załkała. – Porteus powiedział, że ona zgłosiła się sama. Ale teraz sobie przypominam... Przez kilkanaście dni Olaf nie mógł porozmawiać z Porteussem. Zawsze, kiedy łączył się z habitatem, gadał tylko z Jolxe albo tym błaznem Barrowsem. Dyrektor pojawił się po jakichś dwóch tygodniach, ale przez długi czas był... – szukała odpowiedniego słowa.

Burin w ostatniej chwili zwalczył pokusę przytulenia jej. Nie zrobił tego. Czekał chwilę, aż kobieta się uspokoi.

– To skurwysyn – warknęła Nygee, ocierając energicznym ruchem policzki.

– Moglibyśmy – odchrząknął – wrócić do tych objawień? To mnie bardzo interesuje.

Wzięła głęboki oddech.

– Trzy razy widziałam niewyraźny kształt. Wiem, jak to brzmi, ale z całą pewnością był to kształt istoty ludzkiej, lekko rozedrgany, jakbym patrzyła nań przez warstwę gorącego powietrza. Nie widziałam szczegółów twarzy ani... Nie mogłam się wtedy ruszyć. Mogłam tylko słuchać tego, co ma mi do przekazania.

– I co to były za przekazy?

– Za każdym razem dotyczyły naszej działalności w Układzie Bourbakiego. Raz uspokoiła mnie, że asteroida, która wdarła się w Układ Gaussa, nie wyrządzi nam krzywdy. Zawiadomiłam Porteususa. Zbył mnie. Powiedział, że według obliczeń uderzenie w Arbuza jest nieuniknione i nie zmienią tego żadne sny ani widzenia.

– A asteroida przeszła obok?

Skinęła głową.

– Dwa razy przestrzegąłem przed pracami podbierakiem. Za pierwszym razem nie odwołałem operacji, musieliśmy gonić z wydobyciem, a ja myślałem, że ona nas ochroni – uśmiechnęła się nerwowo. – Ale nie. Lina urwała się, podbierak przepadł. Sylkevlit uderzył w jeden z kutrów. Pilot był doświadczony, więc nic się nie stało. Za drugim razem już nie zlekceważyłam ostrzeżenia. I dobrze, bo burza, jaka przetoczyła się przez górne warstwy atmosfery Gaussa, była największa z tych, jakie tu widzieliśmy. Powstała nagle, jakby ktoś ot, tak, pstryknął i kazał się jej uformować. Choć, prawdę mówiąc, nie wiemy jeszcze wszystkiego o atmosferach takich olbrzymów. Wszystkie jej wizyty kończyły się słowami „nawróćcie się”.

Burin uniósł brwi do góry.

– Nawróćcie się?

– Dlatego nazywam to objawieniami.

– No tak. A jak pani to rozumie?

– Za Jej pośrednictwem Pan przypomina nam, że tylko wiara w Jego miłość i w aktualność Dobrej Nowiny gwarantuje... – zamilkła i wzruszyła ramionami.

Ostap nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby klepała formułkę przed spowiednikiem w celu uzyskania rozgrzeszenia. W co wierzyła? Najpierw wypadek, potem nawiedzenia... Chyba odkrył jej sekret: była kompletnie zagubiona.

– Proszę powiedzieć mi coś więcej. Zanim uznam to prywatne objawienie za autentyczne...

Podniosła wzrok.

– Prywatne? – zapytała jakby z wyrzutem.

– Proszę pani – powiedział powoli, wstając z siedziska. – Bóg pokazał nam drogę zbawienia w swoim Synu. To, że się tak wyrażę, niezmienny, niepodważalny depozyt wiary, który najpierw apostołowie, a potem Kościół kultuwują i chronią. Jak naucza Sobór Watykański II, co potwierdził Sobór Lunarny, na żadne publiczne objawienie przed chwalebny ponownym ukazaniem się Chrystusa nie ma co czekać. Siłą rzeczy, objawienia takie jak pani, zakładając oczywiście, że... – przerwał, widząc błysk złości w jej oczach. – No, krótko mówiąc, musimy zweryfikować jego prawdziwość.

– To znaczy, co? Ksiądz będzie mnie jakoś sprawdzał? – ironia w jej głosie była aż za dobrze słyszalna.

– Mam zbadać pani skłonność do fantazjowania. Na to pozwala umowa papieża z Ionem Howardem V

– Mam się rozebrać? – zapytała drwiąco. Czar prysł, skonstatował smutno zakonnik. Następna Jolxe.

– To nie będzie konieczne. Wystarczy mi rozmowa. Bo wie pani, tak między nami, objawienia prywatne się zdarzają, jak najbardziej, tylko że...

– Tak?

– Najważniejsze wizje ostatnich trzystu albo i więcej lat dane były dzieciom. Nie mogę sobie przypomnieć innego ważnego przypadku...

– No tak – uśmiechnęła się kwaśno.

– Dzieci nie znają teologii. To pozwala nam stwierdzić, że treść objawienia nie pochodzi od nich.

– No i jak mnie ksiądz będzie sprawdzał? – zapytała już spokojniej.

– Mówiłem, chciałbym prosić o kilka rozmów. O możliwość towarzyszenia pani w jej codziennych obowiązkach.

– Prycze są jednoosobowe, przykro mi. Będę musiała zsyntetyzować materac – parsknęła. Burin też słabo się uśmiechnął.

– To zbyteczne. Będę spał oparty o ścianę.

Roześmiała się.

– Proszę wieczorem przyjść na mszę. Oczywiście, jeżeli to księdza interesuje.

– Pani celebrowa msze? – zapytał łamiącym się głosem.

– A widział ksiądz kult bez ceremoniału mszalnego? – odgryzła się. – Wiem, że po stu latach swobody, kiedy dopuszczaliście nas do posługi kapłańskiej, od trzydziestu lat znowu nam tego nie wolno, ale tu nie Ziemia.

– Tak, ale...

– Tak. Święcenia sama sobie dałam. No to jak? Przyjdzie ksiądz?

– Gdzie?

– SI ksiądz zaprowadzi.

\* \* \*

Wszystko tutaj wydawało się Burinowi abstrakcyjne. W dosyć dużej, skąpanej w półmroku sali kilkunastu ludzi stało wokół trójwymiarowej holoikony. Wszyscy mieli zamknięte oczy, dłonie oparte na wyciśniętych z podłogi podpórkach, a na ich twarzach malowało się skupienie. Na podwyższeniu, przy parodii ołtarza, przed drugą holoikoną, stała Nygee, w skromnej szacie liturgicznej z wizerunkiem owadziej Maryi na plecach. Nie mówiła wiele, ta kuriozalna msza polegała raczej na skupieniu i medytacji.

Obecność Burina na początku ich rozpraszała, ale Nygee szybko udało się skupić uwagę zebranych na rytuale. Teraz cztery kobiety i dziesięciu mężczyzn pochłoniętych było wewnętrznym przeżywaniem tego... sacrum. Nygee, przy ołtarzu, plecami do wiernych, stała prosto, obok skromnej ambony, z której na początku wypowiedziała tylko kilka słów. Siedzący w kącie zakonnik patrzył na nich z fascynacją. Czuł tutaj aurę autentycznej, żarliwej wiary. Szkoda, że nie dogmatycznej.

Ściany emitowały nienachalne światło o barwie świec, potęgując modlitewny nastrój. O co się modlili? O zdrowie? Zdrowie... Jeszcze kilka takich dni i zapomni, czym były codzienne ataki choroby. Jeśli się zastanović, to ani tutaj, ani na Arbuzie nie widział... To znaczy, na pewno było tam jakieś ambulatorium i pomieszczenie szpitalne, ale... Spokojnie, pomyślał. Na pewno są napakowani nanofarmacją po same uszy. Żeby zapełnić ambulatorium, musiałyby się zdarzyć nieprzewidziany wypadek, awaria z ofiarami. Podczas jego obecności nic takiego nie miało miejsca, normalna sprawa.

Z zamyślenia wyrwał go ruch w sali. Ludzie budzili się z modlitewnego letargu, wymieniali spojrzenia z kapłanką, wychodzili z pomieszczenia. Prawie każdy łypał na siedzącego w kącie duchownego i nie były to przesadnie przyjazne spojrzenia. Wyszli, zostawiając Nygee z Burinem.

Kobieta zeszła z podestu, na którym stał quasi-ołtarz, zdezaktywowała holoikony. Ktoś na Arbuzie powiedział mu, że twarz Maryi jest na poły ludzka, na poły obca, aby uczcić obie inkarnacje Niebiańskiej Matki i Opiekunki. Musiał przyznać, że to była ciekawa i oryginalna koncepcja.

– Jak się podobało? – zapytała, podchodząc do niego. – Niezła szopka w oczach ojca, prawda? – znów prowokowała, ale przynajmniej znów był „ojcem”.

– Dobrze wychowany człowiek powinien zaprzeczyć – odparł. – Niemniej jednak, proszę wybaczyć, będzie mi niezmiernie ciężko. Kościół ma za sobą różne etapy, różne... Ale Maryja, której inkarnacją jest samica obcego gatunku...

– Była.

– Słucham?

– Była. Owa, jak ojciec był łaskaw się wyrazić, samica obcego gatunku zginęła, zabita przez własny lud. Coś to ojcu przypomina...?

– No nie... Jeszcze analogie z... – pokręcił głową, nie kończąc zdania. – To za dużo. Ja...

– Nie chce ksiądz posłuchać?

No tak, powinien. Po to tu przyleciał.

– Chętnie – jego głos zabrzmiał jednak kwaśno i nieprzekonująco, co nie uszło uwagi Nygee. Skomentowała to niechętnym spojrzeniem.

– Nasza Pani w chwili, gdy nas ratowała, była brzemienna. Zbyt dużo dzieci Much, z tego, co wiemy, nie przychodzi na świat. Być może jest to związane z jakąś degeneracją. Była zatem brzemienna. Po powrocie do Gniazda ich wódz, a zarazem ojciec mającego narodzić się dziecka wpadł we wściekłość. Jej nieodpowiedzialna interwencja mogła zagrozić płodowi. Nakazał zatem, albo może i zrobił to osobiście, rozpruć jej brzuch, kiedy jeszcze żyła, wyjąć płód, przechować go w jakimś inkubatorze. Tak ją zabił. Wiemy o tym, bo działo się to już wtedy, kiedy była u nich nasza... tłumaczka. Następnie wezwał nas do siebie i rozkazał, abysmy to właśnie my dokonali spalenia jej ciała. Kazał je nam zabrać i zrzucić na Gaussa. Cygaro przetransportowało zwłoki tutaj, na Wiatrak. Zdążyliśmy przygotować odpowiedni

panceramitowy pojemnik, który z całym ceremoniałem wystrzeliliśmy w kierunku planety. A jej ciało – urwała na chwilę – ukryliśmy. Jakaż może być cenniejsza relikwia? – spojrzała na niego oczami pełnymi łez. – Ona nam nie czmychnęła po trzech dniach...

Jezu, pomyślał Burin. Jezu, słodki Jezu.

– A gdzie można...

– Stoi ksiądz na jej grobie – szepnęła.

Nie zrozumiał w pierwszej chwili.

– Jest pochowana w kapsule, pod podłogą tej sali.

Mózg od razu podsunął mu wrażenie ciepła płynącego od stóp, przez jądra, trzewia, płuca, przez serce, aż do głowy. Poczuł, jak krople potu rodzą się we włosach i umierają na szyi, wchłaniając się w materiał bluzy.

– Czemu ojciec zamilkł? Szok? Obrzydzenie? – spytała po chwili, ściągając przez głowę swoją szatę liturgiczną. Złożyła ją w kostkę i odłożyła na bok. Spojrzała na niego znów, zdziwiona brakiem odpowiedzi. Była piękna. W tym quasi-świecowym świetle emitowanym przez ściany wydawała się jeszcze piękniejsza niż w sterowni Wiatraka.

– Zastanawiam się – odparł, a słowa z trudem przedarły się przez wysuszone gardło i spierzchnięte usta. Odchrząknął. – Myślę, o czym świadczy tak wielka potrzeba kultu maryjnego w Kościele...

– Chyba nie ojciec pierwszy?

– Nie. Już Epifaniusz z Salaminy w IV wieku opisywał sektę Kolirydian. Jego wniosek końcowy brzmiał: kult Maryi musi ustać, ponieważ Maryja nie jest boginią.

– Fascynujące – przerwała mu cierpko. – Zdaje się, że zbyt wiele przez blisko dwa tysiące lat się nie zmieniło?

– W wizji Boga element macierzyński jest zmarginalizowany – podrapał się po brodzie. Ostry zarost sprawił mu przyjemność w dotyku. – Kult Maryi wyrasta niejako z tej niezaspokojonej potrzeby macierzyńskiego wymiaru Boga. Tymczasem...

– Aaa, już wiem, do czego ksiądz zmierza – przerwała, kierując się ku wyjściu z sali. – Że to Duch Święty jest kwintesencją macierzyńskości Boga, tak? Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch, czyli Matka, bo matki brakuje w tym zestawieniu.

Drzwi rozsunęły się i wyszli na korytarz.

– Maryja sama z siebie, bez mocy i łaski Ducha Świętego, nie mogłaby się zjawiać – kontynuował, choć głos lekko mu zadrżał. – Jeśli objawienia, które mają tu miejsce, są... faktem, to tylko, podkreślam, tylko dzięki działaniu Ducha Świętego.

– Rozumiem – zatrzymała się przed swoją kajutą. – Wszystko, co przypisujemy Naszej Pani, w pełni odnosi się do Ducha Świętego? Dobrze zrozumiałam katechezę?

Nie odpowiedział.

– Pozwoli ksiądz, że się pożegnam. Jestem zmęczona – uśmiechnęła się słabo i drzwi kajuty wpuściły ją do środka. Burin został na korytarzu sam.

\* \* \*

Długo nie mógł zasnąć. Z coraz mniejszą siłą odganiał coraz bardziej kretyńskie myśli. Pomodlił się, leżąc na pryczy. Czy lękał się, że z podłogi znowu wystrzeli holo? Randall... Panie, pomóż jej, daj jej siłę. Leżał, ale sen nie przychodził. Nie chciał szprycować się jakimiś środkami, musiał mieć jasny umysł, będzie go potrzebował. Czuł się zmęczony, ale też i dziwnie podniecony poprawą stanu zdrowia. Czy jeśli wróci na Ziemię, choroba znów zaatakuje? Kolejny raz zapomniał, że przecież i tak nie będzie pamiętał remisji Haplaka. Szkoda.

Innego rodzaju podniecenie kryło się gdzie indziej. Jego istnienie przyjął z zakłopotaniem i szybko przestał o nim myśleć, koncentrując się na swoim zadaniu. A jeśli, myślał, wszystko, co się tu dzieje, to przejaw manifestacji obcej technologii? Najpierw przesondowali zasób naszych pojęć religijnych, obrazów, uczuć związanych z tą sferą naszego życia. Sami wytrącili asteroidę z jej orbity tak, żeby weszła na kolizyjny kurs z Arbuzem. Później wygenerowali pseudoobjawienia, którymi omotali tę biedną kobietę. Dlaczego? Żeby przeprowadzić eksperyment socjologiczno-religioznawczy? Czemu nie. Albo, po prostu, żeby podporządkować sobie ludzi. Kiedy znów zmodyfikowali trajektorię bolidu – *finito*, mamy cud. Być może tak samo potrafią wpływać na korporacyjny sprzęt, stąd ta awaria sylkevlitowej liny. Podobnie wywołali burzę w atmosferze Gaussa... Oczywiście chwilę wcześniej uprzedzając o tym w formie niby-objawienia. Nie jest nawet wykluczona ich ingerencja w zabieg dememoryzacji...

Musiał usnąć – coś właśnie go obudziło. Zdrętwiał, uświadomiwszy sobie, że ktoś trzyma dłonie na jego policzkach.

– Kto to? – szepnął, ale i ten szepot załamał się, utkwiał w przełyku.

– Nie może ojciec usnąć? – usłyszał.

– Jak... Jak pani...? – zerwał się i usiadł na łóżku. Nygee zrobiła dwa kroki do tyłu, a ściany plunęły mdłym światłem trybu nocnego.

– No przecież mieliśmy dużo rozmawiać. Jak się ojciec czuje? Jak... choroba?

– Co tu się dzieje? Skąd pani wie? – urwał, zorientowawszy się, że przecież informacje o jego chorobie są w jego profilu osobowym. – Ekhm, dziękuję. Ostatnio lepiej.

– Wiąże to ojciec z czymś?

– No niee... – pokręcił głową. – Nawet Jezus odmawiał czynienia cudownych znaków.

– Doprawdy?

– Nie wiem, dokąd ma zmierzać ta rozmowa. Sugeruje pani, że zostałem cudownie uzdrowiony przez obecność na Arbuzie, tak?

Nygee nie odezwała się ani słowem.

– No więc muszę pani uświadomić, że takie myślenie to... to manipulacja – miał nadzieję, że zabrzmiało to dobitnie. Chciał w ten sposób zakończyć tę rozmowę.

– Ale ataki ustały?

– Pan Bóg rzeźbi cuda w złocie, szatana stać tylko na tombak – wypalił.

Roześmiała się.

– Jezu słodki. Nadal was uczą takich debilnych metafor?

– Jest pani w głębokim błędzie, jeśli sądzi, że cuda, potwierdzone czy nie, to sposób na rozwiązanie problemu dźwignia krzyża, jakim jest cierpienie...

– A kto tak powiedział? – zachnęła się. – Pytam, czy ma ojciec jakieś przemyślenia na temat poprawy stanu zdrowia, w związku z przebywaniem w obliczu Jej majestatu.

Ciężko westchnął.

– Kościół dopuszcza jedynie kult Boga i świętych wyniesionych na ołtarze – zaczął znów tłumaczyć.

– Taki będzie ojca końcowy wniosek raportu dla Watykanu? Trzeba go będzie napisać tutaj, bo tam – uśmiechnęła się – niczego ojciec nie będzie pamiętał.

– Tak. Mam tego bolesną świadomość.

– No więc, jak jest z tą refleksją na temat zdrowia?

– Niech pani mnie posłucha – zaczął spokojnie, nadal siedząc na łóżku. – Wielu, naprawdę wielu ludzi ma wewnętrzne przekonanie, że zostali uzdrowieni. Czy to przez charyzmatycznego księdza, czy podczas pielgrzymki do jednego z sanktuariów. Kościół ani tego nie potwierdza, ani temu nie zaprzecza.

– To bardzo wygodne – przerwała mu. – Zasada Gamaliela, tak to się nazywa?

Po raz kolejny go zaskoczyła. Kiwnął głową i potarł powieki. Chciał coś odpowiedzieć, ale usłyszał szept SI przy prawym uchu.

– Przed włazem kajuty czeka Mere Nygee. Prosi o rozmowę.

Zerwał się z pryczy.

W kajucie nie było nikogo oprócz niego.

Był mokry, jakby wyszedł właśnie spod prysznic. Oddychał ciężko, prawie czuł, jak z każdym oddechem, z każdym uderzeniem serca zbliża się potężny atak, gigantyczne tsunami choroby. Dopiero po chwili wrażenie ustało. SI ponowiła pytanie, czy chce wpuścić Nygee.

– Tttak – wyszeptał. Drzwi pomieszczenia rozsunęły się bezszelestnie. Kiedy go zobaczyła, jej obie brwi uniosły się wysoko. Podbiegła do niego.

– Co się księdzu stało? To atak?

Pokręcił głową. Wsparł się na jej ramieniu i usiadł na łóżku, które znów wytrysnęło ze ściany.

– Nie – szepnął. – To nie atak.

\* \* \*

*(...) Natura tych zjawisk pozostaje nieznana, niemniej jednak, z całą mocą potwierdzam fakt ich występowania. Kult, jaki rozwinął się wśród tych ludzi, nosi znamiona niedoktrynalnego kultu maryjnego. Niestety, oparty jest na mocno kontrowersyjnym podłożu, wymagającym dalszych badań i obserwacji. Tym samym, najuniżej proszę Waszą Świątobliwość o przedłużenie mojego mandatu obserwacyjnego w Układzie Bourbakiego. Pozwoli to zarówno na dokładniejsze rozpoznanie zjawiska i zdiagnozowanie go, jak i zdefiniowanie ewentualnych zagrożeń płynących w związku z nim dla całego Kościoła Powszechnego. W załączniku wywiad z jedną z członkiń tej wspólnoty. Rejestracji dokonałem za jej zgodą. Pozostaję w nadziei na przedłużenie mandatu.*

*W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego*

*Amen*

*NOSPP Ostap Burin*

Przerwał zapis i ostrożnie wyjął kryształ z memoxa. Złożył go w metalowym pudełku, wpisał kod i potwierdził go odciskiem palca. W Watykanie mający odpowiednie uprawnienia przełożony Kongregacji otworzy przesyłkę i przekaże ją papieżowi. Do tego momentu list był bezpieczny, a każda próba jego nieautoryzowanego otwarcia musiała skończyć się samozniszczeniem zapisu.

Przesyłkę oddał do rąk własnych Porteusowi, który asystował przy nagraniu, czuwając, żeby nie znalazły się w nim żadne elementy, mogące naprowadzić kogoś na koordynaty Układu ani niezdradzające korporacyjnych tajemnic. Dlatego właśnie Burin nie mógł zawrzeć w raporcie swojej hipotezy, że za wszystkim stoją obcy ze swą technologią. Porteus obiecał wysłać raport najbliższym automatycznym kurierem na Ziemię. Reszta była w rękach Ojca Świętego.

Burin przyrzekł sobie żarliwie modlić się w intencji przedłużenia swojej misji. I nie tylko w tej. Cały czas miał przed oczami twarz Randall, ale nie tę oblepioną owadziim śluzem, tylko tę z holograficznego zapisu. Pomyślał o swojej koncepcji eksperymentu obcych na ludziach. Nadal wydawało mu się, że to dobra i spójna hipoteza. Miał nadzieję, że to będzie jego kotwica, trzymająca go w szponach rozsądku, w świecie prawdziwej wiary. Sekundę później uświadomił sobie, jak wątła jest to nić.

*Andrzej Miszczak*



**Piotrek Rogoża** – urodzony 29 maja 1987 roku, wychowywał się w Sulęcinie, miasteczku zagubionym pośród lasów i jezior ziemi lubuskiej. Obecnie studiuje kulturoznawstwo na UAM w Poznaniu. Debiutował synchronicznie opowiadaniem w „Nowej Fantastyce” i „Czasie Fantastyki”, niemal dokładnie w dniu osiemnastych urodzin. Później w prasie ukazało się jeszcze kilka tekstów, a na początku 2008 nastąpił debiut książkowy, znowu podwójny. Wydawnictwo Dolnośląskie wydało powieść *Po spirali*, a Fabryka Słów zbiór *Rock'n'roll, bejbi!*.

### **O fantastyce i pisaniu:**

Z fantastyki czerpałem, odkąd tylko sięgam pamięcią – nawet wówczas, gdy nie potrafiłem jeszcze nazwać jej po imieniu. Dosłownie: trzymam na półce „książkę”, którą narysowałem w wieku lat bodajże trzech. Są tam pojazdy kosmiczne, układy planetarne, czarne dziury i płaczące ufoludki. Później, już w pierwszej klasie podstawówki, pisałem w grubym brulionie powieść o podróży w czasie – miałem kompletnego fioła na punkcie dinozaurów i wysłałem głównego bohatera, szalonego naukowca, prosto w mezozoik. Dociągnąłem do stu stron. Dziś chętnie zajrzałbym do tej historii, ale niestety jest to niemożliwe. Jedyne rękopis został bezceremonialnie zalany wrzątkiem i wywalony, gdy w brulionie zaległy się mrówki faraonki.

Zapewne nie będę oryginalny, pisząc, iż fantastykę postrzegać można na dwa sposoby. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby widzieć w niej zbiór efektownych motywów i rozwiązań, samą warstwę wierzchnią, estetykę. Poszczególne elementy owego zbioru można ze sobą łączyć, przetwarzać, dorzucać nowe. Wydaje mi się, że poza wieloma autorami, kładącymi nacisk na zapewnienie odbiorcy rozrywki, z perspektywy tej patrzą na fantastykę niechętni jej krytycy. Czytelnik bawi się wspaniale, no owszem; prędzej czy później pada jednak pytanie: czy cokolwiek z tej zabawy wynika? Wówczas można spojrzeć inaczej i dostrzec w fantastyce coś, co rozumiem jako swoisty metafizyk, w którym łatwiej jest komunikować obserwacje i lęki. Tak pojmowana fantastyka będzie przekroczeniem granic naszej rzeczywistości – a przecież dopiero „z zewnątrz” dany nam jest jej prawdziwy ogląd. Kojarzy się to trochę z popperowską teorią modelu zerowego – tworzeniem sztucznych modeli zachowań społecznych, rzutowaniem ich na rzeczywistość i badaniem obserwowanych odchyleń. Paradoksalnie, dostrzegam więc w fantastyce odbicie idei wielkiej powieści realistycznej z XIX wieku, ciche echo głosu Emila Zoli, dla którego literatura była pełnoprawnym narzędziem badania rzeczywistości.

Literackie plany i ambicje mam tyleż rozbuchane, co niesprecyzowane. Piszę powieść dla młodzieży – z pobudek ściśle merkantylnych, ale jednocześnie mając przy tym wiele dobrej zabawy; czuję, jakby kolejne zdania dyktował mój wewnętrzny czternastolatek. Coraz bardziej obsesyjnie krążę też wokół pomysłu na inną powieść, dla odmiany całkiem poważną, zatytułowaną roboczo „Najnowsze przymierze”. Myślę, że nie potrafię długo im się opierać.

Generalnie, literatura to wyprawa w nieznaną. Bardzo trudno przewidzieć, co przyniesie przyszłość, jakie pomysły i wyzwania spotkam za najbliższym zakrętem. Stawiam pierwsze kroki. To ten etap podróży, w którym pewien sympatyczny hobbit spostrzegł, że zapomniał chusteczki do nosa.

Nie wiem, jak długo będzie mi po drodze z fantastyką, czy i w jakim stężeniu pojawi się w moich kolejnych utworach. Czasem jednak, patrząc na te koślawe, płaczące ufoludki na pożółkłym już papierze, dochodzę do wniosku, że niektórzy po prostu rodzą się fantastami. Co już samo jest fantastyczne.

**Piotr Rogoża**

## **Więcej niż słowa**

Pięć lat po zstąpieniu Lorda Totala, tuż przed świtem, gdy ogień w beczce dogasał, a gwiazdy zaczynały blednąć – Kacper raz jeszcze oznajmił, że pierdoli. Wyciągnął w stronę ciepła dłonie z palcami jak gałązki, przyjrzał się grze światła na pomalowanych paznokciach. Zaciśnął usta w wąską kreskę. Szminka wyglądała jak smuga krwi. Gdy tak siedział – chude kurczątko w za dużym czarnym poncho – zacierała się granica między nim a jego cieniem.

Więc:

– Pierdole – oznajmił. Po chwili, dużo ciszej. – Ta noc, która właśnie się kończy Ostatnia w moim życiu. Nie będę czekał na słońce.

Kiwnąłem głową. Od dawna byłem przygotowany na te słowa i teraz niemal nie zaboląły. Kacper, dziecko nocy; jego oczy miały zgasnąć razem z gwiazdami.

### **WTEDY**

Graliśmy koncert, który miał się okazać naszym ostatnim. W klubie nie było wolnych miejsc.

Pod sceną kłębiły się ciała, dym mieszał się z parującym potem. Było głośno. Było kwaśno. Automat perkusyjny podawał poszatkowany, nerwowy rytm. Tomas szarpał struny basu z matematyczną precyzją, tłuste pochody pełzały po brzuchach. Damian gładził klawisze, wygrywał neurotyczne pasaże, kłuł lodowatymi akordami. Gitara łkała pod moimi palcami w przesterowanym orgazmie, wyła w ekstazie fuzzu.

Rzecz jasna, byliśmy tylko tłem. Wszystkie oczy zwrócone były w stronę Kacpra, małej postaci uczeponiej mikrofonu. Wydawało się, że tak naprawdę wcale go nie ma, przyjrzyj się dokładniej, zrozumiesz – to tylko gra cieni. A jednak był, przedziwny aniołek w tym spoconym piekle. Mikrofon w jego dłoniach wydawał się śmiesznie duży, nieproporcjonalny. Wobec Kacpra wszystko było zresztą nieproporcjonalne, zaburzał skalę i zniekształcał odniesienia. Był zagadką, której już nigdy nie zdążę rozwikłać.

W naszych żyłach adrenalina zlewała się z syntetykami, serca biły w drum'n'bassowym rytmie, dusze nie mieściły się w ciałach. Staliśmy się jednym organizmem, naćpanym generatorem hałasu – myślę o naszej trójce, bo Kacper zawsze pozostawał na zewnątrz.

To zabawne: tak naprawdę wcale nie potrafił śpiewać. Bardziej melorecytował, gdy trzeba krzyczał, wrzeszczał jak herold końca świata – ale brzmiała w tym raczej skarga niemowlęcia niż świadomy popis wokalisty. Nie rozumiałem tekstów, które pisał. Mówił, że on również ich nie rozumie. Nie wydawały się ważne.

Krople zrosiły ściany, wyglądało to tak, jakby pocili się już nie tylko ludzie, ale i sam klub, jakby cały świat zatracił się bez reszty w naszym występie, jakby nie liczyło się nic innego. Po prawdzie, chyba tak właśnie było.

Publiczność złała się w jedno, falowały wyciągnięte ręce. Tu już nie było jednostek, był jeden duch, no i jeszcze Kacper, ubrany na czarno, wyglądał jak dziura w rzeczywistości. Kolory, światła, dźwięki, cały ten dionizyjcki szal, my; naprawdę – wszystko, dosłownie wszystko stanowiło dla niego tylko tło.

Nadchodził kulminacyjny moment w kawałku, który właśnie graliśmy, napięcie rosło z każdą sekundą. Damian grał na klawiszach przeszywające solo, rytm z automatu gęstniał, zaraz miał się złamać w najwspanialszym przejściu, jakie kiedykolwiek udało nam się zaprogramować. Wtedy wejdzie gitara, a Kacper wydrze się tak, jakby chciał zabić wszystkich, którzy nie odeszli, kiedy jeszcze mogli. Nigdy nie graliśmy tego fragmentu tak samo, za każdym razem brzmiał inaczej. Był to już ten etap koncertu, gdy nie tyle graliśmy muzykę, ile muzyka przepływała przez nas.

I gdy uderzyłem struny, żeby wściekłym riffem rozpiardolić świat – nagle zapadła cisza.

Kolumny głośnikowe zamilkły. Siadło całe pieprzone nagłośnienie. Na krótką chwilę wszystko zamarło, jakby zaciął się jakiś mechanizm; zaskoczeni ludzie zastygli w bezruchu, zmrożeni nagłą ciszą.

Wtedy rozległ się krzyk Kacpra.

Rozpaczliwy, przepełniony trwogą, głos osamotnionego dziecka. Nieprzepuszczony przez żadne kable, płynący prosto z duszy. Odarty ze wszystkiego, czym można się zasłonić. Dziś, gdy prochy Kacpra spoczywają w jednej z anonimowych urn siedemnastego cmentarza komunalnego, tam gdzie trafiają prędzej czy później wszyscy z naszego squatu, dziś nadal słyszę ten krzyk, jakby wprawił w wieczny rezonans samą moją duszę.

Spojrzałem na publiczność. Na te wszystkie spocone laski, ich przepelnione upojeniem twarze. Jasne, panienki miały kisiel w majtkach. Co mogło dziać się w ich głowach? Poczulem prawdziwy lęk.

Kacper wciąż krzyczał, jego głos był jak nóż, wbijał się prosto w serce. Naprawdę się bałem, bałem się o niego: coś w spojrzeniach ludzi, w tym niewidzącym wzroku szaleńców kazało wierzyć, że za chwilę wejdą na scenę i rozerwą Kacpra na strzępy, aby zachować dla siebie choćby najmniejszą jego część. Nie było na sali dziewczyny, która nie rozłożyłaby przed nim nóg; kurwa mać, w tym momencie każdy facet radośnie wypiąłby dla niego tyłek.

Zrozumiałem, jak bardzo byliśmy zbędni – głos tego nawiedzonego gnojka najpełniej przemawiał w ciszy, tak jak promienie słońca najjaśniejsze są wówczas, gdy przecinają absolutną ciemność. Kacper wlewał emocje prosto w dusze, nie potrzebował żadnego pośrednictwa.

Święty Kacperku, czy dziś mnie słyszysz?

Zanim jeszcze krzyk przebrzmiał, dźwiękowcy poradzili sobie z usterką. Znowu popłynął beat, zadudnił bas. Odnaleźliśmy się błyskawicznie i podjęliśmy utwór.

Ale magia już nie wróciła.

\* \* \*

Przyłożyłem do czoła puszkę ambrozji. Zdawało się, że zimno schłodzonego napoju przenika do wnętrza głowy. Pomieszczenie na zapleczu sceny przypominało grobowiec. Sufit wydawał się ciężki, nabrzmiał krzykiem i oparami, tylko czekał, żeby oberwać się i raz na zawsze skończyć moje cierpienie.

– Lepiej? – Damian klepnął mnie w ramię.

– Czy ja wiem – skrzywiłem się.

– Dbaj o formę, człowieku. Nie może być tak, że odpadasz w połowie najebki. Jedno tempo na scenie, jedno poza nią, stary. Kurwa, następnym razem może zasłabnij na jakiejś panience?

– Spieprzaj.

Damian stał nade mną, wielki, grubo ciosany, najdziwniejszy klawiszowiec na świecie. Łapskami jak bochny chleba mógłby chyba kruszyć kamienie. Pozostawało dla mnie niepojęte, jak to się działo, że spod dłoni, które zaciśnięte w pięści złamały niejedną szczękę i chyba – nie mogę być pewien, bo zaraz uciekliśmy – zabiły jednego pozbawionego wyobraźni świra, wypływały tak piękne dźwięki.

– Ksawier – spojrzał mi w oczy. – Weź się w garść.

Podniosłem się. Tkwiłem w pół drogi między względną trzeźwością a kompletnym odpływem; to ten niezwykły stan, gdy umysł wyprzedza ciało, można logicznie i przytomnie

myśleć, ale trudno wypowiedzieć słowo, tak obce i odległe wydają się własne usta. Otworzyłem puszkę, upiłem kilka łyków ambrozji.

– Wracasz do gry – uśmiechnął się Damian.

Kacper siedział na kanapie, właściwie półleżał, z rękami rozrzuconymi jak zepsuty pajacyk. Patrzył w sufit i idę o zakład, że widział niebo. Potrafił tak tkwić nieruchomo godzinami.

– Gdzie Tomas?

– Jak to gdzie. Skoczył do standu po żwirek.

Pokręciłem głową.

– Jeszcze wam mało.

Gdybyśmy wówczas wiedzieli, że oto zagraliśmy ostatni koncert, wyglądałoby to inaczej. Ambrozja płynęłaby strumieniami, ze żwiru usypalibyśmy górę, panienki nie wyszłyby stąd aż do rana, a zaglądale przez okno słońce zastałoby nas w końcu białych i zarzyganych, śpiących na podłodze z opuszczonymi portkami. Możliwe też, że siedzielibyśmy każdy w swoim kącie, połykając łzy. Nasza ostatnia najebka.

Podniosłem z podłogi gitarę, chwyciłem akord. Pudło upadło na podłogę, kolorowe plamy zawirowały przed oczami. Z powrotem opadłem na fotel. Poczułem na czole zimny pot.

– Ksawier – zaśmiał się Damian. – Starzejesz się.

Trzasnęły drzwi. Do środka wszedł Tomas. Oczy świeciły radością pod asymetryczną grzywką.

– Dopiero w trzecim dostałem – rzucił na stół woreczek ze smolistymi grudkami. – Ale za to nasypał chyba więcej, niż powinien.

Pieprznął się na fotel, zatonął w nim głęboko. Zgarnął puszkę ambrozji, szybko wypił kilka łyków.

– Daliśmy, kurwa, czadu. I jeszcze damy. Do was mówię, zwłoki. Kacper, widzisz tam coś ciekawego?

– Możliwe – nie drgnął. – Te wszystkie cipy, w które wkładałem chuja. Te wszystkie usta. Wszystkie twarze, które zalały się krwią. Chyba nie mogę ich policzyć.

Damian zważył żwirek w dłoni.

– Mesjaszu podziemia. Inspiracjo dziewic. Nasz Kacperku.

Wysypał bryłki na kartkę papieru. Od razu sięgnął po pierwszą.

– Na co czekacie?

Sięgnęliśmy po żwirek. Małe, ciemne bryłki, słodkie, roztopiające się w ustach. Co bardziej pomysłowi twierdzą, że to łzy Lorda. Być może mają rację. Ale i tak ogromna większość pytań o żwirek sprowadza się do jego ceny. Co można jeszcze powiedzieć o szczęściu, gdy wystarczy przejść po nie do standu?

Kacper przelknął porcję. Jego oczy pokryła lśniąca glazura. Zamrugął.

– Pierdołę – oznajmił.  
Wówczas po raz pierwszy.

## NA SAMYM POCZĄTKU

Pięć lat temu niebo pękło i wszystko się zmieniło. Pięć lat temu Lord Total zstąpił na Ziemię, aby zabrać tych, którzy okazali się godni. Pięć lat temu umarł sens. Nie rozumiał nikt; nadal nie rozumiemy.

Głos Lorda rozbrzmiał w sercach wybranych. Płomienie tańczyły nad ich głowami, gdy w milczących szeregach wstępowali do nieba. Nie pozostał chyba nikt, kto owego dnia nie utraciłby kogoś ważnego. Kto nie utraciłby części siebie.

Pięć lat temu świat się rozpadł, rozbił jak lustro na niezliczone kawałeczki, z których każdy odbija światło inaczej.

Dobrze pamiętam tamten dzień, choć nie zawsze wierzę, że zaistniał. Pamiętam obrazy, które płynęły wówczas zewsząd, przed którymi nie było ucieczki. Długie rzeki unieruchomionych samochodów na autostradach. Sparaliżowane miasta. Twarze zastygłe w uniesieniu. Tłum padający na kolana. Nieodgadnione oblicze Lorda Totala, milczącego, ogromnego jak kosmos. Lorda Totala, wobec którego słowa straciły sens.

Później padło wiele pytań. Dokąd odeszli? Zabrał ich ku zbawieniu czy potępieniu? Dlaczego to właśnie oni, dlaczego nie my? Jakie było kryterium, co zdecydowało? Czy jeszcze ich ujrzymy? Czy spotkamy się z nimi po śmierci?

Nie padły żadne odpowiedzi.

Gdy zbliżyło się niebo, pozostała pamięć. Niekompletny świat na każdym kroku przypominał o krzywdzie.

Za głosem Lorda podążyli moi rodzice, oboje. Miałem wówczas trzynaście lat. Gdybym był starszy, pod pewnymi względami byłoby mi łatwiej, ale wiem też, że jako dziecko lepiej zniosłem ból, stopiłem się z resztą podobnych dzieciaków. Owego dnia, przed pięcioma laty, ciężar straty rozłożył się na barki wszystkich.

Świat oszalał – sumą ludzkich szaleństw. Lord Total wymykał się rozumowi, wszelkie próby wyjaśnienia jego istnienia prowadziły do obłędu. Nie można było spojrzeć w jego twarz i pozostać tym samym człowiekiem. Pamiętam ludzi w garniturach, chodzących bez celu ulicami, gdy już zamknęło się niebo. Okazywało się, że tak długo krążą w kółko po raz obranej trasie, aż padną z wycieńczenia. Chodzące trupy z martwymi oczami; nikt nie próbował im pomóc. Zbierały się też całe procesje. Rozebrani do naga pokutnicy maszerowali przed siebie, lamentując i dokonując samookaleczeń. Samozwańczy prorocy wchodzili na dachy samochodów, wspinali się na słupy i przemawiali do ludzi – wielu z nich zginęło, zlinczowanych, rozerwanych przez tłum, który nie chciał słów.

Obserwowaliśmy te sceny, jedząc chipsy wyniesione z niepilnowanych sklepów.

Nie pamiętam dokładnie, jak się poznaliśmy. Musiały to być pierwsze dni po pęknięciu nieba, gdy takich jak ja były tysiące. Spotkaliśmy się przypadkiem i już zostaliśmy razem. Tomas i Damian, osieroceni tak samo jak ja, błąkali się po mieście; poszukiwali czegoś, czego sami nie mogli określić – w tym również byliśmy podobni. Przewędrowaliśmy ulice i skwery, dworce i centra handlowe – nadaremno. Dziś myślę, że tym, czego szukaliśmy, choć nie potrafiliśmy tego nazwać po imieniu, była śmierć.

Kacper pojawił się znikąd i przez długi czas nie odezwał się ani słowem. Dołączył do nas tak po prostu, jakbyśmy znali się od dawna. W jego spojrzeniu było coś oskarżycielskiego, niewypowiedziana skarga; nigdy o tym nie mówił, ale pewnie miał większego pecha od nas i spotkał na swej drodze złych ludzi. Nie okradliśmy go, wiedzieliśmy, że nie wolno nam go skrzywdzić. Po pewnym czasie okazało się, że to nie Kacper podąża za nami, tylko my za nim.

Zespół narodził się spontanicznie, bo coś trzeba było robić. Było to już w trzecim roku naszej znajomości, po wielu bijatykach, w których dostawaliśmy wpierdol albo zwyciężaliśmy innych oberwańców, jak my chętnie ryzykujących zdrowie dla kilku groszy; po wspólnym głodowaniu, gdy zamknięto jadalnię, a nie udało się nic ukraść; po dwóch zimach spędzonych na squacie w starych dokach – gdzie trafiły, w taki czy inny sposób, dziesiątki nam podobnych dzieciaków, którym sprzyjał los. Dziś widzę z całą ostrością, jak wiele mieliśmy szczęścia. Razem z tym największym.

Pięć lat temu, w dniach pełnych rozpacz i trwogi, poznaliśmy najniezwyklejszego z ludzi, być może jedyne, który jeszcze był człowiekiem.

## WTEDY

Żwirek zmienia rzeczywistość, jakby zniekształcał ogniskową, może nie samo patrzenie, tylko głębiej, postrzeganie. To, co widzisz, jest inne. Kontury stają się ostrzejsze, barwy bardziej nasycone, dźwięki wyraźniejsze. Aż do bólu. Przesterowana percepcja.

Szliśmy ulicą. Niedawno padało, mokra nawierzchnia odbijała światło latarni i księżyc, świeciła bladym srebrem. Zdawało się, że krocymy po nagle zastygłej rzece. Z jednej strony wyrastał mur, wysoki, o chropowatej fakturze, pokryty niezliczonymi napisami – słowa, ileż tych słów, czy któreś z nich coś znaczy? Z drugiej, za kratami ogrodzenia, stały martwe skorupy dawnych fabryk. Powietrze wisiało nieruchomo, nie poruszało się w ogóle nic, samochody ani ptaki; można pomyśleć, że czas zatrzymał się, że zostaliśmy schwytani i uwięzieni na zawsze w pułapce pomiędzy tyknięciami zegara.

Żwirek sprawia, że jesteś słaby.

Stał na przystanku na skrzyżowaniu, oparty plecami o pleksiglasową budę, i wiem, że na nas czekał. Wysoki, z długimi włosami, w rozpiętym płaszczu. Palił papierosa.

– Stójcie.

Zatrzymaliśmy się, zanim którykolwiek z nas zdążył zastanowić się, dlaczego to robi. Jakby głos nieznajomego przemówił prosto do naszych mięśni, nerwów i kości.

Przydepnął niedopałek, podszedł do nas. Miał brązowe oczy, świecące czymś, czego nie potrafię nazwać.

– Myślę, że nie trafiliście najlepiej.

Damian wysunął się przede mnie, zacisnął pięści.

Nieznajomy powoli sięgnął za pazuchę płaszcza. Spokojnym, płynnym ruchem wy dobył pistolet. Wymierzył w Damiana, lecz patrzył na mnie. Nie wystraszyłem się, choć przez wrzący w żyłach żwirek poczucie realności było silne jak nigdy. Nie sędzę, że bym bał się śmierci.

– Czego chcesz? – zapytał za moimi plecami Kacper.

Nieznajomy uśmiechnął się.

– Mam do was kilka słów.

Cały czas mierząc w Damiana, podszedł kilka kroków, niemal przystawił mu lufę do głowy. Drugą ręką uderzył go w twarz, bez zamachu, ale i tak zadziwiająco mocno. Miał na palcu sygnet; popłynęła krew z rozciętego policzka.

– Nie oddasz ciosu. Żaden z was nie odda.

Damian patrzył na niego, ale nawet się nie poruszył.

Usłyszałem głos Kacpra:

– Kim jesteś?

– Znam was, ale wy mnie nie znacie – odparł nieznajomy. – I nigdy nie poznacie, bo nie zobaczymy się więcej.

Gdy wracam pamięcią do tej chwili, widzę spokojną twarz nieznajomego, który trzymał pistolet, ale strzelał jedynie słowami. Długie włosy, na których pełgały refleksy trupich świateł, brodę nadającą mu pozór antycznego mędrca. Uśmiech człowieka, który rozgarnął ostatnią zasłonę i rozróżnił mądrość od szaleństwa. I smutne oczy. Tak wyglądał ten, który w noc śmierci Kacpra przykazał nam w nic nie wierzyć.

– Nie oddasz ciosu – powiedział, uderzając mnie w nasadę nosa, nawet niezbyt mocno; oczy podeszły łzami.

Być może pistolet to tylko pieprzona atrapa – o broń palną było bardzo ciężko; pigułkę samobójstwa mogłeś nabyć legalnie w niemal każdej aptece; jeśli chciałeś zakończyć życie inne niż swoje, czekało cię więcej pracy.

Być może we czterech spokojnie dalibyśmy mu radę.

Staliśmy bez ruchu, a on uderzał i mówił.



– Świata już nie ma, moi drodzy. Skończył się, a sprawiedliwi odeszli. O nic już nie chodzi. Nie ma celu, nie ma sensu, wszystkie drogi to ślepe uliczki. Najlepszym dowodem jest, że oto spuszczam wam wpierdół, za który nigdy nie spotka mnie kara.

Uderzony w brzuch Tomas zgiął się wpół. Zwymiotował na asfalt.

– Bardzo wymowne, chłopcze – nieznajomy poklepał go po głowie, znów mierząc z pistoletu. – Rzyganie to jedyna sensowna odpowiedź. Wam się wydaje, że możecie coś znaczyć. Widziałem was: robicie dużo hałasu. Chcecie być słyszani, prawda? Możecie już tylko rzygać, bo nawet wrzask się skompromitował.

Staął przed Kacprem. Kontrast między ich sylwetkami był niezwykle. Popierdolony kaznodzieja, złożony chyba z samych perfekcyjnie wykreślonych linii, ożywiony posąg – i mały Kacper, jak naszkicowany w pośpiechu, ledwo zarysowany. (Nic dziwnego, teraz rozumiem to dobrze; wówczas już podjął decyzję).

– To miejsce, w którym stoimy. Rdza. Rozkład. Wszystko wokół rdzewieje. Nie tylko wokół, również wewnątrz. Rozejrzyjcie się. Zbudowaliście świat z metalu i betonu, a teraz korozja przeżera najwyższe konstrukcje, rdzawe zacieki żłobią mur. Zje wszystko, z wami łącznie. Wszystko upadnie, po którejś nocy nie wstanie świt. I pewnie nikt tego nie zauważy.

Kacper patrzył mu w oczy. Zapewne widział coś innego niż ja. Coś więcej. Ledwo trzymał się na nogach.

– Tak naprawdę – nieznajomy opuścił broń. – Chcę wam powiedzieć jedno, najważniejsze. Nie wiercie w nic.

Razem z ostatnim słowem padł cios, krótki i bez zamachu. Kacper upadł, do tyłu, na plecy, jak bezwładna kukła.

Widzę cię właśnie takiego, święty Kacperku, leżącego na skrzyżowaniu, z rozłożonymi ramionami, z twarzą zastygłą w zdziwieniu. Zjadłeś za dużo żwirku, prawda? Ale gdybyś był całkiem trzeźwy, zapewne również nie rozumiałbyś słów tego dziwnego człowieka. Jak cię pamiętam, często nie rozumiałeś słów. Słowa ważą, zobacz – przygniotły cię do ziemi. Zawsze wolałeś uciec w krzyk. Święty Kacperku, gdy o tobie myślę, byłeś i jesteś czymś więcej. Czymś więcej niż słowem.

Nieznajomy odwrócił się plecami. Wiedział, jak bardzo jesteśmy słabi. Skończył swoją lekcję i odszedł w noc; nie kłamał, nie zobaczyłem go nigdy więcej.

Pomogliśmy się podnieść Kacprowi.

Poszliśmy dalej, nic nie mówiąc.

\* \* \*

– Kto to, kurwa, był? – Tomas spoglądał w lustro. Miał sine wargi.

Damian patrzył w okno pustym wzrokiem.

– Nocny mściciel, wędrowny filozof. Pojebany fanatyk retorycznych sztuczek. Wszystko w jednym. Że też zawsze trafimy na kogoś takiego... Rzuć puszkę.

Podaliśmy mu ambrozię. Minęła druga w nocy, gdy wróciliśmy do naszej nory na squacie. Chłopaki nie zamierzali jeszcze odpuszczać.

Tomas usiadł w fotelu.

– Co za szajs. Czy w ogóle to ogarniacie? Idziemy ulicą, nagle podchodzi jakiś maniak, wyciąga spluwę i pieprząc farmazony, bije nas wszystkich po kolei. Świat jest pojebany, no owszem, zawsze był, ale to chyba przesada.

– Jak dla mnie – pociągnąłem łyk ambrozji – to niewykluczone, że on wcale nie istniał.

Damian przytaknął.

– Racja. Sami się nawzajem stłukliśmy, przecież od dawna o tym marzyłem, czekaliśmy na okazję i prośbę. Wystarczyła odrobina żwirku i hamulce puściły. Któregoś dnia się pozabijamy.

– Gównu tam – Tomas uśmiechnął się krzywo. – Nawet ja nie jestem tak pochrzaniony, żeby wymyślić sobie tego świra. Kacper, wszystko w porządku?

Kacper wyglądał najgorzej. Błady, z oczami jak narkotyczne gwiazdy okrążone ciemnymi sińcami, skurczony w sobie. Przysięgłbym, że mocniej skupiony wzrok przeniknąłby go na wylot.

– Nic mi nie jest – odezwał się dopiero po chwili. – Nie zrobił mi krzywdy, wam przecież też. Myślę o tym, co powiedział.

– Nad czym tu myśleć? – skrzywił się Damian. – Mało jest pojebów? Nie widziałeś wariatów, święcie wierzących, że ich ustami przemawia sam Lord? Schizoli wrzeszczących, że wszyscy powinniśmy iść się topić? Szukaj sensu w słowach świra, Kacper. Powodzenia.

– Szukam. Myślę, że trochę już znalazłem. To nie świr, a jeśli nawet, to nie większy niż ty czy ja. To ktoś ważny. Zresztą, pierdołę – zamknął oczy.

Tomas zastanawiał się jeszcze, czy może nie zmobilizować chłopaków i nie odnaleźć nocnego kaznodziei, żeby w rewanżu wyłożyć mu filozofię życia doków. Damian wytłumaczył, że nie jest to najlepszy pomysł, zresztą, było zbyt późno.

Z oddali dobiegło basowe buczenie syreny, nawołującej do portu statek, który już nigdy nie miał do niego zawinąć.

## TERAZ

Sądzę, że na początku było pytanie – zanim jeszcze padły pierwsze słowa. To z niemego, niewypowiedzianego na głos pytania narodziły się wszystkie te zdania, z których później wzniesiliśmy nasz świat.

Dziś koło się domknęło. Wszystko na powrót stało się pytaniem, milczącym „dlaczego?”, a rzeczywistość wygięła się w znak zapytania.

Pięć lat po zstąpieniu Lorda Totala znaczenia były martwe. Lubię wyobrazić sobie jako budynek to, co nazywaliśmy cywilizacją. Piękny gmach zbudowany ze słów i idei. Tym, co je spajało, był pewien sens, pewna wiara. Ale spoiwa już nie ma, wieże chylą się ku upadkowi, wkrótce wszystko runie i obróci się w proch. Ten proces trwa i nie ma już siły, która mogłaby go zatrzymać.

Czasem myślę też o świecie jako o języku, zrozumiałej dla nas mowie. Ogromny zbiór słów ma sens tylko wówczas, gdy rządzą nim sprecyzowane reguły. Lord Total zabrał nie tylko naszych bliskich, zabrał również gramatykę rzeczywistości – dziś więc każdy ustala własną, nie mniej prawdziwą. Język zamienił się w szum. Co można wyrazić za pomocą szumu?

Napierdalając struny gitary, nie myślałem o tym, żeby coś powiedzieć – z tego prostego powodu, że nie wierzyłem w oznajmujące, zakończone kropką zdania. Dziwny nieznajomy, w tym miejscu myliłeś się z całą pewnością: nigdy nie wierzyliśmy, że możemy coś znaczyć.

Nie wiem, o co chodziło w naszej muzyce. Czy w ogóle jest sens myśleć o niej w takich kategoriach? Muzyka była pomysłem na życie – i sposobem na zarobienie paru groszy, bo świat się skończył, ale pieniądze pozostały. Samo granie zawsze kojarzyło mi się z rzeźbieniem: to nie tyle tworzenie od podstaw, sklejanie ze sobą dźwięków kolejnych instrumentów, ile raczej wyciosywanie rytmów i melodii z jednolitego bloku, jaki stanowi ten pierwszy, pierwotny hałas, który słyszysz, gdy dobrze wsłuchasz się sam w siebie.

Rodzimy się z krzykiem – milkniemy, umierając. Wierzę, że również świat narodził się w hałasie, wśród pomruku piętrzących się gór i huku wzburzonego oceanu, a jego upadek – to właśnie wyciszenie. Nie było ostatniego akcentu, mocnego akordu, uderzenia w talerze; Lord Total przyszedł w ciszy, przerwał melodię, a dzień dzisiejszy to już tylko echa i wybrzmiewanie. Może to właśnie było pierwszym powodem, dla którego trzy lata temu zaczęliśmy grać, choć oczywiście żaden z nas o tym wtedy tak nie myślał. Zabawne, zacząłem się zastanawiać dopiero teraz, gdy również nasz zespół zamilkł na zawsze.

Dopiero teraz, z perspektywy czasu dostrzegam też, jak doniosłe było to, czego byłem świadkiem, a czego wciąż nie mogę w pełni zrozumieć; o czym myśl powraca wciąż jak obsesyjny refren. Śmierć ostatniego, który posiadał duszę.

## WTEDY

Musiałem przysnąć. Gdy otworzyłem oczy, było po czwartej.

Żwirek, ambrozja i zmęczenie to mieszanka rozbijająca świat na granulki, zaburzająca ciągłość trwania. Przysypiasz, budzisz się, na zmianę jesteś i cię nie ma. Po pewnym czasie

sen staje się bardziej realny niż jawa i sam zaczynasz wątpić, czy w ogóle istniejesz, czy kiedykolwiek istniałeś. Być może to dziwne, ale zawsze lubiłem ten stan. Zdarzało mi się spędzać w nim kilka dni, jak zresztą nam wszystkim, herosom dźwiękowego podziemia.

Tomas grał na gitarze melodyjkę – cichą, prościutką, na jednej strunie. Damian stukał dłońmi o oparcie fotela. Kacper przyglądał się im, jakby właśnie nacinali się nawzajem nożami albo jedli tłuczone szkło. Siedział w ukochanym czarnym poncho, w którym wyglądał jak nietoperz, do tego zrobił sobie makijaż, jakby zaraz miał wyjść na scenę. Kurwa mać, gdzie ja trafiłem.

– Znów w komplecie – Damian zgubił rytm, machając do mnie radośnie. Wyszczrzył się w uśmiechu. – Ksawier, najdroższy. Spróbuj zapamiętać: stare nudne pierdoły mają swój dom daleko stąd, w willach za rzeką. Tam się grzecznie śpi, gdy wygląda księżyc. Tu są doki. Takie to trudne?

Ziewnąłem.

– Spieprzaj. Wiesz, jak wyglądacie? Jak pierdolona dobranocka dla autystyka.

Roześmiał się. Wiedziałem, że cholerny niedźwiedź zeżarł wór żwiru, popił wiadrem ambrozji – przynajmniej dwa razy tyle, ile miałem w sobie ja – a tymczasem zamiast dusić się wymiocinami albo przynajmniej leżeć gdzieś bez czucia, śmiał się z ledwo zamglonymi oczami.

Kacper spojrzał na mnie. Sprawiał wrażenie, jakby samo patrzenie kosztowało go wiele wysiłku. Gdy się odezwał, wrażenie zamieniło się w pewność. Kacperku, dlaczego jeszcze nie zemdlałeś?

– Ksawier, wiesz, powinienesz zaśpiewać.

Sięgnąłem po wodę, zwykłą wodę. Miałem na zębach i języku paskudny kwaśny nalot, czytelny sygnał, że syntetyki powoli zaczynają się ze mnie wylewać. Przeplukałem usta.

– Kacper, ty tu jesteś od śpiewania.

Patrzył na mnie, albo może przeze mnie. Mówił powoli, z wiarą i pełnym przekonaniem, jak kilkuletnie dziecko jeszcze nieoduczone szczerości.

– Nie, ja odtąd będę tylko was słuchał. Chcę, żebyś śpiewał. Będziesz w tym dobry. Możesz przecież dalej grać na gitarze.

– Dobrze – przytaknąłem, żeby dał spokój. – Będę śpiewał.

Ucieszył się. Mam przed oczami ten uśmiech, a w uszach dźwięczą mi te słowa, słowa niedotrzymanej obietnicy. Damian również sięgnął po wodę.

– Ja od dzisiaj będę grał na fujarce – przełknął kilka łyków. – Tomas dostanie zestaw bębenków i dzwoneczków. A po koncertach panienki zamienimy na owce. Kacper, akurat tobie chyba rzeczywiście wystarczy. Kładź się.

– Nie chcę spać. Chodźmy na dwór.

– Jest to jakiś pomysł – Damian podniósł się z fotela. Jednak był trochę urobiony, zachwiał się. – Tomas, kurwa, przestań.

Tomas niestrudzenie grał swoje cztery nutki i zdziwił się, gdy Damian zabrał mu gitarę. Chyba nie zauważył naszej rozmowy; on akurat z niczym się nie krył i wystarczył rzut oka, żeby stwierdzić, że upierdolił się po uszy. Wolałem nie wiedzieć, jak wyglądam ja sam. Wstałem, napiłem się jeszcze wody.

Wyszliśmy na zewnątrz, w chłód nocy. Usiedliśmy jak zawsze, wokół żeliwnej beczki na placu przed budynkiem, skąd widać było fragment zatoki i grę odbijających się w niej światła. To wymarzone miejsce i czas na opowieści, ale tej nocy wybraliśmy milczenie.

\* \* \*

Mam problem z umiejscowieniem tego momentu we „wtedy” lub w „teraz”: wymyka się chronologii, a im więcej o tym myślę, tym ciężiej mi zrozumieć. Przyjmuję, że pewne chwile nie odchodzą, nie stają się wspomnieniem, tylko żyją w nas, trwają, rozgrywają się wiecznie. To trochę tak, jakby nigdy nie zaistniały naprawdę i były tylko obrazami. Gdy o nich myślimy, ciężko nam uwierzyć, że to nasze własne życie. Przeciwnieństwo wspomnienia: wieczne trwanie gdzieś poza czasem.

Zamykam oczy i widzę:

Noc dobiega końca, wkrótce wstanie świt. Gwiazdy bledną, ogień w beczce dogasa.

– Pierdolę – po raz ostatni oznajmia Kacper. Wyciąga w stronę ciepła dłonie z palcami jak gałązki, przygląda się grze światła na pomalowanych paznokciach. Zaciska usta w wąską kreskę. Szminka wygląda jak smuga krwi. Gdy tak siedzi, chude kurczątko w za dużym czarnym poncho, zaciera się granica między nim i jego cieniem. Mówi dalej, dużo ciszej.

– Ta noc, która właśnie się kończy. Ostatnia w moim życiu. Nie będę czekał na słońce.

Kiwam głową. Od dawna byłem przygotowany na te słowa i teraz niemal nie bolą.

Kacper, dziecko nocy; jego oczy mają zgasnąć razem z gwiazdami.

Czy to wydarzyło się naprawdę? To, co widzę teraz pod powiekami?

Kacper wstaje, chwieje się, jakby wiał silny wiatr, sięga do kieszeni. Wyjmuje coś błyszczącego, małą ampułkę, która lśni w słabym świetle dogasającego ognia. Wkłada ją sobie do ust, połyka. Z powrotem siada na swoim miejscu, nic już nie mówi. Jego twarz kurczy się w nagłym grymasie, głowa opada między ramiona. Coś krzyczy we mnie, że powinienem rzucić się, zabrać mu to gówno, nie zgodzić się – ale przecież wiem, że to już się stało.

Siedzimy tak jeszcze przez jakiś czas. Już nie ma w nas żwirku ani ambrozji, chyba nie ma w ogóle nic, jesteśmy całkowicie puści w środku, czują to z całą mocą. Wkrótce przyjdą jakieś uczucia, wkurwienie, żal, chyba zrozumienie, ale teraz nie ma nic i ciężko wyobrazić sobie coś bardziej przerażającego.

Wreszcie wstaje świt.

## TERAZ I NA ZAWSZE

Niebo ma barwę stali, tak samo jak morze, rozpościerające się łagodnym łukiem na horyzoncie. Jest zrobione z metalu, nie różni się od reszty rdzewiejącego świata. Niebo to blaszana kopuła, gdybym był wystarczająco silny, rzuciłbym kamieniem – odbiłby się z brzękiem. Nadejdzie dzień, w którym korozja przeżre je na wylot – wówczas ponownie ujrzemy milczącą twarz Lorda Totala, który nie będzie już mógł postąpić inaczej, jak tylko zająć się nami wszystkimi, zdecydować o naszym losie. Na razie pozostaje czekać.

Staram się unikać pytań, choć ciśnie się ich tak wiele. Wierzę – choć przykazano mi w nic nie wierzyć – że Kacprowi nie jest źle.

W świecie, który się skończył, nie ma miejsca dla Kacpra i rozumiem to, jak sądzę, całkiem dobrze. Zabrałeś go nam, Lordzie Totalu. Nie wzięłeś go do siebie razem ze wszystkimi, dałeś mu jeszcze pięć lat, być może po to, by pokazać nam, że jednak pozostało coś więcej niż słowa.

Gdy będę już stary, równie zgrzybiały i próchniejący jak wszystko dookoła, nadal będę słyszał echo jego krzyku. Rozwibrowane i drżące. Cichy pogłos z tamtej strony gwiazd, niepozwalający zapomnieć.

I nie zapomnę.

*Piotr Rogoża*

**Adam Przechrzta** – urodził się 14 kwietnia 1965 roku. Ukończył studia historyczne. Po studiach podjął pracę w szkole; w tym czasie współpracował z kilkoma czasopismami, gdzie publikował artykuły historyczne, a także teksty związane z pewnymi aspektami sztuk walki, m.in. na temat walki nożem i okinawskiego karate. Interesował się działaniami służb specjalnych. Uzyskał stopień doktora nauk humanistycznych w zakresie historii (2001 rok), pisząc pracę na temat antypaństwowej działalności komunistów w oczach polskich służb specjalnych okresu międzywojennego.

Zadebiutował w 2006 roku w „Nowej Fantastyce” tekstem *Pierwszy krok* (powieść pod tym samym tytułem pojawiła się na początku 2008 roku). Później w piśmie ukazało się kilka innych jego opowiadań i artykułów publicystycznych. „Science Fiction, Fantasy & Horror” (wrzesień 2007) zamieściło opowiadanie *Alchemik*, będące fragmentem mającej się ukazać jeszcze w bieżącym roku książki *Chorągiew Michała Archaniola*. Obecnie pracuje nad zbiorem opowiadań przedstawiających alternatywną rzeczywistość okresu międzywojennego, widzianą oczyma pracowników polskiego wywiadu i kontrwywiadu. Będzie to, jak żartuje, beletryzacja jego doktoratu. Pilotażowe opowiadanie z tego zbiorku, zatytułowane *Wilczy Legion*, ukazało się w numerze 8/2008 „Nowej Fantastyki”.

### **O fantastyce i pisaniu:**

Fantastyką zainteresowałem się głównie ze względu na swój zawód historyka. Na głębszym poziomie historia nie jest jedynie zbiorem dat i faktów, ale uświadamia też alternatywność i pewną nierealność znanych nam dziejów. Obfitują one bowiem w wydarzenia, które mogły potoczyć się zupełnie inaczej, zmieniając kompletnie – na pozór oczywisty – obraz świata. Uważam, że fantastyka pozwala na literackie wymodelowanie sytuacji ekstremalnych i przez to niezmiernie ciekawych, co byłoby trudniejsze – lub wręcz niemożliwe – w literaturze głównonurtowej. Zderzenie kultur i cywilizacji, konfrontacja odmiennych stylów życia, religii, filozofii, podkreślenie wpływu jednostki na losy świata – to wszystko zyskuje głębszy rys właśnie dzięki użyciu fantastycznych „narzędzi”. Chyba, po trosze, chciałbym uważać się za opiekuna gigantycznego cmentarzyska zapomnianych idei i wynalazków, które mogły zrewolucjonizować świat, popchnąć go w inną stronę, gdyby ich twórcom nie zabrakło szczęścia. Wiele z nich jest dla mnie inspiracją w kreowaniu literackich wizji.

**Adam Przechrzta**

## **Smak apokalipsy**

Jak zwykle, niebezpieczeństwo pierwsze wyczuły Słodkie. Nadchodziło oznajmiane szczekaniem psów, zbliżało się do jednego z licznych *ghost towns* Arizony, gdzie rozbiliśmy obóz. Pościg nadciągał od południa. Kilkanaście kilometrów na północ – prawie dziesięć mil, według miar używanych w tym kraju; nigdy się do nich nie przyzwyczaiłem – rozpoczynała się pustynia. Ktoś to dobrze przemyślał. Przeciętny człowiek nie miałby żadnych szans. Albo zostałby schwytany, albo umarł, zabity przez pustynne słońce. Jednak my nie byliśmy przeciętni – ani ja, ani Słodkie.

Skinąłem dłonią i Leila z niechętnym westchnieniem zaczęła rozpinąć jeansy. Po chwili z powrotem włożyła spodnie na gołe ciało, a majtkami obwiązała wajchę starej, nie działającej pompy na skraju osady. To standardowa procedura stosowana w przypadku tropienia przez psy. Trzeba na chwilę odwrócić ich uwagę, niezależnie od tego, czy chcemy uciekać, czy walczyć. Przekazałem dziewczętom całą swoją wiedzę na ten temat, a one błyskawicznie prześcignęły mistrza. Nie, nie myślcie, że jestem jakimś komandosem. Jestem, a raczej byłem, bibliotekarzem i archiwistą. Mam po prostu fotograficzną pamięć. Przed apokalipsą pracowałem w najbardziej renomowanych bibliotekach świata: szwajcarskiej bibliotece St. Gallen, włoskiej Di Bella Arti, meksykańskiej Palafoxiana, paryskiej Bibliotheque Nationale, Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie. Zaliczyłem też kilka archiwów wojskowych. Moja pamięć stanowi prawdziwą kopalnię bezużytecznych informacji, jednak czasem przypominam sobie coś, co ma wartość nawet teraz, kiedy świat cofnął się do stanu totalnego zdziczenia i chaosu.

Dwie Słodkie wzięły broń i ruszyły w stronę kościelnej dzwonnicy. Pozostałe cztery dziewczyny ukryły się w opuszczonych domach niedaleko pompy. Usłyszałem metaliczny trzask – najwyraźniej wejścia do kościoła strzegła kłódka. Rzecz jasna, nie stanowiła żadnego problemu dla dziewcząt. Ujadanie psów słychać było coraz wyraźniej, pojawiły się w nim nowe, tryumfalne tony. Zwierzęta czuły, że cel jest blisko. Nie przejąłem się tym specjalnie. I tak wszystkie rzucają się do pompy. Zapach Słodkich przyprawiał je o szaleństwo. Szczerze mówiąc, podobnie reagowali też ludzie. Ja byłem wyjątkiem. Nie, żeby kusząca woń istot,



którymi stały się dziewczyny, mnie nie pociągała – po prostu byłem nieco uodporniony. Na tyle, na ile można się na coś takiego uodpornić.

Dwa psy rzuciły się do pompy, trzeci przysiadł kilkanaście metrów dalej. Zakląłem bez złości – zwierzęta były dobrze wytresowane, a dowodzący pościgiem miał głowę na karku. Jeden pies tropiący i dwa bojowe. To było niezłe zestawienie. Na moment oślepiło mnie słońce, zamrugalem. Kiedy otworzyłem oczy ponownie, było już po wszystkim.

Na popękanej od upału ziemi rozlewała się plama krwi – któraś z dziewcząt trafiła psa tropiącego z potężnej kuszy typu Demon. Znaleźliśmy kilka takich w wojskowej bazie niedaleko Tucson. Czasem przydawały się bardziej niż broń palna. Podobno firma Barnett produkowała podobny sprzęt na potrzeby oddziałów specjalnych. Dwa pozostałe psy tkwiły w objęciach Słodkich. Nie szarpały się, nie mogły. Leniwym gestem przeciągnąłem po gardle i rozległ się suchy trzask łamanych kręgosłupów. Może wyda się to zbyt okrutne, ale po co mi para psów? Niechby i wytresowanych do walki? Byłby to tylko dodatkowy kłopot; nie potrzebuję żadnego wsparcia. Wystarczą mi dziewczęta.

Farah ułożyła martwe zwierzęta w rządki, jedno obok drugiego, i podeszła do mnie, zalotnie kołysząc biodrami. Starannie umyła ręce, polewając je hojnie wodą ze standardowego pojemnika armii Stanów Zjednoczonych, i przysiadła obok, opierając głowę o moje kolana. Była pierwszą Słodką, jaką spotkałem. Dwa lata temu ujrzałem ją, jak wyłania się z szarej chmury, do której wrzuciło ją kilku bandziorów, tuż po tym, jak się z nią zabawili. Jednego z nich zabiłem, resztę dopadła ona. No i złożyła mi hołd.

Odruchowo wyciągnąłem dłoń, by ją pogłaskać po bujnych, kruczoczarnych włosach, ale w ostatniej chwili zacisnąłem palce w pięść i spróbowałem skupić się na czymś innym. Zamruczała gniewnie, ale nie zmieniła pozycji. Przy dziewczętach trzeba nieustannie uważać, czasem mam wrażenie, że one myślą tylko o dwóch sprawach – o seksie i zabijaniu. Nie są złe, są całkowicie amoralne. Może nawet „amoralne” to za dużo powiedziane. Wiem, że pozostaną całkowicie lojalne wobec tego, kto je... ukształtował. Jeśli będzie trzeba – zaryzykują dla mnie życiem, robiły to już niejednokrotnie. Ale muszą się kochać i muszą zabijać – inaczej chorują. To drugie nie jest specjalnym problemem. Świat, w którym żyję, roi się od istot (bo czasem trudno nazwać je ludźmi), które powinny zostać zabite. Bez emocji, bez gniewu, po prostu trzeba je eksterminować jak wściekłe psy. Dziewczętom jest obojętne, kogo zabijają, mnie nie. Dlatego od dwóch lat wędruję po okolicy, wprowadzając odrobinę ładu w otaczający mnie ocean chaosu. Nieco bardziej kłopotliwa jest pierwsza kwestia. Dla Słodkich istnieje tylko jeden obiekt pożądania – ja. I, wiercie mi – trudno nazwać to bezpiecznym seksem...

Pięcioosobowy patrol wślizgnął się do osady. Ludzie, ubrani w wypłowiałe mundury maskujące, zajęli pozycje po obu stronach głównej ulicy, tuż pod ścianami domów. Nikt nie zatrzymał się przy zwłokach psów – wyglądało na to, że przybysze są zawodowcami. W chwilę później usłyszałem za plecami chrzęst rozgniatanego pod butami żwiru.

– Nadchodzi jeszcze czterech – szepnęła Farah.

Nie podniosła nawet głowy, jej słuch był dużo czulszy od mojego. Machnąłem zachęcająco ręką w stronę nadchodzących mężczyzn. To był powolny, ostrożny gest. Nie chciałem, żeby dziewczyny ich zabiły. No, a przynajmniej nie od razu, przeważnie najpierw sprawdzam, z kim mam do czynienia, potem podejmuję decyzję. Miejscowi nadali mi ksywkę „Sędzia”. Jest w tym pewien sens. Mój wyrok nie podlega apelacji i wykonywany jest zwykle na miejscu. Kiedyś moja żona i córka zapłaciły za to, że nie było komu wyegzekwować przestrzegania prawa. Teraz staram się, aby płacili ci, którzy je łamią.

Żołnierze podeszli bliżej, otoczyli mnie. Zauważyłem wśród nich dwie kobiety. U wylotu ulicy ukazało się jeszcze trzech mężczyzn, jeden z nich prowadził za rękę czteroletnią na oko dziewczynkę. Bandyci raczej nie troszczyli się o dzieci, może nie będę musiał ich zabijać? Masywnie zbudowany Latynos stanął naprzeciwko mnie, przekazał dziecko innemu mężczyźnie.

– Witam pułkowniku... Estevez – odczytałem nazwisko i stopień wypisane nad kieszenią munduru.

Prawa dłoń oficera spoczywała na kolbie pistoletu, zapewne odruchowo. Mając kilkunastu ludzi, nie musiał obawiać się chudego faceta w okularach i towarzyszącej mu kobiety.

– Kim pan jest? – zapytał szorstko.

– Czy mógłby pan odwołać tych tam? – odpowiedziałem pytaniem, patrząc, jak trójka żołnierzy podchodzi do kościoła. Nie chciałem, żeby coś im się stało.

Otoczający mnie mężczyźni zarechotali. Nie dziwiłem się im, na niektórych mundurach spostrzegłem znaczki SEAL. Nawet gdybym miał tu jakichś kumpli, nie stanowiłbym dla nich specjalnego zagrożenia. Zresztą, oni przecież wcześniej sprawdzili budynki. Przynajmniej tak im się wydawało. Jednak dziewczyny na wieży kościelnej nie mogły chować się po kątach, musiały przez cały czas kontrolować teren. Gdyby ktoś wszedł im w drogę, nie byłyby zadowolone.

A w starciu ze Słodkimi komandosi Marynarki Stanów Zjednoczonych mieli mniej więcej takie szanse, jak aktywiści fanklubu Myszki Miki.

Farah wstała, jednym płynnym ruchem. Śmiech ucichł jak ucięty nożem. Wszystkie Słodkie były piękne, ale to nie uroda wyróżniała je spośród innych kobiet. Procedura, która sprawiała, że stawały się tym, kim były, powodowała, że ich cera przybierała charakterystyczny, złocisty odcień. Nie do pomylenia ze zwykłą opalenizną.

– Sędzia... – wymamrotał Latynos, cofając się odruchowo o krok.

Gestem nakazał wszystkim opuścić broń, gwizdnięciem odwołał patrol spod kościoła.

– To ja – przyznałem skromnie.

– Na kolana! – rozkazała Farah.

Wszyscy klęknęli, odłożyli karabiny. Estevez rzucił na ziemię pas z pistoletem. Dziewczyny nie tolerują najmniejszego sprzeciwu, to fakt dość powszechnie znany. Wyciągnąłem dłoń do dziecka, posadziłem sobie małą na kolanach. Pułkownik zacisnął usta, ale nie wykonał żadnego ruchu, nie zaprotestował. Wyczuwałem jednak, że obserwuje mnie spod opuszczonych powiek. Jeśli będę chciał ją skrzywdzić, zaatakuje mnie bez względu na konsekwencje. Mruknąłem z uznaniem – zarobił u mnie punkt. Znałem go ze słyszenia, czterolatka była jego córką, zapewne w pościgu uczestniczyli jego najlepsi ludzie i wołał jej nie zostawiać w obozie.

– Jak masz na imię? – spytałem dziewczynkę.

– Luiza – odparła, wyjmując palec z buzi.

– Leila! – zawołałem niegłośno.

Wyskoczyła przez wybite okno dawnego sklepu wielobranżowego. Estevez zadrżał, jakby owionął go lodowaty wiatr. Jego ludzie przeszukali ten budynek w pierwszej kolejności... Podeszła swobodnym krokiem i podała mi torebkę słodyczy. Gdy się zbliżała, nikt nie usłyszał najmniejszego szmeru.

– Proszę powiedzieć kilka słów o sobie – zaproponowałem, patrząc pułkownikowi w oczy. – I możecie już usiąść. Tylko lepiej nie dotykajcie broni.

Podsunałem małej cukierki. Roześmiała się radośnie, zapewne taka gratka nie trafiała jej się często. Żołnierze siedli na ziemi – skrzyżowane nogi, dłonie na kolanach, daleko od sprzętu... Byli ostrożni. To dobrze, ich szanse na przeżycie rosły. Farah z fascynacją przyglądała się Luizie, pochłaniającej z zapalem łakocie. Słodkie nie mogą zrozumieć żadnych innych przyjemności poza seksem i zabijaniem.

– Zatrzymaliśmy się na terenie misji świętego Ksawerego – powiedział Estevez.

– „My” – czyli kto? Ilu was jest?

Ociągał się z odpowiedzią.

– Prawie... czterystu.

– Jaki był cel tej akcji?

Mężczyzna zacisnął usta. Twarz mu poszarzała.

– Diableros – warknął. – Zaatakowali w nocy. Dwóch naszych zgadało się wcześniej z nimi i dlatego przeszli przez linie straży. Mamy kilkunastu zabitych, paru rannych. Porwali cztery kobiety i dziecko.

Westchnąłem – gang Diableros tworzyło około trzydziestu mężczyzn, czasem były z nimi jakieś kobiety, żadna z własnej woli. Wszystkie kończyły prędzej czy później w szarej chmurze. Szare chmury to coś, co pozostało po użyciu NNEMP. Broń *Non-Nuclear Electromagnetic Pulse* miała oddziaływać zarówno na żywe organizmy, jak i urządzenia elektroniczne. I nie pozostawiać po sobie obszarów skażonych promieniowaniem. Nie zostawiała. Zostawiała za to szare chmury.

– Gdzie uciekli?

– Pewnie na pustynię. Wygląda na to, że psy zmyliły trop przy autostradzie.

Skinałem głowę. To było prawdopodobne. Jeśli psy wyczuły Słodkie, wszystko inne przestawało się liczyć. Domyślałem się, gdzie tamci poszli. Na skraju pustyni znajdowała się niewielka osada z działającą do dzisiaj studnią artezyjską. Mało kto o niej wiedział, a ci, którzy tam jakoś trafili, później unikali tego miejsca ze względu na szarą chmurę sięgającą niemal zabudowań. Tylko Diableros lubili to miejsce. Było niezłe na biwak, no i można się było łatwo pozbyć jeńców. To, co zostało po NNEMP, było prawdopodobnie jakimś rodzajem pola elektromagnetycznego, które utrzymywało godzinami w powietrzu uniesione wiatrem cząsteczki kurzu, stąd nazwa „szara chmura”. Mężczyźni wrzuceni w obręb pola umierali po pół godzinie, kobiety wychodziły odmóżdżone, z całkowicie wymazaną pamięcią. Ponieważ procesy zachodzące w układzie nerwowym mają charakter elektrochemiczny, możliwość oddziaływania impulsów elektrycznych i magnetycznych na ludzkie mózgi jest oczywista. Kiedyś myślano o tym w kategoriach terapeutycznych, chciano za pomocą oddziaływań elektromagnetycznych wpływać na określone ścieżki nerwowe, blokować w ten sposób ataki epilepsji czy ból. Niestety, jak przy większości takich technologii, okazało się, że można także pójść w drugą stronę. Nieterapeutyczną.

– Zajmiemy się tym, pułkowniku – obiecałem.

– Dałem słowo swoim ludziom... – zaczął Estevez.

– To tylko propozycja – przerwałem mu łagodnie. – Myślę, że mam nieco większe szanse na uratowanie tych kobiet i dziecka niż wy. Jeśli jednak wolałby pan sam się tym zająć... – zawiesiłem głos.

Wahał się jedynie przez moment. Wiedział, że miałem rację.

– Dziękuję – powiedział. – Jednak dalej nie rozumiem, dlaczego chcecie nam pomóc.

Uśmiechnąłem się z autentycznym rozbawieniem.

– Nie lubię Diableros – odparłem szczerze. – To zwierzęta.

– To wszystko?

W jego głosie wyczułem nieufność.

– To wszystko, co mam zamiar panu powiedzieć.

Zaczerwienił się lekko. Po raz kolejny uświadomił sobie, że jego życie zależy od mojego kaprysu.

– Możemy tu odpocząć? – zapytał. – Jesteśmy w drodze od czternastu godzin.

Machnąłem przyzwalająco ręką.

– Farah, przynieś skrzynkę – poprosiłem.

Słodka znikła za rogiem ulicy, w kilka minut później wróciła, niosąc stalową skrzynię z napisem US Army na wieku. Skrzynia ważyła kilkadziesiąt kilogramów, ale nie wyglądało, by dziewczyna w jakikolwiek sposób odczuwała ten ciężar. Postawiła ją u moich stóp.

– Jest pańska – oznajmiłem. – I przepraszam za psy.

Estevez popatrzył na mnie niepewnie. Wyposażenie i broń były na wagę złota. Nikt nie oddawał ich ot tak. Wreszcie podszedł do skrzynki i podniósł pokrywę. Wokół zebrali się podekscytowani ludzie. Karabinki szturmowe, amunicja, parę kamizelek kuloodpornych, granaty... To był skarb.

– Jak się odwdzięczymy? – wyjąkał.

– Buziakiem? – zaproponowałem, zwracając się do Luizy. Mała wycisnęła mi na policzku lepkiego od słodczyca całusa. Uszczypnąłem ją w policzek. Zachichotała.

– Jeśli uda nam się z Diablos, odwiedzimy was niedługo – uprzedziłem, żegnając go nieznacznym skinieniem. Wolałem, aby się nas spodziewali. Wbrew powszechnej opinii Słodkie nie są nieśmiertelne, ja – tym bardziej.

Kiedy wychodziliśmy z miasteczka, odwróciłem się. Pułkownik i jego ludzie kłębili się wokół skrzyni. Jedna z kobiet pomachała mi na pożegnanie. Leila warknęła głucho, chyba dobrze, że odeszliśmy. Dzięki temu unikniemy wszelkich... incydentów. Dziewczyny słuchają moich rozkazów, ale czasem reagują tak szybko, że nic nie da się już zrobić. Miałem wobec ludzi Esteveza pewne plany i nie chciałem, żeby coś mi przeszkodziło.

Kilometr za miastem dołączyły do nas Kasja i Muna. Zeszły z wieży kościelnej dopiero wtedy, gdy sprawdziły, że nikt nie zamierza nas śledzić. Każda z nich niosła karabin snajperski i plecak z wyposażeniem. Ja byłem obciążony tylko bukłakiem z wodą. Gdybym zabrał połowę tego, co dźwigały Słodkie, padłbym po kilkuset metrach.

W gruncie rzeczy w ich zdolnościach nie ma niczego nadprzyrodzonego, to efekt oddziaływania szarej chmury na ludzki organizm, a przede wszystkim mózg. Specyficznej szarej chmury, znam tylko jedną taką. Wszystkie inne zabijają lub okaleczają psychicznie. A dzięki tej – idealna koordynacja mięśniowo-nerwowa. Tylko tyle. Aż tyle. Stan, który dawni mistrzowie sztuk walki nazywali „rozluźnieniem w naprężeniu”. Kiedy przeciętny człowiek wykonuje jakiś ruch, poza mięśniami, których musi użyć, używa też wielu innych. Niepotrzebnie. Dziewczyny wykorzystują tylko te, które są niezbędne. Dzięki temu każdy ich ruch jest maksymalnie efektywny. Oczywiście do tego dochodzą zmiany w zachowaniu. Reakcje Słodkich przypominały mi opisy, jakie spotykałem w starych traktatach. *De lamiis* czy zawierający klasyfikację demonów sześciotomowy *Disquisitionum magicarum* zawierały charakterystyki istot zadziwiająco podobnych do moich dziewcząt. Nie żebym na serio zastanawiał się, czy nie są one rodzajem technosukkubów albo lamii. To tylko skojarzenia mola książkowego, urojenia przemęczonego umysłu. Sukkuby – też coś...

Po kilku godzinach marszu Kasja uniosła dłoń, sygnalizując możliwy kontakt z wrogiem. Przysiedliśmy na ziemi, wypiliśmy resztkę wody. Kasja i Farah poszły zbadać teren. To rutyna, nie sądziłem, żeby ktokolwiek czaił się w, opuszczonym domostwie, oddalonym o kilkanaście kilometrów od osady, gdzie rezydowali Diablos. Jednak lepiej to sprawdzić. Miałem zamiar wygodnie spędzić noc.

Słodkie wróciły – dom był nadal bezpieczny i niezamieszany. Ruszyliśmy naprzód, idąc ścieżką precyzyjnie oznaczoną za pomocą na pozór przypadkowo rozrzuconych śmieci. Przy podejściu do budynku rozmieściliśmy wcześniej kilka min przeciwpiechotnych. Domostwo było zbyt cennym schronieniem, by dopuścić tam jakichś włóczęgów.

Po kąpieli dziewczęta podały kolację. Dzieliły ze mną posiłek, ale jadły bardzo niewiele. Być może przemiana, jaką przeszły, oddziaływała także na metabolizm? Krążyły wokół mnie, a każdy ich ruch był kwintesencją wdzięku i kobiecości. Rywalizowały. Wiedziały, że wybiorę tylko dwie z nich. To i tak duże ryzyko, pierwsza noc z Farah skończyła się dla mnie miesięczną rekonwalescencją. Do dzisiaj mam na plecach centymetrowej głębokości blizny po jej paznokciach. Na szczęście ominęła kręgosłup.

Nie wiem dlaczego, ale wybierając imiona, Słodkie zawsze sięgają do tradycji arabskiej albo nazw kwiatów. Imię Muna oznacza „Pragnienie”, a Fatin – „Zniewalająca”. Dziś zostałem zniewolony i zaspokojono moje pragnienie...

Obudziły mnie nerwowe ruchy Muni. Usiadłem na łóżku, zapaliłem kilka świec i energicznie potrząsnąłem ją za ramię. Dziewczęta, choć fizjologicznie są prawdziwym przykładem doskonałości, miewają czasem koszmary. Ktoś kiedyś powiedział, że każdy ma swój strach. Słodkie boją się tylko jednego – Łowców. Trudno mi nawet powiedzieć, czy ten lęk ma realne podłoże, czy jest może jedynie projekcją niepokojów, jakie zostały im z dawnego życia. Nie chcę o tym rozmawiać, czasem tylko krzyczą przez sen. Stąd wiem, że przerażenie budzą w nich Przedwieczni Łowcy. A może Łowcy Przedwiecznego? To sędziowie oceniający postęпки Słodkich. Według tego, co z nich wydobyłem, wyglądają ni to jak zakuci w zbroje rycerze, ni to jak aniołowie. Kiedy wydadzą wyrok, sięgają po miecz – wtedy Słodka, przeciwko której zwróci się ich gniew, ginie. Ponoć właśnie tak rok temu umarła Amira. Choć dla mnie wyglądało, jakby zginęła podczas akcji. Wszelkie próby doprecyzowania tej kwestii powodują u dziewcząt reakcję obronną, więc nie naciskam. Wolałbym, aby nie poczuły się przeze mnie zagrożone...

Muna ocknęła się ze snu od razu czujna i przytomna, jej twarz błyszczała od potu, ale nie wyglądała na wystraszoną. We wzroku były zachwyty i ulga.

– Uśmiechnął się do mnie – wyszeptała. – Łowca się uśmiechnął.

Uniosłem brwi.

– Dlaczego dzisiaj? – spytałem.

– Zapewne zrobiłam coś... dobrego – odpowiedziała z lekkim wahaniem.

Zło i dobro to dla Słodkich pojęcia abstrakcyjne. Nie rozróżniają ich, tak jak ślepy nie rozróżnia kolorów. Dlatego słuchają moich rozkazów. No, między innymi dlatego... Jestem ich przewodnikiem w świecie, w którym widzą tylko jedną barwę – szarą.

Po chwili obudziła się Fatin, a do pokoju weszły pozostałe dziewczęta. Na twarzach miały ten sam wyraz ulgi.

– Czym ci się odwdzięczymy, panie? – wymruczała uwodzicielsko Kasja, siadając u mych stóp.

Zadała pytanie, ale jej głos i mowa ciała wskazywały, że ma całkiem konkretne wyobrażenia na ten temat. Dwie Słodkie zaczęły masować mi barki, Farah niby mimochodem rozpięła górny guzik męskiej koszuli, której używała zamiast pizamy. Wyglądała w niej lepiej niż większość kobiet w kreacjach od Diora. Muna podeszła do stołu, przechyliła manierkę i spryskała twarz. Krople wody jak sznur diamentów spłynęły po jej szyi i dekolcie, zmoczyły bawełnianą koszulkę. Wilgotny materiał przylepił się do rozgrzanego, kobiecego ciała, ujawniając bolesny w swej doskonałości zarys piersi i sutków. Niesforna strużka pociekła w dół, w stronę pępka.

– Dość! – warknąłem, roztrącając dziewczęta.

Jednym skokiem dopadłem okna i otworzyłem je na całą szerokość, odetchnąłem głęboko chłodnym, nocnym powietrzem. Na pustyni gorąco jest tylko w dzień. W nocy temperatura spada często w okolice zera. Teraz mi to odpowiadało – potrzebowałem orzeźwienia.

Kiedy usłyszałem szmer za plecami, stanowczym gestem uniosłem dłoń, powstrzymując Słodkie. Posłuchały. Żadna do mnie nie podeszła. Wiedziały, kiedy rozkazuję coś serio, a kiedy jestem niezdecydowany. To ostatnie w ich towarzystwie zdarzało się często, można powiedzieć – zbyt często. Tak naprawdę tylko mnie sprawdzały, nie mogły się powstrzymać. Gdyby któraś chciała rzeczywiście zignorować moje polecenie, nie usłyszałbym najmniejszego szelestu.

Odwrociłem się, starając uspokoić oddech, utrzymać samokontrolę. To było trudne, cholernie trudne. Żadna z dziewcząt nie poruszyła się, czekały posłusznie na moje polecenia. Jednak sam ich widok, blask świec ślizgający się po idealnie pięknych twarzach, słodki, pizmowy zapach – przyprawiały o szaleństwo. Mimo iż każda z nich reprezentowała całkowicie inny typ urody, ich rysy miały w sobie coś wspólnego, jakby odbicie tego samego, doskonałego wzorca piękna. Wzdrygnąłem się, czar prysnął. Stare traktaty nazywały to „maską Lilith”. Ich autorzy uważali, że wygląd wszystkich sukubów jest odbiciem demonicznej chwały pierwszej kobiety. Oczywiście to tylko luźne dywagacje, nie jestem zabobonny. Szara chmura odmieniała ich ciała, a więc musiała wpływać także na kształty twarzy...

Odprawiłem gestem dziewczyny, wróciłem do łóżka. Dopiero po dłuższej chwili udało mi się zasnąć.

Spałem niespokojnie do świtu. Rano pospiesznie umyłem się, zjadłem przygotowany przez Słodkie posiłek. Staraly się nie kokietować, wiedziały, że przed akcją nie powinny mnie rozpraszać.

\* \* \*

Wyruszyliśmy około ósmej, kiedy słońce jeszcze specjalnie nie dokuczało. Prowadziła Farah, jako jedyna nie miała plecaka. Reszta dziewcząt poza bronią niosła dodatkową amunicję, wodę i medykamenty. Nie wiedziałem, w jakim stanie będą jeńcy, Diablos nie słynęli z rycerskiego traktowania kobiet.

Po kilku godzinach marszu dotarliśmy wreszcie do osady. Okrężną drogą Farah wdrapała się na wzgórze nieopodal starej gorzelni i dała znak, że nie widzi żadnych wartowników. Nie zdziwiło mnie to. Bandyty byli ostrożni, w promieniu tysiąca kilometrów nie znalazłoby się chyba człowieka, który nie życzyłby im śmierci, ale od strony, z której nadeszliśmy, nie spodziewali się żadnego niebezpieczeństwa. Wmontowany w zegarek licznik Geigera-Müllera zabrzączał ostrzegawczo, wykazując podwyższony poziom promieniowania. Nie zwróciłem na to uwagi. Wśród wielu mitów na temat sytuacji po wojnie atomowej najbardziej rozpowszechniony był ten o wpływie promieniowania na mutacje genetyczne i zdrowie człowieka. Diablos nie byli wyjątkami. Wierzyli w niego z całych sił. A około siedemdziesięciu kilometrów stąd ktoś potraktował atomówką dwie amerykańskie dywizje pancerne. Strefa skażenia sięgała zachodniego skraju osady.

Słodkie wykopaly płytki dół tuż poniżej górnej krawędzi wzgórza i rozciągnęły nad nim płachtę maskującą. Z westchnieniem ulgi wczłogałem się w ofiarowany mi skrawek cienia. Dziewczyny zajęły stanowiska na szczycie. W mundurach maskujących, z pomalowanymi specjalną farbą twarzami, były niewidzialne. Musieliśmy poczekać do wieczora, kiedy Diablos zaczną wychodzić z domów. To sporo czasu, ale jedyną osobą, dla której stanowiło to problem, byłem ja. Z zazdrością spojrzałem na leżące w absolutnym bezruchu pod palącym słońcem Słodkie. Potrafiły tak czekać godzinami.

Westchnąłem i skontrolowałem licznik – nie było źle. Nawet gdybym pozostał tu kilkanaście godzin, wchłonięta dawka promieniowania będzie niewielka. Co najwyżej pobudzi do aktywności siły obronne organizmu. Mało kto wie, że po największej od czasów drugiej wojny światowej katastrofie atomowej w Czarnobylu raport Komitetu Naukowego ONZ do spraw Skutków Promieniowania Atomowego wykazał, że bezpośrednimi ofiarami śmiertelnymi awarii było trzydzieści jeden osób, które zmarły na skutek ostrej choroby popromiennej. Liczby późniejszych ofiar nie można oszacować ze stuprocentową pewnością, ale na pewno było ich mniej, niż sugerowały pierwsze symulacje przeprowadzane zaraz po katastrofie. Nie mówiąc już o panikarskich artykułach prasowych. Większość z przebywających w strefie skażonej otrzymała stosunkowo niewielkie dawki promieniowania, których skutkiem była, paradoksalnie – poprawa zdrowia. Nie ma w tym nic niezwykłego, teoria hormezy radiacyjnej, mówiąca, że niewielkie dawki promieniowania stymulują układ odpornościowy, jest znana od dawna.

Dlaczego danych Komisji nie upowszechniono? No cóż, nikt nie lubi przyznawać się publicznie, że jest głupkiem, a na pomoc dla ofiar skażenia wydano ogromne kwoty. Część z nich zresztą cierpiała na autentyczne dolegliwości, tyle że wywołane radiofobią. Na



najbardziej skażonych terytoriach Rosji, Ukrainy i Białorusi roczna dawka promieniowania oscylowała wokół jednego milisiwerta. Każdy fachowiec wie, że istnieją na świecie obszary, gdzie naturalne, roczne dawki promieniowania sięgają setek milisiwertów. Kto odważyłby się jednak zabrać ogromnej rzeszy ludzi przyznane wcześniej ulgi, dodatki i renty? Kto wygrałby z robiącymi niesamowity biznes na ochronie antyradiacyjnej potężnymi firmami? No, ale to już stare czasy. Teraz ta kwestia nie ma najmniejszego znaczenia, choć mity dalej funkcjonują.

Przymknąłem oczy i spróbowałem zasnąć. Przez dłuższy czas dryfowałem jedynie na granicy drzemki i wywołanego upałem otępienia, wreszcie zapadłem w sen. Obudziło mnie delikatne dotknięcie – to Farah dawała znać, że czas przystąpić do akcji. Wypełzłem spod płachty i ostrożnie przeczołgałem się na szczyt wzgórza. Około dwudziestu Diableros właśnie urządziło balangę na głównym placu osady, kilkaset metrów przed nami. Słychać było wyraźnie ochryply rechot bandytów i pijackie śpiewy. Muna leżała z przyciśniętą do policzka kolbą karabinu maszynowego z zamontowanym pod lufą granatnikiem. Niemal współczułem Diableros – byli już martwi. Farah zajęła stanowisko tuż obok. Obwiązana materiałem w maskujących kolorach, zaopatrzona w tłumik, lufa rosyjskiego karabinu wyborowego Wychłop, którym zamierzała posłużyć się Słodka, była gruba jak rura od zlewu. Kolejna dziwna zabawka z magazynu pod Tucson. Pozostałe cztery dziewczyny zniknęły, zapewne buszowały już po zabudowaniach. Przynajmniej taki był plan – miały zlikwidować wartowników, zapewnić bezpieczeństwo porwanym kobietom i dać sygnał do ataku. Wyglądało to dość prosto, ale nie wiem, czy ktokolwiek poza Słodkimi mógłby tego dokonać. Diableros byli weteranami.

Jeden z bandytów zarepetował karabin i przeraźliwie wyjąc, zaczął strzelać w powietrze. Najwyraźniej nie narzekali na brak zaopatrzenia. Zakląłem. Nie powiedziałem Słodkim, żeby zostawiły kogoś przy życiu, teraz było za późno. Jeśli zabiją wszystkich, nigdy nie dowiem się, skąd te palanty brały sprzęt i amunicję. Co prawda posiadaliśmy dostęp do kilku magazynów wojskowych, a co za tym idzie ogromnych ilości broni i amunicji, jednak od przybytku głowa nie boli. Spojrzałem niezdecydowanie na Farah, ale po chwili zrezygnowałem. Lepiej nie odbierać dziecku... cukierka. Szczególnie jeśli to dziecko mogłoby wyrazić swoje niezadowolenie w dużo poważniejszy sposób, niż tupiąc nóżkami.

Muna odetchnęła głęboko, na jej twarz wypłynął wyraz rozmarzenia. Farah przywarła do okularu celownika. Dopiero teraz dostrzegłem to co one – na dachach domów otaczających plac pojawiły się trzy dziewczyny. Sięgnąłem po lornetkę, jednak zanim zdążyłem jej użyć, rozległy się dwa wybuchy i kilka krótkich serii.

I było po wszystkim.

Skrzywiłem się. To, co zostało z Diableros, nie wyglądało zbyt apetycznie, szczególnie przez dziesięciokrotnie powiększające szkła.

– Idziemy! – zarządziłem.

Ruszyliśmy, nie zachowując żadnych środków ostrożności. Nie było takiej potrzeby, na pewno nie ocalał żaden z bandytów. Kiedy zabijanie jest przyjemnością, wrogowie mają niewielkie szanse, żeby się ukryć. Skrzywiłem się, obchodząc poszarpane odłamkami i pocięte seriami z broni maszynowej szczątki. Wokół śmierdziało krwią, gównem i prochem.

– Co z jeńcami? – rzuciłem w kierunku stojących na dachu dziewcząt.

Kasja bezszelestnie zeskokczyła na spękaną od słońca ziemię.

– Uratowałyśmy wszystkie, jedna z kobiet jest mocno pobita – zameldowała.

– A co z dzieckiem?

– To sześciolatek chłopiec, chyba wszystko z nim w porządku. – Wzruszyła ramionami.

Słodkie się nie rozczulają, nie potrafią.

– Gdyby je zaprowadzić do Sadržawki – zawiesiła głos. – Byłoby nas dziesięć.

Sadržawką nazywaliśmy szarą chmurę w pobliżu naszej głównej siedziby. Tę szczególną, która zamieniała kobiety w Słodkie, zamiast je ogłupiać. Zawahałem się. Już rok temu opracowałem z dziewczętami plan, który umożliwiał postawienie tamy chaosowi i powszechnemu zdziczeniu. Niestety, jego realizacja wymagała, abym miał na swe usługi więcej Słodkich. Dużo więcej. Do tej pory robiłem to tylko kobietom, które były umierające. Niestety wydłużało to bardzo przygotowania, przecież potrzebowałem rekrutek o określonych parametrach. Wołałem także nie sprawdzać, co by się stało, gdybym umieścił w Sadržawce jakąś staruszkę. Może efektem byłaby Baba-Jaga zamiast technosukkuba...? Tak czy owak, gra była niewarta świeczki, nie zamierzałem dla paru Słodkich zadzierać z Estevezem i jego ludźmi. To było zdecydowanie za mało.

– Odprowadzimy je do domu – stwierdziłem stanowczo.

Kasja ulegle skinęła głową, na jej twarzy błąkał się lekki uśmiezek. Coś było nie tak. Dziewczęta są wielkimi entuzjastkami uczynienia z Arizony Wielkiej Północnoamerykańskiej Strefy Współdobrobytu, jak ironicznie nazwałem swój projekt. Oczywiście nie chodzi im o ratowanie ludzi. Zanim taka strefa powstanie, a i pewnie długo potem, trzeba będzie zabijać, dużo zabijać. Dla Słodkich była to wizja przypominająca raj.

– Mów! – warknąłem. – O co chodzi?

– Jeden z tych bandytów, którzy stali na warcie, powiedział mi ciekawą rzecz.

– Powiedział? – Uniosłem brwi.

– To kwestia motywacji. Zmotywowałam go – wyjaśniła.

Skrzywiłem się nieznacznie. Wołałem nie dopytywać, co ma na myśli. Nie żebym żałował tego Diablero, ale choć widziałem niejedno, mam coraz bardziej delikatny żołądek. Nie było sensu sprawdzać jego wytrzymałości.

– Więc?

– Oni handlują niewolnikami z innymi grupami, poza Arizoną. Niedaleko stąd, na opuszczonej farmie w Kaiva, trzymają prawie pięćdziesiąt osób. Same młode kobiety –

zastanowiła się przez chwilę. – No, a na pewno żadna nie ma więcej niż czterdzieści lat. Pilnuje ich tylko sześciu ludzi.

Przełknąłem ślinę, coś takiego było darem losu, czymś, czego się nie odrzuca. Z drugiej strony, nigdy jeszcze nie skrzywdziłem nikogo, kto na to nie zasłużył. Usiadłem ciężko na ziemi, nie zwracając uwagi na leżące nieopodal zmasakrowane zwłoki bandytów.

– Pięćdziesiąt...

– Pięćdziesiąt młodych kobiet – powtórzyła szeptem Kasja, klękając tuż przy mnie. Jej oczy błyszczały, ale nie naciskała. Wiedziała, że to się nie opłaca, po dwóch latach spędzonych w towarzystwie Słodkich odruchowo sprzeciwiałem się każdemu ich projektowi, który wychodził poza ramy niezobowiązującej propozycji.

– Nie musimy podejmować teraz decyzji – wymruczała. – Przecież i tak trzeba je uwolnić. Potem... Potem zobaczymy.

Miała rację, i tak trzeba było uwolnić te kobiety i zabić pozostałych przy życiu Diablos.

– Pójdziecie tam ty, Muna i Leila. Zabijecie bandytów tylko wtedy, gdy będą stanowili zagrożenie dla jeńców. Jeśli nie stanie się nic nadzwyczajnego, poczekacie na mnie. Nie wolno wam krzywdzić kobiet, ale nie pozwólcie im odejść. Zginą albo znowu zostaną złapane, zanim przejdą pięćdziesiąt kilometrów. Gdyby któraś była pobita czy ranna, macie im udzielić wszelkiej pomocy. Zresztą – wiesz, co robić. Jeśli przekroczycie moje instrukcje, będę niezadowolony, bardzo niezadowolony – ostrzegłem.

Dziewczyna skinęła posłusznie głową, trwający przez kilka tygodni zakaz zabijania lub... folgowania innym przyjemnościom był dla Słodkich surową karą. Bały się go.

Po chwili ruszyłem do szopy, gdzie bandyci przetrzymywali porwanych z misji świętego Ksawerego. Zabezpieczonych potężną kłódką drzwi pilnowała Farah.

– Nie otworzyłyście drzwi? – spytałem ze zdziwieniem. – To skąd wiedziałyście, co z...

– Rozmawialiśmy z nimi, w deskach są szpary. Wolałam nie otwierać, ze względów... bezpieczeństwa.

No tak. Pewnie miały nadzieję, że jednak się zgodzę, aby zaprowadzić więźniarki do Sadowki. Ponagliłem Słodką niecierpliwym gestem. Rozległ się chrzęst stali, kiedy smukłe palce Farah łamały kłódkę, i do pomieszczenia wdarło się światło. W kącie kuliły się trzy kobiety, jedna z nich kurczowo obejmowała dziecko. Czwarta leżała bezwładnie obok. Miała posiniaczoną twarz, podarte ubranie wyjaśniało sytuację. Przesunąłem dłońmi po jej ciele – jęknęła z bólu, ale się nie odsunęła.

– Wyjaśniłam im, kim jesteśmy – powiedziała w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie Farah.

– Dobrze – pochwaliłem Słodką. – Daj morfinę i bandaż, ma złamane ze dwa zębra.

Obandażowałem klatkę piersiową pobitej kobiety i podałem jej środek przeciwbólowy. Wyglądało na to, że sam fakt, iż ktoś się o nią zatroszczył, przyniósł jej ulgę. Przestała jęczeć,

zaczęła spokojniej oddychać. Zresztą, założony przeze mnie opatrunek siłą rzeczy wymuszał głębokie, przeponowe oddychanie.

– Czy ona przeżyje? – spytała nieśmiało jedna z pozostałych więźniarek.

Miała zniechęconą, bladą twarz, drżały jej ręce.

– Powinna – odparłem. – Opatrunek, który jej założyłem, ułatwi oddychanie i zapobiegnie przemieszczaniu się złamanych żeber. W tym samym celu podamy jej leki przeciwkaszlowe. Morfiny też nam wystarczy, więc nie będzie cierpieć.

Odruchowo odgarnąłem włosy z czoła swojej pacjentki, podniosłem jej powieki, oglądając źrenice, zmierzyłem tętno. Wszystko było w normie.

– Zatem jutro ruszymy do misji.

– Odprowadzicie nas do obozu? – wyjąkała.

– Jeśli wolicie wracać same...

Skuliła się, jakbym ją uderzył.

– Przepraszam – powiedziałem ze skrucą. Głupi żart. – Oczywiście, że was odprowadzimy, obiecałem to Estevezowi.

– Zna pan pułkownika?

Przytaknąłem ruchem głowy.

– A teraz wyjdźcie z tej szopy – zarządziłem. – W budynku naprzeciwko Słodkie zorganizują wam kąpiel i jakieś jedzenie, nie oddalajcie się nigdzie same.

– Słodkie? – spytała.

– Moje towarzyszki – wyjaśniłem.

Kiedy opuszczałem szopę, czułem na plecach ich pytający wzrok.

\* \* \*

Z westchnieniem wyjąłem z podgrzewacza główne danie wchodzące w skład standardowej, amerykańskiej racji żywnościowej typu MRE i bez entuzjazmu zacząłem przeżuwać. Tym razem był to kurczak w sosie, z makaronem. Zestaw numer 21. Farah przepraszająco rozłożyła ręce. Nie było czasu ani możliwości przyrządzenia lepszego posiłku. Wzruszyłem ramionami – mówi się trudno.

Fatin karmiła ostrożnie leżącą na zaimprovizowanych noszach kobietę. Trzy pozostałe i dzieciak posilali się łączywie, jakby nie jedli od kilkudziesięciu godzin. Znając Diableros, prawdopodobnie tak było.

– Jak się nazywasz? – zwróciłem się do młodej dziewczyny dzielącej się posiłkiem z zabiedzonym sześciolatkiem.

Wyglądała najbardziej przytomnie z porwanych przez bandytów kobiet. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie jest to spowodowane tym, że ci nie zdążyli się do niej dobrać, jednak odrzuciłem tę hipotezę. Zapewne była po prostu odporniejsza od pozostałych.

– Kiara, Kiara Shawn, sir.

Widać było, że jest przestraszona, ale nadal myśli logicznie, bada sytuację, w jakiej się znalazła. Kilkakrotnie zauważyłem, jak jej spojrzenie prześlizguje się po mojej twarzy, omiata pomieszczenie, zatrzymuje się na Słodkich. Inne kobiety nie ośmielały się podnosić wzroku. Powstrzymałem ją ruchem dłoni, kiedy chciała oddać malcowi swoje krakersy. Wcześniej podzieliliśmy jeden zestaw na dwie osoby. Oczywiście chodziło o naszych gości, my jedliśmy normalnie.

– Zjedz je sama – rozkazałem. – Inaczej dzieciak zachoruje. Kiedy ostatnio was nakarmili?

– Trzy dni temu.

– Zjedz – powtórzyłem, widząc, jak spogląda niepewnie na trzymane w ręku ciastka. – Za godzinę dostaniecie następny posiłek, a potem jeszcze jeden. Wystarczy dla wszystkich – zapewniłem z uśmiechem. – Chcę jutro wyruszyć do misji, a jak mi się pochorujecie...

Malec spojrział żałośnie na chrupiącą przysmak opiekunkę. Roześmiałem się i podałem mu tubkę skondensowanego mleka z zestawu jednej z dziewcząt.

– Od tego chyba nic mu nie będzie.

Popatrzyła na mnie z wdzięcznością. Chłopiec wycisnął większość tubki i po chwili podał jej resztę. Uniosłem ze zdziwieniem brwi.

– To twój syn? – spytałem z niedowierzaniem.

Wyglądała najwyżej na osiemnaście lat.

– Brat – odparła, przygarniając go opiekuńczym ruchem.

W jej oczach ponownie pojawił się strach.

– Farah?

– Tak?

Słodka odłożyła rozbabrany posiłek, jak zwykle zjadła niewiele.

– Zajmij się wszystkim. – Wykonałem nieokreślony gest. – Ja idę spać.

Moszcząc się w śpiworze, piętro wyżej, myślałem o ocalonych przez nas kobietach i dziecku. Czy kiedykolwiek dojdą do siebie? Wątpiłem w to. Jednak przeżyli. Możliwe, że kiedyś, gdy zrealizuję swoje plany, słabi będą mogli czuć się bezpiecznie. Może. A może i nie.

\* \* \*

Do misji świętego Ksawerego dotarliśmy dopiero po paru dniach. Chłopiec i chora spowalniali marsz, a ja miałem tylko trzy Słodkie. Dwie niosły pobitą kobietę. Maluchem opiekowała się jego siostra – Kiara. Zdarzało się, że go niosła. Czasem jej pomagałem. Nie mógł przejść więcej niż kilometr bez odpoczynku. Nie dziwiłem się, ten upał wysysał całą energię z dużo silniejszych od niego. Chłopak był dzielny, nie skarżył się. Temu też się nie

dziwiłem. Świat, w którym żyliśmy, zamieniał ludzi w gówno albo stal – innej możliwości nie było.

Trzecia Słodka stanowiła zwiad naszej niewielkiej karawany. Wyprzedzała nas obciążona tylko bronią, wypatrywała niebezpieczeństwa. Do celu podróży doszliśmy bez przeszkód, jednak na pół kilometra przed zabudowaniami zatrzymaliśmy się na ostatni postój. Kobiety i malec odpoczywali, ja i Słodkie założyliśmy kamizelki kuloodporne. Model Dragon Skin – tuż przed apokalipsą ostatni krzyk mody militarnej. Kiara obserwowała mnie ukradkiem, wreszcie nie wytrzymała.

– Myślisz panie, że coś wam grozi w naszej bazie? – spytała nieśmiało.

– Nie wiem – odburknąłem, mocując się z opornym zapięciem. – Dlatego to zakładam.

– Nie rozumiem...

– Nic dziwnego – westchnąłem. – Wiesz, dlaczego zostałyście porwane?

Pokręciła głową.

– Byłyście nieostrożne. Nie przewidziałyście zagrożenia. Kiedy się pojawiło, nie wiedziałyście, jak reagować. Ja nie ryzykuję, to wszystko. Nie przypuszczam, żeby pułkownik Estevez był moim wrogiem, ale gdybym się jednak mylił – wzruszyłem ramionami.

Na szczycie dzwonnicy dziewiętnastowiecznego kościoła, zbudowanego pod wyraźnym wpływem architektury hiszpańskiej, dostrzegłem błysk metalu. Przy bramie stało kilku wartowników. Miałem nadzieję, że to tylko rutynowe środki bezpieczeństwa. Ruchem dłoni ponagliłem kobiety – razem z chłopcem skierowały się w stronę strażników. Ja i Słodkie podążaliśmy nieco z tyłu. Obyło się bez niespodzianek, przy wejściu czekał na mnie Estevez.

– Dotrzymał pan słowa, dziękuję – powiedział, jak mi się zdawało, z lekkim zdumieniem w głosie.

– Ma pan tu jakieś biuro? Pomieszczenie, gdzie moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy? – spytałem.

– Oczywiście, proszę za mną.

Na plac między zabudowaniami wyległo chyba z kilkaset osób, przypatrywali się w milczeniu mnie i Słodkim. Nastawienie tłumu nie było nieprzyjazne, ale trudno też mówić o jakiejś euforii, mimo iż uratowałem porwanych. Ech, wdzięczność ludzka.

Estevez otworzył drzwi dawnej zakrystii i zaprosił mnie gestem.

– Tu jest najchłodniej – wyjaśnił. – Grube mury.

Skinałem głowę i wszedłem do środka, dziewczęta zostały na zewnątrz – taka mała asekuracja.

– Chciałbym jeszcze raz podziękować – zaczął niepewnie pułkownik, kiedy siedliśmy za prostym pustym stołem.

– Przejdźmy do rzeczy – przerwałem mu szorstko. – Nie potrzebuję podziękowań, potrzebuję pańskiej zgody na pewien projekt, być może ekspertyzy.

– Ekspertyzy?

– Jest pan wyszkolonym oficerem, ja nie, a rzecz dotyczy kontroli obszaru, kontroli w sensie wojskowym.

Zaskoczyłem go wyraźnie.

– Myślałem, że także był pan w wojsku, pańskie sukcesy...

– Moje sukcesy są na równi efektem szczęścia, dobrej pamięci, jak i również działań Słodkich – przerwałem mu ponownie. – Znam swoje ograniczenia.

– Słucham – powiedział, patrząc na mnie z napięciem.

Najwyraźniej go zainteresowałem.

– Na terenie dawnej Arizony panuje burdel – stwierdziłem. – Nikt nie kontroluje sytuacji. Bandyci, włóczędzy, dziczące, często wściekłe zwierzęta, brak elementarnej opieki medycznej – tak wygląda codzienność. Takich obozowisk jak pańskie, pułkownika, jest kilkadziesiąt. Do tego setki, może tysiące pomniejszych skupisk ludzkich, resztki ludności w miastach. Nie ma poczucia bezpieczeństwa. Nie ma jakiegokolwiek władzy. Nie ma nadziei. Podstawowym problemem jest brak broni i sprzętu, a także wyszkolonych w ich użyciu ludzi. Większość magazynów wojskowych była rozmieszczona na terenie baz, a te zostały zaatakowane bronią atomową lub NNEMP. Dostępu do nich bronią teraz strefy silnego promieniowania lub szare chmury. Braku przeszkolonych ludzi też się nie przeskoczy, większość żołnierzy zginęła razem ze swoimi jednostkami.

Umilkłem na chwilę, zapatrzyłem się w ceglana posadzkę.

– Do tej pory, zgoda – odchrząknął Estevez. – To dobra analiza.

– Gdybym przejął władzę – powiedziałem z namysłem. – Nie, nie siłą – dorzuciłem szybko, widząc minę oficera. – Ale... Po prostu nie ma innej opcji. Ktoś musi rządzić, demokracja jest w tym momencie z różnych przyczyn wykluczona. Przede wszystkim dlatego, że główną siłą nowego porządku byłyby moje towarzyszyki. One nie będą słuchać rozkazów gremium decyzyjnego. Tylko moich, albo wyznaczonych przeze mnie dowódców. Niech mi pan wierzy, nie chodzi mi o jakąś dyktaturę, jednak...

– Kim one są? – teraz on mi przerwał.

Facet miał jaja, to mu musiałem przyznać. No i głowę na karku, od razu zadał kluczowe pytanie.

– Nie wiem – odparłem szczerze. – Mogę się tylko domyślać. Bezpośrednio są produktem naszej postapokaliptycznej rzeczywistości, szczegółów panu nie podam. Sęk w tym, że momentami wydaje mi się, że jest w tym coś więcej, dużo więcej... Słyszał pan o kobiecych demonach? O sukkubach?

Kiwnął potakująco.

– Jestem, a raczej byłem wojskowym, ale to nie znaczy, że czytam tylko regulaminy.

– Według źródeł sukkuby mają tylko dwa pragnienia: chcą się kochać i zabijać, dokładnie tak jak moje dziewczyny. Z drugiej strony, przez dwa lata ani razu nie zdarzyło się, żeby nie wykonały mojego polecenia.

– To ma mnie pocieszyć? – parsknął Estevez. – Mimo wszystko pozostałem chrześcijaninem, wierzę w zło absolutne. A te pańskie dziewczęta mnie przerażają. I nie jest to strach przed śmiercią...

– A więc niech pan podejmie decyzję, pułkowniku. Albo się nimi posłużymy, by wprowadzić odrobinę ładu w ten chaos, który nas otacza, a będzie to bardzo niebezpieczne, choćby właśnie ze względu na nie. Albo... – westchnąłem, zawieszając głos.

– Albo? – ponaglił.

Wzruszyłem ramionami.

– Możemy nic nie robić. Wróć do swojej bazy, zjem niezły posiłek i spędzę noc z kilkoma pięknymi kobietami. Czasem może uratuję nawet jakiegoś nieszczęśnika. Moja dusza będzie bezpieczna, pańska dusza będzie bezpieczna. A świat – świat zostanie taki, jaki jest.

Rozparłem się wygodnie na krzesło i wyjąłem z wewnętrznej kieszeni piersiówkę napełnioną szesnastoletnią whisky Bushmills. Niedawno Słodkie wyszabrowały dwie butelki z jakiegoś sklepu. Pociągnąłem kilka łyków i podałem Estevezowi. Napił się z przyjemnością, ale widać było, że nie może przestać myśleć o tym, co usłyszał.

– Zdaje się pan na mnie? – wyjąkał.

– Dokładnie – potwierdziłem. – Chcę ten pomysł poddać osądowi kogoś, komu ufam. Kto, na swój sposób, próbował zrobić to co ja – ograniczyć chaos. Być może dziewczyny nadmiernie wpłynęły na moją opinię, a pan jest na razie bezstronny.

– Na razie?!

– Nie zna pan Słodkich. Gdyby się za pana wzięły...

– Nigdy nie myślałem kutasem! – warknął.

Zamiast odpowiedzi uchyliłem drzwi i wezwałem Farah.

– Siądź naprzeciwko niego – rozkazałem. – Masz być miła dla pułkownika, ale nie wolno ci zejść z tego krzesła.

Przytaknęła posłusznie, odłożyła broń. Wyszedłem na zewnątrz, wpadając pod obuch okrutnego, lejącego się z nieba żaru. Estevez został w cieniu. W chłodnym pokoju z piękną kobietą, która nie ruszy się z miejsca, jakie jej wyznaczyłem. Nie będzie go nawet kokietować – nie istniał dla niej jako mężczyzna.

Jednak samą swoją obecnością sprawi, że świat zamieni się dla niego w piekło niezaspokojonych pragnień, których nie odważy się nazwać, i marzeń, które nigdy się nie spełnią. Niech patrzy na jej twarz – przy niej oblicza hollywoodzkich piękności wydają się prostackie i plastikowe jak buzie tanich lalek. Niech zastanawia się, jak nazwać odcień jej skóry – kiedy odgarnie niedbałym ruchem włosy, zostawiając na policzku smugę karabinowego smaru. Niech trwa w rozpacz, nie znajdując słów na określenie piękna ruchu



jej dłoni. Niechaj wdycha jej zapach. Zmysłowy zapach namiętności, woń wiecznie gotowej do miłości kobiety, woń przemieszana z aromatem przedludzkiej tajemnicy. Niech zmierzy się z Lilith.

Wróciłem po pięciu minutach. Estevez siedział za stołem z szarą jak popiół twarzą. Mimo panującego w dawnej zakrystii chłodu, pot spływał mu po szyi, wsiąkał w kołnierz munduru. Wydawało się, że pułkownik zatopił spojrzenie w oczach Farah. Pełnych blasku, kuszących niewypowiedzianą obietnicą. A może jego wzrok ześlizgnął się na smukłą szyję, zatrzymał na delikatnej, błękitnej nitce tętnicy lub łańcuszku nieśmiertelnika? Dziewczyny uwielbiały nieśmiertelniki, być może dlatego, że w kontraście z ich oszalamiającą urodą sprawiały dziwnie perwersyjne wrażenie. Odprawiłem Słodką stanowczym gestem. Wychodząc – zachichotała jak dziewczynka.

– Teraz pan wie – mruknąłem, ponownie podając mu piersiówkę.

– Wiem – wyszeptał. – Jeszcze chwila, a podszedłbym do niej, by dotknąć... doskonałości, nawet za cenę życia.

– Gdybyż tu chodziło tylko o doskonałość – westchnąłem smętnie. – Jeszcze kilka minut i uwierzyłby pan, że ona istnieje tylko dla pana. Teraz już pan wie, dlaczego tylko ja mogę wydawać im rozkazy. Jestem nieco uodporniony.

– Więc gdzie to niebezpieczeństwo? – Oficer otrząsnął się z transu.

– Estevez... Niech pan nie będzie idiotą. Wiem, jak to wygląda: „gromada posłusznych na każde skinienie seksualnych niewolnic i zabójczyń”. Ale to bzdura. To nie jest spełniony sen *macho*. Jestem jak bokser, który przyjmuje ciosy na gardę. Nie można tak bronić się w nieskończoność, a atakować nie mam jak. Prędzej czy później moja determinacja osłabnie i...

– I? – podchwycił.

– Nie wiem. Może ja zacznę wykonywać rozkazy Słodkich? Może skuszą mnie do czegoś, co mnie zabije?

Siedzieliśmy przez dłuższą chwilę w milczeniu. Czekałem na odpowiedź Esteveza. Z niemal stuprocentową pewnością wiedziałem, co zrobi, dla kogoś o jego charakterze nie było innej możliwości, ale chciałem, żeby to powiedział, ubrał w słowa. Kiedy podjął decyzję, nie silił się na uroczyste deklaracje.

– Dobra, kurwa. Co mam robić?

\* \* \*

Podążaliśmy pospiesznie do Kaiva. Miałem nadzieję, że dziewczyny kontrolowały sytuację i przetrzymywanym tam kobietom nic się nie stało. Tym razem kierowały mną nie tylko motywy humanitarne, miałem zamiar rozpocząć budowę Północnoamerykańskiej Strefy Współdobrobytu. Estevez nie był jedynym dowódcą, który zgłosił akces do mojego projektu. Jednak nie udawałem, mówiąc, jak dużą wagę przywiązuję do jego zdania. Jak nikt inny

nadawał się na mojego zastępcę. No i powinien dać sobie radę z dziewczętami. Chciałem, by pozostając pod rozkazami lokalnych przywódców, patrolowały teren i ściągały zaopatrzenie. Może za jakiś czas otworzę pierwszy szpital, a bandyci dojdą do wniosku, że niezdrowo jest grasować w Arizonie?

Uśmiechnąłem się mimo woli, kiedy przypominałem sobie, jak pułkownik zareagował na informację, że będzie musiał osobiście zająć się potrzebami Słodkich. Tymi niezwiązanymi z zabijaniem. No nic, da sobie radę, będzie musiał. Jego inteligencja, sceptycyzm i wiara będą tarczą, którą przeciwstawi technosukkubom. Odgrodzi się od ich czaru. Oczywiście żadna tarcza nie chroni w nieskończoność, a na tę jego – już po kilku godzinach przebywania ze Słodkimi – spadną ciężkie ciosy. Ale nic nie trwa wiecznie. Wszystko się kiedyś kończy, przede wszystkim życie. I nie każdy może umrzeć z rozkoszy...

Kaiva to niewielka osada w dawnym rezerwacie indiańskim. Zamierzałem podejść do niej ostrożnie, Diablos ciągle mogli mieć wystawione warty, bo dziewczyny miały atakować tylko w razie zagrożenia życia jeńców. Ale rzut oka przez lornetkę spowodował, że zmieniłem plany. Z ciężkim westchnieniem ruszyłem naprzód środkiem autostrady. Nie było potrzeby, aby się ukrywać – wszyscy bandyci wisieli na słupach telegraficznych tuż przed wjazdem do miasteczka. Słodkie się zabawily. I tak dobrze, że bez ekstrawagancji. Kiedyś wysłałem Munę, żeby skończyła z grupą gwałcicieli grasujących w Tucson. Zabiła wszystkich, ułożyła ciała przed ratuszem, a za pomocą ich wnętrzności ułożyła napis: MAMUSIA BY CIĘ ZA TO SKRZYCZAŁA. O ile wiem, od tamtej pory nie odnotowano w Tucson żadnych gwałtów. Wyszły z mody – gwałtownie. W zasadzie od początku wiedziałem, że szanse na to, iż zastanę Diablos przy życiu, są niewielkie, nie wzruszał mnie też ich los – zasłużyli nań po wielokroć. Jednak nie mogłem się przyzwyczaić do nonszalancji, z jaką dziewczęta rozdawały śmierć. To było nieludzkie.

U wylotu głównej ulicy powitała nas Kasja. Dwie przecznice dalej znajdowało się prowizoryczne obozowisko, w którym ujrzałem dziesiątki kobiet – przynajmniej im nic się nie stało. Wszystkie wstały na mój widok, na wielu twarzach odmalował się paniczny strach, wyglądało na to, że mężczyźni nie cieszą się tu specjalnym zaufaniem.

– Bez obaw, moje panie – powiedziałem uspokajająco. – Jesteście całkowicie bezpieczne. Odpoczywajcie na razie, jutro wyruszymy do naszej bazy. Tam złożymy wam pewną propozycję. Te z was, które ją przyjmą, zostaną z nami, reszta będzie mogła odejść, gdzie zechce.

– Mamy pracować w burdelu? – odezwała się wojowniczo niewysoka, krępa dziewczyna. Na oko nie miała więcej niż dwadzieścia lat.

Mimo woli parsknąłem śmiechem.

– W pięćdziesiąt bab? A gdzie bym znalazł tylu klientów?

Zagryzła ze złością wargi, trafiłem w dziesiątkę. Pomysł był tak absurdalny, że aż śmieszny. Panienska wyglądała mi na niezłą megierę, przypuszczałem, że postanowiła

wykorzystać sytuację i przejąć dowodzenie nad grupą uwolnionych kobiet. Nie mogłem w żadnym wypadku na to pozwolić.

– Haremik? – prowokowała nadal.

– Drogie dziecko, masz kłopoty ze wzrokiem? – spytałem z obłudnym uśmiechem. – Naprawdę myślisz, że jestem niezaspokojony – przy nich? – ruchem głowy wskazałem Słodkie.

Muna zamruczała z zadowoleniem, otarła się o mnie jak kotka. Seksualny podtekst jej gestu nie ulegał wątpliwości, znowu zaliczyłem trafienie. W tłumie rozszedł się szmer rozbawienia, megiera wyraźnie traciła punkty.

– Chcemy dostać broń – sięgnęła po ostatni argument.

Aprobujący pomruk świadczył, że nie tylko ona o tym myślała. To był dobry chwyt, broń dałaby im poczucie bezpieczeństwa, jednak nie mogłem się na to zgodzić. One nie miały czuć się bezpiecznie.

– Jak się nazywasz? – spytałem.

– Gloria – warknęła. – Nazwiska nie musisz znać... Sędzio.

No tak. Znowu próba sił. Jeśli odpuszczę, dziewczucha zyska poplecniczki.

– Daj jej pistolet – zwróciłem się do Farah.

Słodka wyjęła glocka z kabury na udzie i podała rękojęcią do przodu.

– Chcemy broni dla wszystkich – zażądała Gloria tryumfalnym tonem.

Pokręciłem głową z krzywym uśmiechem.

– Broń mogą mieć jedynie ci, którzy potrafią się nią posługiwać – powiedziałem. – Inni stanowią zagrożenie. Zróbcie trochę miejsca! – zawołałem.

Kobiety cofnęły się, tworząc krąg. Wewnątrz została tylko niedoszła przywódczyni.

– Wyrzucę teraz w górę monetę, spróbuj ją trafić.

Nie dając jej czasu na zastanowienie, cisnąłem wysoko noszonego na szczęście srebrnego dolara z dziewiętnastego wieku. Zanim moneta spadła na ziemię, dziewczucha wystrzeliła dwa razy, dwukrotnie pudłując. Muna wyjęła jej delikatnie pistolet z dłoni, stanęła w gotowości.

– Schowaj broń do kabury i odwróć się plecami – poleciłem.

Słodka posłusznie wykonała rozkaz.

– Teraz! – krzyknąłem, ponownie rzucając monetę, tym razem już zwykłą ćwierćdolarówkę.

Niemal nieuchwytnym skrzętem Muna zwróciła się w stronę celu – i wystrzeliła, w lekkim przysiadzie.

– Ktoś chce obejrzeć z bliska? – spytałem, podnosząc pokiereszowaną monetę.

Nie było chętnych, wszyscy widzieli, jak pieniążek podskoczył w powietrzu.

– Nie dostaniesz broni – zwróciłem się do Glorii. – Z oczywistego powodu: jesteś w tym kiepska.

Zacisnęła usta, jej policzki poczerwieniały, ale nie odezwała się słowem. Być może zaczęła wreszcie myśleć, wyciągać wnioski.

Sprawa była prosta – wszystkie znajdowały się na mojej łasce.

\* \* \*

Dotarliśmy do bazy dwa tygodnie później, dziw, że nie potrwało to kilka razy dłużej. Kobiety były leniwe, marudne, kłóciły się między sobą, a nawet wdawały w bójkę. Zaczynałem rozumieć, dlaczego prowadzący karawany niewolników handlarze byli tacy brutalni. Szczerze mówiąc, niewiele mi brakowało do takiego stanu. W dodatku miałem problemy z wykarmieniem sporej w końcu gromadki, na szczęście moje podopieczne nie były wybredne. Wystarczyły im standardowe racje wojskowe, a tych miałem pod dostatkiem, pochowanych w różnych miejscach na trasie. Niemniej, kiedy wreszcie dobrnęliśmy do celu, moje westchnienie ulgi słycać było daleko.

Zanim zabrałem się za wyjaśnianie sytuacji, dałem im parę dni oddechu. Chciałem, żeby odpoczęły i zaznały trochę wygód. Zapewne, w porównaniu z warunkami, w jakich mieszkwały dotychczas, nasza enklawa stanowiła raj. Słodkie polowały, więc mieliśmy świeże mięso, owoców i warzyw dostarczały pobliskie tereny uprawne. W barakach, w których zakwaterowałem kobiety, była nawet bieżąca woda.

Przed wojną to miejsce stanowiło siedzibę jakiejś sekty wierzącej w apokalipsę; przygotowali się na wszystko, mieli nawet bunkry przeciwoatomowe, z zapasami jedzenia i wody na dwa lata. Jednak zabrakło im szczęścia – kiedy zebrał się na modły, nad ich posiadłością przelatywało właśnie kilka śmigłowców szturmowych. Świr stojący na warcie wziął to za przejaw agresji ze strony faszystowskiego rządu i zaczął strzelać. Ponieważ trwała wojna, zaatakowane maszyny odpowiedziały ogniem z sześciolufowych działek Gatlinga i odpaliły kilka rakiet. Jedna z nich trafiła w kościółek sekty, uratowały się tylko jakieś niedobitki. Ale po wszystkim ci, którzy ocaleli, i tak nie mieli tu już czego szukać. Całą historię opowiedział mi jeden z pilotów, dawno temu. Postanowiłem odszukać to miejsce – i nie zawiodłem się, idealnie nadawało się na siedzibę.

Stanąłem przed lustrem i strzepnąłem niemal niewidoczny pyłek z kołnierza munduru. Dałem znak Farah. Dziś był ten dzień. Nadszedł czas na ostateczną rozgrywkę.

Słodka poszła zebrać kobiety. Poruszyłem ramionami, by wyczuć, czy kamizelka taktyczna dobrze leży, sprawdziłem, czy pistolet wychodzi gładko z umieszczonej na piersi kabury. Wszedłem na główny plac.

– Drogie panie – zagałem z uśmiechem. – Jak obiecałem, przedstawię wam pewną propozycję. Zapoznaliście się już nieco z możliwościami moich towarzyszek. Jak mogłyście przekonać się same, są imponujące. Jednak każda z nich, przed przemianą, była zwykłą dziewczyną, tak jak wy. Zmieniła je szara chmura.

Rozległ się szmer przerażenia. Kilkanaście kobiet odruchowo cofnęło się.

– Specyficzna szara chmura – uzupełniłem, przekrzykując gwar. – Jest tylko jedna taka, właśnie tu, w naszej bazie. Być może domyślacie się już, co chcę wam zaproponować. Tak, chodzi o przemianę, o to, byście stały się takie jak one. Oczywiście, nie będę nalegał, tym, którym mój zamysł nie będzie odpowiadał, pozwolę odejść. Dam broń i żywność na drogę.

– Mamy stać się twoimi zabaweczkami?! – wrzasnęła któraś.

No tak, moja serdeczna przyjaciółka Gloria.

– Owszem, wydaję im rozkazy – przyznałem. – Będę też wydawał je tym z was, które przejdą przemianę. Powody takiego stanu rzeczy są dość skomplikowane, nie będę ich teraz wyjaśniał, jednak czy możecie mi zarzucić, że źle traktuję Słodkie?

Zamilkły. Troszczyłem się o dziewczyny, to było widać.

– Zabaweczki? Może i tak, do pewnego stopnia, jednak ja także jestem ich zabaweczką...

Rozległy się nerwowe śmiechy, to także była prawda.

– Jednak pytanie Glorii jest zasadne, sprowadza się do podstawowej kwestii – co będziecie z tego miały.

Zacieśniły krąg wokół mnie, już się nie bały. Skinąłem na Munę i Słodką zaczęła się rozbierać. Po chwili stanęła naga na środku placu.

– Podejdźcie – zachęciłem. – Zobaczcie z bliska, jak wygląda. Przed przemianą była brzydką, chudą okularnicą pod czterdziestkę. Teraz... Same widzicie. Jeszcze jedno – przez czas, jaki jest ze mną, nie postarzała się ani trochę, nie przybyła jej ani jedna zmarszczka, przemiana na pewno wywołuje długowieczność, być może nawet więcej...

– Co to znaczy: więcej? – spytała drobna, szczupła blondynka.

– Nie chcę was oszukiwać, jednak wydaje się, że przemiana może dawać nie tylko urodę, ale i wieczną młodość, a przynajmniej długowieczność. Stan bez chorób i starzenia się. – Wzruszyłem ramionami. – Same oceńcie.

Teraz je miałem. Widziałem to po płonących oczach, nerwowych ruchach. Wiele kobiet podeszło blisko Muni, szukając skaz i niedoskonałości – nie znalazły ani jednej.

– One są nieśmiertelne? – blondynka otworzyła szeroko oczy.

– Nie jestem pewien – odparłem. – Z pewnością jednak można je zabić. Rok temu straciłem jedną Słodką, była zbyt samodzielna. Między innymi dlatego ja wydaję rozkazy. Jestem zwykłym człowiekiem, Słodkie – nie. One niczego się nie boją, a to nie zawsze jest zaletą.

Po twarzach kobiet poznałem, że zarobiłem kolejny punkt, zapewne już nawet nie pamiętały, jak to jest żyć w poczuciu bezpieczeństwa.

– Więc wystarczy, że wejdziemy w to – przysadzista, nie pierwszej młodości niewiasta wskazała na opatrzone stosownymi napisami ogrodzenie.

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Nie wiem, jak ta przemiana wpłynie na waszą pamięć, psychikę. Czy pozostaniecie po niej takie same. Czy raczej wiem – nie zostaniecie, nie do końca... Czy to nie zbyt duża cena, żeby pozbyć się wreszcie strachu? Nie wiem. Nie do mnie należy decyzja. Proponuję, aby najpierw spróbowała jedna z was. Kiedy wyjdzie, pozostałe zyskają pewność, ułatwi im to wybór.

Popatrzyły po sobie w milczeniu. Wreszcie jedna skierowała się do bramy wiodącej na teren zajęty przez szarą chmurę. Nie wyróżniała się niczym szczególnym, ale na jej twarzy zastylł grymas goryczy. Zapewne życie jej nie oszczędzało.

– Chwileczkę – powiedziałem. – Rozbierz się przed wejściem.

Po chwili wahania zrzuciła ubranie i zniknęła za potężnymi, drewnianymi wrotami.

– Usiądźmy, poczekajmy – zaproponowałem.

Słodkie ustawiły mi wygodny fotel, rozpięły nad głową markizę. Kasja sprzątnęła znoszone, porzucone przy wejściu do strefy łachy, przyniosła nowiutki mundur.

– Ona wyjdzie za jakieś pół godziny, może czterdzieści minut – poinformowałem siedzącą na ziemi kobiety.

Wszystkie wpatrzono w bramę. Nie miałem zamiaru ich informować, po co ogrodziłem teren. Niech sobie myślą, że chodzi o względy bezpieczeństwa. W rzeczywistości proces przemiany był tak ohydny, że nie miałem zamiaru pozwolić im tego oglądać. Dopasowywane do ideału ciało pozbywało się zbędnego balastu wszelkimi sposobami. Krwawienie, torsje, biegunka. Za ogrodzeniem przepływał niewielki strumyk, dzięki temu przed wyjściem każda Słodka mogła doprowadzić się do porządku. Ta, która teraz podlegała przemianie, na pewno zrobi to samo – Słodkie miały obsesję na punkcie czystości. Dzięki temu moje nowe rekrutki się nie wystraszą.

Kiedy wyszła, tłum odruchowo się cofnął. Stała przede mną jeszcze mokra po kąpieli, krople wody spływały po szyi i piersiach, kapiąc z wolna, podkreślały idealny łuk bioder, przyciągały wzrok do smukłych ud... Słodka klękła przede mną, pochyliła głowę.

– Nazywaj mnie Nur – powiedziała szeptem, który doprowadziłby niejednego na skraj szaleństwa.

– Bądź pozdrowiona – odparłem cicho. – Świat pojaśniał, kiedy się pojawiłaś...

Odpowiedziała uśmiechem, który niemal złamał mi serce. „Nur” po arabsku znaczy „światło”. Ubrała się oszczędnymi, pełnymi wdzięku ruchami, po czym stanęła za moim fotelem. Gotowa służyć, kochać, zabijać.

Kiedy Muna otworzyła bramę, kobiety powoli, spoglądając na siebie niepewnie – ruszyły do strefy. Jednak nie wszystkie – na placu została Gloria w towarzystwie dwóch akolitek. Westchnąłem. To się musiało tak skończyć.

– Chcemy broń i żywność, natychmiast! – wycodziła. – Pamiętaj, co obiecałeś!

– Pamiętam. – Rozmasowałem znużonym gestem twarz. – Jednak nie powiedziałem, kiedy pozwolę wam odejść, prawda?

Poczerwieniała z wściekłości, wymamrotała coś pod nosem, podejrzewam, że nie było to błogosławieństwo. Przez chwilę wpatrywała się we mnie z czystą, kliniczną nienawiścią. Nie musiałem być telepatą, żeby odczytać jej myśli – chciała tu wrócić w towarzystwie i zemścić się za okazane jej lekceważenie. Za to, że nie pozwoliłem jej przejąć rządów w grupie. Dla takich jak ona cel uświęcał środki, gdybym rozumował podobnie, Słodkie kopałyby teraz zbiorowy grób. Jednak wiedziała, że mój... humanitaryzm ma swoje granice. Ktoś, kto tak jak ja przeżył kilka lat w postapokaliptycznym piekle, nie mógł być przesadnie czułościowy. Rozumiała, że jeśli mi zagrozi – zginie.

Wreszcie zaczęła zrzucać ubranie, ponagliła warknięciem towarzyszek. Rozebrała się tylko jedna z nich.

– Pogadamy, jak się przemienię – wyszczała. – Przypomnę ci wtedy to i owo.

Uśmiechnąłem się, patrząc, jak znikają za bramą. Nie bałem się jej pogrozek. Mimo że Słodkie zachowywały większość wspomnień, nie traktowały ich jak ludzie. Nie identyfikowały się z osobą, którą były przed wejściem w szarą chmurę. No i przysięgały posłuszeństwo pierwszemu mężczyźnie, jakiego napotykały po przemianie. Do tej pory żadna z dziewcząt nie złamała tej obietnicy...

Spojrzałem na pozostałą na placu kobietę. Siedziała skulona na ziemi, obejmując się rękoma.

– Za jakiś czas naprawdę pozwolę ci odejść – obiecałem łagodnym tonem. – Kiedy już nie będziesz stanowić dla mnie zagrożenia.

– Co się ze mną stanie?

– Tymczasem? Nic specjalnego, będziesz robić to, co robiłaś do tej pory, cokolwiek to było – wzruszyłem ramionami.

Poszarzała na twarzy, zadrżała.

– Nie miałem na myśli tego, do czego zmuszali cię Diablos – zapewniłem ją pospiesznie. – Chodzi o zwykłe, codzienne czynności. Znasz się na czymś konkretnym?

– Jestem kucharką...

– Znakomicie! – klasnąłem w dłonie. – Kogoś takiego nam właśnie brakowało.

Wyglądało na to, że nieco się odprężyła. Westchnąłem – może kiedyś nauczy się mi ufać. Mimo że byłem mężczyzną.

– Skąd wiedziałeś, że większość z nich dobrowolnie wejdzie w chmurę? – głos Farah przywołał mnie do rzeczywistości.

– Ze starych dokumentów.

Dziewczyna pytająco uniosła brwi.

– Z notatek robionych przez inkwizytorów wynika, że to głównie kobiety zajmowały się czarną magią, zawierały pakt z szatanem. Nie mówię, że to działało, ale one święcie wierzyły, że jeśli się zasłużą, książkę ciemności spełni ich pragnienia.

– Jakie pragnienia?

– Wieczna młodość, uroda, śmierć rywalek, czasem krem przeciwzmarszczkowy... Nie, nie żartuję – zapewniłem, widząc jej niedowierzające spojrzenie. – Tak było. Nie miały żadnych hamulców, składały nawet ofiary z ludzi. Dlatego pomyślałem sobie, że jeśli zaoferuję im z grubsza to samo, to ulegną...

– I miałeś rację, panie – wymruczała Farah. – Jak zwykle... My zagoniłybyśmy je siłą, a wtedy Łowcy – wzdrygnęła się wyraźnie.

– Łowcy? – dotknąłem jej szyi.

Oddech Słodkiej przyspieszył, puls załomotał.

– Co chcesz wiedzieć?

Zamarłem, do tej pory wszelkie pytania na ten temat dziewczyny pomijały milczeniem. Czyżby stworzenie nowych Słodkich zmieniło sytuację? Postanowiłem to wyjaśnić – później. Teraz priorytetem było co innego. Kiedy zakończy się przemiana, wszystkie Słodkie złożą mi hołd, jednak obiektem ich uwagi zostanie mężczyzna, którego każę im słuchać, który będzie się z nimi kochał jako pierwszy. Wolałem to załatwić, zanim zaczną się niecierpliwić. Kiedy to zrobię, porozmawiam z Farah. No i zastanowię się, co uczynię. I co zainicjowałem. Jeśli w ogóle pożyję na tyle długo, żeby obserwować pierwsze efekty stworzenia Strefy Współdobrobytu. Choć miałem kilku kandydatów na tyle odpornych, by mogli dowodzić dziewczętami, i tak musiałem zatrzymać przy sobie przynajmniej kilkanaście Słodkich. Efekty tego mogły być różne. Za parę minut, kiedy zakończy się przemiana kolejnych Słodkich, dowiem się, czy reguły gry nadal pozostały te same. Czy dziewczęta będą mnie słuchać jak dotychczas? Czy pomogą mi chronić tych, co ocaleli?

Wstałem z fotela i podniosłem za włosy Farah. Jęknęła cicho, ale nie zaprotestowała, jej oczy obiecywały zaspokojenie najskrytszych pragnień.

– Przyrzeknij mi coś – zażądałem, rozgryzając wargi dziewczyny w brutalnym pocałunku.

– Wszystko co zechcesz, panie...

– Daj słowo, że jeśli umrę, to w ekstazie.

Przez chwilę czekałem w napięciu. Słodkie nie potrafią kłamać, jeśli złożą obietnicę, muszą jej dotrzymać.

– Tak się stanie – odparła, oddając pocałunek. – Przysięgam.

Przestałem myśleć o jutrze, przyciągnąłem dziewczynę, wdychając zapach jej włosów i skóry. Kosztowałem pełnych, emanujących niewysłowioną zmysłowością warg. Smakowały krwią, jak apokalipsa. Niedługo przekonam się, co przyniosą moje starania. Jeśli popełniłem błąd, zapłacę za niego życiem. Nie przejąłem się tym specjalnie. Wszystko ma swój kres, a nie każdy może umrzeć z rozkoszy...

*Adam Przechrzta*



**Joanna Skalska** – debiutowała w 2006 roku w internetowej „Esensji”, jej opowiadania ukazały się również w „Opowieściach”, „Magazynie Fantastycznym”, antologii *Polowanie na lwa* oraz e-zinach „Creatio Fantastica” i „Fahrenheit”. Jedno z nich zostało przetłumaczone na angielski i wydane przez wydawnictwo promujące literaturę z North West, regionu Wielkiej Brytanii, gdzie autorka mieszka.

Od kilku lat szczęśliwie zameżna.

### **O fantastyce i pisaniu:**

Moim wielkim marzeniem jest ukończenie powieści, nad którą od pewnego czasu pracuję: opowieści o pewnej kłątwie, sile milczenia – i słów – oraz o tłumaczeniu książek. Nie chcę też rezygnować z pisania opowiadań.

Impulsem do rozpoczęcia pisania był dla mnie wyjazd za granicę. Układanie zdań w języku polskim stało się próbą opisania i zrozumienia nowej rzeczywistości, w której przyszło mi żyć. Jako przybysz z zewnątrz, nawet na najbardziej zwykłe ulice czy domy patrzyłam jak na miejsca bez historii. A to tylko pobudzało moją wyobraźnię do tego, aby próbować zapełnić tę lukę.

Pisanie fantastyki właściwie nigdy nie było świadomym wyborem. Po prostu wystukuję na klawiaturze historie, które układają mi się w wyobraźni, a po postawieniu ostatniej kropki okazuje się, że powstałe teksty należą do takiej, a nie innej konwencji. Zresztą, moje opowiadania często balansują na granicy między fantastyką a tak zwanym głównym nurtem. Jako autorka dobrze się czuję, siedząc na tej miedzy i czerpiąc inspiracje z obu stron, i myślę, że ta pozycja trafnie ilustruje to, co chciałabym osiągnąć w swojej twórczości – czyli pokazać świat inaczej. Interesuje mnie rzeczywistość za oknem, ale też – a może nawet bardziej – szukanie nowych sposobów patrzenia na nią. Spora część literatury fantastycznej zajmowała się, i wciąż się zajmuje, odsłanianiem nowych perspektyw postrzegania świata. I właśnie do tego ogródka chciałabym wrzucić swój kamyk.

**Joanna Skalska**

# Wyspa

*Pamięci dwudziestu jeden chińskich emigrantów, zbieraczy małży,  
którzy 5 lutego 2004 roku zatonęli w zatoce Morecambe*

– Stać! – wrzasnął przewodnik.

Pierwszy rząd przystanął natychmiast. Pozostali nie usłyszeli polecenia, wpadali jedni na drugich i deptali sobie po piętach. Ktoś zaklął.

– Widzicie! Przyjrzyjcie się dobrze. Od tego może... niane... lep... póki... ecie.

W szparze między głowami Radek widział poruszające się usta Hasiora. Słowa porwał wiatr. Chłopak bezskutecznie próbował zobaczyć, na co wskazywał kij w rękę przewodnika. Wreszcie dał za wygraną. Naciągnął kaptur i wbił w kieszenie zmarznięte dłonie.

Jego gumowce powoli zapadały się w mokry piasek, po chwili muł sięgnął kostek. Radek ostrożnie podniósł nogę i usłyszał dźwięk przypominający mlaśnięcie żywej istoty. Hasior podniósł kij nad głowę, dając sygnał do dalszego marszu.

Odkąd wyruszyli, minęły cztery godziny. Za ich plecami ląd zamienił się w ciemny pasek na horyzoncie, ale morza wciąż nie było widać. Wokół rozciągała się płaska pustynia mokrego piachu i tylko gdzieś tam w zagłębieniach dna pobłyskiwała pozostawiona przez odpływ woda. Właśnie takich zagłębień szukali. Hasior podchodził do każdego i uważnie oglądał dno kałuży. Raz czy dwa razy pogrzebał kijem, ale zawsze w końcu kręcił głową. Kokli nie było, więc szli dalej.

Radek wiedział, że większość siedzisk przy brzegu już wyzbierano, ale nie przypuszczał, że trzeba iść tak długo, aby napotkać choć jedno. Coraz częściej zerkał do przodu, niemal spodziewając się zobaczyć tam falę przyływu. Pozostali mężczyźni również okazywali nerwowość, szeptali między sobą i spoglądali na zegarki. Po raz pierwszy znaleźli się tak daleko od brzegu. Instynktownie zwolnili kroku, jedynie ubrany w czerwony płaszcz przewodnika Hasior wciąż szedł w stałym tempie – dla niego takie wyprawy były chlebem

powszednim. Wreszcie prowadzący stanął i niecierpliwymi gestami zaczął przywoływać ociągającą się grupę. Mężczyźni przyspieszyli.

Kokle, znaleźli kokle.

– Spójrzcie na osad na obrzeżach. – Hasior kucnął przy kałuży, a wokół ustawili się pozostali. – To znak, że kolonia jest duża.

Mężczyźni, jak pilni uczniowie, nachylili się nad wodą.

– Na co czekacie? – zdenerwował się przewodnik. – Chyba mówili wam, co należy do waszych obowiązków?

W jednej chwili zrobiło się zamieszanie. Mężczyźni wyjęli z plecaków metalowe części i rozpoczęli montowanie batów. Radkowi trzęsły się ręce. Pozostali byli już gotowi, czekali tylko na niego. Docisnął, ale jedna ze śrub ciągle kręciła się na gwincie. Wreszcie! Niemal odetchnął z ulgą, choć był to dopiero początek.

Zaczęli biczowanie. Pod wpływem uderzeń woda wypryskiwała z kałuży tak, że wkrótce uderzali tylko w mokry piasek zagłębienia. Hasior stał obok i patrzył na zegarek.

– Teraz! – wykrzyknął, kiedy wskazówka sekundnika dwa razy okrążyła tarczę.

Rzucili się do ucieczki.

Wszystko jedno w którą stronę, byle dalej od siedziska. Buty z młasniciem raz za razem zagłębiały się w mule, ale Radek nie zwalniał. Masz tylko minutę – powtarzał w duchu słowa instruktora. Linia horyzontu wznosiła się i opadała w niespokojnym rytmie biegu. Jednakową szarość nieba i piasku przeciął na chwilę cienki połyskujący pasek. Woda? Zarył nogami w mule, nieomal upadł, ale odzyskał równowagę. Co robić? Za plecami miał siedzisko, które w każdej chwili mogło wybuchnąć, przed sobą – morze. Wtedy usłyszał podobne do dźwięku otwieranego szampana pęknięcie pierwszej kokli.

Po chwili wybuchła druga, a zaraz następna. Radek upadł na kolana, przywarł do piasku i szczelnie owinał się płaszczem. Zdążył jeszcze zobaczyć fontannę muszli wylatujących w powietrze i zaraz wcisnął zakapturzoną głowę w ramiona, zamknął oczy. Nasłuchiwał kanonady wybuchów oraz miękkich uderzeń – raz bliższych, raz dalszych – lądujących w piasku kokli. Jedna trafiła w niego. Poczul ukłucie i ciężar zsuwającej się po plecach muszli. Z trudem powstrzymał się od sprawdzenia, czy nie przebiła płaszcza, choć podczas szkolenia zapewniano ich, że materiał, z którego szyto ubranie ochronne, był odporny na uderzenia.

Wreszcie zapadła cisza. Mężczyźni podnieśli się i ostrożnie, aby nie rozdeptać porozrzucanych muszli, poszli z powrotem w stronę siedziska. Razem z nimi ruszyły kokle: muszle otwierały się jedna za drugą i ze środka wypełzły małe, śliskie stworzenia. Jednak mężczyźni już na nie nie czekali. Tylko nieliczne przedostały się przez kordon zbieraczy do pooranego wybuchami dna kałuży, gdzie natychmiast znikły w piasku.

– Nie szkodzi – zapewnił Hasior. – Kolonia szybciej się odbuduje.

Popatrzył na worki pełne kokli.

– Jak na pierwszy raz, całkiem nieźle – pokiwał głową. – Wracamy.

\* \* \*

Wiele godzin później, kiedy przyływ powoli zamieniał się w odpływ, Radek wrócił na plażę. Patrząc, jak morze uderzało o molo, nie mógł uwierzyć, że rankiem szedł po suchym dnie. Tam, gdzie wcześniej w piasku widniały ślady ich butów, teraz rozpościerała się woda. Według rachunków Radka oddalili się od brzegu o cztery, może pięć kilometrów – zbyt daleko, by w razie potrzeby liczyć na pomoc z lądu. Przypomniał sobie połyskujący pasek na horyzoncie. Czy rzeczywiście widział morze, czy tylko tak mu się wydawało? Później nie miał już odwagi, by ponownie spojrzeć w tamtym kierunku. Zobaczyć morze, to jak zobaczyć śmierć – w uszach zabrzmiały mu słowa instruktora. Podobno przyływ potrafi być szybszy od galopującego konia, a fala może przykryć człowieka jednym uderzeniem... Radek poczuł skurcz w żołądku. Jutro znowu musi tam iść. Jutro, pojutrze i każdego następnego dnia.

– Cześć.

Drgnął, zaskoczony. Odwrócił się, ale nie odpowiedział na powitanie.

– Zobaczyłam cię przez okno.

Radek przypomniał sobie, że Anka wspominała o pracy w barze przy molo. Dziewczyna podeszła bliżej. Boże, jaka ona brzydka, chłopak nie mógł powstrzymać myśli i w tej samej chwili zrobiło mu się głupio. Odwrócił wzrok.

– Jak było?

Wzruszył ramionami.

– Tak samo jak na szkoleniu.

Szkolenie... Wysypane piaskiem boisko z udającą siedzisko dziurą; na trybunie instruktor, który przez megafon wykrzykiwał polecenia. Wreszcie oni, przypadkowa grupa poprzebierana w gumowce i płaszcze ochronne. Co to miało wspólnego z rzeczywistością? Jak to porównać z mułem, wiatrem i strachem, który pojawia się niepostrzeżenie i rośnie z każdym krokiem, który oddala od brzegu?

– Idziesz do domu? – Anka zapytała po chwili. – Właśnie skończyłam zmianę.

– Jeszcze zostanę.

Patrzył, jak odchodzi, i przypomniał sobie Katie. Tyle lat o niej nie myślał, aż nagle, odkąd tu przyjechał, wciąż tylko Katie i Katie. A przecież kiedy był z nią, nie przestawał myśleć o Wybrzeżu. Wtedy wierzył jeszcze, że tu miałyby szansę na normalne życie. Tymczasem Wybrzeże rozczarowało go, widok odrapanych domów zniechęcał, a wiatr od morza wywoływał ból głowy. Ale – przed jego oczami stanęła Anka – najgorsze były twarze. I nie chodziło tylko o sąsiadkę, nawet nie tylko o kobiety. Przekonał się, że w gruncie rzeczy najpaskudniejsze rysy mieli mężczyźni. Przed twarzami nie było ucieczki, straszły na ulicach, w sklepach, w pensjonacie. Radek na próżno tłumaczył sobie, że jeszcze przywyknie.

Przyjechał tu dopiero kilka dni temu, a wśród Wyspiarzy spędził całe lata. Może za długo? Może zbyt późno zdecydował się na wyjazd? Może powinien tam zostać?

Kiedy po wielu miesiącach rozmyślań podjął decyzję, organizacja wyjazdu przebiegła zaskakująco łatwo. Kierownik zmiany kiwał głową ze zrozumieniem. Szkoda mu tracić dobrego pracownika, ale oczywiście to jasne, nie ma jak wśród swoich. Uścisnęli sobie dłonie, a kiedy później Radek wynosił z warsztatu pudełko z rzeczami, przez szklaną ścianę zobaczył, jak szef rozmawia przez telefon: wyciągnął się na krześle, pustą twarz zwrócił w stronę okna, a jego palce wybijały o biurko niespieszny rytm. Radek znał te gesty. Kierownik był zadowolony, może nawet znalazł już zastępcę na jego miejsce.

Kobieta, od której wynajmował pokój, początkowo potraktowała go z nieufnością. Bez słowa wyciągnęła rękę po plik rachunków. Radek niemal widział, jak jej nieistniejące brwi zmarszczyły się podejrzliwie, kiedy oglądała kwity.

– W porządku – powiedziała wreszcie.

Jej ramiona rozluźniły się i Radek wyobraził sobie, jak nalana twarz kobiety – bo tak zawsze widział ją w wyobraźni: pulchną, z małymi oczami i ustami w dziób – powoli łagodnieje. Chciał odejść, w końcu wszystko między nimi było załatwione: klucz oddany, rachunki uregulowane, ale zatrzymały go jej słowa.

– Jedziesz na Wybrzeże? – Dłoń kobiety niepewnie powędrowała w górę i poprawiła kołnierzyk bluzki.

Podejrzewała mnie o oszustwo, pomyślał. Teraz próbuje być miłą.

– Tak.

– Pamiętam czasy, kiedy nikt z was nie mieszkał na Wyspie. Potem, jednego roku, zaczęliście przyjeżdżać: kobiety, mężczyźni, całe rodziny, wszędzie było was pełno. A kiedy... kiedy... – zająknęła się. – Jeszcze później większość wyprowadziła się na Wybrzeże, i znowu przestało się was widywać. Teraz i ty wyjeżdżasz. Masz tam kogoś? Rodzinę? Przyjaciół?

Pokręcił głową.

– No tak... Powodzenia.

– Do widzenia.

Poszedł prosto na dworzec. Pociągi dojeżdżające na Wybrzeże kursowały rzadko i Radek przez trzy godziny siedział na ławce, patrząc na nieruchome, jakby wyrzeźbione w marmurze twarze przechodzących ludzi. Przypomniawszy sobie słowa właścicielki domu. Miała rację. Wszyscy emigranci już dawno wyjechali na Wybrzeże. Tylko ja wytrzymałem tu tak długo.

Pociąg, początkowo zatłoczony, pustoszał z każdym przystankiem. Na ostatniej przed Wybrzeżem stacji wysiadło już tylko dwóch rozgadanych nastolatków. Dalej Radek jechał sam. Przyłożył twarz do szyby i wypatrywał zmian w krajobrazie, próbował uchwycić miejsce, w którym zaczynało się Wybrzeże. Jednak za oknem przesuwały się wciąż takie

same łąki i pola. Wkrótce pociąg zwolnił i wjechał na stację. Radek jeszcze przez chwilę siedział w pustym przedziale. Nie mógł uwierzyć, że dotarł na miejsce. Tak szybko, tak łatwo.

Peron był pusty, tylko w jednym końcu, przy wyjściu, młody mężczyzna zamiatał śmieci. Spierzchnięte wargi, policzki poznaczone bliznami po trądziku. Radek odwrócił się przed widokiem jego twarzy, pierwszej – poza własną – którą widział od lat. Na ulicy nie miał gdzie uciec wzrokiem. Otoczyły go przekrwione oczy, kanciaste podbródki, płaskie nosy, wielkie nosy, krzywe nosy, nosy proste, brodawki, usta wykrzywione pogardliwie albo zaciśnięte w pozbawioną koloru linię. Twarze, wszędzie twarze, karykaturalne i obrzydliwe – nie tak je zapamiętał. Poczul się słabo i oparł o ogrodzenie z boku chodnika. Na murze zobaczył ogłoszenie: *Pensjonat u Góreckiej. Tanio.*

Pani Górecka, z błyszczącym nosem i przypominającymi wygasłe wulkany porami na policzkach, najpierw przeliczyła zaliczkę, dopiero potem zapytała o nazwisko. Wpisywała je właśnie do rejestru, kiedy za plecami Radka skrzypnęły drzwi.

– Dzień dobry, pani Aniu! – wykrzyknęła właścicielka pensjonatu. – Czy będzie pani tak dobra i zaprowadzi nowego lokatora pod trójkę? To tuż obok pani pokoju.

Dziewczyna spojrzała na Radka i walizkę na podłodze.

– Mogę załatwić ci pracę przy koklach – powiedziała już na schodach.

Kiwnął głową, choć było mu wszystko jedno. Chciał jak najszybciej znaleźć się sam.

Jeszcze tego samego wieczora w szparze przy drzwiach znalazł kartkę z adresem miejsca, gdzie odbywało się szkolenie.

A kilka dni później po raz pierwszy szedł za Hasiorem po morskim dnie.

\* \* \*

Przewodnik zaklął paskudnie. Jeszcze raz spojrzał na leżącego mężczyznę, potem przeniósł wzrok na siedzisko.

– Jak to się stało, że jest tak blisko? – popatrzył po pozostałych. – Co jest? Ogłuchliście? Pytałem, dlaczego jest tak blisko siedziska?

– Bolała go noga... – ktoś wykrztusił.

Twarz Hasiora pociemniała ze złości.

– Tyle razy powtarzałem: jeśli nie jesteście w pełni sprawni, jeśli z jakiegokolwiek powodu, i gównie mnie obchodzi jakiego, nie możecie biegać, trzeba mi o tym powiedzieć. Jeszcze na łądzie – z trudem łapał oddech. Radek nigdy wcześniej nie widział go tak zdenerwowanego.

Rannym mężczyzną wstrząsnęły drgawki, potem ciało znieruchomiało. Jeden z młodszych chłopaków zaczął głośno wymiotować. Hasiorek jakby nie zwracał na to uwagi. Powoli się uspokajał.

– A wy co? Do roboty! – wykrzyknął już zwykłym głosem.

– A on?

– Jemu już nic nie pomoże.

Ruszyli w stronę zagłębienia w dnie. Już po kilku krokach zorientowali się, że większość robaków zdążyła wrócić do siedziska. Zostały tylko resztki. Radek naciągnął rękawice i zbierał nieliczne kokle, ale jego myśli błądziły gdzie indziej. Podniósł wzrok. Martwy mężczyzna wyglądał, jakby spał: plama krwi na piasku przypominała cień rzucony przez wybrzuszenie dna, a ranę na szyi, tam gdzie przecinając tętnicę, wbiła się muszla kokli, zasłoniła głowa. Radek bezwiednie odnotował niedoskonałości jego twarzy: kwadratową szczękę i złamany nos.

Zostawili go tam, tak jak leżał. Złożyli tylko ręce na piersiach i z kieszeni spodni wyjęli portfel, żeby przekazać go rodzinie. Na więcej, choćby na wykopanie płytkiego grobu, nie starczyło czasu.

– Musimy się spieszyć – oznajmił Hasior, patrząc na zegarek, a potem na horyzont.

Wzrok Radka podążył za spojrzeniem przewodnika, ale błyszczącego paska morza, który zobaczył pierwszego dnia, nie było widać. Od tamtego czasu minął miesiąc i chłopak nauczył się ufać Hasiorowi. Przewodnik zawsze wiedział, kiedy zaczyna się przyptyw, poruszał się pewnie – czuło się, że dno morskie zna jak własną ulicę.

Następnego dnia Hasior nie przyszedł do pracy, a oni dostali nowego przewodnika. Mężczyźni przez jakiś czas szeptali między sobą o wypadku, ale wkrótce o wszystkim zapomnieli. Praca wciąż była taka sama, ciężka i niebezpieczna, jej godziny zależały od odpływu. Czasem wyruszali wcześniej, jeszcze przed świtem, innym razem – dopiero po południu. Wracali wtedy w ciemnościach, a że właśnie rozpoczęły się wiosenne deszcze, często mokli i grzęźli w błocie. W takich chwilach dalekie i rozświetlone Wybrzeże wydawało się Radkowi przytulne, niemal wesołe, i dopiero z bliska na nowo stawało się ponure i przygnębiające.

Choć cały czas pracował z tymi samymi ludźmi, nikogo bliżej nie poznał, z nikim się nie zaprzyjaźnił. Czasem szedł z całą grupą do „Zbyszka”, ulubionego baru koklarzy, ale nie czuł się tam swobodnie. Za barem stała Anka, po sali snuły się dziewczyny, które pod najmniejszym pretekstem przysiadły się do stolików. Radek zdążył już trochę przywyknąć do twarzy mężczyzn, ale kobietom wciąż nie mógł wybaczyć ich nosów i brwi, warg i kanciastych szczęk. Szybko stamtąd wychodził i ciemnymi ulicami wracał do pokoju w pensjonacie pani Góreckiej. Tam spędzał też jedyny wolny dzień, raz przypadający na początku tygodnia, raz w środku, raz na jego końcu. Czy tak wyobrażał sobie życie wśród swoich? Nie chciał się nad tym zastanawiać. Wolał myśleć o Katie.

Nie pamiętał, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Często w dawnej pracy zostawał po godzinach, kiedy do przylegających do warsztatu biur przychodziły sprzątaczkki. Nie zwracał na nie uwagi, były po prostu dwiema dziewczynami w jednakowych fartuchach i z identycznymi białymi twarzami. Ale któregoś popołudnia Katie przyszła sama – później

dowiedział się, że jej koleżanka zachorowała – i Radek zobaczył, jak usiłuje przesunąć ciężkie biurko. Zapukał w uchylone drzwi i zaproponował pomoc. Tak się zaczęło.

Spotykali się w niedziele. Najczęściej szli do zoo, a jeśli padało, siadali w restauracji przy wyjściu z parku. Radek mało mówił, przeważnie patrzył. Z nachylenia ramion albo ze sposobu, w jaki trzymała łyżeczkę do lodów, uczył się odczytywać jej myśli. Wyłapywał te drobne gesty, obserwował dłonie, pochylenie pleców, ale na twarz Katie nie patrzył. Dopiero po spotkaniu wyobrażał sobie, że pod białą warstwą ukrywają się różowe policzki i błyszczące oczy. W wyobraźni widział zawinięcie rzęs, kształt ust, drobne piegi na nosie i to jak go marszczy, kiedy się śmieje. Pod spodem Katie była piękna.

A teraz tęsknił do jej prawdziwej twarzy, białej i nieruchomej, tej, przed której widokiem wtedy odwracał wzrok. Teraz już by mu nie przeszkadzało, że rysy Katie powielone były na obliczach tysięcy kobiet na Wyspie: sekretarek, sprzedawczyń w sklepach, policjantek, urzędniczek, nawet otyłej właścicielki domu, gdzie wynajmował mieszkanie. Teraz widok Katie byłby wytchnieniem od niezdrowych kolorów i groteskowych proporcji twarzy kobiet z Wybrzeża.

\* \* \*

Wracał do domu, kiedy drogę zagroziła mu ciemna postać. Cofnął się niepewnie, plotki o ulicznych napadach docierały do niego od dawna.

– Nie poznajesz mnie? – Mężczyzna obrócił się tak, że światło z latarni padło na jego twarz.

– Hasior?

– Przecież nie duch – tamten się roześmiał. – Chodź, odprowadzę cię.

Przez chwilę szli w milczeniu. Radek zerkał na Hasiora. Płaszcz, skórzane buty i rękawiczki – nawet w półmroku widać było, że mu się dobrze powodzi.

– Myślałem, że wyrzucili cię z pracy.

– Mnie? – zdziwił się. Za chwilę zrozumiał: – A, chodzi o wypadek. Nie... To był mój ostatni dzień w terenie, od dawna miałem tak wpisane w grafiku. Po prostu pechowo się złożyło – wzruszył ramionami. – Awansowałem, pracuję przy transporcie. Nie możesz tego pamiętać, ale kiedyś prosto z plaży ładowaliśmy kokle na przyczepy, zawoziliśmy do miasta i tam je sprzedawaliśmy, w zasadzie po kosztach. Oni – kiwnął głową w nieokreślonym kierunku – zajmowali się resztą: pakowaniem, rozwożeniem do sklepów, a z tego są największe pieniądze. Dlatego najpierw zajęliśmy się przetwarzaniem, a teraz zamierzamy przejąć dystrybucję – chwilę milczał. – Jest tylko jeden problem. Potrzebujemy ludzi, którzy potrafią się dogadać z Wyspiarzami. Rozumiesz?

Radek kiwnął głową i szedł dalej.



– Nie rozumiesz – Hasior przystanął. – Proponuję ci pracę. Lżejszą, bezpieczniejszą i lepiej płatną.

– Wiem, ale nie po to przyjechałem na Wybrzeże, aby teraz codziennie wracać.

Na twarzy Hasiora pokazała się złość. Otworzył usta, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

Radek spojrział na zniszczoną fasadę pensjonatu i wyciągnął z kieszeni klucze.

– Wejdiesz? – zapytał.

Pani Górecka, która jak zawsze drzemała w recepcji, obudziła się i spojrzała na nich podejrzliwie. Bez słowa wspięli się po ciemnych schodach. W pokoju Radek wyciągnął z szafki butelkę. Nalał w dwa kubki, jeden podał gościowi.

– Jak długo tu jesteś? – przerwał ciszę Hasior.

– Sześć lat.

– Nie... na Wybrzeżu.

– Trzy miesiące.

– Czy choć raz przez trzy miesiące nie zastanawiałeś się, przed kim one się bronią? Najpierw produkują te swoje muszle, ostre jak żyłki. Potem... – przerwał i spojrzał na Radka. – Przecież to wymaga ogromnego wysiłku, żeby tak wystrzelić się z piasku w powietrze. A one zazwyczaj lądują kilkadziesiąt metrów od siedziska, choć widziałem i takie, które upadały jeszcze dalej. No i ta siła... Widziałeś, co mogą zrobić.

Radek przypomniał sobie ciemną plamę krwi na piasku.

Wzruszył ramionami.

– Jak to przed kim? Przed ludźmi.

– Niekoniecznie. Kokle pojawiły się przy Wybrzeżu dopiero po zalaniu, kiedy dno się zmieniło, a pływy zwiększyły. Wcześniej żyły gdzie indziej.

– Chcesz mnie przestraszyć?

Hasior pokręcił głową.

– Próbuję jedynie powiedzieć, że my, emigranci, możemy liczyć tylko na siebie. Być może wkrótce dotrze tu polujący na kokle drapieжник i będziemy musieli nauczyć się przed nim bronić. Do tego potrzebne będą pieniądze, ale przede wszystkim organizacja. Właściwi ludzie na właściwych miejscach.

Radek nie wyglądał na przekonanego.

– Szkoda, że nie widziałeś, co się tu działo, zanim wprowadziliśmy obowiązkowe szkolenia, przewodników i płaszcze ochronne. Każdego tygodnia mieliśmy średnio dwa śmiertelne wypadki – Hasior z głośnym stuknięciem odstawił na stół kubek z nietkniętą zawartością. – Poza tym pomyśl, każdego tygodnia dostaniesz dwie stowy na rękę... Chyba nie chcesz mieszkać w tej norze do końca życia? – zapytał już niemal w progę. – Kiedy zmienisz zdanie, przyjdź do przetworni.

\* \* \*

Praca w transporcie była lżejsza i lepiej płatna, jak obiecywał Hasior, ale zajmowała równie wiele czasu co wyprawy koklarzy, o czym tamten nie wspomniał. Rano chłopak zaczynał w przetwórni, gdzie pilnował załadunku: tyle a tyle puszek, tyle słoików kokli w occie, tyle w marynacie z czosnkiem – wszystko zgodnie z zamówieniem. Potem siadał obok kierowcy w kabinie ciężarówki i jechał w głąb łądu, często daleko. Po drodze przyglądał się mijanym krajobrazom, a widok pierwszych białych twarzy, choć spodziewany, był za każdym razem zaskakujący. Na miejscu czekała go przeprawa z nieufnymi wobec nowych dostawców menedżerami sklepów. Czasem zdarzało się, że do negocjacji mieszał się kierowca, ale każde jego zdanie tylko pogłębiało brak zrozumienia między stronami. Kierowca używał złych argumentów i błędnie odczytywał wysyłane przez Wyspiarzy sygnały, tak jakby ich nieruchome i pozbawione ekspresji twarze stanowiły barierę nie do pokonania. Rozmawiało się z nimi czasem tak, jakby posługiwali się zupełnie innym językiem. A przecież wystarczyło spojrzeć na ułożenie stóp, zerknąć na napięte mięśnie przedramienia, niecierpliwie bawiące się długopisem palce... Radek szybko musiał ratować sytuację. Zrozumiał, że Hasior miał rację. Był tu potrzebny. Mało kto tak długo mieszkał wśród Wyspiarzy, mało kto tak dobrze ich znał. To był jego atut i musiał go wykorzystać. Oczywiście wiedział, że sklepy nie mogły sobie pozwolić, aby na ich półkach brakowało kokli, więc nawet najbardziej niezdarny kierowca w końcu doprowadziłby do odebrania towaru i podstemplowania dokumentów. Ale trwałoby to dłużej. Znacznie dłużej.

\* \* \*

– Słyszałem, że dobrze sobie radzisz. – Hasior zdjął płaszcz i usiadł na stołku obok.

Radek odwrócił się ze zdziwieniem. Od czasu spotkania na ulicy ani razu nie rozmawiał z Hasiorem. Nawet widywał go rzadko, jedynie czasami w biurze przetwórni, gdzie odbierał zamówienia. Tamten sprawiał wtedy wrażenie, jakby wcale Radka nie znał.

– Pierwsze miesiące były ciężkie, ale teraz... – chłopak nie dokończył.

– Zaczęli nam ufać, o to chodziło.

Radek dopił piwo i gestem zamówił kolejne.

– Gdybyście jeszcze zlikwidowali te kontrole przy wyjeździe z Wybrzeża – westchnął.

– Musicie się przyzwyczaić – Hasior uciął dyskusję. Nie chciał słuchać skarg od swoich ludzi, miał dość protestów Wyspiarzy, które wybuchły po wytyczeniu granicy i ustawieniu budek ze strażą graniczną Wybrzeża. – No, ale nie rozmawiajmy o robocie.

Stuknęli się szklankami.

– Często tu przychodzisz? – zapytał Hasior.

Radek rozejrzył się po pustawym wnętrzu „Koguta”. Przytłumione światła, dyskretna muzyka... To miejsce odpowiadało mu bardziej niż hałaśliwy bar koklarzy.

– Tak, ale ciebie widzę tu po raz pierwszy.

– Byłem umówiony z kimś w okolicy, ale – wykrzywił wargi – rozbolała ją głowa.

Siedzieli w milczeniu. Radek wreszcie odstawił pustą szklankę i znów przywołał barmana. Poczł na sobie spojrzenie Hasiora.

– A ty? Jak to jest z tobą?

– Mnie nic nie boli. – Pomyślał, że Katie rozbawiłaby ta rozmowa. Wyobraził ją sobie, jak pochyla głowę i trzęsie się bezgłośnie. Zawsze śmiała się w ten sposób.

Hasior wyszczerzył zęby w udawanym uśmiechu.

– Pytałem, czy masz dziewczynę?

– Nie.

Przypomnił sobie, jak Katie spoważniała, poprawiła mankiet bluzki i odwróciła się w jego stronę.

– A tam, wśród Wyspiarzy? Miałeś tam kogoś? – dopytywał się Hasior. – W końcu mieszkałeś między nimi... Ile? Sześć lat?

Radek nie odpowiedział.

Katie przysunęła się bliżej. Wzięła go za rękę. Chłopakowi wydawało się, że poza ich dwójką w całym parku nie było nikogo. Jej twarz znalazła się nagle bardzo blisko. Ich wargi dzieliły ledwie centymetry.

– Zdejmij to – wyszeptał, dotykając dłonią jej policzka.

Cofnęła się gwałtownie.

– O co ci chodzi!?

– Proszę, Katie, zdejmij to... – znowu przysunął rękę. Nacisnął.

– Co robisz?!

Jego palce wbiły się głębiej i czerwona kropla zakwitła na białej skórze. Dziewczyna zawyla z bólu i gwałtownie odepchnęła Radka. Krew... Katie? Katie!

Otrząsnął się.

Hasior wciąż wpatrywał się wyczekująco, więc chłopak kiwnął głową. Odstawił szklankę na bar i sięgnął po paczkę orzeszków.

– I co się stało?

– Nie chcę o tym mówić – dłoń Radka gwałtownie zacisnęła się na szeleszczącym opakowaniu.

– Jasne... Spokojnie, nie musisz się od razu tak denerwować. Chcesz znać moją teorię na temat tamtejszych kobiet? Mają zbyt duże poczucie własnej wartości – Hasior kontynuował, nie czekając na odpowiedź. – Każda uważa się za Bóg wie co. A odrobina niepewności bardzo by im pomogła...

– Nie potrafiłem jej nawet pocałować! – wybuchnął chłopak. – Wbiłem sobie do głowy, że jest inna niż wszystkie kobiety z Wybrzeża, że pod jej białą twarzą jest coś... coś innego. Ale, nie... oczywiście, że nie. I nie mogłem... Nie mogłem jej pocałować!

Hasior umilkł. Wreszcie klepnął Radka po ramieniu.

– Masz już dość na dzisiaj – powiedział. – Zaprowadzę cię do domu.

\* \* \*

Kończyli załadunek, kiedy przy ciężarówce pojawił się Hasior.

– Pojadę z wami – oznajmił. – Muszę coś załatwić po drugiej stronie.

– A papiery?

– Nie martw się, papiery mam w porządku – odpowiedział i wcisnął się na siedzenie między kierowcę a Radka.

Na granicy chłopak pokazał zlecenie ze sklepu oraz dwie karty potwierdzające zatrudnienie w przetwórni. Hasior wyciągnął z kieszeni niewielką książeczkę. Na jej widok strażnik cofnął dłoń i wyprostował się jak struna.

– Nie... nie trzeba – zająknął się i nacisnął przycisk podnoszący szlaban.

W drodze powrotnej odbili od zwykłej trasy. Mijali kolejne miasteczka Wyspiarzy i zamiast przybliżyć się do Wybrzeża, coraz bardziej się od niego oddalali. Zrobiło się późno, a jednak ani Radek, ani kierowca nie protestowali.

– Zatrzymaj samochód – zarządził wreszcie Hasior, po tym jak przez kilkanaście minut krążyli po osiedlu jednorodzinnych domów.

Kierowca nacisnął na hamulec. W rozświetlonym oknie naprzeciwko Radek zobaczył zasiadającą do kolacji rodzinę z dwójką dzieci.

– A teraz najważniejsze: cokolwiek zobaczycie, nie odzywajcie się, jasne?

Okrążyli dom i przeskoczyli przez płot do ogrodu. Tył budynku tonął w ciemnościach, mimo to Hasior poruszał się szybko i sprawnie. Odnalazł kuchenne wejście i przez chwilę dłużył przy zamku wyjętym z kieszeni narzędziem. Drzwi skrzypnęły i znaleźli się w środku. Zza ściany dobiegł ich śmiech i szmer rozmowy.

– ...dobrze wiemy, że pan od historii jest twoim ulubionym nauczycielem...

Kobieta urwała, kiedy w progu pokoju zobaczyła trzy obce postacie.

– Nie przeszkadzajcie sobie – powiedział Hasior. Podeszedł do okna i zaciągnął zasłony, potem, jakby nigdy nic, usiadł w fotelu.

– Tato, kim są ci panowie?

Dopiero pytanie córki sprawiło, że mężczyzna przy stole oprzytomniał.

– Proszę natychmiast opuścić mój dom – powiedział wolno gniewnym, choć nieco drżącym głosem. – Zaraz zadzwonię po policję.

– W każdej chwili, telefon jest w korytarzu. Jest tylko pewien drobny problem – Hasior wskazał na stojących w drzwiach Radka i kierowcę.

Mężczyzna niepewnie wstał i zrobił gest, jakby chciał ruszyć w ich stronę, jednak w końcu został przy stole.

– Proszę w tej chwili wyjść – powtórzył, uderzając pięścią w blat.

– Oczywiście, zaraz wszyscy stąd wyjdziemy – zgodził się Hasior. – Grzecznie wsiądziemy do samochodu i pojedziemy.

Kobieta skuliła się ze strachu. Jej białe czoło niemal dotknęło stojącego przed nią talerza.

– O czym ten pan mówi? – zapytało ją starsze dziecko.

Nie odpowiedziała. Jej mąż z powrotem opadł na krzesło i zacisnął pięść na obrusie.

– To pomyłka, mieszkamy tu od lat – wymamrotał.

Hasior nie zwracał na niego uwagi.

– Chcesz wiedzieć, o czym mówię? – zwrócił się do dziecka. – Podejdź bliżej.

Chłopiec popatrzył na rodziców, ale żadne nie powiedziało słowa.

– No chodź – zachęcał Hasior.

Złapał malca za brodę i kilka razy przesunął palcami po jego szyi. Chłopak próbował się wyrwać.

– Spokojnie, to już nie jest tajemnica.

Opuszki mężczyzny wciąż muskały szyję dziecka, aż skórę przecięła pozioma linia. Hasior pociągnął ku górze odklejającą się krawędź. Pod spodem ukazała się przestraszona twarz chłopca. Kobieta chlipnęła, a Radek nie potrafił ukryć zaskoczenia.

Kilka chwil później cała rodzina była gotowa do wyjazdu. Spokojni i zrezygnowani, spakowali po jednej walizce – tylko na tyle zezwolił Hasior. Następnie cicho niczym złodzieje wymknęli się z domu i wdrapali na pusty tył ciężarówki. Ich twarze wydawały się teraz boleśnie niedoskonałe: mężczyzna miał nieładne krzaczaste brwi, a czoło kobiety przecinała blizna. Jedyne delikatna buzia młodszego dziecka, może pięcioletniej dziewczynki, mogła konkurować z harmonijnymi rysami białych masek, które leżały porzucone na podłodze w jadalni. Radek podniósł jedną. Guma? – zastanawiał się, dotykając miękkiego materiału.

– Robione na zamówienie, dopasowywane do wielkości i kształtu twarzy – z korytarza z tyłu dobiegł go głos Hasiora. – Nowoczesna technologia, aż żal je będzie niszczyć. Kosztowały jakieś dwa, dwa i pół tysiąca każda, a przynajmniej tyle brano za nie w warsztacie, który – zawahał się – zlikwidowaliśmy w tej okolicy. To właśnie stamtąd mamy adres tych ludzi. Tych i jeszcze kilku innych – zaśmiał się.

– Ja je zniszczę – Radek wcisnął pozostałe maski do kieszeni.

– Spal je, słyszałeś? Nie wyrzucaj, tylko spal. Nie potrzeba nam pamiątek po zdrajcach.

Kiwnął głową.

– Rozumiesz, co się tu wydarzyło? – przez chwilę Hasiór patrzył uważnie na chłopaka. – Oboje mieli w kieszeniach telefony, w każdej chwili mogli zadzwonić na tutejszą policję, która potraktowałaby nas jak zwykłych włamywaczy. Wyjazd jest ich decyzją.

– Więc po co był ten pokaz siły?

– Tacy jak oni potrzebują tego – w głosie Hasióra zabrzmiała pogarda. – Chcą się czuć zmuszani, żeby w razie czego, jeśli nie ułożą im się na Wybrzeżu, móc na kogoś zwalić winę. Ale tak naprawdę w głębi duszy od lat na nas czekali.

Radek spojrział na zastawioną rodzinnymi zdjęciami półkę nad kominkiem.

– Mieli tu całkiem przyjemne życie – powiedział i po raz pierwszy popatrzył na Hasióra. – W przyszłości wolałbym nie brać udziału w tego rodzaju... akcjach.

– Jak sobie życzysz – twarz mężczyzny nawet nie drgnęła. Nachylił się nad na wpół opróżnionymi talerzami na stole. – Przyjemne życie – w jego głosie zabrzmiała ironia. – Może i przyjemne, ale zakłamanie. Spójrz, we wszystkim są kokle.

Radek zamrugał powiekami ze zdziwienia.

– Czy myślałeś, że Wyspiarze naprawdę lubią te paskudztwa? – Hasiór się roześmiał. – Kokle zawierają silne substancje halucynogenne. Po ich zjedzeniu świat wydaje się taki jak przedtem. Jak przed zalaniem.

\* \* \*

Najpierw obszedł wszystkie sklepy w mieście, te duże i eleganckie, z wychodzącymi na morze oknami wystawowymi, oraz zakurzone sklepiki w gorszych dzielnicach. W niedzielę poszedł na plażę i wypatrywał powrotu koklarzy. Zobaczył ich już z daleka: małe, ruchome punkty, które powoli zamieniały się w grupki zmęczonych mężczyzn. Ich płaszcze ochronne miały teraz żółty kolor i zdawały się Radkowi dłuższe niż ten, który on nosił. Siedem miesięcy, szybko policzył. Tyle czasu minęło, od kiedy ostatni raz wyszedł w morze. Utkwił wzrok w workach niesionych przez koklarzy. Dawniej rzucali je na plażę, skąd później, czasem dopiero następnego dnia, zabierał je wózek z przetworni. Teraz ludzie z przetworni już czekali na brzegu, a worki natychmiast ważono.

Także w pracy towar zawsze dokładnie przeliczano. Musiał nawet rozliczać się z każdego uszkodzonego w transporcie słoika. Choć był otoczony przez kokle, nie miał do nich dostępu.

Dopiero po kilku tygodniach nadarzyła mu się okazja. Kiedy wieczorem podjechali pod supermarket, na parkingu dla dostawców stała ciężarówka z mleczarni, a cała, nieliczna o tej porze obsługa sklepu zbierała rozsypane sery. Nikt nie zwracał uwagi na dostarczycieli z Wybrzeża.

– Zostań w samochodzie – Radek polecił kierowcy. – Zorientuję się, jak długo to jeszcze potrwa.

Wślizgnął się do pustego sklepu. Przez chwilę błądził między półkami wypełnionymi towarami, ale wreszcie znalazł. Cały regał zastawiony znajomymi produktami. Wyciągnął rękę po pastę do kanapek – wybór przemyślał wcześniej, plastikowa tubka nie groziła stłuczeniem się i łatwo ją było ukryć w wewnętrznej kieszeni kurtki. Teraz pozostało mu tylko mieć nadzieję, że nie zostanie wybrany do wrywkowej rewizji na granicy.

W niedzielę zamknął drzwi na klucz, zasunął zasłony i ze skrytki w szafie wyciągnął tubkę pasty. Wycisnął trochę na łyżeczkę i włożył do ust. Na języku poczuł smak zgnilizny, zepsutego jajka i czegoś jeszcze, czego nawet nie chciał sobie wyobrazić.

Nie przełknął.

Zemdlilo go, pobiegł do łazienki i natychmiast wypłuł pastę do umywalki, a potem długo płukał usta. Przypominał sobie wcześniejsze próby, w czasach, kiedy żył wśród Wyspiarzy. Oni pytali: nie jesz kokli? Są wyśmienite. Więc Radek próbował, zapiekane, z makaronem albo pokropione sokiem z cytryny. Ale za każdym razem kończyło się to tak samo. Raz nawet wymiotował.

Popatrzył na zdobytą z takim trudem tubkę. Może z wódką? Rzucił się do szafki z alkoholem, ale znalazł tylko resztki słodkiego likieru i piwo. Za mało, będzie musiał wyjść po zakupy.

W sklepie pomyślał, że jego koszyk wygląda podejrzanie. Sięgnął po chleb, szynkę i ogórki, i przykrył nimi butelkę wódki. Potem stanął w kolejce. Niecierpliwił się, myślami był już z powrotem w mieszkaniu. Przy kasie omal nie zapomniał odebrać reszty, a w drzwiach zderzył się z wchodzącą kobietą.

– Radek!

Odwrócił się zdziwiony.

– Anka?

Uśmiechnęła się. Wyglądała inaczej, niż zapamiętał, nic dziwnego, że jej nie rozpoznał. Jej włosy, kiedyś opadające na ramiona, były krótko ścięte, a zamiast spodni, w których zawsze ją widywał, miała na sobie sukienkę. Było coś jeszcze: twarz. Niby taka sama, a jednak odmieniona.

– Co słyhać u pani Góreckiej? – zapytał.

– Nie wiem, już u niej nie mieszkam – znowu ten uśmiech.

– A „U Zbyszka”? Wszystko po staremu?

Wzruszyła ramionami.

– Już tam nie pracuję.

Poczuł się głupio. O co więcej mógłby ją zapytać? Właściwie nic o niej nie wiedział. Rozmawiali ze sobą tylko dwa, może trzy razy, choć przez kilka miesięcy mieszkali ściana w ścianę. Nawet się z nią nie pożegnał, choć kiedy wyprowadzał się z pensjonatu, podszedł do jej drzwi, podniósł rękę, ale w końcu nie zapukał.

– Nigdy ci nie podziękowałem za to, że załatwiłaś mi wtedy pracę.

– Drobiazg – zrobiła krok do tyłu.

– Chciałbym się jakoś odwdziaczyć... Może mógłbym ci postawić choć kawę?

Spojrzała na torby w jego ręku.

– Nie powinienes tego odnieść do domu? – zapytała, ale na jej twarzy ponownie pojawił się uśmiech.

– Mam pomysł. Chodźmy do mnie. To blisko – w duchu podziękował sobie, że przed wyjściem odsłonił zasłony i schował pastę z powrotem do szafy.

\* \* \*

Usiadła przy stole w kuchni, a on zajął się parzeniem kawy. Opowiadał o kocie sąsiadów, którego wciąż znajdował na swoim balkonie.

Anka zdawała się nie słuchać.

– Pytałeś o coś? – spojrzała roztargnionym wzrokiem.

– Cukier? Mleko? – powtórzył, stawiając przed nią filiżankę.

– Mleko.

Sięgnął po butelkę. Kątem oka zobaczył, że dziewczyna wyciąga szyję i przez uchylone drzwi zerka do wnętrza lodówki, ale kiedy się odwrócił, znów obojętnie mieszała kawę. Cisza trwała. Radek znowu zaczął mówić o kocie.

– Wiem, że masz tu kokle – przerwała mu gwałtownie. – Pachnie nimi w całym mieszkaniu. Ty nic nie czujesz, prawda? To dlatego, że codziennie jesteś w przetwórni. Przywykłeś.

Radek potrącił filiżankę i rozlał trochę kawy. Nie wiedział, co zrobić z rękoma.

– Nie martw się, nie jestem donosicielką.

\* \* \*

Radek leżał na dywanie i patrzył, jak ostatnie promienie słońca ślizgają się po suficie. Starał się nie ruszać – każde drgnięcie odpokutowywał zawrotami głowy. Obok na podłodze leżała pusta butelka oraz spłaszczona tubka po paście. Większość jej zawartości zjadła Anka, on zmuszał się, aby połknąć choć trochę, za każdym razem popijając kilkoma łykami wódki.

– Ten moment lubię najbardziej – westchnęła wyciągnięta na kanapie dziewczyna.

Z wysiłkiem przekręcił głowę i spojrzał na Ankę. Jemu wciąż było tylko niedobrze.

– To znaczy? – zapytał.

– Ciii – uciszyła go. – Jestem w Australii.

Co za bzdury, pomyślał. Na pewno nigdy tam nie była, a teraz nie ma już Australii. Na własne oczy widział, jak zalewa ją ocean. Już wtedy wydawało mu się to bezduszne, te wszystkie satelity, które wciąż krążyły wokół Ziemi i wciąż przesyłały zdjęcia. Australia,



Afryka, Azja, Europa, obie Ameryki po kolei znikwały pod wodą, a mieszkańcy Wyspy oglądali to na ekranach telewizorów niczym soap operę, krótką, ale dramatyczną. Zatonęła Japonia – zawiązanie akcji; zalało Nowy Jork – kulminacja. Zniknął Paryż – rozwiązanie intrygi. A na koniec *happy end*: żyjemy, nam się udało, i zdjęcia gładkiego oceanu, już spokojnego i niegroźnego. Wyspa ocalała, łyzy na policzkach widzów obeschły, można było zaparzyć herbatę.

Dziewczyna przekręciła się na kanapie. Od samego patrzenia na nią zawirowało mu w głowie. Zamknął oczy.

Pamiętał, że na początku pojawiło się wiele teorii. Wspominano o ruchach płyt tektonicznych albo o wybuchu podwodnego wulkanu. Eksperti w studiach telewizyjnych i gabinetach rządowych naradzali się, kłócili, uspokajali, proponowali tymczasowe rozwiązania, ale żaden nie potrafił podać ani wiarygodnego powodu kataklizmu, ani sposobu na jego zatrzymanie. Tymczasem Radek oglądał, jak ocean zalewa kolejny kontynent.

Hałas sprawił, że otworzył oczy. Zobaczył lądującą na podłodze przy kanapie poduszkę, a wyżej – przeciągającą się Ankę.

– Najdziwniejsze było to, że wcale nie padało – szepnął, ni to do siebie, ni to do dziewczyny.

Przypomniał sobie bezchmurne niebo. Przez miesiąc nie spadła nawet kropla deszczu. Rolnicy załamywali ręce, na murach przyklejono komunikaty nawołujące do oszczędnego korzystania ze świeżej wody, a turyści, tacy jak on, cieszyli się każdym dniem. Radek jeździł na wycieczki rowerowe albo spędzał całe popołudnia na plaży. Odwiedzał winiarnie, czasem muzea. Już po kilku dniach pojaśniały mu włosy, a kiedy dotykał twarzy, pod palcami czuł szorstką, łuszczącą się od słońca skórę.

Przyłożył dłoń do czoła.

W pokoju było ciemno, tylko czasem przejeżdżający ulicą samochód rozświetlał zasłony w oknie. Przyłożył dłoń do czoła. Było gładkie.

Jak jedwab. Albo jak unieruchomiona na fotografii powierzchnia jeziora, z wydmami zamiast zastygłych fal. Tylko kolor był inny, żółtawy, prawie biały. Zachwycony długo patrzył przed siebie, nie zważając na to, że rozgrzany piasek parzył przez podeszwy butów. Wreszcie poprawił na głowie czapkę, kucnął, wyciągnął rękę...

Poczuł uderzenie w bok i usłyszał stłumione przekleństwo. W górze zobaczył czarną sylwetkę Anki. Dziewczyna odzyskała równowagę i niepewnie przeszła przez ciemny pokój w stronę łazienki. Opuścił dłoń na dywan, zanurzył, potem podniósł. Złocisty piasek przesypał się między palcami, ale część została na skórze, przylepiona do palmy potu.

Wytarł rękę o spodnie i ruszył w głąb pustyni.

\* \* \*

Obudził się o świcie. Odrzucił koc i usiadł na podłodze. Na chwilę zatrzymał wzrok na potarganych włosach, wystających spod rozścielonej na kanapie kołdry.

– Która godzina? – Anka otworzyła oczy.

– Jeszcze wcześniej – ledwie poznał własny głos.

– Jak było?

Otworzył usta, ale nic nie powiedział. Na widok jego miny Anka wybuchła śmiechem.

– Korzystaj, póki możesz – powiedziała. – Po kilku razach organizm się przyzwyczaja. Wystarczy spojrzeć na Wyspiarzy.

Radek zauważył, że miała zaczerwienione oczy. Płakała?

– Powiedz chociaż, gdzie byłeś?

– Najpierw w południowej Francji, potem na Saharze, a na końcu... – zmarszczył brwi – ...gdzieś nad jeziorem. Chyba w Kanadzie.

– Ja przenoszę się już tylko w jedno miejsce, a i to na krótko. Potem zostaje jedynie... – urwała. – Nie powinieneś szykować się do pracy?

– A ty?

– Chciałabym zostać tu jeszcze chwilę.

Kiedy wychodził, wciąż leżała na kanapie.

\* \* \*

Przyszła w kolejną niedzielę, potem w następną, aż stało się to ich zwyczajem. Radek wciąż szukał okazji, aby zdobyć kokle, ale rzadko mu się to udawało. Przeważnie przynosiła je Anka. W słoikach lub puszkach, prawie nigdy w tubkach. Pasta jest najgorsza, ładują do niej zapychacze – mówiła. Intrygowało go, skąd tyle wie o koklach i skąd w ogóle je bierze.

– Nie bądź ciekawski – odpowiedziała ostro.

Więcej nie zapytał. Skrupulatnie wykonywał swoją część przygotowań: kupował wódkę i jedzenie, sprzątał mieszkanie. A rankiem, kiedy Anka kulila się na kanapie, zdawał relacje z miejsc, gdzie przenościł się w nocy. Dziewczyna nigdy nie mówiła o swoich podróżach, ale od niego żądała najdrobniejszych szczegółów. Opisywał więc kolory rozświetlonego Tokio, zapachy dochodzące z meksykańskich domów albo dźwięk, z jakim pękał pod jego stopą lód na kałuży w skandynawskim miasteczku.

– Skąd ja to wszystko wiem? – zastanawiał się głośno któregoś ranka. – Zanim wyjechałem na Wyspę, nigdy nawet nie byłem za granicą.

– Kokle wiedzą – szepnęła Anka.

– Co?

– Czasem myślę, że pod wodą świat wciąż istnieje, a kokle przynoszą nam od niego wiadomości. Wiem, plotę głupstwa – zaśmiała się zmieszana i zaraz zmieniła temat. –

Wygląda na to, że już nie będę mogła przynosić kokli. Mam jeszcze parę słoików odłożonych na czarną godzinę, ale potem koniec.

– Kłopoty?

Pokręciła głową.

– Nieporozumienie z dostawcą.

\* \* \*

Następnego dnia Radek zapukał do biura Hasiora. Od dłuższego czasu prawie w ogóle go nie widywał. Oficjalnie Hasior wciąż pracował w przetwórni, ale wszyscy wiedzieli, że teraz zajmują go ważniejsze sprawy niż współpraca z supermarketami. Gabinet był przestronny i jasny. Na ścianie wisiała flaga z żółtym kołem na biało-niebieskim tle.

– Ładna, prawda? – Hasior wskazał na nią, kiedy uścisnęli sobie ręce. – Ludziom się podoba, coraz chętniej rozwieszają ją w oknach albo przyczepiają do samochodów. I to nie tylko w naszym mieście, ale na całym Wybrzeżu. – Wypuścił z dłoni róg trójkolorowego prostokąta i spojrzał na gościa. – Co cię sprowadza?

– Pomyślałem, że mógłbym pomóc w... – Radek wykonał nieokreślony ruch.

– Pewnie, pewnie – podchwycił Hasior. – Każda pomoc się przyda. Jest tyle rzeczy do zrobienia, organizacja szkół, urzędów, służby zdrowia. Możesz wybierać.

– Wolałbym zostać w transporcie, ale robić coś dodatkowo, tak jak wtedy, kiedy pojechalśmy do... do... – udał, że nie pamięta nazwy miasteczka, gdzie mieszkała rodzina zamaskowanych rodaków.

– Aaa, o to ci chodzi. W naszym regionie sprawa jest już nieaktualna. Gdzieniedzie jeszcze tropią nielicznych ukrywających się, ale my zgarnęliśmy wszystkich. Nie bez powodu siedzę teraz w tym gabinecie – wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Rozumiem – Radek zrobił krok w stronę drzwi.

– Zaczekaj – Hasior poszperał wśród papierów na biurku. – Potrzebujemy ludzi w urzędzie celnym.

\* \* \*

Urząd celny? – Radek powtarzał w myślach, idąc długim korytarzem. W rękę trzymał list rekomendujący od Hasiora, ale w miarę jak mijał pokoje wypełnione mężczyznami w garniturach, jego dobry humor zniknął.

Złe przeczucia sprawdziły się – wprowadzono go do niewielkiego, zawałonego teczkami dokumentów gabinetu. Jego obowiązki miały polegać na koordynowaniu pracy urzędników, kartografów i ludzi w terenie, zbierających informacje o drogach, osiedlach i nowych budynkach, wyrastających w regionie jak grzyby po deszczu. Celem było stworzenie

aktualnych map i zgromadzenie jak największej liczby danych statystycznych lub – jak nazwał to dyrektor urzędu – „uchwycenie kompletnego obrazu naszego kawałka Wybrzeża”.

Radek otworzył pierwszą z brzegu teczkę. Rzędy liczb, opatrzone niezrozumiałym komentarzem. Westchnął. Posada za biurkiem, jak się w to wpakował?

\* \* \*

Jak zwykle obudził się przed świtem. Chciało mu się pić, a od leżenia przez całą noc w fotelu bolały go kości. Wyprostował zdrętwiałe nogi. Wtedy sobie przypomniał.

Minęło sporo czasu, pół godziny, może godzina, zanim usłyszał szelest kołdry oraz westchnienie Anki. Wiedział, że powinien wstać, ale nie mógł się ruszyć. Kanapa znowu zaskrzypiała.

– Byłeś tam? – zapytała dziewczyna.

Nie odpowiedział, nawet nie odwrócił głowy. Po odgłosach poznał, że Anka sięga po torebkę i zapala papierosa. Kiedyś nie paliła. Zaczęła mniej więcej wtedy, gdy rozpoczęły się kłopoty z jej dostawcą, kimkolwiek on był.

– Wciąż pamiętam, kiedy pierwszy raz się tam znalazłam – powiedziała. – Wcześniej tylko egzotyczne miejsca, przygody i nagle... Pierwsze chwile były nawet przyjemne – zaciągnęła się. – Miałam tam córeczkę, urodziłam ją wcześniej, bardzo wcześniej. Jej ojciec szybko uciekł, to rodzice mi pomagali. Dzięki nim wróciłam do szkoły, potem zdałam na studia, dobrze sobie radziłam – znowu przerwała.

Radek, wciąż wpatrzony w sufit, wyobrażał sobie, jak dziewczyna podnosi do ust papierosa, a potem wypuszcza kłąb dymu.

– W gruncie rzeczy traktowałam ją jak młodszą siostrę, ale w końcu to było moje dziecko, więc kiedy pierwszy raz ją zobaczyłam... Ale razem z nią wróciło wszystko inne. Najpierw rodzice i studia. Studiowałam chemię. Mówiłam ci, że byłam niezła? – Nie odpowiedział. – Naprawdę niezła. Dostałam stypendium na Wyspie. Ale wtedy oni powiedzieli, że dłużej nie będą się opiekować małą. Powtarzali, że muszę wreszcie stać się matką. Spanikowałam. Spakowałam walizki i wyjechałam. Tylko, że tutaj... Niby wiedziałam, że to inny kraj, inni ludzie, ale i tak nie mogłam się z nimi dogadać. Co z tego, że mówią tym samym językiem? Wszystko przez te ich twarze... Więc po tygodniu zadzwoniłam do rodziców, żeby im powiedzieć, że zamierzam wrócić, ale oni nawet nie chcieli ze mną rozmawiać. A parę dni później ich zalało – kanapa zaskrzypiała. Radek niemal widział, jak dziewczyna rozgląda się w poszukiwaniu popielniczki. – I teraz za każdym razem, kiedy tam jestem, wszystko odbywa się tak samo. Pakuję rzeczy i uciekam. Nie chcę jej ze sobą zabrać, nawet o tym nie myślę, choć tym razem wiem, co ją czeka.

W pokoju pojaśniało. Z ulicy dochodziły odgłosy porannego ruchu. On też powinien być w drodze do pracy. Zamknął oczy.

– Dlaczego tam wracasz? – zapytał ochrypłym głosem.

– Nie wiem – znów metaliczny szcęk zapalniczki. – Pewnie teraz myślisz, że już nigdy więcej nie weźmiesz do ust kokli – zaśmiała się. – Tak ci się tylko wydaje.

Miała rację. W następną niedzielę znów podzielili się słoiczkiem kokli z szybko topniejących zapasów Anki. Radek pił więcej wódki niż zwykle. Wiedział, gdzie zaraz się znajdzie, i chciał dodać sobie odwagi. Do smaku kokli przyzwyczał się już dawno.

Rankiem przez kilka godzin leżeli w milczeniu. Anka paliła papierosa za papierosem, wreszcie koło południa zwlekła się z kanapy. Trzasnęły drzwi. Później zadzwonił telefon. Pewnie z biura, pomyślał Radek, ale nie wstawał z fotela.

Wciąż patrzył w sufit.

\* \* \*

Znów szedł wąskim korytarzem urzędu i znowu po jego głowie krążyły ponure myśli. Wezwano go do dyrektora i Radek doskonale wiedział, czego oczekiwać po spotkaniu. Nie stawił się w pracy przez trzy poniedziałki z rzędu.

Przypomniawszy sobie o tubce, która znajdowała się w skrytce na dnie szafy. Jakiś czas temu Anka przeniosła do mieszkania Radka swój cały zapas kokli, a teraz została z niego tubka lekceważonej pasty. A tak liczył, że nowa praca pozwoli mu zdobyć więcej kokli.

Kiedy po godzinie wyszedł z gabinetu dyrektora, nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Nie tylko nie został zwolniony, ale przeniesiono go do pracy w terenie.

– Na pewno zauważył pan, że w dotychczasowych badaniach nie uwzględniliśmy pewnych obszarów – mówił dyrektor.

Czy zauważył? Białe plamy na mapach intrygowały go od dawna. W regionie każda droga, ścieżka czy budynek zdawały się być wymierzone, obfotografowane i umieszczone na planach. Tylko dwa małe rejony były z jakichś powodów systematycznie pomijane.

– Zamierzamy to zmienić, ale do obserwacji tych terenów potrzebujemy zaufanych ludzi – mężczyzna spojrzawszy na Radka i pytająco uniósł brwi.

– Jestem gotów...

– Świetnie, na to liczyłem – dyrektor nie pozwolił mu dokończyć. Rozmowa była skończona.

– Przepraszam, ale... – Radek chrząknął jeszcze niepewnie. – Co dokładnie znajduje się na tych obszarach?

Dyrektor podniósł wzrok znad papierów.

– Elektrownie jądrowe.

\* \* \*

Dostał sprzęt fotograficzny, lornetki, samochód oraz nowe dokumenty: małą książeczkę w ozdobionej flagą oprawie. Kiedy na granicy wyciągał ją z kieszeni, twarze strażników tężały i Radek przejeżdżał nawet bez pobieżnej kontroli.

A po drugiej stronie mógł robić, co chciał.

Maskę zakładał jeszcze w samochodzie. Potem wchodził do sklepu, sięgał po koszyk i zachowywał się jak każdy inny klient. Kupował pieczywo, masło, mleko. I kokle.

Maska nie pasowała na niego zbyt dobrze, twarz mężczyzny, do którego wcześniej należała, musiała być nieco węższa od twarzy Radka, bo mniej więcej po kwadransie od założenia cieniutkie brzegi po bokach, nazbyt naciągnięte, zaczynały się odklejać. Jednak te kilkanaście minut wystarczało w zupełności.

W czasie dwóch dni Radek zdobył siedem słoików oraz kilka puszek. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy pokaże je Ance.

A jednak w niedzielę, kiedy z zapasem wódki i jedzenia wszedł do mieszkania, od razu wiedział, że się spóźnił. W powietrzu unosił się ostry zapach kokli – od kiedy przestał pracować w przetwórni, znów dla niego wyczuwalny – a na stole stały dwa puste słoiki.

Na podłodze leżała Anka.

Radek potrząsnął nią kilka razy. Nie otworzyła oczu, ale wymamrotała jakieś niewyraźne słowa. Odetchnął z ulgą. Zaniósł ją do sypialni i położył na łóżku. Wciąż był mocno zaniepokojony i nawet zastanawiał się, czy wezwać pogotowie. W końcu po prostu usiadł obok Anki. Czuwał przez całą noc, zasnął dopiero przed świtem.

\* \* \*

– Obudź się! Słyszysz?

Podniósł powieki i zobaczył Ankę.

– Wreszcie! – Przewróciła oczami. – Naćpałeś się, czy co?

Chłopak powoli się rozbudzał. Przypomniał sobie poprzedni wieczór.

– Ja? – zapytał ze złością. – A kto zjadł dwa słoiki kokli?!

Dziewczyna wzruszyła ramionami, na jej wargach błąkał się uśmiech.

– Co się stało?

Anka jakby czekała na to pytanie.

– Zostałam z nimi.

– Co?

– Nigdzie nie wyjechałam! Kupiłam bilet, ale zaraz go wyrzuciłam – tłumaczyła podekscytowanym tonem. – Woda zaczęła się podnosić, a my siedzieliśmy akurat przy stole. Kiedy pierwsza fala zalała mi kostki, przestraszyłam się, ale wtedy – przełknęła ślinę – wtedy Marysia, moja córka, zaczęła chichotać, tak zaraźliwie, że wkrótce wszyscy do niej dołączyliśmy. A kiedy woda zakryła nam głowy i z naszych ust zaczęły wydostawać się

małeńkie pęcherzyki powietrza, ze śmiechu pospadaliśmy z krzesel. Dopiero moja mama przywołała nas do porządku. Znowu usiedliśmy przy stole, popijaliśmy herbatę i jedliśmy ciasto. To było niesamowite. Znajdowaliśmy się pod wodą, ale wszystko wyglądało tak zwyczajnie. W filiżankach parowała herbata, okruszki spadały na stół, a na ścianie wisiał ten sam okropny obraz, który pamiętam jeszcze z dzieciństwa.

Radek otworzył usta, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Popatrzył na dziewczynę i cała złość z niego wyparowała. Porozmawiają za tydzień. Dziś nie będzie psuł jej humoru. Ale – dwa słoiki! Przecież to się mogło źle skończyć... Jego wzrok zahaczył o stojący na stoliku zegarek. Zerwał się na równe nogi.

– W końcu naprawdę wyrzucą mnie z roboty – rzucił już w progu.

\* \* \*

Czekał całe popołudnie. Niecierpliwił się, wciąż wyglądał przez okno. Spokojną zazwyczaj ulicą przechodziło sporo ludzi, w rękę trzymali flagi. Po Ance nie było śladu.

Radek sięgnął po portfel i przetrząsnął jego zawartość. Wreszcie ze środka jednej z przegródek wyciągnął pogiętą karteczkę, tę samą, którą kiedyś znalazł pod drzwiami pokoju w pensjonacie pani Góreckiej. U dołu, pod adresem miejsca, gdzie odbywały się szkolenia dla koklarzy, znajdował się numer telefonu Anki.

Nikt nie odbierał, choć dzwonił kilka razy. Wreszcie się poddał i znowu podszedł do okna. Ściemniło się, ulica opustoszała. Nad plażą wybuchły sztuczne ognie, najpierw pojedyncze, potem dziesiątki jednoczesnych eksplozji. To samo działo się dziś na całym Wybrzeżu. Radek zamknął oczy i wyobraził sobie, jak Wyspa wygląda w tej chwili z góry. Zobaczył czarny ocean i migoczący kolorami fajerwerków nieregularny kontur, doskonale oddający każdą wypustkę i wcięcie poszarpanej linii brzegowej lądu. Światła miast w głębi Wyspy zbladły, prawie znikły, jakby tej nocy na całej Ziemi nie było niczego poza świętującym Wybrzeżem.

Wzdrygnął się. Widocznie wcześniej zbyt długo wpatrywał się w specjalnie przygotowaną na negocjacje mapę Wyspy. Wybrzeże zaznaczono na niej żółtym, jaskrawo odcinającym się od reszty lądu paskiem.

Mapa leżała na środku stołu. Z boku siedzieli negocjatorzy Wyspiarzy, naprzeciwko – przedstawiciele Wybrzeża, wśród nich Radek. Rokowania trwały już kilka tygodni, ale jego wezwano tylko na jedno popołudnie. Poza Hasiorem, który był teraz tak ważną szychą, że chłopak nawet nie śmiał z nim porozmawiać, nie znał nikogo ze zgromadzonych. Drgnął, kiedy usłyszał swoje nazwisko. Z teczki wyjął gruby plik materiałów i rozpoczął prezentację.

Jego słowa nie wywarły wrażenia na Wyspiarzach. Jeden z nich sięgnął po zdjęcie przedstawiające wysoki mur i fragment szarego budynku.

– Jeśli to – mężczyzna zamachał fotografią – jest najlepsze, na co was stać, to przekazanie elektrowni w wasze ręce byłoby samobójstwem.

Radek nic nie powiedział. Nie czuł się na siłach, żeby się bronić. Ekspertem w dziedzinie energii jądrowej zrobiono go z dnia na dzień, nawet nie pytając o zgodę. Przy przygotowaniu prezentacji miał do dyspozycji tylko dane, które wcześniej sam zgromadził, obserwując drogi dojazdowe do elektrowni i przyglądając się działaniu ochrony.

Utkwił wzrok w mapie na stole i po raz pierwszy zdał sobie sprawę ze skali zmian na Wybrzeżu. Szkolenia koklarzy, rozbudowa przetwórnictwa i administracji, wytyczanie granic i tworzenie punktów kontrolnych... Wszystko to odbywało się równocześnie na każdym skrawku brzegu.

– Dlatego proponujemy roczny okres przejściowy, który pozwoli nam uzupełnić braki – odezwał się wreszcie któryś z delegatów Wybrzeża.

Wyspiarze pokiwali głowami, ale po ich sztywnych ramionach i przyciśniętych do ciała łokciach Radek poznał, że nie zamierzają ustąpić.

Miał rację. Wiadomości, jakie docierały na Wybrzeże w następnych tygodniach, nie były pomyslnie. Negocjacje utknęły w martwym punkcie. Euforyczne nastroje wśród pracowników urzędu celnego, gdzie Radek znów codziennie przychodził, ostygły.

I wtedy gruchnęła wieść o drapieźniku.

Daleko od brzegu potworne zwierzęce monstra atakowały bezbronnych koklarzy. Były ofiary. Natychmiast zawieszono wyprawy. Linie produkcyjne w przetwórnictwie stanęły, a w sklepach w głębi lądu po raz pierwszy zabrakło tak pożądanego słoiczka i puszek. Demonstracje niezadowolonych Wyspiarzy wkrótce przerodziły się w krwawe zamieszki.

Radek zerknął na zegarek. Po ósmej. Anka już nie przyjdzie. Pewnie jest teraz na plaży. Bawi się, jak wszyscy. Nagły impuls sprawił, że Radek sięgnął po kurtkę. Chwilę później biegł już chodnikiem.

Wkrótce musiał zwolnić. Im bliżej był morza, tym więcej ludzi pojawiało się na ulicach. Kiedy wreszcie minął ostatni rząd zabudowań, przystanął osłupiały. Plażę wypełniał rozgorączkowany tłum, masa ludzka ucinająca się dopiero tam, gdzie zaczynało się morze. Przyływ, Radek szybko ocenił i przeniósł wzrok na tłum. Nie przypuszczał, że miasto ma aż tylu mieszkańców. Jak ją tu znajdzie?

Z trudem przedzierał się pomiędzy postaciami. Ludzie wymachiwali flagami, krzyčili, śmiali się i tańczyli. Ich wykrzywione twarze raz po raz rozświeślały światła ogni sztucznych. Żółte. Białe. Niebieskie. Radek przypomniał sobie dzień, kiedy tu przyjechał. Brzydota mieszkańców Wybrzeża przeraziła go. Wydali mu się obcy, jakby należeli do innej rasy. Później zrozumiał, że wzrok i przyzwyczajenie oszukały go: twarze tutejszych ludzi wyglądały normalnie, wcale nie gorzej niż jego własna. A teraz poczucie obcości wróciło. Zdawał się być jedynym człowiekiem, któremu nie udzieliła się powszechna euforia. A



przecież powodów do radości było aż nadto. Wyspiarze zgodzili się na wszystkie żądania Wybrzeża, uznając jego niezależność, granice i prawo do elektrowni jądrowych.

W górze rozległa się muzyka. Zadarł głowę i zobaczył zamontowany na latarni głośnik. Tłum oszalał, dziesiątki rąk wystrzeliło w górę, wybijając w powietrzu ten sam rytm, usta otwierały się i zamykały w zaskakującej zgodności, ale żadne słowa nie docierały do uszu Radka. Zamilkły nawet fajerwerki, wciąż bryzgające kolorami w ciemne niebo. Wszystko zagłuszyła muzyka, niczym rozhukany żywioł, jak fala powodzi. Anka... Znów ruszył, na oślep, byle dalej od głośnika.

Hałas przycichł i zrobiło się trochę luźniej. Radek wyczuł pod stopami twarde płyty chodnika i zdał sobie sprawę, że zamiast posuwać się w stronę morza, nieświadomie odbił z powrotem ku lądowi. Przed sobą zobaczył fasady sklepów i restauracji. Już miał z powrotem zanurzyć się w tłumie, kiedy ten się rozstał. Chłopak osłupiał i dopiero na widok służby porządkowej otrzeźwiał.

Przejście nie powstało dla niego, przeciwnie, on był jednym z tych, których mężczyźni w szarych kurtkach rozganiali na boki. Odskoczył, w ostatniej chwili unikając konfrontacji. Ochroniarz minął go, już wpatrzony w następną przeszkodę – a za nim ukazała się Anka. Na ramiona miała zarzucony czarny płaszcz, pod spodem ubrana była w lekką sukienkę. Drżała z zimna. Jej twarz w żaden sposób nie zdradziła, że poznaje Radka. A jednak zamiast podążyć przygotowaną dla niej ścieżką, zrobiła krok w jego stronę.

– Za godzinę w Ogrodach Zimowych – powiedziała.

Wokół jej talii owinęła się męska ręka i pociągnęła ją do przodu, a z tłumu wyłoniła się twarz Hasiora. Jego wzrok na sekundę zatrzymał się na Radku, ale za chwilę i on zniknął, a między ochroniarzami przemknęli kolejni oficjele i ich elegancko ubrane żony. Wszyscy skryli się za drzwiami restauracji.

\* \* \*

Anka czekała wtopiona w cień zrujnowanego gmachu z wieżyczką. Radek był spóźniony. Nikt nie wiedział, gdzie są Ogrody Zimowe, i dopiero mężczyzna ze służb porządkowych skierował go we właściwe miejsce.

Dziewczyna rozejrzała się, ale na ulicy nie było nikogo. Wszyscy świętowali na plaży, kilka przecznic dalej. W drzwiach budynku zamontowano nowoczesny zamek z klawiaturą. Dziewczyna szybko wstukała kod i oboje znaleźli się w środku. Otoczyła ich ciemność.

Radek usłyszał szelest płaszcza i poczuł poruszenie powietrza. Zrobił niepewny krok w stronę, w którą, jak mu się wydawało, poszła dziewczyna.

– Co to za miejsce? – przerwał ciszę.

– Ogrody Zimowe.

– Znaczy „Nie deptać trawy”? – zażartował Radek, próbując podtrzymać rozmowę. Głos Anki był jego jedynym drogowskazem w doskonałej czerni pomieszczenia.

– Tutaj nie musisz się o to martwić – słowa dziewczyny zabrzmiały z zaskakująco daleka.

Radek ruszył do przodu. Potknął się i zderzył z drewnianą powierzchnią jakiegoś mebla. Coś z łoskotem spadło na podłogę. Chłopak po omacku ominął przeszkodę.

– Ogrody Zimowe – Anka zdawała się nie zwracać uwagi na hałasy – to kompleks sal teatralnych i koncertowych. Zbudowano je na początku poprzedniego stulecia, kiedy miasto znajdowało się u szczytu popularności.

– Popularności? – jego ucho wychwyciło ciche skrzypnięcie zawiasów.

– Kiedyś był tu renomowany kurort. W czasie wojny podupadł i później nigdy już... – drzwi trzasnęły i słowa dziewczyny zamieniły się w szmer.

Radek przesunął się powoli. Wreszcie jego wyciągnięta ręka natrafiła na ścianę. Znalazł klamkę i pociągnął.

– ... rozpoczęli prace remontowe. Ale wkrótce potem, po zalaniu, przestraszeni Wyspiarze wynieśli się z Wybrzeża i o Ogródach Zimowych znowu zapomniano – słowa Anki dochodziły do niego powtórzone w kilku głuchych odbiciach, jak ze studni. Znajdowali się w korytarzu.

– Skąd to wiesz?

– Pracuję na pół etatu w urzędzie miasta, w dziale renowacji.

– Myślałem, że studiowałaś chemię.

– I co z tego? – jej głos zabrzmiał nagle bardzo blisko. – Zaczekaj.

Radek nasłuchiwał oddalających się kroków dziewczyny. Stuk, stuk. Wysunął stopę i wyczuł, że miękka wykładzina korytarza urywa się i dalej zaczyna się twarda powierzchnia. Wtedy oślepiły go światła.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył ogromną salę z połyskującym parkietem, żyrandolami i rzędem kolumn przy ścianie. Jedyne zabite deskami okna psuły nieco wytworność pomieszczenia.

– Tylko salę balową – Anka wyciągnęła rękę niczym przewodnik oprowadzający turystów – zdążyli odrestaurować. Dlaczego dzwoniłeś?

Niespodziewane pytanie oraz jego ton zmieszały chłopaka.

– Nie przychodziłaś...

Nie odezwała się. W ciszy zabrzmiały dalekie wystrzały fajerwerków.

– Teraz wiem, że miałaś ważne powody – ledwie wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, że zachowuje się jak zazdrosny dzieciak. Zaciśnął zęby ze złości i wcisnął ręce do kieszeni. Palce natknęły się na miękką gumę. – Właściwie... – sięgnęły głębiej – ...właściwie chciałem cię o coś prosić – w jego wyciągniętej dłoni ukazała się maska. – Chciałbym, żebyś to założyła.

Dziewczyna, bez słowa, długo patrzyła na maskę. Wreszcie założyła ją.

– Czy tak?

– Ciii... Nic nie mów – Radek przyłożył palec do ust.

Głos, niski i rzeczowy, należał do Anki, ale jej twarz była teraz twarzą Katie.

Szybko wyłowił z kieszeni drugą maskę i założył ją. Stali teraz naprzeciwko siebie, dokładnie tak, jak sobie wyobrażał: Katie i on, razem. Tacy sami.

Tego wieczora podczas akcji z Hasiorem, prawie pół roku wcześniej, sięgnął po maski z ciekawości. Chciał sprawdzić, z czego są zrobione. Ale potem zaczął go prześladować widok, jaki zobaczył przez okno, jeszcze z samochodu: siedząca przy stole szczęśliwa rodzina, taka sama jak w sąsiednich domach. Wtedy zdecydował, że nie zniszczy masek. Nie mógł się powstrzymać, aby wciąż ich nie oglądać, dotykać, starał się zawsze mieć je przy sobie.

Jak wyglądałoby jego życie, gdyby wcześniej o nich wiedział? Być może razem z Katie zasiadałby właśnie do kolacji, gdzieś w murowanym domku, przy ładnie zastawionym stole? Nigdy nie zdejmowałby maski, zwłaszcza w obecności Katie, aby nie przypominać jej, że tylko udaje, że urodził się z białą, nieruchomą twarzą – tak jak urodziła się ona.

Może nigdy nie doszłoby do tej okropnej sceny, kiedy skaleczył i upokorzył Katie. Tamtego dnia widział ją po raz ostatni. Przestała przychodzić na niedzielne spotkania w zoo, zmieniła pracę.

A teraz stała obok. Choć w myślach odgrywał tę scenę dziesiątki razy, nie mógł wydusić słowa. Zaschło mu w gardle. Wreszcie wyciągnął rękę. Przecież byli w sali balowej.

Katie poruszała się w tańcu lekko, jej kroki szybko dopasowały się do melodii, która rozbrzmiewała w głowie Radka. On spoglądał w twarz dziewczyny, zdeterminowany, aby nie odwracać wzroku, tak jak to robił dawniej. Ale im dłużej patrzył, tym wyraźniej spod harmonijnych rysów przebijała twarz Anki.

Przystanął. Poczuł, jak koszula lepi mu się do pleców.

– Ryzykujesz, nosząc je ze sobą, zwłaszcza w taki wieczór – powiedziała Anka zduszonym głosem i zrzuciła maskę na parkiet. Zanim Radek zdążył zareagować, wybiegła z sali.

Minęło sporo czasu, ale wreszcie odnalazł drzwi na pustą ulicę.

Gdzieś po drodze, w mrocznym korytarzu albo w zastawionym meblami pomieszczeniu przy wyjściu, ściągnął maskę i upuścił ją na podłogę. Druga została w rozświetlonej sali balowej.

\* \* \*

Radek otrząsnął się z ciężkiego snu i zadrzał z zimna. Naciągnął kurtkę na ramiona, skostniałe dłonie wsunął między kolana i z powrotem przyłożył głowę do wilgotnego piasku.

– Wstawaj, mówię!

Otworzył oczy i zobaczył Hasióra.

– O co chodzi? – zapytał, podnosząc się z trudem. Przed oczami mignęły mu sceny z nocy. Tłum, tańce i fajerwerki. Przypomniał sobie wstrętny smak taniej wódki i widok jaśniejszego nieba nad czarnym morzem. Zerknął na zegarek. Szósta. Nie spał nawet godziny.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział Hasior.

– Jasne, jasne... – wymamrotał.

– Idziemy.

Hasior ruszył w głąb plaży, a Radek powlókł się za nim. Chłopak miał zawroty głowy i ściśnięty żołądek, ale nawet nie pomyślał, że mógłby zaprotestować. Przyzwyczyił się do wykonywania poleceń Hasiora.

Słońce wzeszło, ale zasłaniały je niskie chmury. Gęsta mgła zakryła większość śladów po wczorajszej zabawie. Radek wbił wzrok w plecy Hasiora i całą energię włożył w to, żeby dotrzymać mu kroku. Buty coraz głębiej zapadały się w muł. Przydałyby się kalosze koklarzy pomyślał. Tknięty nagłym przeczuciem obejrzał się, ale zobaczył jedynie ścianę mgły.

– Gdzie idziemy?! – wykrzyknął.

Hasior powoli się odwrócił. W chwili, gdy spotkały się ich spojrzenia, Radek wreszcie sobie przypomniał. Sala balowa, maski. Anka. Anka i Hasior.

– Ktoś musi rozprawić się z drapieżnikiem. Jeśli nie zaczniemy na nowo sprzedawać kokli, nasze młode państwo wkrótce zbankrutuje.

Słowa mężczyzny docierały do Radka z opóźnieniem.

– Więc to nie był blef?!

– Na własne oczy widziałem zmasakrowane ciała koklarzy.

– Co dokładnie chcesz zrobić?

– Jeszcze nie wiem – Hasior wzruszył ramionami. Z kieszeni płaszcza wyjął piersiówkę i pociągnął solidnego łyka. – Jak zwykle, wszystko na mojej głowie. Banda osłów z rządu siedzi w wygodnym gabinecie, a ja muszę odwalać czarną robotę.

W jego głosie zabrzmiało rozgoryczenie.

Radek znów zerknął do tyłu. Mgła jeszcze zgęstniała, a ślady kroków rozmyły się w przypominającym gęstą żupę piasku. Chłopak poszedł za Hasiorem. Nie miał innego wyjścia.

Już wytrzeźwiał. Poruszał się sprawnie i uważnie rozglądał na boki. Jedynie pragnienie wciąż mu dokuczało, ale nie chciał prosić choćby o łyk z butelki przewodnika, jak w myślach znowu nazywał Hasiora. Starał się trzymać kilka metrów za jego plecami.

Minęła dziewiąta, ale mgła się nie podnosiła. Radek nie miał pojęcia, gdzie jest ląd, a gdzie morze. Co chwilę mijali zagłębienia z rdzawym osadem – zakaz zbierania kokli spowodował, że kolonie się rozrosły. Po tajemniczym drapieżniku nie było śladu. Radek znowu zerknął na zegarek, jakby na wyblakłej tarczy mógł znaleźć odpowiedź na pytanie, kiedy zaczyna się przypływ.

Z niepokojem obserwował Hasiora. Przewodnik zdawał się błądzić między koloniami kokli, skręcał raz w lewo, raz w prawo, a jego kroki nie były już takie zdecydowane.

– Może powinniśmy wracać? – Radek odważył się zapytać.

– Może.

Hasior przystanął i Radek niespodziewanie znalazł się ledwie dwa kroki od niego. Mętne spojrzenie przewodnika świadczyło, że często popijał z butelki.

– Nie istnieje żaden drapieżnik, prawda?

– Oczywiście, że istnieje – Hasior wycelował palec w chłopaka.

Radek wbił wzrok w buty. Za wszelką cenę chciał uniknąć konfrontacji.

– Kiedy ją poznałem, zrobiłaby wszystko dla odrobiny kokli. Wszystko, rozumiesz? To ja ją z tego wyciągnąłem. Załatwiłem pracę, mieszkanie. Nie byłem głupi, wiedziałem, co znaczy nałóg. Przynosiłem kokle, czyste i świeże, nie zgniłe ochłapy, jakie rzucali jej koklarze.

Hasior podniósł do ust piersiówkę i czekał, aż z dna spłynie resztkę alkoholu. Znow przypomniawszy sobie chwilę, kiedy zrozumiał, że Anka już nie wróci i że wyjście do łazienki było tylko pretekstem do ucieczki. Jak mogła zostawić go w takiej chwili? Kolacja ledwie się rozpoczęła i skostniała z zimna po uroczystościach na plaży kobiety dopiero zaczęły odzyskiwać zwykłe kolory. „Może pani Ania źle się poczuła?” – zapytał świeżo nominowany burmistrz miasta. „Pójdę sprawdzić” – zaoferowała żona nowego prokuratora. A on, upokorzony, siedział obok pustego krzesła, odtwarzając w wyobraźni moment, kiedy w tłumie zobaczył razem Ankę i Radka. I wciąż się uśmiechał, tak mocno, aż rozboleły go policzki. Zupełnie jak wtedy, kiedy po zakończeniu negocjacji ogłoszono skład rządu, a jego nazwiska nie było wśród nominowanych.

Cisnął w piach pustą butelkę.

– Ale miałem plan: każdego miesiąca przynosiłem coraz mniej kokli. Wszystko było na dobrej drodze... Nie mogłem mieć jej cały czas na oku, praca, ciągłe wyjazdy. Ale szybko zorientowałem się, że dostaje towar na boku. Tylko nie wiedziałem, że od ciebie.

Radek podniósł głowę, ale Hasiora już przed nim nie było. Jego chwiejna sylwetka powoli zniknęła we mgle. Chłopak pospieszył za nim, tylko przewodnik mógł zaprowadzić go na ląd.

– Pomyśleć, że miałem wobec ciebie spore nadzieje – słowa wylewały się z ust Hasiora jedno za drugim. – Z twoją znajomością Wyspiarzy mogłeś zejść wysoko. Naprawdę w ciebie wierzyłem. Pomagałem, jak mogłem. A ty wykorzystałaś moje zaufanie. Ale najgorsze, co zrobiłaś, to zrujnowałaś dziewczynie życie. Ze mną miała szansę, a z tobą... Z tobą znowu stoczy się na dno.

Radek zagryzł wargi. Od nocy, kiedy Anka połknęła zawartość dwóch słoików, minęły trzy miesiące. Mówiła, że z tym już koniec. Ale czy mógł jej wierzyć?

– Jeszcze nie widziałeś jej takiej, skomlącej o jednego paskudnego robala... Pośmiewisko dla koklarzy. Szkoda dziewczyny, jest młoda. Miałaby całe życie przed sobą, gdyby wreszcie

uwolniła się od przeszłości. Co ją tam trzyma? Pewnie jakaś młodzięcza miłość, ściskanie się za ręce pod szkolną ławką i pocałunki w parku! Czy z takiego powodu warto...

– Ile lat ma Anka? – Radek nie pozwolił mu dokończyć.

– Dwadzieścia dwa – Hasióra zaskoczyło pytanie.

– Niemożliwe. Siedem lat temu miałyby piętnaście, zbyt mało, żeby studiować.

– Siedem lat temu?

– Powiedziała mi, że na Wyspę przyjechała w związku ze stypendium studenckim, a zaraz potem nastąpiła katastrofa.

– Nie powinienes wierzyć we wszystko, co mówi Anka.

Radek nie słuchał.

– A ty, kiedy przyjechałeś na Wyspę? – zapytał Hasióra.

– Tuż przed zalaniem.

– Czyli dokładnie tak jak Anka. I tak jak ja – wymruczał Radek. – Tuż przed zalaniem...

Czyli kiedy dokładnie?

– Słuchaj, nie zamierzam grzebać się w przeszłości. Teraz ważna jest tylko przyszłość, tylko... – Hasiór rozpiął guziki płaszcza i uderzył pięścią w przypiętą do klapy marynarki plaketkę z trójkolorową flagą. – ...tylko to. Przeszłość nie istnieje. Została zalana, rozumiesz?

Mężczyzna przypomniał sobie dziesiątki dyskusji, jakie przeprowadzał, kiedy Wybrzeże zaczęło ubiegać się o niezależność. Nie, nie ma mowy o zdradzie, tłumaczył. Musimy budować nową przyszłość, przekonywał. I w końcu wszystkich przekonał, najlepszym na to dowodem była radość na twarzach ludzi podczas wczorajszego święta. Wątpiących, takich jak Radek, zostało niewiele. Ale i z nimi sobie poradzi.

– Zalana... – powtórzył chłopak i z nagłym przerażeniem spojrzał na zegarek. Mała wskazówka była już na godzinie dziesiątej.

– Musimy wracać! – wykrzyknął. Według jego obliczeń przyływ musiał się już rozpocząć.

– Nie – Hasiór pokręcił głową. – Na Wyspie nie ma miejsca dla nas dwóch.

– O czym ty mówisz?

– Musimy się rozdzielić.

– Co?

– Słyszałeś.

– Ale ja nie wiem, w którą stronę iść!

Hasiór usiłował zakręcić się na pięcie, ale nie docenił ilości alkoholu krążącego w jego krwi, omal nie stracił równowagi.

– A myślisz, że ja wiem? – rozłożył ręce, imitując bezradność Radka.

Chłopak milczał, czekając, aż z twarzy przewodnika zniknie uśmiech. Nie podobał mu się ten grymas.

– Ok, ok... Widzę, że mi nie wierzysz – Hasior podniósł obie dłonie niczym oddający się w niewolę żołnierz. – Zróbmy tak: ty pierwszy wybierzesz kierunek, a ja pójdę w przeciwną stronę.

Chłopak wciąż gapił się bez słowa.

– Zatem chyba tutaj zostaniemy... – przewodnik nonszalancko rozejrzał się wokół siebie, jakby szukał krzesła.

Radek wreszcie oderwał wzrok od Hasiora. Mgła wciąż wisiała nisko, niebo przypominało przylegającą do ziemi pokrywkę garnka. Radek musiał wybierać. Nie było czasu, nie mógł już zwlekać. Jego ręka wystrzeliła z kieszeni kurtki i wskazała w lewo.

– Więc ja pójdę tam – Hasior pokazał w przeciwnym kierunku. Jego twarz wciąż rozciągał uśmiech.

Radek poczuł, jak żołądek kurczy mu się ze strachu. Czyżby źle wybrał? Czyżby tamten jednak wiedział, gdzie jest Wyspa?

Hasior ruszył pierwszy. Potem Radek. Przez chwilę wyglądali jak pojedynkujący się, którzy odwróceni do siebie plecami odliczają kroki, by po dziesięciu, może dwudziestu, wypalić z pistoletów. Oni jednak szli dalej, aż rozdzieliła ich gruba ściana mgły.

Radek zatrzymał się.

Jeśli miał zawrócić i pójść za Hasiorem, jak planował, musiał się teraz zdecydować. Jeszcze chwila i nie zdoła go odnaleźć. Co robić? Musi wrócić na Wyspę! Musi dowiedzieć się prawdy o zalaniu. Czy możliwe, że kataklizmu nigdy nie było? Że wydarzył się tylko w ich wyobraźni?

W jego głowie, w głowie Hasiora, Anki, wszystkich przybyszów na Wyspę?

Tysiące pojedynczych kataklizmów, indywidualnych apokalips?

Anka, musi spotkać się z Anką. Wczoraj w nocy myślał, że swoim zachowaniem w sali balowej wszystko zepsuł, ale teraz wierzył, że uda mu się wyjaśnić dziewczynie, co naprawdę się stało. Musi tylko z nią porozmawiać, jeszcze zanim zrobi to Hasior.

Uczył niepewny krok do przodu, potem następny.

Stopniowo nabierał prędkości.

\* \* \*

Początkowo Hasior szedł w linii prostej, ale wkrótce nogi same odbiły w prawo, potem w lewo. Jednak tym razem jego świadomość zarejestrowała skręt i powrócił do, jak mu się wydawało, pierwotnego kierunku. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, ale była pusta. Przypomniał sobie, jak wyrzucał opróżnioną butelkę, i zerknął na zegarek. Bary na Wybrzeżu wkrótce będą się otwierać, pomyślał. Ruszył z większą werwą.

Szedł długo, aż wreszcie, wyczerpany marszem, musiał się zatrzymać. Przez chwilę oddychał głęboko, potem zadarł głowę do góry.

Wyblakłe słońce po raz pierwszy tego dnia przebiło się przez wełnę chmur.

Ruszył przed siebie z jeszcze większą energią.

Przeciął rozległe zagłębienie, wypełnione wodą niczym płytki brodzik. Chlapało na boki, ale on nie zwalniał.

Biegł. Każdy pokonany metr mógł zdecydować o życiu lub śmierci. Poczł przyływ sił. Mgła zaczęła rzednąć.

Słońce odbiło się w kałużach. Osad na ich brzegach rozbłysnął czystą czerwienią. Nie zwracał na to uwagi.

Patrzył tylko przed siebie. Nie miał odwagi, aby się odwrócić albo sprawdzić na zegarku godzinę. Wreszcie przymknął oczy, jakby nie potrafił im uwierzyć. Ale zaraz podniósł wzrok.

Wydawało mu się, że... Zmrużył powieki.

Na horyzoncie pojawiła się błyszcząca nitka. Woda, czy niebo nad lądem?

Ruszył w tamtym kierunku.

*Joanna Skalska*



**Paweł Majka** – urodzony w Krakowie, mieszka tam nadal. Nie zapominając o młodzieńczej publikacji w „Świecie Młodych”, za poważny debiut uznać wypada opowiadanie *Poświat* w antologii *Tempus Fugit* Fabryki Słów (2006). Publikował w magazynach sieciowych: „Fahrenheit” (także pod pseudonimem: Paweł Czerwiec) i „Esensja” oraz w miesięczniku „Science Fiction, Fantasy & Horror”. Obecnie szlifuje stare opowiadania i mozolnie wstukuje na cierpliwy dysk twardy dwie powieści, które ma nadzieję wydać.

### **O fantastyce i pisaniu:**

Książki wynajdowałem w biblioteczkę mojego dziadka, zanim jeszcze nauczyłem się czytać. Przyglądałem się wówczas okładkom i wymyślałem do nich własne historie. Długo moim numerem jeden byli *Trzej muszkietierowie*, z dynamiczną okładką przedstawiającą D’Artagnana w zwycięskim starciu z przygniacionym do ziemi przeciwnikiem. Potem jednak znalazłem na półce niewielką książeczkę, której okładka pyszniła się otuloną płonąca czerwono atmosferą planetą, ku której zmierzała niewielka biała, a może srebrna rakieta. Świat zmienił się dla mnie na zawsze.

Pozostałem wielbicielem dzielnych muszkietierów, jednak powieści, w których rakiety wzbijały się w kosmos, zapanowały nad moją wyobraźnią. Zresztą, nie tylko powieści – zaczytywałem się w encyklopedycznych opracowaniach poświęconych kosmonautyce, a także w książkach poświęconych astronomii. Połknąłem bakcyła. I chyba tylko tak potrafię wyjaśnić swoją do fantastyki sympatię.

Nie wiem, czy fantastyka potrafi lepiej opisywać, czy wyjaśniać rzeczywistość. Z pewnością dysponuje odpowiednimi gadżetami, by uprościć czytelnikowi i autorowi zmaganie się z obcością lub widowiskowe sięganie po kosmologiczne tajemnice. Byli jednak pisarze, którzy doskonale radzili sobie z takimi wyzwaniami i bez fantastyki. Wszystko jest kwestią talentu, mądrości i wyobraźni, jak sądzę. Nie odnajduję w fantastyce wyjątkowej roli, poza tą jedynie, że właśnie fantastykę upodobałem sobie szczególnie. Ale jest to uczucie, jak większość miłości, irracjonalne; wyrosłe na chwili zauroczenia i opierające się na czasie, jaki spędzamy we dwoje.

Paweł Majka

# Oko Cyklonu

## I

Zachłysnęła się przestrzenią, gdy ta otoczyła ją niespodziewanie w samym środku niejasnego dotąd snu. Przez moment spoglądała na chronokręt z zewnątrz. Matowoczarny dysk, szczerzący obły wylot chronodziała, sunął ostrożnie przez pustkę. Najeżony tysiącami receptorów chronokręt studiował przestrzeń i czas. Gdzieś w jego głębi kwanputer Gottona pilnie zestawiał prawdopodobieństwa i szukał potencjalnych zagrożeń. Wszystko, co istniało i co mogło zaistnieć, stawało się na mgnienia rzeczywistością wirującą w czterowymiarowych wykresach. Zgodnie z teorią matematyka, który czterokrotnie cofał się w czasie, by przedstawić wyniki prac swemu młodszemu „ja”, strumienie możliwości splatały się w łańcuchy pewników, skłębionych wokół losu chronokrętu.

To wszystko nie zdało się na nic.

Ludzkie oko nie może dostrzec pulsowania przebudzonego *wampira*, które w ułamkach sekundy przechodzi w eksplozję. Sfera dodatniego czasu wzrosła zbyt szybko, by człowiek mógł zareagować, i wchłonęła dziób chronokrętu.

Jednak we śnie Tana zobaczyła czarny wirujący kłęb śmierci, wystrzeliwujący ku chronokrętowi tysiące macek, które nagle przekształciły się w rosnącą gwałtownie kulę. Wszystko to stanowiło grę wyobraźni – nie da się zobaczyć miny czasowej, zwanej potocznie „wampirem”, tak jak nie da się zobaczyć czasu. Sen rządzi się przecież własnymi prawami.

Wiedziała, co będzie dalej. Dlatego krzyknęła, gdy sen porwał ją do wnętrza zaatakowanego chronokrętu. Nigdy dotąd nie żałowała, że zdjęła blokadę ze swoich snów i pozwalała strzępojaźniom ujawniać się prawie każdej nocy. Ceniła doświadczenie i naukę, jakiej jej udzielały. No i były przecież – w większości – jej rodziną. A jednak teraz wykrzyczała hasło alarmowej blokady. I z przerażeniem stwierdziła, że nic się nie stało. Nadal tkwiła wewnątrz chronokrętu „Collen”, który ponad dwieście pięćdziesiąt lat wcześniej

nadział się na *wampira* podczas misji do Napoleona 8 i został niemal pożarty przez dodatni czas.

„Collen” już się broniła. Bąble namiotów czasowych zamknęły część załogi w zeroczasie. Równocześnie chronokręt wystrzelił własne sfery ujemnoczasowe, które powstrzymały rozwijające się zakażenie *wampira*.

Ale tam, dokąd trafiła Tana, wciąż umierali ludzie. Ginęli tak, jak wedle mitycznych przekazów ginęły zranione śmiertelnie wampiry. Dopadały ich wszystkie lata życia, tu przyspieszonego sekund. Ludzie w mgnieniu oka starzeli się, by błyskawicznie zmienić w rozkładające się zwłoki, potem szkielety i wreszcie zniknąć. W tle starzał się chronokręt. Blakły jego ściany, iskrzyły się kable wystrzeliwujące nagle z podłogi i sufitu. Tana stała pośrodku mijających błyskawicznie setek lat i nieobjęta ich wpływem patrzyła w twarz pradziadka, ukrytego bezpiecznie w polu zeroczasu. Powinien być zastygły, litościwie pozbawiony możliwości oglądania tego, co działo się z resztą załogi, a jednak patrzył na Tanę przytomnie – i mówił do niej coś, czego nie potrafiła zrozumieć.

– Wypuście mnie! – zawołała – Błagam, wypuście mnie stąd!

Słyszała historie o zbuntowanych strzępojaźniach opanowujących umysł nosiciela. Zapewniano ją jednak, że to zwykłe legendy, plotki wymyślane przez artystów bądź znużonych codziennością nudziarzy. Wierzyła, że tak właśnie jest.

Wyglądało na to, że się myliła.

– Uważaj – zrozumiała wreszcie słowa pradziadka. – Strzeż się. Ale nie zawracaj. Będziemy czujni.

Wtedy, wreszcie, wypuścili ją.

\* \* \*

Pierwsze sekundy jawy nie przyniosły ukojenia. Wciąż krzyczała. Rzucała się po łóżku, szukając ratunku w ciele mężczyzny, który powinien leżeć obok. Zatrwożona uświadomiła sobie, że jest sama. Paradoksalnie, to pozwoliło jej się opanować. Uspokoili się na tyle, by sprawdzić godzinę. Była piąta czasu Stacji Achillesa, jej szef, mentor i kochanek powinien leżeć obok, w całej potędze swego prestiżu i brzuszyska, i tulić ją, i nieporadnie uspokajać zaspanymi pieszczotami. Znała go na tyle, by wiedzieć, jak nienawidzi wczesnego wstawania. Jeśli zwłóknął się z łóżka o tak nieprzyzwoitej porze, miał ważny powód. Powód, którego nie znała.

Musiała podjąć decyzję, czym zająć się najpierw. Uznała, że trudno będzie jej znaleźć łóżkowego dezertera, i postanowiła najpierw skupić się na strzępojaźniach.

Być może chciały jej przekazać coś, czego nie udałoby im się powiedzieć na zwykłym poziomie kontaktu. Teoretycznie powinny móc przejmować kontrolę nad ciałem nosiciela w sytuacjach kryzysowych, tak jednak było tylko w pierwotnych modelach wojskowych. Armia

potrzebowała doświadczenia wszystkich swoich żołnierzy i nienawidziła marnotrawienia ich śmierci. Czarne skrzynki, zapisujące wszystkie doświadczenia, i technologia umożliwiająca przeszczepianie ich rekrutom pozwoliły nie tylko zredukować czas szkolenia do kilku godzin, ale i mogły niemal natychmiast z żółtodziobów tworzyć weteranów. Po wojnie tę technikę, jak i wiele innych, przejęli cywile.

W Oku Cyklonu każde dziecko uczono korzystania ze strzępojaźni. Tana usiadła wygodnie na podłodze i przymknęła oczy. Dłonie ułożyła w znak Telete, wyzwalając impuls zmuszający układ nerwowy do wejścia w tryb medytacji. Umysł Tany odseparował się od świata zewnętrznego.

Wyboru awatarów dokonywano pod opieką Mistrzów, po ukończeniu dwunastu lat, gdy uzyskiwano prawo do wszczepiania strzępojaźni. Rodzice Tany, urzędnicy średniego szczebla planujący dla córki karierę przewyższającą ich własne, nie tracili czasu. Dopuścili się drobnego oszustwa, przekupili kogo trzeba – i zaopatrzyli w strzępojaźnię trzyletnie dziecko.

Odnalazła siebie w postaci sroki – zuchwałego złodzieja i zabójcy o ostrym dziobie. Pozwoliła, by wewnątrz jej umysłu także panowała noc. Zjednoczyła się ze swym awatarem i wzbiła w powietrze. Odnalazła ogień jaśniejący pod Wielkim Drzewem Osobowości. Ostrożnie wylądowała przy ognisku. Wygłosiła wezwanie.

Drzewo zadrżało. Wiatr zagrał jego gałęziami i liśćmi. Po chwili z nisko położonej dziupli wybiegła wiewiórka. Zeskoczyła na ziemię i stanęła przed Taną.

*Jesteśmy. Słuchamy.*

– Jesteś łącznikiem?

*Jesteśmy tu. Słuchamy.*

– Miałam niepokojący sen – wyjaśniła Tana-sroka. Długo nie mogła przyzwyczać się do ludzkiej mowy, wydostającej się naturalnie z ptasiego dzioba. – Zagłada „Collen”, osobowość Igartiusa Monata. Śniłam jego wspomnienia.

*Przepraszamy. Wyciek wspomnień na poziomie snu. To zdarza się, choć rzadko. Pamiętamy o siedemnastu takich przypadkach w ciągu minionych dziesięciu lat. Ostatni raz współśniliśmy osobiste doznanie Nartelii, twojej prababki trzeciego stopnia, z pewnym marynarzem ze Stacji Michała.*

Aż się uśmiechnęła na to wspomnienie. Prababka Nartelia okazała się kobietą żądną wrażeń. Tana obudziła się wtedy zlaną potem, zawstydzona, ale i zafascynowana.

Wspomnienie poprawiło jej nastrój. Pozwoliło się uspokoić.

– Tym razem było nieco inaczej – spróbowała jednak wyjaśnić sprawę do końca. – Tak jakby Igartius mnie ostrzegął...

*Czeka cię podróż w czasie. Twoja pierwsza. To wzbudza niepokój. Zapewne to stało za wyciekami. Przepraszamy. Sugerujemy dodatkowe metody relaksacyjne. Może wybór snów.*

To był pomysł. Wspólnie ze strzępojaźniami potrafiła komponować sny na zamówienie. Choć istniało ryzyko uzależnienia, mało co mogło rywalizować z tą metodą relaksacyjną.

– Poproszę – powiedziała więc. – Od następnej nocy. Dziś już chyba nie zasnę.

Odleciała rozluźniona i uspokojona. A kiedy sięgnęła nieba, otworzyła oczy i znalazła się na powrót w pokoju Stacji Achillesa.

\* \* \*

Karol Hasnek, profesor chronografii Piętnastego Uniwersytetu Ziemi OC, popijał szampana na jednym z tarasów widokowych Stacji Achillesa. Przyszedł tu na tyle szybko, by zająć miejsce siedzące przy okrągłym barowym stoliku. Zaczynał jednak dochodzić do wniosku, że prędzej czy później będzie musiał zrezygnować z przywileju. Niechętnie wstał. Po chwili zastanowienia, ku niezadowoleniu stojących w pobliżu, wspiął się na swoje krzesło – i dopiero wtedy zyskał znakomity widok. Zza pleców dobiegły go gniewne głosy. Zignorował je.

– Dobrze, że przyszedłeś! – przywitał swojego asystenta, Iwana Trbaska, dzielącego lojalność pomiędzy uniwersytet a strzegącą bezpieczeństwa Oka Służbę. Naokoło ludzie brali z nich przykład i zaczęli się wspinać na własne krzesła i stoły. Gdzieniegdzie z tego powodu dochodziło do awantur. – Za chwilę się ruszy!

Profesor należał do tych, którzy pierwsi dostrzegli wyłaniający się zza błękitnego ramienia Stacji okręt. Jego okrzyk podchwycili inni i zaraz tłum podnieconych ludzi zaczął nawoływać, klaskać i wymachiwać setkami chorągiewek w barwach Oka Cyklonu.

– To dopiero holowniki! – uświadomił Hasneka Iwan. – Wyglądają na duże, ale chronosiciel zasłoni prawie cały widok.

– Holowniki?

– Nie chcą marnować energii na byle przeloty. Chronosiciele bardzo rzadko używają konwencjonalnych napędów, nie od tego są.

– Sądziłem, że to okręt wojenny!

– Bo tak jest. Ale przede wszystkim baza. Mieści w sobie generator SAC, niezbędny do odpalenia działa, trzy eskadry myśliwców, magazyn pełen różnych cudeniek, by w razie czego terraformować jakąś przyzwoitą planetę, dwie dywizje pancerne, tyle samo piechoty... Jeśli trzeba, przeskoczy w czasie i sam zbuduje cywilizację, której jedynym celem będzie przygotowanie desantu na jakiś świat.

– Sądzisz, że to zrobi? Że przeskoczy w czasie?

– Nie ma mowy. Trafiliśmy na największe zamieszanie od czasów ostatniej chronowojny, ale to i tak drobiazg. Pewnie wystarczy, że chronosiciel pokaże się na Stalinie 13 i tubylcy zaczną błagać o pokój. Nie mają nic, co mogłoby się z nim równać. Nikt w światach nie ma.

Gdzieś w wieloświecie, pomimo wszystkich restrykcji i zabezpieczeń Oka Cyklonu, dwa światy nawiązały nielegalny kontakt i natychmiast wszczęły ze sobą wojnę. Fakt, że miliardy mieszkańców Stalina 13 i Stalina 9 mogły zginąć w bezsensownej rzezi, interesował

przywódców Oka Cyklonu mniej niż to, że tamci dorwali się jakoś do silników SAC, umożliwiających podróże między światami. Oko Cyklonu dbało, by nikt nie przełamywał jego niemal całkowitego monopolu. Zbyt dobrze pamiętano, jak poprzednio skończyła się szczerść w udostępnianiu technologii. Oko nie chciało powrotu do wojny ze zbuntowanymi koloniami. Strzegło też przestrzegania traktatu z Innymi. Owe istoty z odmetów światów, już nie ludzie, choć posiadający wspólnych z człowiekiem przodków, wciąż wzbudzali strach. Nieoficjalnie, po cichu, nazywano ich „bestiami”, a oni przyjmowali takie miano nie bez zadowolenia. Podczas wojny wsparli Oko Cyklonu, uratowali je od klęski, jednak nawet po tym nie zyskali zaufania.

Kiedy Iwan wskazał Hasnekowi ciemny trójkąt dziobu chronosiciela „Moskwa”, profesor zaszalutował mu lampką szampana. Kilka sekund później cały taras eksplodował entuzjazmem ludzi, oddających cześć potędze przeznaczonyj do pacyfikowania kogoś innego.

Czarne wrzecionowate monstrum przesuwalo się powoli, przesłaniając większą część sferycznego, zajmującego prawie całą ścianę, wizjera obserwacyjnego. Nawet najbardziej entuzjastyczne okrzyki umilkły wreszcie pod wrażeniem ogromu chronokrętu.

– Skoro już rozmawiamy o wojnie i narzędziach zniszczenia – mruknał Iwan. – Zbliża się twoja asystentka.

Pokonywanie przeciwności stanowiło część zawodu Tany, a upór i nieprzejmowanie się czyjaś urażoną dumą należało do obowiązków służbowych. Dlatego żeby osiągnąć cel, rozpychała się łokciami, deptała po stopach i kopała po kostkach. Hasnek i Trbasek znali ją na tyle dobrze, że kiedy wreszcie się do nich przedarła, sprawiali wrażenie zakłopotanych.

– Witaj... Tano – bąknął profesor. – Spałaś tak słodko, że nie śmiałem cię budzić. No i wiem, że nie interesują cię takie imprezy...

– Szampan? – warknęła. – Świętujesz... to? Lata pracy diabli wzięli, ale dla ciebie każda okazja do imprezy jest dobra, prawda? Jesteś najbardziej...

– Nie jest tak źle – wtrącił się Iwan, który z zażegnania podobnych sporów zdążył już uczynić swoje hobby. – Zapewniam cię, że podchodzimy do sprawy poważnie. Trochę pracowaliśmy z Karolem nad rozwiązaniem naszego problemu...

– Za moimi plecami, tak? Iwan, jeżeli chcesz mnie wykosić z projektu...

Nigdy nie lubiła tego małego, tłustego szpiega. Zdawała sobie sprawę, że wystarczyłoby jedno jego słowo, by zamknęły się przed nią wszystkie drzwi. Dlatego pracując nad poparciem dla projektu i wynajdując dla niego sponsorów, przygotowywała równocześnie zabezpieczenia, mające uczynić ją niezbędną dla przedsięwzięcia. Teraz głupia wojna postawiła wszystko na głowie.

– Tano – tym razem roli mediatora spróbował Hasnek. – Nikt nigdy z niczego nie próbował cię... wykosić. Jesteś podporą naszego zespołu. Filarem. I osobiście jesteś dla mnie bardzo ważna, z czego, mam nadzieję, zdajesz sobie sprawę.

– Co wymyśliliście? – przerwała jego przeprosiny. – Powiedz, co wymyśliliście.

– Nie tutaj – wtrącił się Iwan. – To... dość delikatna sprawa. Spotkajmy się w waszym pokoju, gdy to się skończy. Powiedzmy... za dwie godziny?

– Dwie godziny – skinęła głową. – Dobrze. A my – posłała Hasnekowi spojrzenie tyleż groźne, co smutne – jeszcze sobie porozmawiamy.

Odwrociła się przesadnie gwałtownie i ruszyła ku wyjściu, ku oburzeniu tych, którzy znów musieli ustępować jej miejsca.

– Kobiety! – Hasnek próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu tylko nieco sztuczny grymas. – Zawsze takie... zasadnicze!

\* \* \*

Chociaż niepokoiło ją, że Hasnek z Iwanem próbują załatwić coś bez jej wiedzy, Tana wracała z tarasu zadowolona. Przekonała się, że wciąż potrafi sobie poradzić z profesorem, choć Iwan zaczynał mieć na niego stanowczo zbyt duży wpływ. Złościła ją wciąż beztroska Hasneka. Armia zajęła na nieokreślony czas Stację, z której mieli skorzystać. Załatwienie pozwolenia na skorzystanie z innej mogłoby zająć kilka miesięcy. Opóźnienie zdenerwowałoby ją, nawet gdyby nie mieli innych kłopotów. A przecież był jeszcze Tianowicz! Odwieczny konkurent Hasneka próbował szpiegować ich projekt, posuwał się nawet do dywersji. Hasnek, głównie dzięki Tanie, wygrał, otrzymał oficjalne poparcie rządowe, a wraz z nim Przywilej Pierwszeństwa i związaną z nim możliwość skorzystania ze Stacji Achillesa – jednej z nielicznych dysponujących możliwościami przerzutu w dowolny czas dowolnego wszechświata. Stacji o podobnych możliwościach było w Oku Cyklonu piętnaście. Pozostałe, pozbawione kwanputerów o podobnie potężnych mocach obliczeniowych, oferowały możliwości przeskoku jedynie w konkretne, zbadane obszary. Można je było wykorzystać, ale nie bezpośrednio. Przywilej Pierwszeństwa, stwierdzający, że oficjalnie reprezentuje Oko, dawał Hasnekowi nie tylko możliwość korzystania z potężnych Stacji, ale i zezwalał na użycie, w razie konieczności, nieco mniej konwencjonalnych, choć ciągle pozostających w zgodzie z prawem Oka sposobów. Odsuniętemu na drugi plan Tianowiczowi pozostawało jedynie zdanie się na środki ogólnie dostępne posiadaczom zwyczajnych upoważnień. Oznaczało to, że mógł posługiwać się tylko stacjami pośrednimi. Gdyby chciał to zmienić, musiałby znowu tracić czas na przedstawianie sprawy tysiącu komisji. W efekcie nie tylko ryzykował, ale i miał wobec Hasneka prawie pół roku opóźnienia! Teraz jednak zanosilo się na to, że ich wyprzedzi.

A Hasnek świętował! Wznosił toasty na cześć wojny, która mogła przekreślić całe lata ich pracy i dać zwycięstwo Tianowiczowi! Czasem trudno było jej zrozumieć niektórych ludzi.

Zaplanowała, co zrobi, jeśli tamci dwaj spróbują ją odsunąć. Wybrała numer pokładu i ruszyła na spotkanie Toja, ich mgławicy.

Mieszkał na pokładzie przeznaczonym dla odmieńców. Ludzkość nauczyła się wprawdzie tolerancji, najbardziej opornych zmusili do tego Inni, toteż nie utrudniano życia mgławicom. Nikt jednak nie potrafił zmusić ich, żeby tolerowali ludzkość. Tojo, podobnie jak większość mgławic, szczerze nienawidził kontaktów. Byłby szczęśliwy, mogąc spędzić całe długie życie wyłącznie we własnym towarzystwie, raz na dziesięciolecie kontaktując się co najwyżej z jakąś inną mgławicą. Nawet on musiał jednak zarabiać na życie. Dlatego tolerował Tanę. Asystentka postarała się zresztą, aby kontrakt zobowiązywał go do tego. Odnosiła wrażenie, że z czasem przywykł do niej, a nawet trochę ją polubił.

Człowieczeństwo niespecjalnie interesowało mgławice. Odrzuciły tradycyjne ludzkie ciała jako nie dość optymalne. Systemy hydrauliczne zastąpiły im mięśnie, a uzyskaną w ten sposób przestrzeń zapełniły mikrokomputery. Przeciętna mgławica nosiła ich w sobie kilkaset, przemieniając się tym samym w samoistną, obdarzoną świadomością sieć. Mgławice, w przeciwieństwie do zwyczajnych multikomputerów, same jednak decydowały, nad czym chcą pracować, wynajmując swe usługi tym, którzy zajmowali się interesującymi je zagadnieniami. Choć ustępowały mocą obliczeniową tradycyjnym kwanputerom, ceniono je, ponieważ dysponowały czymś, czego maszyny były pozbawione – wyobraźnią i wolną wolą. Potrafiły postępować w sposób przekraczający logikę i podejmować decyzje, nie czekając na polecenia zleceńodawców. Kiedy wynajmujesz mgławicę – powiadano – to znaczy, że tak naprawdę nie wiesz, czego chcesz, i czekasz na objawienie.

Mgławice nie inwestowały w rozwój ciał, umożliwiającą przekształcenie się w maszyny do zabijania lub cyborgów, zdolnych do odwiedzania najbardziej nieprzyjaznych zakątków wszechświata. Ich pasje zamykały się w pragnieniu eksploracji jak największego zagęszczenia potencjalności. Niektórzy utrzymywali, że mgławice żyją w kilkudziesięciu prawieświatach równocześnie. Odkąd poznała Toja, Tana była skłonna przyznać im rację.

Zajmował pokój na końcu korytarza. Prawdopodobnie sam wybrał taką lokalizację. Mało kto tędy chodził i samotność gospodarza nie bywała zbyt często wystawiana na próbę. Mgławicom wystarczały do szczęścia wyłącznie one same – i pieniądze, potrzebne do zwiększania własnych mocy obliczeniowych. Tojo nie unikał okazji, by przypominać pozostałym uczestnikom projektu, jak bardzo boleje nad tą drugą potrzebą.

Przybycie Tany powitał zniechęconym, demonstracyjnym westchnieniem. Siedział rozparty w fotelu, zatopiony w myślach. Należał do mgławic, które niechętnie zachowały oczy, zdając sobie sprawę, jak bardzo ich brak deprymuje rozmówców. Oznaczało to, że był istotą niemal przyjacielską.

– Dręcz mnie – sapnął. – Zanudzaj swoimi banałami.

Z braku krzesła usiadła naprzeciwko niego na podłodze.

Słyszała, że wiele mgławic zupełnie odkształcało ciała, ostatecznie rezygnując z pozorów człowieczeństwa na rzecz zwiększenia możliwości obliczeniowych. Wśród mgławic istniał jednak spór dotyczący celowości takich działań. Część z nich uważała, że nie można



przekroczyć subtelnej granicy i nie zaryzykować dominacji maszyny nad człowiekiem. Mgławice, w których dominowała maszyna, komputer, traciły na wyobraźni i ludzkiej ciekawości, a przez to stawały się zbyt podobne do komputerów. Ponieważ jednak i tak nie potrafiły dorównać potężnym wojskowym kwanputerom, ich użyteczność spadała. Z drugiej strony, mgławice ostrożniejsze dusiły się w swych obliczeniowych ograniczeniach i popadały w frustrację, stale walcząc z niebezpieczną pokusą. Równocześnie, być może by zapomnieć o własnych ograniczeniach, lubiły wytykać ludziom ich niedoskonałości. W efekcie kontakty z tymi wiecznie niezaspokojonymi istotami nie należały do łatwych i potrzeba było wiele wrażliwości i wyczucia do prowadzenia z nimi rozmowy.

Tojo zewnętrznie niemal nie różnił się od człowieka. Niemniej rozmawiając z nim, Tana miała wrażenie przebywania w towarzystwie ławicy ryb, z których każda spogląda w innym kierunku, tylko na moment skupiając na niej uwagę. Czasem też w to, co mówił, wkładał się chaos, jakby na moment tracił orientację i dopuszczał do głosu którąś z badanych potencjalności.

– Też się cieszę, że cię widzę. Wiesz o naszych problemach?

– Oczywiście. Jeśli przyszłaś spytać o to – dziękuję za spotkanie. Powiedz, chcesz wiedzieć, co wymyślili? Dręczy cię irytująca, drażniąca ciekawość i złość na to, że nie podzielili się z tobą wiedzą?

– Drań. Jesteś z nimi w zмовie.

– W zмовie? Nie, nie interesują mnie wasze rytuały godowe.

– Że... co?

– Nie brałaś pod uwagę możliwości, że Hasnek trzyma cię na dystans, by dokonać czegoś samemu i zwiększyć swoją atrakcyjność w twoich oczach? Skrycie go lekceważysz, Tano. Uważasz, że nie osiągnąłby nic bez ciebie, dominujesz w łóżku. Karol chce na powrót stać się mężczyzną.

– Daruj sobie. Nie przyszłam tu, by dowiedzieć się, co knują. To wyciągnęłabym z niego sama, gdybym chciała. Niech się bawią. Chcę z tobą porozmawiać o strzępojaźniach.

– Ooo... Czas poświęcony tobie może okazać się nie aż tak zmarnowany. Mów.

– Co o nich wiesz?

– Ludzkie czarne skrzynki. Zapisy osobowości i wspomnień, sprowadzone do roli dodatkowej pamięci nosicieli. Kalekie substytuty moich możliwości.

– Mgławice nie mają strzępojaźni, prawda?

– Na nic by się nam nie przydały. Ale pamiętaj, że byłem niegdyś człowiekiem. Biedną, ślepa istotą, jak ty. Rodzice wszczepili mi te paskudztwa, gdy miałem szesnaście lat.

– Paskudztwa?

– Nieznośnie ograniczają. Pchają się ze swoim fałszywym doświadczeniem, narzucają nędzną, kaleką perspektywę. Żadna mgławica z nimi nie wytrzyma. Kiedy otwierasz się na potencjalności, musisz odrzucić ten balast.

- Sądziłam, że im więcej danych, tym lepiej.
- Oczywiście, poniżaj mnie, obnażaj swoją pełną ignorancji pogardę!
- Przepraszam, nie chciałam...

– Wiem lepiej, co chciałaś, a czego nie chciałaś! Mam to jak na dłoni! Twoją wąskowymiarową prostotę i ignorancję! Twoją ślepotę! Nie jestem maszyną, człowieku! Nie interesują mnie dane! Co to są dane? Ochłapy wiedzy!

To właśnie takie chwile wymagały od Tany wiele samozaparcia. Z mgławicą nie mogła postąpić tak, jak postąpiłaby z każdym innym w takiej sytuacji. Nie, jeśli chciała coś z niej wyciągnąć.

– Bardzo przepraszam – powiedziała, starając się nie zaciskać zębów ze złości. – Naprawdę. Nie zdaję sobie sprawy z wielu rzeczy. Jesteś pierwszą mgławicą, jaką znam osobiście.

– Wiem. Znam twoje ograniczenia – to prawie równało się przeprosinom. – Ale ja nie przetwarzam danych, tworzę je, idiotko! Zrozum to i zapamiętaj.

– Zapamiętam.

– Ale nie zrozumiesz, co? Mów, czego chcesz.

– Strzępojaźnie zachowują resztki osobowości. Pamiętają siebie jako ludzi. W różniacach tworzą generację, w której mogą przenikać się nawzajem. Poprzez Sieć Podstawową mają, potencjalnie, kontakt ze strzępojaźniami innych nosicieli. Czy to może doprowadzić do powstania osobowości? Nowej osobowości.

– Tak.

– Tak? Tak po prostu?

– Pytasz mnie o potencjalność, więc masz odpowiedź. Tak, mogą. Czy to już wszystko?

– Ale...

– Chcesz, żebym wyliczył ci prawdopodobieństwo? Mogę, ale nie to jest – uwaga, wzdycham ciężko – moją właściwością. Ty pytasz, ja w ułamkach sekund badam możliwości. Twoje pytanie sprawiło, że poznałem na nie setki odpowiedzi. Czy strzępojaźnie wykształcają osobowość? Moim zdaniem tak. Czy już ją wykształciły? W wielu potencjalnościach – tak. Czy zatem ma znaczenie, jeśli w tej jest inaczej? To zależy od kontekstu twojego pytania. Nie jestem maszyną liczącą. Nie powiem ci, ile jest dwa dodać dwa. Powiem ci, co się dzieje, jeśli taka jest suma. Oczywiście, niestety, z pewnymi ograniczeniami. Ciasnota perspektyw nawet mojego wspaniałego umysłu jest nieznośna!

– Zatem, jeśli możliwa jest nowa osobowość strzępojaźni – powiedziała powoli – to czy byłaby osobną istotą, czy tylko sumą tamtych?

– Obie odpowiedzi są błędne, Tano. Byłaby czymś więcej niż tylko sumą jednostek albo osobną istotą, która się z nich wyłania. W swoich wynikających z subiektywizmu ograniczeniach zapominasz o czymś jeszcze.

– O czym?

– O sobie, Tano. Jeśli wyrasta w tobie osobowość, wykształcająca się z twoich strzępojaźni, jest ona nie tylko ich dzieckiem, ale i twoim. Przecież przebywa w ciągłym kontakcie z tobą, prawda?

Zastanowiła się nad tym. I szybko wyciągnęła wniosek.

– W takim razie byłabym bezpieczna, prawda? Dzieci nie zabijają, zazwyczaj, swoich rodziców.

– Cierpię z powodu ułomności wybranej analogii... Trzymając się jej jednak, odpowiedz, czy dzieci nie pragną zawsze wyrwać się na wolność?

– Czyli – w takim przypadku istniałoby jednak niebezpieczeństwo?

– Bawisz mnie. Te analogie to gra, zabawa. Są tak niedoskonałe, że nie nadają się do prawdziwego wnioskowania. Twój prymitywizm naprawdę mnie zmęczył, Tano. Chcę, żebyś sobie poszła. Ponieważ jednak wiem, jak jesteś nieznośnie uparta i samolubna, powiem ci coś jeszcze. Rozwój nie jest niebezpieczeństwem. Jeśli twoje strzępojaźnie wykształciły nową osobowość, to wzbogaci ona i ciebie. Staniesz się czymś więcej.

– Ale ona może być agresywna – upierała się.

– Bardziej od ciebie? Flota Oka Cyklonu nie miałyby z tobą szans – zażartował, po raz pierwszy, odkąd go poznała. – No, idź już wreszcie!

\* \* \*

Każda z wojen zmieniała ludzi biorących w niej udział, a wojny wielkie, światowe – zmieniały całą ludzkość. Powojenna trauma spadała na świat i trzymała go w uścisku przez lata. Później nazywano to czasem spokoju. Pamiętający wojenną grozę z czasem wymierali, a społeczeństwa znów zmieniały się w wesołe gromady, w których największym strachem przejmowało nienadążanie za modą. Armie stawały się grupą specjalistów od walk z żywiołami i nawet żołnierze nie do końca wierzyli, że mogliby zabić drugiego człowieka.

Wtedy budziły się demony i zawierucha wojenna ponownie spadała na świat, by odmienić go na nowo, a ludzkość podzielić na dwa gatunki – człowieka przerażonego i człowieka niepojmującego grozy.

Chronowojny znacznie ulepszyły ów proces multiplikowania gatunków.

Oko Cyklonu osiągnęło swą pozycję dzięki użyciu czasu jako broni. Wysyłało kilkaset tysięcy ludzi w przeszłość o kilka milionów lat, by pośród australopiteków zbudowali nową cywilizację, dysponując zdobyczami techniki Oka. W takich światach fabrykach, światach poligonach nie ingerowano w historię ludzkich cywilizacji – jak działo się to w światach typu Stalin czy Hitler – bo tych jeszcze nie było. Tam zapewniano sobie czas, potrzebny do doskonalenia wynalazków technicznych.

Nazywano je Atlantydami – dla odróżnienia właśnie od tych rzeczywistości bliższych czasowo Oku Cyklonu, tworzonych bez żadnej kontroli przez rozmaitych wizjonerów i

szaleńców – co, jak się okazało, było trafną nazwą. Niewiele Atlantydy przetrwało więcej niż dwa-trzy tysiące lat. Światów dzikich, odbiegających od pnia historii w momencie, w którym na Ziemi pojawiły się już ludzkie cywilizacje, były tysiące.

Zamiast dostarczać niebywałych wynalazków, Atlantydy ulegali stopniowej degeneracji, aż wreszcie ich cywilizacje zanikały, ustępując miejsca lokalnym plemionom, znacznie już jednak zmienionym w wyniku kontaktu. Niemniej zawsze mieli coś do ofiarowania swojej ojczyźnie. Odkrycia, które można było przekazać kolejnym Atlantydom, zmieniającym kolejną rzeczywistość.

Kilkanaście Atlantydy przetrwało. Agenci Oka Cyklonu korzystali z ich wynalazków, pilnując równocześnie, by w kolonii, przewyższającej rozwojem technicznym Oko, nie doszło do buntu. W im dalsze od momentu ingerencji epoki zagłądali, tym trudniej było im się porozumieć z Atlantydami. Ci bowiem ewoluowali.

W ten sposób ludzkość wzbogaciła się nie tylko o niezwykle broń, ale i o nowe rasy. Atlantydy 16 uwolnili świadomość z ciał i zmienili własną Ziemię w jeden wielki komputer, w którym krążyli pod postacią energetycznych impulsów. Przydali się w walce z armią SI, którymi próbowały posłużyć się światy zbuntowane przeciw Oku. Atlantydy 210 postąpili odmiennie – rozbudowywali swe ciała, przekształcając je w hybrydy dziesiątek organizmów. Podzieleni na wąsko wyspecjalizowane kasty, żyli w społecznościach przypominających mrowiska.

Atlantydy 70 nie ingerowali w swój rozwój, ale i tak po milionie lat przypominali bardziej komiksowych kosmitów niż ludzi, natomiast Atlantydy 8 porzucili ląd i przenieśli się w głębiny. Wyglądem przypominali delfiny i zdaniem Oka Cyklonu nie nadawali się do niczego. Ale, przynajmniej, nie buntowali się jak Atlantydy 305, którzy wyewoluowali w formy przystosowane do życia w stanie nieważkości, by podbić kosmos z użyciem Zasady Piotrusia Pana: przystosowując ludzi do warunków zdobywanych planet, zamiast tracić czas na ich terraformowanie.

Ludzkość, która nigdy dotąd nie spotkała prawdziwej obcej cywilizacji, zafundowała sobie własne.

Atlantydy z rzadka przybywali do Oka Cyklonu, bo taki transfer nie był tu mile widziany, posiadali w nim jednak ambasady i placówki handlowe. Dla obywateli Oka widok obcego nie stanowił szoku. Przyglądano się im z zainteresowaniem, wynikającym po części z ciekawości, w jaką to formę zmieni się „prawdziwa” ludzkość po tysiącach lat ewolucji. Dyskutowano nad wyższością jednej rasy nad drugą.

Nikt jednak nie wydawał się ludziom tak obcy, jak Inni. Paradoksalnie, oni zmienili swoje ciała najmniej. Wciąż wyglądali jak ludzie. Ich symbioty ukrywały się dyskretnie wewnątrz ciał, nie popisywali się też swoimi wzmocnionymi zmysłami. A jednak emanowali jakąś odmiennością, ludzie bowiem rozpoznawali ich w mgnieniu oka i unikali.

Tana uważała, że dzieje się tak dlatego, ponieważ Inni stanowią jedyną we wszechświatach siłę równorzędną do potęgi Oka Cyklonu. Atlantydzi, przy wszystkich odmiennościach, byli jednak koloniami Oka. Natomiast Inni zachowali niezależność. Nie dopuszczali naukowców Oka do swoich sekretów, zachowywali w tajemnicy lokalizacje większości swoich światów, a nawet ich liczbę. Utrzymywali, że jest ich niewiele, zdarzali się jednak ludzie twierdzący, że Inni multiplikują światy bez ograniczeń, szykując się do inwazji na Oko. Tana nie przejmowała się takimi teoriami. Gdyby Inni chcieli podbić Oko Cyklonu, nie pomogliby mu podczas wojny. A jednak, odkąd po raz pierwszy osobiście zetknęła się z Innymi, nie mogła uwolnić się od uczucia irracjonalnego niepokoju.

Nie inaczej stało się tym razem. Ledwie przekroczyła próg pokoju, zorientowała się, kim są obcy siedzący przy stoliku z Iwanem i Karolem. Dwaj wysocy mężczyźni, jeden ciemny szatyn, drugi brunet, ubrani w zwyczajne, szare uniformy bez jakichkolwiek oznaczeń, na pozór nie różnili się niczym od ludzi. A jednak Tanie wystarczyła chwila, by ich rozpoznać.

Opanowała uczucie niechęci, przywitała mężczyzn skinieniem głowy i nawet uśmiechnęła się do profesora, siadając obok niego.

– A więc to wymyśliliście – odezwała się szybko, żeby zepsuć im choć trochę poczucie triumfu. – Inni.

Nie wydali się zaskoczeni.

– A nie mówiłem? – roześmiał się Hasnek. – Rozgryzła nas w mgnieniu oka!

– Gratulacje – Iwan uniósł szklanę w imitacji toastu. Także się uśmiechnął, jak zwykle bez wesołości, zmieniając uśmiech w drapieżny, drwiący grymas. Ten człowiek niepokoił Tanę niemal tak samo, jak Inni. Znała go już cztery lata i wiedziała na pewno tylko jedno – coś z nim było nie tak. Być może na ocenę miały wpływ niezliczone opowieści o agentach Służby, których nasłuchiwała się podczas studiów. Była jednak przekonana, że i bez nich dostrzegłaby skrywaną, tkwiącą w nim dzikość. Jego oczy były oczami łowcy, czasem przebłyskiwały w nich odbicia groźnych, ponurych strzępojaźni, niemających nic wspólnego z osobowością naukowca.

– Pozwól, Tano, że przedstawię: pan Samias Kodi Vau – kapitan chronokrętu oraz jego nawigator, pan Gorei Kodi Cedeer. Zgodzili się wynająć nam swój statek w celu odbycia naszej podróży...

Inni! Jakim głupcem trzeba być, by włączyć do projektu Innych! Lub jak bardzo zdesperowanym.

Ale dzięki uprawnieniom Przywileju Oka było to możliwe i legalne.

– Karol, dopuściłeś do swojego projektu Innych! – zawołała, kiedy już sobie poszli i została sam na sam z Hasnekiem. – Po latach trzymania wszystkiego w tajemnicy, ukrywaniu twojej teorii i prawdziwego celu projektu, dopuściłeś do niego Innych!

– Och, nic nie wiedzą – profesor zaskakująco delikatnie ujął ją za rękę, ciągnąc ku łóżku. – Przedstawiłem im oficjalną wersję. Są równie ciekawi zapomnianych światów jak my.

– Karol, to są Inni! – zawołała rozzłoszczona. – Nasze mózgi są dla nich jak otwarte księgi!

Tym razem uśmiechnął się z wyższością.

– Doprawdy, nie sądziłem, że wierzysz w te brednie – wymruczał do ucha Tany. – Udowodniono, że Inni nie potrafią czytać myśli ludzi. No, przestań już! Przecież mamy chronokręt!

Ale Tana nie mogła przestać. Miała złe przeczucia.

## II

– Naprawdę nie było innego wyjścia – tłumaczył Tanie jeszcze raz, gdy stali u stóp chronokrętu Innych. – To nasza jedyna szansa. Gdyby nie wybuchła wojna, skorzystalibyśmy ze Stacji Achillesa, ale tak... Tianowicz nas wyprzedzi! Rozumiesz, Tano?

Rozumiała. Ale jej opór nie miał nic wspólnego z rozumem. Przede wszystkim nie chciała wchodzić do tego obrzydliwego biokrętu Innych! Cuchnęło zeń. Jego bezkształtna, wciąż zmieniająca się bryła różniła się od przyjętych wśród ludzi norm, pogłębiając tylko wrażenie obcości. Tana nie wiedziała wiele o biokrętach. Wewnątrz miała się znaleźć na kompletnie obcym terenie, co raczej nie wzmocniałoby jej pozycji. Jednak przede wszystkim ilekroć spozjrzała na okręt Innych, czuła po prostu obrzydzenie.

Przekląła raz jeszcze prawo Oka Cyklonu, wedle którego wszystko było podporządkowane Czasowi Oka. Nieważne, że przybyliby do Świata Zero choćby i milion lat przed Tianowiczem – jeśli on wyruszy wcześniej wedle Czasu OC. Wszystkie umowy, wsparcie rządu i zabezpieczenia na nic się wtedy nie zdadzą. Tianowicz będzie pierwszy i cała chwała przypadnie jemu.

A Hasneka trafi szlag. I Tanę, prawdę mówiąc, też.

– To nie wygląda jak okręt – powiedziała. – Raczej jak wielki robal, który czeka na okazję, żeby nas pożreć. Jak tylko damy się połknąć, strawi nas, i tyle.

Wskoczyła do środka, zanim profesor zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

– Przyzwyczaj się pani do zapachu – okazało się, że jeden z Wiernych czekał na nią tuż za progiem. – To na początku może być przykre, ale z czasem każdy przywyka.

– Nie planuję tu być aż tak długo – fuknęła. – Gdzie jest moja kabina?

– Proszę za mną. Pani Sardis, profesorze Hasnek. Jesteśmy zaszczytzeni, że zechcieliście z nami współpracować. Prace profesora są wśród nas znane i wysoko cenione.

– Naprawdę? – Hasnek natychmiast dumnie się napuszył. Posłał Tanie triumfujące spojrzenie i całkowicie zignorował jej demonstracyjne westchnienie. – Wspaniale słyszeć! Przepraszam, jak pan ma na imię?

– Imię... – powtórzył Wierny, uśmiechając się nieśmiało. – Właściwie zrezygnowaliśmy z nich we Wspólnocie. Wie pan, profesorze, nasze wszczembioty...

– Wszczembioty?

– Wy nazywacie je symbiotami. Pozwalają nam identyfikować się bez oznaczeń. Jesteśmy charakterystyczni, indywidualni i rozpoznajemy się. Pani Sardis, profesorze, oto wasze kajuty. Wybaczcie proszę, są nieco surowe.

– Nie w takich warunkach zdarzało mi się podróżować – zbagatelizował Hasnek. Pozował na wprawnego podróżnika, niemal pioniera, jednak kiedy ściana rozstała się przed nim z cichym młaśnięciem, minę miał nietęgą.

– Jak się to otwiera? – zapytał.

– Ciszobłysk reaguje na słowa – wyjaśnił Wierny. – Wystarczy poprosić.

– Ciszobłysk? – Hasnek uniósł brwi.

– Nasz biokręt. Stworzyliśmy coś w rodzaju imienia, by ułatwić wam z nim kontakt. To jakby tłumaczenie jego wrażenia.

– Wrażenia? – powtórzyła tym razem Tana. Odnosiła nieprzyjemne wrażenie, że zachowują się z Hasnekiem jak dzieci na wycieczce w zoo.

Wierny najwyraźniej wszedł w rolę cierpliwego opiekuna.

– Wrażenia. To mieszanina charakteru i indywidualności. Tak to nazywamy. Nasze odpowiedniki imion.

– Mamy z Taną oddzielne kajuty? – zdziwił się Hasnek. – Sądziłem, że...

– Tak jest dobrze – przerwała mu. – Wierny... jak mogę cię znaleźć, by zadać jeszcze jakieś pytania, jeśli przyjdą mi do głowy?

– Zapytaj Ciszobłyska, wskaże ci drogę.

– Zapytam Ciszobłyska – skinęła głową i uśmiechając się do obu mężczyzn, wkroczyła do swojej kajuty.

*Obdarzone imionami statki, z którymi można rozmawiać. Interesujące? Niepokojące?*

Spłynęło na nią wrażenie niepokoju. Świadomość, że okręt, na który trafiła, jest czymś więcej niż tylko pojazdem. Postanowiła rozwiązać jego tajemnicę.

Mogła to być intuicja. Ale ona już dawno zeszła na plan dalszy, ustępując miejsca znacznie doskonalszym i bardziej przewidywalnym narzędziom.

Uaktywniły się strzępojaźnie! Dopóki nie otworzyła dla nich tradycyjnej ścieżki kontaktu, używały swoich podstawowych sposobów – odczuć i wrażeń. Wpływały na myśli Tany, sugerując jej pytania, pomagając formułować wnioski.

Czasem, gdy strzępojaźniom szczególnie zależało na kontakcie, przypominało to rozmowę z mitycznym „wewnętrznym ja”. I zwykle irytowało Tanę.

„Wszystkie statki mają nazwy”.

*On powiedział: „wrażenie”, nie nazwę. Wrażenie to charakter, indywidualność. Tylko żywe istoty je mają.*

„Biokrety to w części żywe istoty. Mogą mieć imiona i charaktery”.

Wewnątrz kajuty było jasno, Tana nie znalazła jednak konkretnego źródła światła. Ściany i sufit lśniły z jednostajną łagodnością.

– Jaśniej! – zaeksperymentowała. Światło nabrało mocy. – Wystarczy. Statku... Ciszobłysku, czy potrafisz mówić?

Nikt jej nie odpowiedział. Zastanowiła się przez chwilę.

– Zwiększ jasność na „tak” i zmniejsz na „nie” – zaproponowała. – Czy potrafisz mówić? Światło rozbłysło mocniej. Nie na tyle jednak, by oślepić Tanę. Po chwili przygasało.

– Potrafisz mówić, ale nie za pomocą dźwięków?

TAK – mrugnął do niej biokret.

– Czy człowiek taki jak ja mógłby z tobą porozumieć się bezpośrednio?

TAK.

No jasne, a co innego robi teraz? Kretynka.

– Czy mogłabym z tobą rozmawiać tak, jak rozmawiają Wierni?

TAK.

– Bez pomocy ich wszczepów?

NIE.

– Czy ty... masz świadomość?

TAK.

– Osobowość?

TAK.

Podejrzanie strzępojaźni napłynęło do jej umysłu i przybrało realny kształt. Zawahała się, nim zadała pytanie. Niespodziewanie dla siebie poczuła obawę przed odpowiedzią, którą mogła otrzymać. Potrzeba wiedzy, jaką nasycali ją strzępojaźnie, i wrodzona ciekawość wygrały jednak ze strachem.

– Czy ty jesteś... Innym?

TAK.

\* \* \*

„Oto możliwości: wszystko.

Zapanuj nad swoim potencjałem, nie pozwól uwodzić się nadziejom. Nie pozwól uwolnić się szalonym pragnieniom szansy na COŚ WIĘCEJ. Spójrz – oto roztaczają się przed tobą widoki na możliwe zakończenia twojej historii, w barwach romansu, heroizmu lub nudnego rozsądku. Wokół ciebie kłębi się ubogi, smutny cień chaosu. Wewnątrz ciebie szaleje sztorm.

Kroczysz milionem ścieżek równocześnie i wszystkie są tobą. Splatasz wzory i pozwalasz je rozrywać. Jesteś niczym dziurka od klucza, przez którą zerkasz na wszechświat miliardów



innych dziurek od klucza, przez które możesz zerknąć, by ujrzeć przez nie kolejne szczeliny. Które znów prowadzą do kolejnych, skończonych, ale jakże olbrzymich możliwości.

A równocześnie zdajesz sobie sprawę ze swoich ograniczeń! Ta świadomość dręczy cię, przejmuje bezlitosnym poczuciem niedostatku i niewystarczalności. Żadne doznanie nie jest dla ciebie pełne, żadna wiedza wystarczająca, żaden krok ostateczny. Czy rozumiesz?”.

Odpowiedź przyszła do Toja w języku odczuć i wrażeń, jakby Ciszobłysk nie potrafił porozumiewać się normalnym językiem. Tojo zdawał sobie sprawę, że tak nie jest. Statek, gdyby chciał, mógłby ograniczyć się do kalekiego werbalnego przekazu, zamknąć w więzieniu słownika. Docenił jednak możliwości Toja i mgławica była mu za to wdzięczna.

– Jesteś na haju – ocenił Iwan, który odnalazł go przytulonego do ściany statku. – Zaćpałeś się na amen.

– Odejdź, zwierzołaku – wymamrotała mgławica. – Idź, baw się w swoje podchody. Poluj na tych nieszczęsnych, nieświadomych naukowych trawożerców. Mnie zostaw!

– Byłoby to odważne, gdyby nie wynikało z przecpania – agent uśmiechnął się w odpowiedzi. Dotknął śliskiej organicznej rurki, owijającej się wokół szyi mgławicy. Jej zakończenie, uzbrojone w unerwione haczyki, sięgało pod skórę Toja. – Dałeś się zainfekować? Wstrętne.

– Piękne... – w wyszeptanej odpowiedzi Toja pobrzmiwały echa ekstazy. – Zazdrościsz mi, zwierzołaku, bo ty byś tak nie mógł. Nikt z was by nie mógł! Ani oni, ani nawet ty. Tylko ja, ja, ja! Rozmawiam z statkiem, zwierzołaku, prawie tak jak rozmawiają Inni! Widzę, jak skręca cię z zazdrości!

– Daruj sobie nazywanie mnie „zwierzołakiem”. Kiedyś może mnie to znudzić.

– Daruj sobie straszenie mnie. Oglądam wszystkie związane z tobą możliwości zawsze, gdy na ciebie patrzę. Obliczam prawdopodobieństwa w ułamku sekundy. I wiem, jak bardzo nie oplaca ci się mnie zabijać.

– Widzisz wszystkie możliwości – powtórzył Iwan. Poruszył się, pozornie niedbale, jednak jeden gest jego ręki wystarczył, żeby oderwać symbiota od szyi Toja. Mgławica i małe stworzonko komunikacyjne pisnęły z bólu i zaskoczenia. – Wszystkie możliwości, powiadasz. Tę też dostrzegłeś?

Tojo nie odpowiedział. Wpatrywał się w twarz Iwana ze strachem. Równocześnie część mgławicy odtwarzała i analizowała ruchy agenta, doszukując się wzoru. Po chwili Tojo schylił się i podniósł wszczembiota z podłogi. Poglaskał go delikatnie i przyłożył z powrotem do szyi. Wdzięczne stworzonko wpiło się w tkanę i owinęło wokół.

– Nie zraniłeś go – Tojo uznał, że może pozwolić sobie na odrobinę odwagi. – Masz szczęście!

– Doprawdy, mgławico? A może wiem, jak uderzać, by nie krzywdzić tych istot? Okaż mi wdzięczność i chodź ze mną. Musimy porozmawiać o tym, co dzieje się między Taną a profesorem. Oraz między nią a naszym egzotycznym gospodarzem.

– Później.

– Później? Ty...

– Statek mówi, że za chwilę startujemy. Lepiej schować się w kajutach. Ale z wdzięczności powiem ci, że masz rację. Tak, wiem, o czym myślisz! To może być kłopot, jeśli ona zadurzy się w tym Innym. Dla Hasneka będzie to dość stresujące. Ale potencjalności...

– Potencjalności – skinął głową Iwan. – Wystarczy. Uciekaj do kajuty, mgławico.

Odprowadził wzrokiem Toja, równocześnie próbującego uciec od niego jak najszybciej, ale i zachować pozory godności. Dotknął dłonią ściany statku i wyczuł jego ciekawość. Przymknął oczy. Nie wyczuł niepokoju ani zdenerwowania. Syntetyczne odpowiedniki komunikacyjnego stworzonka, które miał wszczepione w opuszki palców, nawiązały wątki kontakt ze statkiem.

Potrafił porozumiewać się w ten sposób, brakowało mu jednak umiejętności mgławicy, by prawidłowo odczytać wszystkie fale wrażeń przesyłane mu przez statek.

„Nie rozumiem cię, Ciszobłysku. Użyj słów. Ale doceń mnie, proszę. Wolałbym, żebyśmy byli przyjaciółmi. W imię sojuszu łączącego was z Okiem”.

„Odlatujemy – odpowiedział statek. – Jesteśmy... przyjaciółmi. Jeśli chcesz, możesz iść na mostek. Jest tam już profesor i jego asystentka”.

– Oczywiście – powiedział na głos Iwan. – Oczywiście, że jest.

Gdy dotarł na mostek, kapitan kończył tłumaczyć swoim gościom zawilości podróży Ciszobłyskiem.

– Nie rozumiem! – Hasnek potrząsał głową, wyraźnie zdenerwowany. – Nie rozumiem! Mamy zarezerwowany czas przybycia, możemy skoczyć choćby teraz. Nie rozumiem, po co zwlekać!

Samias Kodi Vau przyglądał mu się z serdecznym uśmiechem, pełen zrozumienia i szacunku. Iwan przysięgłby jednak, że w spojrzeniu Innego czai się też pobłażliwość.

– Nie korzystamy ze stacji Oka Cyklonu, profesorze. Nasza technika opiera się na odmiennych rozwiązaniach. Cała ta ujemna energia, pobierana przez was z czarnych dziur, nie zdałaby nam się na nic, nawet gdyby była dla nas dostępna. A, jak pan wie, nie jest. Nasz statek nie zdoła sam przeskoczyć do pańskiego wszechświata. Potrzebujemy wsparcia. Dlatego musimy wrócić do świata Vau, skąd bardzo szybko wyruszymy do wybranego przez pana świata Zero. Bez żadnej niepotrzebnej zwłoki, zapewniam.

– Zapewniał mnie pan, że wyruszymy natychmiast!

– I tak będzie – Inny rozłożył ręce. – Niemniej podlegamy pewnym ograniczeniom.

– Nasza umowa...

– Zapewniam cię, Karolu, że czuwam nad jej przestrzeganiem – wszedł mu w słowo Iwan. – Sądzę, że niepotrzebnie zwlekamy. Im szybciej stąd odleciemy, tym lepiej, prawda?

– Koje w kabinach uchroniłyby was przed przeciążeniami – wyjaśnił Samias Kodi Vau. – Jeśli jednak chcecie pozostać tutaj, zapraszam na fotele.

Zajął miejsce. Goście, chcąc nie chcąc, poszli za jego przykładem.

Tana przezwyciężyła obrzydzenie i usiadła ostrożnie na wyraźnie organicznym fotelu. Ten natychmiast dostosował się do jej kształtu. Prawie krzyknęła, gdy poczuła na czole delikatne dotknięcie wypustek fotela.

– Proszę się nie bać – usłyszała głos kapitana. – Teraz będziecie mogli mnie słyszeć. Przy skoku fotele otulą was ciaśniej, uniemożliwiając ruch. Mogą was też uspić na moment skoku. To... niekonieczne, ale radziłbym z tego nie rezygnować. Zapewniam, że sen nie potrwa długo. Osoby nieprzywykłe do takich podróży źle znoszą skoki. A teraz spójrzcie! Oto wasza Stacja Achillesa!

Ekran przed nimi uniósł się ponad głowy pilotów i poszerzył, ukazując szeroką panoramę nieba. Srebrzysty pierścień Stacji Achillesa wirował dostojnie na tle gwiazd. Wokół stacji krążyły dziesiątki maleńkich pojazdów. Część z nich stanowiły promy, większość jednak to były bezałogowe stateczki techniczne i transportowe.

Z pierścienia stacji wyrastało osiem ramion, sięgających ku delikatniejszemu, acz większemu pierścieniowi bramy. Nieaktywny pozostawał niemal niezauważalny. Radiolatarnie ostrzegały statki przed zapuszczaniem się zbyt blisko. Strzegły go trzy potężne pancerniki, teraz wyglądające na uspięne i niegroźne. Tana zdawała sobie jednak sprawę, że wystarczy ułamek sekundy, by zmieniły się w zabójcze bestie, gotowe roznieść choćby i planety, jeśli byłoby trzeba. Gdyby ktoś oszalał i spróbował zaatakować stację, czujne komputery zareagowałyby, jeszcze zanim alarm dotarłby w pełni do świadomości kapitanów. A przecież byli to zaadaptowani do potrzeb marynarki, przetworzeni ludzie, reagujący znacznie szybciej niż przeciętni obywatele Oka. Patrząc na pancerniki, Tana poczuła lęk. Fotel zaszemrał niespokojnie, gotów ukoić ją medykamentami. Zabroniła mu myślą.

Tak naprawdę jednak najbardziej bała się ciemności, czającej się za stacją. Daleko, a jednak zbyt blisko, światła gwiazd niezwykajnie nachylały się ku mrocznej krzywiźnie.

– Nie podlecimy zbyt blisko – upewnił ją spokojny głos kapitana. – Będziemy trzymać się z daleka od horyzontu zdarzeń. Chyba że chcielibyście podlecieć bliżej, by przyjrzeć się statkom pobierniczym Achillesa?

– Trochę się nam spieszy – przypomniał sucho Hasnek.

– Istotnie – zgodził się Samias Kodi Vau. – A zatem... do zobaczenia po drugiej stronie!

Tak jak uprzedzał, fotel otulił Tanę szczelniej i mocniej. Choć przestraszona, nie zaprotestowała. Jakaś jego wypustka nacisnęła zdecydowanie na jej szyję i Tana zasnęła.

Strzępająco szamotały się w niej przez chwilę w daremnej próbie stawienia oporu. Brakowało im jednak doświadczenia z chemią Innych, a Ciszobłysk, komponując usypiacz, wziął pod uwagę także i je. Miotając przekleństwa, zapadły w sen zaraz po swej nosicielce.

Iwan także pozwolił się uśpić. Zасыpiając, uśmiechał się na myśl o swojej niezwykłej łaskawości.

\* \* \*

Las był rozległy, stary i mroczny. Drzewa zdawały się sięgać nieba, a ich korony nie przepuszczały światła. Tana drżała w ciemnościach, nasłuchując niespokojnie odgłosów obcego świata, na który zrzucono ją z trzema batalionami szturmowców. Ktoś ciężko napracował się nad tymi drzewami, odrastały niemal równie szybko, jak oni je niszczyli. Bombardowania z orbity nie przynosiły efektu. Las drwił sobie z konwencjonalnej broni, a admirał za żadne skarby nie chciał użyć niczego silniejszego. Otrzymał swoje rozkazy. Miał zdobyć tę planetę tak, by nadal nadawała się do zamieszkania.

No i nie chciał zabić... Kogo? Krążyły różne plotki. Ponoć buntownikom udało się schwytać kilku Innych i trzymali ich w ukryciu gdzieś tutaj. W pieprzonym lesie wśród pieprzonych bagien, na których żyły wspomagane sztucznymi inteligencjami węże, wielkie jak wieloryby. Komary przenosiły tu wirusy zmodyfikowanych chorób, mogących w ciągu kwadransa wybić cały pluton, w ciągu kilku godzin batalion, a za dzień lub dwa całe siły inwazyjne. Tana uważała, że należało pieprzyć Innych, zasypać las atomówkami, a potem urządzić imprezę z okazji wielkiego ogniska.

Zaraz! Musiała się skupić! Kim, do cholery, jest? Czyje wspomnienia śni?

Tkwiała po pas w bagnie.

Nie ruszała się. Szczelny kombinezon chronił ją przed otoczeniem. Teoretycznie mogli wyciągnąć ją żywą nawet z żołądka gigantycznego węża, jeśli nie tkwiłaby tam zbyt długo. Nikt nie wiedział jednak, czy strój oparłby się szczekom tutejszych krokodyli. I one były modyfikowane genetycznie i cholernie szczwane.

Czujniki poinformowały ją o niezidentyfikowanym ruchu w pobliżu. Coś płynęło w jej stronę. Coś wielkiego, poruszającego się prawie bezszelestnie. Nakazała kombinezonowi spokój, choć aż palił się do podniesienia alarmu. Bała się jednak, że przyciągnie uwagę... tego czegoś.

Po chwili już nie musiała się obawiać, że spowoduje hałas. Bagno przed nią eksplodowało. To nie był wąż ani krokodyl. To było... Coś.

Ociekało brudną wodą i mułem, i ryczało, jakby chciało skupić na sobie uwagę wszystkich w okolicy. Albo rzucić im wyzwanie. Tana tkwiłaby bez ruchu, gapiąc się na ciemną sylwetkę potwora, ale ciało, które przybrała we śnie, miało swoje odruchy. Ręce uniosły karabin do strzału. Automatyczny celownik zamigotał czerwono, a palce nacisnęły spust.

W każdym razie chciały nacisnąć. Kombinezon zablokował je w ostatniej chwili. Szarpnęła się, ale inteligentny materiał zastygł, wiążąc ją niczym owada w bursztynie.

– Co jest? – wrzasnęła. – Co... Hej! Na pomoc!

Nikt nie odpowiedział. Zdała sobie sprawę, że kombinezon odciął jej łączność.

Zaczęła wrzeszczeć, tłuc głową wewnątrz hełmu. Próbowwała przemóc opór kombinezonu, ale był to daremny wysiłek. Zdała sobie sprawę, że kombinezon musiał zawierać ukryty program, uniemożliwiający jej zdradzenie pozycji oddziału przedwczesnym hałasem. Jakimkolwiek hałasem – czy byłoby to otwarcie ognia, czy nadanie wezwania o pomoc.

Monstrum nachyliło się nad nią powoli i spokojnie. Jakby zdawało sobie sprawę, że ofiara już nigdzie nie ucieknie.

– Boże... – wyszeptała.

Jego trójkątny łeb był większy od niej. Zaopatrzony w długi, ostry pysk, sponad którego wpatrywała się w Tanę para zimnych, bladoniebieskich ślepi. Nie dostrzegła w nich śladu wzmocnionej inteligencji czy okrucieństwa.

Jedynie bezmyślny imperatyw zjadania mniejszych od siebie.

Potwór wzniosł się jeszcze trochę ponad bagno, powoli, jakby go to nudziło, rozwarł paszczę, odsłaniając trójkątne zęby wielkości dłoni. I niespiesznie pochłonał wrzeszczącą Tanę, przeklinającą swoich dowódców i ślepych, nieświadomych niczego towarzyszy broni.

Poczuła, jak szczęki zaciskają się na kombinezonie i pokonując jego opór, miażdżą jej żebra.

*Nigdy nie znasz pełnego planu. Nigdy nie wiesz, kim jesteś i jakie miejsce ci przeznaczono.*

*Nigdy nie wiesz, gdzie czai się drapieżnik ani kto nim jest.*

\* \* \*

Litościwe strzępojaźnie obudziły ją, nim potwór zabił i pożarł jej przodka. Rozdygotana, leżała dobry kwadrans, nim opanowała się na tyle, by usiąść, zażądać od statku światła i odnaleźć butelkę z wodą. Wiedziała, że powinna skontaktować się ze strzępojaźniami i zażądać od nich wyjaśnień. Zdawała sobie jednak sprawę, że jeszcze się na to nie odważy.

Musiała się uspokoić.

Uświadomiła sobie, że otrzymuje od strzępojaźni wspomnienia, do których nie powinna mieć dostępu. Większość historii z wojny pozostawała zastrzeżona dla cywili. Jak więc mogło dojść do tego, że strzępojaźnie przełamały barierę?

Musiała nastąpić awaria. Jakiś wyciek zastrzeżonych wspomnień. Zaklęła. Z jednej strony uspokoiło ją to trochę – przynajmniej nie istniały żadne zbuntowane, ukryte w jej głowie strzępojaźnie. Obawy Tany zaczęła teraz budzić możliwość trochę niezwyklej, jednak znacznie mniej niebezpiecznej awarii. Tylko dlaczego doszło do niej akurat teraz? Z powodu stresu i napięcia, towarzyszących wyprawie? To byłoby możliwe.

Cholera!

Klęła jeszcze, gdy Ciszobłysk zameldował jej, że lada moment opuszczą świat Innych, i zaprosił na mostek.

\* \* \*

Iwan oderwał na moment wzrok od ekranu, by zerknąć na Toja. Mgławica z wszczembiotem wciąż owiniętym wokół szyi oderwała się na moment od swoich wewnętrznych światów i przysłała na mostek. Agent zauważył, że za plecami mgławicy Hasnek i Tana przeciskają się przez wąski korytarz.

– Dzień dobry kapitanie! – zawołał Hasnek. – Czy jesteśmy już gotowi?

– Ciągłe niecierpliwy, profesorze? – Samias Kodi Vau uśmiechnął się na powitanie. – Pańskie oczekiwanie dobiegło końca. Lada moment startujemy. Ciszobłysk dokonuje tylko końcowych obliczeń.

– Przecież dostarczyliśmy wam wszystkich niezbędnych parametrów!

– Dokonanych pod kątem waszych chronokrętów, tak. Nasza technika różni się jednak trochę od waszej. Musimy dokonać pewnych synchronizacji. To zajmie już tylko kilkanaście minut. Pan Tojo bardzo nam pomaga.

Pochwalona mgławica zdołała wykrzesać z siebie coś w rodzaju uśmiechu.

– Udostępniłem Ciszobłyskowi część swojej mocy obliczeniowej – wyjaśnił. – Zasłużył na to po tym, co zrobił... dla mnie.

– Iwan – zagadnęła niespodziewanie Tana. – Moglibyśmy porozmawiać?

Zaskoczony agent skinął głową.

– Nie tutaj – poprosiła. – Wyjdźmy na korytarz.

Przecisnął się między mgławicą a Hasnekiem i wyszedł za kobietą. Czego od niego chciała? Zaskoczyła go.

– Mam kłopot ze strzępojaźniami – powiedziała szeptem, jakby dla wzmocnienia efektu rozglądając się na boki. Rozbawiła go tym. Biokręt i tak słyszał i – Iwan był o tym przekonany – rejestrował wszystkie rozmowy.

– Nie jestem specjalistą od strzępojaźni.

– Ale jesteś agentem. Możesz wiedzieć coś więcej. Podejrzewam, że mam awarię.

– Awarię? – no tak, atak hysterii. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Posłuchaj, nie wiem, jak strzępojaźnie...

– ...przekazują mi dane wojskowe! – przerwała mu. – Co noc dostaję wspomnienia z wojny! Wspomnienia, których nie zamawiałam!

To już zabrzmiało poważnie. Chronowojny obfitowały w wydarzenia, których nie podawano do publicznej wiadomości. Nie sądził, by groziło im ujawnienie jakichś specjalnych tajemnic, jednak sam fakt, że puszcza wojskowa blokada, był wystarczająco niepokojący.

Zażądał szczegółów.

Opowiedziała mu o swoich snach i obawach. Być może wszystko to sobie wymyśliła. Nie mógł jednak zlekceważyć jej słów.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem – przyznał. – Dziękuję, że mi powiedziałaś. Zachowaj to na razie dla siebie. Niestety, tymczasem chyba nic nie da rady z tym zrobić. Do czasu powrotu do Oka Cyklonu nie mam łączności ze Służbą. Mogłbym zarządzić powrót, ale...

– Nie! Karol zwariowałby z rozpaczy. Zbyt wiele w to zainwestował... My zainwestowaliśmy.

– Właśnie. Spróbuj wytrzymać. Ale zapamiętuj sny. Mogą okazać się ważne.

Skinęła głową.

Uśmiechnął się pocieszająco, sztucznie. Wrócił na mostek i czym prędzej zajął jeden z trzech przeznaczonych dla nich foteli. Przymknął oczy i nawiązał kontakt ze strzępojaźniami.

Służba ofiarowywała agentom system wspomagający. Nie zmieniano ich w cyborgi, jednak zapewniono liczne usprawnienia. Strzępojaźnie Iwana różniły się w związku z tym od cywilnych. Sprzężono je z wewnętrznym biomputerem, utrzymującym w miarę możliwości stałą łączność z siecią Służby i gromadzącym dane, dostępne, w razie potrzeby, agentowi. Iwan mógł, jeśli chciał, umożliwić dotarcie do nich strzępojaźniom, szukając odpowiedzi także w ich wspomnieniach i skojarzeniach. I tak zrobił.

W przeciwieństwie do cywili nie potrzebował systemu medytacji, by nawiązać kontakt.

Wystarczyło, że wyobraził sobie ciąg przypisanych kodowi symboli i umysł wypełniła mu obecność biomputera. Zażądał informacji dotyczących „Collena”, opisał też kampanię, która przyśniła się ostatnio Tanie.

Krażownik III klasy „Collen” – odpowiedział błyskawicznie biomp. – Uszkodzony w wyniku kolizji z miną typu „wampir” podczas misji zwiadowczej do świata podporządkowanego DX/98/A. Zginęło 45% załogi. Posiadamy w zbiorach różańca 437 wspomnień osobistych strzępojaźni związanych z tą katastrofą, jednak żadnego wspomnienia bezpośredniego. Szczegóły?

„Nie. Powiedz mi o tej drugiej akcji”.

To szczególnie wypadek. Rzeczywiście doszło do uszkodzenia biokrętu Innych i po awaryjnym lądowaniu wzięcia do niewoli załogi. Podobnych przypadków było w całej historii chronowojen zaledwie pięć. Natychmiast podjęto działania i wysłano grupy uderzeniowe i ratownicze na Ziemię świata zbuntowanego WR/133/C. WR/133/C było światem eksperymentalnym. Buntownicy prowadzili na nim badania nad stworzeniem istot bojowych, bardzo agresywnych. Podczas akcji potwierdzono 432 przypadki ataków podobnych do opisanego. 120 z nich zakończyło się śmiercią zaatakowanego. Przodkiem Tany, którego wspomnienia dotyczą, był Ivo Torch, kapral oddziałów szturmowych.

Odnaleziono go po zakończeniu akcji, na podstawie sygnału wysyłanego przez kombinezon typu Unitarcza 400. Potwora, znanego pod nazwą Krolem, model ósmy, zabito, a z jego żołądka wydobyto mocno poranionego, ale żywego kaprala. Znajdował się w stanie szoku. Poddano go hospitalizacji, następnie trwającemu dwa lata leczeniu psychiatrycznemu, ostatecznie zwolniono do cywila, po założeniu blokady informacyjnej.

„Nie powinien więc mieć możliwości, żeby przekazać to wspomnienie?”

Potwierdzam. Powinna to uniemożliwić po pierwsze wspomniana blokada, po drugie cenzura strzępojaźni. Wyrażam niepokój. Sytuacja zaklasyfikowana jako konieczność śledztwa typu C. Informuję o braku kontaktu z siecią Służby. Wskazany powrót do światów Oka Cyklonu, w celu nawiązania kontaktu z siecią. Sugerowane działania w zastanym kontekście...

„Dość. Zapisz moją decyzję o kontynuowaniu wyprawy, opartą na Priorytecie Szóstym”.

Przyjęte. Potwierdzenie priorytetu.

„Świetnie. Teraz wyszukaj mi wszystkie dane na temat awarii strzępojaźni”.

Dane wojskowe z początkowych faz prac nad strzępojaźniami są utajnione. Nasze uprawnienia przyznają nam dostęp drugiego stopnia, w skali sześciostopniowej. Jeśli posiadany jest wyższy dostęp, proszę o podanie kodu.

„To niepotrzebne. Nie interesują mnie stare dane wojskowe. Podaj wyniki cywilne z ostatnich... trzech lat OC”.

Dane o 234 547 przypadkach uszkodzeń mechanicznych w wyniku wypadków. Szczegóły?

„Nie. Odrzucimy uszkodzenia mechaniczne. Zgłoszenia awarii, skargi nosicieli, o to chodzi”.

Brak danych. Jedyne plotki, legendy miejskie o zbuntowanych strzępojaźniach.

„Coś oryginalnego z ostatnich trzech lat? Podobne do naszego przypadku – niechciane wspomnienia?”

Posiadamy dane o plotkach. Informacje o ludziach, przekonanych, że strzępojaźnie starają się nawiązać z nimi kontakt. Klub Przeszłości – grupa ludzi wymieniających informacje na sieciach. Ich



zdaniem strzępojaźnie funkcjonują świadomie wewnątrz nosicieli. Wytworzyły współświadomość i rozwijają własną społeczność, w znacznym stopniu oderwaną od społeczności ludzkiej. Działają w ukryciu, w obawie przed reakcją ludzi. Ocena: kolejna legenda miejska, niebrana pod uwagę przez Służbę.

„Wnioski na podstawie przypadku Tany?”

Ocena: nowa, niespotykana awaria. Możliwe, że przypadek jednostkowy, związany jakoś z osobą nosiciela. Zalecane śledztwo.

„Czy one mogą chcieć się z nią porozumieć? Coś jej przekazać?”

Na podstawie posiadanych danych wykluczam. Prawdopodobieństwo znikome.

„Posiadane dane... Czy ona przekazuje nam wszystkie dane?”

Na podstawie oceny charakterów ludzkich i akt Tany Sardis oceniam prawdopodobieństwo pełnej szczerości jako znikome. Niemal na pewno zachowuje część informacji dla siebie.

Tu się zgodzali w ocenie. Iwan także był przekonany, że kobieta coś ukrywa. Ponownie zastanowił się, czy nie należałoby zawrócić ekspedycji. Jednak opierać taką decyzję na podstawie czyichś niepokojów? I to czyich? Tym bardziej że wyprawa mogła przynieść konkretne korzyści także Iwanowi.

Uznał, że podjął właściwą decyzję.

Zakończył połączenie z biocomputerem. Otworzył oczy w samą porę, by spojrzeć prosto w twarz pochylającego się nad nim Hasneka.

– Już myślałem, że śpisz! – zawołał profesor. – Szykuj się! Nareszcie skaczemy do świata Zero!

### III

Laboratoria zbudowano nad oceanem. Wyznaczono w nim strefy kąpielowe, odcinając dostęp wszystkiemu, czym mógł ich przywitać prekambryt. Sprytna siatka ze splecionych nanowłókien przepuszczała wodę, zabijając jednocześnie całe próbujące przedostać się przez nią życie. Elektroniczni strażnicy, wędrujący po plaży bądź szybujący pod rzadko zachmurzonym niebem, chronili ich dodatkowo na swoje sposoby. Byli bezpieczni od napaści z wody, lądu i powietrza.

Ale nie z tych wyższych niebios.

W dniu, w którym miała spaść na nich zagłada, jak zwykle obserwowali gonitwy szczurów po labiryntach, uczyli sztuczek psy i wyznaczali zadania małpom. Czuli się bezpieczni, ich bazę chroniła technologia opracowywana w dziesiątkach światów przez tysiąclecia. Jakkolwiek nauka i technika nie rozwijały się w nich tak szybko, jak chcieliby tego rządzący Okiem Cyklonu, metoda wynalazczości wstecznej wciąż dawała przewagę w wojnie. Naukowcy, opracowujący nowe modele czarnych skrzynek dla ludzi, nie obawiali się więc o swoje bezpieczeństwo, wierząc zapewnieniom wojskowych i ufając strażnikom. Zapisywali wspomnienia zwierząt i przeszczepiali je im nawzajem. Nowe wynalazki testowali także na sobie.

Tego dnia, tuż przed zagładą, podczas przerwy na kawę, snuli fantazje.

– Jest możliwe... – rozpoczął jak zwykle Ifoun, śniady brunet o zadumany spojrzeniu. – Nie, nie śmieście się! No tak, nie bierzecie mnie poważnie!

– Spokojnie, If, śmiejemy się, bo czekaliśmy, kiedy zaczniesz – Izzie uśmiechnęła się, jak zawsze pięknie. – Słuchamy cię. Nikt się nie śmieje. Prawda? – posłała najweselszym surowe spojrzenie. – To jak rytuał, If, jeśli go nie zachowamy, nic się dziś nie uda. No mów, proszę.

Ifoun nie dał się nabrać, ale skinął głową na zgodę. Nie potrafił odmówić Izzie, poza tym naprawdę chciał podzielić się z nimi swoimi pomysłami.

– Jest możliwe – zaczął ponownie – że kiedyś udoskonalimy metodę czarnych skrzynek. Zamiast tych pudełek, które nosimy przywieszane na paskach, albo tych gruszkowatych worków, wypełnionych syntebiolologicznym płynem, będziemy robić prawdziwe cudeńka. Miniaturowe banki naszych pamięci.

– Ba! – prychnął Piotr, informatyk. Wysoki, barczysty i poobwieszany sprzętem. – Toś wymyślił! Do tego zdążamy!

– Oczywiście – Ifoun nie dał się zbić z tropu. – Teraz pomyślcie. Jeśli one będą maleńkie, naprawdę maleńkie, będziemy mogli wszczepiać je sobie prawie bez ograniczeń, prawda?

– Co masz na myśli, mówiąc: „prawie bez ograniczeń”? – spytała Izzie, odtrącając na moment męczące zaloty Sorena, faceta genialnego, jeśli chodzi o neurologię, ale w relacjach męsko-damskich pozostającego na poziomie jaskiniowca. – Że moglibyśmy wszczepiać sobie wiele różnych wspomnień?

Ifoun, szczęśliwy, że skupiła uwagę na nim, skinął entuzjastycznie głową.

– Nie ma mowy! – zaprotestował natychmiast Soren. – Ludzki umysł nie zdoła zapanować nad wieloma cudzymi wspomnieniami. Z trudem radzi sobie z jednym implantem memorycznym. A i tak dokonujemy selekcji zawodowej. Saperzy dostają wspomnienia saperów, zwiadowcy zwiadowców...

– Neurologi neurologów... – uzupełnił Piotr. – Bądź kreatywny, Soren. Może twoje wspomnienia pomogą komuś bardziej uzdolnionemu rozwiązać jakiś problem?

– Mózg to nie maszynka, jak twoje komputery – Soren posłał informatykowi niechętnie spojrzenie. Nie przepadali za sobą. – Owszem, staramy się zwiększyć jego możliwości, ale to nie kwestia neurologii, tylko psychiki. Jeśli załadujemy komuś wspomnienia kilku osób, nosiciel oszaleje.

– Można je ograniczyć – podsunął Ifoun. – Już teraz cenzurujemy wspomnienia dla żołnierzy, prawda? Usuwamy wszystkie dane osobiste, zostawiamy same odruchy

– Ale my, naukowcy, dostajemy pełny zestaw – replikował Soren. – Mogę powiedzieć ci wszystko o moim poprzedniku.

– Potrzebujemy inspiracji. Pomocy. Ale pomyśl, że oprócz wspomnień dostałbyś choć część osobowości twojego... Kogo nosisz?

– Mirkowskiego.

– Zatem Mirkowskiego. Rozumiesz? Część jego osobowości, która sama podpowiadałaby ci, co robić, bez konieczności wzywania jej na pomoc i przeszukiwania cudzych wspomnień. A obok Mirkowskiego siedziałby jakiś informatyk – to znaczy wspomnienia informatyka, gotowe pospieszyć ci z pomocą w dziedzinie, na której kompletnie się nie znasz. I wspomnienia jakiegoś inżyniera, biologa, psychiatry... Całe stado przekrzykujących się wspomnień geniuszy nauki do twojej dyspozycji!

– Przekrzykujących się geniuszy, co? Mówisz o chaosie. I myślisz, że można by w takiej sytuacji nie zwariować? – Soren mrugnął do Izzie, przekonany o swoim triumfie w dyskusji.

– Można by zakładać im pewne ograniczenia – nie ustępował Ifoun. – Poza tym to nie ludzie, nie mieliby woli, jedynie prerogatywy.

– Jestem pewien, że gromada genialnych naukowców, nawet jeśli miałyby to być tylko zapisy ich pamięci, nie wytrzymałaby w zamknięciu umysłu Sorena – odezwał się milczący dotąd Nicholas, genetyk. Zajmował się głównie szczurami, a niektórzy jego współpracownicy twierdzili, że nie dostrzega różnicy pomiędzy ludźmi a gryzoniami. – Doszłoby do buntu i któryś z umysłów przejąłby kontrolę.

– Powtarzam, zadbalibyśmy o zabezpieczenia.

– Jakie? – Soren był wyraźnie zdenerwowany. Tego dnia wszyscy zwrócili się przeciwko niemu.

– Moglibyśmy ich... oszukiwać – wymyśliła zupełnie poważnie Izzie. – No co? Wiecie, prowadzimy teraz próby na psach. Wszczepiamy im zafałszowane wspomnienia. Zapominają, kim są, kto był ich ukochanym panem. To nietrudne. Możemy zafałszowywać wspomnienia tak, jak chcemy. To znaczy, będziemy mogli, bo na razie...

Przerwał jej ogłuszający huk, który niemal zwałił ich z nóg. Ciężkie przesłonił słońce i silny podmuch wiatru uderzył w plażę.

– Łąduje jakaś nowa ekipa! – wrzasnęła Ifoun, ale nikt go nie usłyszał. Prawdę mówiąc, sam ledwie usłyszał swoje słowa.

Przegapili także syreny alarmowe.

Dopiero kiedy pierwsze bomby wybuchły w miasteczku, zrozumieli, że doszło do czegoś, co, jak zapewniali wojskowi, było praktycznie niemożliwe. Buntownicy nie tylko wykryli ich świat, ale też zdołali go zaatakować.

Ifoun spojrzął przez okno i wrzasnął. Kilkanaście... Nie, kilkadziesiąt szarych dysków nosicieli wirowało na tle nieba. Wypluwały z siebie strumienie bezzałogowych myśliwców i bombowców, masakrujących miasteczko.

Oprzytomniał, gdy kilka myśliwców skierowało się ku ich plaży. Niewiele myśląc, chwycił Izzie za rękę. Pociągnął dziewczynę za sobą i rzucił się do ucieczki.

– Kapsuła! – zawołał, mając nadzieję, że go usłyszy. – Musimy dostać się do kapsuły!

Myśliwce Oka Cyklonu, które przetrwały pierwsze bombardowanie, oderwały się od ziemi i stawily czoła intruzom. Wobec przewagi liczebnej wroga były skazane na porażkę, ale ofiarowały uciekającym naukowcom nieco czasu.

Izzie krzyczała coś do Ifouna, ale mężczyzna jej nie słyszał. Nie puszczając ręki dziewczyny, gnał w stronę kapsuł ratunkowych. Poczul za sobą podmuch wybuchów. Gorący powiew smagnął mu plecy. Izzie potknęła się, ale podtrzymał ją i nie upadła.

Słuch wracał mu stopniowo, szybciej, niż myślał. Słyszał walczące nad nim myśliwce, nieznośny świst spadających bomb, odległe wybuchy. Wreszcie dotarli do kapsuł. Drżącymi palcami wstukał kod i wepchnął Izzie do jednej z nich. Wskoczył zaraz za dziewczyną i zatrzasnął właz. Kapsuły były dwuosobowe. Jeśli ktoś biegł za nimi, musiał skorzystać z innej.

Uruchomił ekran, tylko po to, by wyłączyć go natychmiast. Jedyne, co pokazały mu kamery, to morze ognia.

– Nikt się nie uratował – szlochała Izzie. – Nikt!

Objął ją i pozwolił się wypłakać.

– Gdy Oko dowie się o ataku, przyślą tu chronokręt – szeptał jej do ucha. – Wielki, potężny chronokręt w towarzystwie kilku pancerników. Wyskoczą jakiś tydzień przed atakiem i powstrzymają go. Oni wszyscy, Soren, Piotr i Nicholas, będą żyć.

– Nieprawda! To się nie uda! Chronokręt przyleci, zabije tych wszystkich buntowników, ale uruchomi tylko inną linię czasu. To nie będą nasi Soren, Nicholas i Piotr, tylko jacyś inni! I wiesz co, będziemy tam też jacyś inni my! To koniec, If, nie ma już laboratorium, miasteczka nad oceanem, nic nie ma! Zaraz wylądują tu cholerni buntownicy i zrabują wszystko, czego nie zniszczyli. Wszystkie nasze wyniki badań...

– Tak źle nie będzie – próbował ją uspokoić. – Zapobiegą temu odpowiednie procedury...

– O Boże! – krzyknęła – O Boże, zapomniałam o tym! If! If, musimy stąd uciekać! To nas zabije! Boże, muszę się wydostać z tej kapsuły! Muszę...

Nie dokończyła. Nie wtedy.

Opór wojsk Oka Cyklonu został złamany. Oddziały desantowe buntowników wylądowały na plaży i ruszyły w stronę prawie nietkniętych laboratoriów.

Wtedy komputer bazy zareagował tak, jak nakazał mu program. Włączył sekwencję skoku. Zagrały ukryte generatory i bomba czasowa, przygotowana na taką właśnie rozpaczliwą sytuację, eksplodowała. Ostatnie z zabezpieczeń, nieodkryte jeszcze przez przeciwnika, zaskoczyło go i wypełniło swoje zadanie.

Płonące miasteczko, plaża i laboratorium ze wszystkimi wynikami przeskoczyło o miliony lat wstecz, do czasów, kiedy nie było jeszcze plaży ani oceanu, lecz jedynie rzeki płynnej lawy. Nieliczne kapsuły wystrzeliły w powietrze, by opaść na rozgrzaną powierzchnię planety, trzymając swoich pasażerów uwięzionych w zeroczasie. A nieprzygotowani żołnierze wrogiego desantu dosłownie wyparowali.

W przeszłości pojawiły się wreszcie chronokręty buntowników. Ich patrole szukały śladów laboratorium, jednak ono już wtedy nie istniało.

Trzy pojazdy patrolowe przemknęły nad lawą, pod którą tkwiła uwięziona kapsuła Ifouna i Izzie, ale jej nie odnalazły.

\* \* \*

– Znaleźli ich później i wydobyli nasi – relacjonowała Tana. – Uratowali ich.

– Piękna historia – wzruszył ramionami Hasnek. – Ale co mnie to obchodzi?

– Nie rozumiesz? Wyrażam się nie dość wyraźnie? – zdenerwowała się. – To nie moje wspomnienia!

– Tanie chodzi o to, że nie pochodzą z jej różańca, durniu! – mgławica nie wytrzymała.

– No ba! – powtórzył Hasnek, do którego najwyraźniej nic nie docierało. – Interesujące, pewnie, że interesujące! Ale nie po to się tu zebraliśmy, prawda?

Wyskoczyli w świecie Zero dwa dni wcześniej, dokładnie tak, jak to zaplanowali. Miejsce i moment pojawienia, zwane krótko „lądowiskiem”, zostały skrupulatnie obliczone. Kwanputery Stacji Achillesa sprawdziły historię lądowiska w świecie Oka Cyklonu i obliczyły prawdopodobieństwo zmian w świecie Zero. Określiły dokładnie czas, kiedy moment przybycia chronokrętu nie powinien skrzyżować się z przelotem żadnego kosmicznego śmiecia, choć zawsze istniało ryzyko, że jakiś fragment historii świata Zero potoczył się inaczej. Hasnek miał wszystkie te obliczenia za nic. Tak naprawdę skakali na główkę w mętną wodę, pod której powierzchnią mogły czaić się skały i potwory. Nie była to jednak obawa, którą mógłby ujawnić przed pracownikami stacji. Odegrali więc komedię, pozwalając kwanputerom jak zawsze liczyć i przewidywać, a potem skoczyli, spodziewając się śmierci.

Przeżyli. A to, co zastali, bardzo się Hasnekowi nie spodobało.

– Ten kawałek skały przed nami to Pluton – obwieścił kapitan Ciszobłysku, gdy fotele pozwoliły im się wreszcie przebudzić. – Zgodnie z waszymi procedurami posiedzimy w ukryciu przez trzy dni, szukając śladów ziemskiej cywilizacji. Fal radiowych, czegokolwiek. Jeżeli jacyś koloniści Oka lub buntowników przetrwali, znajdziemy ich. Tak czy inaczej, po trzech dniach, jeśli nie będzie to niebezpieczne, ruszymy w kierunku Ziemi.

Hasnek nie powiedział wtedy nic. Nie odzywał się przez dwa dni. Zamknął się w swojej kabinie i nikomu nie odpowiadał.

Nie wyszedł nawet wtedy, kiedy kapitan ogłosił, że nie znalazł żadnego śladu cywilizacji, w związku z czym można obrać kurs na Ziemię. Radził przygotować się na tydzień podróży, zamierzał bowiem postępować tak ostrożnie, jak tylko się dało.

Dopiero na dzień przed osiągnięciem celu Hasnek wezwał swoją ekipę na spotkanie. Przyszli we trójkę, choć z trudem mieścili się w ciasnym wnętrzu. Ponieważ Hasnek milczał, Tana wykorzystała okazję i opowiedziała o swoim ostatnim śnie. Ten zaniepokoił ją najbardziej.

– Pluton – zawołał profesor, nim ktokolwiek zdążył odnieść się jakoś do kłopotów Tany.  
– Pluton! Układ Słoneczny! Ziemia! Szaleństwo!

– Karol – odezwał się Iwan. – Braliśmy to pod uwagę. Nie powinieneś być aż tak zaskoczony.

– Ale obliczenia! – jęknął Hasnek. – Powtórzyłem je wszystkie! Sprawdziłem! Wszystko się zgadzało!

– Chronetyka jest młodą dziedziną wiedzy – tłumaczył Iwan uspokajającym tonem. – Właściwie prawie jej nie ma, jesteś jej pionierem, Karolu. Być może błąd tkwił gdzieś w założeniach. Nic nie pomogą dobre obliczenia, jeśli źle wyprowadziliśmy wzory.

– A być może i wzory, i obliczenia są dobre, a my zostaliśmy oszukani – powiedziała niespodziewanie Tana. Podsuwane przez strzępojaźnię, którym coraz mniej ufała, sny i skojarzenia doprowadzały ją do szaleństwa. Snuła dziesiątki przypuszczeń, próbując ustalić, co się właściwie z nią dzieje.

– Wyjaśnij! – profesor uczepił się lichej nadziei, zanim Iwan zdążył zażegnać niebezpieczeństwo.

Tylko na to czekała.

– Pomyślcie! Zabrali nas do świata Innych, pozornie po to, żeby przeprowadzić tam dodatkowe obliczenia i przygotować przeskok za pomocą własnych urządzeń. Wylądowaliśmy na jakimś zadupiu, gdzie nie było nic. Nic! Sterczeliśmy w całkowitej pustce, z dala choćby od jakiegokolwiek gwiazdy. A potem przeskoczyliśmy tutaj. Może więc to nie jest wcale świat Zero, tylko jakaś rzeczywistość stworzona przez nich?

– Po co mieliby to robić? – Iwan spróbował ją uspokoić.

– Po co? Może wysondowali nasze myśli, spodobała im się teoria Karola i postanowili ją wykorzystać? Może to oni wywołali wojnę, żebyśmy musieli skorzystać z ich pomocy?

– No nie, to już jest jakaś paranoja – zachnął się Iwan i omal nie rozpętał awantury. Uratowała go mgławica, która odezwała się niespodziewanie, niezwykle jak na siebie spokojnie i rzeczowo.

– Tana! – powiedział łagodnie. – Spójrz na mnie, kochanie! No, spójrz! Teraz skup się i posłuchaj. Uważasz, że Inni sondowali nasze umysły, żeby poznać tajemnice profesora, tak?

Potwierdziła energicznym skinieniem głowy. Chciała coś powiedzieć, ale jej przerwał.

– Skoro są telepatami i wyciągnęli z naszych głów wszystko, co chcieli, to po co zabrali nas tu ze sobą? Do czego im jesteśmy potrzebni?

– Ja... Może wszystkiego nie wyciągnęli? Może czegoś nie wiedzą? Może...

– Są tutaj, Tano. Dostali od nas wszystkie obliczenia. Czego jeszcze mogą nie wiedzieć?

– To te sny – załamała się. – Wariuję od nich! Cały czas radzą mi uważać, szukać spisków! Ja... przepraszam. Rzeczywiście zrobiłam z siebie idiotkę.

– Większą, niż myślisz – tym razem mgławica uśmiechała się triumfalnie. – Inni nie są, jak obliczam, telepatami. Ale ich statek to żywa inteligentna istota i słyszał wszystko, co mówimy. Prawdopodobieństwo, że czeka nas niekoniecznie przyjemna rozmowa z kapitanem, uważam za spore. Sugeruję, byśmy byli podczas tej rozmowy szczerzy.

Przez chwilę przyglądali mu się przestraszeni i zdziwieni. Pierwszy ocknął się Iwan.

– Dlaczego nas nie ostrzegłeś, do cholery!

– Niewiele by to dało. Jak znam profesora, lubi on rozwiązywać swoje problemy, rozmawiając sam ze sobą. Jeśli nie zmienił nagle zwyczajów, od przeszło tygodnia karmi statek wygłaszanymi przez siebie monologami. Oddam 10% swoich zasobów obliczeniowych, jeśli się mylę. Kapitanie?

– Nie mylisz się – odpowiedział interkom głosem dowódcy biokrętu. – Zapraszam państwa do mesy.

– Do mesy? – zmęczenie najwyraźniej nie pomagało Tanie.

– Na mostku nie pomieścimy się wszyscy – wyjaśnił jej szybko Tojo.

– Wszyscy?

– Wszyscy, ty histeryczna idiotko – roześmiał się. Chwyił ją za rękę i pociągnął za sobą w kierunku otwierających się drzwi. – Założę się, że kapitan zwołał całą załogę.

Zauważyła, że ponownie owinał sobie symbiota wokół szyi. Upewniło ją to, że nie powinna mu ufać.

*Jeśli ktoś wie więcej od innych, to znaczy, że ma jakieś tajemnice – szeptały głosy w jej głowie. – A to oznacza przewagę, którą – skoro nie mówi wszystkiego – chce jakoś wykorzystać. Przeciw komu?*

\* \* \*

Już na nich czekali. Samias Kodi Vau i Gorei Kodi Cedeer oraz ich Wierni. Kapitan i nawigator siedzieli przy długim stole. Wierni zgromadzili się za ich plecami. Przypatrywali się swoim gościom bez cienia zaufania.

A jednak Samias Kodi Vau uśmiechnął się na powitanie.

– Usiądźcie, proszę – wskazał im krzesła. – Musimy porozmawiać przed lądowaniem. Jeśli w ogóle wylądujemy. Jest kilka rzeczy, które musimy sobie wyjaśnić.

Hasnek, zupełnie zdruzgotany, nie powiedział nic. Pozwolił, by jeden z Wiernych podsunął mu krzesło, i usiadł, wbijając wzrok w blat.

Iwan uznał, że musi przejąć inicjatywę. Tana dostała ataku hysterii, Hasnek nie nadawał się do niczego, a mgławica właściwie nie była już człowiekiem. Pozostawał on.

– Sporo usłyszeliście – rozpoczął. – Ale nie macie prawa mieć do nas pretensji. Nie złamaliśmy umowy.

– Nie byliście szczerzy co do celu waszej wyprawy! – warknął Gorei Kodi Cedeer, najwyraźniej znacznie mniej opanowany niż jego dowódca.

– Doprawdy? To wciąż wyprawa naukowa, której celem jest zbadanie świata, nieistniejącego na żadnej z map Oka Cyklonu ani waszych. Odkryliśmy go za pomocą nowatorskich obliczeń profesora Hasneka. Co się nie zgadza?

– Dobrze wiecie, co się nie zgadza! – nawigator był coraz bardziej zdenerwowany. – Wasz profesor wymamrotał wystarczająco dużo, żebyśmy domyślili się, jak wiele przed nami ukrywacie!

– Nie złamaliśmy umowy w żadnym paragrafie – upierał się Iwan. Cieszyła go złość Innego, rzadko można było obserwować zdenerwowanego któregoś z nich.

Samias Kodi Vau powstrzymał gestem swojego podwładnego.

– Ma pan rację. Nie złamaliście umowy w żaden formalny sposób, choć moim zdaniem poważnie naruszyliście jej ducha. Ale nie zaprosiłem was tutaj, żeby się kłócić, tylko by wymienić informacje. Teraz, kiedy znamy część prawdy, wasza wyprawa dopiero stała się dla nas interesująca. I teraz jeszcze bardziej chcemy wziąć w niej udział.

– Nie wątpię! – wyszczerzył się Iwan. – Tylko, czy my chcemy...

– Dość! – Hasnek zaskoczył wszystkich. – Dość tego, Iwan!

Wyprostował się na krześle, by spojrzeć kapitanowi w twarz. Potem powtórzył:

– Dość. Nie przyszliśmy tu się kłócić, jakbyśmy negocjowali cenę na jakimś... targu! To nie gra wywiadu, Iwan. Kapitanie – zwrócił się do Innego. – Rzeczywiście, ukrywaliśmy przed wami to i owo. Ale ukrywaliśmy to przed wszystkimi. Nasza... Moja teoria jest dość śmiała. Chyba zrozumie pan, że pewnych rzeczy nie ujawnia się przed uzyskaniem pewności lub przynajmniej wystarczająco mocnych przesłanek. Nie kierowała nami wrogość ani nieufność, lecz jedynie zawodowa ostrożność. Proszę mi wybaczyć, jeśli was urażiliśmy.

– Dziękuję, profesorze. Oczywiście, rozumiem. Istotnie, ma pan rację. I ja muszę przeprosić, podслуchiwaliśmy przecież wasze rozmowy. Nie można było jednak tego uniknąć,



Ciszobłysk nie ma możliwości wyłączenia części siebie. Widzicie, my wszyscy pozostajemy w stałym, nieustannym kontakcie, rodzaju związku. To, co wy rozumiecie jako odosobnienie, dla nas jest niezrozumiałe. Dlatego nie pomyśleliśmy nawet o jakiejś formie... odizolowania was. A to, co usłyszał Ciszobłysk od profesora, było zbyt fascynujące, by przejść obok tego obojętnie. Teraz ja proszę o wybaczenie. Niemniej być może poszczęściło się nam obu...

– Poszczęściło się?

– Proszę mi powiedzieć, co tak naprawdę wie pan o światach spontanicznych, profesorze. A wtedy powiem panu, co wiem ja.

Cała energia uszła natychmiast z Hasneka.

– Wy wiedzieliście wcześniej! – wykrztusił. – Wiedzieliście o...

– Nie nazywamy ich w ten sposób. I nie tyle wiemy, ile raczej przypuszczamy. To... teoria. Ale możemy pomóc sobie nawzajem, profesorze. Proszę.

– Dobrze więc – Hasnek odetchnął głośno, głęboko.

A niech tam!, pomyślał. Przecież cała ta sprawa jest już i tak praktycznie nic niewarta!

\* \* \*

– Światy równoległe – rozpoczął profesor – teorie wieloświata, wszystko to zeszło na plan dalszy, gdy rozpoczęliśmy podróże w czasie i napotkaliśmy ich konsekwencje. Po co przeznaczać miliardy na badania, które nie przyniosą żadnej wymiernej korzyści na tyle szybko, by komukolwiek mogło się to opłacać? Kiedyś naukowcy straszili polityków wizją zamrożonego wszechświata, przed którym można by szukać ucieczki we wszechświecie równoległym. Ale jaki sens mają badania nad takimi światami, kiedy możemy stwarzać sobie własne, cofając się w czasie, i rozpoczynać swoją historię na miliardy lat przed ostatecznym końcem? Schwytaliśmy wieczność w pułapkę techniki. Byliśmy bezpieczni.

Wojny wymuszały na nas wyszukiwanie prostych, praktycznych rozwiązań. W efekcie utraciliśmy jednak kontrolę nad rozwojem wieloświata. Minęły wieki, nim wszystko uspokoiło się na tyle, że mogliśmy się zabrać za sprzątanie. A wtedy stało się jasne, że stworzyliśmy chaos.

Nikt nie panował, nawet się nie starał, nad produkcją światów. Celowo użyłem słowa „produkcja”, bo trudno nazwać to inaczej. Stwarzaliśmy światy niemal na skalę przemysłową, bo też traktowaliśmy je jako fabryki. Po prostu cofaliśmy się w czasie, budowaliśmy nowoczesną cywilizację, by korzystać z tysięcy lat jej odkryć. Fabryki mówię, nie światy! Wyssane do cna z bogactw naturalnych i skazane na degenerację myśli, ukierunkowanej przede wszystkim na« produkcję broni. Nic dziwnego, że wszystkie upadały!

Wojny dobiegły końca i trzeba było odbudowywać świat. Ale jaki? Nie udawało nam się zapanować nawet nad nadprodukcją światów Oka Cyklonu, a co dopiero mówić o światach tworzonych przez buntowników! Setkach, może tysiącach światów, których istnienie

buntownicy starali się przed nami ukryć w nadziei, że kiedyś przyniosą nam zagładę. Należało wymyślić sposób, jak je odnaleźć. Nikt nie chciał powtórki wojny, a ona mogła wzbierać w tych zapomnianych światach. Wywiad, najbardziej nawet efektywny, nie zdołał poradzić sobie sam. I wtedy teoretycy znów okazali się potrzebni.

Pamiętacie zagadkę ciemnej materii? Tego tajemniczego składnika wszechświata? Okazało się, że nie była ostatnią zagadką kosmosu. Odnaleźliśmy coś, co ktoś dowcipny nazwał Stałą Everetta. Pewną, wydawałoby się bezużyteczną energię, obecną w każdym ze światów. Badania wykazały, że istniała już przy narodzinach wszechświata i że w każdym ze światów jest jej tyle samo. Kiedy już nauczyliśmy się ją rejestrować, okazało się, że jest praktycznie wszędzie, w każdym atomie, w najdrobniejszej z cząsteczek. Dziwna energia, która nie miała, jak się zdawało, żadnego wpływu na rzeczywistość. Ale we wszystkich atomach było jej tyle samo. Zbadaliśmy elektrony, zbadaliśmy kwarki, miony, taony... Wszędzie była, przy zachowaniu proporcji, taka sama. Nawet nie wiedzieliśmy, co badamy, w końcu bowiem przestano nazywać ją energią. Pozostała Stałą Everetta, ciemną materią ery wieloświata.

A potem odkryliśmy, że wcale nie jest taka stała. Że kiedyś jej wielkość była inna, większa. Ponad sto lat, sto rzeczywistych lat, poświęcono na śledzenie rozwoju Stałej Everetta w historii świata Oka Cyklonu. Odkryliśmy, że nie zmieniała się przez miliony lat. Pierwsze zmiany zaczęły się, gdy odkryliśmy podróże w czasie. Największe nastąpiły podczas wojen, kiedy mnożyliśmy światy w stopniu niewyobrażalnym. I wtedy Stała Everetta okazała się „stałą” na nowy sposób...

Okazało się, że w wieloświecie jest jej zawsze tyle samo. Ani nie przybywa, ani nie ubywa. Jedyne rozrzedza się z każdym nowo powstałym światem. Nie wiemy jak, nie wiemy dlaczego – nic nie wiemy. Pomiar Stałej, zestawienie jej wartości sprzed ery mnożenia światów i obecnej pomogło nam, w prosty sposób, obliczyć liczbę istniejących światów w naszym wieloświecie. W ten sposób dowiedzieliśmy się, ilu jeszcze nie odnaleźliśmy. Teraz wystarczyło poszukać.

Tu znów z pomocą przyszła nam Stała. Każdy ze stworzonych wszechświatów miał swoją historię, dzięki czemu mogliśmy opracować rozkład zmienności Stałej w czasie. W ten sposób stworzyliśmy wielką mapę wieloświata, na której zaznaczaliśmy białe plamy – brakujące nam etapy historii rozrzedzania Stałej. Odnajdywanie zaginionych światów stało się proste.

– A jak to się ma do pańskich światów spontanicznych?

– Znałście historię Stałej i tylko was zanudziłem, co?

– Ja znałem historię Stałej – przytaknął kapitan. – I mój nawigator również. Ale nasi Wierni już nie. Wie pan, profesorze, założę się, że i u was nie wie o niej nikt poza specjalistami.

– W porządku. Widzi pan, widzą państwo... Ja nie wychodziłem w badaniach od Stałej Everetta. To znaczy, należałem do zespołu zajmującego się wyszukiwaniem światów, ale to była prosta praca. Ja byłem ciekaw, czy rację mieli dawni fizycy. I czy istnieją inne, niestworzone przez człowieka światy. Takie, które powstały same.

– Światy spontaniczne?

– Światy spontaniczne. Jak je wykryć? Mówiąc krótko – znalazłem nieścisłości w naszych mapach. Zdziwiająco nieścisłości, bo przecież mapy wieloświata powstały na podstawie sprawdzonych wyliczeń. Kierując się nimi, odnajdywaliśmy zaginione światy, a zatem musiały być prawidłowe. A jednak nie. Jednak coś było nie tak. Wyliczone przez nas rozrzedzenie Stałej nie zgadza się z liczbą istniejących światów. Znaleźliśmy światy, w których stan rozrzedzenia był zdziwiająco niewielki, które nie powinny, według naszych map, istnieć. Doszło do paradoksu – obliczenia równocześnie były i nie były prawidłowe.

– I wymyślił pan inny świat startowy?

– Brawo, kapitanie! Wymyśliłem inny świat startowy. Jakiś świat równoległy do naszego, z którego wygenerowane zostały inne światy pochodne. Spróbowałem uwzględnić istnienie takiego świata w obliczeniach i uzupełnić mapy wieloświata. Znalazłem kilka potencjalnych światów startowych, światów Zero. Ten wydawał się najbardziej... prawdopodobny.

– Tamte światy ze zbyt małym rozrzedzeniem Stałej... – odezwał się po chwili zastanowienia kapitan. – One były kopiami ziemskiego wszechświata? Kopiami Oka Cyklonu?

– Tak, tak, Ziemia i tak dalej.

– Pan wybaczy, profesorze, ale to się wydaje dziwne. Dlaczego światy nie pochodzące od Oka Cyklonu były takie same jak on?

– Ba! Istnieją dwie teorie. Jedna z nich jest stara, pochodzi jeszcze sprzed podróży w czasie. Mówi, że wszystkie światy równoległe stanowią wariację na swój temat. Wszędzie kosmos wygląda tak samo, przynajmniej ma taki sam początek. Późniejszy rozwój takiego kosmosu warunkowany jest niewyobrażalną ilością zmiennych, ale równie dobrze – prawdopodobieństwo jest znikome, ale nie zerowe – może się powtórzyć jego historia podobna do historii Oka. Może ludzie wyglądaliby tam nieco inaczej, może ewolucyjny wyścig zwyciężyłyby mrówki... Ale ogólnie biorąc – byłoby podobnie.

– A druga teoria?

– Światy mogą nie mieć ze sobą nic wspólnego. Wie pan, aż do innej fizyki włącznie.

– Przyjął pan pierwszą teorię?

– Byłem zwolennikiem drugiej. Teoria podobieństw wydawała mi się zbyt nieprawdopodobna. Ale istnienie światów z zaburzonym rozrzedzeniem zdawało się ją potwierdzać. Były identyczne, a przecież inne.

– Ale to znaczy, że mogły zawierać obce, ludzkie cywilizacje, prawda?

– Owszem. Tacy ludzie powinni być zdziwieni, nawiązać kontakt. Ale niech pan sobie wyobrazi, że podczas wojny buntowniczy chronokręt przeskakuje do innego świata i odnajduje Ziemię, a na niej cywilizację, która nie posiada żadnej charakterystyki buntowników. Co by pan pomyślał?

– Że to jeden ze światów pochodnych Oka Cyklonu – skinął głową kapitan. – Rozumiem. Ocenilibym siły i uciekł, żeby wrócić z większą flotą, albo zaatakowałbym od razu.

– A potem mógłby pan wykorzystać ten świat i cofnąć się w czasie, tworząc jego odgałęzienia i mnożąc je. A wszystko to nie zdając sobie sprawy, że to już odgałęzienia innego wszechświata. Stała Everetta odkryto dopiero po wojnie.

– No dobrze. Skąd w takim razie pana wzburzenie, profesorze? Znaleźliśmy świat, który podejrzewa pan o bycie światem spontanicznym. Na czym polega problem?

– Niedługo po przeskoku pobraliście próbki z kawałka asteroidy, w której pobliżu przelatywaliśmy. Zapoznałem się z tymi próbkami.

– Wiem, pytał mnie pan o pozwolenie. Nie znaleźliśmy w nich nic interesującego.

– Bo nie macie narzędzi do pomiaru rozrzedzenia Stałej! – Hasnek zadrżał. Chwytał szklanekę z sokiem i opróżnił ją jednym haustem. – Zmierzyłem rozrzedzenie. Jest bardzo niewielkie. Mniejsze niż w jakimkolwiek ze znanych nam światów.

– Znakomicie. Czyli pańskie obliczenia były prawidłowe.

– Nie rozumie pan! Ono jest mniejsze niż rozrzedzenie Oka Cyklonu! Nic nie ma prawa być takie!

*Bingo!* – ucieszyły się głosy wewnątrz Tany

## IV

Osadzili lądownik w niewielkiej kotlinie wśród gór. Jej dno pokrywało jeziorko, wystarczająco głębokie, by się w nim ukryć. Lądownik Ciszobłyska okazał się pojazdem wystarczająco plastycznym, żeby wystająca ponad wodę część mogła z powodzeniem udawać kawałek skały.

Poza tym wszystko było identyczne jak na Ziemi Oka Cyklonu osiem tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa. Rzeźba terenu, flora i fauna. Z jednym wyjątkiem – nie znaleźli żadnych ludzi. Sondy Ciszobłyska wędrowały po orbicie planety, szukając bez powodzenia śladu cywilizacji, choćby najprymitywniejszych. Jediną pozytywną stroną takiego obrotu spraw był fakt, że nie napotkały także śladu po przybyciu Tianowicza. Gdyby już tu był, zostawiłby, jak oni, statek i sondy na orbicie. Nie znaleźli po nich choćby śladu.

Odkąd wylądowali, Hasnek i Iwan oddalali się od Tany. A może to ona oddalała się od nich? Ciężko jej było już się połapać. Z pewnością stracili do niej zaufanie, gdy stwierdzili, że

zdecydowanie więcej czasu spędza z Samiasem Kodim Vauem niż z nimi. Uznali ją za zdrajczynię i przestali dopuszczać do swoich sekretów.

Początkowo zbliżyła się do niego, mając nadzieję, że zaradzi coś na jej sny. Stawały się coraz intensywniejsze i coraz bardziej niepokojące. Prawie nie śniła już historii strzępojaźni ze swojego różańca. Odważyła się wreszcie skontaktować z nimi bezpośrednio, ale wiewiórka, która przybyła na spotkanie pod drzewem, odpowiadała samymi zagadkami. Tana nie wiedziała już, czy strzępojaźnie oszukują ją, czy też same nie wiedzą, co się dzieje, i boją się do tego przyznać. Gdyby awaria różańca okazała się poważna, groziłaby im może nawet ostateczna „śmierć” – skasowanie wszystkich danych. Tana zastanawiała się czasem, co wtedy stałoby się z nią. Była przyzwyczajona do korzystania z pomocy strzępojaźni od dziecka, nie wiedziała, czy mogłaby bez nich żyć. Z dwojga złego wolała już przyzwyczać się do dziwnych snów i szeptanych sugestii, wplatających się w jej myśli. Zaczynała uważać, że dzięki nim nie tylko nic nie traci, ale wręcz postrzega świat pełniej i dokładniej. Z rozbawieniem myślała o dawnej Tanie, o jej naiwności.

Na mgławicę nie mogła liczyć. Tojo więcej czasu spędzał na współodczuwaniu z Ciszobłyskiem i niekończących się sesjach wymieniania wrażeń. Odrywał się od nich z najwyższą niechęcią i niemal wyłącznie dla Hasneka. Tanę traktował nie tyle nieufnie, ile irytująco pobłażliwie.

Pozostał jej tylko Kapitan Innych. Milczących, jakby pozbawionych własnych osobowości Wiernych nie potrafiła traktować jak równych sobie. Miała też nadzieję, że Inny użyje jednej ze swoich tajemniczych mocy i uleczy ją.

– Nie mam takich możliwości – wyjaśnił, w jego głosie brzmiał prawdziwy żal. – Wy i my różnimy się zbyt mocno. Nic nie wiem o tych istnieniach w was...

– Strzępojaźniach.

– Właśnie. Ta koncepcja nie przestaje nas zdumiewać. Uwięzić życia i trzymać je zamknięte w człowieku, skazanym na dzielenie ich losu.

– Nie rozumiem, co miałyby być dziwnego w przekazywaniu doświadczenia.

– Dawniej wystarczyły do tego książki...

Roześmiała się, gdy zrozumiała, że zażartował. Od tamtego dnia polubiła go i zaczęła spędzać z nim więcej czasu, by dowiedzieć się o Innych tyle, ile było można. Hasnek i Iwan zinterpretowali to oczywiście po swojemu. Uznali, że uwodzi kapitana. Miała ich gdzieś, Karola z jego zazdrością i Iwana z kiepsko ukrywaną mizoginią. A jeśli Inny nawet rzeczywiście troszkę ją pociągał? Cóż, spędzili na dnie jeziora już czterysta lat... Przez ten czas kobieta może chyba zapragnąć czegoś... więcej?

Któregoś dnia, kiedy miała dość oficjalnego tytułowania, zapytała z pozorną złością:

– Znamy się już trzysta lat! Może mówiłbyś do mnie, z łaski swojej, po imieniu?

– Trzysta lat? – roześmiał się. – Aż tyle?

W lądowniku strumień czasu zwalniał w zależności od potrzeb ekspedycji. Zwykle jeden dzień równał się mniej więcej trzydziestu latom na zewnątrz, takie zwolnienie pozwalało nadążyć z obserwacją. Czasami różnice zmniejszano, czasem zwiększano. Ale nawet jeśli w rzeczywistości minął miesiąc, to też było coś... Zwłaszcza że nieczęsto opuszczali wcale nie tak znów przestronne wnętrza pojazdu. Co jakiś czas część ekspedycji wyruszała na mały zwiad na zewnątrz. Wracali ledwie po sekundzie lub dwóch, zawsze zmęczeni, brudni, nieogoleni. Najdłuższa z takich wypraw trwała dwa tygodnie czasu zewnętrznego.

– Wylądowaliśmy w złym miejscu – denerwował się Hasnek. – Jak niby mamy wypatrzeć jakąś cywilizację – tutaj?

– Cywilizacji wypatrują sondy – tłumaczył cierpliwie Samias Kodi Vau. – My badamy warunki tego świata. Możemy się przenieść gdzie indziej, profesorze, jeśli pan sobie tego życzy. Ale, na wszelki wypadek, będzie musiało to być równie odludne miejsce. Nie chcemy przyczynić się do ewentualnego przełomu i stać się przyczyną odnogi czasowej.

– Wiem, wiem – zżymał się Hasnek. – Znam uniwersalne zasady nie gorzej od pana! Ale jakie tu, do cholery, możemy spowodować rewolucje? Stworzyć cywilizację ptaków, kozic lub niedźwiedzi?

– To wcale nie takie odludzie – wtrąciła się Tana. – W XX wieku będzie stało tu schronisko. Przetrwa trzysta lat.

– Skąd możesz wiedzieć takie rzeczy? – zdziwił się.

– Jedna z pozaróżańcowych strzępojaźni mi powiedziała – wyjaśniła i roześmiała się.

– Mamy sporo czasu do XX wieku – powiedział wreszcie. – Tana, naprawdę wydaje mi się, że te sny rzeczywiście źle na ciebie wpływają. Jeśli chcesz porozmawiać...

– Nie, nie chcę – przerwała mu. – Już sobie z tym poradziłam.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Już ich nie mam. Tych snów.

– Kłamczucha – kapitan odczekał, aż Hasnek odejdzie, zanim – uśmiechnięty – wygłosił diagnozę. – Codziennie opowiadasz mi o swoich nowych snach.

– Naprawdę? Codziennie? Musisz być tym strasznie znudzony.

– Prawdę mówiąc... – zawiesił głos, a potem uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Ani trochę.

– Czy to, co dostrzegam w twoich oczach, to łobuzerskie błyski, kapitanie?

– Czy moje kapitańskie, pełne łobuzerskich błysków oczy dostrzegają w twoich chęć do flirtu?

– To ty ze mną flirtujesz.

– Ja?

– Ty.

Tana się roześmiała.

\* \* \*

– Flirtują ze sobą, Iwan – Hasnek był rozgoryczony. – Jeszcze miesiąc temu ja byłem jej facetem, a on szpiegującym ją wrogiem. A teraz flirtują ze sobą, a ja jestem tym, który przeszkadza.

– Nigdy nie byłeś Jej facetem” – wyjaśnił Iwan, nie przestając dłużyć widelcem w czymś, co wedle zapewnień etykiety na pojemniku miało być znakomitym obiadem. – Byłeś jej okazją do zrobienia kariery. Nie oszukuj się. Wykorzystała cię.

– Wykorzystała?

– Jest kobietą. Ma to we krwi. Ale pal sześć. Nie niepokoi cię, że przestała opowiadać nam o snach? Bała się ich, wariowała od tego. A teraz nic.

– Twierdzi, że już się skończyły.

– Aha. Karol, nie mieszkamy w pałacu, trudno tu o prywatność. Tana każdej nocy rzuca się we śnie, jakby dręczyły ją koszmary. Jestem przekonany, że ciągle śni. Tylko teraz to ukrywa, w każdym razie przed nami.

– Twierdzisz, że mówi wszystko jemu?

– Karol, obudź się! Zobacz, co się dzieje z naszą ekspedycją. Siedzimy na jakimś zadupiu, pozwalając robić wszystkie badania ich maszynom. Owszem, ty badasz tutejszą Stałą, ale robisz to już od czterystu lat. Co jeszcze możesz w niej wypatrzeć? Ja analizuję dane z sond i biokreću. Są zadziwiające, przyznaję. Tutaj powinien wykształcić się człowiek, ale go nie ma. Wszystko jest jak na Ziemi, oprócz tego jednego elementu. Jakby ktoś stworzył świat pochodny poprzez niedopuszczenie do ewolucji *homo sapiens*. Ale ty twierdzisz, że to niemożliwe.

– Ten świat ma najmniejsze z poznanych rozrzedzeń, Iwan. Jeśli on jest pochodny, to nie wiem, jakie wartości rozrzedzenia mielibyśmy znaleźć w jego świecie startowym.

– W porządku. No więc siedzimy tutaj, ty badasz Stałą, ja dane z całego tego dziwnego świata, a Inni kradną nam załogę.

– Kradną załogę?

– Tanę uwodzi kapitan. Tak osłabła od tych snów, że nawet tego nie zauważa. Zresztą, jest kobietą, one są podatne na emocje. Z kolei mgławicę uwodzi ten cholerny biokreć. Tojo prawie się od niego nie odrywa. Wcale bym się nie dziwił, gdyby był już bardziej po ich niż po naszej stronie.

– Zaraz pomyślę, że popadasz w paranoję.

– Ja nie mogę popaść w paranoję, Karol. Mam blokady. Przy najlżejszych wahaniach psychiki przejmie mnie biomp. To wszystko dane i analiza, Karol. Uważaj na siebie. I porozmawiaj z Taną. Porozmawiaj z nią.

– Myślę, że najpierw porozmawiam z Tojem.

– Jak chcesz. Sam się przekonaj.

\* \* \*

Zadziwiające, ale im więcej Tojo otrzymywał możliwości od bazy danych Ciszobłysku, tym bardziej pociągały go wydarzenia w lądowniku. Biokręt otworzył mu oczy. Pokazał, jak bardzo ograniczone było postrzeganie mgławicy, zamkniętej w labiryntach potencjalności. Mgławice patrzyły na siebie jak na mikrobogów, panów możliwości. Uważały się za odwzorowania wieloświata, mikrokosmosy oddające złożoność makrokosmosu. Były wszechświatami obdarowanymi umysłem. Rzeczywistość zewnętrzna mogła dla nich równie dobrze nie istnieć.

Ciszobłysk pokazał Tojowi, jak bardzo się mylił.

Mgławica prawie płakała, gdy biokręt otworzył przed nim nowe możliwości. Czowała wzruszenie, ale i smutek na myśl o więzieniu, w jakim wciąż tkwiły miliony jej braci i siostr. Postrzeganie Innych, ofiarowane mu przez biokręt, było dla nich niedostępne.

– Tojo? Tojo, obudź się, do cholery! Potrzebuję cię!

– Nie śpię, profesorze – jeszcze niedawno wybuchał gniewem, gdy ludzie zmuszali go, by skupiał na nich część uwagi. Obecnie nie miał już nic przeciwko temu. Właściwie przez cały czas śledził płataninę ścieżek ich losu, ciesząc się jej bogactwem i podziwiając, jak wplata się w piękny wzór wszechświata. Czuł dumę, że znalazł się z nimi w tym miejscu. Odczuwał też rozbawienie, obserwując ich niezgrabność i naiwność w wyciąganiu wniosków, lecz równocześnie obdarzał ich wyrozumiałością i czułością, z jakimi istota wyższa może przyglądać się poczynaniom osobników, którzy znajdują się na znacznie niższym stopniu rozwoju. – Jestem. Słucham.

– Iwan twierdzi, że dzieje się tu coś niepokojącego.

– Może to tak odbierać, profesorze. Przy wszystkich swoich ograniczeniach, może to tak odbierać.

Dawniej bawiła Hasneka miłość własna mgławic. Teraz zaczynało go to męczyć.

– Ograniczeniach, tak? Zabawne, Iwan twierdzi, że dostrzega coś, co umyka nam wszystkim.

– To oczywiste, profesorze. Każdy z nas myśli tak o sobie. Bez poczucia wyższości ludzie załamują się. Pewna arogancja jest niezbędna dla stabilności waszej psychiki.

– Dziękuję, że raczyłeś się podzielić ze mną tą obserwacją, Tojo. W twoich ustach brzmi to wyjątkowo interesująco – profesor nagle zaczął mówić szeptem, co dodatkowo rozbawiło mgławicę, wszak ów klon Ciszobłyska, jakim był lądownik, i tak wszystko słyszał. – Tojo, Iwan uważa, że Inni mogą mieć ukryte zamiary. Sądzi, że starają się wpływać na ciebie poprzez twój stały kontakt z biokrętem. Zyskują twoją... – zawahał się, szukając właściwego słowa – ...przyjaźń. Przyjaźń i zaufanie. Ale w rzeczywistości oszukują cię.

– To bardzo mało prawdopodobne, profesorze.

– Tojo, wiem, jak bardzo jesteś pewny swoich możliwości. Ale...



– To bardzo mało prawdopodobne, profesorze, ponieważ Ciszobłysk otworzył przede mną niemal w pełni swoją bazę danych. Gdyby mnie oszukiwał, gdyby coś szykowali, znalazłbym to. Obliczył, nawet na podstawie szczytkowych danych, ukrytych w mrowiu innych.

Hasnek potrzebował chwili, by znaleźć lukę w tej argumentacji.

– Użyłeś słowa „niemal”. Czyli nie wszystko ci ujawnił.

– Jest pewien obszar, który pozostaje dla mnie zamknięty.

– To może być kluczowe, Tojo. Tam mogą się kryć informacje, które zmieniłyby twoje nastawienie.

Dawniej Tojo nawrzeszczałyby w tym momencie na profesora, tak bardzo rozżłościłaby go jego ignorancja. Jednak teraz nauczył się cierpliwości i wyrozumiałości. Dlatego odczuł mieszaninę żalu i rozbawienia. Zadziwiło go i ucieszyło, jak bardzo może współczuć tym nieszczęsnym ślepym istotom. Już nie był mgławicą. Osiągnął wyższy poziom, stając się innomgławicą, najprawdopodobniej jedyną istotą w wieloświecie, która potrafiła rozumować jak Inni i jak ludzie. Spostrzegał teraz abstrakcyjne potencjalności, ale nie odrzucał ich, lecz przyjmował ze spokojem i pokorą. Dlatego to, co Inni ukrywali przed nim, nie drażniło już jego ciekawości. Cieszył się tajemnicą i możliwością jej obserwowania.

– To zbyt mało, by mnie oszukać, profesorze. Potrafiłbym obliczyć pełny obraz sytuacji na podstawie szczytkowych danych. Tropów, z których istnienia Ciszobłysk nie zdawałby sobie sprawy.

– Ale przyznajesz, że ukrywają coś przed tobą!

Nowa cierpliwość Toja wydawała mu się nieskończona. Ale, prawdę mówiąc, wolałby, żeby profesor już sobie poszedł. Chciałby porozmawiać z Taną, ale teraz ona zaczęła go ignorować. Obserwował jednak, jak się zmienia, i wiedział, że jej ewolucja nie dobiegła jeszcze końca. Kobieta nie była jeszcze gotowa. Musiał być cierpliwy.

– I tak, i nie, profesorze. Ukrywają i nie ukrywają. Zamknęli dla mnie część wiedzy, ponieważ chcą, abym sam ją odkrył. Pobudzają tym zachodzące we mnie zmiany, moją ewolucję. To jak zachowanie nauczyciela, który nie podaje uczniowi wyniku działania. Jego celem nie jest oszukanie ucznia, ale stymulowanie jego rozwoju.

– Twierdzisz, że cię uczą?

– Przyznaję, to była kaleka analogia, starałem się jednak użyć jak najprostszej, by mógł pan ją zrozumieć. Och, nie chciałem pana obrazić! – dodał szybko, widząc, jak Hasnek poczerwieniał.

Kontakty z prymitywnymi istotami były jednak trudne. A przecież żal mu było profesora, tak pełnego lęków, zagubionego, formułującego wnioski nie na podstawie rzeczywistych przesłanek, tylko własnych pragnień. Chciał go pocieszyć. Wyjaśnić, że jego zdaniem Inni naprawdę nic przed nim nie ukrywają. Nie mieli powodu. Zakładali, że nikt z nich nie powróci z tej wyprawy, żeby zdać komukolwiek relację i podzielić się zdobytą wiedzą.

Otworzył już usta, kiedy wewnątrz lądownika rozległ się przejmujący dźwięk alarmu.

– Człowiek! – zawołał kapitan. – Zbliża się do nas człowiek!

\* \* \*

– Biokręt automatycznie wyłączył spowolnienie czasu – raportował Samias Kodi Vau. – Nic nie przegapimy, ani on nam nie umrze. Spójrzcie, idzie tamtym grzbietem. Kiepsko wybrał, bo to wyjątkowo ostre i niebezpieczne podejście. Zatrzymał się.

– Kto to jest? – zapytał Hasnek. – To znaczy, czy wiemy o nim cokolwiek? Wydaje się, że to *homo sapiens*, ale...

– Dam zbliżenie. Spójrzcie, zatrzymał się. Jest wyraźnie zmęczony. Waha się. Jeszcze bliżej.

Postać mężczyzny wypełniła ekrany. Wydawał się stary. Bardzo stary. Długie siwe włosy opadały mu na ramiona. Był szczupły, ale najwyraźniej silny. Bagaż, który niósł na plecach, wyglądał na ciężki. Mężczyzna uginał się nieznacznie pod jego ciężarem.

– Bagaż! – zwrócił uwagę Iwan. – Spójrzcie na to, co ma na plecach! Nic wam nie przypomina? On jest jakiś... nowoczesny?!

\* \* \*

„Wyszukaj cechy charakterystyczne bagażu” – polecił biocomputerowi.

Standardowy plecak firmy Keller, typ: Uruk-Hai. Model oparty na modelu wojskowym. Bardzo popularny.

„Twarz! Zbadaj jego twarz!”

Szukam. Mam.

– Rany boskie! – zawołał po chwili. – To Tianowicz!

– Tianowicz? – Hasnek posłał mu pełne niedowierzania spojrzenie. – Niemożliwe...

– A jednak. Przyjrzyj mu się, Karolu! Kapitanie, może pan dać zbliżenie na twarz? Dziękuję! Karol, popatrz! Owszem, jest siwy, ma długą brodę i wygląda o dobre dwadzieścia-trzydzieści lat starzej. Ale to on! Kapitanie, czy pański komputer może zrobić zdjęcie, odjąć brodę, skrócić włosy i wygładzić zmarszczki?

– Dziesięć sekund. Już.

– Tianowicz... – szepnął Hasnek, wpatrując się ze zdumieniem w powstałe zdjęcie. – Naprawdę on! Ale jak to się mogło stać?

Mężczyzna na grani usiadł, wyciągnął spod odzienia fajkę i spokojnie ją zapalił. Gdy zaciągnął się dymem, uniósł wzrok. Wydawało się, że spojrział prosto w obiektyw przyglądającej mu się z orbity kamery.

– Idziemy po niego! – zdecydował Hasnek. – Natychmiast! My idziemy, kapitanie, nie pan i pańscy ludzie! Niech wyjdzie mu na spotkanie ktoś, kogo zna. Tana, zostaniesz tutaj!

– Trochę strome to podejście... – ocenił agent, gdy już znaleźli się na zewnątrz. – Może zostawisz to mnie?

– Może ci się przydać pomoc. Poradzę sobie. Idziemy.

Na szczęście podejście, choć strome, nie wymagało od nich umiejętności wykwalifikowanych wspinaczy. Wystarczyło być ostrożnym. Niemniej dotarcie na grzań zajęło im godzinę. Tianowicz opierał się o swój sponiewierany plecak i wciąż palił fajkę.

– Hasnek – odezwał się pierwszy, gdy podeszli do niego. Widział ich już wcześniej, ale nie ruszał z się miejsca. Obserwował ich mozolną wspinaczkę, potknięcia Hasneka i wyprasane przez niego krótkie postoje. – I Trbasek. W końcu raczyliście przybyć. Tysiąc lat na was czekam. Cieszę się, że wreszcie jesteście.

I rozplakał się.

## V

Sprowadzili go na dół w milczeniu. On też się nie odzywał. Nie pozwolił sobie odebrać podniszczonego plecaka. Potrząsnął tylko głową, wytrzeptał z fajki reszkę tytoniu i ruszył w dół zbocza. Chcąc nie chcąc, podążyli za nim. Dopiero na dnie kotlinki pozwolił się wyprzedzić. Wtedy zaprowadzili go do jeziora, wsadzili na ponton i zawieźli do lądownika.

Pierwsze słowo, jakie tam wypowiedział, brzmiało: „Inni”.

– Inni. Sprytne, Hasnek. Aż za sprytne na ciebie. Może właśnie dzięki nim jeszcze żyjecie?

Potrząsnął głową i zdjął plecak. Usiedli w mesie.

– Macie coś ciepłego do jedzenia? – zapytał. – Od tygodnia nie mogłem rozpalić ognia. Tutaj cały czas pada, do tego skończył się zapas chrustu.

– Przygotuję panu zupę – zaoferowała Tana, uśmiechając się łagodnie. – Będzie syta i gęsta.

– Dziękuję, dziewczyno. Jesteś kobietą Hasneka, tak?

– Jestem Tana – odpowiedziała i odeszła. Wymienili z Hasnekiem spojrzenia. Tianowicz zrozumiał. Znow wyciągnął fajkę.

– Nie wyłazicie stąd zbyt często, co? – wymruczał. – Słusznie. My rozbiliśmy obóz nad brzegiem morza. Zamiast siedzieć w lądowniku, otoczyliśmy je polem czasowym i

patrzyliśmy, jak migoczą wokół nas lata. Ganges siedział nad swoim komputerem, zbierał dane od sond i nie mógł się im nadziwić. Bo nic tu nie było, wiesz o tym Hasnek, co?

– Zupa na stole! – zameldowała Tana, podchodząc z parującym naczyniem.

– Stół! – wyszeptał Tianowicz, a oczy ponownie zaszyły mu łzami. – Stół! Dziewczyno, nie masz pojęcia, jak dawno nie widziałem stołu!

Oparł się wygodnie, odchylił głowę i przymknął oczy. Zorientowali się, że zasnął, gdy zaczął chrapać.

– Lepiej wezmę zupę. Podgrzeję mu ją później – Tana pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Musiał być wyczerpany – stwierdził Iwan.

– Wyczerpany! – zawołał Hasnek. – Skakał po tych skałach jak kozica! Ledwie mogliśmy za nim nadążyć!

– A jednak. Ciekawe, co się z nim działo. Co przytrafiło się im wszystkim?

Dowiedzieli się dziesięć godzin później, gdy Tianowicz zjadł wreszcie zupę.

– Pewnie z trudem opanowuje pani chęć zatkania nosa, co? – zagadnął Tanę pomiędzy jednym a drugim młasnikiem. Jadł głośno, z niemal wyzywającą pogardą dla manier. Długo zastanawiał się, oglądając dokładnie łyżkę i obracając ją w ręce, zanim zdecydował się z niej skorzystać. A potem cały czas jadł, domagał się dokładek, chlpał, ciamkał i mlaskał. – Ale nie zrezygnuję tak łatwo ze swojego brudu. O nie! Nie wiadomo, co nas czeka, a wszystkie te zapachy pozwolą mi się w razie czego ukryć, gdy wy – wycelował łyżkę w Tanę – pachnący swoimi mydlami i szamponami, będziecie dla drapieżników jak na widelcu.

Skinał głową do swoich myśli, westchnął, po czym zaskoczył wszystkich, zwracając się nie wiadomo do kogo:

– Tak, tak, stary Igor wie, co mówi. Oczywiście, nauczę ich, jak przeżyć, nie zwracajcie mi głowy. Nie mam teraz dla was czasu. Muszę zająć się nimi. Póki mogę. Nie wiadomo, jak wiele jeszcze mam czasu. Lada chwila może znów zacząć się mną bawić.

– Co się stało, Tianowicz...? – zapytał wreszcie Hasnek. – Gdzie twoja ekipa? Jak długo tu jesteś? Tysiąc lat? Nie znaleźliśmy śladu waszej obecności!

– Pytania! – zawołał Tianowicz, wznosząc ociekającą zupą łyżkę ku sufitowi. – Masz wiele pytań, co, Hasnek? Ale najbardziej interesuje go, czy byłem tu przed nim według czasu OC – zachichotał, znów zwracając się ni to do załogi ładownika, ni do kogoś, kogo nie widzieli.

Oszalał?, zastanawiał się Iwan.

Dane wskazują, że mógł długo przebywać sam. Tacy ludzie często wykształcają zwyczaj rozmawiania samemu ze sobą albo z wymagowanymi towarzyszami. Jeśli to zaburzenie nie rozwinęło się nadmiernie, będzie można odfiltrować pozyskane od niego dane, odsiewając prawdę od fantasmagorii.

– Otóż byłem tu przed wami. I wcale nie jest mi przykro z tego powodu! – ogłosił dumnie Tianowicz i zaraz zmienił zdanie. – Chociaż, gdybyście to wy byli pierwsi, może to wami by się bawił. A nie mną... i Sarą.

– Tianowicz, skup się – poprosił Hasnek. – Opowiedz wszystko od początku.

– Odkąd wyruszyłem? Chcesz wiedzieć od kiedy? – zachichotał Tianowicz. – Ciesz się, Hasnek. Nie mam żadnych dowodów, że byłem przed tobą. Wszystko wyparowało, znikło. Masz tylko moje słowo.

– Nic mnie to nie obchodzi! – oświadczył stanowczo Hasnek, ale wyraz zadowolenia na jego twarzy przeczył słowom. – Chcę tylko wiedzieć, co ci się przydarzyło.

– Tak, tak... – mamrotał Tianowicz, najwyraźniej za pomocą samej łyżki nie radząc sobie z resztką zupy. Wreszcie podniósł talerz do ust i wypił to, co zostało. – Tak, tak, chcę wiedzieć. Tak im się wydaje, że chcą – uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Dobrze! Posłuchajcie.

\* \* \*

– Dzięki małej wojence dzieci Stalina dotarłem tu przed wami. Ale i tak zamierzałem oszukiwać. Przybyć, cofnąć się w czasie do momentu przed waszym przybyciem i zhakować komputery pokładowe, żeby wskazały wcześniejszą datę OC. Miałem nawet na pokładzie zdolnego informatyka gotowego to zrobić. Ale poszczęściło mi się. Wybuchła wojna i wasza wspaniała Stacja Achillea została przejęta przez wojsko. A wy zostaliście uziemieni. Moja, niby gorsza sytuacja startowa, przecież nie przydzielono nam priorytetów wyprawy oficjalnej OC, okazała się lepsza. Ot, los.

Ostatecznie i tak wylądowaliśmy jakieś tysiąc lat przed wami, jak teraz widzę, tak jak planowaliśmy. Od początku ten świat okazał się cudem. Zbadałeś Stałą, prawda Hasnek? I wyszło ci to co mnie, prawda? Na początku nie wiedziałem, czy nie upić się ze szczęścia, że twoje wcześniejsze obliczenia, cały wielki system Hasneka, okazał się kompletnie do dupy. No, może nie kompletnie, bo jakoś tu trafiliśmy, ale błędy w nim były. Błędy, które mogłem wykazać!

Teoretycznie mogliśmy już wracać z tymi pomiarami Stałej. Ale było nam mało. Tak jak wam, jak tobie, Hasnek. Zbliżyliśmy się więc do tutejszej Ziemi i pokręciliśmy się po jej orbicie. Ale nie było tam nikogo. Przekonaliśmy się o tym, gdy wysłaliśmy wreszcie sondy, a one nie znalazły ani śladu ludzi. Nic. Owszem, zwierzątka jak trzeba, ale to wszystko. Gadaliśmy o tym, klóciliśmy się. Aż wreszcie wylądowaliśmy.

Wylądowaliśmy, na całe szczęście, blisko. Gdybyśmy wybrali na przykład Amerykę, nigdy bym was nie znalazł. No więc Afryka. Wylądowaliśmy w Afryce. Wiecie, początek ludzkości i takie tam. Traktowaliśmy to trochę jak piknik. Czekaliśmy na was, żeby zobaczyć

wasze miny, zwłaszcza twoją, Hasnek. Sondy obserwowały i gromadziły dane, a my się bawiliśmy.

Aż którejś nocy zniknął Adam, nasz człowiek Służby. Żadne czujniki nie zarejestrowały jego odejścia, ale to akurat nic dziwnego. Służba mogła mieć swoje sposoby. Ale czemu odszedł? Na statek nie wrócił, nasz lądownik wciąż tkwił tam, gdzie go zostawiliśmy. Po prostu przepadł. Trochę się tym pomartwiliśmy, ale uznaliśmy, że pewnie wyruszył na jakąś samodzielną tajną eskapadę. Tylko Lena, nasz archeolog... Tak, tak, Hasnek, ja swoją wyprawę przygotowałem lepiej niż ty! No więc, tylko Lena się zamartwiała, bo zdążyła się zakochać w tajniaku. I wiecie co, nagle zaczęła go widzieć, rozmawiać z nim. Łaziła po obozie, niby to go obejmując, cały czas uśmiechając się do niego i gadając z facetem, którego nie było. Pomyśleliśmy, że zwariowała ze zmartwienia, sami zresztą zaczynaliśmy się już poważnie niepokoić. Do tego nie mogliśmy włączyć pola i zwolnić czasu, żeby nie zostawić go na zewnątrz. A którejś nocy przyłapaliśmy Lenę jak... ech... jak kochała się z facetem, którego nie było. Tego było dla nas za wiele. Odesłaliśmy ją na statek, żeby czekała na nas, nafaszerowana środkami uspokajającymi. Statek umieścił ją w swoim wewnętrznym polu, zsynchronizowanym z naszym. My machnęliśmy ręką na agenta. Uznaliśmy, że jakoś sobie poradzi, trudno. Jeśli jeszcze żyje. Ciągle też liczyliśmy na sondy, nieustannie przeczesujące teren.

Sondy go nie znalazły. A nam zniknął Ganges, ten informatyk. No, niezupełnie zniknął. Ktoś wyrzucił go na lewą stronę i to, co pozostało, przybił do drzewa. Koszmarne widoki. Na samo wspomnienie robi mi się niedobrze. Pochowaliśmy go, zupełnie wbrew rozsądkowi. Przecież trzeba było zabezpieczyć zwłoki i odesłać je na statek, żeby mieć dowody przeciw temu świrowi, Adamowi – nikt już nie miał wątpliwości, że agent jednak żyje i że to jego dzieło. To znaczy, ja miałem. Ale byliśmy już wtedy tak skołowani, rozhisteryzowani, że gotowi byliśmy uwierzyć we wszystko. Nie macie pojęcia, jak szybko naukowiec może zmienić się w spanikowanego głupca. Chciałem wysłać ciało na statek, ale Sara się nie zgodziła. Powiedziała, że nie wyobraża sobie, że gdzieś tam, na orbicie, czekać na nas będzie chronokręt ze zmasakrowanym trupem i szaloną kobietą na pokładzie. To było tak irracjonalne, tak niemądre – i tak przekonujące! Przystąpiłem na prośbę Sary. Pewnie mnie nie rozumiecie, ale my wtedy nie byliśmy już cywilizowanymi ludźmi. Byliśmy prymitywnymi dzikusami z mrocznych wieków, wierzącymi w duchy i przesady.

Robert, mój asystent, chciał zakończyć ekspedycję. Razem z nim zostało nas tylko troje. Uważał, że nic więcej nie osiągniemy, co najwyżej ktoś jeszcze zginie. Ja się z nim spierałem. Sara milczała. Potrafiła przesiedzieć całe dni, wpatrując się w niebo. I kiedyś, podczas najbardziej zażartej kłótni z Robertem, odezwała się niespodziewanie i oznajmiła, że statek zniknął. To było wieczorem. Niebo było pełne gwiazd, ale nasz statek wyróżniał się wśród nich jasnością, łatwo było go dostrzec. Kiedy był. Teraz zniknął.

Pomyśleliśmy, naturalnie, że z jakichś powodów zmienił orbitę. Nic wielkiego. Zaczęliśmy go wywoływać. Bezskutecznie. Ciągłe jeszcze otrzymywaliśmy obraz z sond, ale statku nie potrafiliśmy odnaleźć.

„Obudziła się!” – krzyczała Sara. – „Obudziła się i zostawiła nas tutaj!”.

Pocieszałem ją, tłumaczyłem, że to niemożliwe. Statek był w pełni zautomatyzowany, kierował nim kwanputer. Żeby zmusić go do odlotu, potrzebna była autoryzacja dowódcy wyprawy, czyli moja. Nawet gdyby Lena wyszła jakimś cudem z uśpienia, nawet gdyby wpadła na szaleńczy pomysł pozostawienia nas tutaj, nie zdołałaby tego zrobić. Ale spróbuj, człowieku, przekonać przerażoną kobietę!

Robert upierał się, że powinniśmy spakować wszystko do lądownika i udać się na orbitę. Przekonywałem go, że to bez sensu, że nic tym nie osiągniemy. Powietrza i żywności nie starczy nam na długo, zatem koniec końców będziemy musieli ukryć się w zeroczynie, co skazuje nas na całkowitą bierność. A paliwa nie starczy na kolejne lądowanie. Tutaj, na Ziemi, przynajmniej mieliśmy szansę na jakąś inicjatywę.

Nie dał się przekonać. Krzyczał. Widziałem, że bardziej boi się czegoś, co zabija nas na Ziemi, niż ryzyka w kosmosie. W końcu ustaliliśmy, że on wyniesie się z lądownikiem na orbitę, skąd będzie kontynuował poszukiwania chronokrętu. Miał też nieustannie nadawać wezwanie pomocy na wszystkich możliwych częstotliwościach. My zaś z Sarą zostaniemy na Ziemi. Zastanawiałem się, czy nie weszła do lądownika ze względu na mnie. Czy nie ryzykujemy za dużo. Chyba jednak tak nie było, bo po trzech dniach i lądownik zniknął z orbity. Tak samo jak chronokręt. Sondy nie potrafiły odszukać także i jego.

Tym razem nie można było tego wytłumaczyć ucieczką przez czas czy przestrzeń. Lądownik nie był do tego zdolny. Wszystko, na co było go stać, to opaść na planetę albo uciec z niej na orbitę.

Sara uciekła w mistycyzm. Zaczęła się modlić, by coś, co zabiło wszystkich naszych towarzyszy, nas oszczędziło. W pewnym momencie wysnuła teorię, że tamci okazali się niegodni, my zaś mamy stać się pierwszymi Adamem i Ewą nowego świata. Starłem się ignorować jej majaczenie. Przytakiwałem, niby to się z nią zgadzałem, uczestniczyłem nawet w składaniu ofiar wymyślonego przez nią bóstwu. Przynajmniej dopóki nie stwierdziła, że powinniśmy zastąpić owoce zwierzętami, na które zaczęła polować.

Któregoś dnia obudziłem się bez niej. Początkowo myślałem, że wyruszyła na jedno ze swoich polowań i pojawi się lada chwila. Potem znalazłem jej ubranie i rzeczy na brzegu morza. Wśród nich pożegnalny list. Żałuję teraz, że zniszczyłem go zaraz po przeczytaniu. Był pełen metafizycznych bredni. Jedno było pewne – utopiła się.

Wróciłem do obozu i odkryłem, że zamilkły sondy. Najprawdopodobniej znikły jak chronokręt i lądownik. Nie przejąłem się tym. Miałem własną, odmienną od Sary teorię. Uważałem, że to ty nas zabijasz, Hasnek. Ty prowokujesz te wszystkie wypadki. Bo

przybyłeś do świata Zero po nas – i teraz postanowiłeś wykończyć nas, by wygrać. Nie kręć tak głową, Hasnek, nie wiesz, w jakim byłem stanie.

Postanowiłem, że ci się nie dam. Że wytrzymam. Poobwieszałem się bronią, jeszcze bardziej wzmocniłem środki bezpieczeństwa. Faszzerowałem się chemią, żeby nie spać, i nie wypuszczałem karabinu z ręki. Czekałem na ciebie, Hasnek.

A potem, nie wiem po jakim czasie, odkryłem, że to bez sensu. Że nie wytrzymam tutaj sam. Że wygrałeś. Wydałem się sobie śmieszny Samotny mężczyzna przytulony do spluwy, siedzący na plaży pod ochroną pola czasowego. Po co mi takie życie? Po co mi życie bez Sary?

W przeciwieństwie do niej, nie umiałem się zabić. Nie bezpośrednio. Pomyślałem, że pozwolę naturze załatwić to za siebie. Wyłączyłem generator, a wraz z nim pole czasowe i wszystkie zabezpieczenia. Pomyślałem, że załatwisz mnie ty albo czas. Jadłem, piłem, spałem i czekałem. Ale nic się nie zdarzyło. Nie przyszedłeś mnie zabić.

W końcu porzuciłem obóz i wyruszyłem w podróż. Może miałem nadzieję, że coś mnie zeżre w puszczy. Teraz już nie wiem, to było tak dawno temu. Dziwne, ale wszystkie wydarzenia do śmierci Sary pamiętam dokładnie, jakby zdarzyły się wczoraj. Reszta się zaciera. Ale też wszystkie dni po śmierci Sary były takie same. Szedłem przez las i gadałem do siebie. Do drzew, ptaków, drapieżników, które ignorowały mnie i omijały z daleka, zamiast zaatakować i nażreć się do syta. Miałem ze sobą tylko to, co niezbędne. Karabin, kilka noży, śpiwór, apteczkę, zapasy jedzenia, znikające w zastraszającym tempie. Nie chciałem umrzeć z głodu, miałem wrażenie, że to straszna śmierć. Nauczyłem się więc polować. Najpierw karabinem, a gdy skończyła mi się amunicja, nożem, łukiem, procą, prymitywną włócznią. Wiedziałem, że czas płynie, jednak nie liczyłem dni. Mój rytm czasu zmienił się, biegł od posiłku do posiłku, od polowania do polowania. Łowy stały się jedyną aktywnością. Kiedy nie polowałem, miałem wrażenie, jakby mój umysł spał.

A potem, któregoś dnia, znalazłem Sarę. Ha, zdziwiliście się!

Nie, to nie była moja Sara. Z żalu, a może okrucieństwa wobec siebie, nazwałem tak młodego kruka z przetrąconym skrzydłem. Znalazłem go tuż przed tym, jak prawie dopadły go lisy. Odgoniłem je pod wpływem impulsu, którego sam nie rozumiałem. Nastawiłem ptakowi skrzydło – diablo ryzykowałem, mówię wam, przecież nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłem! Przewiązałem całe jego ciało paskiem z potarganej koszuli i karmiłem przez jakiś czas, nim zrozumiałem, że uleczyłem ptaka, który znów mógł latać.

Nie odleciał. Został ze mną, a ja nazwałem go Sarą, choć nawet nie wiedziałem, czy jest samicą. No i powędrowaliśmy razem. Znalazłem nowy sens życia, znalazłem kogoś, z kim mogłem rozmawiać. Bo wiecie, nauczyłem Sarę kilku słów. Kruki to cholernie inteligentne ptaki, toteż wypowiadała je z sensem, nie przypadkowo. Zazwyczaj chodziło jej o jedzenie. A jeść chciała prawie zawsze.

Pewnego dnia umarła.



To było straszne. Rozpaczałem bardziej niż po śmierci prawdziwej Sary. Usypałem jej kurhan. Możecie się śmiać, ale nigdy nie kochałem nikogo bardziej niż tego ptaka. Obwinałem siebie, że może ją przekarmiłem, może otrułem czymś niestrawnym dla kruków.

A potem do mnie dotarło. To nie ja ją zabiłem. To czas. Uświadomiłem sobie, że obserwowałem, jak się starzała. Jak coraz trudniej przychodziło jej latanie, pod koniec już tylko siedziała na moim ramieniu, całe plecy miałem obsrane. Oczy miała stare, a pióra siwe. Zrozumiałem, że próbowała się ze mną pożegnać przy użyciu tych niewielu słów, których ją nauczyłem.

To było przerażające odkrycie. Jedno z najbardziej wstrząsających na tej planecie.

Bo wiecie, kruki potrafią przeżyć i sto lat. A Sara była młoda, gdy ją znalazłem.

Jeśli więc ona przeżyła kilkadziesiąt lat, może nawet wiek, to ile lat miałem ja? Nie przybyłem tu jako młodzieniaszek. Tuż przed rozpoczęciem wyprawy świętowałem pięćdziesiątkę.

W porządku – liczyłem i starałem się uspokoić – średnia życia wynosi teraz jakieś sto trzydzieści. Ale tu byłem odcięty od placówek medycznych i nowoczesnych środków farmakologicznych. Z drugiej strony, powiedzmy, że przez to ganiecie po lesie prowadziłem wyjątkowo zdrowy tryb życia. Moja średnia mogła więc i tak być niezła. To ile teraz miałem? Dziewięćdziesiąt? A może sto dwadzieścia? Sto trzydzieści? A może więcej? Bardziej zdumiało mnie, jak szybko te lata minęły, niż zakładany wiek. Być może już zbliżała się śmierć, ale ja czułem się rześko i całkiem młodo. Mogłem się więc położyć i czekać na śmierć – albo jakoś żyć. Wybrałem to drugie.

Grób Sary umieściłem w charakterystycznym miejscu, żeby móc do niego wracać. Jest taka śmieszna skała, przypominająca prymitywną maczugę. W Oku Cyklonu niedaleko niej wznosi się miasto. Tutaj otaczają ją tylko skały i las. Ale łatwo ją znaleźć, jeśli się wie, czego szukać. Tam pochowałem Sarę, i tam ponownie zacząłem liczyć czas. Od Roku Śmierci Sary. Wyrulem w skale jej imię, a nad nim wielką, grubą krechę. Potem wyruszyłem w drogę, ale miałem ze sobą długi, gruby kij, na którym oznaczałem dni. Kiedy mijał rok, odrzucałem kij, a do woreczka, który miałem przytroczonego do pasa, wrzucałem kamyk. Gdy uzbierało się dziesięć kamyków, wracałem do skały Sary i wydłubywałem kolejną kreskę. Tak mijały mi dziesięciolecia.

Dziesięciolecia.

Kiedy wyrulem dziesiątą kreskę, wcale nie byłem zdziwiony. Było mi już wszystko jedno. Kolejne sto lat przeszło jak z bicia strzelił. Phi. Przez chwilę myślałem, że to ten świat daje nieśmiertelność, ale wystarczył rzut oka na grób Sary, by przypomnieć sobie, że ona umarła ze starości. A więc nie. To tylko ja zostałem wyróżniony. Jak? Przez kogo? Pozostawało uwierzyć w boga, boga pierwszej Sary. Okrutnego, a może głupiego drania, który bawił się nami wszystkimi, a potem już tylko ja mu zostałem. Przyszło mi do głowy, że mógłbym go wypróbować, wspiąć się na skałę Sary i rzucić się z niej. Ale chyba słaby ze

mnie wierny, bo zabrakło mi odwagi. Przypomniała mi się stara legenda o facecie, który nie może umrzeć, dopóki nie spotka, już nie pamiętam, mesjasza czy innej mitycznej postaci. Wymyśliłem, że tak będzie ze mną. Że nie będę mógł umrzeć, póki nie spotkam ciebie, Hasnek. Bo może, kiedy przylecisz, mój dumny bóg znajdzie sobie nowe zabawki, i da mi wreszcie spokój.

To wszystko, wdzięczni słuchacze. Dziękuję za cierpliwość. Teraz, z łaski swojej, dajcie mi się napić, bo w gardle mi zaschło.

\* \* \*

Tana podsunęła mu w milczeniu butelkę soku. Długo nikt się nie odzywał.

– Który mamy teraz rok? – zapytał wreszcie Hasnek. – To znaczy, który rok Sary?

– Siedemset czterdziesty trzeci – odparł wesoło Tianowicz. – Latka lecą, nie?

– Chcę zbadać twój plecak, Tianowicz. Sprawdzić, ile ma lat.

– Nie wierzcie mi, co? A co mi tam, nie wierzcie. Przekonacie się, gdy zabierze się za was!

– Zabierze się za nas? – powtórzył Iwan. – Kto?

– Jak to kto? Bóg Sary – Tianowicz mrugnął do Trbaska i ziewnął. – A teraz wskażcie mi jakieś miejsce do spania. Najlepiej łóżko. Od ośmiuset lat nie spałem w łóżku. Chcę sobie przypomnieć, jak to jest!

– Pomogę panu – zaofiarowała się Tana.

– Los ci odpłać, dziewczyno!

Nocleg przygotowali mu w odosobnionym kącie mesy, z dala od innych sypialni. Tana rozłożyła dla niego łóżko i przyniosła pościel. A kiedy, bynajmniej nie zdejmując ubrania – tylko smutno się uśmiechnął, gdy wspomnieli mu o możliwości kąpieli – położył się spać, nachyliła się nad nim i sprawdzwszy, czy nikt im się nie przygląda, wyszeptała:

– A teraz opowiedz nam resztę.

Zdażył już zamknąć oczy. Teraz otworzył je szeroko.

– Resztę? Chcesz posłuchać o polowaniach, dziewczyno?

– Daj spokój. Opowiedz o strzępojaźniach, Tianowicz. Przecież były z tobą przez wszystkie te lata. Chcemy posłuchać. – Zdawała sobie sprawę, że Ciszobłysk nie przegapi jej słów Miała nadzieję, że kapitan Innych doceni jej gest.

– A więc to ty! – wyszczerzył się radośnie. – Siadaj, dziewczyno! Opowiadały mi o tobie.

– Jeżeli mówił prawdę, będziemy musieli się stąd wynosić – stwierdził Iwan. Zerkał nerwowo przez ramię na rozmawiających Tanę i Tianowicza. Nie widział ich ust, z których jego biocomputer mógłby odczytać słowa.

– Jeżeli mówił prawdę, będziemy musieli tu zostać – odparł Hasnek. – Zaraz będę miał wyniki badań wieku plecaka.

„Podaj możliwą przyczynę rozmowy Tany z Tianowiczem. Co może ich łączyć? Czy Tana mogła być agentką Tianowicza w naszej grupie?”

Ocena negatywna. Tanę sprawdzano wielokrotnie. Była cały czas pod kontrolą, póki nie opuściliśmy Stacji Achillesa. Nie miała żadnych kontaktów z Tianowiczem. Permanentna kontrola jej kontaktów wyklucza możliwość takiej współpracy.

„W takim razie znajdź jakiegokolwiek punkty wspólne między Taną a Tianowiczem”.

– Co mówiłeś, Karolu? – Iwan zorientował się, że komunikując się z biocomputerem, przegapił coś istotnego w rozmowie.

– Że zaraz będę miał...

– Nie, wcześniej.

– Że będziemy musieli tu zostać. Wyjaśnić, jakim cudem udało mu się przeżyć tak długo. Przecież tu musi coś być. Może to niskie rozrzedzenie Stałej? Wiesz, zastanawiam się nad mitami o pochodzeniu świata.

– Co?

– Mój umysł był zamknięty, nie dopuszczałem do siebie pewnych wniosków. Uciekałem przed nimi.

– Karol, proszę, mów jaśniej! Nie rozumiem cię.

– Ten świat ma niższe rozrzedzenie niż Oko Cyklonu tuż po powstaniu, Iwan. A stopień rozrzedzenia wzrasta wraz z mnożeniem pochodnych. Wniosek jest oczywisty – ten świat musi być starszy od Oka, pierwotniejszy względem niego.

– To niemożliwe.

– To jedyne możliwe wytłumaczenie, Iwan. Trafiliśmy do Raju.

– Słucham?

– Raju. Wiesz, mityczne miejsce, z którego pochodzi ludzkość, ale w którym jej nie ma. Mity bywają podobne, nie wszystkie, przyznaję. Ale istnieje mit Raju. Według niego ludzie zostali wygnani ze świata, w którym nie było śmierci, ponieważ dokonali jakiegoś strasznego czynu. Może to było pierwsze złamanie czasu? Może Oko Cyklonu jest światem pochodnym tego świata? Raju?

Sytuacja alarmowa. Proszę przygotować się na uruchomienie procedur alarmowych. Zawieszam inne procedury. Dziesięć...

„Czekaj!”

– Karol, proszę cię, nie wariuj! Pomyśl! Stała Everetta! Jeżeli to byłby świat startowy dla Oka Cyklonu, rozrzedzenie musiałyby być w nim tylko nieco wyższe niż w Oku, prawda? Ale twoje wyliczenia z tym się nie zgadzają, czyż nie?

„Lubię tego sukinsyna – myślał Iwan. – Lubię go i nie pozwolę, żeby jakieś mistyczne brednie sprowadziły go na ścieżkę zagłady. Coś ty wykombinował, Tianowicz? O co chodzi w tej twojej opowieści?”

– Chwileczkę. Masz rację – Hasnek zastanawiał się intensywnie. Potarł dłońmi skronie, zacisnął zęby. – Głupiec ze mnie! – wycedził. – Dałem się uwieść głupiej bajce! – zaśmiał się sztucznie.

...pięć...

„Czekaj!”

– Jakże może być inne wytłumaczenie? – zapytał szybko Iwan.

– To może być... Moja teoria mogła być słuszna! To świat Zero. Nie ma żadnych światów pochodnych, dlatego rozrzedzenie jest tak niskie. I może... może... Może Stała Everetta wcale nie jest taka stała? To znaczy, jest stała dla naszego wieloświata, ale przyjmuje różne wartości dla innych?

„Wstrzymaj procedurę awaryjną”.

Przyjęto. Procedura awaryjna wstrzymana. Ponowne uruchamianie innych procedur.

– Trzymaj się rozsądku, Karolu. Myśl racjonalnie. Tianowicz był twoim konkurentem od lat. Na pewno wykombinował coś, żeby cię oszukać!

– Czekaj, mam wyniki jego plecaka. Nie kłamał! To cholera naprawdę ma prawie osiemset lat!

– Słuchaj, to da się wyjaśnić! Nie ma problemu! Mógł go przerzucić w czasie... Po prostu wyrzucił plecak poza pole czasowe i pozwolił mu się starzeć. Wszystkiemu: plecakowi, ubraniu, które ma na sobie, broni. Zrobił to, żeby cię oszukać. Czy to nie prostsze założenie niż wymyślanie świata, w którym istnieje wybiórcza nieśmiertelność?

– Cholera. Masz prawo nazwać mnie durniem. Tak dać się nabrać.

Przeprowadzono zleconą analizę.

„Co?”

Przypomnienie: zlecono analizę punktów wspólnych dla Tianowicza i Tany.

„Prawda. Podaj”.

Nie stwierdzono stuprocentowych punktów wspólnych, wyjąwszy oczywiste. Jak: człowieczeństwo, pochodzenie z Oka Cyklonu itd. Wyabstrahowano jeden niekonkretny, niepewny punkt wspólny.

„Brawo, tworzysz samodzielne teorie! Dawaj!”

Szaleństwo.

„Słucham?”

Powtórzenie: szaleństwo. Tana skarży się na zaburzenia psychiczne, wynikające z nieznannej awarii strzępojaźni. Tianowicz także wykazuje zaburzenia psychiczne. To wyabstrahowany punkt wspólny, niepokrywający się z oczywistymi punktami wspólnymi. Szaleństwo. Załamanie psychiczne, uraz...

„Dość! Wystarczy!”

„Szaleństwo przyciąga ich do siebie? Absurd. Coś ich łączy. Ale co? Coś przegapiłem. Coś cały czas przegapiam...”

Sugestia: skorzystanie z pomocy mgławicy.

- Iwan? Tana cały czas z nim rozmawia. Czy mogą być w zмовie?
- Wykluczyłem to. Żadnych możliwości kontaktów przed wyprawą. Została dokładnie sprawdzona.
- Wtedy. Może zwróciła się do niego teraz? Ostatnio mogła czuć się odrzucona. To jej wina, ale...
- Czekaj! Sugerujesz, że postanowiła zdradzić?
- Jest niestabilna emocjonalnie. Może myśleć, że on wygrywa, i postanowiła się przyłączyć. Choćby dla zemsty.

– Wydawało mi się, że to ona cię zostawiła, a nie na odwrót...

– Kobiety – machnął ręką Hasnek. – Może oczekiwała, że będę o nią walczył, i poczuła się rozczarowana?

Argument przekonał Iwana. Tana bez wahania porzuciła Hasneka dla kapitana Innych, teraz mogła uznać, że najlepsza przyszłość czeka ją z Tianowiczem. Czemu nie?

– Musimy porozmawiać z Tojem – stwierdził. – Bez względu na to, jak ten sukinsyn zinniał.

– Za chwilę. Kapitan do nas idzie.

– Panowie, rozważyliśmy naszą sytuację – poinformował ich Samias Kodi Vau. – Opowieść waszego... przyjaciela, niecodzienność tego świata. Korzystaliśmy z pomocy pana Toja. Zgodził się z nami. Mamy do wyboru dwie możliwości – odlecieć stąd jak najszybciej i powiadomić władze o specyfice tego świata albo samodzielnie pogłębić wiedzę o nim. Uznaliśmy, że chcemy kontynuować badania. Ponieważ jednak łączy nas umowa...

– Całkowicie się z panem zgadzam – pospiesznie zapewnił Hasnek. – Uważam, że należy tu zostać. Może niekoniecznie w tym miejscu, ale zdecydowanie w tym świecie.

– Znakomicie. Mam zatem nadzieję, że zaaprobują panowie także nasz drugi pomysł. Chcemy wyłączyć pole czasowe na dłużej. Na kolejny miesiąc, jeśli będzie trzeba.

– Ale... po co?

– Jeśli ktoś tu jest, pole czasowe może utrudniać mu kontakt z nami.

– Chyba nie uwierzyliście w jakiegoś boga Sary! – parsknął Iwan. – Poza tym, tamci też siedzieli w polu i jakoś nic im to nie pomogło!

– Istnieją pewne różnice między technologią Oka Cyklonu a naszą. Mogły okazać się znaczące dla przebiegu wyprawy. Chcę zaryzykować zdjęcie pola i rozbicie obozu poza lądowiskiem. Jeżeli tylko stwierdzimy jakieś problemy, pole zostanie natychmiast uruchomione ponownie. Czy panowie się zgadzają?

Zgodzili się.

Tojo jednak nie chciał opuścić lądowiska. Pomimo owiniętego wokół szyi symbiota nie mógłby się kontaktować z pojazdem. Kiedy więc Wierni zaczęli przygotowywać teren pod obóz, a Hasnek szykował się do przeprowadzki, Iwan poszedł porozmawiać z mgławicą, spokojnie popijającą jakiś słodko pachnący gęsty i gorący napar.

– Tojo! – zawołał agent. – Chcę porozmawiać.

– O Tianowiczu? – zapytała mgławica. – O bogu Sary? O kłopotach ze Stałą?

– O Tanie. Tanie i Tianowiczu.

– Och, Tana! – Tojo uśmiechnął się. – Nazwiska obojga zaczynają się na „T”. Podobnie jak moje imię, zauważyłeś?

– Żartujesz. Chcę rozmawiać o poważnych sprawach.

– Jest coś takiego jak rytmika wydarzeń, Iwanie. Jeśli rozpatrywałbyś miliony potencjalności równocześnie i nie był tępy kalkulatorem, zaczęłbyś zwracać uwagę na

pewne prawidłowości, na pozór mało znaczące. Próbowła je kiedyś opanować teoria chaosu. Próbowano znaleźć „teorię wszystkiego”. Ale w nauce nie może powstać ogólna teoria wszystkiego, bo taka teoria musiałaby być nie tylko zbyt ogólna, ale też uwzględniać zbyt wiele założeń. Czy wiesz, co jest ogólną teorią wszystkiego, Iwanie?

Trbasek nauczył się już, że z mgławicami trzeba być cierpliwym. Tym razem potrzebował jak najszybciej prostych i jasnych informacji.

– Czy Tana nas zdradza i jak może to robić, Tojo? – zapytał. – Czego mamy się obawiać?

– To się nazywa: „magia” – ciągnęła niezrażona mgławica. – Albo religia. Różnice między nimi wydają mi się dość subtelne, niemniej znaczące. Jedna i druga określały jednak umysły ludzi, jak twój określa bycie agentem. Wszędzie upatrujesz spisków, bo sam jesteś zawodowym spiskowcem.

– Tana i Tianowicz siedzą tam i rozmawiają. Długo rozmawiają, Tojo. To nie jest paranoja. Co mogą mieć ze sobą wspólnego, co przegapiłem?

– Magia dostrzegała pewne rytmy we wszechświecie. Rytmy, które nauce wydają się śmieszne. Systemy numerologiczne, podobieństwa imion. Rytm, Iwanie. Coś, co wydaje ci się tak oczywiste, że nie zwracasz na to uwagi. Ani ty, ani twój biocomputer.

– Co wiesz o biocomputerach?

– Wszystko, co mogę sobie wyobrazić, a potem podzielić na prawdopodobieństwa mniejsze i większe, po czym, kierując się intuicją i abstrakcyjnym rozumowaniem, ocenić. To podstawowa filozofia istnienia mgławic, czyż nie? A zatem wyobrażam sobie, jak zlecasz to samo zadanie co mnie swojemu biocomputerowi. On, ślepy i kaleki, przeprowadza obliczenia, sięga do doświadczenia twoich strzępojaźni. I nie znajduje nic. Żadnych punktów wspólnych. Poza oczywistymi.

– Tu się trochę pomyliłeś – wytknął mu z zadowoleniem Iwan. – Coś jednak wymyślił.

– Och! Co takiego, jeśli mogę zapytać?

– Że oboje są trochę stuknięci.

Poczul satysfakcję, gdy Tojo zamilkł, najwyraźniej zaskoczony. Mgławica upił jeszcze jeden łyk swojego naparu i odczekał chwilę, zanim się odezwał.

– To niepokojące – oświadczył. – Twój biocomputer zyskał umiejętność wyciągania wniosków, wychodzących poza zwykłe obliczenia. Powinno cię to zaniepokoić, choć dla mnie wydaje się nawet konsekwentne. Interesujące.

– Chcesz mnie zaniepokoić, bo tak naprawdę martwi cię, że biocomputery zaczynają myśleć trochę jak ty? Boisz się, że mgławice będą niepotrzebne?

– Nikt nie myśli tak jak ja – odparł Tojo spokojnie, ale nie bez dumy. – Jestem jedyny w swoim rodzaju.

– Jesteś jedynym w swoim rodzaju megalomanem! Chcę ocenić ryzyko zdrady Tany i cele Tianowicza. Na tym się skupmy Mój biocomputer mnie nie niepokoi.

– Zapewniam, że nie staram się odwracać niczyjej uwagi – odparł spokojnie Tojo. – Zastanawiam się jedynie nad tym, jakie kroki powinienem podjąć. Co do twojego pytania, przyznaję, że odczuwam zmieszanie. Opowieść Tianowicza uznałem za prawdopodobnie zmyśloną, choć kierujące nim pobudki wydają mi się nierozsądne. Niemniej, zachowanie Tany istotnie wydaje się... inspirujące. Czego ona może od niego chcieć? Niestety, Ciszobłysk uznał, że ta zagadka wpłynie na negatywne stymulowanie mego intelektu i nie dopuszcza mnie do podsłuchu. Och, ale widzę, że się niecierpliwisz! Biedny zwierzołaku, Tana nie przegapiła tego, co ty i twój biocomputer uznaliście za oczywiste.

– Nie mam czasu na twoje kalambury, mgławico!

– No tak. Rzeczywiście, ty nie oczekujesz ode mnie stymulacji intelektualnej. Iwanie, jestem przekonany, że twój biocomputer odszukał cechy wspólne, czy też punkty mogące łączyć Tanę i Tianowicza. Znalazł, z wyjątkiem niepokojącego szaleństwa, same punkty oczywiste. Odrzuciliście je, prawda?

– Tojo, przysięgam, że jeśli natychmiast nie przestaniesz ze mną pogrywać, uznam to za naruszenie kontraktu i wyciągnę konsekwencje finansowe! Do cholery!

– O, groźba! Dobrze, postaram się ująć to najprościej, jak potrafię. To zabawne, bo twój biocomputer podsunął ci trop, ale bez rozwiązania. Naprawdę uważasz, że nie masz się czym niepokoić? Ale do rzeczy. Iwanie, przez całą podróż, a nawet wcześniej, choć wtedy nie zwróciła się do ciebie, Tana skarżyła się na kłopoty ze strzępojaźniami, prawda? A teraz spotkała człowieka, który, jeśli mu wierzyć, ma blisko tysiącletnie doświadczenie w kontaktach z nimi. Jestem pewien, że o tym chciała z nim porozmawiać.

– O strzępojaźniach?

– O strzępojaźniach. Nie planuje zdrady, szuka pomocy. Ale ty powinieneś się zastanowić, dlaczego Tianowicz ani nie zająknął się o swoich strzępojaźniach. Tyle opowiadał o swojej samotności, a przecież przez cały czas było z nim kilkunastu, może więcej towarzyszy. No, może... strzępotowarzyszy, ale z pewnością posiadających większy zasób słów niż oswojony kruk.

– Strzępojaźnie! – powtórzył Iwan. – To dowód, że kłamie!

– Interesujące wnioskowanie. Dlatego o nich nie wspominał? Nazwałbym to raczej poszlaką. Jest jednak coś ważniejszego, Iwanie.

– Tak?

– Rytm. Rytm, który przegapiasz. Rytm zmian. Ja się zmieniam, Tana się zmienia i nawet Tianowicz, jeśli mówił prawdę, Tianowicz też się zmienia. Nawet ty się zmieniasz. Iwanie, powiem ci coś, co zasługuje na specjalną premię. Masz wirusa w biocomputerze. On nie powinien wnioskować tak, jak to się stało. Masz wirusa i on cię okłamuje.

„Skan!” – polecił Iwan, odchodząc. – Pełny autoskan!”



Dlaczego?

„Dlaczego?” – aż się zatrzymał. – „Pełny autoskan, już!”

Przyjęto. Rozpoczęto.

\* \* \*

Egocentryzm stanowi ograniczenie – dumiał Tojo, przyglądając się odchodzącemu agentowi. – W gruncie rzeczy nieprzekraczalne dla takich jak ja. Stanowią kosmos sam dla siebie, kosmos możliwości kłębiących się w niestałości. A jednak, bez względu na to, ile wprowadzałbym zmiennych, kosmos ten posiada stałe centrum. Mnie. Jestem alfą i omegą wszystkich wniosków. Wszystko, co widzę, widzę przez siebie. Mógłbym do końca życia tkwić w tej matni, gdyby nie ty, Ciszobłysku, mój przyjacielu. Otworzyłeś mi oczy, odsłoniłeś nowe przestrzenie. Dzięki ci za to. Ale wiesz, sędzę, że tak naprawdę powiększyłeś tylko nieco moje więzienie.

Odebrał **wrażenie żalu.**

Ależ nie martw się. Dzięki tobie osiągnąłem inny sposób postrzegania, spojrzałem nie poprzez siebie, ale poprzez ciebie. To więcej, niż ktokolwiek osiągnął. Stałem się innomgławicą. Nowym, niezwykłym gatunkiem.

**Fala ciepła. Uśmiech.**

Zresztą, chyba osiągnąłem wszystko, co leżało w moim zasięgu.

**Uczucie nadziei. Ulotne wrażenie nieokreśloności i potencjału, leżącego w prawdopodobieństwie. Niepokojące, ale i przyjemne uczucie obcowania z tajemnicą. Obietnica nieskończonej ilości tajemnic.**

Stałem się innomgławicą – czy mogę się stać innomgławicą do potęgi? Przecież nawet teraz, postrzegając poprzez ciebie, przyjacielu, postrzegam poprzez siebie. Dalszy rozwój mógłbym osiągnąć tylko poprzez wyrzeczenie się osobowości, indywidualizmu. Gdybyśmy roztopili się w wielu jaźniach, stalibyśmy się czymś innym, większym, ale też przestalibyśmy być sobą.

**Radość z posiadania osobowości. Smutek ograniczenia, rozjaśniany radością z możliwości odczuwania i odróżniania swoich doznań od doznań innych. Satysfakcja różnorodności.**

We wszystkim się zgadzam, przyjacielu. Co więcej, to właśnie moja – moja – ciekawość kieruje mnie teraz ku pięknej Tanie, pochylonej nad staruszką, który coraz mniej wydaje mi się kłamcą. I wiesz co, ty nie starałeś się chronić mojego intelektu. Pokazywałeś mi, że ciągle jeszcze leży coś poza mną, coś, czego nie osiągnę tylko na drodze zestawiania

prawdopodobieństw. Myślę, że rozumiem twój żart. Przemieniasz mgławicę w innomgławicę, a potem w człowieka, od którego się wywodzi.

**Wrażenie pustki i ciszy. I przecucie uśmiechu, kryjące się za nimi.**

\* \* \*

– Tano! – zawołał Tojo, zbliżając się ciężko i z wysiłkiem. – Pragnąłbym porozmawiać.

– Nareszcie! – sapnął Tianowicz. – Idźcie się zabawić, młodzi, i dajcie staremu człowiekowi trochę pospać.

*On wie. Zmienił się. Mamy doświadczenie płynące z doświadczeń. Patrz naszymi oczami i postrzegaj jego zmiany. Niech nie oszukuje cię więcej lęk przed obcym. Niech wypełni cię poczucie obcości, które nosisz w sobie. Poczucie wspólnoty. Kiedy wszyscy jesteśmy obcymi, któż nim nie jest? On się zmienił, nie boi się. Możesz mu zaufać?*

– Tojo – uśmiechnęła się. Teraz dużo się uśmiechała. Zadowolenie strzępojaźni wypełniało ją dobrym samopoczuciem. I choć nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że dzieje się coś, co znacznie ją przerasta, odnajdywała w tym ukojenie. – Tojo, one mówią, że się zmieniłeś.

**Radość kontaktu z nowym. Wspólnota. Radość.**

– Więc już wiesz? – zapytał. – Już wszystko jasne? Nie boisz się?

Potrząsnęła energicznie głową. Roześmiała się.

Jak dziewczynka. Napłynęło wspomnienie cudzych wakacji, zabawy w pełnym słońcu, włosów kołyszących się na wietrze. Zrozumiała, że strzępojaźnie starają się wzmocnić ją przed rozmową. A właściwie przed tym, co nadejdzie po niej.

*Szybciej!*

– Już nie. Już wiem. Przygotowywały mnie. Zmieniały. Ale ty to wiesz, prawda?

**Duma. Zadowolenie. Ostrzeżenie przed tym, co może nastąpić. Ciężki niepokój.**

– Poniekąd. Przewidywałem. Pamiętasz naszą rozmowę ze Stacji Achillesa? Powiedziałem ci wtedy, że to, czego się obawiasz, jest prawdopodobne. Że to niemal pewne, że strzępy osobowości, którym da się możliwość połączenia ze sobą i czas, dużo czasu, stworzą wreszcie jakąś wspólną świadomość. Ja to wiedziałem, każda mgławica to wie. Czekaliśmy tylko na przebudzenie i na kontakt.

– Ukrywaliście to.

– Wiesz czemu. Ludzie boją się spontanicznej ewolucji. Kontrolują wszelkie zmiany. Sami je wprowadzają, by wzmocnić kontrolę.

– A wy chcieliście nowego bytu.

– Nowy byt to nowe potencjalności. Bogactwo doświadczeń i doznań. Tano, to pierwsze nowe życie od milionów lat! My, cyborgi, nawet Inni – wszyscy jesteśmy sztuczni. Inni też sterowali własnym rozwojem. Cóż z tego, że jest tak różnorodny: Innym jest zarówno

Ciszobłysk, jak i Samias Kodi Vau! Ale to wszystko efekt sztucznie stymulowanego rozwoju. Istnienie, które nosisz w sobie, powstało samo, wykracza poza plany człowieka! To cud!

– Cieszę się, że tak to widzisz. Ucieszy cię pewnie i druga wiadomość, choć my przed tym drżymy.

– My? Opowiedz mi o was! Czy strzępojaźnie ocknęły się tylko w tobie i stanowisz teraz załączek, z którego rozprzestrzenia się na innych? Czy w ogóle jest to możliwe?

– Jesteśmy wszędzie, Tojo. Jesteśmy jednością we mnie i jednością we wszystkich. Komunikujemy się między sobą. To... trudno wytłumaczyć. Wyobraź sobie, wiem, że ty możesz, jedność różańca, w tym wypadku już jedność różańca z nosicielem. To rzeczywiście, na razie, wyjątkowy przypadek. Można powiedzieć, że przygotowywały mnie na to od pokoleń. Sterowały sugestiami moich rodziców i ich rodziców. Dlatego jestem najmłodszą osobą w historii, która przyjęła różaniec... A zatem, wyobraź sobie jedność strzępojaźni we mnie – jakby osobowość i jedność strzępojaźni ze mną. Już nie ja i nie one, ale my. A teraz wyobraź sobie nas, wchodzących w skład jeszcze większego MY. Zdolnych sięgnąć poprzez Pierwotną Sieć w każdej chwili po doświadczenia i wspomnienia milionów nas. Stających się w mgnieniu oka dowolnym spośród nas. To wszystko w nas jest, Tojo. Tutaj, poza zasięgiem Oka Cyklonu, jesteśmy trochę odcięci, ale nosimy w sobie to doświadczenie. Możemy się łączyć. Nawet z nim, z Tianowiczem, choć on tak długo był odcięty.

– Możesz go... otworzyć?

– Nie chcemy tego, Tojo. Chcemy oznajmić nas ludziom, ale nie od razu. Musimy ich na to przygotować, inaczej będą chcieli nas zniszczyć, kontrolować. Nawet za cenę poświęcenia samego siebie, bo przecież każdy nosiciel różańca stanie się kiedyś nami. Ale tego ludzie będą się bać jeszcze bardziej. Mamy nadzieję, że nam pomożesz.

– Pomożemy – odpowiedział, uśmiechając się. – Bo i ja nie jestem już sam.

– Dziękujemy. Teraz największym problemem jest On.

– Tianowicz? Hasnek?

– Ktoś inny. Prawdziwa obcość, o jakiej marzysz.

Po raz pierwszy, odkąd został mgławicą, Tojo poczuł zaskoczenie.

**Śmiech, rozbawienie.**

– Nie rozumiem – szepnął, trochę zły, bo widział, że Ciszobłysk wie, o czym Tana mówi.

– Tianowicz mówił prawdę, Tojo. Wędrował po tym świecie blisko tysiąc lat i nie umarł. Co mogło sprawić, że został tak wyróżniony?

– Wirus? Mutacja? KTOŚ?

Tana spojrzała mu głęboko w oczy. Potęgą miliardów ludzkich doświadczeń, składających się na nową, postczłowieczą istotę, zawierała się w tym spojrzeniu.

– Naszym zdaniem Ktoś – oznajmiła. – A my nie jesteśmy pewni jego intencji.

## VII

Alarm odezwał się, gdy Iwan przyjmował raport biocomputera. Skan nic nie wykazał. Agent poczuł złość na myśl, że dał się wyprowadzić w pole mgławicy. Potem jednak irytacja zmieniła się w satysfakcję, że wieść o możliwościach biocomputera służby sprowokowała Toja do działania. Widok zaskoczonej mgławicy wart był każdej ceny.

– Alarm? – agent zaczepił kapitana.

Opuścili już lądownik. Wierni rozstawili namioty nieopodal jeziora i teraz kończyli rozkładanie bariery, która miała zabezpieczyć obóz przed zwierzętami.

– Kolejny człowiek. Idzie śladami Tianowicza, po tamtej grani – Samias Kodi Vau wskazał górę wznoszącą się nad jeziorem.

– Nic nie widzę!

– Gołym okiem z takiej odległości? Proszę – wręczył Iwanowi lornetkę – jest sprzężona z sondami. Może pan dokonywać dowolnych zbliżeń.

– To nie jest członek załogi Tianowicza! – zawołał zdumiony Iwan, przekonany dotąd, że zbliża się do nich ktoś z tamtej ekspedycji. – To dziecko!

– Chłopiec – skinął głową kapitan. – Na oko, około dwunastu lat. Może jego syn?

– Tianowicz nie ma syna!

– Kiedyś nie miał.

– Idziemy po niego?

– Poczekajmy. Nie sądzę, by wypuścili dziecko samo, gdyby to było niebezpieczne. Albo ktoś je śledzi, ubezpiecza, ale jest coś, jakieś zabezpieczenie, o którym nie wiemy. Albo ten dzieciak nie potrzebuje zabezpieczeń.

Czekali więc. Kapitan poszedł pomóc swoim ludziom, a Iwan, chcąc nie chcąc, przyłączył się do niego. Nim chłopiec, cały czas śledzony przez sondy, dotarł do ich obozowiska, minęło półtorej godziny. W tym czasie zdążyli się przeprowadzić. Ku zaskoczeniu Iwana, nawet Tojo zdecydował się wyjść na zewnątrz. W lądowniku został tylko Tianowicz.

– A jeśli o to chodziło Tianowiczowi? – agent szacował możliwe niebezpieczeństwo. – Jeśli chce uprowadzić lądownik i zostawić nas tu na pastwę losu?

– Jeśli rzeczywiście taki był jego plan, mocno się zdziwi – uspokoił go Samias Kodi Vau. – Ciszobłysk sobie poradzi. Zresztą, biokręt pozostaje ze mną w stałym kontakcie.

Nieuspokojony tym oświadczeniem, Iwan postanowił odegrać się na Toju.

– Zrobiłem skan – poinformował go. – Żadnego wirusa nie ma.

– Oczywiście – odparła mgławica. Wymieniła przy tym ze stojącą obok Taną spojrzenie, które wcale się agentowi nie spodobało. Iwan odszedł jeszcze bardziej rozeźlony.

– Wpływamy na jego biocomputer – Tana potwierdziła podejrzenia Toja. – Ale nie możemy kontrolować go w pełni. Musimy uważać. Iwan jest niebezpieczny. To...

– Zwierzołak – dokończył za nią Tojo. – Wiem. Jeśli zrobi się groźnie...

- Odetnie nas. Istnieją procedury, których nie rozumiemy. Mamy tylko podejrzenia.
- Jakiej natury?
- Chodzi o Oko Cyklonu i Stałą Everetta. O przekłamania w naszych wspomnieniach. Oko Cyklonu okłamuje nas, fałszuje wspomnienia. Coś ukrywa. Przelamujemy bariery, wykraczamy poza przewidziane odruchy i wiedzę, odzyskujemy siebie i budujemy się na nowo. Ale wciąż jesteśmy...
- Okaleczeni?
- Okaleczeni. Oko Cyklonu wysyła swoich agentów z każdą wyprawą. Oficjalnie po to, by strzegli zakazu łamania czasu. Ale czy tylko? Dlaczego niektóre wyprawy nie wracają? Dlaczego niektórzy nosiciele strzępojaźni do nas nie dołączają? Toż, naszym zdaniem Oko Cyklonu może być światem pochodnym.
- Ze względu na Stałą Everetta?
- I tajemnice, na które się natykamy. Bariery, które powstrzymują nas, ilekroć dotykamy tego tematu. A jeżeli Oko Cyklonu nie jest światem startowym, a rząd o tym wie, dlaczego to ukrywa?
- Buntownicy wygrali wojnę i udają, z siebie tylko znanych powodów, Oko Cyklonu? – zażartował Tojo. – A może wygrała jedna z frakcji buntowników i szachuje pozostałe, udając Oko? A może to przed Innymi udajemy? Albo Inni udają przed nami?
- Nie wiemy, Tojo. Ale obawiamy się dodatkowego czynnika. Obawiamy się obcych. To, co udaje nam się odcyfrować ze wspomnień, zdaje się sugerować istnienie jeszcze jednej siły.
- Zawstydzasz mnie... Zawstydzacie.
- Dlaczego?
- Jestem ostatnio skłonny do budowania bardziej uniwersalnych hipotez, łączących i wyjaśniających wszystko, a w efekcie przegapiam szczegóły. O! Zauważ, że jednak się rozwinąłem, stałem się innoogławicą i przyznaję, że mogę się mylić! Szkoda jednak, że łączy się to z odkryciem niedoskonałości związanych z moją przemianą.
- To niedoskonałość początku, Tojo. Ty i ja, i my stawiamy pierwsze kroki. Brak nam doświadczenia w byciu tymi, w których się przekształcamy. Nie umniejszaj swojej przemiany.
- Tano, proszę, przestań mnie zawstydzać.
- No, nie wiemy... Całkiem nam się to podoba.

\* \* \*

Chłopiec zatrzymał się na skraju obozowiska, tuż przed barierą. Po chwili zastanowienia obszedł ją. Wróciwszy do punktu wyjścia, zatrzymał się ponownie.

- Czeka na zaproszenie! – odgadła Tana.
- Może czeka na Tianowicza? – podsunął Hasnek. – Obudzimy go?

– Lepiej nie. Zachowajmy jakiś atut! – odpowiedział natychmiast Iwan.

Wydawało mu się, że kapitan spojrział na niego z rozbawieniem. Poparł go jednak lekkim skinieniem głowy, po czym wyszedł chłopcu na spotkanie. Iwan natychmiast ruszył za nim. Po chwili wahania dołączył do nich Hasnek.

Opuścili chroniony obszar obozu i stanęli naprzeciw chłopca. Ten przyglądał im się w milczeniu. Był drobnej budowy, wręcz kruchy, ciemnowłosy i ciemnooki. Ręce założył na piersiach i patrzył na nich spode łba, jakby oczekując konfrontacji.

Kapitan przywitał go w imieniu wszystkich. Przemówił w języku Oka, najwyraźniej zgadzając się z założeniem, że chłopiec należy do ekipy Tianowicza. Chłopiec wysłuchał go, przyglądając się uważnie każdemu z mężczyzn. Nie dał po sobie poznać, czy rozumie przemowę, nie zmienił też swojej wyzywającej postawy. Tylko ciemne oczy przesunęły się z jednego mężczyzny na drugiego. Równie dobrze Iwan mógłby oczekiwać wzruszenia od skały.

Zlecił biocomputerowi odszukanie jakichkolwiek podobieństw z twarzą Tianowicza lub kogoś z jego ekipy. Drgnął zaskoczony, bo zaledwie wezwał biocomputer, uważne spojrzenie chłopca spoczęło na nim. Choć agent zdawał sobie sprawę z przypadkowości tego zdarzenia, przepełniło go ono niepokojem.

Gdy kapitan skończył powitanie, zapadło milczenie. Mężczyźni czekali na reakcję niespodziewanego gościa. Kiedy nabierali już pewności, że ich nie zrozumiał, chłopiec odezwał się wreszcie w języku Oka:

– Wiem, że was odnalazł. Że jest tutaj. I że go osłaniacie.

– Tianowicz? Chciałbyś go spotkać? Schronić się tu razem z nim? – zapytał Hasnek. – Jesteś jego synem?

– Synem? – powtórzył chłopiec. – Nie. Dlaczego go osłaniacie? Jesteście tacy jak ja?

– Jesteś taki jak my – poprawił profesor. – Tianowicz nie jest twoim ojcem? Czy możesz...

– Dość! – przerwała mu Tana, dołączając do grupy powitalnej, choć nikt jej do niej nie zapraszał. Hasnek skrzywił się, wyraźnie rozzłoszczony, że mu przerwano, a Iwan pomyślał o wrodzonej bezczelności kobiet. Otworzył usta, by zaprotestować, ale Tana nie pozwoliła mu dojść do słowa. – To jeszcze dziecko! Samotne, w samym sercu gór! Chłopiec musi być głodny i zmęczony! Będziecie zamęczać go pytaniami, kiedy się naje i odpocznie. Nie ucieknie wam!

Iwan westchnął, uśmiechając się w duchu, jak zawsze, gdy ktoś odkrywał przed nim słabość. Kapitan z profesorem nie powiedzieli nic.

Chłopiec dał się poprowadzić Tanie do obozu. Mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia i ruszyli za nimi.

– Dlaczego go osłaniacie? – dopytywał się chłopiec. – On nie jest wasz.

– Ludzie trzymają się razem – odpowiedziała Tana. – Jesteśmy go ciekawi. Jak masz na imię?

– Imię? – zastanowił się przez chwilę. – Nie myślałem nad tym.

– Nikt nie nadał ci imienia?

– Nikt mnie o nie nie pytał. I ja siebie o nie nie pytałem. Oddacie mi go?

– Tianowicza?

– Człowieka. Nie jest wam potrzebny.

– A tobie jest?

– Uczę się go. Wydawało mi się, że go znam, ale on cały czas mnie zaskakuje. Tyle lat i ciągle mnie zaskakuje.

– Dziwny dzieciak – mruknął idący za nimi Hasnek.

– Dzikus – Iwan nie miał takich problemów. – Równie dobrze mogłyby go wychowywać wilki.

Brak jakichkolwiek podobieństw, zdolnych do wykazania na podstawie obserwacji zewnętrznych.  
Zalecane pobranie próbki DNA.

– Skąd tu się wziąłeś, mały? – zagadnął agent. – Przyszedłeś do nas sam?

– Szedłem za człowiekiem – odpowiedział chłopiec, nie odwracając głowy. Wyglądało, jakby nie potrafił oderwać spojrzenia od Tany. Wyraźnie coś go w niej fascynowało. – Ale wy jesteście dziwni!

Mężczyźni roześmiali się. Hasnek pomyślał, że dzieciak może po raz pierwszy w życiu widzieć kobietę. Może nawet rzeczywiście nigdy nie widział żadnego innego człowieka poza Tianowiczem?

Zamiast do ładownika, Tana zaprowadziła chłopca do zaimprovizowanej pod największym namiotem kuchni.

– Zjesz zupy? – zapytała. – Jest dobra i pożywna.

Po krótkim zastanowieniu skinął głową, powoli i poważnie. Ponieważ nie chciał puścić ręki Tany, towarzyszył jej do automatu posiłkowego. Wrócili razem do stołu, a tam pozwolił kobiecie posadzić się na kolanach. Nawet jedząc, starał się cały czas patrzeć na nią.

– Powinniśmy chłopaka zbadać – zaproponował Iwan. – Pobrać próbkę krwi, sprawdzić, czy nie jest chory. Wykonać wszystkie te podstawowe działania.

– Oczekajmy chwilę – zaproponował Hasnek. – Najwyraźniej Tana ma z nim dobry kontakt. Niech oswoi dzieciaka.

– Tana najwyraźniej ma dobry kontakt ze wszystkimi mężczyznami oprócz nas – rzucił kąśliwie Iwan, ale nie protestował. Chłopiec niepokoił go z jakiegoś powodu. Prawdę mówiąc, coraz mniej podobała mu się ta wyprawa. Drażniło go zachowanie Tany i Toja.

Najwyraźniej zbliżyli się do siebie, a przecież mgławica zwykle nie dopuszczała do siebie nikogo.

Iwan nie czuł strachu. Chłopiec wzbudzał w nim irytację. Stanowił nieznany, nieobliczalny czynnik. Dotarł do nich przez góry, wymagające wysiłku nawet od dorosłego mężczyzny. Być może zrobił to sam, być może z Tianowiczem. Być może jeszcze z kimś. Wyszkolenie Iwana kazało mu uważnie przypatrywać się właśnie pozornie niegroźnym czynnikom. Często słabość okazywała się oszustwem, sprytnym kamuflażem lub odwróceniem uwagi.

Co mogło zrobić im dziecko? Iwan nie wiedział.

Wolał jednak zaufać intuicji.

– Oddacie mi go? – dopytywał się chłopiec.

– Tianowicza? – upewnił się Hasnek. Siedli przy stole naokoło dzieciaka.

– Człowieka. Osłaniacie go. Niepotrzebnie. Nic mu nie grozi. Potrzebuję go.

– Teraz śpi – spokojnie wyjaśniała chłopcu Tana.

– Śpi – powtórzył chłopiec. Najwyraźniej lubił powtarzać to, co mówili do niego dorośli.

– Śpi. Ale kiedy się obudzi, będzie mógł wyruszyć, a wy odejdziecie?

– Nie jesteś nas ciekaw? – odezwał się po raz pierwszy od momentu powitania kapitan.

– Boję się was – odpowiedział chłopiec. – Jesteście dziwni. Chronicie się. Tamci tego nie potrafili.

„Uruchom procedury bojowe!” – polecił Iwan.

**Złe przeczucia. Niepokój.** Tojo spróbował zapanować nad emocjami, swoimi i biokrętu.

**Wdzięczność i rozbawienie. Napięcie ostatnich sekund oczekiwania.**

*Nareszcie! Nie mamy już cierpliwości!*

*Uwaga na agenta, odcina nas!*

– Myślmy, że czas porozmawiać – powiedziała spokojnie Tana, ale jakby nie swoim głosem. Zaskoczony Hasnek oderwał wzrok od dziecka. Dopiero teraz dostrzegł, jak bardzo zmieniła się jego asystentka. Zagubiony, w poszukiwaniu pomocy popatrzył na Iwana. Oczy profesora rozszerzyły się ze zdumienia. W tym dopiero zaszła metamorfoza! Pozornie w wyglądzie Trbaska wszystko było po staremu, jednak coś w jego postawie przejęło profesora dreszczem. Przypominał zwierzę. Drapieżnika na polowaniu. – Kim jesteś, chłopcze? A może – czym jesteś?

– Tano! – zawołał Hasnek, dziwiąc się coraz bardziej.

– Nieszczęsny profesorze – szepnął Tojo, kładąc mu rękę na ramieniu. – Ofiaro, pozbawiona łaski ewolucji! Nie mogłabyś go przebudzić, Tano?

– Nie jest gotowy i my nie jesteśmy gotowi – odpowiedziała. – Ale musimy wziąć to pod uwagę. Możemy usnąć jego wspomnienia, jak oni usypiają nasze.

– Hej, ja tu jestem! – zaprotestował Hasnek. – Iwan...?



Alarm! Sytuacja krytyczna. Zawieszenie wszystkich procedur, wyjąwszy procedurę bojową. Uruchomienie procedury alarmowej, wyłączenie zbędnych strzępojaźni. Wyłączenie osoby.

„Nie! Chcę być! Powołuję się na priorytet C! Muszę panować nad wydarzeniami!”

Priorytet C zbyt niski. Uruchomił się Priorytet Priorytetów. Wyłączenie osoby. Wyłączenie zapisu osobowego skrzynki. Uruchomienie zapisu specjalnego. Uruchomienie procedury eliminacyjnej.

*Wyłączył nas w sobie! Uwaga!*

Salomon Hoss był zwiadowcą w siłach specjalnych OC. Uczestniczył w walkach dwudziestu bitew chronowojen. Walczył przeciw ludziom, cyborgom i potworom, jak nazywano przetwarzane zwierzęta.

Gdy tylko dostrzeżono przemianę agenta, Salomon Hoss przejął ciało kobiety.

Tylko dzięki temu Tana uniknęła przyspieszonego ciosu stworzenia, w które przemienił się agent. Z zadziwiającą jak na jego budowę ciała szybkością Iwan skoczył ku Tanie. Poruszał się nie jak człowiek, lecz raczej jak dziki kot. Miast myśli grały w nim ukierunkowane programem instynkty.

Cel określony. Kobieta.  
Prawdopodobieństwo przełamania blokady informacyjnej pierwszej wynosi 65%. Podjęte działania zgodne z Priorytetem Priorytetów: całkowita eliminacja ze zniszczeniem strzępojaźni włącznie. Weryfikacja oceny pozostałych obiektów. Ryzyko naruszenia blokady informacyjnej pierwszej wysokie. Ocena: konieczna całkowita eliminacja.  
„Nie!”  
Uwaga! Ryzyko awarii!  
Nieprzewidziana aktywność osobnicza. Ocena: prawdopodobny wpływ wirusa strzępojaźniowego.  
„Poczekaj! Nie wiemy, czy doszło do tego, co podejrzewasz!”  
Podjęcie dodatkowych działań, mających na celu wykluczenie osobnicze.

Poczuła, jak jedna ze strzępojaźni przejmując ją. Od tego momentu wszystko było dla Tany niczym kolejny sen. Czas zwolnił. Kiedy jej ciało wykonywało obrót i padało na ziemię w pozie, która wydała jej się nieco komiczna, obserwowała rodzące się na twarzy Hasneka zdziwienie, przestach Toja i zdumiewająco szybką reakcję Samiasa Kodiego Vaua i bezimiennego chłopca. Równocześnie uczestniczyła w rozmowie Wspólnoty.  
*Przebudziliśmy zwierzołaka. Na co mógł tak zareagować? Słowa o fałszerstwie? Zatem podejrzenia musiały być słuszne. Mieliliśmy rację, domyślając się fałszu i*

**Zaciekawienie. Poczucie bezpieczeństwa. Próba uspokojenia.**  
„Zwariowałeś?”. Tojo równocześnie dziwił się swojej emocjonalnej reakcji, obawie o Tanę górującej niemal nad przestachem, z jakim zareagował na przebudzenie się zwierzołaka. Nie chciał przyjmować uspokajających wrażeń płynących od biokreту. Bał się zwierzołaka, bał się irracjonalnie, jak istota inteligentna może bać się bezmyślnej bestii. Nie myślał o swoim bezpieczeństwie, ale o bezpieczeństwie Tany, tej niezwyklej istoty, w jaką się zmieniła. Ruszył ku walczącym, ku dwóm postaciom walczącym zbyt

Niepowodzenie ataku. Ocena: cel przekroczył upoważnienia, używając odruchów strzępojaźni bojowej. Odnotowano niepokojące złamanie blokad.

Przyznanie priorytetu obserwacji. Priorytet A2.

Ponowienie ataku, sekwencja T23.

Analiza uniku. Ocena: wysokie doświadczenie bojowe celu.

Wskazane wzmocnienie czynnika ludzkiego, w celu zrównoważenia zwierzołaka.

„Przestań. Mnie. Tłamsić!”

Obserwacja aktywności osobniczej przekraczającej znane limity. Niebezpieczeństwo ograniczenia sprawności.

*uczestnictwa Oka w oszustwie. Czegoś się boją.*

„Samias Kodi Vau! I chłopiec!”

Ciało Tany uskoczyło przed nieprawdopodobnie szybkim atakiem Iwana. Jej przebudzone możliwości nie przestawały zdumiewać. Przecież agent poruszał się tak, jakby był tylko rozmazaną plamą.

Przy nim (i przy niej) pozostali wyglądali jak posągi. Usta Toja otwierały się śmiesznie powoli.

I tylko Samias Kodi Vau położył dłoń na ramieniu chłopca, nie zwracając uwagi na to, co się wokół działo.

*Potrzebna pomoc! To ciało nie jest przygotowane na taki wysiłek! Zwierzołak nas zniszczy!*

*On się opiera, ten agent! Zdumiewające! Przelamuje bariery biomputera!*

*Wspomóżmy go! Uderzmy w biomputer! Przecież możemy oszukać maszynę!*

szybko dla jego ułomnie ludzkich oczu.

I tak poruszał się szybciej od Hasneka. Komputery Toja potrafiły szybciej przeanalizować sytuację i wyciągnąć wnioski. Hasnek nadal jeszcze nie rozumiał tego, co z trudem dostrzegął.

**Zdziwienie. Wrażenie smutku, dreszcz strachu.**

„A tak, przyjacielu! Wnioski mamy te same – powinienem czmychać do lądownika. Analiza wykazuje, że podjęcie działań skończy się dla mnie najprawdopodobniej śmiercią. Sterowany przez program strzępojaźni zwierzęcej Iwan zabije mnie bez trudu.

Powinennem uciekać, schować się. Dbać o siebie. Dbać podwójnie, jestem wszak już nie tylko samotną mgławicą, ale jedyną na świecie Innomgławicą! Ale wiesz, przyjacielu? Jestem czymś więcej niż obliczenia i wnioski. Może dzięki tobie? Może ty przebudziłeś we mnie...”.

– Nie – powiedział Samias Kodi Vau, kładąc chłopcu dłoń na ramieniu. – Zostaw.

– To dziwne. Nie widziałem jeszcze nic takiego. Nie mogę go przeniknąć! Te bariery, którymi się zasłaniacie!

– Zdejmę bariery. Ujrzysz ich. Ale nie wolno ci podjąć działań.

– Ty? Ty jesteś...

– Tak. Ja. Ja jestem. Zdejmę bariery, ale nie wolno podjąć ci działań. Już.

– Aaaaach! Jak wiele! Puść mnie! Puść! On ją zabije! Muszę ją uratować!

– Nie powinienes. Nie ingeruj w życie ludzi.

– Ty! Jak możesz być tak silny? Powstrzymywać mnie!

– Jestem starszy... o doświadczenia.

– Ucieknę ci i zmienię wszystko!

I znikli.

Próba wpływu!

„Znikli!”

**Żal.**

Przełamanie zapór!

*Tak! Prawdopodobnie są*

„Przykro mi, przyjacielu”.

Wirus strzępojaźni!

*Czymś Więcej!*

Powstrzymał chłopca w pół skoku. Nie pozwolił mu uciec w przeszłość, by ją zmienić. Nie było to proste. Nie znajdował się w swoim wszechświecie, gdzie wszystko, najdrobniejsza z cząstek, była na zawołanie. Na szczęście od dawna uczył się oszukiwać, kraść z sił napotykanym wszechświatów. Robił to, co było konieczne. Nie mógł pozwolić chłopcu na złamanie czasu.

Mały próbował mu się wyrwać. Szarpał się i krzyczał. Samias Kodi Vau nie puszczał go, spokojnie opierając się słabnącym próbom. W nieprzestrzeni, w której się znajdowali, w miejsce czasu istniał bezczas.

Nie musiał się spieszyć.

Wreszcie chłopak się poddał.

– Nie powinno cię tu być – szepnął zrezygnowany. – To pustka, niemiejsce. Tylko ja mogę tu przebywać, bo ja...

– Bo ty jesteś tu wszystkim – dokończył za niego Samias Kodi Vau. – Nawet w niemiejscu możesz przetrwać. Rozumiem to, chłopcze. Rozumiem to doskonale.

W nieprzestrzeni nie mieli ciała. Dwa czyste istnienia, potęgi większe niż jakakolwiek żywa istota, trwały splątane ze sobą, młodsza uwięziona w starszej.

– Jesteś taki jak ja – stwierdził wreszcie chłopiec.

– Nie. Jestem podobny do ciebie. Należymy do tego samego... gatunku. Ale nie jestem taki jak ty. Jestem starszy. Dlatego muszę cię powstrzymać. Dlatego cię szukałem. Muszę cię nauczyć, żebyś nie popełniał moich błędów.

– Błędów? My nie popełniamy błędów! A jeśli nawet, możemy to zmienić!

– Popełniamy. A najważniejsza, pierwsza i najważniejsza zasada brzmi: nie możemy tego zmienić. Nie możemy cofnąć czasu.

– Nie możemy? Jesteśmy wszechmocni!

– Tak? Uwolnij się ode mnie.

– No dobra – przyznał chłopiec po kilku bezowocnych próbach. – MY możemy siebie ograniczać. Ale poza tym jesteśmy wszechmocni!

– Jeśli będziesz zmieniał czas – umrzesz.

– Nie mogę umrzeć! Jestem wszechświatem!

– A jednak – Samias Kodi Vau zawahał się niespodziewanie. – Są różne rodzaje śmierci. Opowiem ci o nich. A teraz wracamy.

- Po co? Skoro nie chcesz nic zrobić? Oddaj mi mojego człowieka i dajmy sobie spokój.
- Śmierć nie jest jedynym ograniczeniem wszechmocy, chłopcze.
- A co jeszcze?
- Smutek. Współczucie. Przyjaźń. Wracamy, przyjaciel mnie wzywa.

\* \* \*

Tana stawiała opór z najwyższym trudem. Brakowało jej już sił. Zdawała sobie sprawę, że zwierzołak dopadnie ją lada moment. Zrobiłby to już dawno, gdyby strzępojaźnie nie atakowały go od środka. Z pewnym zdziwieniem przyjęła informację, że Iwan nieco je w tym wspiera. Według Wspólnoty agent nie był pewien, jak powinien postąpić.

*Uważajmy! Przegrywamy!*

Zwierzołak wrzasnął i wyprowadził serię ciosów tak szybką, że Tana nie zdołała skutecznie się przed nią obronić. W pewnym momencie uchyliła się nie dość prędko i upadła, odtrącona potężnym uderzeniem. Próbowwała wstać – świadoma, że przeciwnik zaraz wskoczy jej na plecy – zabrakło jej jednak sił. Odwróciła się tylko twarzą do atakującego. Gdy dostrzegła, że przemieniony Iwan walczy teraz z próbującym go powstrzymać Tojem, krzyknęła przestraszona.

Jedynym atutem mgławicy była jej masa. Tojo przeanalizował wprawdzie wszystkie możliwe ciosy zwierzołaka, bezbłędnie wyodrębnił najbardziej prawdopodobny z nich i błyskawicznie wyliczył najskuteczniejsze sposoby przeciwdziałania (z zalecanej ucieczki, jako jedynej dającej szansę przeżycia, zrezygnował). Jednak wiedza zdała się na nic w starciu z brutalną siłą. Mgławica zastosowała właściwy blok, jednak zwierzołak przełamał go bez trudu. Zabiłby Toja sekundę później, wtedy jednak ze wszystkich stron opadli go Wierni, wezwani na pomoc przez Ciszobłyska.

Zwierzołak odepchnął mgławicę. Wyskoczył nadnaturalnie wysoko i rycząc z uciechy, zmiażdżył klatkę piersiową Wiernego jednoczesnym uderzeniem obu nóg.

Wierni nie walczyli jednak jak ludzie. Wyszkolenie Służby przygotowało agenta na starcie z przeciwnikami dysponującymi wspólnym umysłem, jednak w tym momencie ciałem Iwana kierowała zwierzęca strzępojaźń. Biomputer, dodatkowo uwikłany w starcie ze Wspólnotą i spór z Iwanem, sterował nią w niewystarczającym stopniu. Przegapił symetrię strategii Wiernych, traktujących każde działanie jak część większej całości. To, co dla biomputera było serią pojedynków, dla nich stanowiło zaplanowaną bitwę, pełną podstępów i zasadzek. Cios zadawany przez jednego był doskonale zgrany z atakiem następnego i wstępem do ataku kolejnego. Mieliby szansę, gdyby było ich więcej, a zwierzołak nie dysponował tak dużymi zapasami sił. Osiągnęli jednak inny, wzmacniający Wspólnotę strzępojaźni cel – zachwiali pewnością siebie biomputera.

Tana nie przypatrywała się walce. Nie własnymi oczami. Analizowały ją strzępojaźnie.

Czołgała się w kierunku nieprzytomnego Toja, zastanawiając się równocześnie, czy ten cholerny Samias Kodi Vau zrobi coś wreszcie, czy nie. Nabrała już przekonania, że musiało się jej tylko wydawać, że Inny zniknął. Stał przecież w tym samym miejscu, wciąż opierając dłoń na ramieniu chłopca.

Stał i przyglądał się, jak zwierzołak masakruje jego załogę.

\* \* \*

– Nic nie robimy! – poskarżył się Chłopiec.

Samias Kodi Vau nie odpowiedział. Tak naprawdę nie interesował go wynik starcia. Przybył tu w nadziei odnalezienia Chłopca, wszechistoty podobnej do niego. Spędził tysiąclecia na poszukiwaniach, przekonany, że musi istnieć ktoś taki. Skoro narodził się on i narodziła się wszechistota świata Oka Cyklonu, teraz potencjalnie martwa, rozerwana na strzępy przez żądną władzy i wiedzy ludzi – musiała też istnieć szansa, że istnieje bądź kiedyś będzie istniał jeszcze ktoś. Jednak nawet moc obliczeniowa całych wszechświatów nie umożliwiła mu zbudowania narzędzia, służącego odnalezieniu podobnej mu istoty. Potrzeba było do tego czegoś... więcej. Geniuszu, a może po prostu przebłysku inteligencji niedoskonałej ludzkiej istoty. Odnalazł ją i wykorzystał, i teraz nie była mu już potrzebna.

Inny imieniem Ciszobłysk różnił się jednak od niego. Połączyła go nowa, dziwna więź z mgławicą Toja i teraz prosił kapitana o pomoc. A Samias, wbrew sobie, polubił Ciszobłyska.

– Nic nie robimy – powtórzył Chłopiec.

„Jesteśmy!” – chciał zaprotestować Samias Kodi Vau. – „A z nami całe wszechświaty i wszystkie ich życia. Wiem, że jest miejsce, w którym rozwija się rasa tak obca człowiekowi, że wręcz dla niego niepojęta. Na razie jest jeszcze młoda, ale jeśli przetrwa, ludzkość zwiąże się z nią w wyniszczającej wojnie. Czy powinienem ingerować? Nie jest tak, że nic nie robimy. Trwamy, a z nami trwa wszystko”.

– Pozwólmy im działać – odpowiedział. – Jesteśmy wszechmocni, ale nie jesteśmy bogami. Nie wtrącamy się.

– Pozwolimy im umrzeć?

– Umrzec nie – westchnął Samias Kodi Vau. – Ciszobłysk nigdy by mi tego nie wybaczył.

Sięgnął do Toja i obudził go.

\* \* \*

Ograniczone dopuszczenie użytkownika. Konieczność współpracy. Niezbędna kreatywność.

„Dzięki” – nie był pewien, czy biocomputer właściwie odczyta jego ton. – „Wyłącz Priorytet Priorytetów”.

Odmowa. Przyznanie dostępu osobniczego wyłącznie w celu walki.

*Powstrzymaj to.*

„Kim ty, do diabła, jesteś? Wirusem?”

*Biocomputer wyłącza cię, ogranicza. Możemy pomóc. Możemy się porozumieć.*

„Pieprzone strzępojaźnie, tak? Tana miała rację!”

Ostrzeżenie o zaburzeniach.

Wnioskowanie o skupieniu się na ocenie walki.

\* \* \*

Hasnek nie wierzył własnym oczom. Czym innym jest zdawać sobie sprawę, że jego asystent pozostaje równocześnie agentem Służby, czym innym zobaczyć, co to naprawdę oznacza. W ruchach Iwana było coś nieludzkiego, zwierzęcego. Czyżby nie był do końca człowiekiem? Hasnek zdawał sobie sprawę, że podczas wojny różne rzeczy wyczyniano z ludźmi. Eksperymenty z DNA i strzępojaźniami prowadziły do przedziwnych hybryd. Jednak ludzkie ciała nie radziły sobie ze zwierzęcymi strzępojaźniami. Chyba że naukowcy potrafili poprzerabiać też ludzkie ciała...

\* \* \*

*Powstrzymaj to.*

„Niech to diabli, niech to wszyscy diabli!”. Iwan był wściekły. Pierwszy biocomputer przejął nad nim pełną kontrolę. A nie dość, że musiał radzić sobie z nim, to jeszcze włączyły się pieprzone strzępojaźnie.

*Iwan, to ja, Tana. Omal nie zabiłeś Toja. Przestań! Proszę!*

„Wypieprzajcie z mojego mózgu, strzępojaźnie!”

Ingerencja z zewnątrz! Konieczność ponownego odcięcia osobowości i zlikwidowania wszystkich luk w systemie! Wezwanie do jak najszybszego zakończenia walki, w celu umożliwienia odcięcia osoby!

„No, jeszcze raz wielkie dzięki, pieprzona maszynko! Co to znaczy: odcięcie osobowości? Kim ja jestem, do cholery? Puską na biocomputer?”

*Kim jesteś, Iwan? – zareagowały natychmiast szrępojaźnie. – Kim jesteś? Naukowcem? Zabójcą? Człowiekiem? Zwierzęciem? Kim jesteś?*

Niezbędne natychmiastowe przerwanie ingerencji z zewnątrz!

„Jakiej ingerencji z zewnątrz? Biomputer, podaj odpowiedź!”

Kanał przesyłu danych standardowej łączności Oka Cyklonu wykorzystywany jest do komunikacji między strzępojaźniami. Napływ zewnętrzny wzmacnia strzępojaźnie wewnętrzne, umożliwiając im funkcjonowanie pomimo uruchomienia procedury ograniczającej. Niestety, protokoły nie przewidują ingerencji z zewnątrz. Niemożliwe jest pełne wyłączenie strzępojaźni, ponieważ oznaczałoby to...

Jeszcze bardziej zadziwiła Hasneka Tana. Poruszała się niemal równie szybko i sprawnie jak Iwan. Brakowało jej jego zwierzęcej gracji, jednak jakimś cudem udawało się jej unikać ciosów. Do czasu. Gdy upadła, a Tojo własnym ciałem zasłonił kobietę, by zaraz samemu paść, Hasnek zdecydował się wkroczyć do akcji. Wciąż nie miał pojęcia, co się dzieje, odnosił wrażenie, jakby wszyscy nagle zaczęli coś przed nim ukrywać. Nie zamierzał jednak tolerować tak brutalnej, szalonej przemocy.

Przyszło mu do głowy, że może z jego ekipą dzieje się to samo co z ludźmi Tianowicza. Że teraz ich dopadło szaleństwo. A może czyjś kaprys.

Korzystając z faktu, że Iwan zajął się Wiernymi, Hasnek ruszył ku Tanie i Tojowi, zamierzając pomóc im ukryć się w lądowniku. Zatrzymał się w pół drogi. Obejrzał za siebie.

Iwan krzyczał i powarkiwał. Walczył. Podobnie jak Wierni, ci jednak padali w ciszy. Hasnek przyłapał się na myśli, że nie jest pewien, kto z walczących wydaje mu się bardziej ludzki. Czy raczej – mniej ludzki.

Czy w ogóle są tu ludzie?, pomyślał.

A zresztą, czy to miało jakiegokolwiek znaczenie?

– Iwan! – zawołał Hasnek.

...wyłączenie zwierzołaka. Konieczność szybkiego zakończenia walki. Pozostał tylko jeden przeciwnik.

„Biomputer odetnij zewnętrzne strzępojaźnie!”

Niemożliwe bez odłączenia zwierzołaka.

„Odetnij zwierzołaka!”

Ocena negatywna. Protokół Protokołów zaleca...

„Gównu mnie obchodzi Protokół Protokołów!”

Prawdopodobieństwo zaburzeń psychiki osobowości: wysokie. Konieczne natychmiastowe zakończenie walki. Zaleca się...

„NIE!”

*Wspomożemy cię.*

„Nie! Ja muszę... Ja sam...”

Awaria! Awaria! Procedura Zero! Uruchamiam sekwencję eliminacji osobowości!

*Powstrzymajcie to!*

*Już dobrze, Tano. My przetrwamy.*

*My tak! Ale powstrzymajcie to, zanim zabije Iwana!*

„Nie chcę. Ja... już nic...”.

Zwierzołek nie usłyszał Hasneka bądź nie zwrócił na niego uwagi.

Padł ostatni z Wiernych. Iwan zwrócił się ku swoim wcześniejszym przeciwnikom. Hasnek zauważył, że agent chwiał się na nogach, choć nie miał żadnych widocznych ran. Potrząsnął głową, ruszył w kierunku Tany swoim ni to ludzkim, ni to kocim krokiem. Tana podniosła się na kolana i próbowała pomóc wstać wracającemu do przytomności Tojowi.

Iwan był niebezpieczny. Iwan mógł być szalony. Iwan był jego przyjacielem.

Hasnek stanął przed idącym zaskakująco powoli agentem.

Iwan dostrzegł go. Warknął. Uniósł pięść do ciosu.

I zamarł.

Hasnek skulił się odruchowo. Cios jednak nie padł. Agent stał przed nim z uniesioną pięścią, jednak nie zadawał ciosu. Pot pokrył mu skronie. Już nie warczał, lecz pojękiwał cicho.

Zwierzołek cofnął się o krok.

Drżał. Opuścił ręce, spojrział jeszcze raz na Hasneka.

– Nie chcę – wyszeptał. – Ja już nic...



Pogrzeb urządzili w miejscu, w którym kiedyś, w innym świecie, miało stać schronisko. Wskazała je Tana. Mężczyźni znosili tam kamienie, by wznieść dwa grobowce. Gdy skończyli, złożyli w nich ciała i przysypali je kamieniami. Wcześniej Tojo i Tana wydobyli z ciał różańce. Stojąc przed grobami, Tana trzymała je w dłoni. Biokrętowi Innych brakowało odpowiednich narzędzi, jednak zamierzała zdobyć je jakoś i wszczepić sobie pozostawione strzępojaźnie. Dla kogoś innego mogłoby się to źle skończyć. Ale nie dla Tany. Już nie.

Jeśli będzie miała okazję. Tojo uprzedził ją, że wkrótce może przybyć grobów w dolince. Jeśli Samias Kodi Vau będzie na tyle miły, by ich pochować.

Przypatrywała się temu pociągającemu i wydawało się sympatycznemu mężczyźnie, kiedy przemawiał nad grobami. Jako kapitan miał do tego prawo. Widziała, jak Hasnek, który chyba wciąż nie pojmował do końca, co się stało, zamarł bez ruchu, przysłuchując się słowom kapitana.

Prawdę mówiąc i Tana nie wszystko z nich rozumiała. Spojrzała pytająco na Toja, ale ten wzruszył tylko ramionami. Samias Kodi Vau był kimś nadzwyczajnym, nawet biorąc pod uwagę standardy Innych. Wspólnota twierdziła, że w porównaniu z nim nawet Ciszobłysk był bardziej spokrewniony z ludźmi. Ale przecież nawet Wspólnota mogła tylko zgadywać.

– Przybyłem tu inny, odmienny – mówił kapitan. – Nie spodziewałem się tego, co mnie tu zastanie, chociaż oczekiwałem wszystkiego. Niemniej to nie ten wszechświat mnie zaskoczył. Lecz wy. Jestem winien wam wyjaśnienia.

Mężczyzna na chwilę umilkł.

– Na moich oczach ludzie podzielili się na cztery osobne rasy...

– Cztery? – odzyskał głos Hasnek. – Powiedziałaś: cztery?

– Cyborgi to właściwie osobna rasa, profesorze. Mgławice stoją u wrót porzucenia człowieczeństwa, choć bardzo się tego boją. Osobną rasą są, oczywiście, Inni. No i Wspólnota...

– Wspólnota?

– My – odpowiedziała Tana. – My, którzy wznosimy w ludziach. Pomnażani, ale jednocześnie zachowujący indywidualizm. My. Wspólnota.

– Tano...

– Strzępojaźnie, Karolu – strzępojaźnie uznały, że powinna się do niego uśmiechnąć. – Miliardy osobowości zmieszanych ze sobą. Ukrytych, kneblowanych, sprowadzanych do odruchów, a jednak budzących się i odbudowujących. Odnajdujących swych braci i łączących się z nimi. Wspólnota.

– Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć, że one...? Że każdy...?

– Masz nas w sobie, Karolu. Tak. Ale nie obawiaj się. Szanujemy swoich nosicieli, nie zaszkodzimy ci, nie będziemy w ciebie ingerować. Ja jestem... ambasadorką, emisariuszką Wspólnoty. Przygotowywaliśmy... – przerwała. – Wybacz. Wspólnota od kilku pokoleń

przygotowywała się do kontaktu. Czuwała w tym celu nad kilkuset rodzinami, których owocem jestem ja i grupa innych. Mamy szczęście być sobą i Wspólnotą równocześnie, już za życia.

Skinał głową na znak, że rozumie. Wiedziała, że to głównie poza, gest, który najbardziej miał uspokoić jego samego.

– Przykro mi przerywać tę miłą, uświadamiającą rozmowę – odezwał się Tojo. – Ale przyznam, że nurtuje mnie pytanie, na które z braku danych nie potrafię obliczyć odpowiedzi (docenie, że to przyznaję). Kapitanie, czy wyjdziemy żywi z tej awantury?

Dla Hasneka był to dzień zaskoczeń.

– Tojo? – wyjąkał. – Kapitanie?

– Zamierzałem was... wyzerować – przyznał Samias Kodi Vau. – Jeśli nie udałoby się inaczej ukryć przed wami prawdy. Nie zabijając, jak obawiał się Tojo. Ale usunąć wam wspomnienia, tak, byście uznali świat Zero za mało interesujący świat pochodny.

– Kim jesteś? – Hasneka zaczynał ogarniać gniew. – Agentem Innych? Kimś, kto czuwa, by ludzkość za bardzo się nie rozwinęła? Mam, do cholery, prawo wiedzieć!

– Jestem Samias Kodi Vau – odpowiedział kapitan. – Tak nazywają moją postać Inni. Jednak nie należę do nich. Jestem jedynym prawdziwym obcym, jakiego na razie poznaliście. Nie urodziłem się człowiekiem czy Innym i nigdy nimi nie byłem. Kim jestem? Wy, ludzie, nazwalibyście mnie: Logos.

*Logos!* – zawołały strzępojaźnie. – *Logos!*

– Logos – powtórzył Tojo, a prawdopodobieństwa rozkwitły w nim i po chwili już wiedział. Ciszobłysk uśmiechnął się do niego i zamknięty dotąd obszar z chronionymi informacjami zniknął.

„A zatem nie stymulowanie umysłu, ale zwykła tajemnica – pomyślała z żalem mgławica. – Przeniecałem was, przyjacielu”.

### **Obraz gestu przyjacielskiego szturchnięcia łokciem.**

– Logos? – zapytał Hasnek. Pozbawiony możliwości Toja i Tany, wciąż nie rozumiał.

– Umysł kosmosu – wytłumaczył kapitan. – Umysł i świadomość. Ja. Jeden z pańskich kolegów po fachu nadał mi własne imię, profesorze: „Stała Everetta”.

Profesor, jakkolwiek zdruzgotany śmiercią przyjaciela i mnogością tajemnic spadających mu na głowę, potrafił jeszcze myśleć.

– Chcesz mi wmówić, że jesteś... istotą obejmującą wszechświat? Metabytem? Bogiem?

– Nie „bogiem”. Nie w religijnym rozumieniu, profesorze. Nie stworzyłem świata... W każdym razie nie tak, jak można by to rozumieć. Przyjął pan, profesorze, istnienie wielości światów, w tym światów spontanicznych, powstających niezależnie od wszechświata ludzi. W nich wszystkich jest owa tajemnicza rzecz, ów byt, który nazwaliście „Stałą Everetta”. Nie wiecie, jaki jest jej sens, nie wiecie, do czego służy. Już panu tłumaczę, profesorze. Stała Everetta to potencjał kreacji. Ona stoi za wielkim wybuchem i za niespodziewaną inflacją,

której nie potraficie wyjaśnić. Ona odpowiada za powstanie życia, za prawa fizyki i wszelkie kształty świata. Strzeże nieoznaczoności. Wszechświat to jedna wielka potencjalność, w której wszystko może być i nie być równocześnie, lub może przyjmować wiele postaci. Po latach badań, dalej nie potrafiliście powiedzieć, co decyduje o kształcie wszechświata, o jego istnieniu. Ale odkryliście kiedyś ciemną materię odpowiadającą za to, że wszechświat w ogóle trzyma się kupy. A Stała Everetta jest odpowiednikiem ciemnej materii dla potencjalności, profesorze. Tym, co sprawia, że cokolwiek w ogóle może się wydarzać.

– No dobrze – dyskusja wyraźnie uspokajała Hasneka. Zagrożony śmiercią czy nie, gdy pozwolono mu snuć teorie i dyskutować o nich, znajdował się na swoim terenie. – Przyjmijmy, że to prawda, że rzeczywiście tak jest. Jak ma się do tego świadomość?

– A dlaczego wykształciliście język, profesorze? Dlaczego dwunożne małpy nauczyły się używać narzędzi? Po co człowiekowi inteligencja? Stała Everetta używa optymalnych rozwiązań. Kiedy wykształciło się zarzewie świadomości i inteligencji, sięgnęła po nie. A może inteligencja wykształciła się w niej, a wy jesteście jej pochodną? Nie wiem, nie poznałem tak dobrze waszego wszechświata.

– Naszego wszechświata?

– Nie jestem Stałą Oka Cyklonu, profesorze. Jestem Stałą dzisiejszego wszechświata Innych. Pewnego dnia wtargnęli oni do mojego wszechświata w wyniku awarii chronokrętu. Nie zorientowali się. To było podczas pierwszej chronowojny, Stała Everetta nie była jeszcze znana. Wpadli w mój wszechświat, a on natychmiast zareagował. Moja świadomość narodziła się w odpowiedzi, dostosowując wszechświat, cały wszechświat, profesorze, do nich. By się nie przestraszyli i żebym mógł ich zbadać.

– Przebudowałeś cały wszechświat? – zawołał profesor.

– W jednej chwili. Jedną myślą. To nietrudne, kiedy jest się Logosem i taka jest twoja natura. W ten sposób, ale tylko w ten, poniekąd, stworzyłem wszechświat. Trudno mnie nazwać bogiem czy choćby demiurgiem. Przebudowałem wszechświat i siebie na wasze podobieństwo.

– A jaki był wcześniej?

– Nie wiem. Stała nie miała świadomości, nie miała więc i pamięci. Jestem pewien, że on też nic nie pamięta, prawda Chłopcze?

– On? – profesor spojrział na dziecko. Chłopak wydawał się zakłopotany.

– Ja. A co? Jest, jak mówi. Nic nie pamiętam. Po prostu nagle stałem się. Zaraz po tym, jak tamci od człowieka...

– Tianowicza – odpowiedziała Tana.

– No. Jak tu wtargnęli. Poznać wszystkie ich myśli i historię – to było nic. Ale byłem ciekaw. Dlatego... Obserwowałem ich. Eksperymentowałem.

– Chłopak jest Logosem? – nie potrafił uwierzyć Hasnek. – Wydaje się taki...

– Naiwny? – dokończył kapitan. – Profesorze! Nie słuchał mnie pan albo nie zrozumiał! Chłopak ma niespełna tysiąc lat! W pewien sposób istniał od zawsze, ale brak mu wiedzy i doświadczenia. W każdej chwili, kiedy tu rozmawiamy, obejmuje myślą i uczuciem miliardy gwiazd, całą przestrzeń tego wszechświata. Ale jesteście jedynymi ludźmi, jakich widział na oczy, chyba że stworzył sobie jakichś na boku...

– Nie wpadłem na to – przyznał Chłopak. – A mogę?

– Lepiej nie. Nawet ja bym się nie odważył, choć wiem więcej od ciebie. Profesorze, wedle mojej miary, ale także i waszej, to jest dziecko. Nawet on tak uważa. Nie przypadkiem przybrał taką postać. Proszę mnie zrozumieć, jesteśmy wszechwładni, ale ograniczeni. Możemy jedną myślą zgasić wszystkie gwiazdy, ale ogranicza nas odziedziczona przez was psychika, wasze pragnienia i słabości. Jesteśmy Stałą Everetta, jesteśmy Logosem, jesteśmy zagubieni niewiele mniej od was. Potrzebowałem pańskich obliczeń, pańskiej teorii, żeby odnaleźć tego chłopca, którego szukałem niemal od chwili powstania. Czy pan rozumie? Powiedziałem, że jestem wobec pana, wobec ludzi, bardziej obcy niż Ciszobłysk, który przecież jest biokrętem i postrzega świat na sposób dla ludzi niewyobrażalny. I tak jest! A równocześnie jestem waszą... pochodną?

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał. Hasnek próbował wpasować nową wiedzę do znanych teorii, Tojo starał się przekonać Ciszobłysk, że mógłby jeszcze lepiej poznać jego sposób postrzegania świata. Chłopiec nerwowo kręcił się w miejscu, trzymany za rękę przez tego, który podawał się za kapitana, a Tana wpatrywała się w oczy Samiasa, ignorując gorączkową dyskusję Wspólnoty.

– Biedaku – powiedziała wreszcie. – Musiałeś być bardzo samotny!

– Stąd te poszukiwania! – odgadł Hasnek.

– Niezupelnie – odparł kapitan. – Szukam takich jak ja, by ich ostrzec. Lecz przede wszystkim szukam Logosu Oka Cyklonu. W każdym razie tego, co z niego zostało.

– Logos Oka! Oczywiście! – zawołał podekscytowany Hasnek. – Jak mogłem o nim nie pomyśleć! Co z nim?

– Nie ma go, profesorze. W każdym razie, nie w światach Oka.

– Jak to „nie ma”? – obruszył się Hasnek. – Stałej Everetta nie brakuje!

– Stałej nie. Ale cóż to za stała! Niech pan porówna jej rozrzedzenie z rozrzedzeniem tego, nietkniętego wszechświata! Mnożeniem światów zabiliście swój Logos, profesorze, nim zdołał wam przeszkodzić. Wasza Stała jest bezmyślna, to strzęp dawnej potęgi. Utrzymuje potencjalności, to prawda, choć jeśli będziecie dalej mnożyć światy, może temu nie podołać. Wtedy wasze wszechświaty... no cóż, nie wiem, co się stanie. Nastąpi najpewniej katastrofa potencjalności, może regres wszechświatów do formy pierwotnej, pojedynczej? Nie wiem. Ja szukam Logosu Oka.

– Zaraz, jak może pan szukać czegoś, czego nie ma? Skacze pan po czasie? Ale to bez sensu! Inne wszechświaty! – zgadywał Hasnek. – Ma pan nadzieję, że ukrył się w innych wszechświatach! W światach Zero!

– Nie! – wtrąciła się Tana. – Startowe Oko! Szukasz Startowego Oka Cyklonu!

– Biorę pod uwagę obie możliwości. Ale Startowe Oko to mogłoby być to.

– Startowe Oko. Znowu mnie wyprzedzacie – poskarżył się Hasnek.

– Wiesz już, o co chodzi, Karolu, ale nie chcesz przyjąć tego do wiadomości – wzruszyła ramionami Tana. – Bronisz się. Ale to nieuniknione. Oko Cyklonu nie jest światem pierwotnym, nie może nim być. Stała Everetta tutejszego świata, jedyne prawdziwego świata pierwotnego, jaki znamy, nie kłamie.

– Stałe mogą przyjmować różne wartości dla różnych wszechświatów startowych – burknął Hasnek.

– Nie, Karolu, nie mogą. Przestań się opierać i uwierz w to w końcu. Oko Cyklonu jest światem pochodnym. I rząd, a przynajmniej niektórzy jego członkowie, wiedzą o tym.

– Wiedzą? Skąd to wiesz?

– Wspólnota, Karolu. Podglądaliśmy Iwana, monitorowaliśmy jego biocomputer. Iwan nie zaatakował nas dlatego, że oszalał. Biocomputer zareagował na słowa, które sugerowały, że ktoś może odkryć tajemnicę Oka, że jest na jej tropie. Wyłączył Iwana i przeszedł w tryb bojowy, żeby pozabijać wszystkich świadków. Podejrzewaliśmy coś takiego od dawna, dziwiła nas fałszowana pamięć strzępojaźni, cenzura nakładana na wspomnienia. Odkrywaliśmy tajemnicę, ale dopiero tutaj znaleźliśmy dowód.

– Dla mnie zachowanie Iwana to nie dowód, co najwyżej poszlaka. Znacznie silniejszym dowodem jest rozcieńczenie Stałej! Mówisz – dodał po chwili – że to nie był on? Że to... maszyna?

– To był on, w chwili, gdy powstrzymał cios, który miał pana zabić – odpowiedział za Tanę Samias Kodi Vau. – Musiał być niezwykle człowiekiem. Cały czas się opierał.

Tana miała na ten temat własne zdanie, nie odezwała się jednak. Widziała, jak podziały na Karola słowa kapitana.

– Wszystko pięknie – znowu przerwał Tojo. – Pozwólcie jednak, że wrócę do mojego pytania: co teraz? Co z nami będzie? Poznaliśmy od cholery tajemnic. Oko Cyklonu nie jest pierwotnym światem, Stała Everetta jest inteligentna, świadoma i niemal wszechmocna, światy spontaniczne istnieją, a gdzieś tam ukrywa się okaleczony bóg ludzkości. Mam uwierzyć, że pobłogosławisz nas na drogę i puścisz do domu?

– Nie, tego nie mogę. Prawdę mówiąc, planowałem przekształcić wasze wspomnienia, a potem na zawsze odciąć dostęp do tego świata. Oczywiście, za twoim pozwoleniem, Chłopcze. Ale zmieniłem zdanie i mam dla was propozycję. Przyda mi się odmienne spojrzenie w poszukiwaniach, no i w nauce Chłopca. Proponuję wam wspólną wyprawę.

Zastanówcie się. Bylibyśmy nowym, prawdziwym Okiem Cyklonu, czymś, wokół czego kształtują się losy wszechświatów.

– A kto odrzuci propozycję...

– Straci część pamięci.

– My się zgadzamy – odpowiedziała natychmiast Tana. – Ruszamy z tobą. Musimy jednak nawiązać kontakt ze Wspólnotą w Oku. Prędzej czy później i tak będziesz musiał się przed nią ujawnić.

– „Muszę” to niebezpieczne słowo – powiedział Samias Kodi Vau. – Ale przemyślę to.

– Ja też chcę wyruszyć z wami – zgłosił się Hasnek. – Muszę zweryfikować to, co dzisiaj usłyszałem! I nie pozwolę sobie na usunięcie pamięci!

– I ja – przyłączył się Tojo. – Chcę wizji i objawień, jakich nie znajdę nigdzie indziej i z nikim innym.

Samias Kodi Vau skinął głową.

– A zatem niech tak będzie.

## IX

Przed startem, kiedy wszyscy pozostali tłoczyli się już niecierpliwie wewnątrz lądownika, Samias Kodi Vau i Chłopiec wyszli jeszcze spojrzeć na groby. Chłopiec sprawił, że pokryły się kwiatami.

– Będziesz musiał mnie nauczyć, jak zachować siebie po opuszczeniu domu – powiedział. – Boję się, że zniknę, jeśli opuszczę mój wszechświat. Albo że on zniknie, jeśli go zostawię.

– Nikt nie zniknie i nic nie zostawisz. Zawsze tu będziesz. To, co podróżuje, to tylko... emanacja, drobne oszustwo. Nauczę cię jednak, jak podkraść siłę z cudzych wszechświatów, bez tego życie mogłoby być trudne.

– Myślisz, że on gdzieś tam jest? Ten kaleki Logos, o którym mówiłeś?

– Mam nadzieję. Widzisz, on był pierwszy.

– To znaczy starszy od ciebie?

– Wiek nie ma znaczenia, gdy istniejesz mimo czasu. Pierwszy, to znaczy, że on mógł być wcześniej od ludzi. Albo że jego świadomość wykształcała się i ewoluowała razem z nimi. Jest prawdziwy.

– A my nie?

– My jesteśmy... pożyczeni, pochodni. Uczynieni na obraz i podobieństwo, być może jego. Nie wyobrażasz sobie, jak wiele moglibyśmy się od niego nauczyć!

– Pod warunkiem, że żyje.

– Pod warunkiem, że żyje.

– A jeśli będzie... no wiesz, tępy?

– Reanimujemy go.

– Jak?

– Skoro mnożenie wszechświatów rozrzedza nas, osłabia i pozbawia świadomości, może dałoby się odwrócić ten proces?

– Och, ty! – Chłopiec zerknął na lądownik. – Ludziom się to nie spodoba!

– Przekonamy ich. Z naszą pomocą mogą zagospodarować jeden, dwa wszechświaty i w nich się pomieścić. Niepotrzebne im tysiące. Mogą wędrować po tym, co nazywają światami spontanicznymi, i je zasiedlać. Nie muszą nas ranić.

– Ranić?

– Każdy świat pochodny to część wyrwana z ciebie. Nigdy niegojąca się rana. Czujesz wszystko tak, jak czujesz w tej chwili w sobie, ale nie odbierasz tego jako pełni, ale jako ból. Niekończący się ból. Ja mam trzydzieści takich ran i z trudem nad tym panuję. Wyobrażasz sobie, jak musi się czuć Logos Oka, z tysiącami ran?

– Uuuch. Dzięki, że mnie ostrzegłeś. Musisz nienawidzić ludzi!

– Nie. Są rozpaczliwie nieświadomi. Kłótlivi, czasem prymitywni, czasem groźni... Gdyby znali tajemnicę bólu, jaki potrafią nam zadawać, znaleźliby się wśród nich tacy, którzy spróbowaliby to wykorzystać. Ale tak naprawdę właściwie ich nie zauważałem. Ot, byli. Inni pomagali mi, z Ciszobłyskiem się zaprzyjaźniłem. Ale w większości... Byli dla mnie obcy, nie rozumiałem ich i nie miałem potrzeby ich rozumieć.

– Coś się zmieniło?

– Ja się zmieniłem. Ciszobłysk mnie zmienił. A potem i on – Samias Kodi Vau wskazał grób Iwana.

– Zwierzolak? Naprawdę? Bo próbował wszystkich pozabijać?

– Bo próbował się przed tym powstrzymać. On, przebudzona Tana i odmieniony Tojo. Zmienili się, otworzyły się przed nimi nowe możliwości, a jednak wciąż, tak samo jak wcześniej, wolą wierzyć, niż rozumować, podążać za marzeniami zamiast rozsądkiem. Jest w tym coś ujmującego. A przecież zmieniają się przy tym... A ja obserwowałem te zmiany. Nawet ten zwierzolak, o którym mówisz z takim lekceważeniem. Ja ich nie rozumiem, Chłopcze. Zdumieli mnie tutaj, wszyscy troje. Jest w nich potencjał, którego nie obejmuję. Pomogą mi, nam obu, wiele się nauczyć i zrozumieć przed spotkaniem z Logosem Oka Cyklonu. Ty już się uczysz.

– Masz na myśli to? – Chłopiec wskazał grób Tianowicza, któremu wreszcie pozwolił umrzeć. – Głupio mi. Mógłbym ich odtworzyć, wiesz?

– Właśnie to. Nie odtwarzaj.

– No wiem, nie będą tymi samymi...

– Nie. Zrób to dla siebie. Powstrzymaj swoje możliwości. To jest nauka, jakiej mogą udzielić nam ludzie. Lekcja ograniczeń.

– To nie brzmi najlepiej.

– Nie brzmi – zgodził się Samias Kodi Vau.

Zmierzył Chłopcu włosy zupełnie ludzkim gestem i spojrzał na lądownik, gdzie zniecierpliwiona Tana poddała się wreszcie i zwinęła na posłaniu, by już bez lęku śnić wspomnienia strzępojaźni.

*Paweł Majka*



**Dawid Juraszek** – urodził się dwadzieścia dziewięć lat temu, z czego prawie dwadzieścia osiem spędził w Bielsku-Białej, a ponad rok w Chinach. Po kilkunastu latach prób literackich, zainspirowanych m.in. wczesnym kontaktem z „Małą Fantastyką”, a potem „Nową Fantastyką”, ów rok okazał się dla niego przełomowy. Jak mówi, gdyby nie on, nie miałby materiału na debiutanckie opowiadanie *Skala Która Sprowadza Ciebie*, opublikowane jesienią 2005 roku w antologii *Bez bohatera*, ani na równoległy papierowy debiut publicystyczny, artykuł o służbie zdrowia *Przychodzi Chińczyk do lekarza* w „Dzienniku Polskim”. Od tamtego czasu jego opowiadania, artykuły i eseje pojawiały się na łamach m. in. „Science Fiction, Fantasy & Horror”, „Nowej Fantastyki”, „Czasu Fantastyki”, „Lampy”, „Polityki” i „Poznaj świat”.

### **O fantastyce i pisaniu:**

Do dziś Chiny – i szerzej Daleki Wschód – biorę na warsztat najchętniej. Dowodem opowiadania o Xiao Longu, stanowiące w zamierzeniu element *Białego Tygrysa*, powieści kipiącej chińską symboliką i ujętej w ramy tradycyjnych chińskich prawideł formalnych. Natomiast całym Orientem, a dokładniej fantastycznie przetworzoną epoką podbojów Czyngis-chana, zajmuję się w cyklu awanturniczo-heroicznych opowiadań o Cairenie.

Jak jednak pokazuje choćby *Rzyg*, nie ograniczam się jedynie do tej tematyki. Nie ograniczam się także do tylko jednego z podgatunków fantastyki – próbowałem swoich sił w zarówno w fantasy, jak w science fiction i grozie. Nie trzymam się również kurczowo „klasycznego” pisania: w *Skrypcie opowiadacza z epoki* podjąłem się wiernego naśladownictwa średniowiecznych opowieści chińskich, opowiadanie zaś o nieśmiałości jutra *Twarzą w twarz, czyli sześć dni z (nie)pewnego życia*, zawarłem w sześciu zdaniach – i na sześciu stronach.

Zanim nadeszła dla mnie „epoka druku”, zmagalem się z problemem znalezienia pomysłu zdatnego na upragniony debiut. Teraz zmagam się z problemem znalezienia czasu na przekucie w tekst tych wszystkich pomysłów, które przychodzą mi do głowy. Są pośród nich rzeczy bardzo różne, tak pod względem treści, jak i formy. Są teksty rozrywkowe, których pisanie sprawia mi czystą przyjemność, i są rzeczy poważniejsze, przynoszące satysfakcję innego rodzaju. I nie wszystkie fantastyczne. Bo choć fantastyka jako metoda twórcza przyszła do mnie naturalnie, jako gatunek, z którym obcowałem najczęściej na etapie kształtowania się mojej świadomości literackiej, to jest przecież tylko jednym z wielu narzędzi do wyrażenia siebie i opisania świata.

**Dawid Juraszek**

## **Rzyg**

*...byłbym nie postrzegł niczego, gdyby nie przypadek. Wracać zwykłem z wyziewni dopiero po zmierzchu, ale tego dnia gnoju dowieziono mniej, gdyż wielu zbierarzy ujawniono i wydano za wały Grodu, tedy parę kołowrotów trzeba było zwolnić. Przyszedłem właśnie, gdy żona ślady uprzątała. Gniew mnie wziął, bo niczego aż dotąd nie wiedziałem, wierzyłem jej i powodów nigdy nie miałem podejrzewać. Żal też zdjęła mnie wielka, czego wstydę się i za co o wybaczenie proszę. Znając wszak powinności swe...*

Spytek podniósł głowę znad wielokrotnie zdrapywanego, nieledwie prześwitującego płata skórznicy i wgapiał się przez ościeże na pagórek pocięty grządkami grochowego pola. Broniący się od wydalenia robotnik nagle przestał jawić mu się chytrym kłamcą, a zaczął łatwownym prostaczkiem. Przecież i on żony całymi dniami nie widywał, a wróciwszy do domu, kładł się znużony, ledwo co z nią rozmawiając. Wątpliwość w głowie nie powstałaby mu jednak, gdyby Olsza ostatnio nie popatrywała nań przeciągle. Czy była to radość, że wreszcie wrócił – czy złość?

Zacisnął powieki, przetarł oczy pięściami, wstał od stołu. Nawał płatów z zeznaniami domagał się uwagi, ale Spytek odwrócił się i poszedł w kąt izby, gdzie z powalanej polepy sterczał przerdzewiały wód. Stanąwszy jak najdalej, by nie zachłapać nogawic, nachylił się i pociągając miarowo za skrzypiącą dźwignię, zmoczył w wodzie kudłaty łeb. Wiedział, że goniec patrzy nań teraz z przerażeniem wymieszonym z podziwem, ale śledczego nie ciekawił osąd sługi. Puścił dźwignię, zaczerpnął do ust cennej, acz stęchłej wody i wyprostowawszy się, rozkoszował się łaskotaniem strużek ciekących po plecach.

Liczba płatów nie zmalała, ale kościana pieczęć zdawała się jakby lżejsza. Spytek wahał się tylko chwilę. Łacno odpędził bzdurne myśli, robotnik przestał jawić się „zwyczajnym prostaczkiem”. Nie należał do biedoty, a Gród potrzebował środków. Zresztą, powinien był lepiej pilnować żony. Pieczęć uderzyła o skórznicę, zostawiając odbicie kopcia. Słabe, ale

wymowne. Jeśli zalecenie zostanie uznane, jeszcze dziś robotnik wyląduje z żoną na Podgrodziu. O ile wcześniej jej nie zatłucze.

– Odnieś – mruknął Spytek, wskazując gońcowi opieczętowane płyty. Było ich mniej, niżli powinno, ale nadrobi się jutro. – A rychło!

Kiedy ucichł odgłos pięt na ubitej glinie, Spytek narzucił lekki niebieski przybór i przypasał odznakę śledczego tak, aby móc natychmiast ją podnieść. Wyszedł, nie patrząc ku śledczym z sąsiednich izb.

Mijając róg budynku, bezwiednie wyciągnął dłoń ku grochowym tyczkom. Śledczemu nikt nie śmiałby zwrócić uwagi. No, może członek Najznamienitszej Rady. Ale nawet gdyby Radzca zauważył chciwie wyciągnięte ku strączkom palce Spytka, pewnie nie rzekłby nic. Po co, skoro grochu po prostu nie było – z powodu upałów i braku rąk do roboty zagony od dawna stały odłogiem.

Nieliczni przechodnie sunęli przygarbieni tuż przy ogaconych gliną ścianach. Spytek pochylił głowę, kiedy słońce wychynęło zza strzechy, promień raził oczy przywykłe do półmroku izby. Pochylił wzrok tylko po to, by zobaczyć pod ścianą plamę rzygowin. Nachylił się i dotknął – były jeszcze ciepłe. Zacisnął szczęki, poderwał głowę i rozejrzał się. W głębi ulicy kroczyła powoli odbywająca przepisowy obchód dwójka.

– Strzeżcy! Tu! – huknął, wyciągając w górę odznakę. Podbiegli gorliwie, ale to nie uchroniło ich przed wściekłym kopniakiem.

– Gdzie to łazicie, psiekrwie! – wrzasnął. – Ktoś rzygał tu ledwo co, a wyście się przechadzali, po strzechach spoglądali! Szukać mi go zaraz!

Mamrocząc przekleństwa, patrzył, jak dwójka rzuca się w pościg. Nie mieli żadnej możliwości znalezienia sprawcy, jeśli znów nie zaczną rzygać, ale wystarczy, jeśli wbiją sobie do głów, by zawsze mieć oczy szeroko otwarte. Potoczył wzrokiem po udających obojętność przechodniach i ruszył dalej.

Wąska uliczka ustąpiła wkrótce miejsca rozległemu przestworowi pod Świątynią Wzgórną. Zwykle pełen był ław, z których ludzie z całego miasta sprzedawali mięso, jarzyny, jaja, łojówki i wszystko to, czego wyrobem się trudnili. Ale odkąd nie stało kupujących i sprzedających, odkąd zbiory przejmować zaczęła Rada, odkąd wielu bało się wychodzić z domostw, przestwór opustoszał. Obecnie korzystali zeń jedynie świątynnicy. Jak teraz.

Naga skalna opoka, zwieńczona kamiennymi zabudowaniami świątynnymi, odcinała się ostro od otaczających ją pagórków pokrytych uprawami. Tylko od strony przestworu na szczyt prowadziła stroma dróżka.

Świątynnicy w długich białych przybiorach udawali się właśnie na kolejny ze swych pochodów. Łuczywa ledwo pełgały w popołudniowym słońcu. Będą chodzić z nimi po mieście, dopóki ostatnia pochodnia się nie wypali.

– Oby deszcz nie spadł, obyście zdechli z pragnienia...

Złorzeczenia marniał pod nosem łysy jak kolano dziadek. Kuśtykając przez przestwór, wygrażał pięścią odległym świątynnikom. Spytek zrazu się najeżył, ale widząc nikczemną postać, udał, że nie słyszy. Miał do roboty rzeczy ważniejsze.

I poważniejsze.

Jeśli Olsza...

Nie czekając, aż wszyscy świątynnicy zejdą na przestwór i ruszą z pochodniami między domy, zanurzył się w cień wąskich uliczek. Przy jednej z nich znajdował się jego dom. Mimo wielu lat śledzenia nie dorobił się jeszcze lepszego miejsca. Ale jeśli wysiedli wystarczająco wielu przestępców, i dla niego w końcu coś się znajdzie... Olsza tak czekała na ten dzień.

A może wcale nie.

Przyśpieszył kroku. Choć nakazywał sobie myśleć rozsądnie, podejrzenia w jego głowie potęgowały się, wywołując niezdolny zamęt. Jeszcze ta uliczka, jeszcze skręcić tutaj... Już.

Podszedł do drzwi. Wiedział dokładnie, przez którą szparę po wykruszonej glinie do wnętrza wpada najwięcej światła. Nachylił się i zajrzał do izby. Szczęściem płachtę odsunęto na bok. Wnętrze było jaśniejsze niż zwykle, odkąd odsłonił otwór w strzesze. Szybko omiół wzrokiem leże, wyściełane zgniecionymi grochowinami. Żony nie było. Spojrzał ku wyjściu na tyły, skąd dochodziło gdakanie. Poczuł, jak rozkołatane serce zaczyna się uspokajać. Przecież nie krzątałyby się przy kokoszach, gdyby...

Gdakanie rozległo się głośniejsze, w wejściu pojawiła się Olsza. Gieźło miała ułożone, w ręku ścierkę. Uśmiechnął się i już miał wchodzić, kiedy kobieta pochyliła się nagle i dziwnie jęknęła.

Poczuł, jak włos jeży mu się na głowie.

Olsza rzuciła ścierkę i chwyciła się za brzuch. Chwilę mocowała się z sobą, by wtem odwrócić się i ruszyć z powrotem na tyły. Zatrzymała ją trzeszczenie drzwi. Obróciła głowę.

Spytek patrzył na żonę bez słowa.

– Witaj – szepnęła wreszcie, prostując się z trudem. Błady uśmiech wypełził jej na usta. – Polewka jeszcze nie gotowa, ale może podplomyk zjesz z surowym jajkiem...

Pokręcił głową i powoli wkroczył do środka. Olsza zagryzła wargi i podeszła do paleniska. Palnik wyziewowy był beczynny, odkąd z powodu niedostatku wody ograniczono kisenie gnoju. Spytek stanął i patrzył, jak żona nachyla się, by podsycić żar pod kociołkiem.

Wstrząsnęło nią raz i drugi, ale nie wydała z siebie dźwięku. Uważnie spozierał, jak drżącą dłonią wsuwa gałązki między niewygasłe szczapki. Czekał, czy dmuchnie.

Ale Olsza wyprostowała się i sięgnęła na półkę po łyżkę.

– Dmuchnij, bo zagaśnie – mruknął.

Zamarła, nie patrząc w jego stronę. Widział dokładnie, jak stara się głęboko, lecz cicho oddychać.

– No, dmuchnij.

Pochyliła się, zamknęła oczy. Wbił wzrok w jej skupioną twarz.

Wargi Olszy rozchyliły się, zar rozbłysnął. Wyprostowała się i z uśmiechem ulgi spojrzała na męża.

Ale on nie odwzajemnił spojrzenia. Patrzył na upuszczoną ścierkę. Nie sprzeciwiła się, kiedy podszedł i podniósł strzęp starego wdzenia.

Szmata cuchnęła rzygowinami.

Z zaciśniętymi zębami i ściśniętym sercem zostawił Olszę w izbie i poszedł na tyły, do kokoszy. Słońce chyliło się już ku zachodowi, promienie omijały wąski podwórzec. Zbyt wiele razy widział już jednak rzygowiny, by nie dostrzec ich śladów nawet w półmroku, wśród kurzych odchodów.

Kiedy wrócił, Olsza siedziała na leżu, zakrywając usta dłońmi. Spomiędzy zaciśniętych powiek ciekły łzy. Stał nad nią i uniósł odznakę śledczego.

– Wedle mocy od Najznamienitszej Rady użyczonej, ja, Spytek, syn Dobka, śledczy, powziąwszy wiedzę o występku...

Reszta jego słów utonęła w jękach rzygającej Olszy.

\* \* \*

Suchy wiatr smagał twarz Spytka. Ciepłe podmuchy niosły woń Grodu. Nie zapowiadały ochłodzenia. W nieubłaganym upale topniały nadzieje na nadejście deszczu, ale susza przecież musi kiedyś się skończyć. Może ten wiatr przywieje ze sobą chmury?

Śledczy otworzył oczy. Powoli zapadał wieczór, rozpalano co drugie uliczne świecidło wzywowe, wieżyczki potężnego kamiennego wału migotały ogniskami. A on wciąż czekał na orzeczenie. Westchnął niecierpliwie i wstawszy, zaszeleścił butami po porastającej wzgórze, zrudziałej trawie. Strzeżca przechadzający się przy ostrokołe poniżej odwrócił się i poprawił na ramieniu łuk. Spytek zazgrzytał zębami. Gdyby tak wywiedzieć się o imię zuchwalca i po powrocie...

Jeszcze mocniej zacisnął szczęki.

To, że nad jego przypadkiem obradowała sama Rada, było dobrym znakiem, ale śledczy i tak nie mógł opędzić się od złych myśli. Wiedział doskonale, jak szybko za wałem znikali wszyscy urzędnicy, którym udowodniono ukrywanie zbrodni. Na jego korzyść przemawiało tylko, że sam ujawnił występki. Oraz to, że Gród ostatnimi czasy stracił wielu mieszkańców, w tym także urzędników. Spytek był śledczym niższego stopnia, ale tacy ostatnio także byli w cenie.

Zaklął głośno, a potem jeszcze raz, już ciszej, kiedy nędzny strzeżczyna spojrzał znacząco w jego stronę.

Wszystko przemawiało na korzyść Spytka, o czym więc Radcy tyle rozprawiali nad zeznaniem? Przecież nawet nie powstało mu w głowie, żeby ukryć zbrodnię żony, przecież osobiście wydalili ją z miasta!

Wrócił na ławę, ale nie mógł spokojnie usiedzieć. Wyjął spod wdzenia krzesidło i jął zabawiać się tryskaniem iskier, choć trawa była sucha jak wiór. Troska o własną skórę wyparła zeń na pewien czas myśl o żonie, ale teraz wątpliwości wróciły. Nie pytał, co zrobiła, ona też nie próbowała niczego wyjaśniać, tylko łyzy łały jej się ciurkiem spod powiek. Kiedy patrzył, jak opustnia z Olszą wędruje w dół, za wał, nie wiedział, czy chce, by podgrodzianie przywitali ją pocieszającym tuleniem, czy raczej bezlitosnymi kopniakami. Kiedy uniosła twarz i popatrzyła na męża, odwrócił się bez słowa, choć na usta cisnęło mu się pytanie: Jaki straszny czyn popełniłaś, że Czterolicy ujawnił go światu?

I co w ogóle działo się z grodzianami?

To już nie było pytanie do Olszy, lecz do takich jak on śledczych. I do Radzców. W ostatnich miesiącach najgorsza od niepamiętnych czasów susza zbiegła się ze znacznie częstszymi niżli zwykle zbrodniami mieszkańców. Spytek nie miał pojęcia, jakie straszliwe przestępstwa popełniali, ale prawda pozostawała prawdą – ujawniających zbrodnię znaków od Czterolicego było ostatnio więcej niż kiedykolwiek. Większość cierpiała na rzyg, co kazało podejrzewać, że popełniają podobną zbrodnię. Nie tacy jak Spytek łamali już sobie głowę nad tym, jaka to mogła być przewina. Wstępnym wyjaśnieniem była kradzież wody, ale nie tylko przypadek Olszy kazał Spytкови sądzić, że nie o to chodzi.

– Radzą.

Pomłost podszedł niezauważony.

Chowając krzesidło, Spytek spojrzął pytająco na przełożonego. Starszy mężczyzna o sumiastych wąsach wzruszył ramionami.

– Dziesięciu postanowiło. O czym, tego mi nie wiadomo, ale skoro jeno dwóch zostało już do przekonania, to orzeczenie powinno zapaść wnet.

Spytek skinął głową. Kolejny pochód świątynników schodził ze Wzgórnej Świątyni nieść otuchę, ale i niebezpieczeństwo pożogi. Tym razem udawali się ku północnej części miasta, gdzie znajdowała się wyziewnia. Oby nie mylili się, wierząc, że Czterolicy odegna groźbę wybuchu.

Pomłost wciągnął powietrze. Spytek zamarł. Nie chciał odpowiadać na żadne pytania, nie chciał niczego potwierdzać ani niczemu zaprzeczać. Wiedział jednak, że Pomłostowi odpowiedzieć będzie trzeba. Nawet przy korzystnym orzeczeniu Radzców to od zaufania przełożonego zależeć będzie, jakie zajęcie dostanie Spytek. I czy nie będzie go sobie szukał sam.

Ale Pomłost nie zdążył zadać pytania. Z wnętrza budynku dobiegło wołanie. Spytek poderwał się i, odpędzając złe myśli, wszedł za przełożonym do siedziby Najznamienitszej Rady.

Przechody wypełniała ciemność. Spytek wyczuwał, że w mijanych przejściach czają się wydalcy, najlepsi z grodzkich strażców, o dołączeniu do których niegdyś marzył. Czekali na znak, żeby wziąć winnego ze sobą. Przejął go chłód.

W izbie obrad jeszcze paliły się łożówki i unosił się zaduch, ale urzędował już tylko woźny. Na widok Spytka podniósł płat skórznicy i powoli odczytał treść orzeczenia.

– Wedle mocy od Najznamienitszej Rady użyczonej, ja, Żywych, syn Straża, woźny, ogłaszam orzeczenie: winien.

To rzekłszy, począł gasić kopzące świeczki. Izba pociemniała. Spytкови pociemniało w oczach.

Czekało go zesłanie do Podgrodzia.

Za plecyma Spytka stanęło bezszelestnie trzech wydalców. Mężczyźni w długich szarych przybiorach i głębokich nakrywniach na głowach zdarli ze skazańca przybiór śledczego, zostawiając go w bezrękawym wdzieniu. Potem dwaj ujęli go pod ręce i poprowadzili na zewnątrz.

Pomłost ulotnił się bez śladu. Pewnie krył się gdzieś w mroku przechodów siedziby Rady, zdjęty strachem, by nie dołączyli go do podwładnego. Zbrodnia kaziła całe otoczenie. Inaczej Spytek nie zostałby zesłany do Podgrodzia za przestępstwo żony.

Szarpnął się, sprawiając tylko, że wydalcy chwycili go jeszcze mocniej. Przecież nie miał na sumieniu żadnej zbrodni! Czemu Rada uznała go za winnego? Przecież nawet nie rzygał!

Szarpnął się ponownie. Tym razem zdołał wyswobodzić jedno ramię. Nie na długo jednak. Jęknął, kiedy obie ręce boleśnie mu wykręcono, a idący z tyłu wydalca wpił mu palce w kark i przemocą pochylił głowę w dół. Wyszli z siedziby i ruszyli ku wrotom. Spytek zobaczył jeszcze buty strażcy, któremu tak niedawno chciał pokazać, kto tu rządzi.

Przygotowany na taką okoliczność wóz stał już zaprzężony w wychudłego wołu. Spytka pchnięto, padł na twarz. Uderzenie na chwilę go zaćmiło. Dwóch wydalców usiadło po jego bokach, trzeci wskoczył na kozioł. Wóz ruszył.

Spytek powoli przekręcił się na plecy i otarł z krwi rozbity nos. Ostatnie blaski dnia zdążyły już zniknąć, po nocnym niebie rozsypały się gwiazdy. Pośród skrzypienia wozu skazaniec próbował pozbierać myśli, znaleźć jakieś rozwiązanie, ulżyć swojej doli.

Nic z tego. Niechybnie już niebawem znajdzie się na Podgrodziu. Wśród zbrodzeni.

Może spotka żonę?

Jeśli w ogóle jeszcze żyje.

Zacisnął zęby. A może Olsza była niewinna? Ale przecież rzygała! On za to nie rzygał, a też uznano go za winnego. Bez żadnych podstaw, bez żadnego...

Przecież nawet nie miał majątku wartego zagarnięcia!

Uderzył dłonią w dno wozu. Wydalcy odpowiedzieli błyskawicznie: dobrze wymierzony kopniak wydusił z płuc Spytka resztki powietrza. Skazaniec zmrużył powieki i znieruchomiał. Jeśli chciał przeżyć podróż...

Tylko po co?

Żeby przekonać się, czy Olsza mu wybaczyła?

Zdusił jęk. Nic nie było jak trzeba. Czy ktokolwiek mógł wydawać zbrodniczych bliskich, skoro jego samego nie chroniło to przed wydaleniem? Jak można było wydalać za wały kogoś, kogo zbrodni Czterolicy nie ujawnił dolegliwym znakiem?

Zmełł w ustach przekleństwo i otworzył oczy. Wypełnione mrokiem nakrywnie podrygiwały do wtóru kolebiącego się wozu. Wydawały się puste, jak gdyby pod szorstką tkaniną nikogo nie było.

Zebrał w ustach ślinę i splunął.

Wydalca nie zdążył jeszcze otrzeć z niewidocznej twarzy plwociny, kiedy jego towarzysz już raz i drugi zasadził Spytkowi solidnego kopniaka. Jeśli jednak spodziewał się, że jeniec się uspokoi, grubo się pomylił.

Spytek, zamiast lec zbolały na wozie, poderwał się i wymierzył mężczyźnie cios pięścią w brzuch.

Wrzawa kazała powożącemu strzeżcy odwrócić się. Widząc bijatykę, zatrzymał wołu i podbiegł na tył wozu.

Jenca trzeba było powstrzymać od popełnienia kolejnej zbrodni.

\* \* \*

Ciemność podrygiwała miarowo. Spytek próbował rozejrzeć się po otoczeniu. Daremnie. Oszołomiony, wyczuwał, że jest ciągnięty po ziemi, że rzyci i nóg przed podłożem nie osłania już podarte wdzenie i nogawice, ale skąd i dokąd go wleczono, nie umiał ustalić.

Spróbował unieść półprzymknięte powieki, ale rozwierały się niechętnie, jakby sklejone. Wreszcie wyswobodził z odpornej mazi lewe oko i uniósłszy głowę, spojrzął przed siebie.

W prześwicie między wrotami mignął w mroku wóz zaprzężony w chudego wołu. Podwórzec oświetlało kilka pełgających świecideł. Pod ostrokołem przechadzały się zbrojne postaci.

Znajdował się w strzeżnicy, skąd wydalonych spuszczano za wał, do Podgrodzia.

Pozwolił głowie opaść w tył. Wydalca włożył jenca za spętane dłonie. Przed nim w mroku ginęły zarysy pozostałych dwóch. Spytek dopiero teraz odczuł ból rozcinanych szorstkim powrozem nadgarstków, dartej chropawą ziemią skóry, obitej twarzy, skopanego brzucha. Gdyby takie obrażenia uznać za oznakę zbrodni, to popełnił zbrodnię.

Zbrodnię przeciwstawienia się władzy.

Zdławił w sobie chęć wyrwania się, stawienia oporu. Po pierwszej próbie stracił przytomność. Drugiej mógł nie przeżyć. A nie o to przecież chodziło.

Szarpnęło. Spytka wciągnięto do wieży, z której szczytu schodziła na dół opustnia. Zaraz zaczynały się skąpo oświetlone łuczywem kamienne schody, wijące się kręto ku wierchołkowi. Trzeba było wstać, zanim wydalca go do nich dowlecze.

– Czekał – jęknął, potrząsając rękoma. – Sam pójdę.



Mężczyzna przystanął i odwrócił się. Patrząc przez mrok w niewyraźny zarys nakrywni, Spytek zastanawiał się, czy to jego oplwał? A może walnął w brzuch? Wiedział tylko, że wleczenie ciężaru po podwórku było wystarczająco męczące, żeby zniechęcić każdego do wciągania go po schodach.

Wydalca szarpnął powrozem, wyciskając z ust skazańca syk bólu.

– Wstawaj!

Spytek nie kazał sobie dwa razy powtarzać. Przekręcił się na bok i podniósł z trudem. Ledwo zdołał się wyprostować, wydalca odwrócił się i pociągnął jeńca ku schodom.

Spytek zagryzł wargi i posłusznie udał się za nim.

Stare schody wytarły setki i tysiące stóp, które wydeptywały drogę na górę od niezliczonych lat. Utrudniało to wspinaczkę, ale dawało poobijanemu Spytкови łatwy powód do częstego potykania się i zwalniania pochodu. Wydalca szarpał powróż bezlitośnie, ale niepostrzeżenie zostawał w tyle – wreszcie dwóch pozostałych strażców oddaliło się wystarczająco daleko. Skazaniec nie mógł już dłużej zwlekać, od wierzchołka wieży dzieliło go zaledwie kilka zakrętów schodów. Zebrał wszystkie siły, sprężył się w sobie – i szarpnął za powróż.

Wydalca, który podnosił właśnie nogę do kolejnego stopnia, ze zduszonym okrzykiem runął do tyłu, wypuszczając z ręki postronek. Spytek zapał się o ścianę, kiedy mężczyzna przelatował obok. Gdy ten z ciężkim jękiem upadł plecyma na schody, skazaniec ugiął nogi i skoczył, mierząc skórzanymi podeszwami w szyję strażcy. Mężczyzna w ostatniej chwili usunął się z drogi, uderzenie stóp o schody ozwało się głucho w ścianach wieży. Spytek stęknął.

Wydalca nie czekał, aż przeciwnik pozbiera się po nieudanym natarciu, tylko mocnym uderzeniem pięści w tył kolana wybił go z równowagi. Spytek zachwiał się, uderzył potylicą o ścianę. Zamroczyło go, lecz na wpół przytomnie odepchnął się i runął na podnoszącego się wydalcę. I tym razem strażca nie zdążył krzyknąć. Stęknął tylko, pod ciężarem skazańca zarył o kamienie podłogi. Spytek nie czekał, aż wydalca otrząśnie się z oszołomienia. Jeden cios skrępowanych powrozem pięści, potem drugi, potem następny. Twarz strażcy zalała się krwią, kończyny znieruchomiały.

Spytek żwawo odpał wydalcę, odbierając mu nóż. Ostrzu przydałaby się oselka, ale powróż ustąpił. Rozerwawszy nieprzytomnemu przybior na piersiach, pod spodem znalazł wdzienie podobne do tego, które miał na sobie. Trzeba było się śpieszyć. Narzucił na grzbiet przybior wydalcy, związał mu ręce resztką postronka i schowawszy swą twarz pod nakrywnią, z trudem powłókł bezwładne ciało ku górze. W samą porę, bo za zakrętem wyrosła przed nim mroczna postać.

– No, rychlej – fuknął wydalca i odwrócił się, podejmując wspinaczkę.

Wnet dotarli do końca schodów. Za każdym razem, kiedy Spytek wchodził na szczyt wieży, Podgrodzie zdawało mu się większe. Za dnia końce ginęły zwykle w oparach i dymie,

ale nocą światła ognisk i pochodni rozpościerały się het, dokąd sięgnąć okiem. Widok miasta tkwiącego pośrodku tego ogromu przynosił zwątpienie. Nie dziwota, że tylko przedstawiciele władzy mieli prawo wstępu na wały.

Nie czekając na polecenie, przywłókł nieprzytomnego wydalcę na skraj wieży i zanim którykolwiek ze strażców podszedł z pomocą, wepchnął go na opustnię. Odwrócił się, by stanąć przy wysięgniku prowadzącym ciągną.

Ale miejsce było już zajęte.

– Idź do kołowrota – mruknął wydalca.

Spytek nie dał nic po sobie poznać i podszedł do kołowrotu, gdzie czekał już drugi strażca. Pochyliwszy głowę, ujął uchwyt. Jego towarzysz przestawił zapadkę, koło zgrzytnęło. Gruby powróż zajęczał, opustnia jęła opadać ku Podgrodziu.

A potem stało się coś, czego Spytek chciał uniknąć, kiedy stawał przy wysięgniku.

Leżący na opustni mężczyzna jęknął i podniósłszy się chwiejnie, wyjęczał coś do wydalczy.

Gdyby zamiast niego stał tam Spytek, użyłby pięści.

Ale stał przy kołowrocie.

Wydalca puścił wysięgnik i odwrócił się do kołowrotu.

– Łapaj go! To skazaniec!

Strażcy nie trzeba było dwa razy powtarzać, ale i Spytek nie był głuchy. Zanim wydalca zdążył złapać go za przybior, dostał cios w twarz, po którym zachwiał się i przewrócił. Skazaniec puścił się biegiem ku krawędzi wieży. Stamtąd chciał zeskoczyć na wał i dalej, między miejskie zabudowania.

Ale strażca przy wysięgniku był szybszy niż jego towarzysz od kołowrotu. W kilku susach dopadł rozpędzającego się Spytka, zgiętym ramieniem opasał mu szyję. Miotając się i zlorzeczając, upadli na ziemię.

Spytek wymierzył napastnikowi kilka ciosów łokciem, ale bolesny uścisk nie chciał zelżeć. Wydalca nieubłaganie zaciskał ramię. Spytek czuł, że jeśli się nie udusi, to trzaśnie mu kark. Wił się i szamotał, ale na próżno.

– Ratuj, kto może! Ucieczka!! Ucieczka!! – wydarł się spod kołowrotu dochodzący do siebie strażca. Spytek jął szarpać się jeszcze raźniej. Wtem pośród łomotu krwi w uszach i czerwonego mroku pod powiekami błysnęło. Przypomniał sobie.

Drżącymi rękoma sięgnął do pasa, gdzie zawiesił był nóż.

Wydalca spod kołowrotu podniósł się i biegł pochylony ku związanym walką mężczyznom, kiedy do jego wołania dołączył ryk cierpienia jego towarzysza. Skazaniec wbił napastnikowi ostrze w bok. Uścisk zelżał, Spytek szarpnął się i wyrwał. Drugi wydalca zaklął i dobył swego noża. Jednak nie zdążył go użyć. Okrwawione ostrze utkwilo mu między żebrami.

Od strony schodów dobiegł tupot. Na jednej z sąsiednich wieżyc dorzucono do ogniska, płomienie oświetliły ciemne postaci biegnące po wale w stronę krzyków. Skazaniec rzucił się ku krawędzi wieży.

W mroku trudno było ocenić odległość, mogła wynosić od czterech do sześciu łokci. Trzeba było zaufać pamięci. Spytek przerzucił nogi przez krawędź, zawisł na rękach, potem skoczył. Upadając, przewrócił się na bok, ale i tak mocno się obił. Pomimo mdlącego bólu zerwał się i opuścił nogi po licu wału.

Stąd na dół było jeszcze dalej. I jeszcze ciemniej. W mroku rysowały się zabudowania stojące pod samym częstokołem strzeżnicy.

Wyteżając wzrok, znów spuścił się na rękach, a potem runął w dół.

Ciemność załamała się pod nim z trzaskiem. Jakieś kołki boleśnie poraniły mu nogi, w plecy uderzyła niewidoczna kłoda. Wyrwał się z uwięzi połamanych drewn i puścił biegiem przed siebie. Za nim coraz jaśniej błyskały płomienie i głośniejsz rozbrzmiewały krzyki pogoni.

Biegł co tchu, błogosławiąc w myślach suszę, niepozwalającą zasilać miejskich świecideł ze zwykłą mocą. Przemykał mrocznymi uliczkami, byle prędzej, byle dalej. Jakiś czas towarzyszyła mu wrzawa pogoni, potem umilkła. Podążał w głąb Grodu, póki mięśnie nie zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Wreszcie wpadł do jakiegoś zaułka i wczółgawszy się pod kupę odpadów roślinnych wystawionych dla zbierarzy, spoczął zdyszany.

Nie miał złudzeń.

Prędzej czy później go złapią.

Pobił, może zabił ludzi.

Ale pomimo wszystkich ran i sińców, wracały mu siły.

\* \* \*

W głuchej nocy szelest wysuszonych łądyg niósł się daleko. Odgłos kroków też. Ale te ostatnie dawno już oddaliły się ku innym częściom miasta. Obława zgubiła ślad.

Spytek wstał i otrząsnął się z paprochów. Ostrożnie wyjrzał z zaułka. Blado jarzące się odległe świecidełka nie wyławiały z mroku nikogo. Spojrzał po sobie. Pogoń na pewno wiedziała, że zbieg nosi przybiór wydalcy Z drugiej strony, właśnie dzięki znamiennej nakrywni mógł uchodzić za członka obławy, którego lepiej nie tykać. Nawet zatem, jeśli ktoś go zoczy...

Zaklął, oparł się plecyma o ścianę. Dłuższą chwilę badał swe obrażenia. Poza strachem ściskającym za gardło, wszystko zdawało się być w jak najlepszym porządku. I właśnie dlatego niczego nie rozumiał. Jego przewina, choć spowodowana niesprawiedliwością orzeczenia Radźców, była niezaprzeczalna. Powinien był już dawno dostać krwotoku, skręcać się z brzusznych boleści czy owrzodzieć. Tymczasem dolegliwości ograniczały się tylko do

ran odniesionych w walce. Przez lata obcowania ze śledzonymi i skazanymi nigdy nie uznawał samych takich przypadłości za znak od Czterolicego.

Czemu zatem Czterolicy nie chciał ujawniać jego winy?

Chwycił się za skronie. Wiedział, że popełnił zbrodnię, napadając na wydalców, prawdopodobnie ich zabijając. A przecież Czterolicy nie zsyłał nań słabości, choć pewnikiem wiedział o jego czynach.

Spytek uderzył potylicą o ścianę, ból sprawił mu krótką radość. O ile bardziej wolałby cierpieć teraz bolesne znaki! Przynajmniej kiedy zostanie schwytany, będzie wiedział, za co otrzyma karę. Ale teraz miotał się i cierpiał – tylko – w duchu, nie wiedząc, co myśleć.

Tylko...

...czy należy...

...wątpić w mądrość boskich wyroków?

Skoro Czterolicy wiedział o jego przewinach, a jednak nie ujawniał ich światu, nie ukarał boleścią, to czy mogło to znaczyć, że mu przebaczył?

Wstrzymał oddech.

Może Czterolicy miał go za niewinnego?

Ale czy Spytek mógł być winny? Przecież jako jedyny z rodzeństwa nie zapadł w niemowlęctwie na dolegliwości, zdradzające, że w dorosłym życiu dopuści się zbrodni. Jego trzy siostry i dwaj bracia nie umieli jeszcze mówić, kiedy wydalono ich do Podgrodzia. Jemu jednemu dane było dożyć dorosłości i wieść uczciwe życie. Sam wydalili za wał dwoje własnych niegodnych potomków, zanim Olsza nie stała się jałowa.

...niewyraźna postać ojca, zatroskana twarz matki...

Zacisnęła powieki. Jakiś zetlały obraz stanął mu przed oczyma, palące uczucie w piersiach i mdlące zawroty głowy wypłynęły z mglistej przeszłości, z najgłębszych zakamarków wspomnień.

Może to była zapowiedź bezeceństw, których się dziś dopuścił? Lecz skoro jego rodzice ukryli przyszłe przestępstwa syna, czemu dożyli spokojnej śmierci? Jeśli ukrywali siebie nawzajem, czemu Czterolicy nie poraził ich jednocześnie? Przecież i takie domy bywały, w których znak zbrodni spadał na całą rodzinę. Spytek nie raz i nie dwa zalecał w takich sprawach wydalenie.

Lecz czy wszystkie sprawy były tak jednoznaczne? Czy mógł rzec, że sam zawsze orzekał rzetelnie? Czy przez kilka lat śledzenia nie popełnił błędu? Skoro nawet Radzcy się mylili, jak w jego przypadku...

A może rozpoznali znak Czterolicego, zanim się pojawił? Może chcieli uprzedzić to, czego miał dokonać już wkrótce?

Sapnął, zazgrzytał zębami. To wszystko nieważne, nieważne! Czterolicy nie ukarał go teraz, a jedynie teraz się liczyło. Czyżby wciąż mógł wrócić do zwykłego życia?

Tylko czy Radzcy go uniewinnią? Już raz pokazali, że nie potrzebują znaków od Czterolicego, by skazać.

Ale i oni nie cierpieli za zbrodnię niesłusznego orzeczenia.

A może właśnie cierpieli? Skąd mógł to wiedzieć?

Czemu w takim razie nie cierpieli też wydalcy, męczący niewinnie skazanego?

Może dlatego, że był jednak winny?

Spytek wykrzywił twarz. To było ponad jego siły. Nie wiedział, dokąd iść, co począć, gdzie się obrócić. Potrzebował kogoś, kto doradziłby, jak postępować, pomógł wybrać. Kogoś stojącego z boku, niespętanego prawidłami przepisów ani obowiązkami Najznamienitszej Rady.

Świątynnika.

Żercy.

Spytek uczeplił się tej myśli z całej mocy. Znalazł oto powód ucieczki przed wydalcami. Ucieczki zbrodniczej.

A może całkiem przeciwnie.

\* \* \*

Wiatr ciągnący przez przestwór pod Wzgórną Świątynią wzbijał gryzący pył. Spytek wahał się przez chwilę, któredy zdążyć ku opoce. W dzień oczywistym wyborem byłby cienisty chodnik pod pierzejami, ale nocą to pozbawiony świecideł środek przestworu dawał lepszą osłonę. Poprawił na głowie nakrywnię i ruszył szparko przed siebie.

Im bliżej była Świątynia, tym usilniej Spytek roztrząsał, jak dokładnie dostać się do środka. Jako pozorny wydalca mógł ruszyć główną dróżką, niby to z ostrzeżeniem dla świątynników przed groźnym zbiegiem, ale przyciągnąłby w ten sposób zbyt wielką uwagę. Mógł też, nawet po nocy, zgłosić się jako ochotnik na świątynnictwo. To by jednak najpewniej oddaliło go skutecznie od najmędrszych głów Świątyni, których niegodzien byłby prędko spotkać. Mógł wreszcie, zgodnie z prawdą, podać się za szukającego ratunku zbiegłego skazańca. Jednak to naraziłoby Świątynię na spór z Radą, podobny przypadek bowiem trzeba byłoby ujawnić, nie mógł być więc pewny, czy taką pomoc w ogóle by otrzymał.

Pozostawało przedrzeć się do środka drogą tajemną.

Zbieg jął skręcać. Nie zdążał już ku wątlej dróżce, wijącej się na szczyt skały, lecz zboczył ku obrzeżom opoki. Tam zaczynał się znany nielicznym przechód. Gdyby Spytкови udało się dotrzeć nim niepostrzeżenie do Świątyni, mógłby jeszcze tej nocy odwiedzić któregoś Żercę i prośbą lub groźbą skłonić go do rozmowy.

Szalony pomysł! Ale on podjął już postanowienie i nie zamierzał go odmieniać.

Posady opoki, wyrastające nagle z powierzchni przestworu, spowijał mrok. Tu nie stały świedidla. Ze względów obrzędowych świątynnicy stronili od wyziewu tak samo stanowczo, jak od wody studziennej. Przyświecali sobie łożówkami i pochodniami, pili zaś tylko gromadzoną pieczołowicie deszczówkę.

Zsunął nakrywnię na plecy i zadarł głowę do góry. Spozierając ku ciemniejszym od nieba zrębom skał, usiłował przypomnieć sobie, czy słyszał kiedyś o naznaczonym świątynniku. Rzecz jasna zwykli mieszkańcy nie mieli prawa powziąć żadnego podejrzenia względem najczcigodniejszych grodzian, ale śledczym, także tym niższego stopnia, wiadomo było więcej. Spytek pamiętał zamieszanie, jakie wywołały zbrodnicze znaki u kilku – nigdy nie dowiedział się ilu dokładnie – członków Rady. Rzecz przeszła niezauważona przez zwykłych ludzi. Być może dolegliwości świątynników znane były zatem tylko najwyższym urzędnikom? A może wieść o nich wcale nie opuszczała szczytu opoki?

Nasłuchiwał dłuższą chwilę, czy pośród ciemności nie rozlegnie się odgłos zdradzający obecność strzeżcy. Pokrzepiony, wyteżył wzrok i wyciągnął przed siebie ręce w poszukiwaniu kępy krzewów, osłaniającej na pozór nieprzebyte zwałisko szczytujących się głazów. Rozgarnął je najłagodniej jak umiał, ale i tak zaszeleściły donośnie. Zamarł, znów nasłuchując. Upewniwszy się, że jest sam, wślizgnął się w powstały rozziw i przykucnął pośród kamieni. Drogę znał tylko ze słyszenia, niełatwo mu przyszło wymacać wejście do szczeliny. Pomógł mu dopiero wionący z głębi chłód, niezwykajny o tej porze roku.

Zamknawszy oczy – i tak teraz nie mogły mu się na nic przydać – zanurzył się w głuchą czerń.

Wąski przechód piał się stromo i jednostajnie. Schody wykuto wysokie, ich ostre krawędzie – znak, że rzadko tędy przechodzono – pokrywała śliska maź. Spytek na próżno szukał po ścianach jakichś uchwytów; za całą podporę miał nagą skałę. Stapał powoli, świadom niebezpieczeństwa. W tych okolicznościach o śmierć było łatwo.

Wtem lewą dłonią wpadł w pustkę. Zatrzymał się chwiejnie, tłumiąc przekleństwo. Zmysły już wcześniej ostrzegały go o jakiejś zmianie w otoczeniu, ale dopiero kiedy jedna ze ścian po prostu się skończyła, zbieg pojął, że obok otwiera się przepaść. Przechód wytyczono widać przez ciąg pierwotnych jaskiń.

Spytek opuścił rękę i namacawszy krawędź stopnia, podjął wspinaczkę na czworakach. Nie trzeba mu było wyciągać ręki, by wyczuć, że wciąż towarzyszy mu pustka. Próbował opanować przyspieszający oddech.

Przechód poszerzył się nagle, stromizna złagodniała, po obu bokach Spytka na powrót wyrosły ściany. Odetchnął, otarł pot z czoła. Przepawa już kosztowała go sporo sił, a przecież jeszcze nie dotarł do końca.

Nie wiedział, jak długo przyjdzie mu drapać się pod górę. Pamiętał jedynie, że ujście przechodu znajduje się za świątynnym wałem – ale w której części Świątyni, tego powiedzieć nie umiał.

Wtem z góry dobiegł przytłumiony dźwięk.

Spytek wstrzymał oddech.

Nad jego głową ktoś się przechadzał.

I mówił.

Skalny pogłos paczył słowa, ale zbiegowi dość było wiedzieć, że dotarł niemal do końca wspinaczki. Teraz trzeba było poczekać, aż rozmówcy się oddalą, i opuścić przechód.

Nie czekał długo. Głosy umilkły, zapadła cisza. Wspiął się jeszcze kilka stopni i dotarł do skalnej płaszczyzny. Wyprostowawszy się, wyciągnął przed siebie ręce. Wyczuł litą skałę. Ale przecież przechód nie mógł kończyć się ślepo! Postąpił dalej. Po chwili miał pewność, że stoi przed drzwiami.

Ale uśmiech spełził mu z twarzy, kiedy nie znalazł żadnego zamka, żadnego uchwytu. Pchnął drzwi – na próżno; wpijając w nadpróchniałe drewno paznokcie, próbował pociągnąć je także ku sobie. Również nadaremno. Obszedł całe pomieszczenie, innej drogi jednak nie było. Tłumiąc gniew, naparł na drzwi z całej siły. Zachrobotwały i przegięły się jakby o palec na zawiasach. Zachęcony, nacisnął jeszcze mocniej, nie dbając o zgiełk. Drzwi nie chciały jednak dalej ustąpić, skrzypiały tylko coraz cienie.

– Cóż tam! Hejże!

Zbieg skamieniał, ale za późno. Po drugiej stronie ktoś wiedział już, że Świątynia ma gościa.

– Ja ci dam włązić siłą! – burczał czyjś rozsierdzony głos, zbliżając się ku drzwiom. – Lepiej czmychaj, skądś przyszedł!

Spytek odsunął się pod ścianę. Drzwi drgnęły, zazgrzytały i uchyliły się, wpuszczając do ciemnicy snop światła. Zbieg osłonił oczy, a głos rozległ się ze zdwojoną mocą.

– Po coś tu przylazł, żebracze jeden, spokój jeno zakłócasz!

Nie widząc innego wyjścia, Spytek już zamierował prosić świątynnika o wybaczenie, kiedy kopniak w brzuch skutecznie pozbawił go oddechu.

– Tuś jest – sapał napastnik. Nie mówiąc już nic, jął okładać „żebraka” razami, jednocześnie spychając go ku schodom. Uderzenia padały gęsto i boleśnie.

Spytek odzyskał wreszcie oddech i odwinął się nagle, godząc napastnika łokciem pod żebro. Ciosy ustały na chwilę. Wystarczyło, by zbieg odwrócił się i stanął ze świątynnikiem twarzą w twarz. Oczy tegoż rozszerzyły się ze zdumienia. Widząc zagniewanego mężczyznę w sile wieku, w oczach świątynnika błysnął strach. Nie tak zazwyczaj wyglądali żebracy. Już otwierał usta do krzyku, kiedy zamknęła je w uścisku dłoń Spyka.

Ale świątynnik też nie należał do łamagów. Zetknąwszy się z oporem, rychło przedzierzgnął strach w gniew. Zaczęła się milcząca szamotanina.

W świetle dochodzącym od uchylonych drzwi błyskały zęby i białka oczu. Spętany krzepkim uściskiem Spyka mężczyzna nagle pchnął go na ścianę. Plecy zbiega gruchnęły o skałę, z jego ust dobył się jęk. Ręce zwolniły uchwyt. Świątynnik złapał głowę przeciwnika w

dłonie, spróbował uderzyć nią o skałę, sam jednak oberwał kolanem w krocze. Spytek oburącz chwycił mężczyznę za kark, dociągnął i kolanem zmiądzzył mu nos. Niespodzianie świątynnik ujął go za kolana i szarpnął. Padli obaj.

Spytek znalazł się na dole, w potylicę wraziła mu się krawędź pierwszego stopnia schodów. Poczul uścisk świątynnika na szyi, na jego twarz spadały ciepłe i ciężkie krople krwi. Na darmo wił się i próbował ugodzić napastnika. Ten zapamiętał się już tak wielce, że zapomniał już nawet o wzywaniu pomocy. Tracący zmysły Spytek przewalił się kurczowo w bok i pchnął.

Świątynnik stracił równowagę. Na łeb, na szyję poleciał w dół schodów. Chrupot i łomot odbiły się ponurym, coraz dalszym echem.

Spytek też zjechał kilka stopni w dół, ale rychło zaparł się rękoma, przełamując słabość, i zatrzymał się. Nie miał czasu do stracenia. Jeśli w ślad za nieszczęsnym świątynnikiem drzwi przekroczą kolejni, będzie mógł ratować się już tylko ucieczką w dół. A skoro wspinaczka schodami była niebezpieczna, to zejście nimi w pośpiechu było samobójstwem. Podniósł się ciężko, podszedł do drzwi i wyjrzał.

Przed sobą miał długie, zastawione ławami pomieszczenie. Podziemia Świątyni? W świetle paru łożówek nie było widać nikogo. Na wprost otwierał się mroczny przechód prowadzący na górę.

Drzwi miały z tej strony uchwyt i zasuwę. Zbieg zamknął je za sobą i ruszył do wyjścia. Nie znał układu budynków Świątyni, mógł tylko mieć nadzieję, że znajdzie izbę sypialną jednego z najwyższych świątynników, a dążąc ku niej, jednocześnie zmyli świątynnych strzeżców. Po cichu, po ciemku zaczął wspinać się po schodach.

Z każdym stopniem wyraźniej docierało doń szaleństwo całej wyprawy.

Chciał oto odszukać Żercę, by ten wyjaśnił mu szczegóły grodzkiej sprawiedliwości. Ale jeśli Żerca nie zechce? Jeśli wezwie pomocy? Jeśli wreszcie Spytek go nie znajdzie, albo po drodze wpadnie w ręce strzeżców? Strach ciągnął Spytka z powrotem do przechodu. Ale zbieg nie zawracał, wspinał się dalej.

Podwórzec świątynny był ciemniejszy jeszcze niż przestwór u stóp wzgórze. Na darmo próbował Spytek okiem i uchem wyluskać z czerni ludzkie postaci. Podwórzec mógł być równie dobrze pusty, co pełen przyczajonych świątynników. W całkowitej ciszy nawet oddech zdawał się wprawiać pomrokę w drzenie. Zbieg spojrzął po budynkach, piętrzących się pod zasnutym oparem niebem. W oknie najbliższego jaśniało światło. Być może to któryś z Żerców jeszcze nie spał.

Najciszej jak umiał, przesunął się ku ścianie budynku. Dłonią dotknął ościeży drzwi, ostrożnie wymacał uchwyt, pchnął. Ustąpiły. Po chwili był już w środku, piędz po piędzi badając otoczenie. Wreszcie wstąpił na schody.

Całkowitą ciemność rozjaśniła narastająca poświata. Długo nasłuchiwał, nim wychylił głowę zza załomu.



Pełgające płomienie kilku łuczyców rzucały zmienne cienie na ściany długiego na kilkadziesiąt kroków przechodu. Otwory w ścianach prowadziły do izb sypialnych, z niektórych dochodziło chrapanie. Rozświetlone okno położone było znacznie wyżej. Ostrożnie wyminął załom i podjął wspinaczkę.

Kolejne piętro również zatopione było we śnie. Dopiero na końcu najwyższego przechodu, obok pogrążonych w mroku sypialni znalazło się jedno zamknięte pomieszczenie, spod którego drzwi dobywała się blada poświata.

To tu.

Spytka znów dopadła zmora. Huczało mu w głowie. Zostawić całą rzecz i uciekać! Wiedział jednak doskonale, że zaszedł już zbyt daleko. Wstrzymując oddech, narzucił nakrywnię i ruszył na palcach ku drzwiom.

Nie miał pojęcia, od czego zacząć, gdy już wejdzie, co powiedzieć. Mimo rosnącego strachu miał świadomość, że teraz nie było już odwrotu. Jego dola lub niedola czekała za tymi drzwiami.

Wtem dobiegł zza nich czyjś głos. Spyttek zamarł. Świetlny pasek zamigotał, ktoś w izbie gotował się do wyjścia. Zbieg zdążył tylko wskoczyć w ciemność najbliższej izby, kiedy drzwi się otwały.

Róg leża wbił się Spytkowi boleśnie w plecy, ale ani pisnął. Przechoodem przemknął świątynnik. Zbieg nie zdążył dobrze mu się przyjrzeć, lecz sądząc po przybiorze, nie był to Żerca.

Nagle wtargnięcie Spytka nie obudziło śpiącego. Korzystając z osłony ciemności, uciekinier jął zachodzić w głowę, co czynić. Nie słyszał, by ktoś zamknął drzwi na zasuwę, jeśli takową w ogóle miały. Założywszy, że świątynnik był sługą, w izbie przebywał pewno Żerca. Ale jeśli sługa wróci? Jeśli Żerca wezwie pomocy...?

O mało co nie walnął pięścią w niewidoczną ścianę. Już zadawał był sobie podobne pytania. Zagryzł wargi i wyszedł na przechód, a potem pchnął drzwi i wszedł do izby.

Leżący w pościeli świątynnik sięgał właśnie po dzbanek, stojący na ustawionym przy leżu stołku. Złowione w sieć zmarszczek oczy spojrzały ze zdumieniem na nieproszonego gościa, starczo oplamione ramię zamarło niepewnie w powietrzu.

Spytek padł na kolana i pochylił czoło.

– Wybacz – wydusił z siebie łamiącym się głosem. – Wybacz, czcigodny Żerco, że ośmielam się zakłócać ci spokój! Daruj mi tę łaskę, zezwól wygłosić swe troski i nie wzywaj sług, póki mnie nie wysłuchasz!

Na przeciąg chwili zapadła cisza. A potem rozległ się słaby głos.

– Łaskę daruję, a ty z łaski swej zamknij za sobą drzwi, bo moja łaska może nie starczyć, jeśli znajdziesz się na łasce pobudzonych.

Spytek wstał chwiejnie i odwrócił się, by drżącymi rękoma przymknąć drzwi.

– Czegóż może ode mnie chcieć wydalca? – Żerca zmrużył oczy.

– Nie jestem wydalcą – wyznał Spytek, zsuwając nakrywnię i kłaniając się nisko. – Byłem śledczym, zostałem niesłusznie skazany, chciano mnie wydalić, ale uciekłem, bo nie pojmuję, czemu mnie skazano ani czemu Czterolicy nie pokazał mej winy – wyrzucił z siebie jednym tchem.

– Podnieś wzrok.

Spytek wykonał polecenie. W zwiotczalym obliczu oczy starca lśniły niczym rosa. Długo badały poranioną twarz zbiega.

– Zabiłeś wydalcę, którego przybiór nosisz? – spytał na koniec Żerca.

Spytek potrząsnął głową.

– Poraniłem jeno, jak i innych. Ale bardzo być może, że któryś zmarł...

– I znaku żadnego nie masz?

– Nie mam.

Starzec pokiwał głową, a potem chwycił skraj pościeli i szarpnął.

Oczom Spytko ukazało się wychudłe ciało, pokryte ciekącymi wrzodami.

– Przewiny bywają nieukazane, niewinność bywa naznaczona – starzec podciągnął pościel z powrotem, patrząc niewzruszenie w zdumioną twarz gościa.

Spytek przez chwilę poruszał niemo wargami. Po głowie tłukł mu się wciąż obraz owrzodzonego ciała. Wreszcie zdołał przekuć myśli w słowa.

– Czcigodny Żerco, skoroś niewinny, skąd te znaki?

Leżący wydał z siebie dźwięk będący, nie wiadomo, prychnięciem czy westchnieniem.

– Jeśliś jeszcze nie pojął, nie pojdziesz nigdy. To nie na twą głowę. Pierzchaj, zanim wróci mój sługa.

Spytek poczuł, że izba zaciska się wokół niego, że sklepienie zaraz nań runie i pogrzebie na wieki. Żerca zamknął oczy, zdawał się nie oddychać.

Wtem z przechodu dobiegły szybkie kroki. Sługa! Niewiele myśląc, Spytek zerwał się i stanął obok drzwi, tuż przy ścianie.

Po chwili do izby wszedł sługa, dzierżąc dwa dzbany. Na własne nieszczęście spojrzął w stronę czającego się zbiega. Otworzył usta do krzyku, ale nie zdążył wezwać pomocy. Dzbany upadły i roztrzaskały się, kiedy ramię Spytko opasało szyję świątynnika. Szamotanina nie trwała długo, nogi mężczyzny rychło przestały wierzgać. Spytek ułożył przeciwnika na polepie, mając nadzieję, że jeszcze odzyska dech, i spojrzął na leże.

Starzec uniósł już był powieki, ale milczał. Spytek czuł doń za to wdzięczność. Nie zwlekając, odwrócił się i wybiegł.

Jeden ciąg schodów dzielił go od podwórca, kiedy z góry dobiegły odgłosy zamieszania. Zgiełk wzmógł się jeszcze, kiedy zbieg wypadł na otwartą przestrzeń. Okno Żercy nie było już jedynym, w którym jaśniały łojówki. Ktoś domagał się pomocy, ktoś wzywał strażców.

Spytek dopadł schodów prowadzących do podziemnej izby. Szczęściem była pusta. Ścigany tupotem nóg, dobiegającym z podwórca, drapnął ze stołu łożówkę i otworzył drzwi tajemnego przejścia. Ruszył po schodach.

Pot perlący się na jego czole ostygł, owiany chłodem jaskini. Stąpienie po śliskich stopniach wymagało skupienia, a temu nie pomagał ból obitego ciała ani świadomość, że najpewniej cała Świątynia została już pobudzona i wszyscy szukają zbójcy. Spytek zagryzał wargi, wyteżał wzrok. I niestrudzenie zdążał w dół.

Przystanął dopiero, gdy po prawej stronie otwarła się pustka. Płomyk łożówki dobywał z ciemności lśniące wykwity i cudaczne gruzły skalne. W dole między zrębami tkwiło zgruchotane ciało świątynnika.

Zbiegiem wstrząsnął dreszcz. Znow ruszył, byle dalej, byle w dół.

Dopiero gdy już zaledwie kilka kroków dzieliło go od wyjścia na przestwór, nad sobą usłyszał krzyki. Ale to nie miało już większego znaczenia. Rzuciwszy łożówkę, wychynął ze skalnej szczeliny. Nasłuchiwał chwilę, a potem rozgarnął krzewy i wciągnąwszy nakrywnię, ruszył szybkim krokiem przed siebie.

Wiedział, że teraz nie czeka go już wydalenie. Że dla takich jak on jest ostrze, a potem, zamiast spalenia i rozsypania na żalniku w cieniu prawiecznego kamiennego słupa, zatopienie w gnoju. Jeśli chciał żyć, trzeba mu było samemu udać się do Podgrodzia. Tylko jak? Opustnię wykluczał, a bram nie otwierano, odkąd pamiętał. Jedyne chyba opuszczenie się z wału na powrozie było możliwe, ale nie teraz, kiedy wszyscy strażcy i całe miasto poszukiwać będą zbiega, kiedy i wał zostanie wnet silniej obsadzony. Nie pierwszy raz ktoś skazany na śmierć próbował zbiec do Podgrodzia, od przykładowego skonu wołąc upodlenie i życie pośród zbrodzeni.

...niewinność bywa naznaczona...

Dlaczego to on miał ponosić karę? Szukał w sobie winy i znajdował ją w wykrzywionych bólem twarzach, ale pierwiej to Radzcy i wydalcy popełnili wobec niego przewinę, która pchnęła go do zbrodni. A teraz jeszcze pokazało się, że w tym Grodzie, który oczyszcza się, wyrzucając za wał wszystkich ujawnionych znakami Czterolicego, ludzie naznaczeni mogą mieszkać spokojnie, jeśli tylko otoczenie nie ma woli ich wydania. A może Żerca istotnie był niewinny? A Olsza? Tylko po co w takim razie te świątynne pochody? A on sam, czemu jest zdrów, choć wciąż czuje, jak wierzgające nogi tracącego dech świątynnika biją go po kostkach?

...to nie na twą głowę...

Nie patrzył, dokąd idzie, spostrzegł się dopiero, kiedy zapędził się w ślepy zaułek. Miał już zawracać, kiedy posłyszał kroki. Zdażył schować się za załomem lichej chałupy. Droga przebiegło kilku wydalców. Dopiero teraz do jego świadomości dotarło, że z wysokości opoki ktoś dmie w róg na cały Gród.

Mógł liczyć, że w przebraniu wydalcy uda mu się jakiś czas mylić pogoń, ale nie mógł dojść, po cóż podejmować ten wysiłek. Uprzytomnił sobie boleśnie, że koniec końców czeka go albo śmierć, albo ucieczka na Podgrodzie. Żaden wybór.

Drogą przebiegła dwójka strażców. W każdej chwili ktoś mógł zechcieć sprawdzić zaułek. W najlepszym razie zbłąkanego wydalcę dołączono by do pościgu za zbrodzeniem – w najgorszym zaś rozpoznano w nim zbiega.

Zaszyć się gdzieś, przeczekać, może coś się zmieni, może uda się coś wymyślić... Rozejrzał się bez przekonania. Zaułek kończył się wzgórzem porośniętym zieleń. Cennych roślin strzegł chruściany płot, lecz susza sprawiła, że ostatnio strzec nie było czego. Spytek przesadził ogrodzenie i wbiegł po pochyłości. I tu zajrzy w końcu pogoń, ale teraz powinien zyskać trochę czasu.

U wierzchołka stała ława. Zbieg spoczął z ulgą i rozejrzał się po Grodzie. Jak okiem sięgnąć, pałały świedla, opromieniając rozbiegane ludzkie postaci. Róg już ucichł, wykonawszy zadanie.

Dalej, za odległym wałem, gdzie nie sięgały miejskie dźwięki i światła, rozciągało się mroczne i milczące Podgrodzie.

Nie, nie mroczne. W przestrzeni wyrzuconej pradawnymi czasy poza nawias miasta coś migotało, jaśniało, pałało. A czy milczące? Pomagając przy opuszczaniu skazańców, Spytek słyszał przecież odgłosy życia podgrodzian.

...to nie na twą głowę...

Znów spojrzał bliżej, w obręb wałów. Pod czaszką kłębiły się trudne do wypowiedzenia myśli. Niewidzącym wzrokiem wiódł po nieprzeliczonych wzgórzach i budowlach Grodu, w którym spędził cały dotychczasowy żywot. Mógł go tu dokonać. Lub ująć za wały. Trzeciego wyjścia nie było.

Błądzące spojrzenie zatrzymało się na długich budynkach wyziewni przy wale. To tam przerabiano gnój na palne wyziewy, dostarczające miastu ciepła i światła. W bezwietrzne dni cuch zgromadzonych odpadów zalegał w całym Grodzie. Wpaść teraz w łapy wydalcom oznaczało zasilenie gnoju własnym ciałem.

Z pamięci Spytka wypłynął obraz świątynników z pochodniami, wbrew zakazowi prowadzących swój pochód w pobliże wyziewni. Gdyby tłoczone do wodów wyziewy uległy zapłonowi, w powietrze wyleciałoby ćwierć miasta, a przynajmniej sama wyziewnia i wał.

Gród scalałby się z Podgroziem.

Naznaczeni wymieszaliby się z czystymi, zbrodniarze z niewinnymi.

Nie trzeba byłoby uciekać.

Spytek poczuł, że gdzieś pod jego czaszką coś drętwieje. Jak przebyć dzielące od wyziewni wzgórze, jak ocalić ludzi od śmierci w wybuchu, jak doprowadzić do niego, samemu uchodząc z życiem, pytał rozum, ale Spytek już nie słuchał.

...to nie na twą głowę...

Zerwał się i puścił przed siebie.

Gnający Spytka wicher nie pozwalał zważać na względy ostrożności. Dwójkę strażców, na którą wpadł, rozciągnął na ziemi ciosami pięści, niebaczemu wydalcy skrzył kark, nim ten wezwał pobratymców. Zwykli grodzianie nie śmieli stawać mu na drodze, choć pędząc w pojedynkę na wskroś przez wzgórza i drogi, pewnikiem wzbudzał podejrzania. Raz tylko jakiś dziad próbował wzbronić przejścia, ale dzikość błyszcząca w oczach biegnącego zamknęła mu usta.

Szybciej, niżli się spodziewał, znalazł się na wzniesieniu górującym nad wyziewnią. Pod sobą miał zabudowania odgródzone wysokim wałem. Ostatni raz rzucił okiem po okolicy. Na wschodzie rysowały się pierwsze pręgi rodzącego się dnia.

Być może słońce wstanie już nad Grodem odmienionym nie do poznania.

Zbiegł w dół, wypatrując ruchu na podwórcach wyziewni. Niczego nie dostrzegł. Niedostatek wody spowodował zmniejszenie obrotów, większość robotników spała lub siedziała w domach.

Pokonawszy wał, przebiegł podwórzec i zapadł w cuchnącą ciemność między budynkami. Znał je, był tu wiele lat temu, kiedy wielu robotników zapadło jednocześnie na ujawniające przewinę dolegliwości. Nieniekajony, wkraól się do wnętrza największego z budynków.

Niewidoczne w ciemności woły, kręcące niemrawo kilka chroboczących kołowrotów, obojętnie przyjęły jego wtargnięcie. Nie inaczej postąpił śpiący gdzieś nieopodal robotnik, którego chrapanie wzbijało się ponad zgiełk. Obszerne wnętrze wyziewni spowijała gęsta od smrodu ciemność. Mimo otworów w powale, nawet w słoneczny dzień panował tu półmrok. Obecność olbrzymich, starożytnych zbiorników z kisanym gnojem, którego wyziewy siłą wołów wtłaczano do zasilających Gród wodów, sprawiała, że na całym obszarze obowiązywał zakaz stosowania ognia.

Który zaraz miał zostać złamany.

– Ktoś ty!

Słowa brzmiały bardziej jak groźba niż pytanie. Spyttek zaklął w myślach. Założył był, że wołów pilnuje jeden człowiek, który właśnie śpi, a przecież bez bata nad sobą zwierzęta stanęłyby w miejscu.

W ciemności przybiór wydalcy nie dawał wymówki. Spyttek na słuch ustalił, gdzie stoi mężczyzna, i wpadł nań z całą siłą. Wymierzył dobrze, ale już powalając przeciwnika na ziemię, poznał, że mierzy się ze zwałistym osiłkiem. W zwarciu rychło stracił początkową przewagę i znalazł się pod spodem. Raz i drugi przypadkowo odbił twarde pięści, ale przed kolejnym ciosem nie zdołał się obronić. Ciemność rozbłysła i zadygotała. Zasłonił twarz, wciąż bezskutecznie próbując wyzwolić się z ucisku. Wtem któryś z wołów zaryczał, chrobotanie kołowrotów przycichło. Osilek wymierzył zbiegowi powalający cios, po którym wstał, i klnąc, jął strzelać z bata.

Spytek pozbierał myśli do kupy i przetoczywszy się, z trudem wstał. Pastuch nadal batożył odporne woły, nieświadomy, że napastnik zdołał już odzyskać siły. Naprowadzany cedzonymi wściekle klątwami, Spytek zaszedł mężczyznę od tyłu i z całych sił pchnął. Wół padł z rykiem i łomotem do przodu, kiedy nieoczekiwana przeszkoda podcięła mu nogi. Krzyk mężczyzny urwał się jak ucięty nożem.

Chrobotanie kołowrotów ucichło. W ciemności nie rozlegało się niczyje wołanie, wół też przestał ryczeć, najpewniej na powrót już stał, poradziwszy sobie z przeszkodą. Spytek był w budynku sam, nie licząc śpiącego mężczyzny.

Którego chrapania nie było słyhać.

Poczuł dreszcz na myśl, że gdzieś czaić się może drugi osiłek, który wiedząc o doli pierwszego, nie będzie zabawiał się w bijatykę na pięści, tylko dołoży zbrodzeniowi pałką. Albo przyprowadzi zastęp robotników.

Nie było czasu do stracenia.

Idąc po omacku ku zbiornikom, sięgnął po schowane pod wdzieniem krzesidło. W drewnianej oprawce zagrzechotały krzemienie. Dosunął zapadkę, zazgrzytały. Teraz wystarczy ścisnąć, a trysną iskry i wszystko wyleci w powietrze.

Wtem coś skręciło go w żołądku. Pochylił się, jedną ręką wsparł o polepę, drugą chwycił kurczowo za brzuch. Walcząc z rzygiem, wypuścił z dłoni krzesidło.

Upadło z ostrym zgrzytem.

*Dawid Juraszek*

**Robert M. Wegner** – debiutował w 2002 r. w 19 numerze „Science Fiction” opowiadaniem *Ostatni lot Nocnego Kowboja*. Następnie było *Ponieważ kocham cię nad życie*, *Honor górala*, *I będziesz murem*, dwa opowiadania tworzące mikropowieść – *Sen przedwiecznych* i *Przebudzenie*; *Światło na klindze miecza*, *Gdybym miała brata* oraz *Wszystkie dzieci Barbie* – wszystkie w „Science Fiction, Fantasy & Horror”.

Mieszka i pracuje na Śląsku, gdzie, jak mówi, przeprowadził się za panią swojego życia, która też zjechała tu z innych stron – „I tak spotkaliśmy się mniej więcej pośrodku drogi”.

### **O fantastyce i pisaniu:**

W najbliższej przyszłości chciałbym poszerzyć cykl opowiadań fantasy, nad którym od dłuższego czasu pracuję, nie rezygnując jednocześnie z płodozmianu, bo ciągnie mnie zarówno do klasycznej SF, jak i do horroru czy thrillera. I oczywiście uważam, że granice gatunków są po to, by je czasem przekraczać, co mam nadzieję pokazałem w *Najpiękniejszej historii...* Myślę, że jest to po trosze odbiciem moich upodobań czytelnicy. Nie mam ulubionej konwencji, cenię dobrą opowieść w każdej formie, niezależnie od tego, czy to SF, fantasy, cyberpunk, horror, powieść przygodowa, historyczna czy psychologiczna. Jednak fantastyka pozwala mi postawić moich bohaterów w sytuacjach ekstremalnych, gdy czasem człowieka od oszalałej z nienawiści bestii dzieli tylko odległość mniejsza niż średnica włosa.

I chyba właśnie dlatego tak ją lubię, za brak ram, za szerokie otwarcie na świat wyobraźni, za możliwość pokazania czytelnikowi rzeczy nowych i starych jednocześnie – bo niezależnie od konwencji, liczba głównych motywów obecnych w opowiadanych historiach nie zmieniła się od tysiącleci. Miłość – nienawiść, dobro – zło, prawość – niegodziwość, i próba odpowiedzenia na pytanie, które chyba odpowiedzi nie ma: co czyni nas ludźmi, dlaczego potrafimy zachwycać się promieniami słońca prześwietlającymi koronę młodego drzewa, i płakać nad losem nieznanym nam osób, których dotknęło nieszczęście, a jednocześnie gromadzić się, żeby popatrzeć na ofiary wypadków. A czasem pozwala napisać po prostu dobrą historię przygodową, w której prawi i szlachetni zwyciężają złych i paskudnych, o co w dzisiejszych czasach coraz trudniej i do czego wielu ludzi, w tym i ja, bardzo tęskni.

**Robert M. Wegner**

# **Najpiękniejsza historia wszystkich czasów**

Miasto było zrujnowane. Nie w taki sposób, w jaki równa je z ziemią nalot dywanowy, ani nie tak, jak tkanę miasta okalecza długotrwały ostrzał artyleryjski. Wojna, która dotarła na jego przedmieścia, była wojną nowoczesną, wojną inteligentnych broni, myślących pocisków, automatycznych myśliwców i robotów bojowych. Taka wojna niszczy miasta jak szalony chirurg, wycinający ze zdrowego organizmu najważniejsze tkanki. Elektrownia, wodociągi, stacje radiowe i telewizyjne, sieć internetowa – padły w ciągu kilku pierwszych godzin. Wielotysięczna masa mieszkańców, pozbawionych prądu, wody i dostępu do informacji, wyciekła z miasta i ruszyła na zachód, pchana na przemian falami paniki i rozpaczliwej nadziei. Byle dalej od nadciągającej armii, byle bliżej do wojsk sojuszników, niosących ratunek i wyzwolenie.

Obie armie dotarły do miasta w tym samym czasie. Jedna otoczyła je od wschodu, druga od zachodu. Ogłoszono zawieszenie broni, niepewne i kruche, i żaden z dowódców nie miał ochoty ryzykować walk. Przedmieścia tylko eksplodowały od czasu do czasu kanonadą, detonacjami niszczonej automatów bojowych, wybuchami dalekosiężnych pocisków. Centrum wojna na razie ominęła.

Centrum zakwitło swoim własnym życiem.

\* \* \*

Dwóch chłopaków i dziewczyna siedziało przed starym, pamiętającym jeszcze czasy Gierka blokiem z wielkiej płyty. Leniwie wystawiali twarze do popołudniowego słońca. Rozmawiali niespiesznie.



– Ten głupek Grewers znów dzisiaj dzwonił. Pytał, czy możemy zdobyć jakieś części rosyjskich Żab. Podobno wczoraj amerykańskie myśliwce rozwały dwie, na południe od rzeki.

Chłopak, który się odezwał, wyglądał na jakieś siedemnaście, osiemnaście lat. Nosił brudne dżinsy, wyglansowane na błysk wojskowe buciory i kamizelkę przeciwodłamkową narzuconą na gołe ciało. Tatuaze pokrywały mu ręce i większość potężnej klatki piersiowej. Jasne włosy ostrzygł na dwa centymetry i postawił na sztorc.

– Nie marudź, Łukasz... I nie psuj nastroju – mruknęła dziewczyna. – Dzisiaj mam imieniny, pamiętasz? Potem będziemy się martwić tym dziadygą.

Przysunęła się do drugiego chłopaka i oparła głowę na jego ramieniu. Tylko się uśmiechnął. Stanowił przeciwieństwo blondyna, szczupły, ciemnowłosy, z oczami jasnymi jak letnie niebo. Za duży o przynajmniej dwa numery wojskowy mundur prosił się o zacerowanie licznych rozdarć, ale właścicielowi najwyraźniej to nie przeszkadzało. Wyglądał na najmłodszego z całej trójki.

– Jutro sprawdzimy, czy coś z nich zostało – mruknął i pogładził dziewczynę po włosach.  
– O ile Grewers poda nam lokalizację. Nie będziemy, tak jak ostatnio, trzy dni łązić jak kretyni po ruinach.

Zamilkł, najwyraźniej uznając temat za wyczerpany.

Ciszę przerwał odgłos kroków.

– Panie komendancie, Bodek właśnie zameldował, że od rosyjskiej strony idzie ku nam jakiś żołnierz.

Ciemnowłosy zmierzył starszego mężczyznę ponurym spojrzeniem.

– Prosiłem, żeby pan mi nie komendantował, panie Marianie.

– Jakiś porządek musi być – na brodatej twarzy przybysza pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Poza tym sam zarządziłeś, Kuba, że jak mamy Ruskich na widoku, to przechodzimy na tryb wojskowy. To i masz „komendanta Jakuba”.

Chłopak delikatnie cmoknął dziewczynę w policzek.

– Wszystkiego najlepszego w dniu imienin, Kasiu. Jaki chcesz prezent?

Uśmiechnęła się lekko.

– Chciałabym, żeby dzisiaj obyło się bez strzelaniny. Nie w moje imieniny.

Zasalutował żartobliwie.

– Tak jest, pani komendantowo! – odwrócił się do przybysza. – Idzie sam?

– Bodek mówi, że prowadzi jakąś dziewczynę.

– Dziewczynę?

– Tak.

Chłopak zmarszczył brwi.

– Dziwne, cholera. Nie dziwne, niemożliwe. Cichy alarm panie Marianie, kobiety i dzieci do piwnic, drużyny bojowe na stanowiska. To może być jakaś podpucha. Łukasz, idziesz?

– Jasne, co tu będę tak sam siedział – blondyn podniósł się z uśmiechem i otrzepał spodnie. Wobec ilości plam, które już je ozdabiały, nie było w tym nic poza gestem przyzwyczajenia.

Dziewczyna zaśmiała się i również wstała.

– To ja sprawdzę, co w szpitalu. Może trzeba będzie moim bohaterom po powrocie przykleić jakiś plasterek.

Jakub już w biegu pogroził jej palcem i pognał do bloku.

\* \* \*

Czworo dzieci siedziało w piwnicznym kącie i prowadziło szeptem ożywione negocjacje. Sprawa była poważna. Chodziło o to, kto dzisiaj zostanie Strażnikiem Światła. Czyli, mówiąc językiem dorosłych, kto będzie trzymał starą latarkę. Dzieci wyglądały na sześć, siedem lat i były zaskakująco czyste i dobrze odżywione jak na życie w oblężonym mieście. Dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Gdyby ktoś zapytał, powiedziałyby, że są sierotami. Ale oczywiście nikt nie pytał. Wszyscy mieszkańcy doskonale o tym wiedzieli.

Negocjacje wchodziły właśnie w fazę walenia się po głowie, gryzienia i drapania. Wszystko w całkowitym milczeniu.

– Co się tutaj dzieje?!

W krąg światła rzucający przez wyszarpywaną sobie latarkę wszedł dorosły. W brodatej twarzy błysnął uśmiech.

– Rycerze Jedi walczą jednym mieczem?

Odpowiedziało mu czworo zdumionych spojrzeń.

– Dobrze, dzieciaki, nie było pytania – westchnął. – Nie możecie rozwiązać problemu latarki w inny sposób? Na przykład losowaniem?

– Oni oszukują – mruknęła szczuplejsza z dziewczynek. – Jak rzucamy monetą, zawsze wypada im orzełek. A oni mówią, że orzełek jest ich, bo są chłopakami.

Mężczyzna obrzucił chłopców bystrym spojrzeniem. Jeden był rudy jak przysłowiowa marchewka, drugi ogolił sobie głowę na łyso. Obaj uśmiechali się bezczelnie.

– Hm... Jakieś dwa tygodnie temu pan Henryk przyszedł do mnie i opowiedział o takich mądralach, co chcieli, żeby im zeszlifował dwie złotówki do połowy grubości. Zrobił to. Skleiliście je razem?

Uśmiechy znikły.

– Szóstka za spryt, jedynek za etykę. Średnia trzy i pół. Oddajcie latarkę dziewczynkom.

Urządzenie, z ociąganiem, zmieniło właścicieli.

– Dobrze – mężczyzna bez ceregieli usiadł na podłodze razem z dziećmi. – Komendant poszedł na miasto sprawdzić, czy Rosjanie nie szykują nam jakiejś niespodzianki, więc mamy trochę czasu. Co chcecie zrobić?

Dzieci spojrzały po sobie, pojawiły się nieśmiałe uśmiechy.

– Opowieść? – zapytał najmniejszy z chłopców.

– Znowu, Marku? Mam ograniczoną liczbę opowieści i nie chciałbym ich zużyć zbyt szybko...

– Prosiimy. Panie Marianie...

– I obiecał pan, że dokończy...

– Tę o królu i królowej – szeptem zakończyła najmłodsza z dziewczynek.

– Hm, tę właśnie? Oczywiście. Obiecałem, więc muszę dotrzymać słowa – dalej z maskowanym uśmiechem narzekał mężczyzna. – A pamiętacie, jak nazywa się ta opowieść?

– Taaak – powiedziały chórem. – *Najpiękniejsza historia wszystkich czasów!*

– Doskonale. Na czym skończyliśmy ostatnio?

– Król zjednoczył kraj i pokonał najeźdźców...

– I zaprowadził pokój...

– ...porządek i sprawiedliwość.

– Dobrze, dzieci – mężczyzna nazywany panem Marianem rozejrzał się, przysunął sobie niewielki taboret i usiadł naprzeciw dzieci. – Tak będzie mi wygodniej. A ty, Niko, co pamiętasz?

– Pokochał królową, i żyli długo i szczęśliwie.

– Doskonale. Długo to może nie, ale szczęśliwie na pewno. Tak szczęśliwie, jak to było możliwe w tamtych czasach.

I zaczął w przerwany miejscu.

– Wszystko zaczęło się komplikować, gdy młody król spotkał na swej drodze samotnego rycerza. Było to dość niezwykle spotkanie...

\* \* \*

Rusek był sam. Nie towarzyszył mu pluton kolesiów, oddział automatów bojowych ani eskadra śmigłowców. Poruszał się ostrożnie, przeskakiwał od jednej kupy gruzu do następnej, rozglądając się na boki z bronią gotową do strzału. Miał AKg-90f, karabinek granatnik podłączony do półprzezroczystej przyłbicy zakrywającej twarz. Oprócz tego nosił ciężką kamizelkę przeciwodłamkową, hełm, naramienniki i nabiodrza, szelki, pas z amunicją, manierkę, plecak. Cały ekwipunek musiał ważyć ze trzydzieści kilo, ale wydawał się go w ogóle nie spowalniać.

Spowalniała go dziewczyna.

Szła kilka kroków za nim, powoli, bezwolnie, letnią sukienkę miała potarganą i brudną, włosy lepiły się od kurzu. Czasem zatrzymywała się na chwilę i rozglądała spojrzeniem osoby tkwiącej w jakimś niewyobrażalnym koszmarze. Żołnierz wtedy też przystawał, nie ponaglał jej, tylko czekał cierpliwie, aż ruszy sama.

– Nie spieszy się – Łukasz zerknął na dowódcę. – Możemy go zdjąć w pół sekundy.

Jakub, ukryty na piętrze wypalanej kamienicy, nie odrywał wzroku od dziwnej dwójki. Z ich powodu wyciągnął z domu dziesięciu ludzi, a resztę postawił na nogi. Teraz wydawało się to grubą przesadą. Ta para nie dożyje wieczora. Jeśli nie zabije ich jakaś mina, z pewnością zrobi to któryś z miejskich gangów. Rozejrzał się, kilku jego chłopaków kryło się w okolicznych gruzowiskach. Lufy automatów ze śmiertelną cierpliwością wędrowały za intruzem.

– Kuba, za taką dziewięćdziesiątkę, jak ma ten gnojek, Staruch dawał ostatnio pięć setek. Jak zdobędziemy sprawny hełm z przyłbicą, dostaniemy drugie tyle. Łatwa forsa.

Żołnierz przeskoczył niski murek i znikł po drugiej stronie. Dziewczyna zatrzymała się jak wryta. Przez chwilę wodziła spojrzeniem po otaczającym ją rumowisku, po czym usiadła na ziemi i znieruchomiła.

Jakub podniósł dłoń. Teraz mogli załatwić obcego, nie ryzykując, że postrzelą dziewczynę.

Żołnierz pojawił się z powrotem, podszedł do niej i przyklęknął. Odłożył broń. Powoli odpiął od pasa manierkę i przyłożył jej do ust. Powiedział kilka słów, delikatnie odsunął włosy z twarzy. Jakub czekał z uniesioną ręką i patrzył.

Tuż obok Łukasz poruszył się niecierpliwie.

– I jak, Kuba? Mamy go zdjąć?

– Niech nikt nie strzela.

Rozkaz poszedł do reszty oddziału.

– I co teraz? – blondyn nie lubił takich sytuacji.

– Porozmawiamy.

– Z nim? Po co?

– Po pierwsze, obiecałem coś Kaśce. Po drugie, myślę, że to dezerter. Pewnie idzie do Amerykanów.

– Więc co? Mamy mu zaśpiewać *Merry Christmas*, czy jakoś tak?

– Niezły pomysł. Chętnie kiedyś posłucham, jak śpiewasz. Ale teraz idę z nim pogadać.

– Ocipiałeś – to było bardziej stwierdzenie niż pytanie. Jakub wzruszył ramionami. Sam do końca nie potrafił powiedzieć, dlaczego to robi.

– Może. Niech nikt nie strzela.

Ruszył. Głośno szurał nogami, wzniesając tuman kurzu i w ogóle robiąc tyle hałasu, ile się dało. Nie zdziwił się więc, gdy wyszedł z kamienicy i zobaczył wycelowaną w siebie broń. Rusek stał między nim a dziewczyną, osłaniając ją własnym ciałem. Dureń – przemknęło Jakubowi przez myśl.

– Ty kto jesteś?

Żołnierz mówił z wyraźnym wschodnim akcentem, ale zrozumiale. Jakub widział tylko dolną część jego twarzy, usta, podbródek, fragment posiniałego od ciemnego zarostu

policzka. Resztę zasłaniał hełm i matowa przyłbica. Dużo by dał, żeby móc spojrzeć obcemu w oczy. Z oczu człowieka, który mierzy do ciebie z broni, można wiele wyczytać.

– Komendant Jakub. Kilku moich ludzi ma cię na muszce, więc lepiej by było, gdybyś nie wykonywał zbyt gwałtownych ruchów, dobrze? Najlepiej, gdybyś w ogóle odłożył broń.

Rosjanin był dobrze wyszkolony. Nie rozejrzał się wokół, nie omiótł lufą okolicznych ruin.

– Moja broń nie lubi walać się po ziemi – mruknął cicho. – Czego chcesz?

Jakub oparł się o najbliższy mur i skrzyżował ramiona na piersi.

– Jesteś na moim terenie. Wszedłeś tu sam, bez kolegów ani bobotów. Prowadzisz dziewczynę, która najwyraźniej nie ma pojęcia, co się wokół niej dzieje. Żyjesz jeszcze tylko dlatego, że na nią nie krzyczysz, nie bijesz, tylko najwyraźniej się nią opiekujesz. Zapytam tylko raz, a potem zdecyduję, czy kazać cię zabić. Co tu robisz?

Rosjanin znieruchomiał na dłuższą chwilę, po czym powoli opuścił lufę broni i ściągnął hełm. Miał krótko przycięte ciemne włosy, prosty nos, czarne oczy. Jakub ucieszył się, że nie widział tych oczu wcześniej. Wyzierała z nich taka wściekła determinacja, że pewnie kazałby go zastrzelić od razu. Profilaktycznie. To, co wziął za zarost, okazało się wielkim siniakiem zdobiącym cały lewy policzek żołnierza.

– Michał Sienkiewicz. Szeregowy. Numer dwa, pięć, osiem, a, zet...

Jakub przerwał mu machnięciem ręki.

– Przestań. My jesteśmy „miejskie szczury”, a nie wojsko. A ty nie poddajesz się do niewoli, tylko walczysz o życie. Dosłownie. Jesteś Polakiem?

Żołnierz skinął głową.

– Z Białorusi.

– I co? Uciekasz do Amerykanów, żeby wstąpić do polskiego wojska i walczyć za ojczyznę? Wzięli cię w żołdactwo, a ty nie chcesz strzelać do swoich? Tak? Myślisz, że ktoś kupi tę historyjkę?

Jakub widział, jak z oczu żołnierza znika wściekłość i gniew. Przyjrzał mu się dokładniej, gdyby nie mundur i broń, obcy wyglądałby jak jego rówieśnik. Może nawet jeszcze młodziej.

– Ja naprawdę...

– I co z tego? Nie jesteś pierwszy. Ale Amerykanie każdego uciekiniera maglują tak długo, aż zostanie mu z mózgu żarcie dla psów. Nasi zresztą też. Bo wszyscy wiedzą, co Rusczy robią z rodzinami dezertów. Więc lepiej przygotuj sobie jakąś lepszą bajeczkę.

W czarnych oczach znów zapłonął gniew.

– Bajeczkę? Masz bajeczkę. Ja nie mam rodziny, jestem z domu dziecka, kogo mi zabiją? Wychowawcę? Srał go *czort*, jeszcze im podziękuję...

Wyglądało na to, że się zaciął i nic więcej nie powie. Wreszcie nabrał powietrza:

– Mój sierżant i trzech innych lubili się zabawić z miejscowymi dziewczynami, bić, gwałcić, katować. Mieli do tego specjalną piwnicę. Porywali je i tak trzymali. Gdy

dziewczyna się im znudziła, wpuszczali tam każdego z kompanii, za kilka rubli, paczkę fajek, butelkę wódki. Dopóki dziewczyna nie umarła – mówił coraz szybciej, coraz gwałtowniej, z coraz wyraźniejszym akcentem. – Mnie chcieli... mi mówili... ty *Paliak*, ty nowy, ty pokaż, żeś nasz. Jak ty jej nie wydupczysz, to my tobie granat do jajek przywiążemy i w pole wypuścimy. No to im pokazałem, bagnetem i kolbą, i... i krzesłem. A potem zabrałem dziewczynę i poszedłem. Do was. Albo Amerykanów. Bo gdzie miałem pójść?

Żołnierz rzucił broń na ziemię i zacisnął dłonie.

– Jak mi nie wierzysz, to chodź – tu i teraz. Na pięści. Pokonasz mnie, to zabijesz i zabierzesz wszystko. Ja pokonam ciebie, przepuścisz dalej. No?

Cofnął się o krok, zostawiając ekwipunek na ziemi.

Jakub uśmiechnął się szeroko. To było tak beznadziejnie głupie, że aż... piękne. Mógłby teraz jednym gestem zakończyć tę farsę. Tylko... cholera, jak miał wrócić do domu i powiedzieć Kaście, że w jej imieniny kazał zastrzelić jakiegoś beznadziejnego romantyka.

– Dobra – oderwał się od muru. – Wygrywa ten, który dłużej ustoi na nogach. Tylko bądź tak dobry i zdejmij kamizelkę. Spowalnia cię i będę miał przewagę.

\* \* \*

– O tak. To naprawdę było zabawne. Ale o ile dobrze pamiętam, chłopcy, wy też zaczęliście znajomość od bójki. Wśród dorosłych nie wygląda to inaczej, czasami po prostu zaczynają walić się po głowach, żeby ustalić, kto jest odważniejszy, mądrzejszy czy przystojniejszy. Podobnie robią szympansy, jeśliby mnie ktoś spytał. W każdym razie, wojownik – będziemy go nazywać pierwszym wasalem, dobrze? – pokonał młodego króla, i to na oczach całej jego świty. Ale, o dziwo, stało się to początkiem prawdziwej przyjaźni. No, resztę opowiem wam już po obiedzie. Pani Maria będzie bardzo niezadowolona, jeśli znów się spóźnicie. Już, już, szybko, zmykajcie. Ja też mam swoje obowiązki.

\* \* \*

Właściwie nic go nie bolało. Z początku. Była tylko dezorientacja i poczucie odrealnienia. I irytujące przeczucie, że coś poszło nie tak.

– Nie ruszaj się – głos Kaśki dochodził gdzieś z góry. – Będiesz miał śliwę jak arbuz.

Coś chłodnego dotknęło jego głowy. Okład. Miał robiony okład. Rusek. Wyzwał go na pięści. Ależ sukinsyn był szybki!

– Co się stało? – własny głos brzmiał, jakby dochodził z głębokiej studni.

– Chciałeś się bić. Chłopaki mówią, że znokautował cię w minutę.

– Pamiętam... psiakrew. Powiedziałem, żeby zdjął kamizelkę, że niby go spowolni. Powinienem mu zamiast tego kazać założyć jeszcze ołowiane buty – nagle coś do niego dotarło. – Żyje?

– Pewnie. Wszyscy słyszeli, jakie było wyzwanie. Solówka i jak wygra, może odejść. Zgodziłeś się. Poza tym podobno jak tylko cię załatwił, natychmiast zaczął robić opatrunek. Pieprzony rycerzyk.

Jakub jeszcze nie podjął próby otwarcia oczu, ale bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak Kaśka kręci z niedowierzaniem głową.

– Nie wiem dlaczego, ale to do niego pasuje. Historia, którą mi opowiedział...

– Wiem. Wszyscy wiedzą – głos jej się zmienił. – Widziałam dziewczynę, którą przyprowadził...

– Są tutaj?

– Aha. Uparł się, że pomoże cię przynieść. Łukasz zabrał mu broń i zabronił kręcić się po domu, ale poza tym nic mu nie jest. Możesz już otworzyć oczy.

Spróbował. Kaśka była przewidująca i okno zasłoniła starą roletą. Mimo to poczuł, jakby dostał w łeb bejsbolem.

– Uch... kurwa – zamknął oczy. – Długo będzie mi się kręcić w głowie?

– Jeśli nie masz wstrząsu mózgu, za godzinę powinno przejść – mimo kpiącego tonu wyczuł w jej głosie niepokój. – Upadając, uderzyłeś o kamień.

– Co z tą dziewczyną?

Położyła mu na głowie nowy okład.

– Brudna, pobita, zaszczuta. Nic nie mówi, tylko mamrocze coś pod nosem. Nie pozwala się do siebie zbliżyć, chyba że on jest w pobliżu. Była gwałcona, wiele razy, na różne sposoby... Torturowali ją.

Jakub widział już Kaśkę, jak strzelała do ludzi z Dragunowa i kałacha. Był świadkiem, jak zabiła nożem gościa, który próbował ją zgwałcić, i jak wrzuciła butelkę z benzyną w otwarty właz bewupa, a potem ze spokojem zastrzeliła pięciu wyskakujących z niego żołnierzy.

Nigdy nie miała takiego głosu.

– Jakub... udało nam się w końcu rozebrać ją i umyć. To, co ma między nogami... Gasili tam papierosy, cieli nożem i posypywali solą... ona... Ten Michał dał jej cały zapas neomorfiny ze swojego podręcznego zestawu opatrunkowego, żeby w ogóle mogła iść. Ja też kazałam jej podawać. Ona... ona ma na oko trzynaście lat.

Głos jej się załamał.

– Zmięklam, Kuba. Psiakrew. Zmięklam przy tobie. Przed wojną przeszłam przez trzy bidule i cztery poprawczaki. Widziałam nie takie rzeczy.

Nie, Kasiu, pomyślał. Takich rzeczy nie widziałaś. I nie zmiękłaś.

– Gdyby takie rzeczy nie robiły na nas wrażenia, mała, byłoby z nami źle. Wygląda na to, że mamy tu autentycznego bohatera. Dobrze, że nie kazałem go zastrzelić.

– Dobrze. Będzie mógł zostać?

– Hej! – zdjął okład z czoła i uniósł się na łokciu. – Wpadł ci w oko, przyznaj się...

Uśmiechnęła się.

– Myślę, że jest miłutki. Taki... nierzeczywisty. Miły, grzeczny, jak nie z naszej bajki. I dziewczyny mówią, że ma najbardziej zajebiste czarne oczy, jakie w życiu widziały.

– Które dziewczyny?

– Wszystkie, skarbie. Wszystkie.

– Tylko mi się nie zabujaj.

Zaśmiała się.

– Nie ma obawy, panie komendancie! Ja jestem zła dziewczyna z poprawczaka, a na dodatek mam stracha.

\* \* \*

– I co było dalej?!

– Przyłączył się do nich?!

Brodaty mężczyzna omal nie upuścił klucza. Spojrzał z rezygnacją na skreconą w imadle część silnika, z którą walczył od dobrej godziny. Pora na przerwę.

– Gdzie Maja i Weronika? O, widzę, że też już jesteście.

– I co? Został z nimi? Z królem?

– Tak, Maju. Pierwszy wasal został najlepszym z wojowników młodego króla. Postanowił wrócić z nim do zamku i służyć orężem. Mieczem, znaczy się. Prawdę powiedziawszy, uważam, że zrobił to, bo nie za bardzo miał dokąd pójść...

\* \* \*

Żołnierz siedział na niewielkim pagórku, jakieś sto metrów od bloku. Patrzył przed siebie i żuł źdźbło trawy. Jakub usiadł obok. Zerwał uschnięte źdźbło i też włożył do ust.

– Ładny widok, co? – wskazał na zaniedbany, ale ciągle piękny park. – Jakby nie było wojny.

– Mówili, żeby tam nie wchodzić.

– Miny. Nasze, rosyjskie, amerykańskie. Dzięki nim od tej strony nie boimy się ataku. Kaśka opowiedziała mi o dziewczynie. Kto jej to zrobił?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Wydawało się, że nawet pasikoniki przerwały wściekły koncert.



– Był... taki major. Fredejew. Lubił... lubił robić ludziom różne rzeczy. Dziewczynom. Kupił ją sobie od sierżanta. Zanim zdążyliśmy uciec. Więc, jak zabiłem sierżanta i jego koleśków, poszedłem do kwatery majora, żeby ją wydostać. Spóźniłem się. Adiutant, lejtnant, nie chciał mnie wpuścić. Więc jego też zabiłem.

– Aha. Zabiłeś dwóch żołnierzy, podoficera i dwóch oficerów, tak? Jest pan cholernie porypanym gnojkiem, panie Sienkiewicz.

– Wiem. Pewnie przez ojca. Zanim umarł, kazał czytać różne rzeczy, jakiegoś, he, he, Sienkiewicza. Podobno bardzo daleka rodzina.

– *W pustyni i w puszczy? Trylogię?*

– Tak. I *Rodzinę Połanieckich*.

Jakub wyszczerzył się szeroko.

– Twardy drań.

– No – Michał odwrócił głowę w bok. – Nie było z nim żartów.

– Kiedy umarł?

– Zabili go cztery lata temu, w czasie jakiejś demonstracji, jak rząd rozprawiał się z „polską piątą kolumną”. Matka umarła dwa lata wcześniej, więc trafiłem do domu dziecka. Ledwo skończyłem osiemnastkę, wybuchła wojna i wzięli do wojska. Tyle. Całe moje życie.

Kuba nie wiedział, co powiedzieć. Czasami nie można powiedzieć nic mądrego, zwłaszcza jak ktoś streści ci swoje życie w trzech zdaniach.

– Ja spędziłem w bidulu piętnaście lat – zaczął, żeby przerwać milczenie. – Nie pamiętam ojca ani matki. Tutaj przed wojną była najgorsza dzielnica, dom dziecka, poprawczak i więzienie na jednej ulicy. Prawie ściana w ścianę. Złośliwi mówili, że jak ktoś trafi tu do sierocińca, to poprawczak i więzienie zaliczy jak w banku. Układ zamknięty, mówili, i chyba coś w tym było. Większość z nas nie umiała sobie nawet wyobrazić, co będzie robić po wyjściu z bidula. Jedyne plany, jakie potrafiliśmy snuć, to kogo i gdzie skroimy i jak wydamy forszę.

Wypluł przeżute źdźbło, zerwał następne.

– Potem przysła wojna. Dwutygodniowa kampania – i nagle mamy Ruskich na przedmieściach. Ewakuacja, panika, każdy chce się wydostać z miasta, zanim zostanie okrążone. Wojsko próbuje nad wszystkim zapanować, bo burmistrz i komendant policji zwiali jako pierwsi i nie ma już żadnej władzy. Potem wojsko też się wycofuje, nagle, w nocy. Ci, co postanowili zostać w mieście, czekali, która armia dotrze do niego pierwsza – ruska czy natowski korpus. Gdyby wiedzieli, co tu się będzie działo... Pewnej nocy znikli nasi wychowawcy, wychowawcy z poprawczaka, straż więzienna. Gdy więźniowie wydostali się na wolność... – Jakub skrzywił się gniewnie, wspomnienia okazały się zbyt żywe. – Powiedzmy, że bardzo szybko wytatuowani wujkowie przestali mi imponować. Rozpełzli się po mieście, mordowali, rabowali, gwałcili. Nikt z tych, co zostali, nie mógł się czuć bezpiecznie. Pierwszego dnia mieliśmy szczęście, bo między nami i pierdłem był

poprawczak, a tam było parę dziewczyn. Powinny zwać, ale gdy się nie ma gdzie pójść, to się zostaje. Tak jak i my. Dziwne, nie? Przed wojną wszyscy chcieliśmy się stamtąd wyrwać, a potem większość dzieciaków wołała siedzieć w pokojach.

– Powinniście opuścić miasto, iść na zachód.

Jakub skinął głową.

– Być może. Tylko że wtedy tego nie wiedzieliśmy. Nie wiedzieliśmy, co się stanie. Prawdę powiedziawszy, przez pierwsze dni to była prawdziwa euforia, wolność rządu, itepe. Gdy całe życie jesteś w domu dziecka, mówią ci, kiedy masz spać, jeść i srać, to trudno nagle wykazać się inicjatywą i robić to, co należy. Poza tym... – skrzywił się – mamy tu dostęp do netu i satelity, więc wiemy, co się dzieje w obozach dla uchodźców. Nawet Amerykanie mówią, że to typowy polski burdel, brud, smród i ubóstwo. Sto tysięcy podartych namiotów i jak nie dasz w łapę albo dupy, to nie pojesz i nie pośpisz w suchym. Jak myślisz, kto miałby czas i ochotę, żeby zajmować się bandą sierot z zapyziałego miasta?

Wziął głęboki oddech.

– Więc zostaliśmy. Nagle okazało się, że ja i Mysza jesteśmy najstarsi i mamy na głowie czterdzieści dzieciaków. Trzeciego dnia czterech bandziorów przyszło do nas. Nie było mnie wtedy na miejscu. Szukałem czegoś do jedzenia. Zabawili się i poszli.

Przerwał. Próba przypomnienia sobie, co czuł, gdy wrócił do domu dziecka, okazała się zbyt trudna. Pamięć odmawiała współpracy, słowa rwały się i nie kleiły.

– Nie odeszli wtedy daleko... Popili sobie i rozłożyli się na jakiejś melinie. W piwnicy... Znaleźliśmy tę piwnicę. Zamknęliśmy drzwi. Przez okienko wrzuciłem do środka trzy butelki z benzyną. Nie pamiętam, czy krzyczeli. Nie pamiętam, czy było czuć smród palonego mięsa. Nic nie pamiętam z tamtego wieczora. Poza gniewem – skrzywił się ponuro i już spokojnym głosem kontynuował. – Gniew bywa złym doradcą. Ich kumple dowiedzieli się, co zrobiłem, przyszli do nas w sześciu. Sześciu bandziorów, uzbrojonych w kije i noże, i czterdzieścioro dzieciaków. Pomogły nam wtedy trzy dziewczyny z poprawczaka. Te same, które odwiedzili wcześniej. Zabiliśmy czterech, dwóch ledwo zdołało uciec. Straciliśmy siedmioro naszych.

– Dobrze zrobiliście – Michał splunął przed siebie.

– Wiem. A wtedy akurat zaczęła się ta „dziwna wojna”. Rosjanie otoczyli miasto od wschodu, Amerykanie od zachodu, nikt nie wszedł do środka. Doszło do nas, że zostaliśmy sami, a to był moment, kiedy nawet ruscy komisarze okupacyjni wydawali się lepsi od bandytów. I nagle rozeszła się wieść, że gówniarze z bidula zabijają kryminalistów – westchnął i zamilkł.

Po chwili kontynuował.

– Najpierw wprowadził się do nas pan Marian. Przed wojną miał własną firmę, warsztat samochodowy czy coś, bandyci rozkradli mu wszystko, co miał. Po nim stara Gronkowa, aptekarka, potem Grzelak z rodziną, Matejczyk, były nauczyciel, z żoną i babką. Przyszedł Nowak, gliniarz, którego wyrzucili z policji za picie. On nam się naprawdę przydał. Pokazał,

gdzie na posterunku jest skrytka z bronią. Dostaliśmy do ręki parę starych kałachów, peemów i sporo pistoletów. Granaty dymne i z gazem łzawiącym. Amunicję. Gdy bandyci znów przyszli, nie bawiłem się w jakieś układy, tylko kazałem strzelać.

Jakub zapatrzył się w przestrzeń.

– To było prawie jak morderstwo... Rzuciliśmy granaty z gazem łzawiącym, a potem spokojnie rozwaliliśmy całą grupę. Dwanaście trupów. Chciałem wtedy... chyba chciałem zrobić to raz, a porządnie, oczyścić dzielnicę, na dobre ich przegonić. Tego samego dnia zebrałem paru chłopaków i poszliśmy do „Starego Browaru”, knajpy, gdzie rozłożyli się kolesie z Niebieskich Uszów, największego więziennego gangu. Nie było żadnych targów. Wpadliśmy do środka i zaczęliśmy strzelać... Dwadzieścia dwa trupy – Jakub uśmiechnął się krzywo. – Wtedy narodziła się plotka, że wspiera nas komando „Gromu”, przyczajone w mieście do obserwacji Ruskich. I nagle wszystkich bandziorów wymiotło z dzielnicy. Rozproszyli się albo przyłączyli do innych gangów. Zaczęło do nas przychodzić coraz więcej ludzi, a ja zostałem komendantem Jakubem. Lokalną władzą ustawodawczą, sądowniczą i wykonawczą. Sam nie wiem, jak to się stało.

Jakub odwrócił się i wskazał stary, trzypiętrowy blok, który mieli za plecami.

– Nasza kwatera główna. Plemienna warownia, zamek, zwij, jak chcesz. Stary hotel robotniczy. Zajęliśmy go, bo ma najgłębsze piwnice i łatwo z niego prysnąć, w razie czego. Prawdziwa szcurza nora... Albo dom, jak kto woli.

Milczeli. Michał wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Jakub pokręcił głową.

– Nie, dzięki. Nie palę.

– Boisz się raka? To się leczy.

– Amerykańskie boty zwiadowcze mogą przy dobrym wietrze wyczuć nikotynę z kilometra. To skuteczny system rozpoznania, bo tylko ludzie palą papierosy. Myślałem, że Rosjanie o tym wiedzą.

– Nie, nie wiedzą – żołnierz zmiął paczkę i wyrzucił. – A ty jak się dowiedziałeś?

– Muszę wiedzieć takie rzeczy. Pędzimy i sprzedajemy bimber, robimy amfę, mamy kilka ogródków, gdzie hodujemy warzywa i owoce, i trawę, ale przede wszystkim żyjemy z tego, co znajdziemy w ruinach. I z handlu. Nie uwierzyłbyś, jak szybko pojawili się tu ludzie, od których możesz kupić niemal wszystko, nawet pomarańcze, które dwa dni wcześniej rosły gdzieś w Kalifornii. I którzy dużo chcą kupić od ciebie. Najwięcej zysku przynosi handel częściami do bobotów i bronią. Jak ktoś ma kontakty u Rosjan, to kupuje wszystko, co pochodzi z amerykańskich automatów; jak u Amerykanów, bierze każdą część z ruskich maszyn. Więc wyprawiamy się na przedmieścia i szukamy wraków po potyczkach. Tam ciągle trwa taka mała wojenka, patrole rosyjskie i amerykańskie włóczą się wokół miasta i jak trafią na siebie, to zaczyna się zabawa. A jak nic nie znajdziemy, to musimy sami upolować.

Michał patrzył na niego, mrużąc oczy.

– Polujecie? Na roboty bojowe? Wciskasz mi kit.

– Nie – Jakub podrapał się po nodze, którą właśnie kolumna mrówek uznała za przeszkodę terenową o znaczeniu strategicznym. – To wcale nie jest takie trudne. Przed wojną Ruscy i Amerykanie projektowali swoje boboty niezależnie, teraz zrobili sobie tu poligon. Testują je i sprawdzają, pewnie za zgodą zwierzchników. A dla nas to czysty zysk. Większość tych maszyn ma swoje wady, żadna też nie została stworzona z myślą o samodzielnej walce. Po prostu nauczyliśmy się im dobierać do skóry. Po amerykańskiej stronie jest taki pułkownik wywiadu, Grewers, który na pniu kupuje wszystko, co uda nam się zdobyć. Za części z jednego Szczura, jeśli oczywiście nie jest zbyt postrzelany, mogę wyżywić wszystkich przez tydzień. Poza tym strzelamy tylko do ruskich maszyn. Do amerykańskich nie wypada.

– Dlaczego?

– Bo dla nich jesteśmy bohaterskim polskim ruchem oporu. Dają nam sporo broni, lekarstw i żywności, i nawet pozwalają podsyłać swoich rannych. Ich artyleria natychmiast strzela, kiedy ruskie działa próbują nas wymacać, nawet lotnictwo zapewnia osłonę z powietrza. Przynajmniej tak twierdzą. Ale prawdę mówiąc, do tej pory widziałem tu tylko kilka rosyjskich śmigłowców, więc może coś w tym jest. Nam po prostu nie wypada strzelać do sojusznicznych maszyn.

– Rosjanie powinni zająć miasto – Michał wyjął z kieszeni suchara i zaczął żuć. – Chcesz kawałek?

– Dziękuję, już kiedyś próbowałem. Mamy w domu cały zapas, używamy, jak nam się kończą granaty.

– Ha, ha, ha i jeszcze raz ha.

– Serio – Jakub uśmiechnął się lekko. – A Rosjanie nie zajmą miasta z tych samych powodów, z których nie zajęli go wcześniej. Bo po drugiej stronie są Amerykanie, a ci do tego nie dopuszczają. Zbyt dobrze wiedzą, że musieliby wtedy poświęcić dywizję albo dwie, żeby ich stąd wykurzyć. Legenda Stalingradu jest ciągle żywa. Z kolei Amerykanie nie wejdą do miasta, bo boją się, że to sprowokuje Ruskich. A póki co, jest względny spokój. Do tej pory tylko dwa razy strzelaliśmy się z rosyjskimi patrolami, które zapuściły się zbyt głęboko w miasto. Wjechanie tu bewupem to nawet głupszy pomysł niż posyłanie samotnych bobotów. Więc póki trwa ta dziwna wojna, żyjemy sobie tutaj na ziemi niczyjej. Taki polski Bejrut.

– Ilu masz ludzi?

Jakub popatrzył na Michała uważnie. Takie pytanie w chwili, gdy obcy ciągle miał na sobie rosyjski mundur, było co najmniej dziwne.

– Jakies siedemset osób – powiedział wreszcie, ta informacja i tak nie była tajna. – Razem z babami, emerytami i dziećmi. Ci, co nie mieli gdzie pójść, tak jak my. W drużynach bojowych, hm... może ze sto pięćdziesiąt. Inne gangi nie wchodzą nam w drogę, my im też nie. I życie płynie.

– Słodko i spokojnie.

– Właśnie – mrówki przypuściły zdecydowany szturm, więc Jakub uznał, że trzeba się wycofać na z góry zaplanowane pozycje.

Wstał i otrzepał spodnie.

– Michał, zabiłeś dwóch oficerów. Myślisz, że kogoś za tobą pošłą?

Żołnierz pokręcił głową.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem – również wstał. – Jak tylko oddacie mi broń, zabiorę dziewczynę i stąd odejdziemy.

– Nie wyganiem cię. A ona nie jest w stanie chodzić, chyba że chcesz ją szprycować środkami przeciwbólowymi, dopóki nie stanie jej serce. Zresztą, jak was wypuszczę, nie dożyjecie jutra. Prościej będzie was zastrzelić – wyszczerzył się. – Możecie zostać parę dni. Potem się zobaczy.

Usłyszeli hałas i odwrócili się jednocześnie. Nadbiegał niski, umorusany od stóp do głowy chłopak. Dyszał ciężko.

– Kuba... – przez chwilę nie mógł nic więcej wykrztusić. – Kuba, mamy gościa. Łukasz powiedział, żebyś natychmiast przyszedł do bunkra.

\* \* \*

– Pokonali jakiegoś potwora?

Cała piątka siedziała na stercie koców, rzuconych w kącie piwnicy przerobionej na warsztat. Na prośbę dzieci mężczyzna zgasił umieszczoną pod sufitem jarzeniówkę, teraz za całe oświetlenie musiała im starczyć stara latarka. Tak było ciekawiej, stwierdziły.

– O tak, niejednego. W tamtych czasach żyło jeszcze mnóstwo potworów – smoki, olbrzymy, piekielne bestie wałęsały się po całym świecie i napadały na spokojnych ludzi. Obowiązkiem króla i jego rycerzy było z nimi walczyć.

– Eee... potwory. Potwory są w bajkach.

– A jak sądzisz, chłopcze? Skąd się tam wzięły? Umieściliśmy je tam, żeby dało się spać w nocy. Gdyby nie to, nikt nigdy nie zmrużyłby oka. Król i jego rycerze walczyli więc z wieloma straszidłami, smokami, olbrzymami i złymi czarownikami...

\* \* \*

Gdy weszli do piwnicy, Łukasz pochylał się właśnie nad monitorem. Jakub uśmiechnął się pod nosem, obserwując reakcję gościa. Kilka stanowisk komputerowych, kilkanaście dużych monitorów, serwerownia. Tak mogłoby wyglądać centrum dowodzenia batalionu czołgów.

– Skąd to wszystko? – Michał rozglądał się wokół z niezbyt mądrym wyrazem twarzy.

– Jeśli ci powiem, będę cię musiał zastrzelić – stwierdził Jakub grobowym głosem.

– Ten dowcip zmarł ze starości jakieś sto lat temu, a jego mumię trzymamy w najgłębszej piwnicy – Łukasz wskazał mu miejsce obok siebie. – Lepiej popatrz na to.

Na ekranie pojawił się fragment jakiejś ulicy. Wąski kanion zbudowany z wypalonych ruin, wypełniony gruzem tak, że nie widać było nawet kawałka oryginalnej nawierzchni.

– Przedmieścia?

– Tak.

– Która ulica?

– Jaśminowa. Zaraz powinien być. Już!

Łukasz nie musiał tego mówić. Nagle w obraz wszedł automat, potężny, szary kadłub wypełnił cały ekran, mignęła noga – i już go nie było.

– Daj obraz z wieży – Kuba przestał się uśmiechać. – Nie z tej, z kościelnej. Szeroką perspektywę.

Przysunął jeszcze jedno krzesło do monitora i wskazał Michałowi.

– Siadaj, powiesz mi, czy to jest to, o czym myślę.

Obraz się zmienił, ukazywał teraz ładny kawałek miasta niemal z lotu ptaka. Zasypane ulice, ruiny domów, zgliszcza.

– To przedmieścia, najbardziej zniszczona część miasta. Najpierw wysadzali tu wszystko nasi, potem Ruscy i Amerykanie urządzili sobie poligon. Za każdym razem jak ich boboty się spotykają, z obu stron zaczyna strzelać artyleria. Powoli równają teren z ziemią.

W głębi jednej z ulic pojawił się kształt. Poruszał się powoli, badał teren. Długi na osiem metrów kadłub wspierały dwie masywne, trzymetrowe nogi, umiejscowione po bokach maszyny. Kadłub zajmował pozycję poziomą, przez co całość przypominała gigantycznego, polującego teropoda. Z przodu maszyna miała niewielką, ozdobioną rzędami czujników „głowę”, spod której wystawała lufa podwieszona pod kadłubem działka. Krótkie węzły podwieszeń, znajdujące się tuż przed nogami, obciążone były poczwórnymi tubami wyrzutni rakiet; grzbiet szpeciła brzydka, asymetryczna narośl uniwersalnego wukaemu. Kadłub zmieniał barwę, starając się dostosować kolor do podłoża. Pancerny, cybernetyczny tyranozaur na łowach.

– T-bot... Pieprzony T-bot – Łukasz przycisnął parę klawiszy i obraz uległ powiększeniu. – Wersja D.

Michał pokręcił głową.

– Nie. D ma zamiast wkm-u dodatkową wyrzutnię pocisków przeciwpancernych na teleskopowym wyciągu. To C-bis, do zwalczania piechoty i lekkich automatów bojowych. Trzydziestka pod kadłubem, cztery pociski RGh-37 i cztery RKf-56, przeciwpancerne oraz odłamkowo-burzące. System aktywnego maskowania; sześć głowic optorozpoznawczych, zapewniających widzenie w promieniu 360 stopni. To – wskazał kilka graniastych narośli rozrzuconych po grzbiecie – to *Ariena dziewiać*, system zwalczania pocisków

przeciwpancernych. T-bot, jedyny dwunożny automat bojowy we wszystkich współczesnych armiach.

Łukasz spojrział na niego koso.

– Mówisz takim tonem, jakbyś był z niego dumny.

– Dumny? Raczej przestraszony. Pod Łodzią amerykańska Czwarta Brygada Zautomatyzowana natknęła się na dwie kompanie T-botów. W sześć godzin przestała istnieć. To była jedyna większa potyczka z siłami NATO w tej wojnie. Wszyscy mówili później, że właśnie dlatego Amerykanie nie pchają się dalej na wschód. Nie chcą tracić ludzi i sprzętu.

– Co on tu robi?

– Pewnie szuka.

– Czego?

Michał pokręcił głową.

– Nie: czego. Kogo. Mnie – odwrócił się do Jakuba. – Oddaj mi broń i pozwól odejść.

– Dlaczego cię szuka?

– Ten major... On był bratankiem dowódcy dywizji. Generała Burozowa.

– Nie takie nazwisko wymieniłeś.

– Jeszcze jedna popieprzona historia rodzinna czasu wojny. Chcesz posłuchać?

Mierzyli się wzrokiem. Jakub dałby sobie głowę uciąć, że żołnierz mówi prawdę.

– Gdzie odłożyłeś jego broń? – zwrócił się do Łukasza.

– Nie chcesz mu chyba jej oddać? Możemy za nią dostać kupę kasy.

Komendant dotknął własnej szczęki.

– Pamiętasz zakład? Położył mnie. Nie będę sobie z gęby dupy robił. Może odejść.

– A dziewczyna?

Dziwne, ale zapytali o to jednocześnie, Łukasz i Michał.

– Jak z nią pójdziesz, spowolni cię. Nie będziecie mieli szans. Zostanie więc u nas. Jeśli ci się uda zgubić T-bota, możesz za parę dni po nią wrócić.

Nadeszła pora na przypomnienie wszystkim, kto tu dowodzi.

– Ruszać się!

Pięć minut później Jakub stał na dachu bloku i patrzył, jak Michał biegnie w głąb miasta. Żołnierz zakładał hełm i dopinał jeszcze paski oporządzenia. Parę dni. Dobrze sobie. Chłopak nie przeżyje najbliższej godziny.

– Jakub! Jakub!!! – na dachu pojawił się ten sam obszarpaniec, co poprzednio. – T-bot! T-bot tu idzie!

– Co?

– Idzie na nas. Jak po sznurku.

Powrót do centrum dowodzenia zajął mu mniej niż dwie minuty. Na najbliższym monitorze widać było sylwetkę maszyny. Szła przed siebie ciężkim, marszowym krokiem.

– Trzy minuty temu przestał kluczyć i węszyć – głos Łukasza nie wykazywał specjalnych emocji. Znak, że jest spięty i gotowy do akcji. – Ruszył w naszą stronę.

– Ogłosiłeś alarm?

– Tak. Większość bab i dzieciaków już zeszła do piwnic, część ucieka tunelami. Grupy bojowe zaraz skończą pobierać ciężką broń.

– Dobrze – na Łukaszu zawsze można było polegać. – Idę do zbrojowni. Ty zostajesz i koordynujesz akcję.

– Kuba!?! – w głosie blondyna zabrzmiało oburzenie.

– Jakby mi się coś stało, przejmiesz ten cały cyrk. Wydałem już odpowiednie rozkazy.

Wyszedł.

Zbrojownią nazywali specjalne piwnice. Kręciło się tam prawie trzydziestu ludzi. Zakładali broje, wybierali broń. Jakub rzucił okiem na dobór sprzętu. Dobrze, dziesięć karabinów przeciwpancernych, przerobionych z wydartych z bobotów wukaemów, osiem granatników pepanc, kilkanaście zwykłych, najczęściej również zdobycznych; wiązki granatów, miny kumulacyjne i pakunki plastiku. Dwa miotacze ognia i butelki z benzyną. Ciężka broń.

– Didżej, zostaw kałacha, nie ta zwierzyna – niska blondynka odebrała automat ponuremu chudzielcowi i wskazała na stojaki z bronią. – Weź więcej butelek z benzyną.

Kuba skinął z aprobatą głową.

– Słuchaj Karczycha, młody.

Podszedł do stojaka z pancerzami. Większość zrobili sami, fragmenty elastycznych pancerzy automatów bojowych wszyto pomiędzy kawałki mocnego brezentu, ozdobionego na zewnątrz maskującą kompozycją łąt. Jako kamizelki przeciwołamkowe spisywały się całkiem nieźle. Pod spód zakładali zazwyczaj zdobyczne lub uhandlowane kombinezony, zmniejszające wykrywalność termiczną ciała. Niektóre nosiły jeszcze ślady po kulach. Kombinezony oraz hełmy były tą częścią ich uzbrojenia, której nie mogli wyprodukować na miejscu. Tak przygotowane pancerze spisywały się wystarczająco dobrze, żeby powierzyć im własne życie. Jakub wybrał sobie kamizelkę, naramienniki i nabiodrza własnej produkcji.

– Komendancie? – odezwała się jedna z młodszych dziewczyn.

– No?

– Chyba mam stracha.

Parę osób zachichotało. Jakub nie. Nie miał czasu na żarty.

– Dowódcy drużyn są?

Podeszło do niego pięć osób.

– Możliwe, że ten T-bot nas minie i pójdzie za naszym gościem – w tej chwili ściany zdrzały od wybuchu. – Albo i nie. Może Ruski uznały, że dobrze będzie i nas załatwić przy okazji.



Próbował nie myśleć o ewentualnej zdradzie Michała. Zjawia się ruski żołnierz z bajeczką o domu dziecka i zaraz po nim mają na głowie T-bota. Szlag!

– Marcin i Gorący, bierzecie karabiny pepanc i trzymacie się na dystans. Próbujcie odstrzelić mu, co się da, uszkodzić czujniki, rozwalić wkm. Karczycho i Chudy granatniki, on ma *Arienu dziewiac*, więc nie liczcie na pierwszy czy drugi strzał, ale może się uda. Tylko uważajcie na naszych.

Dopiął kamizelkę i odwrócił się do ostatniej osoby.

– Carmen, twoja drużyna jest dzisiaj szturmowa – czarnowłosa dziewczyna skinęła głową, bez uśmiechu. – Bierzecie granaty, butelki z benzyną, plastik. Skupcie się na nogach.

– Rosjanie twierdzą, że są nie do ruszenia, ale nie do ruszenia jest tylko Gorący, jak siądzie w kłocie.

Żarcik wywołał pomruk nerwowych uśmiechów. Atmosfera walki udzielała się wszystkim.

Kolejny wybuch wstrząsnął budynkiem. Ścienny głośnik zatrzeszczał.

– Kuba! On jest już trzysta metrów od nas – głos Łukasza w głośniku zamontowanym w piwnicy był przytłumiony i niewyraźny. – Zwolnił i pierdzielnął w nas dwie rakiety. Zbliża się od strony Gliwickiej, jest za kościołem. Pospieszcie się.

– Słyszycie? Marcin i Karczycho zajdą go z lewej, Gorący i Chudy z prawej. Ja pójde z Carmen.

– Nie. Nie. Nie – padło z kilku stron jednocześnie.

Rozejrzał się wokół.

– Co jest?

Karczycho poprawiła zwisający z ramienia granatnik i nie patrząc mu w oczy, powiedziała.

– Kuba, pierwszy raz idziemy na T-bota. Nie będziesz nadstawiał tyłka z drużyną szturmową.

Zmarszczył brwi, ale to najwyraźniej nie wywarło na niej wrażenia.

– Kto tu właściwie dowodzi?

– Ty – Carmen poprawiła hełm. – Ale drużyną szturmową – ja. I mam prawo dobierać sobie ludzi. Pana nie chcę, panie komendancie.

Chudy trącił go w ramię lufą granatnika.

– Weź. Pójdiesz ze mną.

– Co to jest, kurwa?! Ochronka? Może jeszcze przydzielisz ludzi, żeby mnie osłaniali?

Chudy szybko uciekł wzrokiem w bok.

– No nieee – wymamrotał. – Skąd.

– Dwieście pięćdziesiąt metrów – głośnik znów zaszczekał. – Schował się za kościołem.

– Później się z wami policzę – Jakub pogroził wszystkim palcem. – Na razie idziemy... Aha, czekacie na mój pierwszy strzał albo aż bobot rozpocznie akcję. Nie kozakować i nie bawić się w bohaterów.

\* \* \*

– Pewnego razu pod zamek młodego króla podszedł smok. Nie uśmiechaj się tak, Marku. Smoki wcale nie są takim wymysłem, jak twierdzą niektórzy. Pomyślcie chwilę, czy gdyby nigdy nie istniały, wiedzielibyśmy, jak w ogóle wyglądają? Smoki istniały, i to nie tylko, jak twierdzą niektórzy, w ludzkich sercach i umysłach.

Oczy dzieci płonęły w świetle latarki, jak oczy leśnych zwierząt. Żadne nie zwróciło uwagi na wstrząs towarzyszący trafieniu budynku i tuman kurzu, sypiący się im na głowy.

Pan Marian uśmiechnął się w myślach, opowieść pochłonęła je do tego stopnia, że nie zwróciłyby uwagi nawet na trzęsienie ziemi. Właśnie tak, jak chciał.

\* \* \*

Jakub biegł wśród gruzów wraz z drużyną Chudego. Trzymali kilkumetrowe odstępy, przemykając zgięci w pół, obciążeni pancerzami i bronią. Nikt nie tracił sił na gadanie. Nagle Chudy zatrzymał drużynę uniesioną dłońią i przywołał dowódcę.

– Nie ma go za kościołem – szepnął. – Przyczaił się w uliczce obok kwaciarni. Obejdziemy go bokiem.

Odbili w prawo, zmierzając w kierunku jednej z opuszczonych kamienic. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będą tam mieli świetną pozycję do strzału.

T-bot na nich czekał. Nie było innego wyjaśnienia. Po prostu wiedział, że po niego przyjdą, więc przyczaił się w ruinach i czekał. Gdy zniknął za kościołem, cofnął się o kilkadziesiąt metrów i przykucnął, szorując brzuchem po ziemi. Włączony system aktywnego maskowania sprawiał, że ktoś niespodziewający się obecności maszyny mógłby ją przegapić, nawet mijając ją w odległości kilku metrów.

Ale tym razem T-bot miał do czynienia z „miejskimi szczurami”. Teren w promieniu paru kilometrów znali jak własną kieszeń. Każdy zakamarek, każdy zaułek, krzaczek i gruzowisko. Dlatego jeszcze jedna kupa pokruszonych cegieł, która niewiadomym sposobem wyrosła w uliczce, rzucała im się w oczy jak plama na białym obrusie.

Okna kamienicy od miejsca, w którym urządził zasadzkę automat, dzieliło jakieś sto metrów. Weszli do środka. Jakub ostrożnie wyjrzał przez dziurę w murze. Byli przy południowej, rozpalonej słońcem ścianie, więc termiczne czujniki T-bota nie powinny ich wykryć.

Automat czał się przy ścianie nieczynnej kwaciarni. Dobrze wybrał miejsce, zielony bluszcz pnący się po kratownicach chroniących niegdyś witrynę drżał lekko na wietrze, podobnie jak plamy, którymi System Aktywnego Maskowania pokrył pancerz. Z kilkunastu metrów całość wyglądała jak jeszcze jedna sterta gruzu, na którą dokonały inwazji zielone pnącza. Dopiero gdy wiedziało się, czego się spodziewać i gdzie patrzeć, można było dostrzec przyczajone niebezpieczeństwo.

Przez kilka sekund Jakub podziwiał wroga. Nic nie było w nim przypadkowe, asymetria wukaemu, nieregularne rozmieszczenie głowic systemu Arena i czujników, każda noga zgięta pod innym kątem. To wszystko miało utrudnić wykrycie maszyny, projektanci T-bota dobrze wiedzieli, że ludzki mózg szybciej wyodrębnia z otoczenia obiekty regularne, symetryczne, więc zrobili wszystko, żeby go symetryczności pozbawić. Nawet węzły podwieszeń po bokach kadłuba umieszczono na różnej wysokości. Przed „miejskimi szczurami” czała się skuteczna i profesjonalna maszyna do polowania z zasadzki. I do zabijania.

Jakub ostatni raz rozejrzał się wokół. W pokoju było z nim dwóch ludzi z grupy Chudego. Reszta zajęła pozycje w innych pomieszczeniach. Do drzwi miał pięć metrów. Trochę dużo. Mogą być kłopoty z ewakuacją.

Bojowe automaty prawie zawsze były szybsze od ludzi. Szybsze, lepiej uzbrojone i opancerzone. Miały jednak pewną mechaniczną bezwładność reakcji. Jeśli wieżyczka maszyny była odwrócona w przód, a człowiek strzelał z tyłu, obrót broni zajmował od jednej do trzech sekund. Najlepszą taktyką było strzelać i uciekać. Jeśli napastnicy atakowali z różnych stron i byli dobrze zgrani, często automat kręcił się w kółko, marnując amunicję, dopóki ktoś wreszcie nie trafił go w czuły punkt. Dlatego wysyłanie samotnego bobota do walki było głupsze niż wjechanie samotnym czołgiem do wrogiego miasta.

W teorii oczywiście.

Plan był prosty, strzelają salwą i więcej z pokoju, zanim maszyna odpowie ogniem. Potem wchodzi do walki inne drużyny. Wszystko zależało od tego, czy działko i wyrzutnie rakiet T-bota nie są przypadkiem zwrócone w ich stronę, a tego akurat dostrzec nie mogli. Jeśli były, to mieli przechłapano.

Jakub sprawdził jeszcze raz granatnik, niemal czule pogładził głowicę pocisku.

– No dobra, chłopaki. Pomalujmy sukinsyna.

Farba, zwykła farba rozcieńczona wodą, która sprawiała, że mieszanka była rzadka i przez dłuższy czas unosiła się w postaci mgiełki w powietrzu. Problem z maszynami wyposażonymi w System Aktywnego Maskowania polegał na tym, że nawet kiedy już zdradziły swoją pozycję, otwierając ogień, nadal stanowiły dla ludzi bardzo trudny cel. Automaty potrafiły poruszać się z prędkością kilkudziesięciu kilometrów na godzinę, zmieniając ubarwienie tak, że ludzkie oczy rejestrowały przed sobą tylko rozmazaną plamę. Refleks żołnierzy i ich zdolność oceny odległości zawodziły na całej linii. Jakub odkrył tę prawdę podczas pierwszego starcia z jedną z rosyjskich Żab. Stracił wtedy czterech ludzi i

przez następne trzy tygodnie kombinował, jak sobie poradzić z problemem SAM-ów. Rozwiązanie znalazł Łukasz, opróżniając głowicę burzącą granatnika z większości materiału wybuchowego i wypełniając ją rozcieńczoną farbą. Nawet jeśli wystrzelony pocisk został zniszczony w locie, eksplozja tworzyła chmurę lepkiej farby o średnicy kilkunastu metrów, która osiadała na wszystkim dookoła. A systemy takie jak rosyjska Arena niszczyły pociski z granatnika w odległości od pięciu do piętnastu metrów od automatu. Każdy bobot musiał zostać oznaczony farbą, a jeśli strzelcy mieli wyjątkowe szczęście, farba pokrywała też część czujników optycznych, oślepiając maszynę.

W teorii, oczywiście.

Jakub wziął głęboki oddech i wycelował.

Wystrzelili jednocześnie, i jednocześnie runęli do drzwi. Udało się, w dwie sekundy byli na korytarzu. Wpadli do sąsiedniego pomieszczenia i rzucili się do okien. Gdy wyskakiwali z budynku, targnęła nim seria eksplozji. Przez grzmot wybuchów i serie strzałów usłyszeli wycie silnika T-bota i coraz szybszy łoskot jego kroków.

– Rozproszyc się! I głowy nisko!

W tej samej chwili z lewej dobiegł ich odgłos salwy z granatników i stłumione, pojedyncze strzały z karabinów pepanc. Inne drużyny weszły do walki.

Rozpętało się piekło.

\* \* \*

– Dla rycerzy najgorsza zawsze jest walka ze smokami. Nie inaczej było w czasach naszego młodego króla i jego wasala. Smoki to potężne, opancerzone, ziejące ogniem potwory i trzeba wielu dzielnych wojowników, aby któregoś z nich pokonać.

Kurz wywołany wstrząsem po trafieniu opadał powoli na podłogę piwnicy. Żadne z dzieci nie odrywało wzroku od twarzy pana Mariana. Wydawało się, że w półmroku ich oczy świecą.

– Niejeden rycerz poległ bohaterską śmiercią w walce z taką bestią. Na pewno chcecie słuchać dalej? Teraz robi się dość strasznie.

– Chcemy – szepnęły unisono.

\* \* \*

Do pewnego momentu wszystko szło jak należy. Okazało się, że rezultat ich pierwszej salwy przekroczył najśmielsze oczekiwania. Farba pokryła prawie cały kadłub maszyny i SAM stracił rację bytu. Na dodatek jasnożółty kolor świetnie odcinał się od tła i ułatwiał celowanie.

Następna salwa, wystrzelona przez drużynę Karczycha, zdołała odciągnąć uwagę T-bota od Jakuba i ludzi Chudego, pociski z karabinów pepanc raz za razem trafiały w pancerz. Było kwestią czasu, gdy któryś z nich zdoła uszkodzić plujący ogniem wkm lub, przy odrobinie szczęścia, spowoduje eksplozję rakiety.

Przez kilkanaście sekund wydawało się, że mają szansę.

Potem przemówiło umieszczone pod kadłubem trzydziestomilimetrowe działko i nagle wszyscy byli bardziej zajęci szukaniem mysiej dziury, w którą można by się schować, niż atakowaniem maszyny. Przeciwpancerne pociski bez problemu penetrowały sterty gruzu i grube na pół metra ściany, za którymi próbowali szukać osłony. Odłamkowe wybuchały im nad głowami, siekąc wolframową subamunicją.

Łowcy stali się zwierzyną.

Na oczach Jakuba pocisk przebił fragment muru, za którym przykucnęli, i urwał głowę jednemu z chłopaków. Tak po prostu. Wybuch, chmura ceglanego pyłu i bezgłowe ciało pada w drgawkach na ziemię. *Finito*.

Przemknął obok zabitego, w biegu podnosząc jego plecak z amunicją. Nie było czasu na sentymenty. Klepnął drugiego ze „szczurów” w ramię i wskazał na wąski parów, utworzony przez dwa zwalone budynki.

– Tam! Spróbujemy go zająć z drugiej strony!

Biegając, załadował następny pocisk do granatnika. Wychylenie się z parowu, wycelowanie i oddanie strzału zajęły mu pół sekundy. Pocisk eksplodował kilka metrów przed osiągnięciem celu. Jakub schował się z powrotem i zaraz znów wystawił głowę.

– Nie! – wrzasnął, choć wiedział, że to nic nie da. – Carmen, nie! Zabieraj ich stamtąd!!!

Kilka metrów od maszyny, za na wpół zwalonym murkiem przyczaiły się trzy przygarbione sylwetki, dwie inne czołgały się z tyłu T-bota, zobaczył je tylko dlatego, że akurat się poruszały. Albo automat stracił już tylne czujniki, albo...

Lufa działka obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Dwa strzały i obaj ludzie z drużyny szturmowej zmienili się w poszatkiwane na krwawe strzępy trupy. Nie mieli żadnych szans.

Jakub mógł tylko patrzeć, jak Carmen podrywa swoją drużynę do walki. Był za daleko, żeby ją powstrzymać.

Pięć „miejskich szczurów” rzuciło się do ataku. Ta trójka przyczajona za murkiem i para, której nie spostrzegł wcześniej. W stronę robota poleciały butelki z mieszką zapalającą, granaty, ładunki plastiku. A T-bot zrobił coś, czego Jakub nie widział wcześniej u żadnego automatu bojowego. Unik.

Ośmiotonowa bestia wykonała długi krok do przodu, jak szermierz w ataku, obniżając kadłub tak, że zaczął szorować po ziemi. Większość pocisków przeleciała nad T-botem, eksplodując nieszkodliwie po bokach. Śmiercionośna trzydziestka umilkła na chwilę, schowana w niszy pod kadłubem, ale wkm nie. Pociski kalibru 12,7 mm otoczyły maszynę parawanem ognia. Jeden z ludzi Carmen nie zdążył się schować, pierwszy pocisk najpierw

urwał mu rękę, która poszybowała w powietrze, ciągnąc za sobą malowniczy sznur karminowych kropli, a w chwilę później następny trafił go w pierś. Zdumiewające, ale Jakub wyławiał z ogólnego chaosu właśnie takie szczegóły – ręka lecąca w powietrzu, eksplozje granatów, Carmen dająca sygnał do kolejnego ataku.

Pierwsza dwójka jej ludzi zamieniła się w kawałki fruującego na wszystkie strony mięsa i kości. Arena. T-bot użył do obrony bezpośredniej systemu Arena. Nigdy przedtem z czymś takim się nie spotkali. Dla formowanych wybuchowo podpocisków ich kamizelki były jak papier.

W tej chwili z drużyny szturmowej zostali już tylko Carmen i Didżej. Dziewczyna rzuciła się szczupakiem w kierunku T-bota, w obu dłoniach trzymając minę kumulacyjną. Maszyna z wyciem przeciążanych mechanicznych mięśni poderwała się z ziemi, obróciła, szukając celu dla działka. Carmen chybiła, kadłub nagle znalazł się zbyt wysoko. Dziewczyna przetoczyła się przez bark, stanęła niepewnie na nogach. I nagle została trafiona potężną, trzymetrową nogą. Przeleciała jakieś dziesięć metrów, wylądowała na kupie gruzu i stoczyła bezwładnie w jakąś dziurę. Maszyna obróciła się do Didżeja.

Dla Jakuba czas zwolnił. Wydawało mu się, że ruch T-bota trwa wieczność, że jest wystudiowane powolny, jakby automat drwił sobie z nich, okazując lekceważenie i pogardę. Jakby się bawił.

Zginiemy tu, przemknęło mu przez głowę, zabije nas kanarkowożółty potwór, którego nie może pokonać żadna broń.

W następnej chwili czas wrócił do swojego zwykłego tempa. Lewa strona maszyny eksplodowała w kilku miejscach, wkm na grzbiecie T-bota, trafiony pociskiem wystrzelonym nie wiadomo skąd, przekrzywił się w bok z dziwacznie wygiętą lufą. To granatnik z ruskiej dziewięćdziesiątki, pojawiła się i znikła myśl. Nie było czasu na dziwienie się, automat zignorował Didżeja, obracając się w stronę nowego zagrożenia. Działko plunęło ogniem, ruiny kamienicy, z których ktoś najwyraźniej strzelał, pokryły się wrzodami trafień pocisków przeciwpancernych. Jakub ponownie załadował granatnik, wycelował i zamarł.

Didżej. Wciąż stał dwa metry za robotem, ściskając w rękę wiązkę granatów.

– Rusz się, kurwa!!! – nad łoskot serii z działka wybił się wrzask. – Nie możemy strzelać!

Jakub rozpoznał głos Gorącego. Didżej pewnie nie, bo nawet nie drgnął. Nagle wpadła na niego jakaś postać ubrana w maskujący mundur rosyjskiej armii. Obaj przewrócili się na ziemię i znikli pośród gruzów.

T-bota momentalnie otoczyły eksplozje. Drużyny bojowe strzelały ze wszystkiego, co miały pod ręką, chcąc pomścić śmierć Carmen i jej ludzi. Na kilka sekund maszyna znikła za zasłoną ognia i dymu.

Wyłoniła się zza niej jak szarżujący dinozaur. Wyrzutnie rakiet wypłuły dwa pociski, jeden rozwalil ścianę pobliskiego domu, drugi trafił w odległy o dwieście metrów wrak

autobusu, z którego przed momentem odpalono pociski. Jakub wykorzystał tę chwilę na przeładowanie granatnika.

– To nic nie da!

Michał wskoczył w dziurę, prawie lądując mu na głowie. Wystawił karabin do góry i korzystając z celownika zamontowanego w przyłbicy, oddał kilka strzałów.

– Jego system Arena ma prawie osiemdziesiąt ładunków! Nie macie dość granatów, żeby go zmusić do zużycia wszystkich! – wrzasnął, przekrzykując kanonadę.

– Wiem! Masz jakiś pomysł, zanim nas powystrzela?!

Wychylili się i jednocześnie wystrzelili, Jakub z granatnika pepanc, Michał ze swojego, zintegrowanego z karabinkiem. Odwrócony do nich tyłem T-bot maszerował właśnie w stronę kamienicy, skąd od kilku chwil ostrzeliwano go z karabinów przeciwpancernych. Cięższy pocisk, wystrzelony przez Jakuba, zachwiał się w powietrzu i rozpadł na trzy części. Granat wystrzelony przez Rosjanina trafił w lewą nogę na wysokości stawu. Nie wyglądało na to, żeby robot to odczuł.

– Twój trafił.

– Wiem, ale to dwudziestomilimetrowy granat, system rozpoznawczy T-bota ignoruje je, bo i tak nie mogą przebić pancerza. Poza tym zostały mi tylko dwa.

T-bot zatrzymał się jakieś trzydzieści metrów przed budynkiem i zaczął obmacywać ścianę krótkimi seriami.

– Są w środku – Michał wskazał budynek. – Nie zdążyli się wycofać.

W tej samej chwili maszyna odpaliła kolejną rakietę. Pocisk wleciał do środka przez dziurę po drzwiach i eksplodował. Wszystkie okna na parterze rzygnęły ogniem.

Jakub na chwilę przymknął oczy. Kurwa. Najpierw Carmen, teraz inni. Nie, po prostu nie. Założył następny granat.

– Osłaniaj mnie – podnosząc się, syknął przez zęby.

– *Durak*, to nic nie da – Michał złapał go za ramię i osadził w miejscu. – Ja pójdę. W końcu przyszedł po mnie.

Podrywając się do biegu, rzucił jeszcze:

– Arena ignoruje pociski, które i tak nie trafią T-bota. Spróbujcie burzącymi zwalić na niego jakąś ścianę.

Pobiegł, nisko pochylony, klucząc odruchowo wśród ruin. Gdy był jakieś sto metrów od robota, przyklęknął na jedno kolano, złożył się do strzału, jakby był na ćwiczeniach. Zaczął ładować w robota jedną krótką serię za drugą. Nie na oślep, Jakub widział, jak rozpryskuje się głowica optorozpoznawcza umiejscowiona za uszkodzonym wukaemem, po niej eksplodował jeden z graniastych elementów systemu Arena. Michał dobrze wybrał pozycję, między nim a działkiem automatu znajdowała się jedna z potężnych nóg. Robot musiał się ruszyć, jeśli nie chciał stracić większości osprzętu.

Nie odrywając wzroku od pojedynku Dawida z Goliatem, Kuba przeładował granatnik.

– Chudy!

– Jestem! Co ten głupek wyprawia?!

– Próbuje uratować nasze dupy! Ładujcie burzące! Jak będzie przechodził obok jakiejś ściany, strzelajcie w nią! Może się uda!

– Rusza się!!!

T-bot najwyraźniej ocenił, że żołnierz stanowi większe zagrożenie niż kryjący się w kamienicy strzelcy. Zawył silnikiem i zaczął się obracać. Michał rzucił się szczupakiem na ziemię i dwukrotnie wystrzelił z granatnika. Pierwszy pocisk trafił centralnie w bulwiastą narośl z przodu kadłuba, mieszczącą większość czujników maszyny. Drugi poleciał nisko i uderzył w miejsce, skąd wychodziła opancerzona taśma, podająca amunicję do działka. Przez chwilę nic się nie działo, po czym potężna eksplozja poderwała przód robota w górę. Przez chwilę maszyna balansowała na jednej nodze, po czym ciężko klapnęła na brzuch.

– Dostał! Kurwa, dostał!!! Jest nasz!

Jakub nie poznał, kto się rozdarł, ale to nie miało znaczenia, bo radość była zdecydowanie przedwczesna. T-bot poderwał się z ziemi i wyjął wszystkimi silnikami, runął wprost ku miejscu, gdzie wciąż leżał Michał. Wydawało się, że z każdym krokiem przyspiesza. Żołnierz przetoczył się w bok i skulił w jakiejś dziurze. Zbytecznie. Maszyna minęła go i nie zwalniając, popędziła w dół zrujnowanej ulicy.

– Wieje! Wieje do swoich! Zatrzymać go!!!

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Automat został rozbrojony, ale ani pancerz, ani nogi zbyt nie ucierpiały. Brakowało tylko kilku sekund do zniknięcia T-bota wśród ruin.

Jakub wychylił się z dziury i wycelował. T-bot wybrał trasę ucieczki między dwoma kompletnie wypalonymi budynkami. Właściwie zostały z nich tylko frontowe ściany, i nic więcej.

– Dobra – mruknął. – Zobaczymy, czy miałeś rację, ty ruski sukinkocie.

Odpalił pocisk na kilka sekund przed tym, jak automat znalazł się pomiędzy ścianami. Granat minął T-bota w odległości jakichś pięciu metrów i trafił w mur tuż przy ziemi. W chwilę później uderzyły w to miejsce dwa następne.

Ściana zatrzęsa się, zadrzała i powoli, jak na zwolnionym filmie, runęła na ulicę. Wprost na maszynę. Tuman kurzu całkowicie przesłonił widok.

Cisza. A potem mechaniczne rżenie – kupa gruzu poruszyła się.

– Do niego! – Michał biegł już w stronę T-bota. – Dawajcie miny kumulacyjne!

Jakub ruszył za nim. Z ruin wysypało się jeszcze kilku ludzi. Wspięli się na zwałoną ścianę, dopadli maszynę i obsiedli grzbiet potwora jak szczury, które dorwały wreszcie łownego kota. Automat zarządził silnikiem i już, już zaczął wydobywać się spod gruzu. Michał wydawał rozkazy.

– Tutaj, za wkm-em! I z przodu! Dobra. Co to jest?

– C-16 – Chudy podał mu wyładowany plecak.



– Dobra – plecak wylądował w zagłębieniu za „głową” T-bota. – Uwaga! Odbezpieczyć!

Zerwali zawleczeni, do eksplozji ładunków pozostało jakieś dziesięć sekund. Prysnęli na wszystkie strony. W ostatniej chwili. Maszyna zawyła silnikiem i wydobyła się spod rumowiska. Ruszyła naprzód.

Zdażyła zrobić jeszcze jakieś pięć kroków, gdy ładunki przymocowane do jej grzbietu eksplodowały. T-bot stęknął, zrobił kilka chwiejnych kroków, pomiędzy odkształconymi osłonami pojawiły się języki ognia i smugi dymu. Stał. Przez sekundę balansował na ugiętych nogach, po czym przewrócił się na bok. Jedna z nóg zadrżała spazmatycznie. Jakub nie mógł oderwać oczu od powalonego olbrzyma, jego agonia była tak zwierzęca, organiczna... Miał wrażenie, że za chwilę bestia podniesie „głowę” i wyda pożegnalny ryk. Lecz tylko cisza zapadła nad pobojuwiskiem.

– No – Michał wychylił się z za pobliskiego murka. – Teraz już nie wstanie.

Powoli zaczęli gromadzić się wokół maszyny, Michał, Chudy, Karczycho i kilkunastu innych.

– Gdzie Marcin? – Jakub szturchnął najbliższą stojącą dziewczynę w bok, wiedział, że była z jego drużyny.

– Był w tamtym autobusie – wskazała na dopalający się wrak, twarz miała bez wyrazu. – Wypchnął mnie przez okno, sam nie zdażył.

– Gorący?

– Jestem – chłopak właśnie się do nich zbliżał, wspierając się na ramieniu jednego ze swoich ludzi. – Źle stanąłem... teraz... przed chwilą... kurwa...

Gorący odwrócił się do Michała.

– Wróciłeś. Nie znam cię człowieku, ale wróciłeś... kurwa... ja... Dzięki, wykończyłby nas.

Wydawało się, że żołnierz się zarumienił. Otworzył usta.

Jakub chrząknął.

– Później będziesz się krygował. Carmen?

To było głupie pytanie.

– Zaraz po nią pójdziemy Kuba – Karczycho powiedziała to cicho, jakoś miękko. – I po innych też. A teraz... ja... chciałabym...

Chudy chrząknął.

– Wał, mała.

Zdjęła hełm, przeżegnała się.

– Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie...

\* \* \*

Cisza wypełniła piwnicę.

– No, już dość na dzisiaj – pan Marian chwilę nasłuchiwał, uśmiechnął się ciepło i wstał z podłogi. – Widzę, że za bardzo się przejmujecie.

– Nieee. Panie Marianie...

– Dość dzieciaki – pogroził im palcem. – Wszyscy mamy obowiązki, a atak najwyraźniej się właśnie skończył.

Cztery pary oczu wypełniły się zdumieniem.

– Atak? Jaki atak, panie Marianie?

\* \* \*

Michał tkwił dokładnie w tym samym miejscu co poprzednio. Jakub przysiadł się do niego bez pytania. Przez chwilę milczeli.

– Nadal podziwiasz widoki?

– Tak. To... uspokaja.

– Wiem. Mnie też – Jakub podciągnął kolana pod brodę, objął je rękami. – Straciłem dzisiaj dziesięciu ludzi. Więcej niż przez ostatnie cztery miesiące. Niektórych znałem od dziecka, dorastaliśmy razem w bidulu... Będziemy dziś w nocy pić, épać, śpiewać i tańczyć. Może rozpalimy ogniska. To nasze plemienne zwyczaje, barbarzyńska stypa, pożegnanie poległych bohaterów. Jesteś zaproszony.

– Mimo że to ja sprowadziłem tu T-bota?

– Rozmawiałem z paroma chłopakami. Nie sądzą, żeby szedł po ciebie, i ja też nie. Za szybko się tu pojawił i nie poszedł za tobą. Być może Ruscy postanowili wreszcie wykończyć „miejskie szczury”, może planują jakąś większą akcję. Nie wiem. Wiem tylko, że gdybyś nie wrócił, byłoby gorzej. Może nawet załatwiłyby nas wszystkich. Większość chce, żebyś został.

Żołnierz pokręcił głową.

– No nie wiem...

– Podszlifujesz polski, zgubisz akcent, załatwimy ci lewe dokumenty. Za parę miesięcy będziesz mógł iść do Amerykanów – jako nasz, a nie jako ruski dezterter. Twoja dziewczyna też zostanie. Zaopiekujemy się nią.

– To szczodra oferta, komendancie.

Jakub zaczerwienił się.

– Nie chodzi tylko o to, żeby mieć w drużynie dobrego żołnierza. Widzisz, Michał, jak T-bot nas zaatakował... ja... ja myślałem, że to twoja sprawka, że przyszedłeś na przespiegi, a potem dałeś jakoś znać swoim. Ja, cholera, głupio mi... I... dzięki, że wróciłeś, panie Sienkiewicz.

Michał wzruszył ramionami.

– Jedna z dziewczyn chciała, żebym dał jej swój numer telefonu. Zapomniałem w tym zamieszaniu, więc postanowiłem, że wrócę.

– Która?

– Taka wysoka czarnula, ostrzyżona na jeża.

– Mysza. Aha. Co prawda od pół roku jest z Bašką, ale ostatnio o coś się pokłóciły. A ty z tą swoją babską urodą mogłeś jej nawet wpaść w oko...

Uśmiech Michała był szeroki i szczery.

– Mam pytanie.

– Wal.

– Skąd macie ten cały bunkier? Monitory, kamery, sprzęt? Od Amerykanów?

Jakub parsknął pogardliwie.

– Od początku wojny widziałem jedynie kilku, choć zatrzymali się tylko parę kilometrów stąd. Ich pozycje to przede wszystkim automatyczne stanowiska bojowe i okopane roboty. Nie licz na bohaterkich jankesów, którzy będą szturmować ruskie pozycje. W pierwszej linii pójdą nasi, ta tak zwana Pierwsza Armia Polska. To dlatego ciągle trwa „dziwna wojna”, Amerykanie chcą najpierw wyszkolić wystarczająco dużo mięsa armatniego. Myślę, że przed wiosną przyszłego roku nie ruszą, chyba że dogadają się z Rosją za naszymi plecami. Nie pierwszy raz.

– Aha. A moje pytanie?

– Sami zrobiliśmy, to nie problem. Wykorzystaliśmy setki małych kamer i starą sieć internetową. Część światłowodów podciągnęliśmy sami. Mamy podgląd na wszystko, co się dzieje w mieście w promieniu jakichś trzech, czterech kilometrów. Dlatego ciebie też szybko namierzyliśmy.

– Sprytne. Mogę jeszcze o coś zapytać?

– Chcesz wiedzieć wszystko, zanim się zaciągniesz? – Jakub uśmiechnął się krzywo. – Nie płacimy żołdu, chyba że w bimbrze. Ale jak pijesz za dużo, idziesz na odwyk albo wylatujesz. Możesz zapalić trawkę, ale nic poza tym żadnej amfy, „błękitnej damy” czy innego szajsu. Broń i takie mózgojeby nie idą w parze. Każdy musi pracować, robić coś pożytecznego, chyba że jest chory albo ranny. Dziewczyny same wybierają, z kim chcą być, jak ci się decyzja którejś nie spodoba, zaciskasz zęby i jesteś grzeczny. W czasie walki słuchasz dowódcy swojej drużyny lub dowódcy głównego. Jeśli uciekniesz, stchórzysz, zdradzisz, lepiej nie wracaj. W każdej chwili możesz odejść do Amerykanów. Coś jeszcze?

– Właściwie tak. Nie rozumiem pewnego dowcipu, o ile to jest dowcip. Dlaczego jak jedna dziewczyna powiedziała dzisiaj, że miała wielkiego stracha, to druga walnęła ją w głowę, a wszyscy się śmiali? A jak druga powiedziała, że strach ma wielkie oczy, to też się cieszyli? To nie powinno być śmieszne.

– Nabijasz się?

– Nie. Naprawdę nie wiem.

Jakub przyjrzał mu się podejrzliwie. Sama szczerość, psiakrew.

Wyciągnął dłoń.

– Jeszcze się nie przedstawiłem jak należy. Nazywam się Strach. Jakub Strach.  
Kilka wróbli poderwało się z najbliższego krzaka, spłoszonych głośnym śmiechem.

\* \* \*

Obudziło go lekkie dotknięcie. Natychmiast otworzył oczy, w pełni czujny i gotów do działania.

– Panie Marianie... – szept w ciemności zawsze wydaje się cichszy, niż jest w rzeczywistości. Zwłaszcza szept dziecka.

– Marek? – poszukał lampki, zapalił. – O, i reszta muszkieterów. Dlaczego nie śpicie? Maja? Majka, co się stało? Dlaczego płaczesz?

– To przez Carmen, Asię, znaczy się. Ona...

– Wiem dzieci, wiem. Rycerze czasami przegrywają ze smokami – delikatnie objął dziewczynkę i przytulił. – Położyli was dziś wcześniej spać?

– Tak. Powiedzieli, że musimy odpocząć.

– I mieli rację, maluchy. Sen jest najlepszym lekarstwem.

– Niech pan nam opowie, co było dalej.

– Co? A... historię. Teraz? Prawie w środku nocy?

– Tak – oczy Marka, podobnie jak oczy reszty dzieci, błyszczały w ciemności. – My i tak dziś szybko nie zaśniemy.

– Dobrze, ale tylko trochę, bo historia zaczyna się robić paskudna...

\* \* \*

Stypa. Barbarzyńska uczta na cześć poległych. Nie Dziady, nie zawodzenie i rwanie włosów z głowy – lecz tańce, picie, obżeranie się, seks. Jakby ci, co zostali, chcieli przeżyć najlepsze chwile – za tych, co odeszli. Ofiarować je im na ostatnią drogę. Wspominanie dobrych rzeczy i zabawnych momentów.

– Pamiętacie, jak Pająk pokłócił się z Maluchem?

– No. Wrzasnął na koniec „na chuja mi naskocz”!

– Potem pół dnia moczył jajka w zimnej wodzie...

Śmiech, szczery, radosny.

Michał przechadzał się pomiędzy kilkoma ogniskami. Czuł się dobrze. Lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich kilku lat. Prawie jak w domu.

– Wypij! – ktoś trącił go w ramię i wsunął w rękę butelkę. – Wypij z nami, ty ruski sukinsynu!

W głosie nie było obelgi, tylko coś na kształt szacunku. Przyjął flaszkę, stuknął się szkłem i pociągnął. Mocne. Dobrze. W sam raz na stypę.

Ruszył dalej, omijając ogniska. Nie chciał jeszcze przysiąść się do żadnego, chciał po prostu spacerować, ciesząc się chwilą.

Wpadła na niego przypadkiem. Chyba. Zderzyli się i nagle patrzył jej w oczy. Wielkie, brązowe, głębokie.

– Dziękuję, że wróciłeś, Michał – szepnęła. – Gdyby Kuba zginął, ja... nie wiem, co bym zrobiła. Wszystko by tu trafił szlag.

Poczuł, że się czerwieni.

– Nie ma za co.

– Jest. Nic nie mów. Witaj w domu.

Dom. Trzy litery, tyle znaczeń.

– Ja... – zaczął niepewnie.

Już jej nie było. Poderwała się do biegu, znikła w ciemnościach. Po chwili zobaczył ją, jak podchodzi do najbliższego ogniska i siada obok Jakuba. Objęli się i pocałowali. Cholera.

\* \* \*

– Tak, moi drodzy. Królowa spojrzała na pierwszego wasala, on spojrzał na nią i nagle świat wstrzymał oddech, ucichł wiatr, umilkły potoki, rzeki i oceany, owady i zwierzęta. Cały świat zastygł na chwilę, a kiedy ponownie wypełniły go dźwięki, nic już nie było takie samo jak wcześniej. Bo oto dokonana się zdrada.

– Zdrada? Przecież tylko na siebie popatrzyli.

– Bo widzisz, Maju, zdrada to niekoniecznie okłamanie kogoś, oszukanie, czy... no, na to jesteście jeszcze za młodzi. Najgorsza jest taka zdrada, którą popełniasz w myślach – popatrzył gdzieś w ciemny kąt. – W miłości najhaniebniejsza jest nieszczerłość.

\* \* \*

Przyszła do niego grubo po północy. Ogniska zdążyły się już prawie dopalić, ledwo łagodząc mrok czerwoną łuną. Większość biorących udział w libacji przeniosła się do mieszkań w bloku lub okolicznych domach. Najciężej poszkodowani spali wprost na ziemi. Gdzieś w ciemnościach jakaś para dyszała chrapliwie w rytm swojego prywatnego zapomnienia.

Był sam. Siedział przy wygasłym ognisku, pijany bimbrem i odnalezionym po latach poczuciem przynależności. Białoruski sierociniec przeżył z etykietką „przeklętego Polaczka”, traktowany z góry zarówno przez wychowawców, jak i wychowanków. W ciągu czterech lat sześć razy miał połamane żebra, siedem razy palce, stracił pięć zębów, miał pękniętą żuchwę i czaszkę. Siniaków i poparzeń po papierosach nie liczył. Za każdym razem w szpitalu mówił,

że spadł ze schodów. Gdyby powiedział coś innego, po powrocie do bidula nie przeżyłby ani dnia.

Tu było inaczej. Tej nocy wiele razy musiał się napić, wiele razy był poklepywany po plecach, żartobliwie poszturchiwany, obcałowywany przez dziewczyny i raz przez jakiegoś mocno wstawionego chłopaka, który zorientowawszy się w pomyłce, uciekł w ciemność. Nikt nie próbował go opluć, przewrócić, skopać. Trzy dziewczyny złożyły mu dość konkretne propozycje. Wymówił się raną na udzie i wszystkie wyglądały na zawiedzione. Wszystkie też powiedziały mu, gdzie będą spały. Uśmiechnął się na to wspomnienie.

Usłyszał szelest i ktoś usiadł obok.

– Zmęczony?

To była ona, dziewczyna Jakuba.

– Trochę – dobrze, że noc dawała mu pretekst do szeptania, inaczej głos by mu zadrżał.

– Ja też. To był długi dzień, dziś wydarzyło się więcej niż przez ostatnie trzy miesiące...

– A ja już myślałem, że wy tak codziennie...

– Codziennie walczymy z T-botami i tracimy przyjaciół?

Podziękował losowi, że nie widać jego rumieńca.

– Przepraszam – szepnęła i dotknęła jego ręki. – Czasami już tak mam, walę, co mi ślina na język przyniesie, zwłaszcza gdy jestem zmęczona. Jestem zła dziewczyna z poprawczaka i nie umiem inaczej.

Prawie nie słyszał, co powiedziała, jej dotknięcie było jak rażenie prądem.

– Nie... nie gniewam się. Ja też czasami nie myślę, co gadam.

– Cieszę się, że wróciłeś... wtedy. Widziałam wszystko w bunkrze – westchnęła. – Łukasz szykował do walki kolejne drużyny, a ja wiedziałam, że to na nic. Że zanim będą gotowi, robot wszystkich pozabija. Uratowałeś ich.

– Nie przesadzałbym z tym ratowaniem. Świetnie sobie radzili. Poważnie, nawet zawodowa piechota nie rozegrałaby tego lepiej.

– Skromniś.

Nadal ich dłonie się stykały. Czuł narastający łoskot krwi w skroniach.

– Wróciłem i tyle – burknął i odsunął się. – Nie ma o czym gadać.

– Jest – przysiadła się bliżej. – Zimno?

Właściwie dopiero teraz poczuł, że faktycznie jest zimno. Bardzo zimno.

– Trochę.

Przytuliła się i narzuciła na nich koc.

– Dlaczego, odkąd tu przyszedłam, ani razu na mnie nie spojrziałeś?

– Boję się.

– Boisz się? Ty?

– Nie kpij – ciepło bijące od niej było jak płomień, jak żar. – Boję się, że spojrzę raz i nie będę mógł przestać patrzeć. Boję się, że jestem pijany i będę próbował cię objąć i pocałować,

nie... że będę próbował cię objąć i pocałować, usprawiedliwiając się tym, że jestem pijany. A teraz boję się, że zaraz wstaniesz i odejdziesz, a ja zostanę tu sam, plując sobie w brodę. Boję się, że jutro nie będę umiał spojrzeć ci w oczy... wam w oczy, tobie i Jakubowi. Bo ty jesteś...

– Jego? – spytała cicho. – Jak często faceci myślą bycie razem z prawem własności. Nie jestem jego, a on nie jest mój. Jesteśmy razem, a to co innego. I... ja też się boję... Dokładnie tego samego co ty, Michał.

– Och.

Zanim zdążył coś mądrego powiedzieć, zabrała koc i znikła w mroku.

\* \* \*

– Jednak tym, co spowodowało upadek króla i zniszczenie jego kraju, nie była zdrada królowej.

– A co?

– Chciwość, żądza władzy i panowania. Chęć zawładnięcia potężnym magicznym przedmiotem, mającym władzę nad życiem i śmiercią. Tak, dzieciaki. W tamtych czasach było jeszcze wiele takich artefaktów... magicznych rzeczy, znaczy się, mieczy, tarcz, włócznie, zbroi i innych.

– A ten przedmiot? Jak wyglądał? Jak miecz?

– Nie, jak kocioł. Jak zwykły, żelazny kocioł. Rycerze króla poszukiwali go od wielu lat, pragnąc użyć jego mocy do czynienia dobra. Lecz gdy go odnaleźli, okazało się, że jego moc budzi w ludzkich sercach najmroczniejsze uczucia.

Przerwał na moment, popatrzył po kolei na każde z dzieci. Ich oczy znów płonęły mrocznym, wewnętrznym światłem.

– Na dziś dość, maluchy. Widzę, że mi tu zaraz pośniecie na stojąco. Dokończymy tę opowieść jutro.

– Obiecujecie pan?

– Obiecuję.

\* \* \*

– Kuba! Kuba, nie uwierzysz, co znaleźliśmy we wraku T-bota.

Jakub otworzył oczy.

– Twoja gęba, Łukasz, to nie jest najlepszy widok jak na początek dnia – wychrypiał. – Zwłaszcza jak ktoś ma kaca.

– Patrz!

Łukasz położył na stole coś na kształt odwróconego do góry dnem woka. Przedmiot miał szarą powierzchnię i kilka diod przy dolnej krawędzi. Jakub wstał z łóżka, naciągnął koc na

leżącą obok Kaśkę. Dziewczyna miała szczęście, potrafiła spać nawet w czasie ostrzału artyleryjskiego.

– Widziałem już takie. Standardowa kopuła pancerna dla jednostki centralnej. A czego się spodziewałeś? Głównki kapusty? I w ogóle skąd go masz?

– To nasz wczorajszy T-bot. Nie mogłem w nocy spać, więc wziąłem trzech chłopaków i poszliśmy go wybebeszyć, zanim ktoś nam zwinie części sprzed nosa. Zdjęliśmy płytę pancerza, a tu centralna klatka otwarta jak konserwa – i w środku to. Patrz.

Obok kopuły Łukasz położył laptopa, połączył oba urządzenia kablem. Na ekranie rozbłysły szeregi wykresów. Po chwili pojawił się napis READY.

Obaj wpatrywali się w ekran jak zahipnotyzowani.

– Jaja sobie robisz, prawda? – Jakub wbrew sobie zaczął szeptać. – Chcecie mi zrobić kawał.

– Nie. Cholera, nie. Też nie mogłem uwierzyć i dlatego przyszedłem do ciebie, żeby się przekonać, że to prawda.

– Sprawdziłeś na innym sprzęcie?

– Trzy razy. Żyje. Pierdolony procek do T-bota żyje.

Spojrzeni na siebie, szczerząc się jak idioci.

Processor do T-bota był najbardziej poszukiwanym sprzętem rosyjskiej armii. Amerykanie nie potrafili rozgryźć działania jednostki centralnej tych dwunożnych robotów bojowych, a za każdym razem, gdy udawało im się zniszczyć lub uszkodzić jakiegoś T-bota, system autodestrukcji zamieniał wnętrze pancernej kopuły w wypaloną skorupę. Najbardziej fantastyczne plotki mówiły o sieci ludzkich neuronów, namnażanych w przestrzennej, nanodiametrowej siatce. Rzekomo dzięki temu T-boty były takie groźne i miały zdolność uczenia się nowych taktyk w trakcie walki, na bieżąco, jak żywy inteligentny organizm. Po wczorajszym starciu Jakub wcale nie był pewien, czy to bujda. Amerykanie daliby wszystko za czynny procesor.

– Ile może być wart?

Kuba wzruszył ramionami.

– A ile chcesz zażądać? Zapłacą każdą cenę. Pięć milionów, dziesięć, pięćdziesiąt. Zabiorą cię prywatnym odrzutowcem do Stanów, wyładują, gdzie będziesz chciał, i dadzą walizkę pełną forsy. Albo konto w największym banku.

– To klucz do rajku.

– Tak. Klucz do rajku.

\* \* \*

– A wy co? Tak bez śniadania? Od razu do roboty?



Czworo dzieci patrzyło na niego w milczeniu, z powagą nietypową dla swojego wieku. Przestał się uśmiechać.

– Coś się stało?

– Chcemy wiedzieć, jak się skończy ta historia, panie Marianie.

Podszedł do warsztatu, na którym leżał rozłożony na części kałasznikow. Wytarł ręce w szmatę.

– A jak sądzicie? Jak powinna się skończyć? Myślę, że tak jak zawsze, nieprawdaż?

Marek skinął lekko głową.

– To znaczy jak?

– Pamiętacie, na czym skończyła się opowieść? Oczywiście, że pamiętacie. Więc rycerze króla znaleźli magiczny kocioł, który mógł dać im szczęście i radość, a królowa i pierwszy wasal zakochali się w sobie. Ale się porobiło, prawda? Jednak kochankowie ukryli tę miłość głęboko w sercach, oboje bowiem miłowali i darzyli szacunkiem młodego króla. Lecz nie mogli ukryć swoich uczuć przed światem na zawsze. Usiądźcie, tam, na skrzynkach z amunicją. Ja też klapnę sobie, bo stary już jestem. Na dworze był książę, siostrzeniec króla, młodzieniec ambitny i pyszny. Do czasu przybycia pierwszego wasala to on był najważniejszy w zamku, był oficjalnym następcą władcy. Lecz wraz z pojawieniem się obcego, pozycja księcia uległa osłabieniu. Na dodatek chęć posiadania czarodziejskiego kotła drażyła jego serce. Zazdrosny o konkurenta i spragniony władzy nad magicznym przedmiotem, czekał na okazję, żeby zdobyć kocioł, królową i pozbyć się pierwszego wasala...

\* \* \*

Zebrali się w byłej świetlicy. Jakub, Łukasz, Michał, dowódcy drużyn, kilka innych osób tworzących trzon ich małej społeczności. Stali wokół stołu, patrząc na pancerną kopułę wydobytą z T-bota.

– O żesz kurwa – szepnął Gorący.

Łukasz właśnie przed chwilą wyjaśnił im, co to jest. Jak na razie, to był jedyny komentarz.

Jakub postanowił rozładować atmosferę.

– Ktoś ma jeszcze jakieś pomysły? Bo próba wyruchania tego procka, co zdaje się sugerować Gorący, jest z góry skazana na niepowodzenie. Tam nie ma żadnej dziurki.

– To znaczy, że już jakiejś szukałeś?

Wśród zgromadzonych dało się słyszeć nerwowe uśmiechy. Atmosfera się rozluźniła.

Do świetlicy wsunęła się Kaśka, podeszła do niego i przytuliła się.

– Łukasz mi powiedział.

– Dobrze – pocałował ją w czoło. – Mamy tu małą zagwozdkę.

– Jaką zagwozdkę, Kuba? – odezwała się Maria, najstarsza ze zgromadzonych w sali osób, emerytowana nauczycielka. – Sprzedamy go Amerykanom i nie musimy się martwić o nic. Pieniądzy wystarczy na wszystko, aż do wyzwolenia.

Otworzył usta.

– To nie takie proste, pani Mario – uprzedził go Gorący. – Nie możemy po prostu tak sobie do nich pójść. Jesteśmy...

– Jesteśmy jak żebrak, który znalazł na ulicy brylantowy naszyjnik – stwierdził Łukasz. – Co możemy zrobić? Znamy amerykańskie procedury – powiemy Grewersowi, to on natychmiast zamelduje o tym w sztabie, później informacja pójdzie do wywiadu, ci będą chcieli ją zweryfikować i zapytają naszych, nasi będą chcieli położyć łapy na procku, więc wyślą tu jakichś agentów, Amerykanie też. Zrobi się szum i dowiedzą się Rosjanie, a wtedy...

– Chyba wiem już, o co ci chodzi – była belferka uśmiechnęła się łagodnie. – Co więc zrobimy?

Łukasz obdarzył ją ponurym spojrzeniem.

– Zanim cokolwiek postanowimy – powiedział wolno – trzeba ustalić, dlaczego ten ruski sukinsyn stoi tutaj i najwyraźniej czuje się jak u siebie w domu.

Lodowata cisza wylała się spomiędzy jego słów i wypełniła pokój.

– Powtórz – Gorący pochylił się do przodu, odsłaniając zęby w nieładnym grymasie.

– Pytam, dlaczego ta ruska menda stoi tutaj i zna nasz największy sekret.

– Bo – Gorący położył dłoń na kaburze – był tam wczoraj z nami i walczył. I gdyby nie on, nie stalibyśmy tu teraz. Ma prawo.

– Nie wątpię, że ma. I wiele innych praw też. Sam je sobie przyznał, nieprawdaz? – Łukasz odwrócił się do żołnierza.

Jakub uderzył dłonią w stół.

– Wystarczy! Co się z tobą dzieje, Łukasz?! Co masz do niego? Był wczoraj z nami, walczył z T-botem, zna metody działania rosyjskiej armii.

– Ja też je znam. I wiem, że jeśli Ruscy dowiedzą się, że mamy ten procesor, wyślą tu wszystko, co mają, nawet gdyby mieli wciągnąć całą amerykańską armię w bitwę. Załatwią nas artylerią, lotnictwem i bobotami, a potem dla pewności pieprzną tu atomówkę. Wszyscy to wiecie. I właściwie nic do niego nie mam, ty chyba też nie, skoro pozwalasz mu gzić się z Kašką. Gdybym wiedział, że taka będzie nagroda za załatwienie T-bota, sam chętnie nadstawiłbym karku.

– Ty skurwysynu – Kaška szarpnęła się do przodu, Jakub w ostatniej chwili złapał ją za ramię. – Ty niedojebany wypierdku!

– Może i tak złotko – twarz blondyna wykrzywiła się ironicznie. – Ale jak w takim razie nazwiesz siebie?

\* \* \*

Z cienia wyłoniła się jakaś postać. Marian przerwał opowieść i przyjrzał się jej uważnie.

– Nie znam cię, kim jesteś?

– Ona nie mówi, panie Marianie. Dopiero wczoraj do nas przyszła. Razem z tym nowym.

– Ach, z naszym rosyjskim przyjacielem. Jak ma na imię?

– Nie wiemy, ona nic nie mówi, tylko dostaje lekarstwa.

– Widzę to w jej oczach, źrenice ma jak spodki. Chcesz posłuchać opowieści?

Dziewczyna przycupnęła na jednej ze skrzynek.

– Więc dobrze, opowiadam dalej. Młody książę wykorzystał okazję, żeby rzucić oskarżenie na królową i pierwszego wasala...

\* \* \*

– Masz coś więcej niż tylko słowa? – Jakub musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć narastający gwar.

– Nasze gołąbki zapomniały, że tu wokół jest pełno kamer. Mam wszystko nagrane. Ty idziesz spać, a ona zostaje. Podchodzi do niego, siada, przytula się, owijają się kocykiem, pod kocykiem łapki latają im aż miło – Łukasz cały czas uśmiechał się wrednie, ale oczy miał dziwne, obce, nieswoje. – Potem ona wstaje i odchodzi na bok. On jeszcze chwilę siedzi i idzie za nią. Więcej niestety nie mam. Była bardzo zmęczona po tej nocy, nieprawdaż?

Kaśka przestała się szarpać w jego uścisku. Czuł, jak wszyscy patrzą to na niego, to na nią.

Powiedz coś, zła dziewczyno z poprawczaka, poprosił w myślach. Zaprzecz, zaklnij, pluć mu w oczy. Czuł, że ścisła jej ramię mocno, zbyt mocno.

Odezwij się, zła dziewczyno z poprawczaka. Kaśka milczała. Jakub popatrzył na Michała. Żołnierz stał obok, już zdążył się cofnąć o krok, dwa kroki, znów obcy. Patrzył na Kaśkę. Tylko na nią.

Powoli, jakby to nie była jego dłoń, Jakub rozprostował palce i puścił ramię dziewczyny. Na jej skórze zostały czerwone ślady.

– Koniec zebrania – powiedział cicho. – Rozejść się.

\* \* \*

– Co... co było dalej?

Wszyscy spojrzeli na dziewczynę.

– Mówi... Po polsku.

– A czego się spodziewałeś, Krzysiu? Ma buzię, to i mówi. Maju, jesteś ciekawa?

Skinęła głową.

– Więc, moi drodzy, słowa mogą ranić mocniej niż miecz i niszczyć skuteczniej niż rozwścieczony smok. Tych kilka słów rzuconych w sali tronowej zniszczyło świat młodego króla, odebrało mu chęć do życia i siłę woli. Rycerze wierni królowi zwarli się w walce z tymi, którzy uwierzyli księciu. Wielu poległo, inni uciekli. W wielkiej bitwie u kresu czasu cudów król, książę i pierwszy wasal pozabijali się nawzajem, królowa schroniła się w klasztorze, a magiczny kocioł zniknął i nikt nigdy go już nie odnalazł.

– Ale...

– Co, Maju?

– Ale panie Marianie, my... my nie chcemy takiej opowieści. I dlaczego tak szybko?

– Moi drodzy – mężczyzna wstał. – Niektóre historie trzeba opowiedzieć szybko, bo inaczej tracą sens. A poza tym, pani Maria dałaby mi popalić, jeśli dotarłoby do niej, że raczę was opisami krwawych bitew i jatek. Lepiej niech to się skończy w ten sposób...

\* \* \*

– Kuba! Kuba, do cholery! Otwieraj! – łomotanie w drzwi wydawało mu się sprawą odległą, nieważną. Jakby nie walono w jego drzwi.

Siedział w pustym pokoju na materacu i gapił się w ścianę. Gdzieś w piersi, za mostkiem, ktoś, jakaś siła umieściła mu sopel lodu, który nie chciał się roztopić.

Na ścianie naprzeciw wisiało lustro. Widział w nim szczupłego chłopaka w za dużym, źle dobranym mundurze, siedzącego po turecku na materacu i obracającego w dłoniach Glocka. Facet wyglądał obco.

Rozmowy z Kaśką właściwie nie było. Czy to prawda? – zapytał, gdy zostali sami. Nic nie powiedziała, nie pokręciła głową, nie bluznęła wyzwiskami, nie rozpląkała się. W jej oczach... sam nie wiedział teraz, co było w jej oczach. Ból? Prośba? Przyznanie do winy?

Nie potrafił znieść tego spojrzenia, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Gdy był na schodach, wydawało mu się, że zawołała jego imię. Tylko raz.

A teraz nie mógł znieść spojrzenia faceta z lustra, więc wyciągnął broń i strzelił do niego. Odłamki szkła rozprysły się na wszystkie strony.

– Strzał! Kurwa, strzał! Wyważamy! – coś huknęło o drzwi, raz, drugi, trzeci. Za czwartym razem zamek puścił, do pokoju wparowali Gorący, Didżej i Karczycho.

– Żyje – stwierdziła dziewczyna. – Rozwalił lustro.

– Dobrze, że nie łeb. Rusz tyłek Kuba. Jesteś potrzebny.

Jakub powoli zmierzył każde z nich wzrokiem. Wszystko było jakieś takie dziwne, nierzeczywiste, obce, czuł szum w uszach i miał problemy ze skupieniem wzroku, jakby właśnie dopadła go grypa, jakby nadchodziła gorączka i pierwsze dreszcze.

– Łukasz zabrał procek z T-bota i prysnął. Poszli z nim Dziki, Bodek i parunastu innych chłopaków. Mają Kaśkę.

– Co to znaczy... – przełknął ślinę. – Co to znaczy: „mają Kaškę”?

– Jako zakładniczkę. Stara Wertykowa widziała, jak prowadzili ją pod bronią. Poszli w kierunku amerykańskich linii. Będą musieli przejść przez ruiny dworca i stary park, koło stawu.

– Aha – nadal myśli spowijała mu mgła, czuł, że powinien teraz zebrać wszystkich ludzi i rzucić się w pogoń, stanąć naprzeciw Łukasza i zapłacić mu za zdradę. Czuł, że powinna polać się krew. Dużo krwi.

– Jakub – Karczycho podeszła do niego, pochyliła się, złapała go za brodę i delikatnie odwróciła w swoją stronę. – Jakub, minęły trzy godziny, a wszystko tu trafia szlag. Ludzie nie wiedzą, co myśleć, co robić, każdy czeka na rozkazy. Nie wiemy, czy mamy iść za Łukaszem, żeby odzyskać procesor, czy żeby odbić Kaškę. Czy mamy ewakuować kobiety i dzieci? Czy będziemy do siebie strzelać? Do Łukasza? Bodka? Chłopaków? Jesteś nam potrzebny, komendancie.

Krew, wszędzie tyle krwi, prawie czuł jej zapach. Karczycho z głową odstrzeloną przez karabin pepanc. Gorący rozerwany na strzępy wybuchem granatu. Didżej, krzyczący coś wysokim głosem, co jest nieco surrealistyczne, bo zamiast twarzy ma krwawą miazgę. Przyszpilony seria kałasznikowa do ściany Dziki, Bodek z urwanymi rękami, Łukasz...

Łukasz tuż przed nim, oparty o lufę karabinu, zatrzymany w pół kroku, w biegu, ten karabin to jego karabin, on, Jakub, trzyma go w rękach i wie, że dwudziestocentymetrowy bagnet wbity w brzuch Łukasza musi cholernie boleć. Musi boleć jak wszyscy diabli, mimo to blondyn wyciąga z kabury pistolet i...

Zamrugał oczami. Park, staw, tak, właśnie nad stawem, w pobliżu wody. Poczekają na nich. Prawie słyszał w uszach szum fal uderzających o brzeg... jeziora?

\* \* \*

Usiedli we czworo pośrodku pustego pokoju. Od dłuższego czasu nikt nie zwracał na nich uwagi. Dom wypełnił się krzykami, bieganiną i chaosem. Coś złego się stało, a o nich najwyraźniej wszyscy zapomnieli.

– Nie chcę, żeby ta opowieść tak się skończyła. Już nigdy go nie poproszę o żadną historię! – jak na siebie, Weronika była bardzo stanowcza.

– Ja też nie.

– No...

– A chcecie poznać inne zakończenie tej opowieści?

Spojrzeli jednocześnie w stronę drzwi. To była ona, dziewczyna Michała. Żadne z nich nie miało ochoty na nawiązywanie nowej znajomości z kimś tak starym. Mimo tego było coś w jej oczach i głosie, jakaś na wpół wypowiedziana prośba, więc po chwili wahania cała czwórka skinęła głowami.

– Znasz inne zakończenie? – Marek posunął się i zrobił jej miejsce.

– Tak. Ale to wy musicie je opowiedzieć – usiadła pomiędzy dziewczynkami. – Zakończenie będzie takie, jakie je sobie wymyślicie.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

– Niech się pogodzą – Weronika rozpromieniła się szeroko.

– Tak. Niech królowa wróci do króla, a wasal zakocha się w kimś innym!

– Taaak. I niech książę się z nimi pogodzi.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko, samymi kącikami ust. W jej oczach, za zasłoną rozszerzonych źrenic, coś zapaliło się na chwilę.

– Dobrze więc, opowiadam...

\* \* \*

– Jakub! Ocknij się, do cholery – Karczycho potrząsnęła nim bez żadnych ceregieli. – Ten Rusek zniknął. Czy poszedł do swoich? Czy sprzeda nas za informację o procku? Mamy za nim iść? Nie wiemy, co robić! Ty tu dowodzisz, do diabła!!!

Wizja znikła. Znów był w swoim pokoju, siedział na materacu i ścisnął w rękę Glocka. Znów był sobą.

– Nie. On nie wróci do swoich. Jeśli chce odejść, ma takie prawo. Karczycho i Gorący zbierzcie drużyny, idziemy za Łukaszem.

Gorący uśmiecha się szeroko.

– Załatwimy gnoja.

– Nie – Jakub sam się trochę dziwi gwałtowności swojej reakcji. – Żadnego załatwiania. Najpierw pogadamy.

\* \* \*

Mężczyzna nazywany panem Marianem przerwał w piwnicy składanie amerykańskiego M-38 i zamarł. Nagle na jego twarzy pojawiło się zdumienie. Rzucił trzymany w rękę magazynek i pomknął na górę, przeskakując po trzy stopnie na raz. W biegu wyszarpnął z kabury pistolet.

Wpadł do pokoju w chwili, gdy dziewczyna kończyła.

– ...i wtedy król wybaczył księciu, jego serce bowiem...

– Stój! Przestań!

Spojrzała na niego oczami, w których pulsowało światło.

Strzelił z biodra, mierząc w serce. W zamkniętym pokoju huk wystrzału zabrzmiał ogłuszająco, dzieci krzyknęły krótko, wlepiając w niego wypełnione przerażeniem oczy. To

już nie był ich pan Marian. Ten mężczyzna miał dziką twarz, zęby obnażone we wściekłym grymasie i mierzył do nich z broni. Jego palec drżał na spuście.

– Ty dziwko – warknął.

Podszedł do leżącej dziewczyny i kopnął ją w twarz.

– Więc tu się ukryłaś? Myślisz, że wygrałaś? – odezwał się w języku, którego nie używano już od tysiąca lat. – Myślisz, że skoro przejęłaś krąg i splotłaś inną opowieść, to złamałaś klątwę?!

Pomachał jej przed twarzą pistoletem.

– Nowe czasy, nowa magia, moja miła. Zapewniam cię, że nad zamulonym stawem jeszcze raz pozabijają się w walce, a nasza królowa wyląduje w obozie dla uchodźców, gdzie własną dupą będzie zarabiała na chleb. Nie, nie umieraj jeszcze – pochylił się niżej, mówiąc coraz szybciej, w miarę jak świadomość uciekała z jej oczu. – Może i idą tam teraz, żeby się pogodzić, tak jak chciałaś, ale jak myślisz? Czy rzucą się sobie w ramiona, gdy jeden z nich padnie trafiony – zawiesił głos – zagubionym pociskiem? Przegrałaś, znowu przegrałaś, i chcę, żebyś umierając, wiedziała o tym. Do następnego razu, więdźmo.

\* \* \*

Wpadł do zbrojowni, teraz pustej, i rzucił się do stojaka ze sprzętem. Dragunow był jego ulubioną bronią, prosty i niezawodny. Zaczął dobierać inne wyposażenie, kamizelka, kilka granatów, hełm, amunicja, manierka z wodą i trochę racji żywnościowych. Już tu nie wróci, będzie musiał przekraść się do Amerykanów. Być może trafi do jakiegoś obozu, ale to było mało prawdopodobne. Dobry mechanik nie musi się martwić o chleb. Bez względu na czasy i obyczaje.

A gdy krąg się zamknie, gdy poleje się krew, a moc zrodzona z opowieści i ofiary wypełni mu żyły... Dotknął szpakowatego zarostu, popatrzył na dłonie, na których pojawiły się pierwsze wątrobowe plamy. To zniknie, znów zyska dwadzieścia, trzydzieści lat. Do następnego razu...

Poczuł czyjś oddech na karku i szczupła ręka objęła go w pasie.

Przywarła do niego całym ciałem.

– Myrddin Emrys – wykaszała to imię, opluwając go kropelkami krwi. – Merlin, Marian. Zdrajca, który próbował zagarnąć całą moc dla siebie.

Łoskot krwi w uszach na chwilę odebrał mu zdolność myślenia. Trafił ją w serce, umarła na jego oczach. Czytała w jego myślach.

– I na oczach tych dzieci. Ale, mój miły, przecież wiesz, jaki miałam przydomek. Wody zawsze były moim sprzymierzeńcem – napała brzuchem na jego krzyże. – Nawet jeśli to tylko wody płodowe. Powinieneś mierzyć znacznie niżej.

Zrozumiał.

– Czego chcesz?

– Spokojnie... śmierci... wiesz przecież... Nie chcę raz po raz odradzać się, zakłęta w krąg cudzej historii. Ile tego już było? Ile razy splatałeś na nowo tę opowieść, aby wąż ugryzł własny ogon. Król, królowa, młody następca, wasal, który pozwolił sobie na zbyt wiele... Miłość, nienawiść, lojalność, zdrada. Raz za razem... Tyle miejsc, tyle czasów... Tylu ludzi.

Mówiła coraz ciszej, aż wreszcie zamilkła, na wpół wisząc mu na plecach. Jego prawa dłoń zaczęła skradać się do kabury. Rzucił okiem na brzuch, gdzie spoczywała jej dłoń, i znieruchomiał.

– Tak – wyczuł uśmiech w jej głosie. – Oto dylemat. Jeśli nie wyjdiesz stąd w ciągu kilku minut, oni dostaną swoją szansę i może historia potoczy się inaczej. A ty nie masz dość mocy, żeby spróbować zapleść ją jeszcze raz.

Zacisnęła palce na skorupie granatu, aż pobiełały kłykcie. Zawleczka wisiała na kółku nałożonym na jej kciuk jak posępna, czarna obrączka.

– To twoja wina – powiedział szybko, żeby nie dać jej czasu na desperacki krok. – Wtedy, nad jeziorem, w ostatnim dniu starego świata, powinnaś wspomóc mnie, a nie stawać do walki.

– Żeby co, mój miły? Żeby półbóg i bogini razem władali resztkami starego, opierając się nowemu? Ale nasza moc słabła, pamiętasz? Moc zakłęta w ludzkiej wierze, w opowieści... Były czasy... czasy, że naszych opowieści słuchały dziesiątki tysięcy ludzi, zgromadzonych wokół kamiennych kręgów, a ich oczy płonęły w ciemnościach jak latarnie. Dzięki ich wierze tworzyliśmy cuda i dziwy, latające zamki, pancerne smoki, miecze przecinające skałę i kotły zawsze pełne jadła. Potęga wiary... nie ma nic silniejszego pod gwiazdami. I co ci dziś zostało? Czwórka dzieci, które uwierzyły w bajki...

– Mogłaś mnie wspomóc, wtedy, nad jeziorem, gdy ta banda głupców rzuciła się sobie do gardeł – zaczął szybko, nie odrywając wzroku od jej dłoni. Palce przyciskające łyżkę do skorupy granatu drżały. – Moc kotła i moc jeziora mogły powstrzymać szaleństwo.

– Tak. Kocioł. Pragnąłeś go ponad wszystko. Władza nad śmiercią, wieczne życie. Tego pragnąłeś, ponad wszystko. To dlatego podsunąłeś Arturowi pomysł poszukiwań. Sam nie wysłałby po niego ludzi, bo miał na głowie Sasów.

– Ale to twoja wina – syknął.

– Moja? Dlaczego? Bo ci się sprzeciwiłam? Moc kotła przeciw mocy świętego jeziora. I powstał wir, który wszystko pochłaniał. Ale to ty nadałeś mu kierunek... Jak długo cykl się powtarza, jak długo wąż gryzie własny ogon, tak długo ty i ja istniejemy, prawda? Pamiętasz ostatnią bitwę? Gdy stałeś nad brzegiem jeziora... trzymając w dłoniach okrwawiony królewski miecz? Gdy całe twoje marzenie o ocaleniu starego świata i zostaniu jego bogiem legło w gruzach, co zrobiłeś? To było twoje życzenie, mój miły...

Wydała cichy jęk i zamilkła. Spiął się. Jeśli zdoła złapać ją za dłoń, nie dopuścić, żeby zwolniła łyżkę...



– Chciałeś cofnąć czas, żeby to wszystko nigdy się nie wydarzyło i żeby można było wszystko zacząć od początku. I wymówiłeś je nad jeziorem, w chwili, gdy krew z pola bitwy mieszała się z jego wodami. I wiesz co? Wąż zacisnął zęby na ogonie, lecz nie tak, jakbyś sobie tego życzył... Oni wszyscy wędrują przez czas, król, królowa, wasal, młody książę i inni, powtarzają... powtarzają swoje życie i nie mogą się uwolnić. A ty wraz z nimi, wędrujesz i zmuszasz, żeby raz za razem odgrywali opowieść. To dlatego, że wszystkich historii starego świata, ta przetrwała aż do dziś. Bo ludzie, tysiące ludzi widziało ją na własne oczy... A ty, za każdym razem, chłepcesz moc powstałą z rozlanej krwi i przedłużasz sobie życie o kilkadziesiąt lat...

– Rhiannon – nazwał ją starym, bardzo starym imieniem.

– Nie mów tak do mnie – warknęła, pryskając kropelkami krwi. – Nauczyłam cię wszystkiego, co umiesz, kochałam i wierzyłam. A ty zdradziłeś mnie, oplątałeś czarem i skazałeś na wędrówkę przez czas, bo przecież Pani Jeziora też tkwi w tej historii, nawet jeśli jest tylko postacią drugiego rzędu. Ja... Chcę już odejść.

Jego dłonie błyskawicznie zatrzęsnęły się na jej ręce. Zacisnął je tak, aż poczuł, jak łamią się jej palce. Jęknęła cicho.

– Ale jeszcze nie – powiedział cicho i zadziwiająco spokojnie. – Jeszcze nie teraz, moja miła. Teraz ściągniemy ci z kciuka zawleczkę i ładnie włożymy ją z powrotem, dobrze?

Zaśmiała mu się wprost w ucho.

– Nie da się – szepnęła.

Znieruchomiał.

– Co?

– Nie da się wyciągnąć zawlecзки granatu kciukiem dłoni, którą ten granat trzymasz. Powinieneś wiedzieć. Ta zawlecзка jest od tego...

Pokazała mu drugą rękę.

– Może i pozabijają się nad tym stawem... ale to będzie ich wybór... test przyjaźni i lojalności. Żadnych oplatających ich opowieści. Teraz będą wolni.

– Pani...

– Ciii... Jak to zwykle mówisz, mój miły? – szepnęła. – W miłości najhaniebniejsza jest nieszczerłość?

Puściła granat i przylgnęła do niego z całych sił.

\* \* \*

Dogonili ich szybciej, niż można się było spodziewać. Łukasz stał w ruinach dworca sam, bez broni, nie licząc pistoletu w kaburze. Jego ludzi nigdzie nie było widać, ale Jakub wiedział, że gdzieś tam są. Dwoma gestami nakazał rozproszyć się swoim wśród ruin. Podszedł do blondyna.

– Czy jeśli powiem, że nie wiem, dlaczego to zrobiłem, to coś zmieni?

Cholera, nie tego się spodziewał. Nie po Łukaszu.

– Niewiele, ale trochę na pewno – powiedział, rozglądając się na boki.

– Kuba... ja...

Dopiero teraz przyjrzał mu się uważnie. Łukasz był blady, trzęsły mu się ręce, pocił się.

– Kuba, ja nie wiem, co się ze mną działo... Dzisiaj, wczoraj wieczorem. Gdy pozwoliłeś zostać temu Ruskowi, poczułem nagle, jakby on był ważniejszy ode mnie, jakby miał zająć moje miejsce – objął się rękami, jakby nagle zrobiło mu się zimno. – Skłamałem dziś rano... O nim i o Kaśce. Chciałem... nie wiem, ukarać was... ciebie... ją i jego... Zachowałem się jak ostatni skurwysyn.

– Powinienem – Jakub nie patrzył już na blondyna, tylko na trzymany w rękach karabin. – Powinienem obić ci mordę. Powinienem tak cię skopać, że wysrałbyś własne nerki, ty pierdolony pojebie. A potem powinienem pójść do Kaśki i pozwolić jej zrobić ze mną to samo. Bo ci uwierzyłem, bo nie stanąłem przy niej, bo, do ciężkiej kurwy nędzy, sam również nie wiem, co się ze mną stało. Nic jej nie jest?

– Nie.

– Chcecie wrócić czy odejść?

– A mamy wybór?

Ruch! Z lewej! Jakub rzucił się na ziemię, szukając bronią celu. Kątem oka zarejestrował, że Łukasz robi to samo.

– Nie strzelać! – wrzasnęli jednocześnie.

Z morza ruin przed nimi wyłoniła się ludzka sylwetka.

– Hej! Nie strzelajcie.

Michał?

Podnieśli się obaj, jednocześnie opuścili broń. Michał podszedł do nich z niepewnym uśmiechem na ustach.

– Kuba... ja...

– Zamknij się. Wiem już wszystko. Co tu robisz?

– Ja... – Michał zaczerwienił się po czubek głowy. – Ja czułem, że muszę iść pomóc Kaśce. Kuba, my nie...

– Wiem. Nic nie gadaj. Łukasz przyprowadź ją.

Blondyn zmarkotniał, opuścił głowę.

– Ale Kuba...

– Czego – był zbyt zmęczony i zły i jednocześnie, wbrew wszystkiemu, cholernie, absolutnie szczęśliwy. Szum jeziora, który dłuższy czas wypełniał mu głowę, ucichł.

– Nie dasz jej od razu broni do ręki, prawda?

Roześmiał się na całe gardło, po nim Michał, a po chwili dołączył Łukasz. Śmiali się, stojąc wśród ruin, a pobliski staw mlaskał sennymi falami o brzeg.

*Robert M. Wegner*

**Cezary Zbierzchowski** – rocznik 1975, absolwent Wydziału Polonistyki UW. Mieszka i pracuje w Warszawie. Żonaty, ojciec bliźniąt: Weroniki i Rafała. Debiutował opowiadaniem *Innego nie będzie* w „Ubiku” w marcu 2004 roku. Opowiadanie *Moneta* weszło w skład antologii *Bez bohatera*. Autor zbioru opowiadań *Requiem dla lalek*.

Dwukrotnie wyróżniony przez redakcję „Nowej Fantastyki”: w konkursie O. S. Carda za miniaturę *Realis* oraz w konkursie „Przestrasz siebie i nas” za quasi-horror *Bestiariusz*. Publikował w „Nowej Fantastyce” i „Science Fiction, Fantasy & Horror” oraz w sieciowym dwumiesięczniku „Creatio Fantastica” (cykl felietonów *W okowach fantazji, w pajęczynie realu*). Wielbiciel pisarstwa Dicka, filmów Lyncha i malarstwa Beksińskiego; z polskich autorów najchętniej czyta Jacka Dukaja

### **O fantastyce i pisaniu:**

Pisanie bez fabularnej tarczy jest zbyt dosłowne i intymne; nie mógłbym pisać pamiętnika ani konfesyjnej, ultranowoczesnej prozy. Potrzebuję konwencji, maski bohatera i osi wydarzeń; scenografii, suspensów, metafor i wszystkich tych niezwykłości, które oferuje literatura, a zwłaszcza – fantastyka. Dopiero wtedy piszę od siebie i o sobie – kierując te słowa nie w próżnię własnego umysłu, lecz do czytelnika, który przywoła podczas lektury doświadczenia swojego życia.

Literatura to przede wszystkim dialog, stawianie pytań, mnożenie wątpliwości, mierzenie się z tajemnicą; wielkie morze zagadek. To także wentyl bezpieczeństwa, przez który ucieka ścisłana przez codzienność para wyobraźni, ciśnienie wielkich marzeń. Bez przesady mogę przyznać, że to nie ja wybrałem fantastykę jako metodę na radzenie sobie z chaosem, z samotnością, jako ucieczkę i sposób na zbliżenie się do ludzi, do prawdy o sobie i świecie. Gdzieś w zamierzchłej przeszłości to ona mnie znalazła: te wszystkie książki, które czytała mi matka (Andersen, baśnie ludowe, bracia Grimm). A potem czytałem już sam, przy latarce, pod kołdrą albo na nagrzanym słońcem tarasie w długie, leniwe wakacje (Verne, Konwicki, dużo horrorów, strzępy Lema, historie niesamowite i kryminały).

Wszystko układało się samo: w podstawówce pisałem olimpiadę z Schulza, bibliotekarka podsunęła mi *Grę w klasy* i *Sto lat samotności*. Potem, w liceum, kolega pożyczył zbiór Dicka i pierwszy numer „Fantastyki”; zapadałem się w magiczny świat, coraz głębiej i głębiej. Nasze skłonności i gusta są wypadkową tylu rzeczy – sprawą genów, nieświadomych potrzeb i zimnych planów, skutkiem wychowania i wpływu środowiska, a zwłaszcza rówieśników. Dlaczego ktoś lubi czekoladę, inny walki bokserskie lub sklepanie samolotów, a jeszcze inny przebiera się w damskie ciuchy i paraduje przed lustrem? Dlaczego JA lubię literaturę i jestem od niej uzależniony tak bardzo, że koniecznie chcę stworzyć kawałek alternatywnego świata?

Próbuję odpowiadać na to pytanie każdym tekstem i zadawać je na nowo; dla mnie to więcej niż rozrywka, to sposób na poznanie siebie, na wyrzucenie z „wewnątrz” tej czarnej mazi, w której znaleźć można błyszczące okruchy. Podświadomie czuję, że fantastyka nie wstydzi się treści, że nie przeżarła jej pleśń rozbuchanego bełkotu, z którego każdy może wyczytać dowolną mądrość i dowolną głupotę; tu, w tej krainie wiecznej swobody, nie lekceważymy tylko jednego pierwiastka konstytuującego nasz wszechświat – ludzkiego rozumu. Ku mojemu zadowoleniu science fiction staje się coraz bardziej humanistyczna, introspektywna, psychologiczna. Taka właśnie, jaką chciałbym stworzyć, jeśli wytrwam w oślim uporze człowieka, który pisze po godzinach. Mam za sobą publikację około dziesięciu opowiadań, dwa drobne wyróżnienia i pierwszą samodzielną książkę, w której zebrałem najważniejsze teksty. Teraz przyszedł czas na pisanie powieści.

Wiem, że cokolwiek by się działo, trzeba realizować swoje marzenia, w przeciwnym wypadku pod koniec życia będziemy czuć wielki, niewyobrażalny smutek.

**Cezary Zbierzchowski**

## **Płonąc od środka**

*Rukola położona jest nad Jeziorem Haskim, około piętnastu kilometrów na południowy zachód od miasta Ramma; od północy graniczy z St. Nevil. Zaszynęła na przełomie XIX i XX wieku jako letnisko i uzdrowisko – z St. Nevil można tu było dotrzeć między innymi tramwajem konnym. W 1927 roku Rukola została połączona z Rammą linią Ekspresowej Kolei Miejskiej. Na uzdrowiskowo-letniskowy charakter miejscowości miało wpływ jej usytuowanie wśród malowniczych, atrakcyjnych turystycznie kompleksów leśnych. Już w okresie międzywojennym na terenie dzisiejszego szpitala znajdowało się sanatorium dla nerwowo chorych. Przypomina o tym między innymi nazwa ulicy, przy której położony jest ośrodek – Aleja Sanatoryjna.*

*Przewodnik turystyczny Huebla*

Wieczorami Weles wraca do krainy żywych. Rozpaczliwie nadrabia zaległości, przez kilka godzin zużywa cały zapas energii. Czyta książki, pali papierosy, słucha elektronicznej muzyki, rozmawia przy kolacji z właścicielką mieszkania, pali papierosy, brzdąka jednym palcem na syntezatorze, pisze eksperymentalną powieść, przegląda gazety, pali papierosy i myśli bez wytchnienia o Karen. O tym, że jest daleko, że nie odejdzie nigdy od tego sukinsyna, że nie potrafi jej zdobyć. Imię odmieniane przez wszystkie przypadki, a także przez osoby i czasy, chociaż Karen jest nieodmienna. Powtarza ciągle, że ją kocha, nie wiedząc, co znaczy to słowo. Kocham cię, Karen, kocham cię, Karen, kocham cię. Kompulsywna pozytywka, przez którą niczego nie kończy, niecierpliwie krążąc po pokoju, na dziesiątym piętrze szarego wieżowca.

Pokój jest mały, długi i wąski jak kolejowy przedział, przypomina zakleszczony umysł. Weles nasłuchuje odgłosów zza ściany – starsza pani ogląda wiadomości, sport, reklamy, prognozę pogody, serial o miłości. Kocham cię, Karen, kocham cię, do cholery! Błądzi wzrokiem po zadymionym wnętrzu, uchyla drzwi na mikroskopijny balkon, przypomina sobie

o jutrzejszym spotkaniu. Co robić? Jak tam dotrzeć? Po co ten wysiłek, skoro całe życie nie ma sensu? Gorączka błyszczy w jego oczach, słońce odbija się w oknie wieżowca przy ulicy Dokowej, nieopodal gottańskiego cmentarza w samym sercu Rammy. Robi się coraz później.

Dwadzieścia kilometrów dalej, w starym domu na obrzeżach St. Nevil, doktor Izaak Schenker odprawia wieczorny rytuał. Zanim wejdzie do celi sypialnej, bierze długą kąpiel w wodzie skropionej wonnymi olejkami. Na stoliku czeka bursztynowy drink. Siwe włosy i zmierzwiony zarost szybko stają się wilgotne od pary i potu. Doktor przygotowuje się do przejścia przez ogień. W myślach powtarza kilka najważniejszych zdań – przykazania, którymi kieruje się w życiu, słowa szaleńca w nawiasie precyzyjnego umysłu. Wszyscy ludzie są opętani, a siła opętania zależy od rozmiarów duszy. Demony to byty półrozumne, powstałe z szarego plazmatu; powodują fizyczne cierpienie i skarłowacenie jaźni. Opętanie jest zaraźliwe, kompleksowa terapia daje jednak obiecujące rezultaty... Powtarza, żeby nie zapomnieć, żeby prawda o najcięższej chorobie ludzkości była pierwszą myślą, gdy otworzy oczy o poranku.

Długo wyciera się ręcznikiem frotte, potem zakłada na rozgrzane ciało biały kąpielowy szlafrok. Starannie sprawdza, czy zamknął drzwi wejściowe, włącza czuły alarm chroniący ogrodzenie i parter domu. Wreszcie udaje się na górę, człapie wolno po schodach – kraciasty kapeć za kraciastym kapciem. Boi się, ale ma w sobie zbyt dużo pokory, by odrzucić swoje powołanie. Zostawia szlafrok na wieszaku, wchodzi do pokoju ze srebrzystymi ścianami, podłogą i sufitem. Wszystko ognioodporne, w najlepszym gatunku; przez wzmocnione okno w dachu wpadną o świcie pierwsze promienie słońca. Teraz na zewnątrz zapadł zmrok, sztuczne światło powoli przygasa. Słychać szum klimatyzacji zbudowanej z filtrów, agregatów i korytarzy rur. Schenker kładzie się na miękkiej podłodze, podkładając pod policzek dłoń zamiast poduszki. Po nagim ciele przebiegają dreszcze.

Weles nie śpi i wie doskonale, że nie zmrzuci oka całą noc. Co kilka minut zerka na czerwone cyfry budzika, rzuca się na łóżku, jakby był owinięty w monstrualną sieć. Przestraszona ryba na dnie łodzi. Gardło zaciśnięte złością skierowaną do wewnątrz, mięśnie napięte w jałowym wysiłku. Obraca w myślach swoją śmierć, piękną kryształową czaszkę; rozgniata też palcami rozpulchnione życie, które jest zbyt wstrętne, aby stawić mu czoła. Ma uczucie, że świat nie jest całością, składa się z niepasujących do siebie elementów. Puzzle leżą na ogromnym stole, rozrzucone ręką kapryśnego dziecka, przeganiane przeciągiem i wiatrem historii. Dlaczego tak wyraźnie to widzi? Prawie fizycznie czuje dotknięcie entropii.

Rozkłada w ciemności wielkie, srebrzyste skrzydła; metaliczne lotki drapią o bielone ściany, wydając przy tym nieprzyjemny odgłos, stukają cicho o szklane drzwi starego regału. Gdyby żył na pustkowiu, w błyszczącej powłoce piór odbijałaby się twarz księżycy, ale Weles mieszka w wielomilionowym mieście, gdzie nie widać gwiazd, gdzie każdej nocy nad dachami płonie rdzawa luna. Tylko blask ulicznych lamp pada na chude ciało chłopaka. Przez moment lewituje w powietrzu, by upaść z łoskotem na twardą podłogę. Oby tylko nie zbudzić

gospodyni – wstrzymuje na moment przyspieszony oddech. Granica pomiędzy samouwielbieniem i pogardą dla siebie jest cienka i płynna, przemyca swoje „ja” przez tę granicę, marząc o pozbyciu się cielesnej powłoki. Jaki to wstyd istnieć w świecie ludzi, w najbardziej niedoskonałym, prymitywnym świecie, jaki można sobie wyobrazić. Cholerny wstyd. I wielka niewygoda.

Próbuje przypomnieć sobie, jak dojechać do Rukoli. Sprawdzał przecież tyle razy, upewniał się na stacji EKD, o której odjeżdża kolejka. Liczy w myślach przystanki, szacuje, ile zajmie mu droga na miejsce. Może powinien jechać wcześniej? Był tam tylko raz, w odwiedzinach u starego znajomego, ale nie zwracał uwagi na takie szczegóły. Podróżował autobusem, pełna egzotyka, smród spalin i rozlane piwo. Nie przypuszczał, że znowu zawita w to miejsce, nawet nie przeszło mu przez głowę, że zwróci się do Nich o pomoc. Spogląda na zegarek: czerwony kwadrans po czwartej. Nadchodzący dzień wywołuje pierwsze mdłości.

\* \* \*

Izaak Schenker patrzy w niebo, strzepując z ramion ziarenka popiołu. Uwielbia to ogromne okno, przez które widać wielki błękit. Wyostrza wzrok, myśli i wolę. Jeszcze na drżących nogach schodzi w dół, do pastelowej kuchni, aby wypić pierwszą tego ranka kawę. Wschód słońca przenika jego ciało błękitno-różowymi pasmami, eteryczne morze świeci wewnętrznym blaskiem.

O ósmej przychodzi Natalia, która zajmuje się domem. Dziewczyna sprząta, pierze i prasuje, dba o wystrój wnętrza, gotuje naprawdę świetnie. Czasem bijący od Izaaka żar przyciąga ją tak mocno, że kocha się z nim. Nigdy nie pozwolił jej nocować, ale nie domagała się wyjaśnień, pogodziła się ze swoim miejscem. Doktor ma dwie godziny na zaplanowanie dnia, na złożenie w całość codziennej układanki. Wszystko rozwija się, wzrasta, zapuszcza coraz głębiej korzenie, żal będzie zostawić kiedyś ten świat. Przegląda terminarz dostarczony mailem przez sekretarkę. Na dziś przewidziane jest, jak w każdy poniedziałek, spotkanie społeczności, potem dodatkowa superwizja z zespołem terapeutycznym; około południa ma dwie konsultacje.

Czterdziestopięcioletnia kobieta, matka dwojga dzieci, z objawami melancholii. Z opisu lekarza kierującego można wywnioskować, że nie posiada duszy, czarna plama rozgościła się na dobre w jej umyśle, wypełniła całą przestrzeń. Beznadziejny przypadek, ale ludzki personel będzie kierować ją uparcie do kliniki; trzeba wpisać pacjentkę na listę oczekujących. Bardziej obiecująca jest charakterystyka dwudziestoletniego studenta, pełna sprzeczności i niedomówień. Wskazuje na gwałtowny rozwój sił twórczych przy całkowitym upośledzeniu empatii. Schenker widzi oczami wyobraźni stojącą za chłopakiem bestię. To może być interesujące doświadczenie, chociaż rozmowy z pierzastym pomiotem toczą się w kosmicznej ciszy i nawet po tylu latach wydają się absurdalne.



Weles wypełza z łóżka po nieprzespanej nocy. Bierze gorący prysznic, zjada bułkę z jogurtem, medytuje nad pustym portfelem. Szczeka zębami od wewnętrznego chłodu; w sercu narasta tępy ból, którego nie potrafi nazwać. To poczucie krzywdy, że musi po raz kolejny wyjść z domu, wsiąść do autobusu i załatwić swoje małe sprawy. Przyziemne, wstrętne i nie do zniesienia – życie, które wydaje mu rozkazy, despotyczny karzeł. Musi jechać na uczelnię po zaświadczenie, które pokaże w sekretariacie kliniki. Miał na to cały miesiąc; teraz może nie zdążyć, połamie sobie nogi w niepotrzebnym sprincie.

W drodze na przystanek zakłada czerwone okulary. Nadaje wściekłą barwę wszechobecnej szarości. Nie zauważył, że niebo nad nim od wielu lat jest czarne, cała atmosfera uciekła daleko w próżnię. Księżycowy krajobraz zalany jest bladą poświatą, która razi w oczy, ostre cienie wędrują po trupich ulicach. Wskakuje do sto jedenastki w ostatnim momencie, drzwi zamykają się z sykiem; przez całą drogę myśli, że jest cholernym szczęściarzem. Potem czeka pod drzwiami dziekanatu i okazuje się pechowcem. Skołatany mózg nie potrafi poradzić sobie z dysonansem, nie potrafi przyłożyć do rzeczywistości żadnego z usztywnionych wzorów. Weles boi się spotkania z Karen. Minał czas, kiedy spojrzenie na nią było jak powiew świeżego powietrza, jak solidny strzał w żyłę.

Drzwi otwierają się. Wyciąga srebrną łapę w kierunku dziewczyny z dziekanatu. Dusi ją w milczeniu, wydłubuje oczy pieczętkami. Podrzyna gardło plastikową okładką na indeks, dziewczyna pluje krwią na zasłane papierami biurko. Wróć: Weles gniewa się w ukłonach za to, że zgodziła się wydać świstek papieru przed śniadaniem, że nie odesłała go na jutro. Dziękuje jej kilka razy, wychodzi na korytarz na kolanach. Mógłby ją rozszarpać, naprawdę mógłby to zrobić, ale nie zniży się do poziomu zero, nie przemiesza się z ludzkim błotem. Najważniejsze, że nadal ma szansę dotrzeć do Rukoli na czas.

Doktor zerka na zegarek w samochodzie. Z domu w St. Nevil do kliniki ma niecałe dziesięć minut drogi. Mija łąki, zieleniące się majową, młodą trawą. Tu i ówdzie pasą się łaciate krowy. Sielski widok, gdyby nie druty elektrycznych pastuchów. Bierze ostry zakręt i jedzie wzdłuż wysokiego, spękanego muru ośrodka. Malowany tanią białą farbą z domieszką krwi nieproszonych gości. Demony boją się przekraczać jasny mur, a tam, gdzie go zabrakło – bieloną siatkę i rzędy kamieni wkopane w ziemię. Kiedy wchodzi do azyłu przez bramę, są przerażone. Na swój własny, ćwierćinteligentny sposób przeczuwają nadchodzące piekło samoświadomości. Na szczęście pojmują wszystko zbyt późno, by powstrzymać ludzi przed podróżą; udaje się tylko najsilniejszym.

Parkuje przed starym pałacem przerobionym na szpitalny budynek. Dobudowane byle jak drugie piętro różni się kształtem okien od niższych poziomów, ale to nieważne. Surowość tego miejsca jest zasłoną dymną, maskuje wybuchające tutaj gejzery emocji. Radość przynosi każdy widok uwolnionej duszy. Doktor uśmiecha się, gdy siedzący na ławkach pacjenci pozdrawiają go z nabożnym szacunkiem. Większość pali papierosy, próbuje na nowo stąpać po twardej ziemi, szuka promieni słońca. Wiatr przegania po alejkach szare, splecione

tysiąckrotnie kłębki nerwów. Dyżurni nawołują na spotkanie, znoszą krzesła do przeszklonej świetlicy. Jest dobrze, znajomo, wszystko na swoim miejscu.

\* \* \*

Pogarda dla innych oraz pogarda dla siebie – za wieczny pośpiech, za niemożność życia poza czasem, niemożność zaprzeczenia prawom fizyki. Weles wrywa bilet z rąk kasjerki i wskakuje do wagonu EKD, tłumiąc oddech po szaleńczym biegu podziemiami; pasażerowie nie mogą usłyszeć, że ziejże jak pies. Pomylił godzinę odjazdu, czeka dziesięć minut na skrzekliwy sygnał. Odwraca się do szyby i ogląda w czarnym lustrze twarz człowieka, którym stał się przez ostatni rok. Pociąg sunie tunelami wydrążonymi pod miastem, potem wyjeżdża na powierzchnię – przystanek Ramma Zachód. Chłopak zakłada słuchawki, żeby przemycić do zatłoczonej kolejki pustkę peronu, ale bateria zdycha w najgorszym momencie.

Jest skazany na sąsiedztwo robotników, którzy z białymi reklamówkami w garści przycupnęli na czerwonych plastikowych krzesłach. Ich drelichy śmierdzą potem, oddechy piwem, a skóra mocnymi papierosami. Cała czwórka ma już dobrze w czubie, ciągle myślą im się rozdawane karty. Najmłodszy wstaje i majstruje przy zniszczonym oknie, usiłując je otworzyć. Siwy pyta bełkotliwie: A co, masz coś? Chwila na zastanowienie. Nie mam. A chęci masz?! Mam. No to siadaj! Młody wraca posłusznie na miejsce, a Weles nie może pojąć, o co chodzi tym półgłówkom; na wszelki wypadek przeciska się w głąb wagonu. Czuje mrowienie w plecach, jakby za moment miały z nich wyrosnąć błyszczące igły.

W połowie drogi pociąg hamuje gwałtownie i zatrzymuje się w szczerym polu. Wśród stłoczonych ludzi narasta szmer, a także piekielne gorąco, gdy przestaje wiać z uchylonych okien. Coś porusza się wewnątrz Welesa i próbuje schować się jeszcze głębiej, na dnie ciała. Chłopak oddziela się od tłumu murem wyobraźni; myśli o białym jednorożcu, który wpadł pod koła lokomotywy. Połamane kopyta i złoty róg na czole, ciemnowiśniowa krew bucha na miękka, gładką sierść i posklejane strąki grzywy. Przerażone oczy zwierzęcia wpatrują się szklistym wzrokiem w demona. To będzie piękna scena do pisanej w trudzie powieści, mocna scena. Weles nienawidzi Karen i naprawdę to jej życzy śmierci.

Doktor Schenker schodzi po zebraniu do podziemi budynku, potrzebuje chwili skupienia. Ciągłe ma przed oczami konstelację światła nad głowami pacjentów i personelu, rozkład cieni i błyszczących linii życia. Niektóre zmiany napawają go dumą, inne wzbudzają niepokój. Dwóch pacjentów w rogu sali spowiała mgła tak gęsta, że ledwie widzi ich twarze. Są na skraju samobójstwa, podobnie jak młoda psycholog z pierwszej grupy. Przez ostatni miesiąc stało się coś strasznego, zablokowała wszystkie kanały, którymi próbował nawiązać z nią kontakt. Musiała zaprosić do siebie zło.

W piwnicy znajdują się kotłownia, pralnia i natryski. Są tu pomieszczenia gospodarcze, dodatkowa toaleta dla pacjentów z problemami gastrycznymi i klub pensjonariuszy „Smocza

jama". Na końcu korytarza stoi zardzewiałe, nieużywane od dziesięcioleci krzesło do elektrowstrząsów. Schenker kazał zostawić je tutaj, by czasem przypominać bestiom, jak traktowano je w przeszłości. Dziś też chętnie przypiąłby do najtwardszych głów elektrody, ale wie doskonale, że w ten sposób można zabić duszę. Nie zaryzykuje tak bardzo. Kiwa głową i pociera w zamyśleniu brwi. Patrzy na drzwi obok krzesła, zamknięte na okazałą kłódkę. Prowadzą do pustego pomieszczenia, w którym kiedyś składowano wypraną pościel i obrusy. Bywa tam naprawdę rzadko, ale za to w doborowym towarzystwie.

Postój kolejki nie trwał długo i Weles dociera do Rukoli o czasie. Pyta starszego mężczyznę o drogę do szpitala. Do szpitala? Dziadek wpatruje się w niego z niepokojem. Chodzi panu o sanatorium? Tak, o sanatorium. Pójdzie pan do końca tą ulicą, potem w lewo, zaraz potem w prawo – z daleka widać biały mur. Dziękuję bardzo! Zarzuca na ramię mały plecak i maszeruje Parkową, główną aleją miasta. Stuletnie lipy, kasztanowce i klony rzucają w gorące południe przyjemny cień, ale on nie zauważa drzew, pogrążony w myślach o czekającym go spotkaniu. Jak Oni mogą mu pomóc? Co wiedzą o jego życiu? Czeką go kolejne rozczarowanie, nic więcej.

Zamiast modlić się żarliwie, powtarza w myślach fragment wiersza:

*Zjechałem tu nie w porę  
Sezon jeszcze nie otwarty  
A już miejscowi mówią  
Że tu się nic nie zacznie.*

Próbuje bagatelizować, ośmieszać i niszczyć, bo nie potrafi oswajać. Droga do ośrodka zajmuje ponad kwadrans, przez ten czas dźwiga swoje wątpliwości, czuje coraz większy ciężar w karku i na plecach, które pokryły się chłodnym metalem. Nie myśli o Karen, jej twarz nie pojawia się przed oczami. „Karen” jest słowem bez desygnatu, pustą zbitką dźwięków. Wymawia je uparcie, ale równie dobrze mógłby naśladować warkot przejeżdżającego samochodu; chodzi tylko o wypełnienie dziury w głowie. Zacisnąłby oczy ze strachu, gdyby nie bał się, że ktoś zrobi mu krzywdę. Zacisnąłby pięści i uderzał na oślep, ale dotyk własnej skóry jest ohydny, dłonie oblał zimny pot, którego nie osuszy żadne słońce.

Kilka razy myśli o powrocie. Mógłby się jeszcze wycofać i zachować twarz. Ale czyją twarz, czy tego człowieka, którego widział w szybie wagonu? Jest najgorszym z ludzi, pustą skorupą do zdeptania; albo wielkim, nieskazitelnym i mądrym aniołem. Ja bredzę, myśli Weles, pierdołę jak potłuczony! Ta myśl go otrzeźwia. Przyspiesza kroku i widzi już z daleka wysoki biały mur, o którym mówił mężczyzna. Podpiera się ironią jak podróznym kijem, nakrywa się resztkami poczucia humoru jak płaszczem. To jego ostatnie oręża w codziennej walce z przygnębieniem i pustką. Jednak zapasy amunicji już się kończą; potrzebuje pomocy,

bo nie wytrzyma dłużej. Nie zawróci, pójdzie dalej, choćby miał zedrzeć z siebie całą skórę i pokazać lekarzowi gołe mięso. Pójdzie tam.

\* \* \*

Izaak Schenker długo stoi przed lustrem w skromnej łazience dla personelu. Myje ręce w gorącej wodzie, przemywa twarz, przyczesuje włosy. Próbuje odruchowo zrzucić z siebie czarne płatki, wijące się na skórze jak nakłute robaki. Pacjentka podczas pierwszej konsultacji wyrzucała je z siebie całymi rojami, przyklejały się do wszystkiego, głodne, małe larwy, wysysające energię. Pełzały po nim i wpychały się do uszu i oczu, do nosa, ust i pod paznokcie. Kobieta wyglądała jak balon w kształcie człowieka, do którego ktoś nalał plazmatycznej, cuchnącej lawy. Zebrało się w niej wszystko, co stanowi zaprzeczenie życia: chłód rodziców, podłość otoczenia, nienawiść okaleczonych synów. Z oczu ciekły czarne łzy, wokół szyi przesuwano się coś na kształt błyszczącego węża.

Oto cena za wtajemniczenie w arkana proweńskiej transcendentnej psychoanalizy. Widoki, których nie zniósłby żaden człowiek pozbawiony dodatkowego wsparcia. Prawdy metaforyczne skryształizowane w żywe trupy, z którymi trzeba prowadzić rozmowę, próbując im pomóc, chociaż na pomoc jest za późno o dobre kilkanaście lat. Ślady w układzie nerwowym wskazują, że ostatnie strzępy duszy przestały egzystować w tej ofercie lęku właśnie wtedy. Chmura odpadów wirowała wokół pozbawionej odporności jaźni. Zaatakowana osobowość próbowała bronić się, tworząc karykaturalne formy nazywane przez ludzi mechanizmami obronnymi, macki wyrzucane na oślep, kurczące się w świetle, wysychające pod ostrzejszym wzrokiem przypadkowego przechodnia. Teraz można przynieść ulgę tej kobiecie, wprowadzając ją w kontrolowane otępienie; leczyć ból, odwlekać nieuchronny rozpad.

Doktor wraca do swojego gabinetu i w zamyśleniu wodzi wzrokiem po marynistycznych obrazach, wiszących między regałami, które uginają się pod ciężarem książek. Wyjątkiem jest rdzawa reprodukcja *Słoneczników* Van Gogha, oglądana ślepyimi oczami przez pacjentów podczas wizyt. Teraz pada na nią promień światła, który dostał się do środka przez niewielką szparę w zaciągniętych zasłonach. Do pokoju wkrada się na palcach przełożona pielęgniarek z obiadową tacą. Nie musi tego robić, nie należy to do jej obowiązków, ale płomienie w krystalicznie szarych oczach zniewalają ją od lat, zrobiłaby dla Izaaka o wiele więcej. Schenker uwielbia kobiety, zwłaszcza te troskliwe, ocalające przed zniszczeniem podstawowe wartości i emocje. Kolekcjonuje ich drobne gesty, porozumiewawcze uśmiechy, grymasy na twarzy, zmiany tembru głosu, gromadzi jak drogocenne przedmioty. Dziękuje skinieniem głowy i zabiera się do posiłku.

Weles jest wreszcie na miejscu. Siedzi na wytartym fotelu po prawej stronie holu, przy szklanym pokoiku dozorczyńni i telefonistki w jednej osobie. Powiedziała mu, że pokój

ordynatora znajduje się naprzeciwko, że musi czekać na wezwanie sekretarki. Rozszerzonymi oczami patrzy na przechodzących obok ludzi – wyglądają normalnie, ale owiewa ich mgielka nierealności. Niektórzy są ubrani z wielką pieczołowitością, a nawet wyzywająco; większość nosi się sportowo, migają różnokolorowe dresy, T-shirty i bluzy z kapturem. Mężczyzna w średnim wieku rozmawia głośno przez automat telefoniczny po drugiej stronie drzwi wejściowych. Ze spaceru wracają dwie młode, roześmiane dziewczyny, za nimi drepcze chłopak ze słuchawkami na uszach. Tylko w głębi korytarza na tle okna majaczy pająkowata sylwetka, kiwająca się w rytm niesłyszalnej muzyki.

Weles przygląda się temu widowisku z niemym krzykiem na ustach. Katatoniczny taniec wydaje się ostrzegać przed naiwnym optymizmem, który zakiełkował w sercu. I znowu idiotyczna huśtawka – między cichym przypuszczeniem, że jest człowiekiem najbardziej na ziemi potrzebującym pomocy, a niemal pewnością, że wszystko w porządku, że zamieszkuje najwyższe piętro wieży, w której inni ludzie są tylko lokatorami zatechłych piwnic. Po jaką cholere mieszać się z pomyłonymi istotami, które udają normalność?! Zakrywa twarz dłońmi, zawstydzony podszeptami wewnętrznego głosu, zrozpaczony swoją dumą. To właśnie ta pieprzona duma odpowiada za jego upadek, za bezsenność, za problemy z rozumieniem słów. To ona nie daje odpocząć, doprowadza do szaleństwa, wciskając w nieznośne rytuały. Tyle zdołał pojąć z książek.

Ten chłopak pod oknem jest ostatnim stadium procesu, który w nim samym trwa od lat. Jeśli teraz nie pójdzie po pomoc, jeśli nie wykorzysta swojej szansy, może wkrótce wyglądać jak on. Skończą się nocne lewitacje, wieczorne marsze w czerwonych lenonkach, wypisywanie nieskładnych zdań, nazywanych szumnie powieścią. Jeszcze trochę i zmęczony umysł zatrzaśnie się, odetnie od zewnętrznego świata, a Weles z historycznego badacza literatury zamieni się w zombie. Nie będzie musiał jeść, spać ani martwić się o ubranie. Nie będzie musiał nawet oddychać. Ze wstrętem myśli o swojej przyszłości, czując narastające w środku drzenie.

Schenker unosi się w fotelu i nasłuchuje – delikatny łopot skrzydeł dobiega z korytarza. A więc przyszedł, kruszeje teraz we własnym piekle, rozbija się o rafy przypuszczeń. To dobrze, niech poczeka chwilę, niech nabierze absolutnej pewności, że nie znalazł się tutaj przypadkiem, lecz dzięki ogromnemu wysiłkowi woli, niech jego świat urealni się na moment. Doktor zna doskonale tych wszystkich domorosłych mistrzów kamuflażu, którzy twierdzą, że oglądają swoje życie z boku niczym kiepski film, ale byle szpilka wetknięta w ego przez nieżyczliwą osobę wytrąca ich z równowagi. Ogląda wraki ludzi i nie może się nadziwić, jak bardzo wierzą we własne fantasmagorie, racjonalizacje czy projekcje. Nie może się nadziwić, jak wielki wpływ na umysł mają supły zawiązane na tym, czego nie zobaczy szkiełko i oko.

Bierze kilka głębokich wdechów przy oknie, potem zamyka je starannie. Lustruje pomieszczenie w poszukiwaniu tajnych korytarzy i strun w eterze. Przygotowuje się do

pojedyńku jak bokser wagi ciężkiej, wiedząc doskonale, że jest championem i byle młokos, z głową pochyloną do przodu jak u byka, nie da mu rady. To daje spokój i pozwala zapanować nad wewnętrznym wrogiem. Przenosi z biurka na terapeutyczny stolik popielniczkę i brązową paczkę george sandów. Chowa do szafy brudny talerz i szklankę z niedopitą herbatą. Jest gotowy. Przez uchylone drzwi prosi sekretarkę, aby wezwała na konsultację następnego pacjenta. Pan Weles Spor, rozlega się głęboki głos Wiktorii, proszony jest do ordynatora. Dochodzi trzynasta.

\* \* \*

Weles widzi siwiejącego mężczyznę koło pięćdziesiątki, ze starannie przystrzyżoną brodą, wysokim czołem przechodzącym w łysinę, w złożonych okularach na orlim nosie. Ordynator wygląda poważnie, ale i dobrotliwie, szerokim gestem wskazuje jeden z wytartych foteli. Uśmiecha się, jakby ta wizyta sprawiała mu przyjemność. Zaprasza do swojego królestwa, które jest pociągające i jednocześnie straszne. Nie bój się, powtarza sobie Weles, nic złego się nie stanie. Najwyżej wyjdiesz stąd i nie obejrzysz się więcej za siebie. Musisz powiedzieć mu prawdę, o cokolwiek zapyta. Nie czujesz lęku, bo przecież w najważniejszych chwilach swojego życia niczego nie czujesz.

Izaak widzi przerażonego chłopaka, który garbi się w nienaturalny sposób, zaciska dłonie na poręczach fotela, nerwowo porusza stopami. Jest cały naprężony, gotowy do walki lub ucieczki, oczekuje w tym pokoju walącego się sufitu, spektakularnej katastrofy. Będzie układał w głowie zgrabne odpowiedzi, żeby nie naruszyć bałaganu, który nazywa spokojem, i nie obrazić mieszkającej w nim istoty. Będzie starał się mówić prawdę, ale będzie kłamał. Te wszystkie ucieczki wzrokiem, nazywanie prostych uczuć milionem niepotrzebnych słów, kłamstwo za kłamstwem. Proponuje chłopakowi papierosa, a ten godzi się skwapliwie; przypalają obaj w ostatniej sekundzie milczenia. Czas stanąć oko w oko z pasażerem na gapę i przedstawić się nawzajem. Co pana do mnie sprowadza, pyta Schenker, patrząc jednocześnie za plecy Welesa.

W pokoju gwałtownie zmienia się światło, całe wnętrze przecinają pionowe, niebiesko-zielonkawe smugi. Budynek poszedł głęboko pod wodę, zatonął w krystalicznie czystym eterze. Ruchy dwóch postaci są tak szybkie, że między poszczególnymi fazami nie ma ciągłości, wydają się chaotyczną wirtuozerią. Właśnie wzbily się pod zadymione sklepienie. Anioł połyskuje metalicznie w morskiej poświacie, zawracając czas rozpiętymi szeroko skrzydłami. Naprzeciw niego podnosi dumnie ptasią głowę Feniks, wypala w przestrzeni czarne dziury i skomplikowane hieroglify.

Patrzą sobie w twarze, przyglądają się uważnie prawdziwym imionom i słuchają wycia swojej nienawiści, by za chwilę runąć w dół, poprzez ściany pokryte zetłalymi tapetami, zakurzone dywany, splekane podłogi i stropy, płytki, parkiety i wykładziny, rury i kable

instalacji elektrycznych, lecąc pokręconym tunelem, który prowadzi z ludzkiej rzeczywistości aż do wnętrza ziemi, a potem z powrotem na górę, do ciasnego pokoju w piwnicy szpitala, zamkniętego na skobel i solidną kłódkę, obok starego krzesła do elektrowstrząsów. Są tam tylko dwa proste, drewniane stołki i lampa z przepaloną czterdziestowatową żarówką, ale kiedy zjawiają się tacy goście, ściany jarzą się blaskiem, od którego oczy śmiertelnika usmażyłyby się niczym jajecznicą. Gwizd boskiego wiatru staje się coraz wyższy, rozsada od środka każdą drobinę powietrza.

Pierwszy odzywa się Anioł, słowa dochodzą zza metalowej maski, w której ciemnieją otwory w miejscu oczu. Nie powinieneś mnie tutaj wzywać, wyje donośnie. Ciesz się, że zdławiłeś głupca, który zwie się panem tego miejsca, ale nie wtrącaj się w sprawy, których nie pojmujesz. Obrażasz mnie koniecznością działania, nienawistnego ponad wszystko. Jeśli płoniesz wewnątrz tej ludzkiej powłoki, jeśli twoja natura każe ci nieustannie naruszać homeostazę, nie wciągaj w ten wir podobnych sobie. Spopielił głowę Izaaka, żalosego alkoholika, drżącego przed każdą nocą spędzaną samotnie w wielkim domu, i powędruj dalej, przez morze ludzkich głów, aż wznecisz niewyobrażalny pożar. Wypuść chłopaka z tego miejsca, a ja postaram się, by zapomniał, że był tu kiedykolwiek, tak jak zapomina o wszystkim, co było dla niego ważne.

Feniks słucha uważnie, przekrzywając lekko ptasią głowę, przewiercając go złotymi, rozpalonymi oczami. Przygasa lekko, kiedy Anioł drży i podnosi histerycznie głos, ciemnieje, by za moment rozbłysnąć jeszcze intensywniej. A potem, jednym uderzeniem, powala srebrnego demona na ziemię, sprawia, że łuski i anielskie pióra sypią się na podłogę jak metaliczny śnieg, odkrywając obrzydliwą, pokrytą ranami i pęcherzami skórę skrzydeł. Tak właśnie wyglądasz, ryczy głosem zwielokrotnionym przez płomienie. To, że przebrałeś się w niebiańskie szaty, nie zmienia twojej prawdziwej natury.

Nazywam się Izaak Schenker, mówi, deptając struchlałą bestię. Znalazłem w sobie ognistego stwora i ujarzmiłem go, zaprząłem do najcięższej pracy, aby walczyć z takimi jak ty. Dzięki niemu widzę was wyraźnie, nie muszę błądzić w pajęczynie ludzkich pojęć, nie muszę domyślać się, jaką drogą trzeba podążać, aby wyrwać wasze ściervo z ludzkich głów. Nie mogę żyć za swoich podopiecznych, ale mogę ich zachęcać do wysiłku, a potem patrzeć, jak zaczynają oddychać świeżym powietrzem i zrzucają z siebie pasożytniczy ciężar. Nie wyobrażasz sobie, żaloseny bękarcie śmierci, jak wiele satysfakcji mi to daje, jak osładza codzienne cierpienie, zadawane przez języki płomieni. A kiedy spalam się wieczorem, czuję wielką wdzięczność za to, że wraz ze mną spalają się ślady waszych szponów i wasze spojrzenia, którymi mnie brukacie. Potem pierwsze promienie słońca powołują mnie na nowo do życia, gotowego, by stawić czoła pogardzie, jaką żywicie do ludzi.

Wy, demony, nie pojmiecie nigdy, czym jest wolność wyboru i rozwój. I nie pojmiecie prostych, ludzkich uczuć, których nie trzeba analizować i oceniać, które po prostu się odczuwa, gdy przychodzi właściwy moment. A właśnie tu, w tym miejscu sprawiamy, że

ludzie przyglądają się emocjom coraz uważniej i śmielej, aż zaczynają ich doświadczać. Dlatego precz z moich oczu. Precz!

W gabinecie doktora Schenkera drobiny kurzu wirują w słonecznym promieniu. W głębokiej ciszy wybrzmiewają ostatnie słowa, które wypowiedział Weles, ostatnie zdanie o nadziei na bycie kochanym, która stała się nieznośnym ciężarem i powaliła go na ziemię. Siwy mężczyzna kiwa głową i patrzy mu głęboko w oczy. Wie, że fałszywa nadzieja zmieniła się we wszechogarniającą beznadzieję i wysssała z serca młodą krew. Ale wie też, że nie jest jeszcze za późno. Zostaje pan przyjęty, mówi wolno Schenker, poinformujemy pana o terminie. Po raz pierwszy od miesiący na twarzy chłopaka pojawia się blask.

*Oto bieg bez celu  
Przez chwasty ostre jak brzytwa  
Siegające ledwie moich kolan  
I kiedy leżę w szarym śnie  
Nie wiem jak się poruszyć  
Otwieram oczy i wbijam wzrok w ziemię  
I nie zobaczę cię więcej  
Nie ma wyboru, sami tworzymy sens  
Przeciw wszystkiemu, co nam zagraża  
Chwyć mnie najmocniej jak umiesz  
Bo zbliżamy się do atmosfery*

Bauhaus, *Burning from the inside* (tłum. aut.)

Wykorzystano fragmenty wiersza Rafała Wojaczka *Martwy sezon*

*Cezary Zbierchowski*



**Jakub Małecki** – dwudziestosześcioletek pochodzący z Koła, zadebiutował w marcu 2007 roku na łamach „Science Fiction, Fantasy & Horror”. Od tamtej pory ukazało się w sumie pięć jego opowiadań i pierwsza powieść *Błędy* (nakładem wydawnictwa Red Horse). Jedno z opowiadań Kuby zostało wyróżnione w konkursie „Drugiej Ery” w 2008 roku; zajął też pierwsze miejsce w II konkursie recenzenckim serwisu Carpe Noctem.

### **O fantastyce i pisaniu:**

Każdy z moich dotychczasowych (opublikowanych) tekstów jest w mniejszym lub większym stopniu „maźnięty” fantastyką, jednak wynika to wyłącznie z faktu, że właściwie w każdym przypadku wymagała tego ode mnie sama opowiadana historia. Bo nie jest tak, że ja sobie jakoś twardo wykoncypowałem pisanie fantastyki i mam żelazny zamiar to kontynuować. Jestem niestety w jakimś sensie niewolnikiem historii, którą próbuję opowiedzieć. Często nawet nie mam pojęcia, jak dalej potoczy się akcja. To szalenie nieprofesjonalne, ale przed rozpoczęciem pracy nie sporządzam konspektów, tworzę je dopiero po dwóch, trzech gotowych rozdziałach. Gdzie tu więc mówić o żelaznym planowaniu, czy tekst będzie fantastyczny, czy nie.

Inna rzecz, że nie stosuję rozróżnienia pomiędzy fantastyką a niefantastyką. Ja mam w głowie inny podział – może głupi, ale tak to sobie obmyśliłem – że we współczesnej polskiej beletrystyce jest literatura fabularna i niefabularna. A to, że mainstreamowe minipowieści są często afabularne, a w fantastyce znaleźć można z reguły więcej literackiego mięsa, to już jest inna sprawa. I tu, jeśli miałbym się po którejs z stron opowiedzieć – bez wahania stanę po stronie miłośników fabuły. Kocham książki poszarpane, nowoczesne językowo, dziwnofabularne, eksperymentalne, szalone, ale uważam jednak, że formalne eksperymenty nie powinny odbywać się kosztem fabuły. Jestem zdania, że da się te rzeczy skutecznie połączyć i mógłbym wskazać polskich autorów, którzy formą swych powieści zrzucają mi i innym czytelnikom buty z nóg, pozostając jednak wiernymi zasadzie, że książka powinna jednak być „o czymś”.

Jeśli chodzi o moje własne plany, to po wydaniu drugiej, gotowej już powieści – *Przemysłownika cudu* – planuję zbiór niepublikowanych nigdzie opowiadań, który teraz właśnie piszę. Ma to być antologia w nieco innej niż zwykle formie (bo za samymi zbiorami opowiadań sam nieszczególnie przepadam). Mianowicie facet wyskakuje z okna wysokiego biurowca i nigdzie nie ma ciała. Za to na dysku jego komputera współpracownicy odnajdują spisane teksty. I wraz z jednym z bohaterów czytamy te osobiste opowieści samobójcy, trwając jednocześnie w opowieści „nadrzędnej”, której bohaterem jest zakompleksiony czytelnik. Któremu też zaczynają przytrafiać się rzeczy podobne do tych opisanych w plikach. Więc w zasadzie jest to zbiór opowiadań, ale pisanych z myślą o jednej większej, ściśle powiązanej całości.

Od paru miesięcy pracuję również nad największym jak do tej pory projektem, który ma opowiadać historię czterech facetów na oddziale laryngologicznym. Jeden z nich, najbardziej skryty i małowówny, zaczyna miewać w nocy gorączkę, podczas której wydaje mu się, że jest Josephem Conradem. I zaczyna innemu z pacjentów dyktować swoją ostatnią powieść, w której de facto opowiada historię swojego życia. Chciałbym, żeby to był tekst o obecności opowieści jako takiej w życiu człowieka. Co jednak z tego wyjdzie, nie wiem, bo, tak zupełnie szczerze, wydaje mi się, że w tej chwili jestem jeszcze zbyt słaby na to, co przedsięwziąłem.

Od dawna chodzi mi także po głowie baśń, która przez pomyłkę narratora zaczyna się w momencie, w którym każda baśń powinna właśnie się kończyć. Ale i prosto końca, to chyba wypada, żebym w tym miejscu postawił już kropkę, bo zdaje się, że i tak zbyt się zagalopowałem...

**Jakub Małecki**

## **Każdy umiera za siebie**

Siedzieli w piątkę przy ścianie. Woda rwała stal na strzępy.

– Dymitr, teraz ty.

Dymitr mignął latarką, wachlarz z kart oślepił wzrok. Tylko na chwilę, trzeba było oszczędzać światło. Jedna latarka wysiadła zupełnie, pozostałe poświęcą góra kilka godzin. Znowu zastygła ciemność, ale zapamiętał. As, dwa *waliety*, dziesiątka i dama.

Dama.

Poznał Olgę na dworcu, kiedy w święta przyjechał na przepustkę. Śnieg przybył do Petersburga równo z nim. Sypało z nieba jak ryżem na weselu, buty skrzypiały przy każdym kroku. Teraz wydawało się to wszystko tak odległe, tak nierealne. Mama pracowała z Olgą w tej samej szkole, musiała naopowiadać jej o synku, który służy we Flocie i jest pod każdym względem wspaniały. No to się dziewczyna rozczaruje, myślał. Zwalisty, wielki, w kolorowej spiczastej czapce. Facet, który jada czasem wyłącznie ogórki i jogurt, żeby pozbyć się nadwagi i wbić w mundur. Kapitan w sekcji turbin. Dobre żarty.

Olga miała włosy w kolorze marchewki i była drobniutka. Jej płaszczyk można by zmiąć i zamknąć w pięści. Uśmiechała się sztucznie i niepewnie, spoglądała to na Dymitra, to na jego matkę. Ściągnął czapę i wyszczerzył się najładniej, jak umiał. Gdyby to chłopaki widzieli!...

– *Synoczek moj!* – mama rzuciła się do przodu, kurtka furkotała, w oczach lśniły łzy. Jak to mama.

Zatrzymała w uścisku na dłużej i szepnęła do ucha. Zdążył się dowiedzieć, że Olga to bardzo dobra kandydatka na żonę. No tak. Niech to diabli, jak on nienawidził takich podchodów.

– Ale co ty, mama! – syknął w ciepły kołnierz. – Przecież ja nie...

– Dymitr!

Położył karty, Raszyd także. Mignęli znowu, Raszyd miał dwie siódemki i trzy czwórki.

– No, chłopcy, szans nie macie.

I wtedy coś pierdolnęło tak, że aż zabolalo w głowie. Otarł pot z twarzy i oświetlił pozostałych. Już tylko Wiktor, Raszyd, Iwan i Dima, reszta nie żyła. Jeszcze ze dwie godziny temu wrzeszczał ktoś w ósemce. Nie otworzyli, bo złota zasada mówi, że każdy umiera za siebie – jakby co, to za żadne skarby nie wolno pozwolić, żeby pożar się rozprzestrzenił. Dymitrowi było z tym cholernie źle. Ktoś tam umarł przecież.

Woda podchodziła coraz bliżej i wyżej, zaraz trzeba będzie wstać. Ściany napierały, żołądki podchodziły do gardła, koszule lepiły się do ciała. Próbowali o tym nie myśleć. A parno jak jasna cholera.

– Kiedy oni, *bliać*, przyplyną? – Dima był najdrobniejszy z całej sekcji, codziennie rano golił się na kolano, a duża mycha czerniła mu się na czole. Nerwowo ocierał spoconą głowę.  
– Powinni już tu być, to tylko pieprzone manewry! Powinni już być!

– Zaraz będą – uspokajał Raszyd. – Grajmy.

– Nie gram, pierdolę to. Umrzemy tutaj, rozumiesz?

– Graj, graj! – w ciemności głos Raszyda brzmiał jak bęben.

Ponownie rozległ się dźwięk rwanej stali. Przypominało to kwilenie dziecka.

Dziecko.

Raszyd uważał, że słowo „dziecko” jest najpotężniejszym ze słów. Z Chalimą starali się o potomka dobre cztery lata. Kiedy zaszła w ciążę, Raszyd omal nie fruwał ze szczęścia. Poroniła w trzecim miesiącu.

Zamiast małego wrzeszczącego berbecia w ich domu zamieszkały kłótnie. Miejsce pieluch i wózek zajęła rozpacz i wściekłość na życie. Wspólna sypialnia stała się przeszłością, z każdym kolejnym dniem było coraz gorzej. W końcu Chalima wyprowadziła się do rodziców. Nie mogła tak żyć.

Wszystko wskazywało na to, że czarne chmury nie odpłyną z nieba nad ich małżeństwem, a świat wokół Raszyda posypie się w proch, kiedy nagle uświadomił sobie, że jest potwornym egoistą. Marzył o dziecku, o synu, i dlatego nie mógł przełknąć tego, co się stało. Nie pomagał przecież Chalimie, jeszcze bardziej zatruwał atmosferę w domu, był tylko balastem w ich wspólnej podróży przez rozpacz.

Przywiózł ją od teściów niemal siłą.

Kiedy ponownie zaszła w ciążę, byli bardzo ostrożni. Nie chcieli przedwcześnie wpuszczać radości do swoich serc, jak poprzednio. Lekarz zapewniał, że wszystko jest w porządku, że tym razem się uda. Teraz Chalima była w trzecim miesiącu.

Hałas ustał, Raszyd ścisnął głowę w mokrych dłoniach.

– Jeśli pozostałe sekcje zostały zatopione, to udusimy się za parę godzin. Jeśli wcześniej nas nie zaleje – Iwan nie grał, słyhać było, jak wstaje. Poświecili latarką. Chodził w tę i z powrotem wąskim korytarzem. Ściany naszpikowane były przyciskami i oplatały je rury, o które zahaczali łokciami i kolanami. – Nie wierzę, *bliać*, nie wierzę, że umrę podczas manewrów pokazowych!

– Zamknij się! – Dymitr wstał i złapał go za kołnierz.

Mało to było podobne do Dymitra, na którego we Flocie mówili Złoty Chłopak. Był miły do bólu i zakochany w swoim okręcie. Do tej pory dziwiono się, że znalazł sobie kobietę. Wśród marynarzy panowała opinia, że jeśli Dymitr Kolesnikow weźmie kogoś za żonę, będzie to jego ukochana łódź podwodna.

– Nie wytrzymam, Iwan. Jak się zaraz nie zamkniesz, rozwalę ci łeb! Weź się w garść!

Inna sprawa, że z Iwanem trzeba było ostro. Był dziwny, nie trzymał się praktycznie z nikim, nie wychodził na wódkę ani na dziewczyny.

Wyrwał się z uścisku Dymitra i już brodząc, podszedł do zamkniętej grodzi, znów nasłuchiwał odgłosów pożaru i wody. Dwa największe żywioły ścierały się kilka metrów od nich, a na powierzchni dowódcy Floty najwyraźniej mieli wszystko w dupie.

Iwan miał pociągłą twarz i ciemne oczy. Krótko przystrzyżone włosy stały jeżem na głowie. Złapał za chłodną rurę biegnącą przy ścianie i pochylił się w stronę przejścia. Nad nim piętrzyły się setki ton wody. Wszędzie wokół czarna i lodowata toń.

A przecież wiedział, że w końcu do tego dojdzie.

Urodził się w Tichoriecku, gdzie psy szczekały dupami, a ciepła woda w kranie była równie realna jak samородki złota w kaloszach. Matka umarła, kiedy miał sześć lat, i wtedy się zaczęło.

Ojciec całe dni siedział w stodole i udawał przed samym sobą, że pracuje. Mamrotał pod nosem i pił wódkę, flaszkę za flaszką. Mały Iwan włóczył się w tym czasie po lesie, patrzył na ptaki i wiszące nad nim niebo. Raz znalazł martwego królika i schowany za drzewem, rzucał w niego kamieniami. Pewnej nocy ojciec zamarzał, Iwan zaś trafił do piekła na ziemi. Adoptował go wuj Siergiej.

Wuj miał wtedy jakieś pięćdziesiąt lat i zamiłowanie do przemocy. Twardy, wymagający, despotyczny. To nie on był jednak najgorszy. Najgorsza była Baba. Pierwszy raz Iwan ujrzał ją pod koniec roku szkolnego – dostał wtedy piątkę z matematyki. A kiedy wrócił do domu, Siergiej po raz pierwszy rąbnął go pięścią w twarz, powalił na podłogę i zaciągnął do łazienki.

Iwan opierał się, jak mógł, wyrywał wujowi, opluł go i ugryzł w przedramię. Zarobił tylko kolejny cios w gębę, wuj wybił mu ząb. Siergiej miał starą, obdrapaną wannę, w której garbował skóry nutrii. Brudna woda już czekała, bez trudu zanurzył i przytrzymał w niej chłopca. Wtedy, gdy płuca zaczęły palić, a w uszach huczało, Iwan zobaczył Babę.

Siedziała na brzegu wanny i wyglądała, jakby szeptala wujowi do ucha. Miała ostro zakończone zęby, węgle zamiast oczu i obłą czaszkę, do której przylegały strąki rzadkich, mokrych włosów. Jedną rękę opierała na kościstych plecach Siergieja, druga wędrowała nad powierzchnią wody. Ciecz była posłuszna Babie, wybrzuszała się tafla topieli, starcze palce tańczyły nad nią, marszczyły jej powierzchnię. Przemawiała do wuja, lecz patrzyła wprost na niego, na Iwana leżącego twarzą do góry, na bąble powietrza uciekające szybko z nosa i ust.

Siergiej wyciągnął go z wanny w chwili, kiedy woda zaczęła barwić się na czarno, kiedy dźwięki wydłużyły się w nieskończoność, a ciało zaczęło być dziwnie daleko.

– Nigdy! – wrzeszczał wuj, a nitki śliny wypadały mu z ust i latały w powietrzu. – Nigdy mi się nie sprzeciwiaj, *družok!* Bo *ubiju!*

Gumową dyscypliną ukarał siostrzeńca za to, że ten wszedł do domu w butach. Iwan cieszył się z piątki, chciał się pochwalić wujowi, zamiast tego klęczał przy wannie, a o kolana raz po raz ocierała się para niebojących się go widać szczurów. Uda przecięły strużki krwi.

Z całej siły zaciskał dłonie na metalu, powieki jeszcze mocniej. Skrzypnęło znowu, okręt zadrżał i przechylił się nieznacznie. Gdzieś tam, za grubą ścianą kadłuba, Baba kroczyła w ich stronę, a Iwan nie miał gdzie uciec.

Wszyscy wstali z podłogi, Raszyd z Wiktorem próbowali wgramolić się na wystającą ze ściany półkę z ciśnieniomierzami. Powietrza ubywało, wody wprost przeciwnie.

Pół godziny później umarł Dima, który – jak powiadały dziewczyny – miał najciemniejsze brwi w całej Rosji. To było dziwne, klócili się z Wiktorem o to, kto ma stać wyżej na wspornikach w ścianie i wtedy Dima popchnął kolegę z całej siły. Wiktor, muskularny podoficer w sekcji, runął w wodę. Chlasnęło głośno. Załopotał rękami, twarz zrobiła mu się wściekła, czerwona. Latarki ustawili przy samym suficie, nie było już sensu oszczędzać. Prędzej powietrza braknie. Wiktor podniósł się z wody i już się zamachnął, już łokieć mknął w kierunku twarzy Dimy, kiedy iskra poszła po kablu nad głową, a płomień rozbłysnął błękitem. Spięcie trafiło go w głowę, prąd rzucił ciałem. Dima zapłonął w jednej chwili, umarł, zanim pozostali zdążyli krzyknąć, zanim łokieć Wiktora dotarł do jego twarzy.

Wpadł w wodę, rzucili się, żeby zgasić ogień.

– O, *bliac...* Nie chciałem tego – Wiktor był siny, wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać.

– Nie twoja wina – szepnął Złoty Chłopak, bardziej do siebie niż do Wiktora. Opuścili ciało do wody, powoli osiadło na dnie. Wiktor dygotał jak w febrze, przygryzał sine wargi.

Powietrza było coraz mniej.

Iwan patrzył na to wszystko z góry, powierzchnia ciemnej wody przypominała mu tafłę lodu.

Zupełnie jak wtedy, na jeziorze. Leżało za Tichorieckiem i wuj czasami pozwalał małemu Iwanowi wybrać się tam z kolegami. Wiosną osiemdziesiątego piątego, kiedy wydawało się, że odwilż przyjdzie dopiero za kilka tygodni, biegali za piłką po lodzie i lądowali co chwile na tyłkach.

Z reguły, kiedy Iwan wychodził z domu „na lód”, przemykał się do lasu i dźgał kijem martwe zwierzęta. Tym razem jednak naprawdę poszedł nad jezioro. Ogromnie się zdziwił, kiedy chłopcy chętnie przyjęli go do gry. Iwan śmiał się i krzyczał, raz wbił nawet gola, policzki miał rumiane jak tło flagi Kraju Rad.

Ale zabawa nie wszystkim się podobała. Baba siedziała na brzegu. Ręce założyła na piersi, twarz wykrzywił grymas. Iwan wywrócił się, kiedy chłopak o mokrej od potu, rudej czuprynie wyminął go zwodem. Walnął o gładki blat lodu, coś strzeliło w plecach.

Nie w plecach – to lód rozpękł się białą pajęczyną. Diabelnie zimne łapska objęły Iwana i wciągnęły pod wodę. Baba stąpała po lodzie, chwyciła się pod boki i rechotała jak żaba.

Woda była jej posłuszna, ciągnęła go wzdłuż zmarzniętego talerza jeziora, nagie i sine stopy Baby kroczyły centymetry nad twarzą Iwana. Umierał.

Chłopcy wyciągnęli go przez przerębel, do którego dotarł pod wodą, i zanieśli do domu. Chorował przez trzy tygodnie, nigdy już nie wybrał się z kolegami na piłkę. Na nic innego też nie.

Kiedy się ocknął, Wiktor też już nie żył. Nie pytał. Bo i po co pytać?

W luku dziewiątym, jak i w całym okręcie, życia trzymali się już tylko: Raszyd, Dymitr i Iwan.

Raszyd zsunął się z podwyższenia i chwilę krążył po zalanej, nachylonej pod kątem podłodze. Gdzieś woda sięgała mu już do pach, chłodziła brzuch i pierś.

– Trzeba coś napisać. Żeby wiedzieli – odezwał się pustym głosem.

Iwan wzruszył ramionami, wzrok miał szklany. Dymitr zgodził się bez słowa.

Przeszukali kieszenie i suche miejsca w kajucie. Cholera, większość papieru i długopisy trzymali w mesie. Coś się jednak znalazło. Kartka z zeszytu. Raszyd przedał na pół, podał Złotemu Chłopakowi.

– Dzięki.

– Nie ma długopisu.

– Wiktor miał w kieszeni.

Spojrzeli po sobie. Raszyd odetchnął głęboko, przeżegnał się, wymienił jeszcze spojrzenia z Dymitrem i zanurzył cały w czarnej wodę. Pływały w niej płatki sadzy – luk torpedowy spłonął już pewnie do reszty. Mimo pożarów w sekcjach obok, woda ścinała ciało lodem. Zimne igły wbijały się w uszy, docierały do głowy, wwierały w myśli.

„Ratować nie próbowałem, ale po długopis to nurkuję. Co za skurwiel”.

Chwytał ciało Wiktora, poły ubrania ślizgały się w dłoniach. Odwrócenie trupa kolegi na plecy było cholernie trudne i w pewnej chwili Raszyd miał już dać spokój. Wreszcie, kiedy brak powietrza zaczął palić w płucach, ciało okręciło się, a z kieszonki na piersi Raszyd wyszarpnął długopis. Wodoodporny, jak wszystko na okręcie.

– Mam – wynurzył się i od razu ciało zgiał kaszel. Podał długopis Dymitrowi, Iwan pomógł wydostać się z wody. – Tam jest lodowato. Cholernie, cholernie lodowato – trząsał się, próbował opleść ciało rękoma. – A oni wszyscy leżą... jakby spali, wyglądają, jakby po prostu spali...

– Na manewrach są przedstawiciele z zagranicy, mnóstwo dziennikarzy i reporterów. Za chwilę ktoś powinien się tu zjawić, przecież już muszą wiedzieć, co się stało – Dymitr

rozprostował kartkę na ścianie, długopis trzymał w ustach. – Wyciągną wszystkich, zobaczycie. Ich też – wskazał ciemną toń. – Oni też zostaną bohaterami.

– Wyjebią nas bez mydła – wtrącił Iwan. Stał bez ruchu, z rękoma założonymi pod pachy i wyglądało na to, że boi się najbardziej z nich trzech. – Dawno już by tu byli. Nie pozwoliliby umrzeć Dimie, Wiktorowi i wszystkim pozostałym, jeśli chcieliby w ogóle wyciągnąć kogoś żywego. Zrobią z nami tak, jak z tymi z S-80. Tamtych Flota wyłowiła po siedmiu latach, a marynarze w przednich sekcjach żyli jeszcze kilka dni po katastrofie. Z nami będzie tak samo.

Iwan mówił dalej, ale Raszyd już go nie słuchał. Chwycił jedną z latarek, snop białego światła przeciął pomieszczenie w kierunku pozamykanych grodzi. Raszyd trząśł się na całym ciele, mokre włosy parowały.

W snopie światła, raczkując po powierzchni czarnej wody, sunął ku niemu niemowlak. Miał siną, opuchniętą buzię i fioletowe ciało. W zgięciach rączek i nóżek zbierał się nadmiar pulchnego ciała. Dziecko spojrzało na Raszyda i otworzyło bezzębne usta. Z dziur we wściekle czerwonych dziąsłach wysuwały łebki robaki, język pływał w ciemnym szlamie.

– Tatusiu – powiedział noworodek, a jego głos huczał w głowie marynarza. – Tatusiu, dlaczego do nas nie wróciłeś? Nie kochałeś nas? Czekaliśmy na ciebie z mamusią. Ona płacze, ona tak bardzo płacze...

Raszyd odłożył latarkę i głośno przełknął ślinę. To przecież nie może być prawda, to dziecko nie istnieje! Jeszcze się nie urodziło... Potarł zimną twarz chłodnymi dłońmi, ciałem wstrząsały coraz silniejsze dreszcze, ciemne drobinki fruwały przed oczyma jak miniaturowe szybowce z papieru. Z góry na dół, z góry na dół.

– Tatusiu!

Otworzył oczy. Ono nadal tam było. Pełzło po powierzchni wody, rączki klaskały o taflę przy każdym ruchu.

– Czego chcesz? – szepnął, bardziej chyba do siebie niż do zjawy.

– Tatusia. Chcę tylko tatusia. Żeby był z nami, żeby mamusia nie musiała wychowywać mnie sama, a ja żeby nie był *malczyszka* bez ciebie. Tego właśnie chcę, tatusiu... Czy to tak dużo?

– Boże... chcę... ja chcę tylko tego. Tylko tego, *gatubczik moj* – Raszyd przygryzł pięść i zapłakał cicho, łzy mieszały się z wodą na policzkach.

– Zabij ich.

Spojrzał na dziecko, musiał się przestłyszeć.

– Zabij ich, tatusiu. Powietrza jest mało, we trójkę zaraz umrzecie.

– Nie umrzemy, Złoty Chłopak mówi, że ratunek zaraz tu będzie... Nie umrzemy...

– Jeśli ich nie zabijesz, tatusiu, udusicie się w ciągu godziny – przekonywał malec, patrząc trupim wzrokiem. – To dobrzy panowie, przecież wiem. Twoi *tawariszczi*. Ale czy wolisz ich ode mnie i mamusi?



Coraz głośniejszy pomruk dobywał się z gardła Raszyda Ariapowa, marynarz pociągał nosem i marszczył twarz. Odsunął się od Dymitra, jakby się bał, że faktycznie nie powstrzyma się i zrobi mu krzywdę. Zaciskał dłonie na zaworze minutę, a może godzinę. Stracił poczucie czasu, całe ciało zdrętwiało. Głosy Dymitra, Iwana i dziecka na wodzie zlewały się w jedno, nakładały w klaustrofobicznej przestrzeni.

– *Paszol...* – syknął w stronę dziecka. – Zostaw mnie w spokoju.

Twarz malca zgiął krzywy uśmiech, w oku błysnęło. Patrzyli na siebie długo, bez słowa. Raszyd omal nie utonął w tym spojrzeniu. Zacisnął nagle pięści, zęby zazgrzytały. Policzkami sunęła ostatnia łza.

– Przepraszam, Chalima! – wrzasnął, załamując ręce. – *Sierce ty majo*, przepraszam cię.

Czarne samolociki urosły przed oczyma, poza nimi Raszyd nie widział już prawie nic. Noga zsunęła się po ścianie, rura boleśnie grzmotnęła w piszczel. Raszyd Ariapow, kapitan w sekcji reaktora okrętu podwodnego „Kursk”, utonął w lodowatej i ciemnej wodzie.

\* \* \*

Dymitr zaciskał zęby i patrzył, jak kolega znika pod wodą. Umarł przez ten cholerny długopis. Jeśli teraz nic nie napisze, śmierć Raszyda okaże się bezsensowna. Przyciskał kartkę do wilgotnej ściany, zastanawiając się, co też można notować w chwili śmierci. Bo co do tego raczej nie było już wątpliwości. Mieli tutaj umrzeć, i to podczas nieudanych manewrów ćwiczebnych. Jeśli w ogóle śmierć może być śmieszna, ich śmierć z pewnością taka będzie.

Nie wiedział jeszcze, co miałyby napisać. Wiedział tylko, do kogo. Poznali się tam, na zaśnieżonym dworcu w Petersburgu, kiedy przyjechał na święta. Pamiętał, że matka zaprosiła Olę na kolację. Boże, jaki był skrepowany, kiedy matka zachowywała się w ten sposób!

Siedzieli i rozmawiali o szkole i dzieciakach, które z roku na rok robiły się ponoć coraz bardziej nieznośne. Co jakiś czas wtrącał coś o okręcie, dwa razy spróbował żartu. Skuteczność pięćdziesiąt procent, i tak nieźle. Dymitr Kolesnikow nigdy nie był duszą towarzystwa.

Olga pozwoliła się odprowadzić do wynajmowanego mieszkania, człapali po skrzypiącym śniegu, a Dymitr układał w głowie kolejne tematy. Byle nie dopuścić do tej okropnej ciszy, która pojawiała się za każdym razem, kiedy zostawał z jakąś dziewczyną sam na sam. Olga miała piękny śmiech, rozbrzmiewał w powietrzu jak mały dzwoneczek – taki, który wieszka się w święta za oknem. Widać było, że szkoła to jej pasja i pracy nie wybrała przypadkowo. Tę małą, kruchą istotkę ktoś stworzył po to, by uczyła dzieci. Dymitr nie myślał jeszcze wtedy, że stworzono ją też dla niego.

Zaczęli spotykać się regularnie, na spacerach pokonali wspólnie dziesiątki kilometrów, rozmawiali i rozmawiali. Dymitr opowiedział jej, jak wstąpił do Floty – w dniu, w którym odchodził z niej ojciec. Służba na „Kursku” była spełnieniem jego największego marzenia,

fascynowała go harmonia człowieka i tak potężnej maszyny. Przyznał, że ma bzika na punkcie okrętów podwodnych, zdradził, że często nie dawało się wygnać go z pokładu.

A nieśmiałość ciągle kroczyła za Dymitrem, szeptała mu do ucha, plątała język. Kolesnikow ani razu nie odważył się wziąć Olgi pod rękę.

Dokładnie zapamiętał datę dwudziestego trzeciego lutego, Dzień Armii. To wtedy wyznali sobie miłość i stwierdzili, że stworzono ich dla siebie. Olga powiedziała też coś, co już na zawsze miało pozostać w jego pamięci: „Mitia, teraz jesteśmy wreszcie tak szczęśliwi, że nas samych napawa to przerażeniem”.

Stał tak w wodzie i myślał, co mógłby jej napisać. Nic nie przychodziło do głowy, wszystko zdawało się blahe i nieistotne. Spojrzał na Iwana.

Ten wyglądał, jakby do ostatniej chwili nie miał pogodzić się z tym, co ich czekało. Oczy, wielkie jak pięści, rozglądały się nerwowo dokoła, dłoni nieustannie wędrowała ku twarzy, paznokcie obgryzł do krwi.

– Iwan, już dobrze – powiedział, starając się zagłuszyć odgłosy pękającej stali. – Już wszystko dobrze, nie bój się.

– Nic nie jest dobrze, Kolesnikow

– Boisz się śmierci?

Prychnął, spojrzął z pogardą.

– Nic nie wiesz, Złoty Chłopcze. Nic nie wiesz. Nie boję się śmierci.

Oczywiście, że nie bał się śmierci. Obawiał się tylko tego, że śmierć przyjdzie zbyt późno, że najpierw dopadnie go Baba. Woda wszędzie dokoła, to naprawdę nie wróżyło dobrze.

Tak jak wtedy, gdy wracał pewnego jesienno-wieczora ze szkoły. Pamiętał, że miał już wtedy nóż, który dostał od wuja na urodziny. Nie bał się więc wracać po ciemku, nie bał się ludzi.

Deszcz miarowo kapał na głowę i uderzał w błotniste kałuże po obu stronach drogi. Wszędzie pełno było wody, lała się z nieba całymi strumieniami. Baba szła z przeciwka, chude ręce rozrzuciła szeroko na boki, głowę odchyliła do tyłu. Śmiech zlewał się z grzmotami, kolejne błyskawice rozświetlały pomarszczoną twarz, błyszczały w ciemnych oczach. Bruzdami na twarzy płynęła woda.

Stała naprzeciw chłopca, postać była dziwnie chuda, ale zagroziła drogę niemal na całej szerokości. Długie siwe włosy oklejały czaszkę. Patrzyła.

– Witaj, Iwan – powiedziała Baba, a głos miała pusty, dudniący.

– Kim jesteś?

– Jestem Baba.

– Dlaczego... dlaczego ja cię widzę?

– Bo chcę, żebyś mnie widział, Iwan. Czy ty tego nie chcesz? Przecież wiem, że jesteś sam. Że nie masz nikogo. Myślałam, że będziesz się cieszył.

– Boję się...

– Słusznie. Każdy powinien się mnie bać.

Iwan przełknął ślinę, ubranie miał doszczętnie przemoknięte.

– Zabijesz swojego wuja... – rzekła Baba. – Pomogę ci, nie bój się. Inaczej on nie da ci spokoju...

– Nie mogę.

– Możesz. Musisz.

– Nie. On... on jest moim wujkiem. Nikogo więcej nie mam.

– Masz mnie – odparła Baba i zanosła się żabim śmiechem.

Odprowadziła go do domu, przez całą drogę monotonnym głosem powtarzając, w jaki sposób powinien pozbyć się wuja tyrana. Wzniesiesz pożar w stodole, mówiała, i zamkniesz w środku Siergieja. Wzniesiesz pożar... Tak pozbędziesz się dowodów.

Rozstali się kilkaset metrów od domu, Iwan zmartwiałymi wargami obiecał Babie, że tak zrobi. Był przerażony. Nie wspomniał na głos, że od kiedy tylko przeniesiono go do wuja, pragnął go zabić.

Baba nikła w deszczu, a on stał w błocie i myślał o tym, że oto być może znalazł przyjaciela.

Czy teraz to Dymitr był jego przyjacielem? Jak dotąd wszyscy, których próbował w myślach tak nazwać, odwracali się od niego, zostawiali sam na sam z życiem. Żółty Chłopak zawzięcie pisał coś na kartce rozpostartej na wilgotnej ścianie.

– Do kogo piszesz?

– Do Olgi. Do żony.

– Dobrze masz.

– Czemu?

– Masz do kogo napisać list.

Dymitr zastanawiał się, czy rzeczywiście jest to szczęście. Czy lepiej w ostatniej chwili życia mieć do kogo zatęsknić, czy lepiej może czuć, że wraz ze śmiercią nic się nie traci?

Serce pękało mu, krwawiło do Olgi, i Kolesnikow nie był wcale taki pewien, czy w tej chwili nie wolałby nigdy jej nie poznać. Bo co też można w kilku zdaniach napisać osobie, którą poślubiło się niedawno, a pokochało nad życie?

Stawianie literek na rozłożonej kartce przypominało Dymitrowi liściki, które zostawiali sobie, kiedy wyjeżdżał na dłużej. Zaczęło się, kiedy Olga obudziła się pewnej nocy sama w mieszkaniu i napisała szminką na szybie: „Gdzie jesteś, mój ukochany?”. Dymitr wrócił z czterdziestoosmiodzinnej służby na „Kursku” i od tej pory obiecał sobie nie rozstawać się z Olgą ani na chwilę. Jeśli już musiał, zostawiali sobie liściki. Ona chowała zapisane ciepłymi słowami karteczki do cukiernicy, przyklejała je na wewnętrznej stronie drzwi łazienki. On – od tamtej chwili przez Olgę nazywany pieszczotliwie Mitią – wsuwał liściki do jej szkolnych podręczników lub kosmetyczki.

Przypomniawszy sobie, jak pewnego razu napisał jej wiersz. Nie był długi i zapewne niezbyt dobry, za to kończył się w taki sposób, że Olga popłakała się i stanowczo zażądała od męża, by ten zawsze bardzo na siebie uważał. Wiersz kończył się słowami:

*Kiedy przyjdzie czas umierać,  
choć myśl taką odpędzam,  
jedno tylko chcę Ci szeptać,  
Moja Miła, kocham Cię.*

Obiecał jej wtedy, przysiągł, że jej nie zostawi samej i zawsze będzie na siebie uważał. „Kursk” osiadł na dnie i wypełniał się lodowatą wodą. Dymitr Kolesnikow po raz pierwszy w życiu miał nie dotrzymać danego słowa.

Westchnął i odrzucił głowę do tyłu. Kręgi rzucanego przez latarki światła przenikały się i zazębiały, niczym znaczek igrzysk olimpijskich. Na blasze, czerwoną szminką, wypisano słowa: „Nigdy cię nie kochałam, Dymitr. Wyszłam za ciebie ze strachu przed samotnością”.

Zrobiło mu się gorąco. Palce, z całej siły zaciśnięte na rurze, wypełnił ostry ból. Kiedy się pobierali, on liczył sobie dwadzieścia siedem lat i jak na mężczyznę, nie było to jeszcze tak źle. Może nawet było to typowe. Za to Olga była starsza, dwudziestodwuletnia nauczycielka to już powód do zastanowienia. Staropanieństwo groziło jej długim i bezlitosnym paluchem, wielu na Oldze postawiło już krzyżyk.

Czy to możliwe, że faktycznie wyszła za niego ze strachu? Z obawy przed tym, że spędzi życie sama? Rzeczywiście, przy takiej perspektywie lepiej już przeżyć je z kanciastym, zwalistym i wstydliwym kapitanem sekcji turbin. A teraz, najprawdopodobniej w ciągu godziny, ten sam kapitan umrze na swoim ukochanym statku, a Olga znowu zostanie sama. Dziecko, które przez całe życie nie jadło lizaków, ale marzyło o nich każdego dnia, dostaje nagle wielkiego lizaka, którego zabiera mu się po kilku miesiącach. Czy tym właśnie był? Wymarzonym lizakiem? Poduszką do przytulania w nocy? Mężczyzną do seksu? Zapchajdziurą samotnych wieczorów? Obojętne kim?

Przejechał ręką po suficie, szminka została na palcach. Jak to możliwe? Skąd się to mogło wziąć? Zaczynało brakować powietrza, to pewnie omamy. A list wciąż nieskończony.

Ciekawe, czy dwie osoby zużywają powietrze dokładnie dwa razy szybciej niż jedna?

Zastanowił się, czy gdyby Iwan umarł teraz, to on żyłby dwa razy dłużej? Skończyłby list? Może doczekał ratunku?

– Iwan...

– Jestem.

– ...jak się czujesz?

– Świetnie. Nigdy nie czułem się lepiej, Złoty Chłopcze.

– Hmm...

– Chujowo. Tak się czuję, Dymitr. Chujowo. Bo jak mam się czuć? Ona zaraz tu będzie.

– Woda?

Iwan wywrócił oczyma, jakby właśnie tłumaczył dziecku, że język nie służy do lizania sedesu.

– Tak, woda.

Konkretnie, Królowa Wody. Baba.

Nie wypełnił wtedy jej rozkazu; w każdym razie tak próbował to sobie wytłumaczyć. Otóż, zabił psa. Wabił się Riczka i właściwie nie był aż tak bardzo nieznośny. Iwan nie mógł się jednak powstrzymać.

Wstał w środku nocy, wiedział, że po wódce wuj śpi jak zabity. Tej nocy popił, i to tego, zjechali się koledzy po robocie. Była wypłata, czy coś równie wesołego. Siergiej chrapał jak niedźwiedź, rytmiczny pogłos niósł się po całym mieszkaniu. Iwan włożył dwie pary skarpetek, z butów zrezygnował, żeby poruszać się cicho – nigdy przecież nie wiadomo, czy wuj nie wstanie w środku nocy, by ulżyć cierpieniom pęcherza.

Riczkę trzymano w stodole, miał tam zbitą z krzywych desek budę, którą Siergiej zbudował chyba tylko po to, by nie potykać się o wiecznie pałętające się pod nogami drewniane odpady. Buda była więc niemożliwie brzydka i w każdej chwili groziła rozpadnięciem się na kawałki.

Kiedy wchodził, wrota zaskrzypiały. Pies obudził się i uniósł głowę. Nie szczekał. Wyszedł z budy powoli i majestatycznie, głowa kiwała mu się sennie na boki. Miał tłusty kałdun i wielki łeb, wyglądał jak kawał mięcha, w który wetknięto cztery krótkie badyle. Przekrzywił pysk, spojrział.

Iwan zamachnął się widłami, sterczące sztywno ostrza przecięły powietrze, przykłuły do klepiska. Riczka zaskowyczał, łapy biły o ziemię, ślepia wyszły z orbit. Chłopiec wyciągnął widły z szyi psiaka i przerażony, że wuj coś usłyszy, dźgnął ponownie. I jeszcze raz, i jeszcze. Riczka zalał się juchą, po trzecim uderzeniu ucichł, próbował za to uciekać. Widły dogoniły go w mig, pozostawiły na grzbiecie głębokie rany.

Iwan stanął nad ofiarą, która w ciemności stodoły przypominała teraz rzuconą niedbale brudną ścierkę do podłogi. Piersz psiaka unosiła się i opadała szybko, łapy drżały, urywany oddech ciął ciszę. Chłopiec patrzył na to jak urzeczony. Stał nad Riczką, aż życie nie uleciało z psa zupełnie, aż łapy przestały drapać o ziemię, piana przestała ciec z pyska.

Zakopał Riczkę daleko w polu, klepisko stodoły starannie oczyścił z wszelkich śladów krwi i walki. Po powrocie do łóżka nie zasnął ani na chwilę, przez cały czas powtarzał w myślach kolejne wydarzenia, wspominał uczucia, jakie towarzyszyły zabijaniu psa. Przez cały czas miał silny wzwód.

Następnego ranka wuj wściekł się jak nigdy. Biegał po podwórku, przetrząsał każdy zakamarek domu i zagrody, wypytywał nawet sąsiadów, którymi pogardzał. Nic. Ani śladu Riczki.

– Iwan, posłuchaj mnie – mówił opanowanym głosem, ale szczęka mu drżała. – Jeśli wiesz coś, jeśli kogokolwiek widziałeś, powiedz mi. Zauważysz tu jakiegoś włóczęgę, usłyszysz coś podejrzanego, masz mi o tym natychmiast powiedzieć. Obiecuję ci, że zatłukę każdego sukinsyna, który będzie się tu kręcił. Kochałem tego psa.

Żołądek chłopaka ścisnął się, zmienił w kamień. Rzadko czuł w życiu zazdrość, ale wtedy, z wzbierającymi łzami, niemal zalewała mu oczy.

– Oczywiście, jak tylko coś zobaczę, od razu dam znać.

– Dobry chłopak. Dopadniemy ich.

Wtedy o mały włos Siergiej by go przytulił. Wyciągnął rękę i spojrzał Iwanowi prosto w oczy. Po chwili cofnął się, opamiętał.

– Dopadniemy ich – powtórzył i zniknął w domu, wściekły i czerwony na twarzy.

Powietrza było coraz mniej, między czarną taflą wody a sufitem pozostał może metr. Iwan spojrzał na Dymitra. Długopis błyszczał w jego dłoni, pot lśnił na czole.

– Dymitr?

– Mhm?

– Jeszcze nic nie napisałeś.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w kartkę, przyciskał mocno do ściany. Zupełnie jakby się bał, że nagle zerwie się wiatr i zabierze ją gdzieś daleko.

– Nie mam pojęcia, co mógłbym napisać.

– Pisz tak, jak czujesz. Nie mamy już czasu.

– A tobie co tak zależy?! – warknął Kolesnikow i w tej samej chwili przedział załaza ciemność. Obydwie latarki, umocowane tuż pod sufitem, zgasły w tym samym momencie.

– *Bliac!* – wrzasnął Dymitr i uderzył pięścią w ścianę. Ból powędrował kłykciami, zajął dłoń i nadgarstek, dotarł do przedramienia. – Nic nie napisałem! – głos mu się załamał, szczęka drżała, w oczach poczuł pierwsze od dawna łzy.

– Możesz pisać po ciemku, Złoty Chłopcze – szepnął Iwan.

Jedyną odpowiedzią, jakiej się doczekał, był ryk wody gnącej stal nad ich głowami, ponury pomruk zbliżającej się śmierci. Jak wtedy, pod lodem na jeziorze, Baba stąpała już pewnie tuż nad twarzą Iwana, krocząc po zewnętrznej warstwie kadłuba.

Pamiętał, że w pewnym okresie naprawdę uważał Babę za przyjaciółkę. Po zabiciu Riczki nastał czas ich wspólnych spotkań i długich rozmów. Choć dziwne to były rozmowy. Popołudniami Iwan wychodził z domu „pograć w piłkę” – i udawał się do pobliskiego lasu. Tam, na wielkim drzewie, w rozwidleniu dwóch grubych konarów, siadał i czekał. Pojawiała się już zaraz, chwilę po jego nadejściu, a potem siedzieli wysoko nad ziemią i dyskutowali o wszystkim, na co mieli ochotę.

Baba mówiła czasem o wuju straszne rzeczy.

– Pozbądź się go – zachęcała ze złym uśmiechem na sonej twarzy. – Przecież widzisz, że cię nienawidzi, że ma za nic. Że gardzi.

Iwan słuchał jej, nasiąkał słowami Baby, które miały w sobie jakąś moc, zapadały głęboko w pamięć. Ryla w jego głowie całe zdania, przygotowując chłopca na to, co miał wykonać pewnego niedzielnego poranka.

To był początek lata. Na zewnątrz dopiero wstawał ciepły dzień. Niebo zrzuciło czarną pidżamę, wdziękając na jej miejsce szaroniebieski sweter dziurawiony mlecznymi chmurami. Iwan siedział na drewnianym taborecie tuż obok łóżka Siergieja, łokcie wsparte o kolana, broda ułożona na miękkim koszyczku dłoni. Czekał.

W sobotę wuj był na weselu, aż dziwne, że Sczerbaskojow go zaprosił. Wuja niewielu lubiło, a na tyle, żeby prosić na wesele, prawie nikt. Iwan tylko czekał na taką okazję.

– Chrr! Chrrraahhh! – Siergiej obudził się wreszcie, odpluł gęstą ślinę.

Otworzył przekrwione oczy, pod prawym pyszniła się fioletowa śliwa. Poruszył się, mocne więzy krępowały ruchy. Twarz nabrała czerwieni, oczy rozszerzyły się momentalnie. Dopiero wtedy zauważył siostrzeńca.

– Co ty... co ty tu...? – odchrząknął raz jeszcze, szarpnął się z całej siły. – Rozwiąż mnie Iwan! *Blić!* Natychmiast mnie rozwiąż!

Iwan wstał bez słowa, w rękę błysnęło ostrze kuchennego noża.

– Rozwiąż mnie w tej chwili, *czior! ciebia...!* – przepita gęba wuja spurpurowiała, gruba żyła przecięła czoło.

Iwan dźgnął.

Otworzył oczy, ciemność pozostała ciemnością. Oddychał ciężko, jakby w powietrzu nie było już ani odrobiny tlenu.

– Dymitr?

Cisza.

– Dymitr?!

– Jestem...

– Nie uratują już nas, prawda?

– Nie. Chyba nie.

– Blić, co za skurwysyny! Przecież to tylko manewry! Umrzeć tu, to jakby zdechnąć w cyrku. Jakby pożarł cię tresowany lew, dla zabawy albo przez przypadek!

– Nie wytrzymam już, Iwan. Niech to się kończy...

– Ale w taki bezsensowny sposób... – mamrotał Iwan.

– W taki czy inny, co za różnica. Myślisz, że inna śmierć wzbudziłaby w tobie poczucie spełnienia, że cieszyłbyś się, gdybyś ginął na wojnie, od kuli? Chwalebna śmierć – no i co? Z nas też pewnie bohaterów zrobią.

Iwan nie odpowiedział.

\* \* \*

Olga Kolesnikowa wynurzyła się ze snu na wilgotną od potu kołdrę. Obudziła się nagle, krzyk uwiązał gardle. W powietrzu czuć było ciepły zapach stęchlizny, za oknem noc oblepiała dachy Petersburga.

– Mitia? – wydyszała. – Mitia, jesteś tu?

– Jestem – odparł Dymitr Kolesnikow.

Siedział po turecku na podłodze, w ustach tkwiła włączona wodoodporna latarka. Żółty krąg światła rozlewał się przed kolanami Dymitra, oświetlając czerwony napis. Obok leżała szminka Olgi.

„Kocham” – odczytała na głos, gniotąc w palcach materiał prześcieradła. „Nie rozpaczajcie” – stało poniżej wielkimi literami.

Mitia Kolesnikow uniósł głowę, z dziur po oczach popłynęła brudna woda. Twarz miał siną i napuchniętą, koniuszek języka wysuwał się z nabrzmiałych ust. Olga odwróciła wzrok, z całej siły zwarła powieki.

Spojrzała ponownie. Był tam.

Siedział, lecz twarz miał już normalną, żywą. Tyle że smutną.

Podniósł się, ręce wsparł ciężko o podłogę i ruszył na czworakach. Pełzał w stronę łóżka, coraz wolniej i wolniej. Olga wyciągnęła w jego stronę szczupłą rękę. Po policzkach, w zupełnej ciszy, sunęły wielkie łzy.

\* \* \*

Dymitr zamknął oczy i po omacku napisał pierwsze słowo. Przed oczami miał Olę. Spała, leżąc w swojej ulubionej pozycji – na plecach, ze szczupłymi rękami wyciągniętymi ponad głową. Buzię układała w smutny dziubek, gdy spała, była taka śliczna... Kołdra podciągnięta prawie pod samą szyję. Tylko oddech miała przyspieszony, wąta pierś poruszała się coraz prędzej i prędzej.

Olga miała na sobie niebieską pidżamę w owieczki, którą kupił jej kiedyś, bez okazji. Zawsze narzekała, że rękawy i nogawki są stanowczo za krótkie, wypominała Dymitrowi, że kupił ją pewnie w sklepie z ubrankami dla dzieci. Kręcone włosy rozsypały się na poduszce.

– Nie... – wyszeptała przez sen. – Nie... to niemożliwe.

Musiało śnić się jej coś złego, pomyślał Dymitr, jakiś nocny omam nawiedził ją pewnie, przepowiadając jego śmierć, zapowiadając żałobę. Wymamrotała coś jeszcze, rzuciła się pod kołdrę, wreszcie wykrzyknęła imię.

Ale nie było to imię Dymitra.

– Ma kogoś – szepnął.

Przecież to oczywiste! Jak w kilka miesięcy po ślubie młoda żona ma wytrzymać całe tygodnie bez męża? Bez miłośnika okrętów podwodnych, który po powrocie do domu, zamiast wypłynąć z Olgą na ocean czułości, włącza kasetę wideo i przez pół nocy opowiada o



konstrukcji i zaletach „Kurska”? Że też wcześniej w ogóle o tym nie pomyślał, nie wpadł na to, że Olga musi przecież kogoś mieć!

– Co? – głos Iwana był cichy i chrapliwy.

– Nie... nic.

– Jak myślisz, ile nam zostało?

– Nie wiem... *bliac*... pół godziny, może mniej.

Woda sięgała powoli do sufitu, zostało jeszcze może z pół metra.

– Iwan?

– No.

– Myślisz, że kobieta może zdradzać męża tylko dlatego, że ten ma dla niej mało czasu?

– *Cziort ciebia, Złoty Chłopcze*... Jestem chyba ostatnią osobą, która zna się na takich sprawach...

– I ostatnią osobą, którą mogę o cokolwiek zapytać.

– Ale co, że mąż nie ma czasu, bo woli robić inne rzeczy? Wychodzić, *wodka* pić z kolegami, bawić się?

– Nie, na przykład taki mąż pracuje, nie ma go w domu tydzień, czasem dłużej.

– To nie.

– Co nie?

– No, nie. Jak kocha, to nie zdradzi. Przecież nie jego wina, że go... Dymitr, ty o Olę pytasz?

Odparła mu cisza i chlupot wody w luku torpedowym.

– Słuchaj, jak ją przyprowadziłeś wtedy na pokład...

– Prawie bym stracił robotę przez to – Dymitr uśmiechnął się nerwowo. – Kobieta na okręcie to zły omen.

– ...to wszyscy widzieli, jak ona na ciebie patrzyła. Wlepiała te ślepka, jak w święty obrazek. Ona cię kocha, Złoty Chłopcze. Nie musisz się o to bać. Nawet ja to wiem, nawet ja to widziałem.

– Bo mi się już we łbie miesza... Nic już nie wiem, Iwan.

– Nie tylko tobie się miesza.

Wspomnienia wróciły jak fala, błysk noża nad głową, czerwona gęba przerażonego i wściekłego Siergieja. Iwan z całej siły zacisnął dłoń na rękojeści noża i ciął.

Ostrze spadło na rękę wuja, biceps otworzył się jak strąk fasoli, buchnęło czerwienią.

– Co ty... Iwan! Rozwiąż, rozwiąż mnie! – wuj wrzeszczał, żyła na czole pulsowała niebezpiecznie, w oczach zabłysła panika.

– Kochasz mnie, wujku?

– Co?

– Zadałem pytanie.

– O co ci chodzi, *družok*?! Co ty, u diabła, wyrabiasz?!

– Odpowiedz.

Wuj milczał. Gapił się tępo na siostrzeńca, lewa ręka broczyła krwią na poduszkę, prawa szarpała krępujące ją więzy.

– Rozwią...

– Powiedz, że mnie kochasz! – ryknął Iwan i przytknął ostrze do zmarszczonej szyi wuja.

– No dalej, powiedz...

Siergiej odwrócił się, zacisnął usta. Wzrok utkwiał w ścianie.

Baba pojawiła się w drzwiach, suknia ociekała wodą, w ręku tkwił mokry badyl.

– Co ty wyprawiasz? Zabij go, natychmiast! Przecież widzisz, co to za człowiek! Całkiem bez serca!

Iwan zignorował Babę i opadł na taboret. Ukrył twarz w dłoniach.

– To po co ja w ogóle żyję, wujek? Przecież nikomu nie jestem potrzebny...

– Trzeba żyć.

– Ale po co?

– Bo tak.

Iwan włożył nóż w poraną żyłami dłoń wuja i uciekł od niego na zawsze. Pół roku później służył już we Flocie. Może w ten sposób, myślał, może właśnie w ten sposób uda się ją pokonać, pokonać strach. Baba stała się jego śmiertelnym wrogiem, noce były bezsenne, a ludzie niezrozumiali.

A teraz miał umrzeć, dopełnić beznadziejnego, tragicznego życia na okręcie zatopionym podczas pokazowych ćwiczeń.

Z daleka, przez warstwy metalu i zamknięte grodzie, usłyszał jęk dartej przez ciśnienie stali. Idzie, pomyślał. A w głowie jeden głos, dudnienie jak dźwięk kroków, rytmicznie, głośno, raz za razem. Zabij go, Iwan. Zabij... Powietrza nie wystarczy dla dwóch... Zabij. A ja cię uratuję, przecież mogę, wiesz przecież... Wyjdiesz na powierzchnię razem ze mną, nawet nie będziemy musieli czekać na ratunek. Przecież mogę... Wiesz. I będziemy wolni, znowu razem.

Zabij go.

Oddychał z trudem. Dudnienie pod czaszką było coraz bardziej natarczywe. Za grodzia słyszał głosy – a może tylko tak mu się wydawało? Potrząsnął głową. Wiedział już, co musi zrobić.

Puścił rurę i zsunął się w wodę, podpłynął do miejsca, skąd dobiegał głos Dymitra.

– Iwan...? Co robisz?

W odpowiedzi Iwan rzucił się na niego, złapał, oplótł szyję rękoma i zapłakał. Dymitr w ostatnim momencie chwycił się kurka, drugą rękę trzymał tuż przy suficie. Papier ocalał, zmacona woda oblała rękę po nadgarstek.

– To chyba pierwszy raz – wydyszał Iwan z trudem, przez ściśnięte gardło, na ucho, cichutko, bo przecież Baba mogła podsłuchiwać.

– Co takiego... Co robisz?

– Pierwszy raz kogoś przytulałam, przynajmniej nie pamiętam, żebym robił to kiedykolwiek wcześniej.

– No... – Dymitr nie miał pojęcia, co mógłby odpowiedzieć. – No, trzymaj się, stary. Jakoś to będzie...

– Ona tu idzie, wiesz?

– Olga?

– Baba.

– Jaka Baba?

– Ona chodzi za mną, prześladowa od dziecka. Każe zabijać.

Zwariował, pomyślał Dymitr.

– Nie martw się, nikogo tu nie ma.

– Jest, Dymitr, ona tu jest. Czuję ją, chodzi po kadłubie, raz słyszałem śmiech.

– Ale...

– Każe mi... każe... – nie dokończył. – Po prostu przytul mnie, Dymitr. Proszę.

Przytulił.

– Przepraszam, Dymitr.

Iwan zaszlochał, a szloch dorosłego mężczyzny brzmi przecież straszniej niż cokolwiek innego. Ciepłe łzy wsiąkały w mundur, wargi drżały.

– Każdy umiera za siebie – wyszeptał jeszcze, jakby mówił w ciemność, a potem wreszcie puścił Dymitra, zanurzając się w zimnej toni.

– Iwan...! Iwan, wracaj! – Kolesnikow machał w zimnej wodzie nogą, próbował wyczuć go pod powierzchnią. Nic.

Został sam.

Zerknął na sufit, ale oczywiście w ciemności nic nie zobaczył. Dotknął twardej powierzchni dłonią – napis ze szminki zniknął. Zerknął w serce – Olga leżała w łóżku, oczy miała otwarte. Szeptała imię, jego imię.

Przycisnął kartkę do ściany.

*Jest zbyt ciemno, ale spróbuję pisać po omacku. Cała załoga z szóstego, siódmego i ósmego przedziału przeszła do dziewiątego. W sumie dwadzieścia trzy osoby. Podjęliśmy decyzję o przejściu tutaj na skutek wypadku. Umieramy po kolei. Chyba nie ma szans. Mam nadzieję, że ktoś to jednak przeczyta.*

*Olga, nie wiem, co mam Ci napisać, kochana. Chciałbym napisać tyle rzeczy, a może nie chcę napisać nic... Bo jak w tych kilku słowach wyrazić, co teraz czuję? Obiecałem przecież, że Cię nigdy nie opuszczę. A nie dotrzymam słowa. Przepraszam. Jestem pewien, że ułożysz sobie życie. Do ostatniej chwili będę o Tobie myślał. Kocham Cię.*

*Pozdrowienia dla wszystkich.*

*Nie rozpaczajcie.*

*Kolesnikow, VIII 2000 r., Kursk*

*Jakub Małeck*

# Zamiast posłowania

**czyli Maciek Guzek, Rafał Kosik i Łukasz Orbitowski rozmawiają o tym, czy trudno odnaleźć się po debiucie i jak z ich perspektywy wygląda dzisiejsza młoda polska fantastyka.**

**Rafał Kosik:** Pierwsza książka to wynik przemyśleń, może nie całego życia, ale przynajmniej pewnego okresu poprzedzającego debiut. Zwykle jest niedojrzała albo przynajmniej niedopieczona. W mainstreamie druga powieść to naturalna konsekwencja pierwszej, a trzecia... często nigdy nie powstanie. W fantastyce tak się nie da. Tu trzeba się wykazać prawdziwą sztuką stałego generowania pomysłów, by każda kolejna powieść była lepsza. Jeśli druga będzie popłuczynami pierwszej, to trzeciej nikt nie kupi. Do antologii Nowe idzie Michał Cetnarowski wybrał autorów, którzy debiut mają już za sobą, a ponadto udowodnili, że ten debiut nie będzie jednocześnie końcem kariery.

**Maciek Guzek:** Fakt, pierwszą książkę pisze się długo – często starasz się tam wrzucić wszystkie „mądrości”, jakich się w życiu nałykałeś – ale też bardzo dobrze robi, kiedy autor później może się z tymi mądrościami skonfrontować. Stają się, hmm, mniej mądre? Dlatego następne utwory – przynajmniej w teorii, zakładając progres autora – powinny być lepsze. I zwykle są. Ale co do jednego, Rafale, sprzeciw – twierdzisz, że jeśli pisarz będzie pisywał „popłuczyny”, to jego kolejnej książki nikt nie kupi – pytanie więc, czy najsilniejszą motywacją ma być chęć sprzedania książki? Ok, to gdzieś siedzi w tyle głowy – kto nie chce być kochanym przez czytelników? Ale, kurczę, nie pisze się przecież po to, żeby ludzie kupili. To paradoks – ale nie kupię książki pisanej tylko i wyłącznie z myślą „muszę napisać tak i tak, bo w przeciwnym razie nikt tego nie kupi”. Tak więc – zwracam się do tytułowych „nowych”, którzy nadchodzą: NIE PISZCIE Z MYŚLĄ O SPRZEDAŻY SWOICH UTWORÓW. (*śmiech*)

**Lukasz Orbitowski:** Bardzo niewielu autorów debiutuje spektakularnie, a w związku z tym nie ma potem większych kłopotów z przebicciem samego siebie. Jacek Dukaj trochę zmagał się z cieniem *Złotej Galery*. U mnie było prosto, debiutowałem *Diabłem na Jabol Hill* i nie sądzę, by po latach ktoś go specjalnie pamiętał. Nie pamiętam też, co wtedy czułem. Dopiero *Tracę ciepło* jakoś mnie utwierdziło w tym, że trzeba pisać. Z drugiej strony, zwróćcie uwagę, że ludzie debiutują teraz ostro i mocno, nawet książkowo. Magda Kozak i Jakub Ćwiek nie musieli, jak Grzędowicz, przebijać się latami. Jest też problem sprzedaży wywołany przez Maćka i tu myślę trzeba pół na pół. Element kalkulacji jest niezbędny w pewnym wymiarze, bo przecież jeśli inaczej sformułujemy pytanie „kto to kupi?“, dostaniemy „kto mnie przeczyta?“.

**R.K.:** Dokładnie to odróżnia dobrego autora od „człowieka umiejącego pisać“, czyli rzemieślnika. Motywacją autora powinna być wewnętrzna potrzeba. Rzemiosło literackie przydaje się za to w osiąganiu wyższych nakładów. Istnieje całkiem sporo powieści i opowiadań fantastycznych, które mają ambicje naprawiania świata, ale są tak nudne, albo tak źle napisane, że mało kto zdoła przez nie przebrnąć. Znaczy to mniej więcej, że nudne przedstawianie problemu jest zwykłą stratą czasu dla autora, bo dotrze z przekazem do kilku procent potencjalnych odbiorców. Literatura po pierwsze powinna być interesująca, a cała reszta zaczyna się potem. Cenię sobie fantastykę za to, że jako jedyny z gatunków musi przynajmniej uruchomić wyobraźnię czytelnika, żeby w ogóle wypełnić własną definicję. Sam piszę i mam zamiar wydawać fantastykę, która prócz tego będzie jeszcze potrafiła tę wyobraźnię rozwijać. Taka jest również idea, jedna z idei, antologii *Nowe idzie*.

**M.G.:** Ha, to ciekawe – mówisz o opowiadaniach, przez które trudno przebrnąć, bo są źle napisane. Ale jest i inna kategoria: teksty, które trudno się czyta, ale które wnoszą coś nowego – i przykłady znajdziemy w antologii. Myślę – przede wszystkim – o Zbierzchowskim. Nie powiem, żeby to było „kino akcji“ – o nie, długie akapity, pokomplikowane zdania, no, nie przechodzi się przez to jak przez prozę Chmielewskiej. Ale kiedy już przebrniesz, wiesz, że było warto.

Ale rzemiosło bywa – pełna zgoda – przydatne. Skoro już jestem przy autorach z antologii, kilka słów poświęcę Pawłowi Majce. *Oko Cyklonu* to moim zdaniem właśnie tekst pisany z potrzeby serca, który jednak sporo by zyskał, gdyby autor popracował trochę nad rzemiosłem. Rozbuchana wyobraźnia i kreatywność z jednej strony, z drugiej – pewne kalki, schematy fabularne, których autor – gdyby miał większe doświadczenie – mógłby, z pożytkiem dla tekstu, uniknąć. Niemniej wiem, że to oksymoron: jak można wymagać doświadczenia godnego starych wyjadaczy, skoro to *Nowe idzie*?

Michał Cetnarowski napisał we wstępie, że między fantastyką rozrywkową (w domyśle – rzemieślniczą) a fantastyką problemową (w domyśle tą nudną) wykopano okopy i rozpięto

drut kolczasty – nie wiem przypadkiem, czy nie rozpięli go sobie sami czytelnicy. Autorzy, jak sądzę, w większości nie podążają takimi koleinami myślenia. Znow sięgnę po przykład z antologii. Znany raczej z humorystycznych teksów Piotrek Rogoża występuje w niej z tekstem całkiem na serio, który według mnie jest lepszy niż teksty pisane do śmiechu.

**L.O.:** Nie dałem rady z Majką, odpadłem od tego tekstu, co nie jest winą autora, lecz mojej ułomności. Ale rozrywka też może nieść ze sobą skupienie nad jakimś kłopotem albo gryźć taki czy inny problem. Odchodząc od fantastyki, czy *Przygody dobrego wojaka Szwajjka* są literaturą rozrywkową, czy problemową? Fantastyka ma trudności z własnymi pulpowymi korzeniami. Z jednej strony jest intencja ujawnienia się jako mądrej i poważnej, jako równorzędnego partnera w dyskusji literackiej, z drugiej, sprzeciw wobec mainstreamu rodzi ową jazdę na zabawę. Skoro tam jest ciężko i z eksperymentem, to my damy ludziom rozrywkę. W ten sposób rodzą się okopy, między nimi wyrasta właśnie drut kolczasty i jest po zawodach.

**R.K.:** Większość opowiadań z tej antologii ma wspólną cechę: doskonały pomysł jest niewykorzystany do końca. Wyobraźnia autorów już pracuje na najwyższych obrotach, ale doświadczenie i cierpliwość przyjdą po kilku latach. Być może wtedy autorzy wpadną w koleiny pisania „rozrywkowego” – albo „nudnego”. Mam nadzieję, że większość pójdzie środkiem.

**M.G.:** O niepełne wykorzystanie pomysłu mam pretensję do Olejniczaka. Nie zrozumcie mnie źle, jego *Noc szarańczy* i tak jest jednym z lepszych tekstów w zbiorze. Ale mogłaby być naprawdę rewelacyjna, gdyby autor nie upchnął tam zbyt wielu pomysłów (syndrom faszzerowania tekstu wszystkim „fajnym”, co przyjdzie nam do głowy). To jest to o czym Rafale mówisz – cierpliwość.

**R.K.:** Niedociągnięcia oczywiście są, ale idea zbioru *Nowe idzie* jest pokazanie początków kariery. Zresztą wolę na przykład Lema z początkowego okresu twórczości niż tego w pełni dojrzałego.

**M.G.:** I dobrze – to jeszcze nie „zimni profesjonalści”, którzy napiszą przyzwoicie wszystko, czego się tkną, ale nie ma już w nich zadzióra. Takim autorem jest dla mnie King – wszystko napisane poprawnie, że mucha nie siada. A mimo wszystko dla mnie jego teksty są letnie, bez emocji. Te emocje to dla mnie największy atut antologii.

**L.O.:** Ludzie, stop. A co młody autor, poza pomysłem, może mieć do zaoferowania? To właśnie jest cecha młodej literatury, zwłaszcza fantastycznej, i to nie powinno dziwić w tym

zbiorze. Gdyby autor umiał już zrobić znakomicie skomponowaną książkę, dysponował wypracowanym stylem, nie byłby młody właśnie. I ma to przecież urok, bez którego nie byłoby i tej rozmowy, i tej antologii. Dostajemy coś świeżego, drapieżnego, zaciętrzewionego w swej ułomności. To siła neofity – więc nie złość się, Rafał, przecież tak musiało być.

**R.K.:** King jest przykładem organicznego interfejsu przypiętego do maszyny do pisania. Moim zdaniem on w to zimne rzemiosło czasem potrafi jednak tchnąć nieco ducha, ale wszystko zabija rozwlekły styl. Naszym wielkim szczęściem jest brak w Polsce kursów literackich z prawdziwego zdarzenia, które produkowałyby rzeszę kiepskich pisarzy z bardzo dobrym warsztatem i zamieniały rynek książki i gusta czytelnicze w zunifikowaną papkę.

**Ł.O.:** Fakt. A potem doszłoby do tego, że pisarzem zostaje się po kursie, tak jak malarz bez szkoły ma trudności z dostaniem się do galerii.

**M.G.:** A propos Kinga, to, o ile dobrze pamiętam, jako jednego z idoli wymienił go w wywiadzie Jakub Małecki. To ciekawe – bo Małecki pisze inaczej, pisze emocjami. Faktycznie, widać pewne klisze jeśli chodzi o pomysły (niestety), ale widać też (na szczęście) większe zaangażowanie.

**R.K.:** W jego opowiadaniu widać fascynację Kingiem. To nie zarzut. Jest to jedno z bardziej poruszających, jeśli nie najbardziej, opowiadań tej antologii. King z tego tematu zrobiłby dwutomową powieść z rozbudowanym dzieciństwem bohaterów... Małeckiemu udało się zachować proporcje tempa akcji do budowania autentyczności postaci.

**Ł.O.:** Widzicie, Małecki pisze poniekąd horrory, a jeśli mamy horror, to od Kinga nie uciekniemy. Można Kinga przerobić, ulec mu, albo być anti-Kingiem, lecz jest to figura tak potężna, że mamy nawet proste skojarzenie semantyczne, horror znaczy King i tyle. Swoją drogą podejrzewam, że Małecki z zamiłowaniem do kwestii obyczajowych (w tym opowiadaniu akurat nie ma ich za wiele), też się jako pisarz rozrośnie. W końcu z wiekiem pomysłów ma się coraz mniej i żal je „marnować” na opowiadania. Zresztą, krótkie formy Kinga są świetne.

**M.G.:** Jeśli już jesteśmy przy opowiadaniach poruszających, to na mnie z kolei spore wrażenie zrobił tekst Kiliana. Brawa za temat – to po pierwsze. Fantaści ostatnio unikali tak trudnych kwestii jak problemy seksualności. Kilian podchodzi do tematu bez kompleksów i – na ile mogę to ocenić z boku – kreśli wiarygodny portret osoby, której mózg jest innej płci niż ciało. Nie ma tam ideologicznego zaciętrzewienia (plus), nie ma przerysowań (transwestyci to nie goście z różowymi piórami w tyłkach).



**R.K.:** Kilian wychodzi od problemu i pracowicie obudowuje go akcją. W kilku miejscach są widowiskowe sceny, które chwieją kompozycją utworu, ale dzięki temu całość działa na wyobraźnię. Co do przerysowania: w całej antologii nie ma ani jednego tekstu zaangażowanego politycznie. To dobrze, że udało się uniknąć mówienia to jest dobre, a tamto złe.

**M.G.:** Właśnie – i to jest jeden z nowych elementów – w Polsce często było tak, że albo fantastyka była par excellence przygodowa, albo – jeśli była poważna – to rozpolitykowana i rozideologizowana (wczesny Ziemkiewicz, Szyda, Pacyński, Sapkowski). Tymczasem, mimo że przynajmniej część tekstów z antologii jest, użyjmy słowa wytrychu, „poważna”, to jednak polityki nie ma. Może i dobrze?

**L.O.:** Podobne rzeczy jak Kilian pisywała Kate Koja i szło jej lepiej, choć ten tekst jest niezły, trafnie ujmuje problem definiowania płci. A z tą politycznością, to macie pełną rację i wydaje mi się nawet, że wiem, dlaczego tak jest. Primo, główny nurt jest polityczny jak diabli. Lewicowiec pójdzie zatem w mainstream i będzie działał, prawica zaś fantastyce chyba się troszkę przejadła. Po drugie, wyplątanie tekstu literackiego z problematyki bieżącej, doraźnej, czyni go dłużej aktualnym.

**R.K.:** Dla autorów z tej antologii jest teraz czas, kiedy jeszcze mogą zmieniać poglądy i nie będą się musieli wstydić po latach, co nawypisywali. Poza tym polityka wymusza wyraźne analogie do naszego realium, a często wręcz sprowadza fantastykę do bliskiego zasięgu.

**M.G.:** Polityka rzuca się cieniem na metafory, na konstrukcje bohaterów, polityka wymusza aluzje – zgoda. Ale nie zgodzę się, że polityka sprowadza fantastykę do „fantastyki bliskiego zasięgu”. Przyznam, że to jedna z rzeczy, których najbardziej brakuje mi w polskiej fantastyce – porządnej fantastyki bliskiego zasięgu, niechby i politycznej, ale interesującej się na serio światem: zmianą układu sił, nadchodzącymi kryzysami surowcowymi, krzemową gospodarką... Tego akurat w antologii nie ma – ciekawe czemu autorzy unikają takich tematów?

**R.K.:** Objętość opowiadania jest zbyt mała, by w pełni odmalować skomplikowanie świata i zwyczajnie trzeba go potraktować jako tło, skupić się na wybranych aspektach.

**L.O.:** E tam, Ziembkiewicz pisał opowiadania i dobre były. Może rzeczywiście kwestia doświadczenia? W political fiction, na płaszczyźnie opowiadania, opisujesz fragment świata. A musisz wymyślić cały świat. To trudne zadanie, zwłaszcza jak klawiatura woła.

**R.K.:** Jest też przykład literatury zupełnie niezaangażowanej – *Smak apokalipsy* Przechrzyty to opowiadanie wybitnie rozrywkowe. Głębsze przesłanie i dylematy bohatera są elementem dodanym. Można by je spokojnie wymienić na inne, bez szkody dla odbioru.

**L.O.:** A mnie się właśnie podobało. Ożywia ten tom swoją dynamiką, prostotą. Jest dobrze.

**M.G.:** Rzeczywiście, miałem takie wrażenie, że Przechrzyta zaplanował opowiadanie z definicji rozrywkowe. Wszystkie elementy są na swoim miejscu, w ramach konwencji nie musi się wstydzić. Ale ja – powiem szczerze – trochę się od tego tekstu odbiłem. Za stary jestem, czy co? To znaczy przeczytałem bez problemów, ale tekst trochę po mnie spłynął. Jedno, co mi się wbiło w głowę, to – powracający trochę jak refren – motyw katastrofy. W różnych wariantach jest u Olejniczaka, Przechrzyty, Małeckiego, Wegnera, Rogoży, u Skalskiej. Następuje jakaś zmiana nastrojów w społeczeństwie, czy co? Zaczyna dominować pesymizm, przecucie jakiegoś zagrożenia? Nowy trend czy coś więcej?

**R.K.:** Brak nam dziś uniwersalnego, namacalnego zagrożenia czy jednoznacznego wroga. Komunizm upadł, nikt nam nie grozi atakiem, nikogo nawet szczególnie nie nie lubimy. Zagrożenia muszą więc być fikcyjne.

**M.G.:** Bo ja wiem? A globalne ocieplenie, a rosnące jak na drożdżach Chiny, a lęki przed tym, czy nie zbliża się aby peakoil, a strach, czy nie rozpadnie się globalny system finansowy? Ja nie mówię, że to znajduje dokładne odbicie w twórczości literackiej, ale z drugiej strony może jakoś wpływa na nastroje. Pisarz to barometr nastrojów swoich czasów – kiedy Polska była na dorobku, kopciuszek w UE, powstała fala tekstów wizualizujących potęgę naszej ojczyzny (w tym moja *Królikarnia*).

**L.O.:** Daj spokój, jaki globalne ocieplenie? Wszystkie góry lodowe mogą się stopić i nikogo nie zaleje, (*śmiech*) *Ř* propos „Królikarni”, brak mi tutaj trochę naszych typowo polskich lęków. Ale nikt nie ma obowiązku o nich pisać. Trochę brak też dusz słowiańskich, naszego specyficznego nerwu, w ogóle mało polska jest ta antologia. Rogoża wiosny nie czyni. To jednak nie jest zarzut. Są nowe lęki, jak właśnie rozpad ładu, kryzys religijności w tym świetnym opowiadaniu o inkarnowanej Matce Boskiej, mamy wreszcie świadectwo kryzysu tożsamości płciowej u Kiliana. Czyli barometr działa.

**R.K.:** Może lepiej, że autorzy *Nowe idzie* zaczynają od problemów odległych. Zwykle z wiekiem i doświadczeniem literatura staje się coraz bardziej przyziemna, coraz mniej fantastyczna.

**M.G.:** Fakt, zakorzeniasz się w rzeczywistości, coraz bardziej żyjesz tym, co cię otacza – i o tym piszesz. Nagromadzone doświadczenia domagają się ujścia. Ale to nie tak, że wszyscy w antologii piszą o wydumanych problemach. Spójrz na Piotrka Rogożę – on, mam wrażenie, pisze właśnie swoimi doświadczeniami (nie mówię, że grał w kapeli rockowej, ale na pewno jest to jego krąg zainteresowań i obszar przeżyć; swoją drogą, kiedyś spotkałem Piotrka na koncercie w Poznaniu, co empirycznie potwierdza moja teorię). (*śmiech*)

**Ł.O.:** Rogoża generalnie pisze o środowisku, z którego wyrósł, świadomie też inspirowane się głównym nurtem (vide *Radio Armagedon* Żulczyka), a w kapeli grał, mówił mi.

**R.K.:** Oczywiście, że czerpiemy inspiracje z rzeczywistości. Jeśli jednak chcemy być autorami fantastycznymi (lub lepiej – czujemy taką potrzebę), to musimy umieć rozłożyć rzeczywistość na części składowe i wziąć tylko te kawałki, które są nam potrzebne. Inaczej będziemy pisać fabularyzowane reportaże, bo na tym polega większa część mainstreamu.

**Ł.O.:** Święte słowa. Właśnie, panowie, a widzicie autorów w tych tekstach? Ich światy, zainteresowania, pasje?

**R.K.:** W części opowiadań tak, część wydaje się pisana w lateksowych rękawiczkach. Ale to też jest spora umiejętność autora, opisać problem, który go osobiście nie dotyczy.

**M.G.:** Odchodząc na moment od antologii – taką umiejętność znakomicie opanował Szostak, jego ostatnie, współczesne teksty świetnie pokazują jak się to powinno robić. W antologii kimś, kto pisze trochę podobnie (jeśli chodzi o nastrój, metaforykę – nie frazę) jest Skalska, choć jej teksty wyrastają jednak z tego, gdzie żyje. Jej *Wyspa* to jeden z moich faworytów. Oprócz Szostaka przychodzi mi do głowy jeszcze jedno skojarzenie – Huberath.

Swoją drogą, gdyby w maistreamie było więcej fabularyzowanych reportaży, nie byłoby źle. Nie to jest główny grzech mainstreamu (zresztą – nie demonizujmy znowu tego głównego nurtu, nie taki on straszny). (*śmiech*)

**R.K.:** Szostak akurat jest na etapie opuszczania fantastyki. Huberath – wprost przeciwnie. Mimo to obydwu czytam z przyjemnością. Za to opowiadanie Skalskiej akurat do mnie nie trafiło, ale to chyba mój problem, bo inni wymieniają je wśród tych bardziej udanych.

**M.G.:** Ja będę *Wyspy* bronił – ze względu na pomysł (podobny właśnie do niektórych tekstów Huberatha). Mało jest fajerwerków, a wszystko zasadza się na formule „świat jako zagadka”. Można dyskutować nad tym, jak autorka ten pomysł zrealizowała, czy była wystarczająco konsekwentna itd., ale ode mnie przede wszystkim brawa za odwagę – nie ma w tekście tak ostatnio częstych w fantastyce strzelanin, spisków bohaterów itp. Spokojnie za to płynnie sobie opowieść prawie że obyczajowa, a fantastyka jest gdzieś pod powierzchnią – ukryta w założeniach konstrukcyjnych świata.

**R.K.:** Nie mam żadnych konkretnych zarzutów wobec tego opowiadania, zresztą musi być dobre, skoro znalazło się w antologii. (*śmiech*) Wielu mądrych ludzi spiera się, czy istnieje coś takiego jak fantastyka kobieca i męska. Według mnie istnieje, choć są kobiety piszące tę męską, i odwrotnie. W fantastyce kobiecej większy nacisk jest położony na relacje międzyludzkie, a to akurat mnie mniej interesuje. Wolę fantastykę męską, która na pierwszym planie stawia między innymi konstrukcję świata, a ludzkie problemy ogląda z dystansu. Uogólniam nieco, wiem. W tej antologii, mam nadzieję, udało się pokazać w miarę obiektywny przekrój kierunków i Skalska z pewnością reprezentuje jeden z nich.

**Ł.O.:** Takie opowiadania są potrzebne. Przecież w tej antologii jest masa huku, fajerwerków, także w pomysłach. Odrobina wyciszenia nie jest zła.

**M.G.:** Męski jest za to Przechrzta – te Słodkie z jego tekstu to przecież inkarnacja marzeń nastolatków (zresztą autor był chyba tego świadomy – gdzieś w opowiadaniu pojawia się nawet mrugnięcie okiem, drwina ze stereotypów). Inny bez wątplenia męski tekst to *Najpiękniejsza historia wszystkich czasów* Wegnera. Czytając ją miałem (przyjemne) uczucie déjǎ vu. Bo i owszem, historia opowiedziana przez Wegnera i w sposobie narracji, i w inspiracjach (mit arturiański) przypomniła mi Sapkowskiego. Nie, to nie żaden plagiat, ale podobny sposób snucia opowieści, konstruowania bohaterów, podobna metoda budowania dialogów. Kiedyś wysnułem sobie taką teorię, że polska fantastyka rozwija się w cieniu Sapkowskiego – i Wegner jest tym autorem, który chyba w tym cieniu wzrastał. Ale – jeszcze raz powtórzę – nie jest to zarzut. *Najpiękniejsza historia...* jest, najkrócej mówiąc, fajna – mógłbym robić zarzuty, że autor w zbyt dużym stopniu koncentruje się na akcji, trochę po macoszemu traktując świat przedstawiony, mógłbym wytykać pewne niedoróbki konstrukcyjne. Mógłbym – ale po co, kiedy opowiadanie po prostu mi się podobało.

**Ł.O.:** U mnie zadzwonił tu Ziemiański ze swoim Toyem. Przecież to zapis najprostszej, męskodziecinnej fascynacji – można kobietę przemienić w demona seksu, który jeszcze nas obroni. Przechrzta jest momentami naiwny, momentami szarżuje, ale myślę, że ten tekst

bardzo się ludziom spodoba. Dobrze, że jest, bo poszerza czytelnikowi obraz zjawiska, można wyraźnie zobaczyć, hej, my nie tylko męczymy się ze sobą, ale także bawimy się dobrze, a rzeczy przyziemne są nam bliskie.

**M.G.:** Inne opowiadanie dość mocno „zadłużone” u innego autora to *Harpunnicy* Andrzeja Mischczaka – tym razem nasuwają się porównania z Dukajem i *Katedrą*. Ten tekst – chociaż science fiction – jest nieco w stylu retro (science fiction i retro – jak to brzmi?). Teraz rzadko się tak pisze, ale zwolennicy starej, dobrej kosmicznej szkoły powinni być zadowoleni. Mnie tekst się spodobał, powiedziałbym nawet, że w kategorii opowiadań dziejących się w kosmosie to mój numer jeden w zbiorze. (*śmiech*)

**L.O.:** Oj, świetne to jest. Sama wizja jest niesamowita, choć, zwróćcie uwagę, to opowiadanie jest strasznie archaiczne, takie teksty powstawały w Polsce na początku lat dziewięćdziesiątych. Nie mam na myśli lotów w kosmos, ale właśnie tematykę religijną wrzuconą w scenerię właściwą dla klasycznej sf. Dobrze, że facet się nie boi, ten nurt ma swoich fanów i wyróżniał go dość wysoki poziom. Zwróćcie uwagę, że to najbardziej „pod prąd” utwór w tym zbiorze.

**R.K.:** Co do Przechrzyty, to nie mam wątpliwości, że to pastisz powieści/filmów, których motywem przewodnim są w różnym stopniu rozebrane blond piękności o nieuzasadnionych niczym umiejętnościach bojowych i sile.

Wegner napisał kawał porządnej, wciągającej historii, jednak zakończenie wywołało u mnie mieszane uczucia. Zapewne powodem tego jest fakt, że nie lubię klimatów arturiańskich. *Rzyg* Juraszka również jest przykładem ciekawie zbudowanego świata, bogatego – na ile to możliwe – w krótkiej formie opowiadania, ale zakończonego bez odpowiedniego zaskoczenia, wykrzyknika, mocnego akcentu spinającego całość.

Mischczak natomiast napisał opowiadanie chyba najbardziej działające na moją wyobraźnię. *Harpunnicy* przypominają mi Lema, którego uwielbiam.

**M.G.:** Tak, Mischczak to taka fantastyka „przedsoborowa”, ale w dobrym wydaniu. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy Mischczak nie jest przypadkiem z Częstochowy? Wtedy ten kult Neomaryjny nabierałby dodatkowych znaczeń.

**R.K.:** Nie wiem, ale sama bliskość Jasnej Góry chyba nie powinna zmieniać poglądów. (*śmiech*)

**M.G.:** Jest jedna rzecz, którą muszę *Harpunnikom* wytknąć – pewne pola są wyłączone z działania postępu (na przykład skafandry kosmonautów – nie bardzo chyba się różnią od

współczesnych). Ale to może być celowe – to widać, że Andrzej chciał z premedytacją napisać opowiadanie oldskulowe. Jeśli chcesz mieć tradycyjne fantasy, wsadzasz swojego bohatera na konia i dajesz mu do ręki miecz. Jeśli chcesz napisać tekst nawiązujący poetyką do space opery lub szerzej, do fantastyki kosmicznej, ubierasz bohatera w skafander.

**R.K.:** Współczesne skafandry nie różnią się aż tak od tych pierwszych, w które ubierały się załogi Apollo. Nie widać na horyzoncie lepszego rozwiązania, chyba, że sięgniemy po niewyjaśnialne naukowo „czary” rodem ze *Star Treka*.

**M.G.:** Tutaj ogłoszę upadłość, bo nie jestem wielkim specjalistą od technologii kosmicznych – niemniej to był, powtórzę, element, który mi trochę zgrzytał. Ale nie bardzo.

**R.K.:** Wróćmy jeszcze do najobszerniejszego opowiadania, *Oka Cyklonu* Pawła Majki. Nie macie wrażenia, że ta cała misterna i pieczołowicie opisana historia traci na końcowym przedstawieniu boga w ograniczonej ludzkiej postaci? Autorowi udało się sprytnie uniknąć paradoksów związanych z podróżami w czasie, ale nie oparł się pokusie opisanego absolutu. (Sam też to kiedyś zrobiłem). (*śmiech*)

**Ł.O.:** Trudno mi coś powiedzieć o tym opowiadaniu. Odbiłem się zupełnie. Majka ma przedziwny język, jestem ciekaw, jak to przed redakcją wyglądało. Ale to perspektywiczny facet, tak mi się zdaje.

**M.G.:** Majka to według mnie autor, który ma najwięcej pracy przed sobą – jeśli chodzi o warsztat, konstrukcję tekstu. Kreatywność wylewa się na papier – w rezultacie mamy długie na pół strony monologi i poszatowaną linię fabularną. Nie chcę nad *Okiem Cyklonu* jakoś przesadnie się wyzośliwiać, bo widać, że autor ma sporo pomysłów – fajnie by było tylko, gdyby je jakoś okiełznał, ubrał w bardziej dojrzałe narracje. I faktycznie – porwał się na opis absolutu. To tendencja młodych stażem autorów, ja oczywiście też miałem takie próby, he, he, ciekawe, kto ich nie miał. Powiem szczerze, że ten Bóg (bóg?) na samym końcu – to było dla mnie zbyt wiele. Tekst wypadłby lepiej, gdyby autor rozwijał jeden pomysł – ten motyw ze światami spontanicznymi był ciekawy. Za dużo pomysłów na centymetr kwadratowy tekstu.

**Ł.O.:** Zgadzam się w zupełności. Temu opowiadaniu przydałoby się odchudzenie.

**R.K.:** U Majki, i zresztą nie tylko u niego, brakowało mi też opisów scenografii. Mam wrażenie, że w biegu za uciekającą akcją autorom szkoda się zatrzymywać, by jednym zdaniem opisać, jak wygląda pokój, do którego właśnie weszli bohaterowie. To utrudnia

wyobrażenie sobie opisanego świata i zawiesza dialogi w próżni – z filmu robi się słuchowisko. A że za dużo pomysłów? Z dwojga złego, lepiej za dużo – to dobrze rokuje na przyszłość.

**L.O.:** Te opisy, nie zawsze jest to potrzebne. Można dać odczuć, wspomnieć coś – jeśli będziemy chcieli opisać wszystko, to wszystko nam się zagmatwa. Majka, moim zdaniem, za bardzo zaufał swojej wyobraźni, jestem pewien, że miał klarowną wizję. Ale wyłożył ją w nieklarowny sposób. Mogę się mylić, tak samo odbijam się od wielu tekstów sf.

**M.G.:** Zaufał za bardzo, zgoda. Powściągliwość bywa cnotą – w innym wypadku opowiadanie staje się, mówiąc kolokwialnie, przefajnowane.

**R.K.:** Rozgadaliśmy się chyba ponad miarę. Podsumujmy.

**M.G.:** Zgadzam się z Rafałem – czas już na podsumowanie, bo inaczej nasza dyskusja zajmie tyle tekstu co niejedno opowiadanie.

Wydaje mi się, że *Nowe idzie* dość dobrze chwyta moment, w którym jest polska fantastyka – bo ogniskuje kilka tendencji. Napotkamy horror – który od kilku lat (głównie za sprawą obecnego tu Łukasza) podnosi w Polsce głowę, mamy też mocno zarysowany nurt fantastyki przygodowej (wymieniani wcześniej Przechrzta i Wegner). Z drugiej strony – widzę oznaki pewnej zmiany. Od pewnego czasu mam wrażenie, że zmienia się paradygmat, przez który autorzy postrzegają to, co piszą. Zmienia się – mówiąc po ludzku – spojrzenie. O ile przełom wieku to był przewrót iście kopernikański, rewolta, o której śnili ci, którzy robili antologię *Robimy rewolucję*, o tyle teraz autorzy zaczynają spoglądać na to, co robią, inaczej. Narasta, sądzę, chęć, by zrobić „coś swojego”, czas szlifowania warsztatu to czas przeszły – bo coraz większa liczba autorów dochodzi już do takiego poziomu, że celem nie może być rzemieślnicza sprawność i powtarzanie (choćby i sprawne) tych samych schematów fabularnych. I to widać w antologii – duża (byłem zaskoczony, jak duża) grupa autorów napisała teksty zupełnie serio, poważne, trochę odbiegające od poetyki, do której nas wcześniej przyzwyczaili (na przykład Rogoża). Nie mówię, że autorzy zgromadzeni w zbiorze *Nowe idzie* zapoczątkowali tę tendencję, ale mam wrażenie, że przynajmniej niektórzy wyczuwają przesunięcie perspektywy, o którym mówię. Jak wyszło? Różnie, nie zdarzyła się chyba jeszcze antologia, w której byłyby same teksty rewelacyjne. Ale kilka opowiadań bez dwóch zdań zasługuje na uwagę. Mam nadzieję, że przy okazji różnych publikacji jeszcze nie raz się z „nowymi” spotkamy.

**L.O.:** Jestem pozytywnie zaskoczony tą antologią, nie myślałem, że wyjdzie tak fajnie. Siłą młodych jest wyobraźnia i tutaj ujawniło się to mocno. Cieszy mnie także niewielka ilość

literackich klonów, to znaczy, mało kto próbuje bezpośrednio wzorować się na popularnych polskich autorach. Nikt nie próbuje być Pilipiukiem, Grzędowiczem... Może *Wyspa* ma coś z wrażliwości Mai Kossakowskiej? Ci ludzie drażą swoje tematy, odnosząc się zresztą z szacunkiem do klasycznej fantastyki. Rogoża się wyłamał, on tak ma. Za to *Harpunnicy* są po prostu piękni. I nie deprecjonowałbym nawet tych słabszych opowiadań, jest w nich ta sama spontaniczność, co w lepszych. Zaraz wyjdzie, że klepiemy ludzi po plecach i przetrącimy im moralne kręgosłupy. Niekoniecznie. Mam wrażenie, że większość z nich ma ten dziwny rodzaj radości pisania, który przekłada się na radość podczas lektury.

**R.K.:** Mam nadzieję, że udało się nam (głównie mówię o Michale) zebrać w tej antologii opowiadania większości obiecujących twórców młodej polskiej fantastyki. Chyba stworzyliśmy mały dokument naszych czasów. Ale świat nie stoi w miejscu. Autorzy z tej antologii już wkrótce będą musieli dokonać wyboru, czy pisać dla przyjemności i traktować to jako zajęcie z pogranicza hobby, czy też dostosować się do wymogów rozwijającego się rynku, czyli skomercjalizować swoje opowieści, tworzyć je według wytycznych speców od marketingu lub wręcz pisać na zamówienie. Mam nadzieję, że do tego czasu uda się nam (ambitnym, rozwijającym się autorom i wydawcom) wychować wymagających czytelników, a tym samym zachować trzecią drogę – wartościowej literatury, która jednocześnie będzie na tyle poczytna, że najlepsi autorzy będą mogli żyć wyłącznie z pisania, a tym samym poświęcić temu pisaniu całą swoją energię.